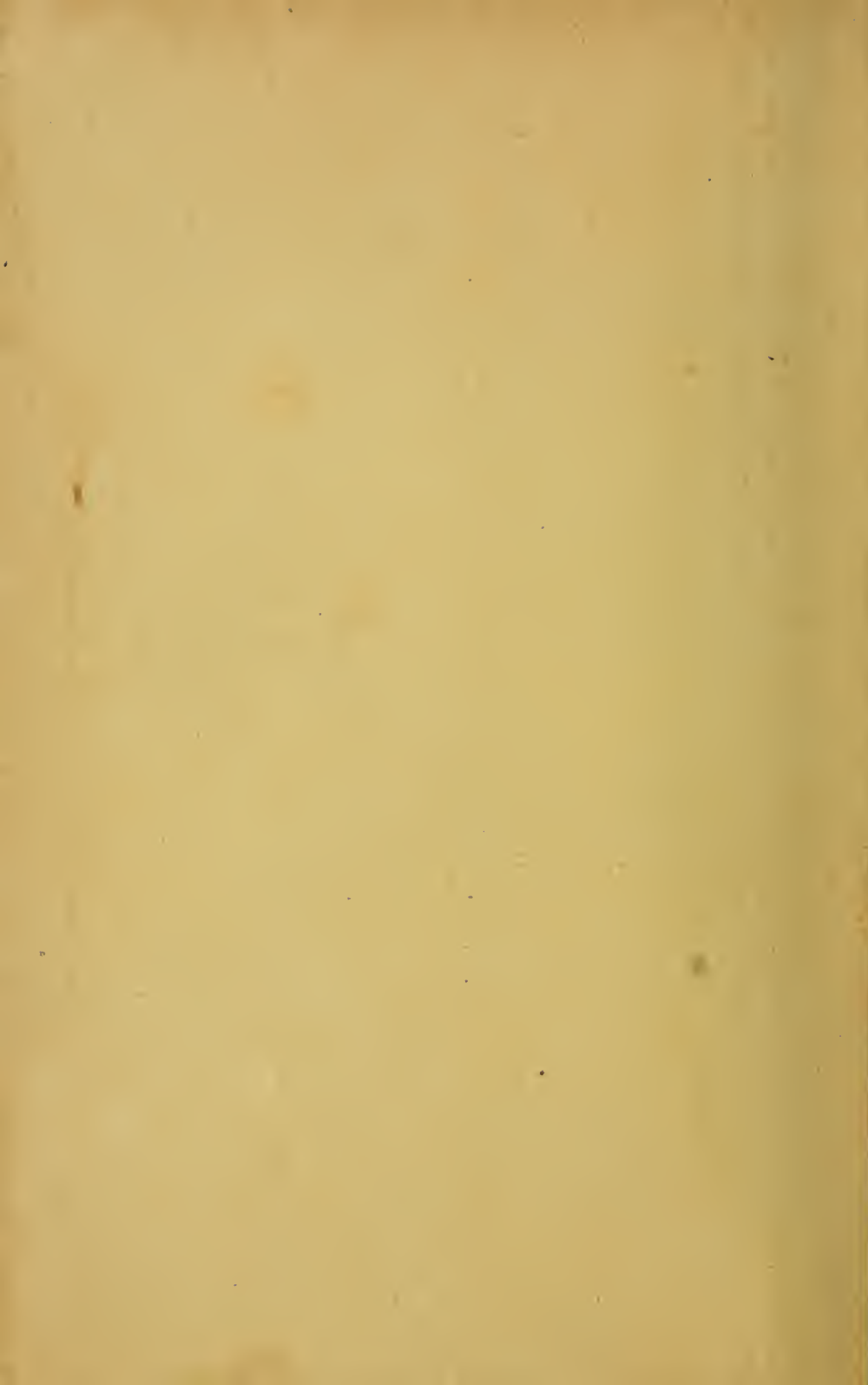
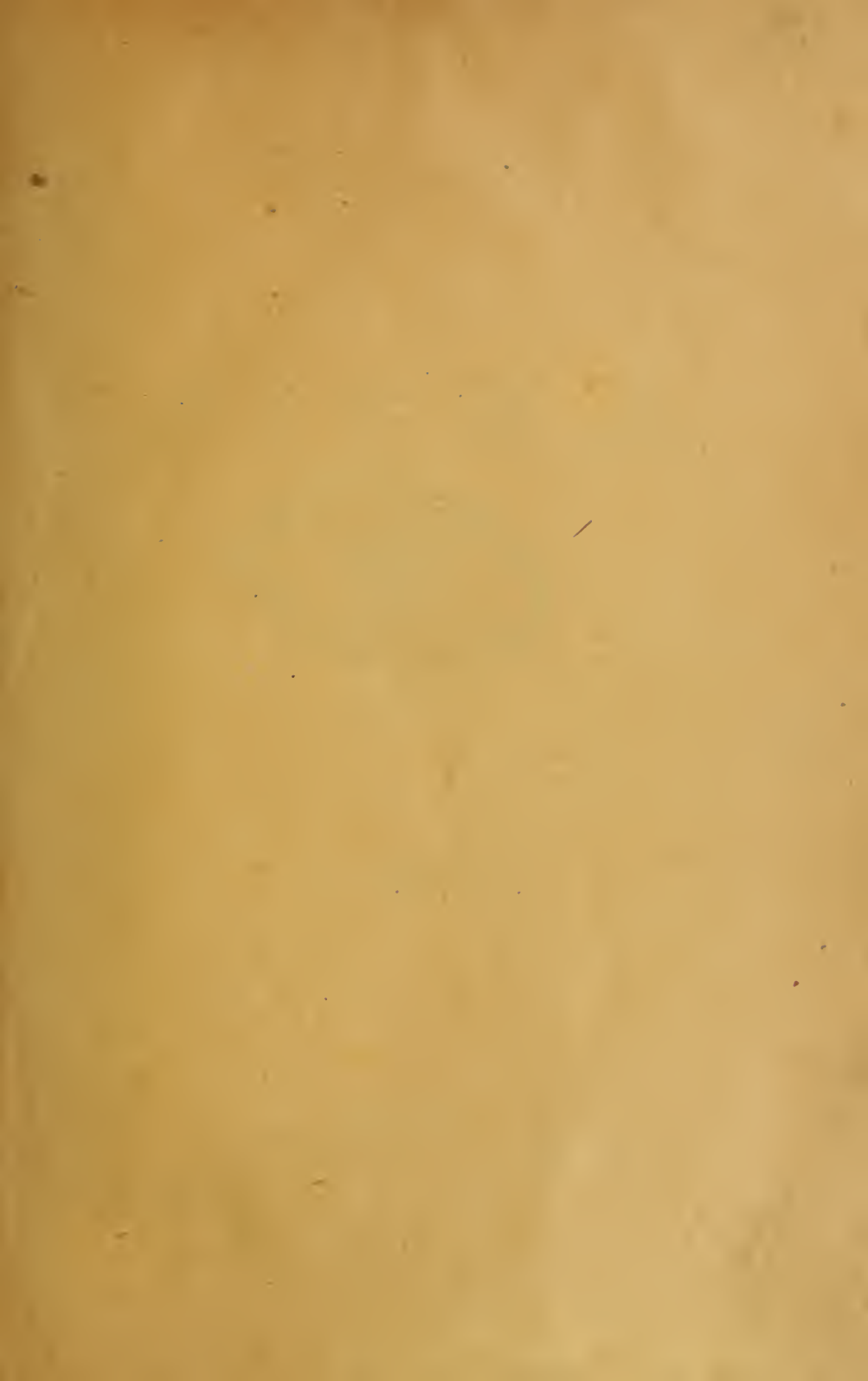
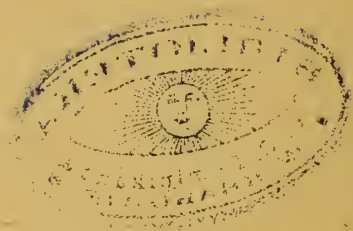


3 1761 07038046 4









PAWEŁ POPIEL.

P I S M A.



TOM II.

KRAKÓW.
NAKŁADEM RODZINY.
1893.



DK
436
.5
P6 A2

Kraków.- Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.

1573

t. 2

III.

ROZBIORY KSIĄŻEK





Digitized by the Internet Archive
in 2010 with funding from
University of Toronto



UWAGI

o Sejmie Czteroletnim Ks. W. Kalinki¹⁾.

I.

Autor znakomitych dwóch książek: „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta“ i „Sejm Czteroletni“, życzył sobie podobno, abym zdanie moje o ostatniej objawił, a zażądała tego odemnie i Redakcyja „Przeglądu“. Wiekiem sięgam wprawdzie nie do Sejmu Wielkiego, ale znałem dobrze ludzi, którzy w nim udział brali, dlatego Sejm Czteroletni, ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, to dla mnie nie jest historia, to tradycya. A jednak nie śmiało biorę się do tej roboty, bo doskonale rozumiem całą jej trudność. Książki takiej, owocu olbrzymiej, kilkoletniej silnego umysłu pracy, frazesami zbyć niepodobna, niema też jej co zalecać, bo co rzadko, wszyscy ją czytali; warto tylko zastanowić się nad naturą i doniosłością sądów, zbadać ich przyczyny, a także wyprowadzić dla narodu polskiego naukę. Jeżeli dobrze autora rozumiem, o to ostatnie najbardziej mu chodzi, i chociaż prawie równocześnie wyszło u nas kilka dzieł historycznych pierwszorzędnej wartości i wywołało znakomitą polemikę, to podobno żadne tyle praktycznie użytecznem być nie może, co historia Sejmu Czteroletniego.

Abym o książce X. Kalinki mówił, aby sobie zdać sprawę z wypadków, charakterów i jego sądów, potrzeba cofnąć

¹⁾ Drukowane w Przeglądzie Polskim, kwar. II, 1880 r.

się bardzo daleko, i to robi trudność tej pracy; bez tego nie zrozumie się nigdy ohydnej, ale fatalnej konieczności niektórych objawów zaprawdę niepojętych w społeczeństwie chrześcijańskim, a które były naturalnym skutkiem politycznych błędów przeszłości. Jeżeli potrafię, spróbuję przedstawić krótko nieprzerwany ciąg gwałtów, zadanych naturalnemu organizmowi społeczeństwa, które doprowadziły do anarchii tak chronicznej, że Ruhlère napisał jej historię, a która spotkała się przed ostatecznym upadkiem Ojezyny z inną także fałszywą teorią. Nastąpiła walka; organizm Rzeczypospolitej był za słaby, aby tę walkę wytrzymać: to jest przyczyna ostatecznego upadku i to jest nauka, która ostatecznie z dzieła wypływa, choć autor nie sformułował jej w ten sposób.

Kiedy prawo rzymskie cesarskie, weszło do prawa publicznego całej prawie Europy, Polska przez wpływ humanistów zapewne, nie w *Corpus Juris*, ale w historii Rzymskiej czerpała polityczną naukę. Na grunt już przygotowany przez rozbijającą szlachtę, mało równoważoną jak w innych narodach przez monarchizm i miasta, padły formuły republikańskie, i jak zwykle się dzieje, wyrazy czarodziejski wpływ wywarły na umysły, zwłaszcza kiedy pochlebiają już rozwiniętym namiętnościom. Namiętności te, obok mało wykształconego zmysłu politycznego, wcielone w człowieka genialnego, zniszczyły początek hierarchii i zaprowadziły najstraszniejszy indywidualizm, jaki rozum tylko pojąć może, bo poddały ogół woli pojedyńka. Nie od razu zgubnej tej zasady okazały się skutki; teorii fałszywej długo opierała się praktyka; wkońcu jednak, jak zwykle, zasada zwyciężyła i zatrzała cały organizm społeczny. Z niej popłynęła elekcya, z niej teoria równości, fałszywa tak w jednej warstwie, jak w narodzie; z niej potworne możnych pojedyńków względem zagranicy stanowisko; z niej pochłonięcie wszystkich żywiołów społecznych przez jedną klasę; z niej owa duma szlachecka, która jak obywatela się bez nauki, tak byle na swoim postawić, obywatela się bez cnoty, bo prywatą górowała nad dobrem Ojezyny i sumieniem. Wiara, jeżeli

prowadziła do expiacyi, to nie zawsze wstrzymywała od zbrodni; poddaństwo, pracujące na szlachcica, pogrążało go w próżniactwie, a temsamem i w ciemności. Zła wiara robi za to odpowiedzialnymi Jezuitów. Jezuiti tego upadku nie sprowadzili: nie byli gorsi jak społeczeństwo, do którego należeli; powinni byli być dużo lepszymi; o to chyba żal mieć do nich słusznie można, choć zapominać nie należy, że ich szkoły jeszcze były lepsze od szkół Akademii krakowskiej, jak ich pisarze i kaznodzieje górowali stylem i logiką nad współczesnymi, że moralność ich nigdy się nie obniżyła.

Najstraszniejszym symptomatem choroby, którą te przyczyny sprawiły, jest fanatyczne zamiłowanie błędnej zasady, która złego była przyczyną, zamiłowanie, które rosło z upadkiem narodu i z którego ani gospodarstwo obcych w Ojczyźnie, ani podrzędne stanowisko Rzeczypospolitej wobec państw innych wyleczyć nie mogło, a które, jak autor wykazał, tak silnie objawiło się jeszcze na Wielkim Sejmie.

W tym samym czasie, kiedy Polska do ostatniej dochodziła atonii, powstawały na Zachodzie polityczne teorie, które za kilka dziesiątek lat miały rozbić cały wiekowy społeczeństw europejskich ustroj. Teorie te z gruntu fałszywe, choć dziś jeszcze popłacające u wielu, będąc młotem do rozbicia wypalonych form dawnego, zwłaszcza francuskiego społeczeństwa, bezpłodne. były do organizowania nawo. Zasada wszechwładztwa ludowego, teoria kontraktu społecznego, zarówno jak *liberum veto* i równość szlachecka, jest błędna.

Polacy czy przenikliwsi rozumem, czy obznajomieni z zagranicą, porównywając upadek własnej Ojczyzny z rozkwitem ziem obcych, szukali tam przykładu, nauki i rady. Spotkali się jednak z niezdrowym społecznym ustrojem, z rozkładem moralnym i z teoryami, które niewypróbowane w praktyce, przedstawiane przez umysły świetne ale harde, dlatego właśnie zyskiwały zwolenników, że miały niby uwolnić ludzkość i z politycznych i z duchowych więzów. W salonach pani Geoffrin i panny l'Espinasse uczono się polityki, a do-

brzy patryoci, ludzie zaeni, zamawiali sobie u Roussa i Mablego recepty do wybawienia i naprawy Rzeczypospolitej. Całe to pokolenie świetne rozumem i ogłąda, choć słabe charakterem, które opromieniło jasnym odbłaskiem ostatnie chwile upadku Ojczyzny, wychowało się w atmosferze niezłrowej, zatrulo umysły fałszem i chciało ratować organizm Polski, nie powrotem do naturalnych warunków życia narodów, ale zastosowaniem świeżo odkrytych i nabytych, a niewypróbowanych środków. Walka tych dwóch czynników tłómaczy wypadki w ciągu panowania St. Augusta, a zwłaszcza podczas Wielkiego Sejmku. Dwa fałsze wystąpiły naprzeciwko siebie, musiały zetrzeć już nie bardzo żywotne społeczeństwa siły. Kto tego nie uważa, ten nie zrozumie nigdy wypadków tej epoki, działania ludzi i falowania opinii; nie zrozumie, czemu upadek Ojczyzny był nieunikniony i czemu, bolesno powiedzieć, był tak sromotny; w końcu będzie sprawiedliwszy w sądach o ludziach i stronnictwach. Autor rozumie to doskonale, nie wypowiada, bo jego rzeczą opowiadać historię, wyszukiwać dokumenta i zestawiać fakta, ale czytelnik uważny sam naukę tę wyprowadzi, a przedmiotem niniejszych uwag zrobić ją dostępną i korzystną dla mniej wprawnych.

Stanisław August w rodzinie swojej miał polityczną szkołę. Jeżeli obcowanie książkowe i osobiste z filozofią i publicystyką francuską pomieszało jego poglądy, to usiłowania wujów zwracały go na drogę praktyczną. Czartoryscy niewątpliwie znakomici statyści i miłośnicy Ojczyzny, nie wiedzieli, i w dobrej nawet wierze wówczas wiedzieć nie mogli, że naprawa wewnętrznych stosunków samoistnego narodu, może tylko własnymi siłami nastąpić, a nie da się z obcą przeprowadzić przemocą; tak wprowadzili siostrzana na zgubną drogę, która, mimo rozumu i dobrej woli, w końcu do przepaści go doprowadziła. Stanisław August jak tylko zasiadł na tronie, zwykłym wyższego stanowiska wpływem, rozumiał warunki rządu; w wyobraźni jego panowała może filozoficzna teoria, w praktyce szukał punktu oparcia dla

swojej władzy. Czy wspomnienie młodości, czy wdzięczność, czy przewaga geniuszu, zrobiły go odrazu powolnym polityki rosyjskiej wpływom, badać dziś obojętna. Ale warto spytać, gdzie miał szukać siły, pomocy. Jedyjni zaćni ludzie w kraju, należeli do party saskiej, konfederacya radomska wykazała całą zgniliznę przez najzaćniejsze, pozostałe w przeszłości uczucia, wyrwała się niewczesnie, a choć poetyczne zostawiła wspomnienia, bo ją opromieniło kilku heroicznych ludzi poświęćenie, musiała jeszcze bardziej popchnąć króla do Rosyi, która ulegając zarazem i własnej cheiwości i zřecznej Prus polityce, pierwszy wywołała rozbiór. Gdyby nie Rejtan, Korsak, Sołtyk, Rzewuski, Załuski, nie byłoby prawie śladu oporu i godności. Pomijam szczegóły i uwagi nad tą chwilą, tylekroć robione, które tu nie należą; a uznaję wspólnie z autorem, że pięćnaście lat od pierwszego rozbioru do Czteroletniego Sejmu, posłużyły królowi za pośrednictwem Rady Nieustającej do zaprowadzenia rządu, jak go od dwóch wieków Polska nie miała, do przygotowania przez szkoły to wojskowe, to cywilne, pokolenia, które mogło być narzędziem organicznem przyszłości: do naprawy ekonomicznej, a nadto obudzenia smaku w naukach, literaturze, sztuce i owej ogładzie, która cechowała Stanisławowskie czasy. Zasługi te rzetelne nie dawały mu powagi i siły, bo zawisł nad nim grzech pierworodny rosyjskiego wpływu przy pozyskaniu korony, a następnie zaleźność od dworu Petersburskiego i jego posła, który niestety, to urokiem łaski, to postrachem niełaski, panował nad tymi, co powinni byli być podporą i wierną radą króla. Tymczasem nowe dorastało pokolenie, jak nowe dojrzewały zasady. Wychowanie, wpływ Zachodu, większy w kraju porządek, Lunewilscy ludzie, wszystko to razem otwierało oczy na niebezpieczeństwa grożące narodowi, i dawało uczuć upokorzenie zaleźności od obcego dworu i obcego posła. Nowe to pokolenie żądało naprawy, jak i król jej pragnął; ale ostatni pojmował ją tylko w porozumieniu z Moskwą, kiedy pierwsi jako konieczny warunek uważali otrząśnienie się z ohydneho

jarzma, a pojmoowało naprawę na modłę, którą „wynaleźli Francuzi wymowni.“ Sprzeczne interesa europejskich dworów, nowe stanowisko, które arrogowały sobie militarne Prusy, wojna turecka, szaleństwa Józefa II., nadwreżyły sobie gwarantujących dworów przychylność i stworzyły położenie, z którego zuclwale zamiary gabinetu Poczdamskiego chcieli, a może i uniały korzystać. Oto chwila, w której autor rozpoczyna swoje opowiadanie.

Wieluż jest takich, co biorąc do ręki znakomitą książkę, pojmują, ile ona kosztowała pracy; jakich potrzeba zachodów, wytrwałości, sztuki, aby dotrzeć do archiwów, zebrać dokumenta, ocenić ich wartość, wyzyskać co potrzebne, opuścić co mniej ważne; jakiej siły umysłu, by fakta uporządkować, wyprowadzić wnioski, albo co trudniejsza, tak zestawic wypadki, takim otoczyć je światłem, aby sam czytelnik wyprowadził i wnioski i naukę. Tylko gorąca miłość Ojczyzny i prawdy może natehnąć takie poświęcenie, tylko zaspokojenie sumienia może być nagrodą, a także słuszną nadzieją, że historia, owa mistrzyni królów i narodów, sama jedna jeżeli zrozumiana, może zapewnić przyszłość naszego. Tyle o autorze. Pochwały X. Kalinka nie czeka i nie potrzebuje. Niezrównany styl jego prostotą i jasnością, dziwny dar przedstawienia wyraźnie, jak na dłoni, najzawilszych rokowań i reasumowania przebiegu spraw bardzo skomplikowanych, jemu tylko właściwych, dowodzi, do jakiego stopnia opanował przedmiot.

Jeżeli Polska od wieku przeszło nie miała polityki zagranicznej, to zagraniczne państwa trudniły się wewnętrzną polityką Polski. Dlatego wypadki, kierunki, spory krajowe, nie mogą być i nie były nigdy zrozumiane bez dokładnej znajomości polityki równoczesnych państw europejskich. Dopiero na tem tle można poznać i ocenić wypadki i ludzi, w tem dopiero świetle wszystkie czynniki występują zrozumiale, plastycznie, a niejedna zagadka dziejowa z ostatnich czasów może być rozwiązana. Pierwszy wiedział o tem autor. Obraz położenia i polityki Rosyi, Austryi i Prus za-

prawdę niezrównanie a po raz pierwszy nakreślony, wprowadza czytelnika w tę sferę, rzadko dla niego dostępną, a wprowadzać może, bo autor zbadał jak nikt archiwa zagraniczne i umiał użyć niezmierzonej liczby źródeł, które dotąd nieznane, stały jemu otworem. Tak czytelnik wie, z kim ma do czynienia, jakie cele każdego dworu, jakich używa środków, jakimi posługuje się ludźmi u siebie i u nas; i wie dokładnie, bo na podstawie tych pism oryginalnych, które dopiero prawdziwe odsłaniają zamiary, a mogły być dopiero w sto lat dostępnymi. Podziwiać tu potrzeba zuchwałe zamiary Poczdamskie, ostatecznie mające na celu pozyskanie miast i województw zachodnich; przenikliwą politykę ministra cesarskiego, nie mającego jednak siły przeszkodzić faktom, których przewidywał skutki, bo szaleństwo Józefa II, jak na wewnątrz tak na zewnątrz, siało wiatr, aby zbierać burze; i spokojną, głęboką politykę Katarzyny, która potrafiła wciągnąć Austryę w zgubną wojnę, odważnie znosi niepowodzenia tureckiej, a jakiegokolwiek miała podówezas co do Polski zamiary, umie spokojnie znosić upokorzenia, które ją w Warszawie spotykają, a do których nie przywykła, zawiesza swoją zemstę, zrzeka się zamierzonego traktatu z Rzeczpospolitą, nawet wojska cofa, a ich przechody wstrzymuje, gotowa albo wspólnie z Polską i Austryą srogi wykonać na Prusach odwet, albo wspólnie z niemi resztą Polski się podzielić.

Wpółród takich sąsiadów stała Polska bezbronna i gwarancyą na bezbronność skazana, bez polityki wewnętrznej, jednolitej, bo jedno pokolenie ze swymi przesądami nie było wymarło, nowe nie dorosło, nie nabyło wpływu. Kilku zaledwie ludzi zdatnych i zacnych, ani jednego charakteru; także kilku awanturników politycznych, jak Branicki, Sapieha, Walewski. Na czele król rozumny, o dobro Ojczyzny dbały, znający warunki rządu i bytu narodów, ale jak przez obce wpływy otrzymał koronę, tak ulegając obcym wpływom, utracił część kraju, a resztą rządził, ulegając natchnieniom carowej i jej pośła, w otoczeniu Rady Nieustającej,

złożonej z ludzi wątpliwej wartości. Kraj podnosił się materialnie, umysłowo, wojskowo, administracyjnie, ale naród właśnie wskutek tego postępu czuł dotkliwiej upokorzenie, a widział dokładniej otwartą przepaść. Powstała jakaś ogólna obawa i ruch nieokreślony; wrzało jak w kotle, ale przy braku zupełnym znajomości spraw politycznych, dawnych przesądach, nowych aspiracyach, egoizmie małych, antagonizmie wielkich, posługiwano się, jak zwykle, w takich wzburzenia chwilach słowami, godłami, które grupują i roznamietniają massy. Widać to najlepiej tak w wyborze kandydatów do poselstwa, jak w instrukcyach sejmikowych. Aukcyja wojska „byłe obywatelom nie przynosiła ciężkości.“ Zniesienie Rady Nieustającej, wysłanie do zagranicznych dworów wielkich posłów, obciążenie podatkiem duchowieństwa, ograniczenie władzy królewskiej, oto są żądania, które *laudu* zawierają mniej więcej wyraźnie. Wpółśród takieho usposobień, dążności, obaw, które umiał wyzyskiwać, dając zdradliwe nadzieje król pruski, zwołany został i otwarty sławny Sejm Czteroletni.

Praca niniejsza nie jest streszczeniem dzieła, przypuszcza dokładną jego i wogóle historyi owych czasów znajomość, ma jedynie posłużyć do ułatwienia sądu.

Byłato istna wieża Babel. Jedni przybywali z obroną *liberum veto* i obawą *absoluti dominii*; drugim szło o władzę hetmańską; kilku magnatom o osobisty wpływ i stanowisko; nowej politycznej szkole o zastosowanie do krajowych potrzeb zasad, w których prawdę wierzyła, w nadziei, że same tylko wyratować go potrafią. Opinia już dosyć silna, objawiająca się na galeryi, w salonach, broszurach, nie wiedziała, czego ma pragnąć, wiedziała tylko, że przewaga Moskwy była zgubną, hańbiącą, chciała ją złamać jakimkolwiek sposobem i kosztem.

Sejm otwarty 6 października 1788 r. zawiązał się zaraz po wyborze marszałków w konfederacyę ze zmianami w przygotowanym akcie, które odrazu kierunek opozycyi wskazały. Dowolność dawna nie dopuściła, aby jakakolwiek tradycya

wyrobiła się w obradach; regulaminu Sejmy, czy zwyczajnie czy skonfederowane, nie znały. Do chaosu w kierunkach przystąpił chaos w obradach ludzi, których nie wychowała ani nauka, ani polityczna praktyka. Posłów Sejmu Wielkiego pamiętam wielu. Znałem dobrze z wybitniejszych Linowskiego, Sołtyka, Łubieńskiego, Niemewicza; bardzo młodo zwracałem uwagę na kwestye polityczne, a umiałem słuchać. Sądy o królu były zwykle surowe w ustach ludzi, którzy nie mogli mu darować zmienności w ostatnich panowania czasach. Zwrotu na własne popełnione błędy nie było, czystość zamiarów tłómaczyła wszystko. Za to częste rekryminacye na kierunek Kołłątajowski, na pełne egoizmu warcholstwo Branickiego. Czyby kto miał cierpliwość (a miałem ją za młodu) wezwać się w dyaryusz Sejmu, czy go tylko pozna z książki X. Kalinki, to zrozumie doskonale, że taka reprezentacya wśród takich okoliczności i politycznego otoczenia, Polski zbawić już nie mogła. Na co zda się dziś potępiać, choć wiele na potępienie zasługuje, raczej z tych przykładów korzystać, bo jeszcze korzystać warto, choćby tylko dla wyrobienia sobie zdrowego sądu o przeszłości, który już sam na przyszłość przeważnie wpłynąć może.

Że pewna fatalność, wytwarzana grzechami długo popełnianymi, ciążyła nad narodem, który na korzyść jednej klasy zaabsorbował wszystkie żywotne czynniki, niema wątpliwości. W chwili, kiedy należało skarb zorganizować, wojsko utworzyć, mocarstwom zagranicznym dać rękojmię silnego, wewnętrznego organizmu, kiedy przeto skoncentrowanie władzy w osobie króla było wskazane, Sejm, a tutaj działało łącznie staropolskie i postępowe stronnictwo, odbiera Stanisławowi Augustowi jedne po drugiej wszystkie atrybuty majestatu, a rządy we własną bierze rękę. Warto zastanowić się tutaj, jak najgorsze błędy obydwóch stronnictw, które już dokładnie się rysują, do jednego tu zmiierzają celu. Ci, którzy widzieli wszędzie *absolutum dominium* i ci, którzy już przemawiali w imieniu wszechwładztwa ludu, wyrrywają z rąk monarchy władzę, której użyć sami ani mogą, ani

umieją, ale mają wymówkę przed sumieniem i Ojczyzną, że możeby król użył swojej władzy na korzyść Rosyi. I w tem jest istotna fatalność położenia, bo dlatego tych politycznych ludzi ani uniewinnić, ani potępić nie można. Straszne kary grzesznej przeszłości, która wlecze za sobą jak ogon smoka zionący ogniem i zniszczeniem; i tu znajdują zastosowanie słowa wieszcza, niemniej znakomitego polityka, jak poety, o Sienińskim: „On był winien nie jednej, ale wszystkich zbrodni.“ Wszystkie te zbrodnie utworzyły tragiczne Sejm Wielkiemu chwile, że jak we śnie chciał, a nie mógł się ruszyć z miejsca. I współcześni i późniejsi robią króla odpowiedzialnym, bo najwygodniej składać winy swoje na ofiarne gozła. Nie było też, prawdę mówiąc, dotąd dokumentów na jego obronę. Dostarczyło ich archiwum berlińskie, z których dopiero poznaliśmy całą przewrotność brandenburskiej polityki i korespondencye prywatne króla dotąd nieznaną, a które dowodzą, do czego dążył i jak umiał przeniknąć berlińskie podmuchy, dowodzą zarazem, że pojmował tylko naprawę Rzeczypospolitej w sojuszu z Katarzyną.

Zestawienie tych dokumentów łącznie z własnem działaniem Stanisława Augusta w Sejmie, podnosi jego osobistość i o głowę góruje politycznie nad wszystkimi współczesnymi; to nie jest skutek stromiczego autora zapatrywania, ani sądu, on przedstawia wypadki, ludzi, pobudki; czytelnik sądzi, a każdy czytelnik polityczny uzna, że u króla był rozum stanu, jak każdy czytelnik patriota wspólnie z autorem żałować będzie, że ten pracownik, mowca, dyplomata nie był zarazem człowiekiem zasad, charakteru i odwagi.

Podobno X. Kalince zarzucają i ma ten zarzut być w osobnej sformułowany książeczce, że Stanisława Augusta zbyt uniewinnia, a dokumenta niedokładnie podaje. Co do drugiego zarzutu, to zapewne nie zostanie w odpowiedzi dłużnym, ja zaś winienem poświadczyć, że pracował na podstawie oryginalnej, kilkunastoletniej, dopiero dziś dostępnej z Debolim korespondencyi, na podstawie aktów kancelaryi osobistej królewskiej, która przez lat kilkadziesiąt musiała być

w ukryciu trzymana. Co do pierwszego każdy mu zaprzeczy. Jesteśmy w chwili, gdzie rehabilitacye wszystkich ludzi, których historia potępiła, w modzie. O rehabilitacyi niema tu mowy, fakta mówią, dokumenta świadczą; czy miał je fałszować, albo na złe tłómaczyć? Król broni zdolnie każdego ostatka władzy, w zarządzie wojska, skarbu, polityki zagranicznej. Duch Sicińskiego powstaje, wieła się to w opętanych, jak Suchorzewski, to w awanturników, jak Branicki, to w doktrynerów, jak Rzewuski. Naraz zjawia się fałsz nowy w postaci ducha nowożytnego, łączą się wszędzie, gdzie wspólna negacya, choć widocznie mają cele inne i różne drogi. Na czele stoją ludzie zdolni, niepokalanego imienia, wychowani we Francyi albo na francuskim gruncie bez moralnej podstawy, wielu należy już do masonów.

Przerzucając oryginalne polskich masonów akta, nie znalazłem śladu wyższych stopni i wyższych celów. Jedno tylko pismo czy mowa jakiegoś Niemca, przysłanego do łóż warszawskich w r. 1784, zdradza głębokie poglądy i w tajemniczym języku prawdziwe dążności. Jak najznakomitsi politycy tej szkoły pojmowali dzieło konstytucyi, najlepiej przekonywują „Zasady do poprawy Rządu,“ zredagowane przez Ignacego Potockiego. Umysł trzeźwy nie mógł się oprzeć logicznym następnościom fałszywej zasady, a właśnie projekt ten dowodzi prawdy uwagi wyżej zrobionej, że polski republikanizm łączy się w każdej negacyi z rewolucyjnym francuskim, równocześnie głoszącym prawa człowieka. Marszałek Litewski zalca wszystkie niemal błędy, które praktyka potępiła w Polsee, i te, które teoria stawiała dla Francyi i króla elekcyjnego, i wszechwładztwo ludu i Sejm gotowy i władza w nim wykonawcza.

W miarę jak Sejm postępuje, puszcza na pastwę namiętnych dyskusyj i niepewnego, a często fakecyjnego wotowania, zarząd wojska, skarbu, dyplomacyę, nie wiedząc, że staje się narzędziem pruskiej polityki.

Tutaj zatrzymać się wypada. Wrażliwość polskiego narodu miała dwie przyczyny: gwałtowność w niezuciu i grubą

nieznajomość stosunków świata i ludzi. Co tylko zdawało się Rosyi, przeciwnie było narodowi: czy król pruski wskutek swego położenia, tradycyi, wobec konieczności zao-krąglenia państwa Toruniem i Gdańskiem, mógł być przychylnym utrzymaniu Polski rządnej i silnej? Na to żaden z naszych mężów politycznych nie zwrócił uwagi. Jakże, nie byłóż jednego roztropnego człowieka? a czy kobiety intrygujące z Luchesinde, miały wywierać wpływ większy, niż przezorność króla i prymasa? Społeczeństwo, które nie ma ludzi przewodnich, albo słuchać ich nie chce, musi paść ofiarą własnej niemocy, a obojętna, czy go wiodą wielkie panie, czy gawiedź uliczna.

Nie streszczam dzieła, więc szczegóły pomijam, ale niepodobna nie podnieść mistrzostwa, z jakim cały ten obraz negocyacyj, obrad, intryg najzawilszych, a które równocześnie w kraju i za granicą się rozwijały, jest przedstawiony; jak każdy znakomity człowiek, jest zeharakteryzowany. a jaki spokój w sądzie. Dwa razy tylko i słusznie unosi się X. Kalinka, kiedy mówi o bezecnym epizodzie ukraińskich buntów i o łupiestwie dokonanem na biskupstwie krakowskiem; tam trwoga, tu cheiwość. dwie najszkaradniejsze słabości namiętności ludzkich. Pierwsza zostawiła krwawe wspomnienie ostatnich Lackich na Ukrainie rządów, drugie dało pierwszy przykład targnięcia się na dobra kościelne, nie rządu, ale narodu, który mienił się i był katolickim, ale bezwiednie fałszywych słuchał już proroków: i tu znowu odbijały się dawne i nowe prądy.

Kończąc, obejrzał się autor na epokę opowiedzianą i streścił tom cały. Jeżeli w naszym narodzie jest, jak nie wątpię, i wola i możność, nie mówię już poprawy, ale odzyskania wszystkich warunków życia, to ustęp ten dzieła drogę do niego wskaże. Społeczeństwa długo chowają zarody złego, co zrosły się z ich przeszłością. Przez cztery wieki wady, które już Długosz wytykał u Polaków, potęgują się z czasem i przynoszą owoce.

Co dziwnego, że jedno pokolenie nie starczyło, aby je naprawić. Kto przeczyta ostatni rozdział tomu, a w tym obrazie sama i niejednostronna prawda, jeżeli trochę z polityką obeznany, zapyta: czy społeczeństwo takie mogło powrócić własną wolą i usiłowaniem do naturalnych warunków życia narodów. *Deus fecit sanabiles nationes terrae*. Słowa te księgi, która nie myli, są największą pociechą i otuchą dla nas, ale środki tego wyzdrowienia różne, prawie zawsze heroiczne, a bez roztropności i dobrej woli nieskuteczne.

Były społeczeństwa, które dojrzewały pod srogim despotyzmem, co różnorodne atomy zbijał w jednolitą masę, wyrabiały się inne w krwawych wewnętrznych zapasach. Naród polski, który dał światu zgorszenie chrześcijańskiej społeczności popadłej w anarchię, oddała Opatrzność do szkoły niewoli i cierpienia, kędy płacz i zgrzytanie zębów. Nie usprawiedliwia to zgoła zbrodni, która na naszej popełniona Ojczyźnie, a tem mniej zaborców, ale tłómacząc powód tak wielkich nieszczęść, wskazuje, jak z nich korzystać.

Niezbadane są Opatrzności drogi; mawialiśmy i ja sam mawiałem: „największem nieszczęściem nie to, żeśmy zabranili, ale że rozdzieleni.“ Nieprawda. Właśnie rozdział sprawił, że wskutek politycznych interesów, antagonizmu, czasem wskutek osobistego usposobienia monarchy, stanu kultury, albo prawa publicznego zaborezego rządu, to ta część, to owa Polski, albo mogła wyrabiać organiczne żywioły, albo byt materyalny, albo przeprowadzać ważne, konieczne społeczne zmiany i naukowo się kształcić. Szczegółów i przykładów nie wskazuję, bo roztropny czytelnik sam je odgadnie, a nieroztropny, albo uprzedzony nie zrozumie. To tylko bolesne, że im więcej dawnych zostawiono nam przywilejów, tem mniej umieliśmy z nich korzystać.

Co zrobiły kraje zabrane, kiedy im zostawiono prawodawstwo, przywileje, sądy? Dzięki dwu wielkim obywatelom i kilku uczonym, Krzemieniec i Wilno zachowały szlachetniejsze żywioły w społeczeństwie, co używało i nadużywało życia, dostatków i swobody, ale które nie zrobiwszy nie dla

stosunku z ludem, mniemało, że dosyć wywiąże się Ojczyźnie, kiedy w chwili zapału i nadziei odda na jej usługi krew i majątek.

Królestwo Polskie, a powtarzam to, choć pamiętam, jakie wywołało i wiem, jakie wywoła pa try o t y c z n e oburzenie — Królestwo Polskie powstaniem 29-go listopada, mimo całego heroizmu walki, mimo zdobytej na polu bitwy chwały, a chwilowego odzyskania sympatyj bezowocnej Zachodu, zmarnowało instytucje wojskowe, polityczne, administracyjne, które było szkołą do każdego zawodu narodowego życia, tem lepszą, że jeszcze pod niejaką trzymane kontrolą. Nie tu miejsce dyskutować, jakie wywołały je wpływy, choć główne czynniki i ofiary najczystsza pałały miłością Ojczyzny i w sumieniu spełniały obowiązek, ale to pewna, że kiedy na widok łuny nad Belwederem i na okrzyk „Jeszcze Polska nie zginęła,” miasto, kraj, powagi narodowe nie śmiały, prawdę mówiąc, nie mogły wstrzymać ruchu, którego zgubność przewidywały: — to dowodzi, że społeczeństwo nasze nie było dostatecznie wyrobione, dość przygotowane do samoistnego życia, które koniecznie wymaga odwagi, rozwagi i tej siły, która czekać umie. Słyszę, że taka mowa, to poniewieranie ideami narodowymi, gaszeniem Znicza, co jest symbolem życia duchowego. Zaprawdę, ani pozytywistą nie byłem, ani utylitarnej polityki zwolennikiem; że bez wyższego duchowego natchnienia, miłością pobudzonego, ani społeczeństwo, ani pojedynczy człowiek nic nie zrobi, dobrze mi wiadomo. Ależ w dobrej porozumiejmy się wierze. Czy ideałem ma być tylko zbrojne powstanie — czy nie jest wyższym, w każdym razie trudniejszym ideałem gotowanie pracą, nauką, praktyką życia publicznego, a cnotą prywatnego tych sił moralnych i materialnych, których brak podczas Wielkiego Sejmu czuć się dawał; czy Znicz ma świecić światłem albo ogrzewać płomieniem tylko w lesie pod dębem, albo w tajemnicy spisku, a nie w tym Kościele, który, kiedy wszystkie zawory społeczne pękły, sam jeden utrzymywał Polskę w jakiej-takiej jedności i moralnym ustroju. To są

prawdy i uwagi, które umysł konsekwentny wyprowadzi z dzieła X. Kaliuki, a wyprowadzi je tembardziej, że zdaje się, że nasz naród trafił po jeszcze cięższych próbach na właściwą polityczną drogę, choć mnie i każdemu wytrawnemu wiadomo, że bez ofiary krwi i walki kiedyś się nie obejdzie. W drugim tomie zobaczymy zapewne, jak wyjaśniły się wskazane przez nas kierunki, a przez praktykę wykształcili ludzie. Ale czas był stracony, było już zapóźno. Dzień 3-go maja opromienił upadek, ale go wstrzymać nie potrafił.

Tu powinienbym stanąć; ponieważ jednak wątpliwe, czy tego drugiego doczekam tomu, zastanowię się nad dalszym sejmowych i krajowych spraw przebiegiem.

Ktokolwiek uważał, co mówiłem o podwójnych zasadach i prądach, które ze sobą walczyły, i o działaniu króla, który usiłując utrzymać pomiędzy nimi równowagę, był wystawiony na ich pojedyncze a czasem łączne pociski, ten musi postrzegać, że w miarę jak zbliżała się katastrofa, słabną siły staro-szlacheckiego stronnictwa, a liczbą, wpływem, poparciem opinii, góruje nowa polityczna szkoła. Nowe do Sejmu posłów wybory żywił ten powiększają. Niemcewicz pisze Powrót posła, fraki miejsca ustępują kontuszom, i jak często u nas bywało, słowa, godła, zamiast czynów. Nie obeszło się bez wpływu rewolucyi francuskiej, która już pełnemi płynęła brzegami. Owi magnaci, którzy tak zaciekle bronili dawnych Rzeczypospolitej ustaw, wolności, artykułów hetmańskich itp., i w tem byli pewnego rodzaju konserwatystami, wzięli ztąd assumpt do upatrzania w nowym Sejmie kierunku jakóbińskich dążeń, a tak równocześnie obawa utraty przywilejów, jak i niby dbałość o ratowanie społeczeństwa od przewrotnych wpływów, miało tłómaczyć związki ich z Petersburskim dworem. W tymto czasie, jak mi z ustnej wiadomo tradycyi, stronnicy rosyjskiego aliansu zażądali porozumienia z partją narodową. Zebranie było u Chreptowicza. Obecni Potoccy, Małachowski, Linowski, Niemcewicz, z drugiej strony Kossakowscy, Ankiewicz, Ożarowski,

zapewne i więcej, o których nie wiem albo nie pamiętam. Czy w złej czy w dobrej wierze, wywołano konferencyą, ani wiem, ani przesądzać mogę, ale zagał biskup Kossakowski słowy: Wszyscy, jak tu jesteśmy, kochamy zarówno Ojczyznę i chcemy ją ratować; my rozumiemy, że to się uda tylko z pomocą Imperatorowej, wy własnym ufacie siłom. Dobrze, jeżeli się mylimy, to stanowczo zrywamy z Rosyą, dróg i przekonań zrzekamy się swoich, ale pod jednym warunkiem: to jest wypowiedzenia natychmiast wojny imperatorowej, pospolite ruszenie, walka na śmierć i życie. — Na to Ignacy Potocki: Kraj do wojny nieprzygotowany, aukeya wojska na papierze, z Prusami należy się wprzód porozumieć, na los szalonego kroku Ojczyzny przyszłości puszczać nie można. Odpowiedzieli Ankwicz i Kossakowski: kiedy nie, to nie, jeżeli zaraz powstawać nie chcecie czy nie możecie, to my do naszych dróg i praktyk wracamy. Tak się skończyło to rokowanie, które, powtarzam, w złej czy w dobrej było rozpoczęte wierze, zawsze dowodzi, jak były trudne okoliczności i decyzya w narodzie, który nie miał tradycyjnej polityki, ale którego wielkie rodziny od lat kilkuset do familijnych z zagranicą nawykły stosunków. Co mogło dziać się wtenczas w duszy Stanisława Augusta, którego długie nawyknięcie ciągnęło do Rosyi, który zarazem nie chciał zrywać z narodem, którego rozum przenikał zdradę pruską, oceniał pobudki partyi hetmańskiej, rozumiał może polityczną wartość konstytucyjnego stronnictwa, a z rzetelnem poświęceniem przewodnicząc pomiędzy sprzecznymi kierunkami, nie miał odwagi i charakteru, aby wybrać jedną drogę i wiernym jej pozostać! To jest zarzut, który słusznie królowi zrobić można; nie wymawiam mu braku zasad, zasad nikt w tym czasie nie miał, nie wyrabiają się one w epokach krytycznych, ale dopiero w organicznej chwili. W czasach i wśród nauki, która wychodziła abstrakcyjnie z ideału, kto znał warunki, wedle których wykształcają się konstytucye narodów? Dziś po stu latach mało kto rozumie, że powstają i wykształcają się naturalnie wedle

żywiółów składowych, a nie dadzą się stworzyć dowolnie. Thomas Payne twierdził podówczas, że ten tylko obywatel wolnym nazwać się może, który w kieszeni nosi konstytucję swojego narodu. Jakgdyby orzeczeniem na papierze dały się wytworzyć i zrównoważyć te stosunki i siły społeczne, których gra stanowi życie narodów a wolność im zapewnia.

Autor Czteroletniego Sejmu nie pisze traktatu o prawie publicznem, ale pisze historię; tak ją jednak pisze, że ta nauka z opowiadania wypływa. To jest główna jego zaleta i dlatego spokojnie przyjmować może zarzuty: że na tle obrazu nie ma więcej szczegółów narysowanych, któreby lepiej stan społeczeństwa, miasta, obyczajów dały poznać, że w charakterystyce ludzi wybitniejszych kontury nie dosyć wyrazisto nakreślone, a przez to całość nie ma tego życia, barwy i plastyczności, jakie podziwiamy w Macaulay'u, Tainie. Sposobu pisania autorom narzucać nikt nie ma prawa, a jest on zawsze wpływem osobistości. O stylu dawno powiedział Buffon: *Le style c'est l'homme*. Tem bardziej księga to człowiek; ta, którą mamy pod ręką, musiała być poważna. Zostawia paniętnikom szczegóły obyczajowe, na które dostatecznie wskazano, i jaskrawszą charakterystykę ludzi wpływowych, i to co dał, wystarcza, aby ich osądzić. Wydobył z cienia osobistości, jak Komarzewski, Deboli, które sto lat czekały, aby im oddano sprawiedliwość, a które pięknie odbijają od zabiegów dumy rodzinnej, albo osobistego interesu i jakiegoś niby kawalerskiego a pełnego egoizmu zuchwalstwa.

W Sejmie Czteroletnim tak, jak przedstawiony, za wiele materyału, aby go odrazu ocenić i strawić; zdaje mi się, że długo z tej kopalni czerpać będą, a da pochop może mnie samemu do dalszej pracy. Czytany, jak rzadko to się zdarza w naszej literaturze. Szczęśliwy to i dla autora i dla społeczeństwa moralnego zdrowia objaw.



II.

Kończąc sprawozdanie moje o Sejmie Czteroletnim w „Przeglądzie Polskim,” lat temu siedm, wyrażałem wątpliwość, czy drugiego doczekam tomu. Doczekałem — i znowu przezaeny autor żąda, abym o nim zdał sprawę. Czy w moim wieku lat siedm nie wskazują na rozbrat z publicystyką?

Drugi ten tom rozdzieliwszy na dwie połowy, wydał X. Kalinka w r. 1882 i w 1886. Wielki błąd. Takiej pracy, której nawet tomami nie należałoby wydawać, dzielić na połowy, ogłaszać w pismach peryodycznych, częściowo, nie należy. Zapewniano mnie, że kiedy tom pierwszy rozkupiony w dwóch miesiącach, musiał być powtórnie wydany, drugi tom nie rozechodzi się równie spiesznie jakoby dlatego, że ciężkie czasy nie pozwalają książki kupować. Tak nie jest; kto czytał i kto wartość książki ocenił, tego kilka reńskich nie wstrzymują od kupna drugiego tomu; raczej przypisałbym mniejszy pokup temu usposobieniu, które poprzestaje na ogólnym poglądzie, a mając ostateczny rezultat, o szczegółach nie pyta, a nadto, osnowie pierwszej połowy tomu.

Ciekawi dziejów badacze, ludzie polityczni, nigdy autorowi dosyć zawdzięczyć nie potrafią archiwalnych badań, jakie odbył, a co trudniejsza, co nadzwyczajnej potrzebuje wprawy, zestawienia działań, które się krzyżują, wpływu, charakterów monarchów i ministrów, nadto, ogólnych wypadków europejskich na postanowienia gabinetów, a odbicie tej gry zręcznie ukrytej na Sejmie i ludzi wpływowych naszego kraju. Dotąd, można powiedzieć, znaleźmy fakta, jakie na nie działały wpływy; co tłómaczy zwrot w człowieku albo w opinii, tego dowiadujemy się dopiero i po raz pierwszy od X. Kalinki, i zaprawdę nie wiem, co bardziej podziwiać potrzeba, czy pracę w wyszukiwaniu źródeł, czy genialną niemal zdolność zestawienia ich tak, aby u w a ż n y czytelnik jak po niei doszedł do sprężyn, działania i przyczyn zwrotów to naturalnych, to niespodziewanych w polityce dworów, ludzi,

i uczuciach narodu. — Nie bez przyczyny powiedziałem uważny, bo śledzenie podstępnej a konsekwentnej polityki z jednej strony, gry namiętności szlchetnych albo osobistych, z drugiej wymaga nie tylko pilnego zastanowienia, ale obok ciekawości, niejakej wprawy, która wszystkich czytających udziałem być nie może; to jest istotny powód, czemu pierwsza połowa tomu poczytną być nie mogła; czytelnicy, barwą i obrazami tomu pierwszego olśnieni, nie mogli wszyscy z równym pociąganiem śledzić ducha not dyplomatycznych, albo wpływu ministeryalnych sympatyj lub antypatyj. Czuł to pewno doskonale autor; wiedział, że dzieło na popularności ucierpi, ale wiedział także, że tak badać, tak zestawiać, tak pisać było jego obowiązkiem, bo jak tego nikt przed nim nie zrobił, tak i nikt po nimby się o to nie pokusił.

Przechodzić za autorem wypadków albo negocyacyj. ani też streszczać nie będę, bo nie jest moim zamiarem zwalniać od czytania książki; zwrócić jednak powinienem uwagę i ciekawość na to dziwne położenie narodu reprezentowanego przez Sejm, wobec różnorodnych intryg, interesów trzech sąsiadów, które potęgowało nieraz i działanie europejskich mocarstw. Ponieważ mało zmieniło się dotąd położenie na zewnątrz i na wewnątrz, pilnie uważać muszę, aby nie powracać do uwag wypowiedzianych przy rozbiórce pierwszego tomu, bo chociaż pewno zapomniane, ja jednak nie rad się powtarzam.

Pisze właśnie do mnie X. Kalinka: „Proszę o recenzję, z którejbym się czegoś nauczył.“ Ba! niełatwo, kiedy Autor zna wszystkie źródła. z nich rozwija całe pasmo działania tak dostęпно, że każdy zrozumie, a tak bezstronnie, że aż niecierpliwi.

Próżno szukać w historii tak fatalnej konstellaeyi politycznej, jak ta, która w Europie ułatwiła drugi Polski rozbiór, a zniweczyła choć słabe, ale znaczne ratunkowe usiłowania narodu. Osobistość panujących sąsiednich monarchów, wojna z Turcyą, rewolucya francuska, wszystko składa się na jego szkodę, a jednak najważniejszym czynnikiem upadku

własna niedoleżność, która się objawia nie tylko w posłach, co z domowego życia i polityki powiatowej wyszli na wielką polityczną sferę, ale nawet dosięga działania ludzi, których dotąd otaczał nie tylko ogólny szacunek, którego nie stracili, ale otaczał urok wielkich politycznych zdolności. Weźmy przykład. Ignacy Potocki był to niewątpliwie człowiek znakomity rozumem a nawet charakterem. Mimo to zapomnieć nie można, że głównie przyczynił się do najzgubniejszej polityki pruskiej i zawarcia traktatu odpornego z królem Wilhelmem, pomijając traktat handlowy. Czy nienawiść, choć słuszną, do rosyjskiego wpływu, czy antagonizm, o którym dobrze mi wiadomo, pomiędzy Potockimi Lubelskimi a Szczęsnym, czy wpływ Luchesiniego, tak był zaślepiony, że on, człowiek polityczny, mógł przypuścić, że król pruski poprzestanie na roli pośrednika narodów, a interes swój, a Gdańsk i Toruń poświęci, i otrzymawszy traktat odporny, którego podówczas potrzebował, dobrodusznie obniży cła od zboża polskiego. Zaślepienie to trwało długo; gdybym przypadkiem doczekał dalszych tomów, to pokażę na zasadzie oryginalnej korespondencji, którą posiadam, że jeszcze w r. 1792 w Berlinie dał się ludzić, a dopiero ostatnia rozmowa z Schulemburgiem i królem pruskim otworzyła mu oczy. Już było zapóźno. Zarzucano X. Kalince zbyt surowy sąd o Ignacym Potockim; Szujski chciał nawet rozprawić się z autorem o piękną tę zkądiną postać. cóż, kiedy prawnopolityczną jego zdolność potępia projekt o naprawie rządu, a dyplomatyczną, działanie w deputacji do spraw zagranicznych. Jak się stało, że nie przejrzał wobec pochwał Luchesiniego po sławnej mowie d. 15 marca; jak się stało, że nie zrozumiał doniosłości propozycji Kaunitza i trzymał je w sekrecie przed Sejmem, co wywołało ostatnie Reichenbachskie układy? Nienawiść do Moskwy, nadzieja odzyskania Galicyi, niedowierzanie królowi, złożyły się na to, że wielki ten patriota, który może głównie przyczynił się do konstytucyi 3-go maja, który później głowę swoją ofiaruje Suwarowowi za krew Pragi i Warszawy, pozostawił potomność w wątpliwości, nie co do swej cnoty, ale skutku

zbawiennego albo szkodliwego, który wywarł na ostatnie Polski przeznaczenie. Nie zrozumiał i nie rozumiało podówczas wielu, że niema przepaści, którejby polityka zapelnąć nie mogła, że szlachetność była zawsze polityce Brandeburskiej obcą, a głównie, że trzeba było dać wprzód rękojmę siły, a przynajmniej rozumu, nim można było rozpocząć grę równowagi ze sąsiednimi dworami.

Jeden z najciekawszych, a może najmniej znanych epizodów politycznej akeyi w tej chwili, jest propozycya Kautitza, która głównem ostrzem była zwrócona przeciwko Prusom, ale wyzyskana, drugiem mogła się obrócić i przeciw Rosyi. Zakomunikowana Sejmowi, byłaby niewątpliwie wpłynęła na stosunek stronictw, w każdym razie opóźniła traktat zaczepno-odporny z Prusami, bez uwzględnienia interesów handlowych. Tego właśnie, jak słusznie nazywa ich autor reżyserami, nie chcieli, kiedy z pogwałceniem prawa, zamiast w dni trzy po wprowadzeniu sprawy, natychmiast do wotowania poddali. Król doskonale widział zgubność traktatu, sprzeciwiał się mu stanowczo i wymownie, prawdziwie jak człowiek stanu, przedstawił powody odrzucenia traktatu; w końcu wobec usposobienia większości, parcia ludzi wpływowych, zarzutów i podejrzeń o konszachty z Rosyą, zgodził się na traktat. Gorzkie z tego tytułu robi X. Kalinka wyrzuty. Sławne *vae soli* Ignacego Potockiego, mógł do siebie zastosować. Czy choć jeden z patryotów wpływowych byłby stanął obok niego? Stawali Dzieduszycki i Chreptowicz, dziś dopiero z zarzutów oczyszczeni; stawał choć półgębkiem Małachowski, jak za każdą uczeiwą sprawą. Nie żądamy od człowieka heroizmu. Był prawda nietylko człowiekiem, ale królem. Prawda, ale nie królem z rodu.

Pomijam tak bolesne rozprawy o skarbowości, tak niedołęzne organizowanie wojska, że zesłany na zwiady generał pruski oświadczył, że ta armia żadną być pomocą nie może, i odtąd nawet Prusacy zwalniali nas z niemąłą Sejmu radością od posiłków; pomijam ciekawy epizod wojny szwedzko-rosyjskiej, i takie obrazy, jak skutki działania Józefa II

i jego śmierć, bo powtarzam, ani wolą, ani zamiarem moim nie jest streszczać, a kto chce kontentować się streszczeniem, ten znajdzie niezrównane w rozdziale 146. Ja wolę tutaj zastanowić się nad pytaniem, które inni robią, a ja sam sobie stawiam: czy obok ogromnych a sumiennych studyów na badaniu dokumentów opartych, a które tak bolesne strony historii naszej, charakteru narodowego odkrywają, należy i warto całą tę prawdę nagą na świat wyprowadzać? Czy takie badania, wywody, obrazy nie obniżają patriotyzmu i tego ideału, który ożywił nasze pokolenie, wychowanie na historii Wagi, Niemcewizu, Kochowskim, Wojnie Chocimskiej, Woroniczu? Zналиśmy tylko heroiczną i poetyczną historię Polski, ale ta nas exaltowała, kiedy Melsztyński ginął nad Worskłą, chorągwie grundwaldzkie powiewały na sklepieniach Wawelu, Orsza, Kireholm, Kluszyn, Chocim wskazywały, jak wedle słów Woronicza „przed jednym, tysiąc zbrojnych uciekało razem, — ni się w dziesięć tysięcy obejrzyć nie śmieli“; nie wiedzieliśmy weale, że pod świetnością kryło się tyle egoizmu, dumy osobistej albo rodowej, zarozumienia szlacheckiego, brak hierarchicznego posłuszeństwa i politycznego zmysłu. Dziś, dzięki badaniom naszych uczonych, druków źródeł, płądrowaniu po archiwach krajowych i zagranicznych, wystąpił cały szereg win, który jeżeli nie usprawiedliwia, to tłumaczy nasz upadek, a łagodzi grozę rozbioru. Dziś wiemy wszystko, dziś Sejm Czteroletni przestał być przebudzeniem się Lecha ze snu twardego, aby naraz poświęcić wszystko dla ratowania Ojczyzny. Czy zatem Szujski, Bobrzyński, Zakrzewski, Lisicki, Likowski, Bukowski, wreszcie Kalinka, takim anatomicznym rozbiorem a naturalistycznym przedstawieniem, nie zmniejszy w młodzieży miłości dla przeszłości kraju, a nadziei na przyszłość? Na to odpowiedź jedna. Tylko prawda zbawia, tylko prawda, użyteczna: tylko prawda stawia przez oczy rzetelne a nieklamane ideały. Ale zstąpmy do głębi duszy naszej. Czy takiego, co istotnie gorąco Ojczyznę kocha, oziębił widok ze-

psucia? czy go nie podniecał raczej do unikania dzisiaj podobnych błędów?

Jeżeli młody człowiek bierze taką zdrową książkę do ręki, a niestety nie każdy ją bierze, z uczuciem krytycznym i lekceważącym, to ten już stracony, może przejść do pozytywistów szkoły; dzisiejsza historyczna, ani go zgorszy ani go nauczy. Przeciwnie, doświadczenie uczy, że w tych właśnie goręcej ogień najsilniejszy, który zbadali albo badają źródła, zestawiają z onych wnioski, wskazują błędy i środki ratunku. wskazują nie napróżno, bo trzeba być wielkim pesymistą, aby nie widzieć, żeśmy wiele zapomnieli, a nauczyli się wiele. To zawdzięczamy naszym historykom, to zawdzięczamy naszemu autorowi. którego dzieło dla umysłów rozważnych jest ciągłym kursem prawa publicznego i to jest tak dalece prawdą, że Aleksander Rembowski znakomitą swoją o dziele X. Kalinki pracę rozpoczyna w pierwszym artykule od publicystycznych badań, które zdradzają w nim jeżeli nie historycznego krytyka, to pierwszego albo jedynego u nas znawcę prawa publicznego i jego literatury.

Przechodzę pospiesznie i traktat odporno-zaczepny z Prusami i rokowania dworu berlińskiego z Turcyą, i w chwili dla Austrii trudnej lekceważone propozycje Kaunitza, — a kiedy nie umieliśmy z nich korzystać, Reichenbachskie układy, które zbliżając dwa rozbiorowe mocarstwa, osłabiały dla polskiej polityki nadzieję rozbudzenia i utrzymania ich antagonizmu. Wojna z Austryą, nadzieja odzyskania Galicyi, stawały się coraz mniej prawdopodobne, a zostawała kość niezgody pomiędzy Sejmem, a Prusami, której przedmiotem był Gdańsk i Toruń. Czemu mocarstwa morskie, czemu Anglia obstawała tak mocno za odstąpieniem Gdańska, a pod tym warunkiem poręczała byt Rzeczypospolitej? Mimo wywodów X. Kalinki, nie rozumiem, a tłómaczę sobie usposobieniem tak ludzi indywidualnych, jak państw do robienia ustępstw dla silnych i rozumnych, a do opuszczania niedołącznych. To usposobienie panuje u wszystkich agentów dy-

plomatycznych, bawiących podówczas w Warszawie. wyjąwszy szwedzkiego, a pierwsi politycy Sejmu, opanowani przez Luchésiniego, nie umieli ani jednego dyplomatycznego agenta zjednać, bo de pesze p. de Caché, pamiętniki Essena, a postępowanie poryweze tak serdecznie przyjmowanego w społeczeństwie polskiem Hailesa, dowodzą, jak mało oglądano się na siłę Sejmu a narodu interes.

Ja mam to poczucie, że nieudolność Sejmu, chwiejność obrad, wątpliwość charakterów, obniżała szacunek dla posłów, a interes dla narodu. A więc zawarty traktat zaczepno-odporny z Prusami, z poświęceniem najważniejszych handlowych interesów, a z umówioną liczbą wojska nawzajem poręczonego. Cóż. kiedy tego wojska nie było, kiedy to, które było, bez organizacyi, niezdatne do boju, do rękojmi w wojnie potrzebnej; aliant tymczasem tajemnie zmienia politykę, zwalnia Rzeczpospolitą z zawarowanej pomocy, z niemają uciechą sejmujących stanów, że tak łatwo zobowiązaniom traktatu zadość uczynili kosztem powagi, a niemal państwowego honoru. Zawód swój Prusy wetowały poniekąd dyplomatycznie w Reichenbachu, ale pragnęły go wetować i materialnie, zażądawszy Torunia i Gdańska. Sejm powolny królowi pruskiemu, dopóki mu obiecywał Galicyę, stanął oporem, kiedy zażądał Gdańska i Torunia, a uchwałą o nierozdzielność krajów Rzeczypospolitej z dnia 6-go września, sam zawiązując sobie ręce, rozwiął ostatnie Prus nadzieje. Surowo i poważnie krytykuje autor tę uchwałę, wychodząc z politycznej zasady, że kiedy odtrącało się ustawnie Rosyę, puszczało mimo nadspodziewane propozycye Austryi, należało zdobyć ofiarą miast bałtyckich jedyne już podówczas możebnego sprzymierzeńca.

Co do mnie, to nie umiem rady dawać wówczas, kiedy przez dobrowolne zaślepienie, słabość lub egoizm, naród albo człowiek postawił się w stanowisku bez wyjścia; dopuszczając tego nie należy, a jeżeli się wpadło, przebojem zeń wychodzić. Ustąpienie Gdańska i Torunia nie byłoby uspokoiło żądzy króla pruskiego, kiedy sam autor przyznaje, że przytem

byłby żądał niektórych powiatów, a wiadomo, że proponował dobrze wprzód Katarzynie nowy rozbiór Rzeczypospolitej pod warunkiem, że zabierze dzielącą go od Szląska Wielkopolskę, którą propozycyę carowa odrzuciła.

Sromotnem było uznanie przez Sejm pierwszego rozbioru. Ale dobrowolne zrzeczenie się Gdańska i Torunia, musiało i powinno być tak wstrętne Sejmowi, który Ojczyznę miał wskrzeszać, który o Galicyi myślał, że dziwić się nie mogą tym, co za uchwałą 6 go września wotowali i usprawiedliwić ich muszę. Dla polityki poświęca się interes, nigdy honoru, było coś nieprzyzwoitego w poświęceniu tych miast bez walki, dla interesu, dla obniżenia cła i wobec już podówczas wątpliwej dobrej wiary sojusznika.

Ale nie o to tu idzie. Chcieliśmy jak najtaniej, zadarmo uzyskać pomoc pruską, chciał ją nam Fryderyk Wilhelm jak najdrożej sprzedać albo przyobieczać; tu idzie o nieszczesną illuzyę, że rachowaliśmy zawsze na to, że komuś byt Polski jest potrzebny; że ta illuzya długo bardzo przetrwała epokę rozbiorów i zaledwo srogie lat ostatnich doświadczenia rozwiąć ją zdołały. Niedawno jeszcze temu, rachowano na antagonizm cesarstw północnych, a jednak mimo zupełnie odmiennego położenia, tak, jak temu lat sto, tylko rozsądna sejmujących zgoda, tylko skarb i wojsko, tylko poświęcenie interesu osobistego, a utrzymanie wiary i karności kościelnej, mogły obok niezrównanego usposobienia miast i ludu, Rzeczpospolitą od upadku zachować; tak i dziś już nie byt polityczny, ale reszta narodowej spuścizny, ratować się da nie ezezą affirmacyą i odwoływaniem się do praw, których nikt nie szanuje, a siłą bronić należy, ale politycznem łączeniem z interesem państwa, w którym znajdujemy schronienie, i monarchy, w którego sereu znajdujemy opiekę.

W takim nawet ustroju obszerne do patriotycznego działania pole. Administracya i sądownictwo w rękę i z językiem polskim, szkoły pod zarządem kraju, sprawy ekonomiczne autonomicznie prowadzone, a mimo to rozstrój i roz-

luźnienie mechanizmu rządowego, które najfatalniej wpływają na zdrowie ludności.

Dopóki szkoły bezwyznaniowe nie zobojętnią wiary, dopóty posiadamy zasób sił moralnych i duchownych niezrównany. Ale zasady takie zbawienne dla pojedynczych, ratują społeczeństwo, jeżeli wplecione, że tak powiem, w instytucye. Były żywotne siły w dawnej Polsce, a uratować jej nie mogły; nie uratują i nas, jeżeli nie odżyje urok prawa i urok władzy. Na to dwa muszą połączyć się czynniki: działalność tak zwanych politycznych instytucyj i działanie Sejmu. Pierwsze poniekąd od nas nie zależy, drugie, mojem zdaniem, osłabło w skutek obecnego ugrupowania się stronnictw. odnoszących się więcej do osób, jak do zasad, tak dalece, że jeżeli nie znajdzie się albo człowiek, albo grono, które choćby nie owładnęło kierunkiem, stało się balastem, to sesye jałowe powtarzać się będą z uszczerbkiem dla godności Sejmu.

Zaprawdę, zadaleko odszedłem od przedmiotu; ale czemuż jest historia, jeżeli nie nauką na dzisiaj? Szczęśliwy historyk, który do takich zwrotów prowadzi, choć nie odpowiada za to, jeżeli sprawozdawca zbyt daleko dał unieść się uczuciem.

Nie pomogą tu skargi i expektoracye, jak te, za które część wyborców lwowskich oklaskiwała swego posła w ratusznej sali, bo nie idzie o zdobywanie nowych swobód, ale o zużytkowanie posiadanych; bo cały ten wywód narzekań na Rząd i Koło, aż nadto przypominał niektóre Sejmu wielkiego mowy, wypowiedziane *ut aliquid dixisse videatur*.

W drugiej drugiego tomu części, skończywszy z polityką zewnętrzną, powraca X. Kalinka do działania Sejmu, którego pisze historję, przystępuje z widocznym znużeniem ducha. Nie może być inaczej: przedmiot koniecznie oddziaływa na pisarza, i jeżeli w chwili rozbudzenia nadziei na początku Sejmu podniesionym odzywa się animuszem, to

¹⁾ Pisane w r. 1880.

znowu zobaczymy w miarę, jak zbliżamy się do sprawy Konstytucyi 3-go maja, że ożywia się dyskusya, rozgrzewa uczucie i czytelnika i autora zapala.

Co dziwnego, że historyk polityczny z żalem przechodzi sprawy skarbowe, rewizye donatyw, zamian, które tyle zmarnowały czasu, a wykryły nieporadność i nierzetelność naszą; komisya koekwaeryjna nie pracuje, urzędy metrykantów, i pisarskie materyałów nie dostarczają, Wielkopolska protestuje, jedne tylko województwa ruskie, czy dlatego, że przez możnych zamieszkane, czy dlatego, że bliższe grozi im niebezpieczeństwo, gotowe do ofiar większych, aniżeli Sejm żądał. Wielkopolska szukając zaopatrzenia skarbu bez własnej ofiary, podnosi wstrętą sprawę donatyw z roku 1775. Obszernie omawia ją autor; słusznie piętnuje tych, co w chwili, kiedy Ojczyzna traciła godność, własność i niezawistość, własną na ogromną skalę mnożyli fortunę; ale uznaje, że posiadali, jeżeli nie moralnie, to prawnie, i że Sejm nie miał prawa cofać dawniejszych konstytucyj. Potem wywodzi, zdawałoby się, że bezwzględnie, potępia i ducha i formę ściąganych przymusowych ofiar, kiedy zwrotem, o który rozprawić się muszę, szuka w poczuciu sprawiedliwości serca ludzkiego wytłómaczenia kompromisu, jaki opinia oburzona robi pomiędzy własnością prawnie, choć niemoralnie nabytą, a zanegowaniem prawa zapewne w imię cnoty, ale nie bez pewnej przymieszki zawiści. Ja takiego kompromisu nie uznaję — albo donataryusze z r. 1775 posiadali prawnie, albo nie. Mimo wszelkich wykrętów, na jakie tylko duch starej palestry mógł się zdobyć, posiadali prawnie, i najzaśniejsze Sejmu głosy tak się oświadczały. Jeżeli prawnie cały wielkopolski wniosek był równie niepolityczny, jak niesprawiedliwy, i psychologiczne wywody autora uniewinnić go nie potrafią — tembardziej, że sam czuje, jak teoria omnipotencyi Sejmu coraz bardziej się utwierdzała.

Nie inna też teoria i nie inne, jak interesowane o własną kieszeń poczucie, wywołało wkroczenie Sejmu w majątkowe sprawy Kościoła łacińskiego, których obrót względnie szcze-

śliwy, mimo objawiających się już sekeiarskich zamysłów, zawładnięty kraj Małachowskiemu.

Inaczej rzecz z Unitami. Stare przesady, uprzedzenia, zwłaszcza jeżeli dogadzające osobistej próżności, są tak silne, że ani rozum, ani słusność, ani interes kraju przemódc ich nie potrafią; — ani stara biskupów unickich krzywda, ani ogniem i mieczem wskazany interes, ani napomnienia Papieża, nie przywiodły biskupów łacińskich do rozumu. Jeszcze w ostatniej chwili bronią wrzekomego przywileju i samego tylko metropolitę wpuszczają do senatu na ostatnie po sobie miejsce. Zawsze wszystko zapóźno. Niema co powtarzać wymownych słów, kiedy dawno uznane prawdy. Niech się na to Rusini żalą, niech oplakują wspólnie z nami i bratnie zaśłepienie i zaniedbanie parafialnego kleru; ale niechaj nie mówią i nie piszą kłamliwie o prześladowaniu, o przeciąganiu szlachty na obrządek łaciński, o językowych krzywdach, kiedy statut litewski był zredagowany po rusku, kiedy wielkopańskie archiwa pełne ruskich dokumentów; kiedy nikogo, jak dziś pod zaborem rosyjskim, nie pozbawiano języka. Rzecz prosta, cywilizacya zachodnia, którą Polska niosła na wschód, wyższością swoją wypierała zwłaszcza w warstwach przewodnich obrządek i język. Zjawisko tak naturalne, że nie tylko celtycki język, ale prowansalski dyalekt we Francyi obumiera. Jeżeli były nadużycia, a tego się nie przeczy, to na owych bezmiernych, a pustych przestrzeniach od Zbrucza do Dniepru, gdzie sporadycznie magnaci małopolscy zajmowali całe powiaty, posługując się podstarościami. Regimentu ich nie znała Ruś Czerwona, w rzeczy, jak we formie z Koroną połączona. Jeżeli prawdę głoszą Moskwy i Petersburga publicyści, to może naodwrot wsechodnia cywilizacya zacznie swój pochód ku zachodowi. Nowe europejskie pogaiństwo zapanuje we Francyi, a wówczas siła, którą daje element duchowy, chociaż jak w szycie niekompletny, skruszy albo w grubym materyalizmie, albo w państwowym mechanizmie zagrzęzłe narody. Sejm, który tak świetnie budził nadzieje, który rozbudził najszlachetniejsze kraju aspiracye, po

dwóch blisko latach nie nie zrobił. Znosząc Radę Nieustającą, ograniczając władzę króla, oddając wojsko, sprawy zagraniczne, skarbowość komisjom sejmowym, skoncentrował rząd w Sejmie. Tymczasem Sejm trwaniem przekraczał prawne swoje istnienie i budził tak w kraju, jak pomiędzy posłami prawno-polityczne skrupuły, co do legalności jego prawodawczej władzy.

Już w pierwszym przed kilku laty rozbiore tomu I, wskazałem na podwójny prąd anarchiczny, którego ciało Rzeczypospolitej wytrzymać nie mogło: jeden rodzimy, drugi płynący z nowej nauki, którą wynaleźli „Francuzi wymowni.“ Nigdy może nie objawiła się ta podwójna akcja wybitniej a niebezpieczniej, jak w niekończącej się o prorogacyi Sejmu dyskusyi, w której o lepsze walczyli polscy legaliści i kontraktu społecznego uczniowie. Zwyciężył prosty Wawrzeckiego rozsądek, bo chociaż nie jego wniosek przeszedł przez turnus, to jednak ostatecznie jego mowa przeważała głosy na rzecz prorogacyi, to jest na utrzymanie Sejmu w obecnym składzie, pod tymi samymi marszałkami, w związku z konfederacyami.

Sejm limitowany, posłowie udają się na spoczynek i autor korzysta z tej chwili, aby nie wiem czy odrysować, czy wyrzeźbić postacie ludzi, którzy najwięcej wpływali na opinię i obrót spraw publicznych w kraju.

Pierwszy ani krajowy, ani umiający po polsku, ani był kiedy w kraju, jak Decyusz albo Prostoryusz, ale wpływ jego jak wywołał przewrót we Francyi, tak tembardziej działał u nas, że fantazyja polska na tle starożytności klasycznej wyrobiła ustrój polityczny, z którym schodziły się sofizmata Roussa tak dalece, że polscy anarchiści do nich odwoływać się mogli.

Wpływ Roussa, jak wszystko podówczas w Polsce, szerzył się przez kobiety, a jak wysoko był ceniony, może każdy przekonać się, oglądając w pałacu Lubomirskich precyzyjnej roboty szafkę, w bronz oprawną, z wyborną miniaturą Jana Jakóba, w której księżna Marszałkowa dzieła jego

przechowywała. — Manki zaniedbano, wielkie paucie karmiły same, a były takie, które katechizmu nie uczyły wcale. aby synowie mogli sami sobie wiarę obierać.

Nie wiem, czy kiedy kto gruntowniej przedstawił naukę moralną Roussa i płynące z niej socyalne i polityczne błędy, jak X. Kalinka, od str. 350 do 353, na której wskazawszy, na czem schodziła się nasza polska anarchia z nową francuską rewolucją, bada w czem się różniła. Oto w tem, że jeżeli Rousseau przyznaje obywatelowi prawa, to wkłada także na niego ciężkie obowiązki. Polski obywatel, *vulgo* szlachcic, arrogował sobie prawa, obowiązków ani uznawał, ani chciał praktykować. Jeżeli kontrakt społeczny bałamucił umysły, a moralność Roussa rozluźniła sumienia, to daleko gorszy wpływ wywołała na Polskę jego rozprawa „O rządzie polskim,“ który ideałistycznie tak przypadł do smaku, że nie mógł dość zalecać utrzymania tychsamych instytucyj w praktyce, które wymarzył w teorii.

Niezrównanie wykazawszy fałsz teorii Roussa, autor nie postawił prawdziwych prawa publicznego zasad. Prawda nie pisze traktatu politycznego, ale tu należało wskazać prawdziwy społeczeństwa początek i ustrój, aby czytelnika nie zostawić bez podstawy.

Spoczęństwo nie rozpoczyna się od kontraktu. Jakiż więc jego początek? Gdyby Rousseau wskutek chorobliwej niechęci do stosunków obecnych, zamiast szukać w wyobraźni ich początków, był szukał w historii i naturze człowieka, byłby nie popełnił błędu, który tyle wywoływał nieszczęść i zbrodni. W naturze, boć ta uczy, że człowiek pojedynczo żyć nie może, bo kiedy zwierzę instynktem wiedzione, samo sobie wystarczy, on koniecznie potrzebuje pomocy, która pierwszym jest społecznem ogniwem; byłby wiedział, że człowiek dziki (choć nie dopuszcza tej nazwy prof. Czerny), choćby miał zalety, których niestety nie posiada, nie jest człowiekiem pierwotnym, ale człowiekiem upadłym, jakto wskazuje ciemna jego, ale duchowna tradycya, jakto wskazują moralne uczucia, będące tylko reminiscencyą objawionej

prawdy. „Człowiek, który myśli, to zwierzę zepsute.“ Wyspiarze Oceanu Spokojnego niewiele myślą i dlatego wódka jest ich ideałem, a męczarnie zadane albo wycierpiane — bohaterstwem. Jeżeli więc samo przyjdzie na świat człowieka i jego wychowanie w niemowlęctwie, koniecznie i nieubłagane wymaga społecznego instynktu i bytu, to z faktu urodzenia i wychowania wypływa zaród hierarchii społecznej, którą też historia, owe drugie kryterium prawdy, zatwierdza. Rousseau chce, aby ludzie pierwotni nie skazili myśleniem swego człowieczeństwa, a zawierali kontrakt społeczny. Trzeba zrozumienia, jakie mu właściwe, a pogardy, jaką miał do współczesnych, aby obok bardzo skomplikowanych warunków, tego kontraktu taki postulat postawić. Natura człowieka pokazuje jego niemożebność, historia wskazuje inny początek.

Dwa są fakta, które natura wskazuje: 1^o Że sam żyć nie może i nigdy go też nie widziano w samotności, bo nawet pomyśleć nie można człowieka w innym, jak społecznym stanie! 2^o Że przychodzi na świat nierównym, nietylko względem rodziców, ale nawet względem drugich.

Ztąd początek ustroju hierarchicznego, na który też od wieków historia wskazuje. Nie pokaże Rousseau ani jednego przykładu kontraktu, my znajdujemy patryarchalizm, wykształcony doskonale blisko źródeł tradycyi, a utrzymujący się tam nawet, gdzie i czas i miejsce od tego źródła oddala.

Konieczność społeczności dla człowieka, łącznie z podwójnym faktem stosunku rodzinnego i nierówności co do sił fizycznych i moralnych, są przymusowym a nie dowolnym początkiem społeczeństwa; z niej wywiązują się tysiączne stosunki, wiążące ludzkość za pośrednictwem prawa moralnego. Onoto zawiązuje i umożliwia społeczne stosunki, a nie społeczeństwo dopiero wyrabia prawo. I tu jest główny pomiędzy prawdą i błędem rozdział: albo prawo objawione, na podstawie którego wykształcają się rodzina, pokolenie, naród; albo prawo będące postulatem rozumu, to jest powstające z woli społeczeństwa, z woli łącznej tych ludzi, którzy

jak o myślący są upadłymi zwierzętami, i których większa liczba, to jest siła, o prawie rozstrzyga. Jest coś bardzo ciekawego, w powstaniu i przyjęciu tej fałszywej teorii.

Natura ludzka nie dopuszcza, historia przeczy, zasada wisi w powietrzu, jest prostem, sofistycznym przypuszczeniem, a mimo to pociąga krocie, obalamuea głowy, wywołuje poświęcenia, wkracza w konstytucyjną praktykę narodów; dlaczego? bo przypadła w chwili, kiedy stosunek patryarchalny doszedł do największego zepsucia, a równocześnie pycha ludzka najbardziej wygórowana. *Eritis sicut Dii*. I w rzeczy samej pochlebia to człowiekowi, aby był twórcą prawa, równym każdemu, częścią składową państwowego majestatu.

Nie umowa zatem łączy człowieka w związek społeczny, ale naturalny wpływ nierówności wieku, płci, siły, rozumu, dobroczynnej opieki z jednej strony, dobrowolnego poddania z drugiej; słowem, organizm prawem miłości umiarkowany, któreto prawo objawione tak dalece ludzkiej odpowiada naturze, że zwyczaj i nauka prawem natury je zowią. Cała ludzkość, dzieląca się etnograficznie na języki i narody, jest takim rozrośniętym i udoskonalonym organizmem, w przeciwieństwie do teorii atomistycznej, która obmyśliła początek ludzkości niemożliwy, z historią sprzeczny, w praktyce na siłę, bo na liczebnej większości oparty. Już dawno wielki powiedział Pascal: „większości rządzą, nie żeby miały prawdę, ale że mają siłę za sobą.“ Jesteśmy więc tutaj pod rządem siły zmiennej, namiętnej, bezwzględnej, jak tego właśnie dziś mamy jaskrawe przykłady. Nie tu miejsce wskazywać, jak z tych początków hierarchiczno-organiczných wykształcają się potężne narodowe konglomeraty, skomplikowane w miarę rozwoju ludzkości, którym przez abstrakcyjną naukową dają miano państwa, a które odrzucam, bo utworzono z niego wszechmocnego bałwana, istotnego Lewiathana Hobbesa, który arroguje sobie, a któremu przyznają początkowanie prawa moralnego, stłumienie pojedynka, przywrócenie do szarej jednostajności tego, co Bóg wolnem, barwnem i rozmaitem stworzył. W dalsze szczegóły w pracy tak zwią-

złej zapuszczać się nie mogę, ale nie mogę pominąć zwrotu. jaki, choć zwolna, następuje w przekonaniach i nauce.

Nauka prawa publicznego, jak każda inna, ma filozoficzną i objawiającą się w praktyce stronę. Wykazać, jak skutek początku i natury człowieka, nie tylko rozwijała się rodzina, pokolenie, naród, ludzkość, ale jak wykształcały się konstytucje polityczne, nigdy *à priori*, ale zawsze *a posteriori* było rzeczą myślicieli, jak de Maistra, Hallera. Z raz przyjętej zasady rozwijały się wszystkie stosunki aż do drobnych szczegółów, a wszystkie dowodziły, że nie ma sakramentalnej dla ludzkości formy rządu, że wszędzie musiała się stosować do elementów składowych; że konstytucje, karty, przywileje, orzekają i uznają prawa i stosunki, ale nigdy ich nie tworzą.

Inną drogą poszedł Le Play. Prawo miłości objawione, nie było mu znane. On nie badał stosunków politycznych, tylko społeczne. Cóż, kiedy wszystko się wiąże wobec umysłu spostrzegawczego, jeżeli jest dobra, jak u niego wiara. Badając stosunki robotników na obudwóch półkuliach, bo o to mu chodziło, od szczegółów podniósł się do ogólnej zasady i znalazł w prawie objawionem, którego nie znał, boskiego początku klucz, który otworzył mu tajniki publicznego i moralnego prawa; w uszanowaniu wolności pojedyńka, uszanowanie prawa rozrządzenia swym majątkiem i uszanowanie hierarchii rodzinnej. Dziwny zbieg naukowej pracy i genialnych poglądów. możnaby powiedzieć: *Justitia et pax osculatae sunt.*

Nie wystarczyło zatem powiedzieć i dowieść, że atomizm Roussa był błędem, ale należało wskazać: że władza nie powstaje nigdy przez wybór i wolę, ale wykształca się zawsze wedle praw boskich, hierarchicznej naturze ludzkiej odpowiednich; że, mówi się słusznie, że władza pochodzi od Boga nie w ten sposób, aby Opatrzność wybierała poszczególne człowieka albo rodzinę do panowania, ale dlatego, że ten człowiek, albo ta rodzina, przyszedł do władzy, albo zdobył ją w e d l e praw, które Bóg naturze ludzkiej nadał; że

konstytucye wyrabiają się faktycznie, historycznie, i że je dopiero orzeczenie prawne stwierdza; że konstytucya Polski będąc przez samowolę, jaką dała pojedynczemu, przez zaprzeczenie idei władzy, przez rozbrat, jaki zachodził między teorią równości szlacheckiej a przewagą nie arystokracji, ale panów, zaprzeczeniem wszystkich praw ludzkich, musiała koniecznie doprowadzić klasę panującą do egoizmu, anarchii, a kraj do upadku.

Czy długim wywodem wyjaśniłem stronę kwestyi, którą Autor zaniedbał — nie wiem. Może on czytelnika znużył, ale z pewnością za krótki, aby te najważniejsze prawa publicznego zagadki rozwiązać.

Przechodzić rozbioru dzieł Staszica z autorem nie będę; po Koźmianie, Szujskim, Kalince, trudno co powiedzieć. Znałem go osobiście, a bardzo młody, bodaj nie codziennie widywałem. Czy był synem mieszczanina z Piły, czy kto inny był jego ojcem, dotąd podobno niewiadomo. Ja znałem ministra stanu, zaciętego nieprzyjaciela księcia Lubeckiego, który sytemu lat i chwały, odebrał zarząd górnictwa krajowego. Namiętny, w dyskusyi gotów był do swaru z najponfalszymi przyjaciółmi. Gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk był właśnie ukończony, Hrubieszów wedle jego ideału urządzony. — Jakieś fatum zawisło nad temi fundacyami.

Gdyby X. Kalinka nie był napisał nic, jak tylko wizerunek Kołłątaja, sąd o jego charakterze i działaniu, dawałby mu już prawo uznania pierwszorzędnego pisarskiego talentu. Świadek, nie jego zawodu, ale sądów najznakomitszych współczesnych, muszę potwierdzić na zasadzie i pism jego i Śniadeckiego rozprawy, i znanej broszury Linowskiego, sąd, jaki autor wydał. Czy Kołłątaj resztę funduszów powstania, które na granicy austryackiej stracił, chciał sobie przywłaszczyć albo nie, dla mnie obojętna; ja Kołłątaja potępić muszę jako tego, który powstanie czysto-narodowe zboczył krwią, a zabarwił francuskiego jakobinizmu nauką — który pośrednio przykuwając naczelnika do stolicy, stał się powodem Maciejowickiej klęski i zbyt wczesnego upadku powstania.

Taka kolej ludzi choćby najgenialniejszych, bez stałych zasad. Że Kołłątaj nie miał żadnych, tego całe życie jego, począwszy od walki z biskupem, dowodem; pomijając brak zasad duchownych, pytam, gdzie ślad politycznych? Umysł trzeźwy uznawał fałsz teoryi i ustroju polskiej konstytucyi; oportunistą pragnął zmian nawet bardzo korzystnych i wyłożył je w listach do Małachowskiego i w redakcyi Konstytucyi 3-go maja, do której pewnie rękę przyłożył; kiedy jednak runął gmach z taką pracą postawiony, wątpi o prawdzie, to uwielbia siłę, robiąc akces do Targowicy; to przerzuca się w przeciwną ostateczność, szczepiąc na czystym polskim gruncie jakobińskiego terroryzmu grozę. Już dawno opuścił dobrodziejstwa swego prymasa, sam silnej i zdrowej głowy, rozumną politykę prymasowską głośno potępia. Wohec zdrady pruskiej a przewagi rosyjskiej, co miały znaczyć exekucye warszawskie, czy zgalwanizować garstkę i tak gorących patriotów, czy dogodzić osobistej nienawiści i zemście politycznej albo osobistej? — Taki bywa, powtarzam, los ludzi bez zasad, co jak ów rzymski prokonsul, powiedzieli sobie: *Quid est veritas.*

Sekretarzował podówczas w klubie Jasińskiego Kala-santy Szaniawski i nie był najmniej gorliwym; zwątpił Kołłątaj o porządku monarchicznym, zwątpił Szaniawski o demokratycznym, i widzimy go potem, choć mam najmocniejsze przekonanie, że w dobrej wierze, absolutystą w teoryi, a zbyt gorliwym zwolennikiem władzy w praktyce. — Nie on jeden — Zajączek, rębacz Branickiego, zwolennik Kołłątaja biskupa Skarszewskiego na rusztowanie ciągnie, a w lat dwadzieścia dzierży obok jego duchownej, polityczną władzę. Zestawia, i trafnie, autor Kołłątaja ze Staszicem. Że autor poematu „O człowieku“ nie miał zasad, że był utopistą, to wiadomo, ale nie miał egoizmu, gorąco kochał sprawę publiczną, odmawiał sobie wszystkiego, aby kraj wzbogacić. Raczej możnaby Kołłątaja z Lelewelem zostawić, ale i tu jeżeli Lelewel stanął politycznie nieskończenie niżej, to o wiele wyżej moralnie. Co mnie najbardziej dziwi, to przesąd, który nie wiezieć jak

wkorzenił się tak silnie w niektóre głowy, a może bardziej serca, że terroryzm jest koniecznym warunkiem wszelkiej narodowej akcyi. Wiadomo, że egzekucye warszawskie spowodowały Maciejowicką klęskę, że dzień 15-go sierpnia był dniem ostatnim, zapewne niewczesnego, nieobrachowanego, ale najwspanialszego powstania; że wspomnienie tajnych sądów r. 1863 oburza każde uczciwe serce; że one wstrzymały źródła ofiarności; a mimo to nie spotykamy się z uznaniem winy, która choć dziełem kilku, cięży brzemieniem nad całym narodem.

Pokolenie obecne, z natury rzeczy dbałe o rezultat ostateczny, mniej ciekawe osobistości, które w owych czasach głównymi spraw publicznych były czynnikami, — ale dla tych, jak piszący, co współczesnych znali, co dzielili ich nadzieje, zawody, namiętności, wizerunek, jak Seweryna Rzewuskiego, rozbiór, jak pism Anonima, porywa i zaciekawia. Rzewuski. ezłek wielkiej uczciwości, który ani jurgeltu, ani faworu, od dworu rosyjskiego nie odebrał, a przyrzeczeniom Katarzyny wierzył; jako Targowiczaniu, smutną pamięć po sobie zostawił; ale kto przeczytał Kalinkę, kto wspomniął na enotliwą młodość a starość zgryźliwą, która jednak pogardziła dworu rosyjskiego ofiarani, może tylko ubolewać, że fanatyzm sukcesyjny obałamucił do tyła rozum niepospolity i zacne serce, że dzieci jego i wnuki ciężko znosiły, obok znakomitego po przodkach imienia, sądy surowe a nie zawsze sprawiedliwe.

Rozbiór pism *Anonima* nie dopuszcza streszczenia, a nie potrzebuje pochwały.

Kto był tym Anonimem? — Ja nie wątpię, że książe Prymas. On jeden mógł widzieć takie prawdy, i choć anonim, miał odwagę, aby je wypowiedzieć. Popamiętano je w chwili odwetu. a wiadomo, że tylko śmierć dobro- czy mimowolna, zasłoniła go od rusztowania, a kraj od jednej jeszcze zbrodni.

X. Kalinka zapoznawszy nas z tak głównymi czynnikami w dziele reformy, prowadzi dalej opowiadanie.

Na stole Izby zebranej po limicie Śto-Jańskiejskiej, złożono tak długo oczekiwany projekt deputacyi sejmowej o formie

rządu. Warto się zastanowić, że w polityce, w urzędzeniu stosunków społecznych, zawsze zdrowsza praktyka idzie naprzekór rozumnej wrzekomo teoryi. Stosunki społeczne są w ogóle dane; wypływają z natury ludzkiej, a wykształcają się stosownie do elementów składowych, wpływów moralnych, wypadków historycznych, nawet po części geograficznego i etnograficznego położenia. W miarę, jak się kształcą i przychodzą do politycznego ustroju, wiąże się z niemi tradycya, a prawodawca opisuje je w przywileju, kartach, umowach, i tak wyrabia się istotna, żywotna konstytucya narodu, i prawo publiczne, będące owocem często walk długich, dopóki siły społeczne przychodzą do równowagi, nie zapewniają porządku i wolności. Takie konstytucye trwają, zapewniają szczęście narodów, dopóki fałszywa teorya w nich nie zapanuje i w miejscu równowagi rzetelnej, naturalnej, nie zapragną ludzie obalamuceni co do swego początku i przyrodzenia, wymarzonych rękojmi, które ubezwładniają władzę, a pod pozorem swobody poddają pod przewagę większości, to jest siły.

Z tej drogi zeszła Polska od Henrykowskiej elekcji, a zapewne nie bez winy Jana Zamoyskiego: chciała żyć, zadając gwałt kardynalnym prawom życia narodów. — Kiedy na wielkim Sejmie czując pośród niebezpieczeństw potrzebę poprawy, wyznacza deputacyę do naprawy formy rządu, cóż jej ta deputacya przynosi? — ogromny operat, w którym zeszły się wszystkie błędy, trwogi i uprzedzenia dawnej konstytucji Polski i wszystkie fałsze nowej filozoficznej doktryny. Jak wytłómaczyć sobie Ignacego Potockiego, autora projektu? Pragnie szczerze, dał tego dowody, sukcesji tronu; uznaje, że tylko silny monarcha może rozrzucone części Polski utrzymać w karności i dlatego pragnie Hohenzollerna na tronie, a oddaje władzę rozczłonkowaną do ostateczności Sejmowi, zostawując królowi upokarzający tytuł, uprzedzając tak o pół wieku sławny francuski frazes: *Le roi régne et ne gouverne pas*. Dyskusya projektu wykazała nieskończoną

wyższość polityczną, nawet bezinteresowność króla, a dała powód do uwagi autora, którą w całości powtarzam, bo zło-temi należy ją wyryć literami:

„Władza, której się odmawia swojemu rządowi, nie przechodzi w inne ręce, najmniej w ręce Sejmu; on ginie, tworzy próżnię, która pochłania społeczeństwo.“ — Dyskusya ta wyprowadziła jeszcze na jaw jednego z tych ludzi za-onych, o których historya zapomina a którym należy się wdzięczność narodowa. — X. Kalinka umie ich ocenić i wyprowadzić na scenę. Pius Kiciński, chociaż sekretarz królewski, z postów najniezależniejszy, kiedy Seweryn Potocki przy roz-biorze atrybucyj królewskich wystąpił z mową obraźliwą dla króla, pod pozorem obrony praw Sejmu, tylko dla wpływu możnych obrachowaną, odpowiedział mu z wymowną śmia-łością i mądrością polityczną, jakich w Sejmie Czteroletnim trudno szukać przykładów. Kiciński posiadał zupełne zaufa-nie Stanisława Augusta; przyjdzie może kiedyś monografi-scie króla rozpatrzeć się w tych licznych biletach, do zaufa-nego pisanych sekretarza, które kilka razy na dzień wysy-łane, wyjaśniają wiele zagadek, wpływów, a które dowiodą, jak Kiciński polityczną swoją niezawisłość chował, a jak król oceniać i szanować ją umiał. — Po rozbiorach trudnił się interesami księżnej Marszałkowej, a politycznie choć czę-ściowo odradzająca się Polska, z pociechą i pożytkiem wi-działa w Senacie tego prawego, śmiałego i czystego syna Ojczyzny; znałem osobiście i zbliżka szanownego wojewodę, który uchwalał i jawnie wyznawał, obok miłości Ojczyzny, gorącą wiarę i przywiązanie do katolickiego Kościoła. Był on ojcem bardzo znanego i ruchliwego publicysty, Brunona Kicińskiego. Pisząc, przypuszczać muszę, że każdy czytał książkę, albo ją czytać będzie, nie mogę więc i nie chcę postępować za rozwlekłą dyskusyą w Sejmie, a przychodzę do ważniejszych rezultatów.

Po uporczywych rozprawach o sukcesyi, o wyborze za życia króla, odwołaniu się do narodu przez uniwersał, które zaciekłych legistów-anarchistów nie mogły do rozumu przy-

prowadzić, przeciał trudności trafnym a niespodziewanym wnioskiem Sapicha: „aby zapytać narodu, który miał i ma wolne prawo obierania królów, czyli jest wolą jego, aby za życia Najj. Pana niebezpieczeństwo bezkrólewia zastąpione zostało wyborem wolnym następcy na tron.“

Tę uchwałę, na którą zapadła zgoda d. 20 września, uważa autor za jedną z najpiękniejszych w dziejach tego Sejmu; dziwi się, że nie dosyć zastanawiali się nad nią historycy nasi i kończy poważnie wyrzeczonem zdaniem: że gdyby na niej przestano, byłoby się uniknęło rozdziału w narodzie; że należało zrozumieć, co możebne a co nie; bo największą sztuką, mądrością ludzi politycznych, uszanować przesady przeciwników, nie drażnić, a tak tego co otrzymano, nie uronić.

Żąda więc autor, aby ludzi, którzy pragnąc rzetelnej, dającej na przyszłość rękojmi, wytworzywszy stronnictwa, zwalczący tyle przesądów, mający tak słusznie w nowem pokoleniu nadzieję, stanęli wpół drogi, z gołosłowną uchwałą, która ledwo była *pium desiderium*, nie na przyszłość nie zaradziwszy. — Nie to było niepodobne; uchwała była piękna, ale w danem położeniu nie pojmuję najwytrawniejszego człowieka stanu, któryby na niej poprzestał. Tutaj usprawiedliwić stronnictwo muszę i zamiast robić mu zarzuty, robię uwagę: do jakiego stopnia może fałszywa zasada, długo praktykowana, obalamucić umysły, kiedy wobec nieszczęść dwuwiekowych kraju, obok obecnej niemocy, upokorzenia i groźby z taką zaciętością broniono przywilejów, o które mógł stać ciemny, zaściankowy szlachcic, bo mu dawały powagę majestatu, ale których nie mogli nie spostrzegać Suchorzewski, Suchodolski itd., boć nie wszyscy oponenci byli adherentami magnatów, jak Hulewicz albo Moszczeński, nie wszyscy Rosyi stronnikami, jak Biskup Inflancki. — Każda fałszywa zasada, która pochlebia miłości własnej, wrasta w serec, i można ją wyrwać faktem, ale nie rozumowaniem. Szlachcic, który się czuł częstką majestatu narodowego, za nie go się pozbyć nie chciał. — Nie inaczej będzie z prawem ogólnego

głosowania, którym Napoleon III obdarzając Francją, zwiastował jej upadek. Doprowadza naród pierwszy w świecie do niemocy, a zapewniano mnie, że chłop francuski za niechy go dobrowolnie odstąpić nie chciał.

Nowa dyskusya, kogoby do tronu zalecić narodowi, kończy się uchwałą, aby Elektora Saskiego uniwersałem polecić, nie wiedząc nawet, czyby przyjął koronę. zwłaszcza obok niechęci Prus a milczenia Rosyi.

Roboty kodyfikacyjne postępowały zwolna, Sejm był prorogowany do lutego, każdy wiedział, że skończone być nie mogły, a niepodobna było zostawić kraju bez rządu. który obecnie koncentrował się w Sejmie; dlatego wniosek o prorogacyę Sejmu przeszedł 7-go października ogromną większością. mimo opozycyi adherentów Szczęsnego Potockiego, który wspólnie z Sewerynem Rzewuskim bawiąc w Wiedniu, przeciwko uchwałom Sejmu protestował. Prorogowano Sejm pod łaską tychsamyh marszałków i związkiem konfederacyi, ale z podwójną liczbą posłów. — Sprawa Ponińskiego, nobilitacye, zajęły czas Sejmu aż do połowy grudnia, bo dnia 16-go połączyli się nowowybrani posłowie z dawnymi. Wybory wypadły nadspodziewanie szczęśliwie, ale zwiększona tak liczbą obradujących do 500, wymagała regulaminu w obradach, jeżeli nie miały trwać nieskończenie i bezskutecznie. Regulamin zawotowany, nieporządkowi i samowoli nie położył końca, bo długie nawyknięcia niełatwo ująć w karby.

Dlatego autor uważa jako niemałą zdobycz, odjęcie prawa wotowania na sejmikach szlachecie bez własności i zmianę prawa z r. 1768, które nakazywało wotowanie ustaw artykułami, zmianę, którą wniósł Sołtyk, a wymową zdobył Kiciński.

Nie to jednak było główną Sejmu w nowym składzie zasługą. Prawo o miastach, które miało wynagrodzić i w znacznej wynagrodziło części, wiekową niesprawiedliwość, która też, jak każda niesprawiedliwość, zemściła się na tych, co ją popełnili, było najpiękniejszą Sejmu uchwałą, a jakby przygotowaniem do dzieła Konstytucyi. — Podnosząc jedną war-

stwę, a nie obniżając drugiej, wspaniale odbija od ówczesnych robót rewolucyi francuskiej: „bo rozumiała, że cel światów, szlachetnienie.“ — Słusznie więc mówi X. Kalinka, niezrównany spostrzegacz i badacz zalet i narowów serca polskiego, że „zrodziła się na dnie polskiej duszy, zrodziła się w jednej z tych rzadkich chwil, w których dane bywa Polakom chwycić z góry rzeczy niecodzienne, nieraz dziwne i niepojęte dla obcych, wzniesić się nad pojęcia ogółu, przeczuć jakoby myśl Bożą, i tę myśl, jakby bezwiednie, to jest bez wyrachowania i kombinacyj, jedną siłą ducha i łaski nieba w życie wprowadzić, a przynajmniej stawić jako program do wykonania na czasy dalsze.“

Na tem kończę ten rozbiór, który mógł znużyć czytelnika, ale dla mnie, co w młodości żyłem wpośród Wielkiego Sejmu tradycyi, ma niezmierny urok.

Spółcześni i potomni winni autorowi wdzięczność, społeczeńsi i potomni powinni korzystać, i to jedyna takiej pracy nagroda. Kto wie, co kosztuje szperać po archiwach, szukać po kraju i za granicą dokumentów, listów, zestawiać różnostronne podania, jak trudno odnaleźć się w tym nawale materyałów i sądów i zdać z tego sprawę jasną, naukę, zdrową, bezwzględnie na uprzedzenia stronnictw, albo rodzin, — ten dopiero oceni, ile sprawa Ojczyzny winna autorowi.

Zapewne tom następny wskaże udział osobisty i przeważny króla w dziele Konstytucyi 3-go maja, a niełatwy do wysłędzenia, bo cała robota była sekretną.

Kraj cały powinien prosić O. Kalinkę, na którego spadł ból tak wielki¹⁾, a może spaść ciężki obowiązek, aby kończył pracę, nie bojąc się powiedzieć, najwytrawniejszą, jaką miłość Ojczyzny w ostatnich czasach natchnęła. *Monumentum aereperennius.*

¹⁾ Śmierć O. Piotra Semenki, generała Zakonu OO. Zmartwychwstańców.

O PAMIĘTNIKACH KSIĘCIA ADAMA CZARTORYSKIEGO.¹⁾

Do księdza Stefana Pawlickiego C. R.

Szanowny O. Stefanie.

Na Twoje żądanie, o Pamiętnikach księcia Adama zaczynam, ale czy skończę? a jeżeli skończę, czy moje poszlę Ci pismo?

Chwalić księcia Adama niepotrzeba; czy wolno go sądzić? czy to zadanie nadto trudnem i niewdzięcznem nie jest?

Jeden z najczystszych, źle mówię, najczystszy z naszych czasów, a może i dawnych, zdaje sprawę z najważniejszej epoki swojego życia i wieku, nie opowiadaniem, ale aktami; przedstawiać się tak albo inaczej, tłómaczyć chęci lub zamiarów nie myśli, winy na innych nie składa, podaje nam to co mówił, pisał, albo w urzędowym charakterze, albo prywatnym, do monarchy wszechwładnego, nieraz wszechpotężnego; w otoczeniu to wrogiem, to uprzedzonym; w stosunku, któremu podobno historya równego nie zna; raz go tylko poeta w dramatycznym ideale przedstawił. Co tam zdawało się tylko poezją, a zdaniem poważnych sędziów hazardowną, to tu widzimy w rzeczywistości.

¹⁾ Drukowane w Przeglądzie Polskim, w Nrze 258, w 1887 r.

Wypadnie mi zatem sądzić ks. Adama i sądzić Aleksandra I. Może to zawiele, spróbuję.

Książę opowiedziawszy w narraeyi przerwanej śmiercią, jeżeli nam daje pociągający młodości, uczuć swych, rodziny i społeczeństwa obraz, to niewiele dla publiczności czytającej daje nowego. — W niezrównanej książce Bronisław Zaleski, zapewne z tegoż czerpiąc źródła, opowiedział, czem był ojciec i dziadowie, opowiedział, czem była jego młodość, a nie wiem, czy jaka starożytna rzeźba z większą prawdą, prostotą i powagą przedstawiła walkę bohaterską przez olbrzymów stoczoną, choć nie zawsze chwali broń, której używali. Wspaniały to wstęp do księgi Kalinki, któryby go się nie wyrzekł. Tęsamą epokę, obraz tychsamyh niemal ludzi, czerpiąc z tychsamyh źródeł, skreślił w sposób więcej anegdotyczny Ludwik Dębicki. Ze się posługiwał Zaleskim, wymówiono mu niesłusznie. Mówiąc o jednych czasach i ludziach, na podstawie jednych źródeł, musiał się z nim spotkać, a że nie potrzebował posługiwać się poprzednikiem, dowiódł w drugim tomie, którego czasów Zaleski nie dotykał, a który właśnie z dwóch najznakomitszy. Gdyby, po tak długiej publicystycznej pracy było potrzeba dowodzić, że Ludwik Dębicki jest pisarzem politycznym, to rozdział II jest tego dowodem. Ale nie o to idzie obecnie. — Wiadomo, jakie dla osoby ks. Adama i jego pamięci mam uszanowanie, ostatnia publikacya jeszcze je potęguje aż do ideału; o to mi idzie, aby w prawdzie politycznej postawić naprzeciw siebie ks. Adama i Aleksandra I na tle wypadków początku naszego wieku, wobec dążności rozumnego, największego miłośnika Ojczyzny, a cara, może marzyciela ale który pięknie i podniosłe marzył.

Powtarzam, historia nie zna podobnego wypadku, i dlatego tak trudno, z dobrą mówiąc wiarą, ocenić, co w tem było prawdziwego, możebnego i politycznego. Pisze się dla tych, którzy Pamiętnik czytali i znają całą tragiczność sytuacji młodego człowieka wielkiego rodu, gorejącego miłością Ojczyzny, dla której tylko co walczył; obdarzonego charakterem przejrzystym jak kryształ, a kiedy szło o wartość

moralną, jak on twardym, rzuconego na dwór najbardziej względem Ojczyzny winny, zepsuty, a przytem nie bez blasku, który geniusz niecnej kobiety, na ten dwór, na ten naród rozlewał.

Może zamało dotąd na to zwrócono uwagi, jakie to dziwne, dziś, niewiadomo, fatalne czy szczęśliwe zdarzenie, aby wygnaniec i zastawnik nie ideału tylko, ale prawdy pełen. spotkał w tej kałuży zepsucia następcę tronu z sercem podniosłem, umysłem marzącym, gotowym do zwrotu na niesprawiedliwej drodze.

Księcia Adama dusza, to nie dusza zwyczajna. Z poświęcenia i posłuszeństwa dla rodziny, zstępuje do Danteskiego piekła bez wieszacza przewodnika, ale ze sumieniem i miłością, i tam u stóp tronu spotyka przyjaciela, który nie tylko podobnie czuje, podobnie o panowaniu enoty w polityce myśli, ale rozbiór Polski potępia, naprawić zbrodnie babki przyrzeka, powiernikiem najskrytszych zamiarów serca go robi.

Tę chwilę uchwycić należy. Ona całą przyszłość księcia Adama opanowywa i tłómaczy lata 1802, 1806, 1813 1828, aż do mianej na sejmie 1830 r. mowy.

Czy ten stosunek był możebny? czy pojęcie Polski w unii personalnej z Rosyą praktyczne? Nie zdając sobie sprawy z tych pytań dość wyraźnie, bo w takich razach obydwie strony zwykle wiele szczegółów zostawiają w cieniu, ks. Adam wystawiał sobie całą Polskę pod królem-carem; Aleksander, Polskę uszczuploną, rządzoną humanitarnie i liberalnie. Był wspólny punkt porozumienia: ułagodzenie liberalnemi instytucjami losu Polaków; wypróbowanie ich możebności dla Rosyi; może nawet więcej chciał dla Polski uczynić, bo nie znał jeszcze rosyjskiej pychy, która ze zdobyczy swoich i dyplomatycznych i wojennych, nie odstąpić nie chciała.

Od lat bardzo dawnych miałem przekonanie, że opinia krajowa była dla Aleksandra I niesprawiedliwą, niemal niewdzięczną. Utarło się Napoleona słowo: „Najprzebieglejszy

z Greków.“ — Choćby tak było, to przebiegłość ta mogła się rozwinąć później; podówczas z pewnością nie było jej u w. księcia, młodego, wychowanego pod grozą powagi babki, a szaleństwa ojca; zamkniętego w sobie, noszącego w tajemnicy aspiracye, które natchnął mu Laharpe, a które rozwinęła szlachetna natura. Dość, że młodzi ludzie, tak różni stanowiskiem, wychowaniem, narodowością, łączą się serdecznie, ani wątpię, szczerze, bo ks. Adam nigdy nieszczerym być nie umiał, a Aleksander nie zmienił, jak inni następcy tronu rabiają, zasad, ale długo i swoje dążności i przyjaźń zachował. — Nie potrafię powiedzieć, czy koło poufne cesarzewicza powiększyło się dopiero za pośrednictwem ks. Adama, w każdym razie musiało pokrywać się rodzajem tajemnicy aż do śmierci Katarzyny; nie patrzył nań i Paweł dobrem okiem, kiedy chcąc zerwać albo przerwać stosunek wyprawił ks. Adama na wrzekomą ambasadę sardyńską.

Jaki był stosunek z innymi członkami tajnego komitetu, nie wiemy; zdaje się, jak późniejsze wskazują wypadki, że polityczny, z księciem był nawskroś serecowy a tak silny, że go późniejsze wypadki, zawody i twardo wypowiedane prawdy zerwać nie mogły.

Występują tutaj najciekawsze psychologiczne objawy i zagadki, występuje i tragiczna fatalność położenia fałszywych, zwłaszcza kiedy spotykają dusze wzniosłe, proste i poświęcone. Zobaczymy dwóch ludzi, wedle mego przekonania, w gruncie prawdziwych, choć w nie jednym stopniu, a których stanowisko dzieli, zwolna oddala, zachowując wiele z początkowych zamiarów chęci i illuzyi. Ztąd w obydwóch duszach rozerwanie, niesmak, niemal rozpacz. Aleksander gotów następstwa i tronu się zrzekać, ks. Adam narzeka na bolesne zawody; mając jedynie na celu dobro swej Ojczyzny, wyrzuca sobie niemal pobyt w Petersburgu, kiedy Aleksander wszystkie części Polski połączywszy w jedno państwo, unią osobistą związał z Rosyą, do czego było potrzeba dobrym albo złym sposobem zmusić Prusy i Austryę, a co trudniejsza, otrzymać zgodę Rosyi. Niebyłoby łatwe, jak niezadługo ks. Adam

sam mógł się przekonać. Onto podniosłością uczuć zbliżony do następcy tronu, przypuścił do jego poufałości przyjaznych sobie Rosyan: Strogonowa, Nowosileowa, Koczubeja, a niezadługo mógł się przekonać, że oni sami, podobnie jak opinia publiczna, nie byliby nigdy zgodzili się na zmniejszenie Rosyi na korzyść Polski. Jeżeli Koczubej, kierując przechodnio sprawami zagranicznymi, twierdził, że Rosya dość wielka nie potrzebuje troszczyć się o Europę, to nie byłby się zgodził na ustępstwo dla Polski. Ci wszyscy młodzi Rosyanie poufni cesarza, nowymi wyobrażeniami czy przepelnieni czy zarżeni członkowie tajnego komitetu, projektowali ulepszenia wewnętrzne, marzyli o europejskim prawnym ustroju, ale byli nawskróś Rosyanami, i rozluźnia się stosunek ich z księciem, w miarę, jak wypadki w Europie groźniej występują. Książę przystępuje do dzieła, tłumaczy sobie uczucia Aleksandra z nadzieją połączenia w jedno rozdartej Ojczyzny pod królem polskim cesarzem Rosyi.

Kiedy Aleksander potępiał politykę Katarzyny, kiedy krzywdy pragnął nagrodzić, czy myślał o połączeniu pod swoim berłem wszystkich części Polski? A jeżeli myślał, co wątplię, jako w. książę, czy myślał o tem, czy uważał za możebne jako cesarz! — Już w początkach panowania książę żali się, że mimo zapewnień, iż uczuć nie zmienił, do dawnych nie wraca zamiarów. Książę jedną tylko i najszlachetniejszą żyje myślą, poświęca jej spokojność, szczęście; ta myśl całe życie towarzyszyć mu będzie, na każdej drodze szuka jej, czy w Wiedniu, czy w Wilnie, czy w sądzie sejmowym; ale niepodobna żądać, aby zarówno zajmowała cesarza wpośród trudności dyplomatycznych, jakie spotykał, opinii czy interesu swojego kraju i fanatyzmu Polaków dla Napoleona.

To jest punkt najtrudniejszy w ocenieniu tych dwóch ludzi, a razem najciekawsza z całych pamiętników nauka. — Czy możebny był ks. Adama plan i zamiar i jakie było jego postępowanie? Szanowny O. Stefanie, bolesne to zadanie obniżyć z praktycznego stanowiska najszlachetniejsze ideały;

ale kiedyś je raz na mnie włożył, muszę je wypełnić i stanowczo odpowiedzieć.

Mojem zdaniem, odbudowanie całej Polski przez Rosyę, połączenie unią personalną, było niemożliwe; mógł w nie wierzyć cesarz chwilowo, przeprowadzić nie mógł, a gdyby był przeprowadził, pytam, na jak długo. Dwudziestoczwemilionowy naród, z cywilizacją na innych rozwiniętą podstawach, ze swoją historyczną przeszłością, z pokusami zachodniego liberalizmu, nie byłby nigdy wytrwał w tym sojuszu. Zerwaliśmy go słabi w r. 1830; co bylibyśmy zrobili mocni? Książę w najlepszej wierze robił sobie illuzję, to był jego jedyny cel; niemal wymówka przed sobą samym, pobytu jego w Petersburgu i u dworu; ustawnym rozmysłem uwierzył weni, ukochał, on jeden go podtrzymywał, a będąc człowiekiem dobrej wiary, szukał, jak urzeczywistnić z korzyścią Rosyi swoje dla Ojczyzny zamiary.

Dziwneto były początkowe Aleksandra rządy. — Obok urzędowych ministrów, załatwiających bieżące sprawy, tajny komitet przyjaciół monarchy, obmyślających ulepszenia wewnętrzne, i przywrócenie po rewolucyjnych wojnach a Napoleońskich gwałtach, równowagi europejskiej i nowego międzynarodowego prawa. — Paweł stracił i tron i życie; Napoleon jednak sprzymierzeńca nie był utracił w Rosyi, dopóki morderstwo na ks. d'Enghien dopełnione, nie oburzyło szlachetnego Aleksandra serca do tyła, że zerwał stosunki z Francją. Tak stanowczy akt międzynarodowy odparł Napoleon zuchwale, a że nadto w rozdziale terytoryalnym Niemiec i Włoch nie uszanował obietnic czynionych Rosyi, cesarz łącznie ze swoją przyboyczną radą powziął myśl potężnej przeciw Napoleonowi koalicji, opartej nie tyle na równowadze potęg europejskich, ile na wprowadzeniu do prawa publicznego zamiast siły, którą jedynie walczyła Francya, zasady słuszności i uszanowania prawa. Miała być krucjata polityczna, na której czele stawała Rosya, bez żadnych osobistych zaborezych celów. Myśl ta trafiła do serca czy wyobraźni Aleksandra, a ks. Adama miała zbliżyć do jego celów.

Pierwszym na tej drodze ks. Adama krokiem było zredagowanie noty, która odczytana na Radzie dnia 5 kwietnia 1804 r., wywołała postanowienie odwołania posła rosyjskiego z Paryża. Nota napisana w przeciągu jednej nocy, nosi cechy pośpiechu i szlachetnego oburzenia; oburzenie to odnosiło się do całego postępowania Napoleona, wyzyskującego przychylną neutralność Rosyi. Nota ta zarazem pobudziła patriotyczne jej uczucia, pragnące czynnej w europejskich sprawach przewagi. Miała się ona objawić naprzód na drodze negocjacji dyplomatycznej, ale odwołując się do najwyższych praw międzynarodowej sprawiedliwości, choć imię Polski starannie było pominięte, pośrednio odnosiła się w swych następnościach i do narodu, na którym właśnie gwałt popełniono.

Tu muszę wejść w szczegóły. Odwołanie wzajemne posłów z Paryża i Petersburga, nie było wypowiedzeniem wojny; prowadzić jej też Rosya obecnie nie chciała: przeciwko zabobreczej polityce Francyi, prowadzonej w imieniu praw człowieka, chciała postawić koalicję ze wszystkich Europy krajów, opartą na prawach międzynarodowych, historycznych, nie wyłączając liberalnych aspiracyj narodów, które sam cesarz Aleksander dzielił. Ugrupowanie nieco idealne rozmaitych potęg Europy, pod kierunkiem Rosyi i Anglii, miało trzymać w szachu rozwielmożnioną Francję, nie narzucając jej ani monarchy, ani instytucyi. — Należało naprzód pozyskać dla tej myśli Anglię i genialnego jej ministra. Nie ufano zupełnie ambasadorowi Woroncow, który miał być pod zbytym wpływem Pitta, i z tak sformułowaną propozycją młody komitet wysłał młodego negocjatora Nowosilcowa. Już książe Adam w zastępstwie kanclerza Woroncowa kierował z wyrażonej woli cesarza sprawami zagranicznymi, z niemałą Rosyan i całej dyplomacyi zazdrością i zgorszeniem. Co za dziwne losu zrządzenie. Najgorętszy Polski patriota, żołnierz z pod Dubienki, walczy z sobą, jak widać z niedokończonego Pamiętnika, czy przyjąć urządowanie tak delikatnej natury; przyjmuje bez stopnia i tytułu; ani na chwilę nie zdradza

żywotnych interesów Rosyi, podejrzany, ciągle wierny swemu monarsze, a upatrujący w tem stanowisku i działaniu sposobność służby dla chwały cesarza i dobra Ojczyzny. Jak wprowadził do gabinetu, tak wysyła do Anglii Nowosilcowa, który kiedyś ma być głównym jego przeciwnikiem i niszczyć dzieła całego życia, uniwersytet wileński i system naukowy na Litwie.

Tom drugi Pamiętników podaje na str. 27 instrukcję daną Nowosilcowowi, z pewnością redakcyi ks. Adama. Instrukcyi tutaj powtarzać nie mogę. Instrukcję, jak i całe to działanie poufnej cesarza Rady, omawia Thiers w historii konsulatu obszernie, przybierając ton wyższości w sądzie o młodych politykach. Myśl przewodnia, którą ks. Adam w całym swoim politycznym zawodzie rządził się, było przywrócenie wyższych moralności i sprawiedliwości zasad, do stosunków międzynarodowych. Ta myśl kierowała nim w praktyce, jak i w teorii, jak o tem świadczy znakomite jego dzieło pod pseudonimem *Toulouzan*. Że u mety tej myśli widział powstającą choćby w osobistej unii z cesarzem rosyjskim Polskę, ani wątpić: jak padła ofiarą najstraszniejszego pogwałcenia prawa międzynarodowego, tak z jego uszanowaniem powracała w jedynej podówczas możebnej formie do życia. Plan cały tej akcyi, główny nawet udział w redakcyi, przypisuje Thiers, Piatolemu. Piatoli miał z ks. Adamem stosunki, około tego czasu przywiązany do dworu księżnej kurlandzkiej, przybył z nią do Petersburga, ale mimo głoślownego twierdzenia Thiersa, że pisma Piatolego exemplarz ma gdzieś znajdować się we Francyi (gdzie? może w Bibliotece polskiej), wprawny nieco znawca pozna łatwo i styl i tok myśli ks. Czartoryskiego, tembardziej, że myśli te zatrudniały jego i wyobraźnię cesarza dużo dawniej. Śmierć ks. d'Engien była nową pobudką, aby je w praktykę wprowadzić. Gwałt popełniony na neutralnym gruncie, zbrodnia na niewinnym, wyexaltowały do najwyższego stopnia i Aleksandra i jego przyboczną radę, która to w humanitarnym, to w patryoty-

cznym celu wskazywała Rosyi wzniosłą, bezinteresowną, a jednak nie bez politycznej przewagi i korzyści rolę.

Tak połączyć i ugrupować całą Europę siły, aby, szanując godność Francyi, doprowadzić ją do właściwych granic i otoczyć państwami, które miały równoważyć jej potęgę a miarkować Napoleona zaborezy charakter, a to wszystko bez przywłaszczenia sobie jakiegokolwiek bądź zdobyczy; oto plan, który powstał w głowie Polaka, wiernego cesarza rosyjskiego sługi, a który ten przyjął. Przyjęli go i Rosyanie, członkowie tajnego komitetu, bo bez wojny, jak rozumiano, robił Rosyę kierownikiem losów Europy. Napoleonowi stawiała czoło tylko Anglia, należało ją pozyskać dla tej myśli i wciągnąć w działanie. Kochany O. Stefanie, kogo dziś nie znuży analiza takich rokowań, które nas starszych zapalają, a dla młodszego obojętne pokolenia? A jednak śledzić działanie, usiłowania, nadzieje duchów tak potężnych dla celów tak wielkich, budzi prawdziwy interes i podtrzymuje w pracy. Nowosilcow wysłany z instrukcją do Anglii, bo ambasador Woroncowa uchodził za zbytńskiego stronnika Pitta, rozpoczął rokowania z wszechpotężnym ministrem. W 24 lat później, kiedy księżę, albo raczej księżna Liwen, był posłem rosyjskim w Londynie, miałem zaszczyt być przedstawionym hr. Woroncowskiemu, a nie pamiętam, abym w ciągu długiego życia spotkał poważniejszą postać.

Ale to do rzeczy nie należy. Pitt upatrując genialnym poglądem nadzieję koalicji, przyjął oświadczenia najlepiej, uznał cel i środki za doskonałe; aż przyszło do dwóch ważnych żądań, których spełnienie miało właśnie być miarą bezinteresowności stron wchodzących w przymierze medyaeyjne. Nowosilcow imieniem Rosyi żądał jako rękojmi zwrotu Malty dla Zakonu, Gibraltaru dla Hiszpanii i odstąpienia prawa morskiego, jakie Anglia głosiła w teorii, a wykonywała w praktyce.

Tych rękojmi minister angielski odmówił, ale chcąc koniecznie w czynną koalicję wciągnąć Rosyę, tem był łatwiejszy w kwestyach subsydyów i t. p. — Thiers cały plan

uważa jako dziecinne marzenie, z którego umiała skorzystać Anglia — z niemałą dla Rosyi szkodą. Szkoła istotnie nastąpiła. Czemu? Ten plan tak wyszydzony przez Thiersa, może przez Pitta lekceważony, nie był jednak tak obojętnym. Kiedy, jak zobaczymy, stał się podstawą przymierza r. 1815.

Spełniony w duchu, w jakim był pojęty, byłby zasłonił Europę od strasznych w r. 1806, 1809, 1812, 1813 i 1814 walk. Błąd doradcy cesarsey popełnili, popełnił głównie Nowosilcow, że nie zerwał rokowań z Anglią jak tylko z przymierzem medyacyjnego chciała wzięść korzyści, a nie obowiązki. Czy zręczność angielskiego ministra, czy chęć doprowadzenia do skutku tak ważnej sprawy, skłoniła gabinet petersburgski do rokowań z ambasadorem angielskim, do traktowania nie już w celu, aby Napoleona pobić moralnemi środkami i na moralnem polu, ale aby pokonać Francję? Powtarzam, ten błąd ciąży zapewne na Nowosilcowie, ale nie jest bez winy cesarz, gabinet tajny i ministerjum, którem kierował podówczas ks. Czartoryski.

Każdy plan polityczny, jeżeli twórca ma być odpowiedzialnym, powinien być wykonanym w zupełności; przymierze medyacyjne nie doszło do skutku, trudno więc stanowczo sądzić o jego praktyczności; następstwa jednak jakie usiłowania te sprowadziły, niepoślednio wpłynęły na losy Rosyi i stanowisko ks. Adama.

Jako główną trudność uważano odrazu i w Petersburgu i w Londynie zachowanie się Prus, które wahały się pomiędzy francuskim a rosyjskim przymierzem. Kierownik spraw zagranicznych w Petersburgu przeczuwał, że podwójną grą zwiększają całego przedsięwzięcia trudności, i był gotów zmusić je do wspólnego działania i odebrać zabór Polski na rzecz Rosyi. Czy to gabinet berliński przeczuwał, kiedy na wszelkie propozycye tłómaczył się bezbronnem wobec Francyi położeniem?

Kiedy tak przymierze medyacyjne przemieniało się w trzecią koalicję, do której chętnie Austria przystępowała, Rosya musiała się zbroić i ułożyć plan kampanii. —

Historji nie piszę, ale te szczegóły przywieść muszę, bo one tłumaczą dalsze ks. Czartoryskiego działanie. — Opinia publiczna Rosji była względem niego zawsze niedowierzająca albo zazdrosna. — Pod jego kierownictwem gotowała się do wojny bez korzyści. Cesarz wahający nie przez brak zaufania, ale charakteru. — Przygotowania wojenne szły oporem, Prusy rodziły największe obawy; było coś połowicznego w całym działaniu może dlatego, że nie było silnego narodowego popędu. Że Aleksander pokładał jeszcze całe w księciu zaufanie, dowodem pobyt w Puławach, ale nieprzyjaźni mu czuwali. — Wyprawiony do Berlina Piotr Dołgoruki, rzucił tam niejakię podejrzania, a spowodował osobiste z królem pruskim zetknięcie. Od tej chwili w zamiarach cesarza rosyjskiego nastąpiła zmiana, a gdy Prusy podpisały przymierze, już mowy o połączeniu wszystkich części Polski pod królem-cesarzem być nie mogło.

Następuje też po opisie, co się działo przed bitwą pod Austerlitz, podczas tej bitwy i po jej przegraniu, przerwa w Pamiętniku. Książę z dziwną trzeźwością i pamięcią dyktował go aż do zgonu. Choroba przerwała opowiadanie, kończące się z r. 1805. Przyjdzie mi teraz bodaj czy nie najważniejsza robota, streścić korespondencyę urzędową i poufną, która dokładnie objaśni proces, jaki odbywał się w usposobieniu dwóch przyjaciół, a będzie równie ważnym, psychologicznym jak historycznym obrazem.

Wprzódę jednak zwracam uwagę na ducha samego Pamiętnika.

Thiers twierdzi, że cesarz Aleksander dał niezuć księciu Adamowi w Berlinie, że politykę Rosji na fałszywą sprowadził drogę. Ani w Pamiętniku, ani w korespondencyi śladu tego dostrzedz nie można. Książę, który od początku niechętnie i warunkowo podjął się kierunku spraw zagranicznych, jak skoro spostrzegł, że wskutek zbliżenia do Prus ani Polska, ani Rosya nie mogła odnieść korzyści odpowiednich jego zamiarom, zażądał dymisyi, którą jednak nie tak łatwo otrzymał.

Co za dziwne zrządzenie, powtórnie powiem. Syn najgorętszych miłośników Ojczyzny, żołnierz z pod Dubienki, sam od kolebki do grobu poświęcony bez granic narodowej sprawie, zarazem przyjaciel cesarza rosyjskiego i jego minister, nie zdradzający ani na chwilę swoich względem Ojczyzny, ani względem pana swego obowiązków. Na to trzeba było spotkać monarchę, zapewne rozmarzonego idealistę, ale, mojem zdaniem, Aleksander był czemś wyższem, miał serce podniosłe, miał dobrą wiarę, ale nie obrachował ani jeden, ani drugi wszystkich trudności, wszystkich przeciwności położenia — i to właśnie tworzy dramatyczność akeyi, którą przyjdzie nam rozbić aż do ostatecznej tragicznej katastrofy. Dramat odgrywał się tajemnie, ale rozmaite jego fazy nieskończenie ciekawe tak dla psychologa, jak dla historyka i publicysty, a mógł się odgrywać tylko pomiędzy człowiekiem, nie powtarzającej się niemal w ludzkości, czystości uczuć i zaparciu ks. Adama, a cesarzem, który niełatwo rozstawał się ze swymi ideałami, nawet osobistym uczuciem.

Pamiętamy, że książę kilkakrotnie oświadczył, że dopóty zostanie w stosunku służbowym, dopóki da się on pogodzić z obowiązkami względem Ojczyzny; pamiętamy, że koalicja zręcznie przez Anglię wyzyskana, wskutek umowy z Prusami oddaliła nadługo plan odbudowania całej Polski w unii personalnej z Rosją, któryto plan głównie ks. Adama zajmował. Prusy w sojuszu z Rosją, ta ostatnia upokorzona, Napoleon tryumfujący, stanowisko ministra (bo bez tytułu był ministrem) w istocie zachwiane, nie u monarchy, ale wobec opinii, zawsze tak czulej na narodową chwałę. W tem położeniu książę podaje swemu panu trzy memoriały. Jeden pod d. 17-go stycznia, drugie dwa w marcu 1806 r. W pierwszym omawia stosunki z Prusami, w drugich stanowisko Rosji względem Europy. Ze wszystkich pism politycznych księcia, żadne może tyle nie pokazują przezorności i głębokiego poglądu. Kiedy w danej chwili stracił nadzieję odbudowania Ojczyzny, śledzi z największą sumiennością i przedstawia interes Rosji. Podziwiać należy po tylu latach wielo-

stronność tego umysłu i wytrawność jeszcze młodego człowieka stanu. Czytając po latach 80 sąd o monarchii pruskiej i polityce jej ludzi stanu, mimowolnie przychodzi na myśl chwila obecna, którą poniekąd przewidywał. Jeżeli oddalił ją osobisty stosunek dwóch panujących rodzin, to przyjść musiała i przysła, choć nie tak prędko, jak ją bystry pogląd przewidywał; tak zaś już był praktycznie wyrobiony, że mimo głębokiej do Prus niechęci, najwyraźniej mówi: iż gdyby w tej chwili Napoleon je zaczepił, Rosya winna stanąć po ich stronie. Patrząc na jednolite postępowanie ministrów pruskich, mówi te głębokie słowa: „Niepodobna przypuścić, aby tyle wytrwałości i rachunku zwróconego w jednym kierunku, było skutkiem niechęci jednego ministra: należy raczej szukać przyczyny tej konsekwencyi w zamiarach nieprzyznanych jawnie, a które są tajemnymi zasadami polityki państw, i skutkiem ich geograficznego położenia, albo natury ich zasobów.“ Ani wątpić, że te zapatrywania byłyby może pozyskały cesarza, gdyby Napoleońskie gwałty i kampania skończona bitwą pod Jeną, zgodnie z księcia Czartoryskiego zdaniem nie utrzymały prusko-rosyjskiego przymierza. — Zanim jednak to nastąpiło, książę podał w marcu memoriał pierwszy, w którym uważając odpowiedzialność osobistą za kierunek spraw zagranicznych, jako zbyt wielki ciężar, uprasza o utworzenie komitetu, któryby kolejalnie sprawy rozbiierał i przedstawiał; gdyby zaś cesarz na to nie przystał, oświadcza: iż będzie prosił o uwolnienie od służby. Czy i jak cesarz odpowiedział, niewiadomo, ale książę pod d. 22-go marca powraca do tego przedmiotu, a przedstawivszy wielkie, jak mniemał, niebezpieczeństwo, na które, jego zdaniem, Rosya była podówczas wystawiona, zaklina cesarza, aby odstąpił od zwyczaju brania przed narodem osobistej odpowiedzialności za wszystko, co się dzieje. Niewiedzieć kogo tu bardziej podziwiać, czy ministra, który tak śmiało mówi, czy samodzierżcę, który to przyjmuje i słucha, jak mu jego sługa wymawia sposób postępowania, wskazuje na Rosyan niecierpliwie znośzących upokorzenie narodu,

i Polaków, których wierność może się zachwiać, jak nieprzyjaciel wejdzie w granice. Te postulata stawia tak kategorycznie, że na przypadek ich nieprzyjęcia, stanowczo prosi o uwolnienie od kierownictwa spraw zagranicznych, mówiąc wyraźnie *ipsissima verba*: „Jeżeli, N. Panie, postanowiłeś prowadzić sprawy państwa, jak obecnie, to potrzeba W. C. Mości ministra, któryby posiadał więcej zaufania, będąc krajowcem, a był mniej wystawionym na oszczerstwo. Jakżebyś mógł, N. Panie, żądać, abym urzędował, nie mając sposobu usprawiedliwienia się, chyba przed tobą samym, zwłaszcza kiedy widzę, że postęp spraw publicznych prowadzi do zguby. Nadto rodacy moi mogą dziś łatwo być wciągnięni w wypadki, a wówczas dopiero powiedzianoby tutaj, że ja to taki nadałem sprawom obrót.“ Następnie wymawiając swemu panu, że systematycznie rad nie słuchał, zrobił go odpowiedzialnym za niepowodzenia; stanowczo przypomina dane mu obietnice uwolnienia od czynności, którą niechętnie wziął na siebie, prosi o dymisyę.

Zanim ją ostatecznie otrzymał, pragnąc czy zrzucić z siebie odpowiedzialność za przeszłość, czy jeszcze usłużyć swojemu panu, czy wreszcie wywołać jego oburzenie i spowodować nielaskę, podał dwa długie memoryały, aby dowieść, że plan jego w kierunku spraw zagranicznych był dobry, rady zdrowe, ale zwichnięte przez połowiczność w wykonaniu, uległość dla Prus i osobiste wmięszanie się cesarza w komendę armii. — Szanowny O. Stefanie, tyle rzeczy dobrych czytasz, że nie będziesz miał czasu przeczytać Pamiętników, a choć dawnych spraw dotyczą, mają obecny interes, bo tłumaczą poniekąd bliskie nas wypadki, a dają miarę zdolności i charakteru człowieka, jakim niewiem, czy jaki naród poszczycić się może. Jakkolwiek wszystko w tych memoryałach ciekawe, podnoszę tylko jedno twierdzenie: że albo Rosya zamknięta w swej odrębności i powadze, nie powinna się była wdawać w sprawy Europy, zachowując zgodę z Francją; albo jeżeli chciała być pośredniczką równowagi pomiędzy państwami i nieść wysoko sztandar sprawiedli-

wości i wolności, to należało wystąpić z energią i stanowczością bez względu na Prusy; uprzedzić Napoleona, a wówczas klęska pod Austerlitz albo nie byłaby nastąpiła, albo mniejsze sprowadziła skutki. Jakże te dwa memoryały, czytane, zdaje się, na poufnych zebraniach, wywarły wrażenie, niewiadomo, ale jeżeli nie zmniejszyły przyjaźni cesarza, to za prawdę uznać to należy.

Nie uprzedzam jednak wypadków. Groźnie objawiały się one na zachodzie. Napoleon druzgotał moc pruską, zbliżał się do Wisły, i wówczas ks. Czartoryski podał cesarzowi d. 5-go grudnia pismo, wskazując na konieczność uprzedzenia Napoleona w przywróceniu Polski.

Nie było tam mowy o przywróceniu w unii osobistej z Rosyą jakiejś części Polski, ale o przywróceniu całej pod berłem Aleksandra i jego następców. Wobec pokus Napoleońskich, powody leżały na dłoni. — Czy ogłoszenie się królem polskim byłoby przeważało urok bohatera, dawne z Francją stosunki, wpływ cywilizacyi zachodniej, braterstwo w legionach, jednym słowem, czy w danej chwili myśl księcia była praktyczną?

Wpółśród strasznych nieszczęść, jakie zwały się na Ojczyznę, potrójnego rozbioru, który na niej spełniono, powstawało pytanie u światłych nawet i czystych miłośników Ojczyzny, czy połączenie z Rosyą, jak my, słowiańskiego szczepu, nie byłoby jedynem wyjściem z rozdziału i germańskiego zalewu. Podwakroć w przeciągu wieku dwóch ludzi zacnych, rozumnych miłośników Ojczyzny, o to się pokusiło. Jednego usiłowania zwichnęły się i do drobnych ograniczyły rozmiarów wypadki, drugi padł pod samobójczem postępowaniem społeczeństwa. Jak Rosyanie, patryoci, patrzeli na Królestwo kongresowe, zobaczymy niżej; jak byliby patrzeli na oderwanie od wszej Rosyi województw, które za ruskie uważali? Czy ta Polska, w dawnych rozmiarach, opatrzona odpowiedniami instytucjami, mimo wdzięczności należnej, byłaby wytrwała w sojuszu; wdzięczność nie jestto cnota narodów, a ta Polska wychowana przez Zachód, przez laty-

nizm, odmienna wyobrażeniami, indywidualizmem, pojęciem o własności, czy mogła była długo wytrwać w tym związku, kiedy małe kongresowe Królestwo w niem dotrwać nie chciało. Myśl była wspaniała; wątpię, aby ją był kiedy praktyczny i zaboreczy zmysł Rosyan przyjął, a Polski mehlivy i niepodległy przeprowadził w rzeczywistości. Nie braknie na to dowodów, najstraszniejszy ostatni. — W chwili, w której ogólny prąd narodowościowy pod firmą Napoleona III zapanował, a Rosya wewnętrzną przemianą ekonomiczną, do której i socyalna przymieszala się, była zaprzątnioną, człowiek genialny, śmiały, poświęcony, próbował Polskę, nie poddać Rosyi, bo była jej podległą, ale za tęsamą obietnicę wierności urządzać ekonomicznie, sądowo, naukowo, na tle czysto narodowem, ale nie rewolucyjnem. Miała być utrzymana swoboda Kościoła, języka i wiele z instytucyj r. 1815 przywróconych. Żywiół rosyjski zżymał się już, choć z pewnością margrabia o oderwaniu Królestwa nie myślał, ale obawiał się, że społeczeństwo rządzone, uczone, zagospodarowane, jak chciał margrabia, stanie się dla Rosyi niebezpieczne. To, co uważali za zgubne dla siebie nasi nieprzyjaciele, tego my nie uważaliśmy za korzystne. Kraj czy spisek odrzucił reformy margrabiego, nie chciał ani dobrych szkół, ani Rad powiatowych, ani Rady stanu: chciał powstania, nie przygotowawszy sprzymierzeńców, ani obrawszy chwili dla Napoleona dogodnej. Istniało wprawdzie porozumienie ścisłe z rosyjskim spiskiem, ale jak skoro się okazało, że każdy ruch w Polsce, choć na rewolucyjnej osnowany myśli, przedzierżgnie się zawsze w narodowy, spiskowi rosyjsey, ludzie absolutnych dążności, opuścili nas, a zawód zrobiony pomścili w działaniu komitetu urządzającego i mszczą do dziś dnia.

Niepojętym i niedarowanym jest błąd społeczeństwa, które odpychało instytucye najzbawienniejsze. Jakikolwiek byłyby zamiary margrabiego, toć wszystko, co dawał, było upragnione, wzmocnić musiało żywiół narodowy, a ostatecznie o to tylko idzie.

Spółeczeństwa, jak rośliny, jak pojedynki w nienaturalnych warunkach życia chromieją, w chorobliwym stanie bezwiednie dają się prowadzić nawet do przepaści. Nie tłumaczy to, i nie chwalebne, kiedy warstwy kierujące dają się porwać przez ludzi ani znanych, ani doświadczonych, muszą dodać, ani sumiennych. Słusznie przychodzi to dziś odpokutować, ale co powiedzieć o ludziach albo epigonach, którzy patrząc na ruinę, którą sprowadzili, zamiast kaptur zaciągnąć na głowę i płakać, śmiały odwoływać się do swego heroizmu. Heroizm był u fanatyków własnego ideału i tych, których opętano; poświęcenie było, ale ze sfalszowaniem sumieniem, które ze spokojem zbrodnie spełniało. — Po 25 latach, pycha, czy brak zastanowienia, nie dozwala im przejrzeć, chyba że mając jakie wielkie humanitarne cele, obojętną im jest utrata wiary, języka, tradycyi i narodowości.

Uniósł mię zdaleko zwrot od ks. Adama do dni dzisiejszych, ale jest związek pomiędzy temi kierunkami, budzi ehoć głęboko w sercu zagrzebane uczucia i wspomnienia. Memoryał o przywróceniu Polski przesłany cesarzowi, wywołał odpowiedź nieco zimną ale ofiarującą osobistą dyskusyę przedmiotu. Jaki był przebieg i skutek dyskusyi w końcu grudnia, niewiadomo, musiała jednak być żywą, kiedy cesarz w liście także grudniowym r. 1806 w ezulych wyrażach nazywając księcia przyjaciele m, tłumaczy powody uniesienia, i prosi o szeregółowy plan co do działania w sprawach europejskich, który po obiedzie w naszym komplecie przedyskutujemy. — Plan ten, który nosi datę 21 grudnia r. 1806, tytułowany jako memoryał o potrzebie rozpoczęcia rokowań z Napoleonem, obejmuje obszerny, przez pytania i odpowiedzi ułożony rozbiór położenia i wnioski, aby koniecznie z Napoleonem wejść w porozumienie. Książę opuścił kierunek spraw zagranicznych; kto zneutralizował tak zdrowe rady? Prusy. Gdyby p. Thiers był znał memoryał, nie byłby zapewne tak lekkomyślnie mówił o młodych doradcach cesarza Aleksandra. Książę przewidział dobrze, a rady jego usłuchane, byłyby oszczędziły Rosyi bitew pod Eylau i Frydlandem. Ostatni to

już urzędowy akt, który, zdaje mi się znajdujemy w Pamiętnikach. Przestał zastępywać ministra w Rosyi, ale nie przestał być orędownikiem spraw polskich i nawet przyjacielem cesarza, skoro ten żałuje, że popsuty stylem jego depesz, nie może się przyzwyczaić do mniej dobrych redakcyj. W rzeczy samej książę wielką pracą wyrobił sobie styl znakomity, któryto postęp w jego redakcyach oko wprawne spostrzega. Książę wierny zawsze pierwotnej swej myśli, ostrzega cesarza, że zdrażnienie nastąpi w prowincyach, które mogą być jeszcze użyte z korzyścią dla Rosyi, byle ich zapałowi i wierności wskazać cel wzniósł.

Odtąd działalność księcia urzędowa, ogranicza się na kierownictwie wychowania w zabranych krajach, z jakim skutkiem, wiadomo. — Zapewne Tylża, Erfurt, jeżeli nie przerwały uczucia, przerwały stosunki, i dopiero pod r. 1809 spotykamy rozmowę z cesarzem, rozpoczętą w sprawie osobistych prześladowań obywateli, a skończoną obszerną i drażliwą dyskusją, w której książę przypominając cesarzowi dawniejsze uczucia i zamiary, powraca do myśli ogłoszenia się królem polskim, jako jedynie zbawiennej, ale zarazem przedstawia, że jeżeli między Polakami objawia się przychylność dla Napoleona, mimo że nie spełnia ich nadziei, to dlatego, że Napoleon twierdzi, iż go Rosya krępuje; ale że gdyby on, cesarz rosyjski, Polskę przywracał, mógłby na wierność i wdzięczność rachować. Na to Aleksander, spuściwszy oczy, rzekł: „żeby tylko na to można rachować, że u Polaków zwrot się objawi, i być pewnym, że nie zawsze tak postępować będą.“ Przypomniawszy dawne obietnice, które ich zbliżyły; przyznawał szczerze ich Aleksander, ale twierdził, że spełnić ich teraz nie może. W drugiej na tensam temat rozmowie, stanowczo odmówił książę w nowo organizowanych ministeryach udziału, a odgadł, że cesarz nie spełniając dawnych zamiarów, wpłynął na Napoleona, aby urzędowo oświadczył, iż o przywróceniu Polski nie myśli. Cesarz przyznał w końcu, że jedna rada, aby tak dla niego

ważną sprawę załatwić, jest przywrócenie konstytucyjnej Polski z unią osobistą.

Zaznaczyć z tej rozmowy należy, że Aleksander, który tyle z Napoleonem w Tylży i Erfurcie przebywał, dokładnie go zbadał i umiał sobie zdać sprawę z jego charakteru.

Następuje kilka listów księcia do cesarza w sprawach wychowania, głównie z Liceum krzemienieckiego, wraz z prośbą o zupełne uwolnienie od służby, na co odbiera cesarskie pismo pod d. 25 grudnia 1810 r.

Nużą zapewne monotonne te szczegóły, ale są konieczne do zrozumienia zbliżającego się rozwiązania; Klaczko zapewne lepiejby to streścił i przedstawił, ale proszę jeszcze o trochę cierpliwości. Ciężkie zbierały się chmury, nienasycona Napoleona duma, upokorzywszy środkową Europę, łamała się na jej kończynach: nie mogła pokonać Hiszpanii, a zniewolić sobie Rosyi — Aleksander to przeczuwał, widział gotującą się francuską nawałę i w tej chwili dawny księcia środek stanął przed jego oczyma. Ja mam to przekonanie, że byłoto natchnienie własnego ducha, z którym nikomu się nie zwierzył. Stały przed oczyma, niepoślednia pomoc i dawne ideały.

W kiku paragrafach stawia księciu pytanie. Czy gdyby naseryo z gwarancyami chciano przywrócenia całej Polski, z jej autonomią, a w unii osobistej z Rosyą, Warszawiacy (to jest mieszkańcy Księstwa) odstąpiliby Napoleona i z dobrą wiarą zawarli nowy a pewniejszy stosunek; czy ludzie przewodni, zwłaszcza w wojsku, weszliby na tę drogę, którzy? wyrozumieć z największą ostrożnością i zdać sumienne sprawozdanie. Książę Adam był w najtrudniejszym położeniu, w jakim człowiek znajdować się może. Przeciwnik Napoleona, jako gwałciciela prawa i wolności narodów, jako mordercy d'Enghien, bez wiary w jego dla Polski życzliwość, czuł się jednak kuszonym stanowiskiem Polaków w Księstwie Warszawskim, sławą wojskową to pod Raszynem, to w Hiszpanii zdobytą, postępowaniem własnej rodziny i urokiem, który niezwyčajny ten człowiek wywierał; czuł się

zarówno obowiązany do sumiennej prawdy względem swego pana i przyjaciela. Pod d. 18/30 stycznia 1811 odpowiada: Polacy za tym pójdą, który im zaręczy byt Ojczyzny. Utrzymywani w oczekiwaniu przez Napoleona, opuściliby jego sztandar, ale pod warunkiem połączenia wszystkich części wraz z Galicyą pod twojem berłem, z przywróceniem konstytucyi 3-go maja i korzyściami handlowemi. Jako pierwszego w kraju przywodzi ks. Poniatowskiego, całą jednak sprawę w wątpliwem świetle, bo Polacy wtedy dopiero mogliby opuścić Napoleona, gdyby ofiarowane im korzyści wskazały ten krok jako obowiązek dla Ojczyzny. — Kończy prośbą o zupełne uwolnienie od służby.

Aleksander natychmiast odpowiada, rękojmię czy obietnice daje, z zawieszeniem co do Galicyi, ale stawia jako warunek:

1° aby Polska na wieczne czasy połączona była osobistą unią z Rosyą;

2° aby mieszkańcy Księstwa dali stanowcze dowody, że je przyjmują, przez podpisy ludzi przewodnich w kraju.

Jak chciał się posługiwać Polakami Napoleon; tak przypomina sobie w potrzebie dawne obietnice Aleksander; tak dziś jeszcze stósownie do chwili śmiać urągać naszemu rozsądkowi; a są tacy, którzy temu wierzą. Podówczas wielki, Ojczyzny miłośnik, znany nam z Sejmu wielkiego i rowolucyi r. 1794, Tomasz Wawrzecki, nigdy Napoleńskim nie uwierzył zamiarom. Niemcewicz w swoich Pamiętnikach oczekuje skutku; nie oni jedni, ale zapalna polska wyobraźnia chwytą się każdej nadziei, czy ona pochodzi od rządzącego, czy od stronnictwa, dopóki ciężkie doświadczenie nie wyrobiło przekonania, że tylko wewnętrzna na tle duchowem praca może postawić społeczeństwo w warunkach niezawisłości.

Rok upłynął okładem, stosunki nie były zerwane, ale zawieszono, kiedy Aleksander pod d. 1 kwietnia r. 1812, w przeddzień niemal wojny z Francyą, tłómaczy długie milczenie i zapytuje przyjaciela: kiedy ogłosić niepodległość

Polski, przed albo po wojnie, kończąc tęsknem o skutkach tego kroku westchnieniem.

Ciekawa ta korespondencya, wskazuje u Aleksandra na umysł bystry, obejmujący ogół i niepospolitą zdolność i łatwość wyrażenia, ton przyjacielski, zaufanie bez granic; przychodziła ona zapóźno. Położenie staje się coraz bardziej dramatycznym. Wypadki postępowały, Księstwo Warszawskie nadludzkie robiło wysilenia; zabrane kraje dostarczają licznych żołnierzy; książę-jenerał podnosi łaskę marszałka konfederacyi; Woronicz z ambony woła: „Bóg nie byłby Bogiem, gdyby nie był sprawiedliwym, a Napoleon nie byłby Napoleonem, gdyby Polski nie przywrócił;“ wpośród takich wypadków, takiego nastroju, książę pod d. 4-go lipca, 16-go sierpnia i 18-go października, w trzech listach domaga się zupełnego uwolnienia od służby; w drugim, w tonie drażliwym, twardym, oświadczając, że jeżeli odpowiedzi nie odbierze, postąpi, jak mu sumienie Polaka nakazuje.

Mam to przekonanie, że chociaż, jak zobaczymy, cesarz stosunków z Czartoryskim nie zerwał, tego listu nigdy mu nie zapomniał; i tutaj szukałbym przyczyny dosyć zimnego przyjęcia w początku kongresu w Wiedniu i powołania na namiestnika Królestwa zamiast dwudziestoletniego przyjaciela, jenerała Zajęczka, znanego z r. 1794 Kołłątajowskiego stronnika.

Książę, z prostotą i szczerością jemu tylko właściwą, wychodząc z najtrudniejszego położenia, wskazuje, jak uczciwy człowiek postąpić powinien, kiedy nieszczęściem sprzeczne wołają na niego obowiązki: w takim razie obrać najwyższy, najpierwszy. W danym przypadku wybierać należało pomiędzy obowiązkiem, jaki wkładała na niego wdzięczność dla monarchy-przyjaciela, nawet stosunek służbowy, a obowiązkiem dla Ojczyzny. Stanowczo książę obiera ostatni, zrzeka się wybiegów sumienia (*faux fuyants*), ale wprzód wypowiada służbę, więcej, żąda dowodu, że z niej uwolniony.

Wyratował tak godność i sumienie; nie wyratował, jak mniemam, dawnego zaufania, a wnet go potrzebował.

Szczeście czy zasługa Aleksandra, szaleństwo Napoleona, i powiem prawdę. heroizm ludu rosyjskiego, przeważały szale losów. Francuska armia po raz pierwszy uchodziła, rosyjska w pogoni zajmowała Litwę i Księstwo; i w tej chwili książe zawsze wierny, ma odwagę, muszę to tak nazwać, w dwóch listach 6-go i 27-go grudnia przypomnieć cesarzowi dawne jego zamiary dla Polski, wskazując obecną chwilę jako najsposobniejszą do ich spełnienia, kreśląc nawet przygotowawcze działania i odezwy.

Przyjętem jest poniekąd, że cokolwiek od cesarza rosyjskiego wychodzi, musi być albo podstępne, albo interesowane, albo wymuszone. Na tę drogę wejść nie mogę, i jeżeli podziwiam księcia, który we dwa miesiące po swoim karlsbadzkim liście taką przypomina przeszłość, to muszę ocenić i Aleksandra, który w zwyczajnym pochodzie odpowiada pod d. 13-go stycznia, zapewniając, że nie zmienił się co do swych zamiarów; że jako dowód wydał wojsku rozkaz obchodzenia się przyjaznego z Polakami, nie zajmowania Warszawy; że jednak tylko przyjazne stosunki Polaków z Rosyanami mogą zdrażnienie ostatnich ułagodzić i wpłynąć na opinię Rosyi, z którą rachować się musi, a która nie zniosłaby ustępstwa dla Polaków, zwłaszcza co do prowincyj ruskich; — najciekawszym kończy ustępem: że nierozzerwalny stosunek między nim a Polakami nastąpiłby naprawdę, przez zawarcie traktatu pomiędzy cesarzem a rządem Księstwa Warszawskiego. Traktat. wiadomo, nie nastąpił, rząd i konfederacya przeniosły się do Krakowa; koalicya powstawała, wojsko polskie poszło nad Ren i Elstrę, w której nurtach honor Polaków uratowany został.

Olbrzymie r. 1813 zapasy, stosunki z dworami sprzymierzonymi, pochód na zachód, absorbowwały niewątpliwie i czas i uwagę cesarza. Wydał może, jakto w liście z Leypnów wyraża, rozkazy, aby się obchodzono łagodnie z obywatelstwem zabranych krajów, a niesłychane codziennie powtarzały się nadużycia: życie, wolność, majątki obywatelskie nie były bezpieczne; dowódczy wojsk, gubernatorowie samo-

wolni, opieki i obrony żadnej. Jedyńm i niez mordowanym orędownikiem w sprawie pojedynczych i ogółu, był książę Adam. Z Kalisza, podwakroć z Warszawy, odzywał się do dawnego przyjaciela, dziś wszechwładnego monarchy i pana w tonie naponinającej sprawiedliwości, nie pyta czy się naraża albo nie, czy łaskę albo stanowisko utraci, ale z wymową oburzenia piętnuje nadużycia Ertla, Ławińskiego i Komburleya, pyta, czy takie postępowanie może wywołać zaufanie Polaków oczekujących ogłoszeń cesarza, aby głośno za nim się oświadczyć i niepoślednią pomocą wojskową poprzeć jego stronę. Tutaj zaprawdę przychodzi wyjaśnić ważną a dotąd nie dosyć znaną sprawę. — W dwóch rozmowach z cesarzem, pod d. 25-go czerwca i 3-go lipca, książę widząc, jak dalece stosunki z dworami sprzymierzonymi wpływają na usposobienie jego, zakreślają nawet poniekąd granice przyszłego posiadania ziem polskich, usiłuje raz jeszcze obudzić dawne uczucia, jakby przygłuszone postępowaniem Polaków, i takowe usprawiedliwia podstępem Austryaków, którzy wepchnęli jakby gwałtem armię ks. Poniatowskiego do Niemiec w pomoc Napoleonowi. I tutaj po raz pierwszy spotykam się z twierdzeniem, że ks. Józef gotów był przejść wraz z całym krajem pod sztandary Aleksandra, mającego ogłosić się królem polskim. — Dokładnie mi z tradycyi wiadomo, że Mostowski, jeszcze weześniejsz Matusiewicz, z cesarzem Aleksandrem nie o swoje osoby, ale o byt kraju traktowali, ale po raz pierwszy spotykam twierdzenie, że myśl ta nie była obcą i ks. Józefowi; ale kiedy z takich ust wychodzi, a potwierdzona umyślnem jakoby niewydaniem bitwy Sakinowi, musi być pewną.

Od tej rozmowy upłynęło dwa lata, o której Pamiętniki i korespondenecye księcia Adama nie mówią; dwa lata pamiętne w historii świata. były świadkami bitew pod Lipskiem i Waterloo, powrotem wojsk polskich, kongresem wiedeńskim i nowym ustrojem politycznym Europy. Książę, o ile mi wiadomo, nie był powołany do Wiednia. Zdaje mi się, że słyzałem od Szaniawskiego, a w każdym razie od

takiego, co był obecny i bliski spraw w Wiedniu, że przedstawiwszy się bez wezwania Aleksandrowi, ten go zapytał, co tu robisz? Nie obeszło się jednak bez jego udziału i wskazówek. — Dziwnem zrzędzeniem losu, czy też siłą prawdy, która w danych chwilach zapanować zdaje się, myśli, które ksiązę skreślił, przed 10 laty wchodziły w praktykę. Nie tak zapewne, jak były pojęte i osnowane, nie z tem uwzględnieniem praw moralnych, jakie marzył, a które później już wytrawny polityk w dziele swoim, o Dyplomacyi sformułował (Toulousant), ale bądź-cobądź zapewnienia równowagi Europy i jakiego-takiego bytu choć niektórym narodowościom. Kongres wiedeński ćwiertował Europę, łączył co się połączyć nie dawało, ale i projekt r. 1804 działał także absolutnie, jak musi nim być każde aprioryczne działanie albo projektowanie. Święte przymierze piękne wypowiadało zasady; nie ono samo jednak; zapanowała w Europie tak, jak na kongresie pentarchia, bo torysowska Anglia była nadto przeważną, a Tayllerand. choć zwyciężoną Francję, postawił od razu na równi ze sprzymierzonymi.

Aleksander, choć może rozdrażniony, nie zapomniał robionych Polsce obietnic. — Utarło się u nas mniemanie, że zawiści i konieczność polityczna zmusiła go do tej kombinacji. Nie jestem tego zdania. Było umysł i charakter wierny pierwotnym ideałom. Marzył o próbie konstytucyjnej na Polsce, i takiej dokonał; niesprawiedliwość zrządzoną przez babkę, o ile mu się zdawało możebne, naprawił, może nawet cieszył się swem dziełem. Nie było ono łatwe — opinia rosyjska drżała na wieść wolności danej nie zwycięzcom, ale zwyciężonym — pani Uwarow publicznie na balu robiła cesarzowi wyrzuty. Karamzin z Petersburga nadesłał memoriał znakomicie zredagowany, z konkluzją, że monarcha nie ma prawa odrywać od państwa ziem krwią rosyjską zdobytych. Pozzo di Borgo, ze stanowiska czysto politycznego, z tą genialną przenikliwością i zwięzłością, która go cechowała, przepowiada konieczne następności. Wszystko napróżno. Akt dodatkowy spisano, prawa Polaków pod trzema dworami zagwarantowano.

wano, Królestwo Polskie ogłoszono, a w sam dzień podpisu konstytucyi 15-go maja r. 1815 Aleksander pisze do księcia w stylu poważnym: że jak zdawna znał jego zamiary dla Polski, tak dziś je spełnia, a księżę znając lepiej jak ktokolwiek widoki cesarza, ma ezuwać nad ich spełnieniem. Księciu powierzona organizacya, następuje kilka listów z czerwea, z lipca, z których widać, jakie powstają trudności przy organizacyi ministryum wojny, drażniące postępowanie w. ks. Konstantego, których naturę i następności bezwzględnie księżę omawia. I znowuż jak był rzecznikiem przywrócenia całej Polski, tak staje się obrońcą godności narodowej i praw konstytucyjnych. W Warszawie konstytucya i w. ks. Konstanty, to była istotna anomalia. — Czy Aleksander nie mógł odmówić bratu tego stanowiska, czy chciał go nieć jako hamulec zbyt bujnych oczekiwań, dość, że stanowisko brata monarchy, naczelnika wojska, znanego i groźnego z absolutnych wybryków nawet w Petersburgu upokorzało, a upokorzenia narody nie wybaczą. Usiłował on armię rozkołysaną Księstwa Warszawskiego urokiem, sławą wielkiej armii, nadziejami, ująć w karby, nie szanując poczucia honoru. Jenerał Paszkowski pierwszy podał się do dymisyi, Chłopicki służbę porzucił, Wilczek i wielu innych odebrało sobie życie. Ks. Adam nie przodował już administracyi, którą był zorganizował. Jak wiadomo, Zajączek, ów rębacz Braniczkiego, członek klubu Jasińskiego, przyjaciel Kołłątaja, namiestnikiem. Ks. Adam nie przestaje donosić o nadużyciach, których Konstanty się dopuszcza, a którym namiestnik folguje; czyni w poczuciu obowiązku swoje uwagi o bracie monarchy w tonie tak ostrym, że zachodzi pytanie, jak były przyjęte; ubolewa nad nieuszanowaniem konstytucyi, któreto nieposzanowanie budzi w umysłach niepokój; nie ufają przyszłości, tylko obecność monarchy, któremu wierzą, ukoj obawy, a zarazem tak konstytucyi przestrzegać każe, że stanie się prawdą i rękojmią.

Podówczas dwie konstytucye niemal równocześnie zaczęły funkcyonować w Europie: francuska i polska; rozu-

miano też, że prawa zastrzeżone na papierze, mechanizm obmyślony, a proces bez równowagi rzeczywistych sił społecznych, zapewnić może grę swobodną i regularną czynników politycznych; w praktyce tak nie jest, stronnictwa albo władza posługują się formami konstytucyjnymi, które tylko zawarowane na papierze i na swoją je wyzyskują korzyść. Węzłem stronnictwa i celem pocisków byli we Francji Burboni, w Polsce Rosyanie; bo pomimo połączenia na wieczne czasy, jak chciała konstytucya, antagonizm był wielki i mylił się książę, kiedy wierzył w porozumienie dwóch narodowości. Do tego dodajmy gwałty w. księcia, i kiedy po dłuższej nieobecności, Ks. Adam wraca do Warszawy, w r. 1818 widząc spełnione swoje obawy, wytyka, że ministrowie nie kontrasygnując dekretów cesarskich, uchylają się od konstytucyjnej odpowiedzialności, i błaga o wytrwanie w zamiarach, którym wierzy. Sejm r. 1818 nadszedł, posłowie wzięli konstytucję naseryo; cesarz rachował na wdzięczną względność, a chociaż do starcia nie przyszło, cesarz po sejmie oświadczył, nie bez gróźb, swoje niezadowolenie. Przyczyniła się do tego prasa dosyć niepowsięgliwa, którą książę młodocia pisarzy usprawiedliwiał. — Znane z historii przejścia z Kronicą i Orłem Białym Brunona Kicińskiego. Zgotowało to wszystko razem sejm r. 1820, który wyraźną z rządem rozpoczął walkę, a zakończony w sposób drażniący w wysokim stopniu cesarza. — Byłato chwila rewolucyj włoskich i hiszpańskich, spisków w Niemczech, rozkwitu rewolucyjnego liberalizmu w osobach Benjamin Constant, Manuela we Francji a wywołanych równocześnie zjazdów monarchicznych w Opawie, Leibach i Weronie. Czy, jak twierdzą, ks. Metternich przeraził wówczas Aleksandra, pokazując mu upiór rewolucyjny, czy sam był zastraszony tonem polemiki parlamentarnej, jaką inaugurowali Kaliszanie, nie wiem, dość, że cierpkimi słowy zamknął sejm. — Już obejmuję pamięcią te czasy, w których mój ojciec posłował. Ludzie, jak Staszyc, Koźmian, Badeni, Mostowski, byli celem pocisków, nawet zaskarżenia Kaliszauów. Taki rozbrat wywołał w kraju rozgo-

ryczenie, o którym Czartoryski, powróciwszy do Warszawy, donosi, w upadku finansowym kraju, środki rozsądne podaje, i po raz ostatni w znakomitym memoryale z d. 10-go sierpnia 1821 w tonie poważnym rozbiera z cesarzem położenie, przebieg spraw najważniejszych, kładąc nacisk na te nadzieje, które postępowanie i uczucia cesarskie obudziły, że Królestwo Polskie w obszerniejszych granicach odbudowane zostanie. Nie konstytucya, ale jej pogwałcenie jest przyczyną trudności w rządzeniu. Osoba tylko Najjaśniejszego Pana jest jedyną naszą rękojmią, dlatego błagam, abyś nie dopuścił wpływu zagranicznych gabinetów, których interesem się niechęć pomiędzy tobą a poddanymi. Kończy się dramat, a przechodzi w tragedję. — Książę, który dziękując wdzięcznie za to, że do udziału w administracyi Królestwa nie został wezwany, funkcyonował jako knrator na Litwie i Wołyniu. — Jak się stało, że w r. 1823 Nowosilew został wysłany do Wilna; czy to było z insynuacyi w. księcia, czy ministra Galicya, nie pamiętam zgoła; w każdym razie byłoby z uchybieniem powadze księcia; odrazu w październiku w obronie uniwersytetu stawa, a 30-go tegoż miesiąca stanowczo o uwolnienie od wszelkiej służby prosi i za pośrednictwem ks. Galicya otrzymuje.

Tak kończy się zawód urzędowy ks. Adama straszną wileńską katastrofą, którą geniusz największego naszego wieszca, ku wiecznej Ojczyzny pamięci, w całej grozie dramatyzował. — Tensam Nowosilew, którego wprowadził do poufnej rady młodego w. księcia, którego później wyprawiał w ważnej misyi do Anglii, jako inkwizytor w Wilnie zniszczył jego dzieło. Książę w liście, który kończy Pamiętniki i korespondencyę, oświadcza niezłomną wierność, miłość i wdzięczność, przechodzi przeszłość, potępia związki tajne po uniwersytetach Europy, które ścigać polecił i w Wilnie, a ma przekonanie, że nowy a świeżo uwięziony rektor Zwardowski, byłby tego dokonał. — Już zapewne więcej stosunków z cesarzem nie było, a niedługo też i ostatni życie zakończył.

I ja powinienbym na tem skończyć, to, co powiem, a nęci mnie, bo coraz mniej tych, co owe pamiętają czasy, możesz pominąć i dla siebie i dla powszechności.

Miałem podówczas lat 17, ale już bardzo uważny na sprawy publiczne. Dom mego dziada, wojewody Marcina Badeniego, był punktem zbornym ludzi politycznych i uczonych owego czasu. Linowski, Matusiewicz, Niemcewicz, Staszyc, Koźmian; literaci, jak Osiński, Morawski; prawnicy, jak Woźnicki, Wyczehowski, bywali częstymi, a w piątki koniecznymi na obiad gośćmi. Ludzie ci mieli tradycyę Wielkiego Sejmu i Księstwa Warszawskiego, weszli w nowy porządek rzeczy; wyżsi umysłem i doświadczeniem, zarówno oburzeni wybrykami w. księcia, jak potępiający Kaliszanów pseudo-liberalne popisy. W ministeryach zaszły właśnie zmiany. Miejsce Stanisława Potockiego zajął w oświeceniu Grabowski, Węglińskiego w skarbie Lubecki. Ostatni nie był jeszcze rozwinął swoich pomysłów. Znany jako urzędnik rosyjski, przeciwnik Napoleona, nakazem opłaty podatków z góry, odebraniem starostw, a zarządu górnictwa Staszycowi, oburzył opinię. W kole ludzi, o których wyżej, miał samych przeciwników. Usposobienie ogółu było skwaszone, a choć jeszcze skutki działań Nowosilcowa w całej nie były się objawiły pełni, już powracający mimowolnie z Wilna Lelewel, Gołuchowski (którego wówczas poznałem) złowrogie przynosili wieści. Równocześnie rozpoczął się proces Łukasińskiego i innych. Odbywał się publicznie w brudnej izbie na placu Saskim. Pamiętam, tę twarz, jakby z miedzi wykutą, nieruchomą, z wyrazem, który przeczuwał swoją przyszłość. — Tajnych towarzystw od lat najmłodszych byłem na głowę nieprzyjacielem, jako szkodliwych Ojczyźnie i społeczeństwu, a mimoto serce biło gorąco na widok błędnego poświęcenia. W tychto czasach najdotkliwiej panowała policya tajna, denuncyacye; cenzura stała się nader surową, ba nierozsądną, choć nią kierował mądry człowiek Szaniawski. My, studenci uniwersytetu, najboleśniej czuliśmy skutki tych wypadków, i uniwersyteckie życie, tak bujne zwykle, nie miało dla nas żadnego uroku.

Odbył się jednak sejm r. 1825, ostatni za Aleksandra, jeżeli niezupełnie w normalnych warunkach (uwięzienie Wincentego Niemojewskiego) to spokojnie, z rezultatami praktycznymi (Towarzystwo kredytowe, Bank itd.) i z zupełnem zadowoleniem, nawet uznaniem cesarza Aleksandra. Słyszałem tę ostatnią mowę, którą w zamkowej wypowiedział sali, a która dowodzi, jak był czuły na każdy objaw legalności i zaufania. Bądźco bądź, mowę tę odeztać warto.

Zewnętrzne uspokojenie umysłów, nie przerwało działania towarzystw tajnych. Byłoby to równie ciekawe jak trudne, oddzielić i wykazać, ile w tem było patriotyzmu polskiego, a ile fermentu europejskiej rewolucyi, a to tembardziej, że pokazał się wnet stosunek naszych patriotów do rosyjskich dekabrystów¹⁾. Porozumienie z Rosyanami może mieć tylko miejsce na humanitarnem albo socyalistycznem polu, nigdy na narodowem; albo zatem nasi mieli wspólne niektóre sekiarskie cele, albo co prawdopodobniejsza, w błąd byli przez zręcznych Rosyan wprowadzeni. Jakkolwiek bądź proces wytoczony został ze znanym epizodem komitetu śledczego²⁾. Sprawa oddaną została sądowi sejmowemu, to jest senatowi.

Od lat kilku o ks. Adamie mało było słyhać, zajmowały czas jego to podróże, to interesa familijne, to literackie prace. Skoro jednak znalazł się obowiązek do spełnienia, a zwłaszcza niebezpieczny, i on się odnalazł. O sędzie sejmowym mówiłem raz obszernie, powtarzać więcej nie potrzebuję; tyle tylko powiem, że jak surowa kara spełniona na Łukasińskim, tak łagodny wyrok senatu, nie wstrzymały choroby spiskowania; przetrwała koronaeyę, sejm r. 1830, aż wybuchła na jaw 29-go listopada. O powstaniu r. 1830 przyszło mi nieraz mówić; uważałem je, jak i teraz uważam, za największy

¹⁾ Tak nazywano towarzyszy Pestla, Murawiewa i Bestużewa, który wskutek spisku podnieśli ruch rewolucyjny w Petersburgu w grudniu 1825 r.

²⁾ Przypomina się, że wysadzony nieprawnie komitet śledczy nie został uznany przez senat w czasie sejmowego sądu, i powtórne śledztwo zostało zarządzone.

ład, jaki kiedykolwiek popełniliśmy, a ci, co podpalili na znak ruchu szpęg na Solcu, nie wiedzieli, że podpalali równocześnie byt Królestwa i wojska, Uniwersytetów warszawskiego i wileńskiego, szkół krzemienieckich i bazylikańskich, Statut litewski i sądownictwo w zabranych krajach. Tu się pokazuje całe niebezpieczeństwo tajemnych organizacyj. Wcześniej albo niewcześniej, rozsądnie albo przez szaleńców ruch się rozpocznie, po elektrycznych drutach płynie wiadomość, jakby na rozkaz poważny ruchy się objawiają, niedokładnie oświecone trwożą się sumienia jednych, drudzy się kompromitują, i powstaje ogólny niepokój oddziałujący na tych, którzy stoją u środka. Zapał jednych, trwożliwość drugich, dwoją szalę potęgę, zwłaszcza jeżeli kraj albo nie ma, albo nie uznaje ludzi przewodnich. Jak się stało, że książę, ten wytrawny człowiek stanu, wszedł w udział ruchu? — ja nie wiem. Ale jak są w ludziach przepaści, że tak powiem, zepsucia i zbrodni, tak w innych są tajniki cnoty, które odgadywać potrzeba. Psychologiczne tak tobie księcia usposobienie tłómaczyć można: Całe życie, jak z Pamiętników widzimy, zajmowała go tylko jedna myśl, wskrzeszenie Ojczyzny. Szuka jej na każdej drodze: poświęca się służbie wstretnej, mimo przyjaźni dla monarchy, wynawia ją sobie ciągle, czuje niemal wyrzuty sumienia; gotów w r. 1812 szukać jej na innej drodze; powraca do dawnej, prosi, przypomina, aż do uprzykrzenia, wszechwładnemu panu, broni form konstytucyjnych, którym wierzy i które ma za rękojmię Polski, a kiedy widzi, że już nie otrzyma, cofa się na lat kilka i występuje dopiero w obronie prawa, choć nie chwali spiskowych zamiarów. Następuje noc 29-go listopada. Dla każdego Polaka ruch uznającego, dwie tylko mogły być do tego pobudki: albo wierzył w możebność odzyskania walką swobodnego bytu; albo uważał wojnę z Rosją jako konieczną, krwawą o byt Ojczyzny protestacją. W rzeczy samej ani konfederacja Barska, ani powstanie Kościuszkowskie, nie były dostateczną miarą miłości Ojczyzny i niezawisłego bytu. Jeżeli kto tak uważa ze stanowiska moralnego

i godności narodowej? to zgoda. Powstanie miało rację bytu; niech będzie dowodem, że umieliśmy ginąć, więcej jak życie, ceniąc Ojczyznę byt i swobodę.

Gdyby wolno było zstąpić do duszy człowieka, to podobno nie bardzoby odbiegł od prawdy, że Adam książę Czartoryski przewidywał tu łatwo utratę majątku, ruinę domu, który tak pracowicie dziadowie stawiali. Od poświęcającego się, choć szalenie, narodu oddzielić się nie chciał, ale wspólnie z nim walczyć i zginąć. Wprzód jednak, jakby w przeddzień ofiary, dał świadectwo wdzięczności i szacunku towarzyszowi lat nadziei i prac młodości, z taką prawdą, odwagą i podniosłością ducha, że mowa ta w sejmie 1831 r., jużby wystarczyła, aby wartości jego dać miarę.

Właśnie kiedy kończę te słowa, dochodzi mię wiadomość, że Wola Czartoryskich zgorzała; może ogień zniszczyć wiele bogactw i pamiątek, nie zniszczy nigdy wspomnienia olbrzymich usiłowań i cnót rodu, usług bezustannie oddawanych potrzebom naszego miasta, tak pięknie idących w parze z chrześcijańskim poddaniem.

Deus admirabilis, fortuna variabilis.

Vale et me ama.

O POWSTANIU ROKU 1830.

z powodu dzieła Barzykowskiego¹⁾.

Ktoby napisał sumienną, dokładną w świetle politycznej prawdy pojętą historję powstania z r. 1830, oddałby Ojczyźnie największą może usługę, na jaką obywatel i miłośnik Ojczyzny zdobyć się może. Materiałów nie brak, dziś nawet względy dla osób nie istnieją; idzie tylko o to, aby przyrodzone a gwałtowne uczucia serca nie tłumily zdrowego poglądu rozumu i nie przeczyły nauce czerpanej z doświadczenia i historyi.

Niedawno, bo zaledwie rok temu, wydrukowała księgarnia Żupańskiego w Poznaniu historję Powstania Listopadowego, spisana przez Stanisława Barzykowskiego, posła i członka Rządu narodowego. Czy obecne pokolenie wzięło tę książkę do ręki skwapliwie, nie wiem; dla nielicznych współczesnych świadków zdawała się ciekawą i upragnioną. Pisał ją człowiek zaeny, do spraw krajowych jako zaufany w obywatelstwie wiele używany, a jak z tytułu widać, bliski wypadków ówczesnych i tajnych onych sprężyn świadek. Nie rad biore się do sprawozdania; nawet niełatwo przeczytać trzy grube, bito zadrukowane tomy: ale choć młody podówczas, patrzałem na wypadki trzeźwo i spokojnie, niektórych

¹⁾ Drukowane w Przeglądzie Polskim 1884 r.

spraw byłem bliskim, powiedzieć moje o tej książce zdanie uważam za obowiązek obywatelski. Nie bardzo jednak wiem w tej chwili, jak potrafię streścić mój sąd czy rozbiór i uniknąć zbytniej polemiki z autorem, który w życiu publicznem bronił zasad tak zwanych konserwatywnych; odwołuje się do nich, mówiąc o ludziach i wypadkach, a co chwila bierze za podstawę do swoich sądów najsprzeczniesze i najróżnorodniejsze zasady.

Spotykamy taki dualizm u ludzi, którzy nie wyrobiwszy sobie na drodze nauki albo historycznej obserwacji zasad politycznych, posiłkują się utartymi formułami, albo ulegają uczuciu. Barzykowski wychował się wpośród walki, która toczyła się w Polsce, jak wszędzie na gruncie teorii liberalno-konstytucyjnej; później we Francyi patrzył na chwilowe jej panowanie za Ludwika Filipa, niemal bezwiednie formułom tym został wiernym, można powiedzieć, że nie zapomniał, niczego się nie nauczył, choć z dziwną niekonsekwencyą zaiste jego, moralne usposobienie naprowadza na uznanie i wypowiedzenie prawd pierwszorzędnych, które jednak zrównoważyć nie mogą nagromadzonych błędów.

Surowy ten sąd odnosi się głównie do wstrętnej historycznej części, która poprzedza, powtarzaniem faktów znanych, sam wybuch powstania. Kreśląc obraz polityczny Europy, wdał się nie w swoją rzecz, powtarza znane ogólniki, nie podnosząc się zgoła do tych wyższych sfer umysłowych, w których rodzą się i rozwiązują najtrudniejsze zagadki, ludzkości, i do tych zasad, które ostatecznie czy ludzie chcą albo nie, światem rządzić.

W polemikę ogólnopolityczną z autorem wdawać się nie myślę, zawieleby to zajęło czasu i miejsca, wreszcie odpowiedziały mi i odpowiadają wypadki, ale muszę sprostować rozpowszechnione, a przez niego lepiej jeszcze ugruntowane błędy.

Powstanie Listopadowe, opromienione koroną chwwały i zasługi, było, że wyrażę się łagodnie, ciężkiem względem Ojczyzny przestępstwem.

Filozofowie, publiczności i teologowie rozbierali i rozbierać będą pytanie, czy i kiedy ze stanowiska moralnego naród podbity albo uciemiężony ma prawo powstania i czynnego oporu. Mojem zdaniem, najsubtelniejsze badania nie doprowadzą do żadnego praktycznego rezultatu, bo wchodzi tu w grę tyle wypadków, odcieni, okoliczności, że najsumienniejszy człowiek na razie wedle nich kierować się w danej nie potrafi chwili. Powoływany tu na świadectwo św. Tomasz, niewiele pomoże, bo on stawia tylko zasadę a tu głównie idzie o zastosowanie. Zastosowanie to odnosi się do dwóch momentów: 1) Czy nie nastąpiło biegiem lat, wspólnymi interesami, złągodzeniem antagonizmów takie zlanie, albo nawet zaabsorbowanie narodowości, że wyszukiwanie w przeszłości praw urojonych, byłoby tylko rozdarciem tego, co czas zrobił jednością. 2) Czy, i to najważniejsze, tak obrachowano środki, tak obrana chwila, aby rozsądnie, politycznie spodziewać się można zwycięstwa. — W sprawach tego świata nawet zupełnie uprawnionych, skutek rozstrzyga o zasługach tych, co je rozpoczęli. Dla pośpiechu pomijam zarzuty, które łatwo można tu robić, jakoby to było bałwochwalstwo powodzenia; bo Opatrzność dała po to ludziom rozsądek, który dla narodów zwie się zdrową polityką, aby nim się kierując, gotowały sobie przyszłość. Filozofia nie potępi tego poglądu, tem mniej teologia, która pomiędzy cnotami głównymi zamieściła roztropność. Z tej wychodząc teoryi, a jest jedynie prawdziwą, poświęcać lekkomyślnie obecne położenie względnie szezęśliwe, a przez to rozumieć możliwość wyrobienia żywiołów przyszłości, bez prawdopodobieństwa powodzenia, jest, nie chęć powiedzieć moralną, ale polityczną zbrodnią względem kraju.

O przyczynach upadku Polski i możliwości onej rozbioru tyle pisano i dobrze, w dawniejszych i ostatnich czasach, że powtarzać tego nie potrzeba, ale należy uważać i znać, że były złożonej natury. że jedne leżały w charakterze, drugie w geograficznem położeniu i historycznym rozwoju narodu. Że nie byliśmy bez winy, że za tę winę odpowiada głównie kierująca i wszystko absorbująca klasa narodu, to wiemy

i przyznajemy; ale może nie zdajemy sobie dosyć sprawy z konieczności odbycia szkoły nie tylko cierpienia, ale i politycznej organizacyi, któraby zrobiła z nas ciało żywo tne. Sejm czteroletni z najwspanialszemi aspiracyami próbował tego napróżno; nie było materyału, a ten co był, zużyty, spróchniały, nie dał się galwanizować frazeologią Roussa i Mablego. Ktoby dobrze dzieje porozbiorowe uważał, znalazłby w nich coś opatrz nego.

Po sromotnym, imieniem i usiłowaniu Kościuszki opromienionym upadku, bierze Rosya Podole i Litwę, zachowując im całą prawodawczą organizacyę. Prusy cywilizują i organizują zachód; jedna Austria, sama zdezorganizowana przez Józefa II, rozciąga społecznie Galicyę. Duch rycerski, który bądź co bądź podupadł, budzi się świetnie w Napoleońskiej, jałowej zkadinał epoce i z wawrzynem dobija stanowiska w Królestwie Kongresowem. Czy Aleksander wiedziony szlachetnem natchnieniem, czy z przymusu politycznego utworzył Królestwo Polskie, o to rozprawiać się tu nie będę, choć nie jest koniecznem przeczyć podniosłemu uczuciu, które mimo memoriałów genialnego Pozzo di Borgo, patriotycznego Karamzina i śmiałych przycinków pani Uwarow (o tem wszystkim autor nie nie wie), Królestwo Kongresowe powołało do życia. Królestwo to, kiedy równocześnie w zabranych krajach panował Statut litewski, a kształciło Wilno, Krzemieniec, Bazylianie; kiedy Poznańskie kwitnęło pod łagodem, napół polskiem namiestnikowstwem Radziwiłła, kiedy w Galicyi gubernator księżę Lobkowitz goił rany, przez poprzednią zadane biurokracyę, miało wszystkie warunki, aby utrzymać narodowe, a wyrobić organiczne żywioły. — Wolność sumienia, o ile jej nie kępowały wolnomularskie zachody; wychowanie w języku, w duchu i kierunku narodowym; wojsko wywiezione i nauczone, jak żadne w Europie, administracyę, w której ani jeden Rosyanin nie zasiadł, sądownictwo z kodeksem Napoleońskim, sejm i wolna dyskusya. Prawda, orzeł biały na łonie dwugłownego — prawda, brat cesarza wojskiem dowodził — prawda, Nowosilcow po-

dejrliwym okiem śledził prądy opinii kraju; młodzież czuła się przygnębioną, a wiem to z osobistego doświadczenia: wolność druku, której nadużywano, ograniczoną; wolność poselska na legalnej niby drodze pogwałconą.

Należało ważyć na szali wielkie korzyści i z natury położenia wypływające niedogodności; kraj to rozumiał, cierpliwie znosił, a mogę poświadczyć, bo choć bardzo młody, ale obyły w sferach wyższych, doskonale pamiętam usposobienie ogółu.

Barzykowski ustawnie przyznaje się do stronnictwa i zasad konserwatywnych, powstaje na Lelewela, Mochnackiego, klubistów itp., ale dla braku zasad wyrobionych odzywa się w nim ustawnie wspomniany już dualizm, który bałamuci sąd jego własny i czytelnika.

Pomijając płytki sąd autora o wpływie na wychowanie publiczne i stanowisko duchowieństwa, ministra oświecenia Stanisława Potockiego, pomijając zupełną niezajomość stosunków ówczesnych, kiedy do czasu jego rządów odnosi odrodzenia życia duchowego, które on pietyzmem nazywa, to trudno zrozumieć tego konserwatyście, który podnosi do zasługi działanie kaliskiego stronnictwa w sejmie, a spisku w wojsku i społeczeństwie. Chcąc te czasy i ludzi sądzić, trzeba widzieć jasno, czy miały być etapami, szkołą, czy spełnieniem natychmiastowem ostatecznych życzeń i celów narodu. Szkoła liberalno-konstytucyjna panowała we Francyi, na jej modłę ukształtowano konstytucyę 1815 r., ztąd wniosek, że reprezentacya Królestwa powinna domagać się wszystkich następności, jakie wysnuwała z teoryi reprezentacyjnej Francya. W zarodzie rządów parlamentarnych, tak jak były pojmowane na kontynencie, leżał zaród rozstroju, który wszędzie doprowadzał do zaburzeń. Wiedzieli to dobrze liberaliści francusey, którzy od razu pozbyć się chcieli Burbonów i królewskości, a z logiczną konsekwencyą prowadzili swe zamiary aż do dni lipcowych. Nie inaczej szło u nas, chociaż najwytrawniejsi i wypróbowani patryoci, jak Staszyc, Mostowski, Matusiewicz, Koźmian, Badeni; nieskazitelni admini-

stratorowie, jak Rembéliński, Piwnicki, Radoszewski, Deboli, napominali i wstrzymywali zapędy. Nie pomogło to ani Niemojewskiemu, ani Kicińskiemu, który w Kronice i Orle białym tłómaczył czy ndawał dziennikarstwo francuskie. Sprawa była z monarchą łagodnym i idealistą, który własne chciał ratować dzieło. — Aby mieć wyobrażenie, jaki wiał wiatr jeszcze w roku 20-tym, przypominam, że Aleksander jadąc na sejm, wstąpił na obiad do Kicińskiego, aby tym dowodem zaufania, zmodyfikować jego opozycję. — Kierunek, który Izby i publicystyka głosiły jawnie, towarzystwa tajne w prądach podziemnych krzewiły. — I tutaj Barzykowski rozczuła się i unosi. — Prawdę mówiąc, jest nad czem się rozczulić, bo kiedy z poświęceniem, w najszlachetniejszym celu rzuca się człowiek w przepaść, to choć drugich za sobą ciągnie, współczuciu oprzeć się nie można. Wolnemularstwo bardzo rozkrzewione, podniosło urok tajemnicy i wielkich spraw, których każdy dotykać się mniemał; miłość Ojczyzny po Sejmie czteroletnim, Kościuszkowskim powstaniu, legionach i wojnach Napoleońskich potęgowała się w miarę oddalenia aż do ideału. Wolnemularstwo dawało formę gotową, a samo do ogromnych, a skutecznie dążąc celów, mogło dać otuchę miejscowym usiłowaniam. W takim położeniu, wśród takich wpływów, zawsze znajdują się ludzie, którzy obdarzeni większą energią charakteru, wezmą inicjatywę i pociągną równie exaltowanych a słabszej woli. Jeżeli cel wskazany odpowiada szlachetnym uczuciom, a nawet obowiązkom człowieka, jeżeli do tego niebezpieczeństwo idealizuje działanie, to w zapalnym jak nasz charakterze, kiedy każdy rodzi się i umiera ze stanowczą wolą spełnienia choćby najtrudniejszej dla Ojczyzny ofiary, łatwo wciągnąć nie tylko młodych i niedoświadczonych; wówczas, kiedy znamy psychologiczne zjawiska, że człowiek sam siebie, krążąc w jednym kole do odurzenia doprowadzić potrafi, wskazując sobie i drugim fata morgana pełne uroku i nadziei. Pamiętam na Saskim placu tę izbę, w której odbywał się sąd wojenny nad Łukasińskim — (jeżeli się nie mylę, z czarnym silnym zarostem, a Dobrogojski

łysz) — pamiętam wyraz energii i rezygnacyi bohaterskiej tego człowieka; uchylam głowę przed poświęceniem, a odczuwam męczarnie, ale niewątpliwie wpłynął ten spisek na usposobienie cesarza Aleksandra, podniósł podejrzliwość W. Księcia, zwiększył wpływ Nowosilcowa i utorował mu drogę do Wilna.

W pamiętniku, który człowiek letni zostawił nie dla szerszej publiczności, ale dla dzieci, czytam pod r. 1825 następujący ustęp:

„Nie skończy się nigdy polemika o wartość tych czasów i ludzi, którzy w nich działali. Jedni uznając tylko nieprze-dawnione prawa narodu do niepodległości, nie przestaną uznawać zasługi tych, co stawali niby bezwzględnie po stronie narodowej, bezustanku potrzebnie albo niepotrzebnie, czyniąc rządowi ówczesnemu opozycyę. Drudzy, oceniając niezmierne polityczne środki, które naród znajdował w ówczesnych stosunkach do przygotowania i wyrobienia warunków przyszłości, potępiać będą próżność i lekkomyślność, które nie umiały zrozumieć, czem była i czem być była powinna epoka Królestwa konstytucyjnego. Było dowodem niesłychanej niewytrawności politycznej chcieć stosować cały niewypróbowanych jeszcze form konstytucyjnych mechanizm, do parlamentarnego życia w naszym kraju. Francya wolna i potężna, próbowała a nie mogła trafić na właściwy użycia go sposób; nie mogła zaś głównie dlatego, że było stronnictwo zdolne, silne, liczne, dla którego parlamentaryzm był tylko środkiem rozstroju obecnego porządku. Czy tosamo nie powtarzało się pod innemi formami w Warszawie? Czy próżna chęć naśladowania Francuzów nie działała na wielu w kraju? Czy chwala deputowanych, Manuel, Benjamin Constant, Foy, nie oddziaływała na Biernackich, Niemojowskich itp.? Kiedy liberaliści francuscy chcieli doprowadzić i doprowadzili do starcia z Burbonami, to pytanie, czy Kaliszanie mieli tensam zamiar. Może i nie: ale ludzie próżni zamiast wyprowadzić z konstytucyi praktyczne korzyści, negacyjne tylko umieli zając stanowisko, wystarczające dla ich miłości własnej, bo

poklaskiem nagradzane, szkodliwe dla kraju. Ludzie ci ani jednej praktycznej, użytecznej nie podnieśli myśli, a wykonanie niektórych nawet koniecznych, uniemożliwili. Wystarczyło im głośne między swymi odzywanie, a w nagrodzie opinia, że są dobrze myślący. Być może, że sami nie spiskowali, ale gotowali w usposobieniach młodzieży, w wojsku grunt do spisku. Tem bardziej godni kaźni, że kiedy przyszedł 1830 r., nie okazali zdolności, ani tej silnej decyzji, która szale losu przeważa, a na której zwykle retoram zbywa. Znaleźli odrazu poparcie w dzienikarstwie, które zaczęło powstawać, a miało główny organ w Kronicy i Orle białym, które wydawał Bruno Kiciński“.

„Dzienniki te naśladowały formą, rodzajem polemiki słynną wówczas w Paryżu Minerwę, a niepowściągliwością wywołały cenzurę. Naprzeciwko tych ludzi stało stronnictwo rządowe złożone z urzędników, którzy niegdyś zajmowali stanowiska polityczne jako najbardziej wypróbowani patryoci: Matuszewicz, Mostowski, Staszyc, Badeni, Koźmian, Potocki itd.. nie tworzyło to stronnictwa, jakbyśmy dziś powiedzieli konserwatywnego, zasady te nie były się jeszcze wyrobiły; prosto kierując się prostym rozsądkiem, uważali, co możebne, a co nie, niewątpliwie zaś górowali wytrawnością i politycznym poglądem nad Kaliszanami, choć przypatrzwszy się im zbliska, nie śmiem powiedzieć, żeby mieli to wyrobione poczucie, które później w nas młodszych powstawało; że polityczne położenie Królestwa utworzonego Kongresem wiedeńskim, było dlatego tak cennem, że dawało sposobność wyrobienia warunków przyszłości. Zasady zwolna powstają i zwolna zdobywają sferę.“

„W kraju do szpiku przez anarchię zniszczonym, przez rozbiory i następne obce rządy zatomizowanym, z kąd mógł powstać zaród zdrowej prawa publicznego nauki? Rewolucyjne zasady zaatakowali pierwsi w korzeniu De Maistre i Bonald. Wiednie czy bezwiednie, przyznając albo przecząc, winna im ludzkość europejska, a później Hallerowi, Burkemu, Genzowi, systematyczne przeciwstawienie nauki zdrowej, kon-

traktu społecznego nienaturalnym błędem. Wówczas w cieniu nieliczne powstawały kółka, wyznające naukę, która społeczność osadzała na właściwym fundamencie, tak, aby drzewo, zapuściwszy korzenie w grunt zdrowy, organicznie gałęzie ku niebu wznosiło. Te przekonania coraz więcej przemawiały ludzi i ci właśnie nie tracąc wiary w byt Ojczyzny niepodległej, chcieli pracować na gruncie przez konstytucję danym, aby jej zapewnić to zdrowie, te siły moralne, bez których życie tak pojedyńka, jak narodu niepodobne. Ci ludzie byli przeciwni spiskom. Takiej szkoły nie było wówczas i niema jej dzisiaj, która by zrzekła się przyszłości dla Polski, ale była taka, która nie chciała zużywać sił w walce samobójczej, i która nie wierzy, aby naród mógł żyć, póki do tego warunków sobie nie wyrobił. Rozumieli nadto ci ludzie, że społeczność żadna kwitnąć nie może bez zasad moralnych, sformułowanych prawdziwie tylko w katolickim Kościele; że przeto osłabioną w wyższych i średnich warstwach wiarę, należało umocnić, niemal przywrócić, a utrzymać w ludzie.“

Krótki ten sąd śmiałem przeciwstawić rozległym Barzykowskiego wywodom, — a posłuży on także umysłowi zdrowemu, aby ocenić spisek r. 1825 i jego następności.

Bobrzyński, który ani widział ani czytał tyle, co Barzykowski, tym dziwnym zmysłem, który go zawodzi tylko, kiedy mu zdrowy pogląd tamuje zakorzenione uprzedzenie, sądzi epokę i jej czynniki daleko zdrowiej, jak Barzykowski, rozumie dobrze wartość spisków; kiedy jednak przychodzi do Sądu sejmowego, równie trudno mu ferować wyrok, jak senatorom r. 1828. Zręcznym bardzo zwrotem robi ówczesny rząd, Radę administracyjną, odpowiedzialną za dopuszczenie nielegalnych spisków i nielegalnego śledztwa, ale zapomina, że ona była bezwładną. Kiedy zaś mimochodem zbył ocenienie postępowania Sejmu sądowego, a Barzykowski pod niebiosa go wynosi, muszę moje powiedzieć zdanie.

Nie potrzebuję odwoływać się do sławnego rekwizytorium Wyczekowskiego, aby powiedzieć, że oskarżeni byli

wobec prawa winni. — Polska przyjęła Królestwo kongresowe i konstytucyję; nie rozprawiając wówczas o prawach nieprzedawnionych, przyjęła ją jako dobrodziejstwo, korzystała ze samorządu języka, nauki, swobody i względnej niezależności.

Jak w każdym kontrakcie było choć tajne: *do ut facias*. Co miała dać za to Polska? wierność Monarsze. — Ale mówi Barzykowski k. 82: Mikołaj od koronacyi gwałcił konstytucję. Tak nie jest. Mikołaj właśnie od chwili koronacyi konstytucyi nie gwałcił; odroczył ją aż do ukończenia Sądu sejmowego, aby dalszem prowadzeniem procedury nickonstytucyjnej, przysiędze swej kłamu nie zadawał. — Spisek poprzedził o wiele koronację. — Cóż mieli robić senatorowie? Słuszne badania komitetu śledczego odrzucili, a jednak powtórne badanie dostarczyło dosyć materiału: *Es ist die Frucht der bösen That, dass Sie fortzeugend Böses muss gebähren*. Takie straszne niesprawiedliwości, jak rozbiór Polski, to, co go poprzedziło i następowało po nim, „rozwiązują sumienia.“ Trudno dopatrzeć się właściwej drogi tam, gdzie obowiązek prawny walczy z uczuciem sprawiedliwości. W takich ciężkich położeniach rozstrzygać powinien i wzgląd i rozum polityczny; tu rozstrzygnęło uczucie i parcie opinii. Ztąd dwa następstwa wyroku: zachwiało zaufanie cesarza w skuteczność instytucyi Królestwa; uświęcił prawo i zasługę samozwańczych i tajemnych robót; dlatego nietylko nie ustały, ale pod rozmaitą krzewiły się formą. Neguje wprawdzie Barzykowski spisek koronacyjny, bo oczywiście nie znał jego szczegółów. Spisek ten studencki, którego główny aktor dotąd żyje, policya wysłodziła; Lubecki zręcznym obrotem, kiedy mu wyznano sprawę, dochodzenie w zarodzie przytłumił. Do najwyższego stopnia rozgorączkowana podczas trwania Sądu opinia, uspokajała się zwolna; koronacja zajmowała i łagodziła umysły, a wkrótce Sejm pierwszy za Mikołaja miał rozpocząć obrady. Życie umysłowe, ekonomiczne i polityczne Królestwa, świetnie się objawiło. — Dobrobyt podnosił się, dzięki zaprowadzeniu Towarzystwa kredytowego, Banku, rozwojowi przemysłu, bo trudno było szukać zdzierstwa, o ja-

kiem na k. 113 Barzykowski wspomina. Minister niepospolity, otoczony gronem zdolnej młodzieży, który działał nietylko na sprawy, ale co bardzo ważne i na wyobraźnię, wywołał ruch dający poczucie państwowego bytu. — Henryk Łubieński, Ludwik Jelski, Łęski, Michałowski, Tys, Leon Sapieha, pracowali z zapalem w biurach i fabrykach; Wolicki jeździł do Anglii, Małachowski do Indyj, aby drogi handlowe rozpoznać; i nie wiem, czy stolica Polski kiedy takim cieszyła się życiem, które barwiła i podnosiła do ideału literatura, nauka i poezya. Po Sonetach, Wallenrod i Oda do młodości, drukowane w Petersburgu; po Liście do Krytyków Warszawskich dogorywała walka z klasykami; takie było usposobienie kraju i stolicy; którą po raz ostatni uświetniło niezrównane urokiem społeczeństwo zgromadzone na Sejm 1830 r.

Małżeństwo jest tak dalece główną społeczeństwa podstawą, że bywa atakowane i bronione z równą namiętnością. Dlatego dyskusya kodeksowa w r. 1801 i 1819 we Francyi, obecna w ciele prawodawczem tego upadającego narodu, są tak gwałtowne. Tradycya rozwodów była u nas zdawna straszna; kodeksowe prawo w Rzeczypospolitej Krakowskiej ułatwiał nadużycia, Józefińskie w Królestwie bałamućilo może bardziej jeszcze sumienia.

Poważne obywatelstwo, stan mieszczański, niezepsuty lud prosty, że pominę duchowieństwo, czuli potrzebę uregulowania tego prawa; i kiedy Barzykowski na k. 173 mówi: że kraj był zadowolniony tem prawodawstwem i zmiany nie żądał, to przemawia imieniem sfer, w których żył, adwokatów, pseudoliberalów, ex-masonów itp.

Jestto dziś zwyczajem wobec regimentu, jaki od lat 20 panuje, podnosić cesarza Mikołaja, — imponuje niezłomność tego charakteru, a jednak było najśrodszy dla nas panujący, jak tego dowodzi zniesienie naszych uniwersytetów i prawodawstwa, zabory bibliotek, zniszczenie unii na Litwie, ucisk paszportowy, niemiłosierne znęcanie nad pojedynczymi wygnańcami. Takim był od roku 1830. — Na Sejm przybył

w usposobieniu poważnem, przychylnem. Jak powiedziałem, Sejm i kraj rozogniała i dzieliła sprawa o małżeństwach. — Przywodzi Barzykowski, jak przy pierwszym z kilkoma posłami zetknięciu cesarz rozpoczął o tej sprawie rozmowę i dosłownie treść jej przytacza. — Bolesno, ale trudno nie przyznać, że każde słowo Mikołaja pełne wyższego poglądu i prawdy, a odpowiedź obraca się w komunałach o życzeniach narodu, tolerancyi itd.

Ważną tę bardzo dla historyi Kościoła polskiego sprawę znam dokładnie; nie tutaj dla szczegółów miejsce, może je kiedy osobno streszczę; tutaj dodaję, że nie dlatego tak ogromna większość okazała się przeciw projektowi, iżby Sejm był antykościelnie usposobiony, ale dlatego, że projekt był tak zredagowany, że liberaliści za nim wotować nie chcieli, a gorliwi katolicy nie mogli.

Zaledwo cesarz i Sejm we wzajemnem rozeszli się rozdrażnieniu, strzały na paryskim bruku wstrząsły Europą, a nigdzie może tak głośno się nie odezwały, jak w Warszawie.

Jeżeli zadałem sobie pracę obecnego rozbioru, to dlatego tylko, aby podnieść kilka prawd, które historia początku i przebiegu naszego powstania wskazuje, a które są tak ważne, że uznanie ich albo pominięcie, na przyszłe losy Ojczyzny wpłynie.

Narody upadłe, podbite, rozdzielone, jak giną przez rozstrój wewnętrzny, tak mogą tylko odżyć, kiedy wzrost i potęga sił moralnych jego są tak wielkie, że rozsadzają obręcz, która je cisnęła. Społeczeństwo, które nie ma w sobie organicznych potęg, którego żywioły w niezgodzie, które władzy, prawa i hierarchii, choćby tylko moralnej, uszanować nie potrafi, choćby jarzmo zrzuciło, może się miotać, jak środkowej Ameryki ludy, może szarpać własne wnętrze, jak Irlandya, ale nie wytworzy warunków bytu i żyć o własnych siłach nie może. W Polsce duch anarchiczny owładnął tylko warstwę rządzącą, zstąpił wprawdzie i do warstw średnich, ale lud został nietknięty, podstawa była jak z granitu i pokazało się to w r. 1831, 1848 i 1863. Ta klasa,

szlachta, która zawiniła, ta też głównie pod każdym ucierpiałą zaborem, najmniej pod rosyjskim. Wpływ jej społeczny zmaleł, a wady zstąpiły o gradus niżej, do obudzonych warstw średnich i tam też do dziś dnia pokutują z dodatkiem kwasu, antagonizmu i nowych rewolucyjnych zasad, które niby mają galwanizować stare i niewolą ubezwładnione ciało.

Jeżeli naród znajduje się choć we względnej zawistości, ale w takich warunkach, że może doskonalić swoje cnoty i właściwości, nabywać sztuki rządzenia, której zawsze mu zbywało, bogactwo podnosić, a waść wewnętrzną łagodzić, to położenie takie powinien uszanować, wyzyskać i czekać odpowiednich okoliczności, które dla roztropnych Opatrzność sprowadza. Właśnie Królestwo Polskie, oddziałujące już samym bytem swoim na Galicyę i Poznańskie (Flotwel i Krieg byli niepodobni, póki konstytucya r. 1815 istniała), było w tych warunkach, i należało je tylko roztropnie wyzyskiwać. Choć te poglądy dostępne były już podówczas nielicznemu tylko kołu, to kraj cały instynktowo powstania nietylko nie pragnął, ale go się obawiał; jeżeli prawda, że wytrawni patrioci byli zapytywani o zdanie, toć pewna, że odpowiadali: nie e z a s. Stary, dzieciinniały expodstoli Sołtyk, próżny synu jego Roman, mogli potakiwać, kiedy J. B. Ostrowski robił im zwierzenia, ale prócz Lelewela, żaden poważny człowiek nie był czynnym w spisku i odpowiedzialność ciąży na kilkunastu młodych ludziach, którzy heroiczną odwagą błąd zapału okupili. W szkole, pod srogą utrzymanej karnością podchorążowie, których serce i umysł niczem nie były zajęte, a których młodość potrzebowała czynu i ideału, byli niezrównanym dla spisku materiałem.

Znalazł się człowiek uczciwy, czystych intencyj, gorącego serca, ciasnej głowy, a więc zdolnej do fanatyzmu. W takich ludziach działa bez ich niemal wiedzy Demon, który łatwo udziela się drugim. Tak było z Wysockim, który ani się domyślał, jaką na siebie bierze odpowiedzialność, i że zapalając stajnię na Soleu, zapalał zarazem wszystko, co było

pozostało z dawnego ustroju Polski w Królestwie i zabran-nych krajach.

Kto w przekonaniu, że spełnia obowiązek, ryzykuje życie, ten ratuje swoją moralną wartość; ale należy raz uznać, że takie poświęcenie natchnione zarozumieniem, które poprowadziło do zguby, nie jest zasługą krajową. Jakkolwiek bądź główna odpowiedzialność sięga wyżej, bo powstanie nabrało siły i żywotności, kiedy mu ludzie poważni nadali firmę i znaczenie.

Przebieg pierwszych chwil powstania podaje autor mniej więcej prawdziwie. Odrazu objawiły się dwa prądy: rodzinny narodowy i rewolucyjny. — Ostatni, choć głównie na wybuch wpłynął, nie miał licznych stronników, ale świadomych środków poruszania mas ludowych. — Oni to w obawie, aby ruch nie był wstrzymany, siali odrazu podejrzliwość i trwogę, a ustawnem parciem pędzili naprzód Radę administracyjną, a następnie Rząd tymczasowy. W Warszawie panował zupełny bezrząd, a jedynie łagodny charakter ludności był rękojmią bezpieczeństwa. — Kto przywodzi? Chłopicki; a Chłopickiego niema i znaleźć nie można. — Trzeciego dnia na zakłęcie, że sam jeden ład utrzymać i od nieszczęścia zachować może, wychodzi. — Widzę tę potężną postać w granatowym wytartym surducie, w białym kapeluszu, przepasaną niebieską wstęgą, jak z domu na Nowym Świecie wychodzi pomiędzy tłum, zalegający ulicę. — Ledwo krzyknął, tłum się rozstał, uspokoił i z uszanowaniem szedł za nim, zdaje mi się do gmachu bankowego. — W nas duch wstąpił, trwoga w serca spiskowych. — Ale nie tracili czasu. Biegli w swojej sztuce, odrazu zorganizowali narzędzie, za pośrednictwem którego mieli rządzić opinią i miastem. Kto widział klub w sali reutowej, zrozumie, czem był klub Jakóbinów. Trzy do czterech tysięcy ludzi najrozmaitszej barwy, usposobienia, kultury, których ciekawość, namiętność, interes dla sprawy zebrały. Przewodnictwo, bióro, organizacya, z góry obmyślona, role do poklasku albo niechęci rozdane; pomiędzy zwolennikami łączność i świadomość celu, u innych rozbiecie.

Jeżeli Rząd tymczasowy, jeżeli kraj, jeżeli Chłopi nie wiedział, dokąd idzie, to klubowi było to doskonale wiadomo, dlatego od pierwszego posiedzenia sformułował jako zadanie wojnę z Rosją, rozbicie i wzięcie w zakład W. Księcia, rewolucyjne wewnątrz kraju środki; dlatego szturmem do Rządu wprowadził członków swoich w nadziei, że go ośwładnie.

Bezmiernie w Chłopi zaufanie, zdrowe usposobienie ludności, namiętne słowo Mochnackiego, że Chłopi jest mimowolnym zdrajcą, nagła słabość Dyktatora, zachwiały wpływ klubu demokratycznego; zawiązał się też był klub obywatelski, o którym Barzykowski nie wie, a który mając równoważyć działanie pierwszego, skłonił przywódców do rozwiązania się jawnie po to, aby w utajeniu tem niebezpieczniej działać.

Piątego grudnia spotykam na rogu Miodowej i Senatorskiej ulicy Margrabiego. — Nie mówiąc a odgadując wzajemne uczucia, uściskaliśmy się w radości. Chłopi tylko co był ogłosił się dyktatorem. Pospolite uwagi, jakie Barzykowski z tego powodu robi, nie zgola nie wyjaśniają; nie-szczęście chciało, że Dyktator dodał słowa: „Zatrzymam tę władzę aż do zebrania Sejmu.“

Władza każda prawdziwa powstaje sama przez się, potęgą wewnętrzną, która opanuje położenie. Choć sobie z tego nie umieją zdać sprawy, staje się potrzebą i dlatego potrzebuje być i bywa uznana, nigdy delegowana. Wedle tej myśli dyktatura była zupełnie prawą władzą, a najlepszy dowód, że nikt jej zaprzeczyć nie śmiał, cały naród ją uznał. Łączył ten człowiek w sobie siłę moralną, zaufanie ogółu, wiarę w jego zdolność, zaenność, niezbędność, a ujął, że tak powiem nietylko władzę polityczną, ale panowanie nad duszami całej Polski. — Nie było równowagi pomiędzy charakterem a polityczną zdolnością; sumienny, czując odpowiedzialność wielką, chciał ją zmniejszyć, składając ją ostatecznie na powagę Sejmu.

Ja tak sobie Chłopickiego tłómaczę. — Ruchowi powstań-
czemu obcy, nieprzychylny, naraz, mimo swej woli, staje się
jego naczelnikiem. W przekonaniu uważa ruch za kata-
strofę. — Przymuszony zdaniem wszystkich uczciwych i grozą
chwili do ujęcia władzy, postanawia ratować położenie pod
najstraszniejszą dla Polaka odpowiedzialnością, wstrzymania
walki o byt Ojczyzny. Dlatego ani zbroi kraju, ani zrywa
z monarchą, szuka w układach albo wyjścia, albo odwłoki,
bo na tej tylko drodze spodziewał się zasłonić kraj od klęsk
materyalnych i politycznych. Aby wstrzymać stanowczo, bra-
kło mu odwagi czy siły, a dałoby to się otrzymać na razie.
Człowiek najbardziej nawet stały i uparty, jest człowiekiem;
chciał on się poświęcić dla ratunku kraju, jak go pojmował;
chciał przytłumić powstanie, ale tymczasem fala biła coraz
wyżej, atmosfera około niego gorzała, krok w tył był coraz
trudniejszy. I powstał w nim jak w każdym Polaku dualizm;
chciał i nie chciał; wskutek tego najczystszy, najzaśniejszy
człowiek, gotów sto razy za honor i Ojczyznę zginąć, zоста-
wił wątpliwą sławę; a jednak stokroć winna mu Ojczyzna
wdzięczność, że ją zachował od anarchii, od strasznych i krwa-
wych następstw, które byłyby odjęły powstaniu rycerskie
piętno, jakie je aż do dziś dnia opromienia.

Sejm uznaje powstanie jako narodowe, potwierdza dy-
ktaturę, wydaje manifest, którego Dyktator podpisać nie chce,
na zwiększenie siły zbrojnej zezwalając. Kiedy niecierpliwie
czeka na skutek wysłanej do Petersburga deputacyi, spiszek
wichrzyć nanowo zaczyna, a przez organa swoje sieje podej-
rzenia i niezgodę. Naraz jak z pod ziemi występują ludzie
nieznani, już nie polemizują, ale wyją jak hyeny i szakale.
Chłopicki, który nie znał ludzi, mało ufał delegacyi, a nawet
księciu Czartoryskiemu, naradzał się poufnie tylko z bliższem
otoczeniem; wobec niepokojów wewnętrznych, wobec odpo-
wiedzialności, która rosła, dochodził do największego rozdra-
żnienia, a kiedy Wyleżyński, a następnie Jezierski, wrócił
z Petersburga z wiadomością, że Mikołaj żąda poddania się
na łaskę, a masy wojska w pochodzie na Warszawę, oświad-

cza urzędownie, niestety zapóźno, że wojny prowadzić nie można, że traktować należy pod pruską medyacyą, że on w tych warunkach dyktaturę i dowództwo, zwłaszcza obok zwołanego Sejmu, składa. Barzykowski powiada, że przekleństwo narodu i historii ściągnął tym krokiem Chłopicki na siebie.

Takie sądy pochodzą od ludzi, co nie mają silnych przekonań. Rządzą się sentymentem, a których charakter nie dotrzyma wobec sprzedanej opinii.

Chłopicki był winnym. Przekonany o niemożności walki, przeciwny każdemu rewolucyjnemu duchowi, powinien był odrazu oświadczyć głośno, że władzę bierze tylko po to, aby przywrócić porządek. Jeżeli to powtarzał prywatnie i rządowym i wojskowym osobom; jeżeli źle przyjmował wysłańców Poznańskiego albo zabranych krajów; jeżeli wstrzymywał uzbrojenie, to wszystko to działo się poniekąd tajemnie. Działał ucziwie o tyle, o ile zgodnie z przekonaniem, ale niesprawiedliwie utrzymywał opinię krajową w błędzie, neutralizował działalność. W takim usposobieniu nie należało zwoływać Sejmu, a zwoławszy, nie przyjmować delegowanej dyktatury, albo wziąć na siebie odpowiedzialność układów. Ale nie byli bez większej winy ci, którzy wmaiwiali w niego i w siebie przekonania i nadzieje, których nie mieli, a narzucali je poniekąd krajowi, bo ten nie mógł i nie powinien się był rachować, kiedy tak poważne wzywały go głosy. Tak, z tych najrozmaitszych żywiołów spiskowych, patriotycznych, braku odwagi u jednych, niestanowczości u Dyktatora, powstała atmosfera wulkaniczna, niepohamowana, którą otworzyło uznanie powstania jako narodowego, a zamknęła ale nie uspokoiła detronizacya. Po tym akcie układy były już niepodobne, walka była szaleństwem, ale dla każdego Polaka stała się obowiązkiem. Kiedy naród cały chce lecieć w przepaść, kiedy zrobiło się co można, aby go wstrzymać, osoby swojej ratować niewolno. Jednemu Chłopiickiemu, który ciągle był wojnie przeciwny, przystało odmówić dowództwa.

Barzykowski bardzo szczegółowo opowiada znany detronizacji przebieg. Potępia, jak każdy człowiek rozsądny, niezem niensprawiedliwioną uchwałę, jałową wobec tego, że Mikołaj maszerował w 150,000 ludzi i w kilka miesięcy mógł faktycznie królować w Warszawie, szkodliwą w stosunkach z państwami Europy. Mimo to, nie może wstrzymać się od uniesień nad heroizmem i odwagą, które w tym przypadku były tylko w słowach. W tej sprawie najboleśniej, że większość, że powagi Izby były jej przeciwnie, a oprócz się nie mogły czy nie śmiały.

Wniosek wyszedł od Romana Sołtyka, który był tu narzędziem klubu; wpływ na przeprowadzenie w Izbie przypisuje Barzykowski pani Michałowej Potockiej. Pani Michałowa Potocka, jedna z najidealniejszych kobiet, wtenczas kiedy ich było tyle, cnoty heroicznej, a namiętnej miłości Ojczyzny, w sprawach krajowych brała wielki udział. Siostra tyle wpływowych Ostrowskich, teściowa Margrabiego, krewna Jana Ledóchowskiego, a matka Tomasza i Henryka, gromadziła w swoim salonie politycznych ludzi, i prawdą jest, że najważniejsze sprawy były tam robierane i układane. Bywałem tam codziennym gościem. Walkę o byt Polski od Odry do Dźwiny, uważano jako cel powstania, ale nie pamiętam nigdy, aby był plan detronizacji układany, tam gdzie panowały głównie trzeźwe Wielopolskiego poglądy. Pani Michałowej wpływ na wszystko, co ją otaczało, a więc i na braci, był wielki, niewątpliwie; podniecała do wszystkiego co wzniosłe, piękne i szlachetne, ale miała zdrowy kobiecy rozsądek, a pewno nie poświęcała kraju dla rodzinnej próżności. Kto znał wojewodę Antoniego Ostrowskiego, kto znał marszałka Władysława, ten wie, że ludzie ci zaci, ale charakteru słabego, o popularność dbali, nie mogli dopuścić, aby ich kto w patriotyzmie uprzedził, i nie oparli się dostatecznie presji Sołtyka i innych. Czy Barzykowski widział kartkę pani Michałowej do brata? Ja o niej nawet nie słyszałem, a mam sobie za obowiązek oczyścić pamięć zacnej pani z zarzutu, który choć nie kazi charakteru, ubliża roztropności. Nie małej trzeba cierpliwości,

aby przejść z autorem opowiadanie posiedzeń, mów, rozporządzeń, jakie nastąpiły po upadku dyktatury i detronizacji. Uczące jednak te szczegóły, bo prawdziwie opowiedziane, ciągłym są dowodem, jak Kaliszanie żywioł władzy jednolitej rozstrajali, a wtórował im spisek, utrzymujący trwogę podziemnym działaniem. Już tutaj należy to dobrze uważać i pamiętać, bo ustawnie powtarzać się będzie i do katastrofy doprowadzi. — *Alea jactu erat*. Jako-tako rząd uklecony, zbroił kraj, a niemal równocześnie armia rosyjska z potężnym „hurra“ przechodziła granice Królestwa. Tutaj zatrzymam się chwilę. Kraj cały o robotach podziemnych niewiele wiedział; powstanie przeraziło go trwogą. Sejmu nie wybierał po to, aby powstanie uznawał, a cesarza zrzucał; ale kiedy raz to się stało, nie wchodząc, kto zawinił i jakie ofiary ponieść przyjdzie, z dziwną prawdziwie rezygnacją i gotowością do niej stanął. Widząc ludzi przewodnich na czele, uwierzył, że jego uczucia, jego powinność, jego interesa polityczne pod zdrowym zostają kierunkiem. We wszystkich warstwach zapal i gotowość były jednakowe: lud wiejski był jeszcze nawskróś patryotycznym, bo wierzył, że go lekkomyślnie nie poświęcą; ochoczo szedł w szeregi, a jak się bił, tego plac boju, jak był wierny chorągwi, tego emigracya kilku tysięcy prostego żołnierza, dowodem. Byłto czas podniosły i uroczysty: matki wyprawiały synów, żony mężów nie w rewolucyjnym szale, ale w poczuciu obowiązku. Bez policyi, bez żandarmeryi, bo ta poszła do karabinierów, prawie bez rządu, panował spokój i najzupełniejsze bezpieczeństwo, które cudzoziemców zadziwiała, i nie wiem, czy kiedy jaki naród dawał podobny przykład zgody i karności. Zgrzyt, który odzywał się w tej harmonii, to był głos szajki, to był duch obey, nienarodowy, który próbował wicherzyć bezskutecznie, aż klęski wojenne dały mu niejaką przewagę. Ujrzymy jego działanie, — będziem je śledzić tembardziej, że z upadkiem powstania nie obumarł, ale każdą chwilę, każde położenie szczęśliwe umie zatruć i zbezpożytecznić. I dziś są Kaliszanie,

i dziś jest nowa Polska, niema tylko Mochnackiego, który genialnością swoje okupywał błędy.

Barzykowski, który źle pisze, a często gorzej jeszcze sądzi, jako członek rządu, któremu powierzono uzbrojenie i zaopatrzenie wojska, działał bardzo dobrze. Pośród trudności, jakie sąsiedzi stawiali, zrobiono dla obrony kraju, co tylko było można. Należało Warszawę w karności utrzymać; od spokoju bowiem stolicy zależało bezpieczeństwo rządu narodowego.

W tym celu polecono Stanisławowi Rzewuskiemu, porucznikowi artylerji, młodemu, ale pełnemu rozumowi i wpływu, przygotować projekt zarządu miasta bezpośrednio przez gubernatora wojennego. Uwagi, jakie z tego tytułu podał Rzewuski, są dowodem, czego Ojczyzna spodziewać się mogła, gdyby genialne zdolności jego były wcześniej uznane i użyte, a choroba i śmierć nie przerwały dalszego działania. Kiedy znakomitą pracę 24-letniego oficera przywodzi *in extenso*, Barzykowski, niech mi wolno będzie kilka słów poświęcić tej znakomitej osobistości, której czyny uwiecznić nie mogły, ale która w całej armii, w całym kraju używała dziwnego zaufania i wziętości. Syn Emira, wychowany pośród najpierwszych ludzi ówczesnego Wiednia, jak Hammer, Genz, ks. de Ligne itp.; wykształcony w Paryżu, gdzie pierwsi uczeni, jak Silvestre de Sacy, Cuvier, cenili genialnego cudzoziemca; filolog, matematyk, przyrodnik, zbadał owego czasu polityczne położenia i zadanie społeczeństwa i Polski, a był środkiem koła, które może po raz pierwszy u nas, badało systematycznie kwestye polityczne i społeczne. Posiadał wszystkie zalety Rzewuskich, a nie miał wad tego znakomitego rodu. Klicki, mojem zdaniem, najlepsza zdolność ówczesna wojskowa, miał nieograniczone w nim zaufanie, używać do służby zaczął, kiedy śmierć przerwała i działanie i zasługę. Przepraszam czytelnika za ten ustęp, ale ciekawe są żywioły, w których odbija się duch i barwa pewnej epoki.

Ciekawe są szczegóły organizacyi wojska, liczyby jego

uzbrojenia, uprowiantowania. Dają miarę wysileń, jakie kraj robił w roku nieurodzajnym. Powstawały fabryki broni, zajądowali się ludzie; bez zagrożeń rewolucyjnych każdy wypełniał polecenia; skutki były zadziwiające, a tłumaczą się tylko przez gorące współdziałanie dobrowolne ludności, z dążnością i rozkazami rządu; wszystkiem jeden duch władał i zmierzał do jednego celu.

Czy co podobnego kiedy powtórzyć się może? Czy nie był tego warunkiem ustrój rządowy i wojskowy, które powstanie zastało; czy ten ustrój, cokolwiekbądź, choćby najenergiczniej zorganizowany spisek, jak n. p. w r. 1863, zastąpić może? Czy krwawemi łzami nie należy żałować zmarowania takiego ustroju? Te pytania należało sobie robić przed powstaniem, te pytania dla nauki możemy sobie robić dzisiaj; w lutym 1831 r. już nie było na nie pory, i nie przesadzę, kiedy powiem, że już nikt ich sobie nie robił; każdy był gotów na walkę i śmierć.

Najsurowszy sędzia naszej przeszłości i charakteru narodowego, nie potrafił nie zarzucić przebiegowi sprawy publicznej w tej chwili i w tem położeniu; pięknie też się odbija w opowiadaniu autora, który ile razy z pola wielkich poglądów politycznych, do których stanowczo nie ma szczęścia, przechodzi na sprawy wewnętrzne, podnosi się w uczuciach i stylu do wysokości przedmiotu, który istotnie przyjmuje heroiczną barwę.

Chłopicki złożył dyktaturę i dowództwa nie przyjął, nieprzyjaciel był w granicach, armia w powstawaniu i bez komendy, Kliki chory. Zrywali się do przywództwa starszeństwem to Krukowiecki, to Umiński; młodszy nie mogli jeszcze się odznaczyć. Sejm wezwał Radziwiłła. Przyjęte jest u dziejopisarzy 1831 r. — a Barzykowski nie robi tu wyjątku, aby Radziwiłła nie tylko surowo, ale, co gorsza, lekko sądzić. — Radziwiłł największe zrobił poświęcenie. — Bez ambicji, zachodów, w poczuciu swojej nieudolności i przekonaniu, że imię jego ucierpi, przyjmuje komendę. Mniej kochając Ojczyznę, a bardziej swoją chwałę, byłby ją odrzucił;

nie zrobił tego, bo czuł, że zamyka wrota intrydze, że posłucha dobrej rady, że jednym słowem, ofiarą swej osoby i sławy, w tej chwili usłuży Ojczyźnie. Więcej zrobić nie można. Radziwiłła nie znałem, ale z tych powodów miałem i mam dla jego osoby szacunek. On jeden też umiał postąpić się genialną Chłopickiego wyższością, a nieucieżdżoną gwałtowność i drażliwość charakteru znosić.

Kiedy się w Warszawie gotują do wojny, wysłańcy polscy szukają sprzymierzeńców i pośredników. Dyplomacya nie była naszą sztuką, zwłaszcza w ostatnich czasach. Dostę przypominieć sobie misję tak znakomitego człowieka, jak Ignacy Potocki w Berlinie. Zamiast wybadać przed powstaniem, a przynajmniej przed ogłoszeniem detronizacyi, usposobienie, interesa, politykę dworów zagranicznych (a błąd ten powtarza się w 1863 r.), rozpoczynamy na własną rękę, z jakimś lekkomyślnem mniemaniem, że zachodnie mocarstwa pomoc nam winny, nie odmówią i odmówić jej nie mogą, a Austria przyjmie albo ewentualną ofiarę sekundogenitury, albo pośrednictwo.

Rozjeżdżają się ludzie zdolni i dobrzy patryoci, ale z mniemaniem, że rycerskości poczucie przeważy nad politycznem. Odezwali się wieszcz, oratory i retory, ale nie odezwał się ani jeden polityczny człowiek z żadnego obozu. Karmili naszych posłów nadzieją, a jak zobaczymy, potrafili ich wyzyskać; jeden, który na ten lep nie dał się wziąć, był margrabia Wielopolski. Dotarł z godnością do osób rządowych, podał znakomity swój memoriał, przekonał się, że wszystko na próżno; nie łudził Rządu narodowego i powrócił do kraju. Będziemy potem słyszeć ustawne narzekania i oskarżenia, że Rząd i wódz rachował więcej na dyplomacyę i pomoc zewnętrzną, jak własną odwagę i siłę; ja, służąc jako prosty żołnierz, odwołany przez wodza naczelnego przed samą Ostrołęcką bitwą na żądanie ks. Czartoryskiego do jego bióra, nie zapamiętam nic, co by dawało najmniejszą otuchę czy pomocy, czy medyjacyi; zawsze rada układów, a raporta

naszych wysłańców opiewały więcej o sympatyi ludów, jak o przychylności rządów; wyzyskiwały też stronnictwa francuskie naszą dobroduszość, używały nas nie bez szkody jako postrachu dla Rządu. O tem powie się niżej, a teraz tylko mogę prosić czytelników aby wzięli do ręki tom II Barzykowskiego, od karty 270, a pocieszyli się żywo przedstawionym obrazem prawdziwie olbrzymiej tej walki, tem bardziej pocieszającej, że tam już nie było rozbioru, czy dobrze albo źle, potrzebnie albo nie; tam walka choćby bezskuteczna była obowiązkiem, ratowała honor Ojczyzny. — Honor też ten został wyratowany.

Bitwy pod Stoczkiem, Wawrem, Białoleką, zostaną zawsze chwałą imienia polskiego. Grochowska należy do najheroiczniejszych, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek były stoczone. Przebieg tych bitew może nie był nigdy tak dokładnie opisany, jak w dziele Barzykowskiego. Zna Willisena, Schmitta i całą polską wojskową literaturę; ma pod ręką urzędowe raporta, a osobiście z urzędu i poświęcenia był na placu boju. Mylnie podaje, że Kicki wstrzymał pułkiem II lułanów sławną kirasyerów Albrechta szarżę. Pamiętam bardzo dobrze, że Michał Mycielski z pułkiem drugim uderzył z boku na kirasyerów i homeryczne osobiste spotkanie pomiędzy pułkownikiem rosyjskim i Kickim nie mogło mieć miejsca. — Mayendorf wprowadziwszy świetnie pułk swój, kilkanaście kroków jadąc na czele, stracił konia a dosiadłszy innego, salwował się ucieczką.

W ciągu długiego życia mało miałem publicznych dni pogodnych; z największą pociechą zwracam się do tych, co nastąpiły po 25tym lutego. Każde spełnienie obowiązku, niebezpieczeństwo przebyte, gotowość do nowej ofiary, dziwnie podnosi i uszlachetnia człowieka i społeczeństwo. Odbijało się to na twarzach tych młodych ludzi, którzy w Olszynie otaczali Chłopickiego, jak od ognia i spiżu ogorzałe, oczy iskrzące, spokój i wyższe natchnienie na czole. Tak mi się przedstawili Leon Rzewuski, Tomasz Potocki, Nabelak, Kruszewski, dziecko, jak Maurycy Potocki, zmęźniało. Nie mia-

łem szczęścia być pomiędzy nimi, stojąc w łańcuchu nad Wisłą, ale byli obrazem postawy ludności warszawskiej, jak się ocknęła z pierwszego popłochu. Rząd narodowy rąk nie opuścił, odwagi nie stracił, szybkim wyborem wodza naczelnego, odezwą do miasta i kraju ducha podniósł, reorganizacją i dokompletowaniem przerzedzonych pułków natychmiast się zajął. — Tutaj Barzykowski opowiedziawszy przebieg wyboru, kreśli charakterystykę Skrzyneckiego.

Że ze wszystkich wojskowych najbardziej do tej chwili odznaczył się był Skrzynecki, to pewne. Wszystko, co o nim mówi Barzykowski, wskazuje na człowieka wyższego. Ambicji osobistej trudno się dopatrzeć, choć nie byłaby zbrodnią; widzi błędy popełnione, które już dawniej wskazywał, i ma szczerą chęć, aby ich nie powtarzać. Z natury sytuacji, musiał być i był do naczelnego dowództwa powołanym. Godzinę tę uważa Barzykowski za nieszczęśliwą dla niego i Ojczyzny.

Czy jest pewność, że który z ówczesnych wyższych oficerów byłby prowadził wojnę godniej i szczęśliwiej? Czy przystało, jak proponowano podówczas, błagać Francję o dowódcę, a dawać tak obok chęci powstania własnej nieudolności dowód? Wybór był szczęśliwy, bo zapewnił jeszcze Polsce dni pełne korzyści i chwały, a nie obniżył jej moralnego poziomu. Skrzynecki przyniósł to, co miał: poświęcenie, odwagę, zwykłej nauki wojskowej miarę; nie przyniósł geniuszu, ale podobno tego najlepsza nie wytwarza wola. Z zarzutów, jakie mu robi Barzykowski, jedno śmieszne, drugie niesprawiedliwe. Prawda, inicyatywy nie miał i dowiódł tego już pod Dobrem i Grochowem; ruch zaczepny nie był w jego charakterze, ale serca nie stracił w najcięższej chwili; a przyznaje autor, że osoby swej nie oszczędzał. Oslawioną jego do dyplomacji skłonność, wnet będziemy mogli ocenić, a czytelnik ją osądzi.

Z zadziwiającą szybkością kompletowały się przerzedzone pułki; wódz naczelny, prawda, wypawszy się, bo to mu nawet po tylu nocach trudu zarzuca, z największą czynnością co mu przyznaje, zajmuje się organizacją i ćwicze-

niem wojska, wydaje odezwy, które właśnie i duchem i treścią podniosły serca żołnierzy. Armia, Warszawa, kraj, nacierają odwagi, a stoczoną bitwę uważają za zwycięstwo, które w każdym razie było moralne. Honor wojska, honor narodu był ocalony.

Zasoby obrony ograniczały się do czterech województw w ludziach, żywności i koniach; wiadome były zapasy amunicji i broni. Sąsiedzi szczerze strzegli granic; naszym wyśłańcom minister Sebastiani radził układy, żadnej nie obiecując pomocy; jak się dziwić, że wojskowi starsi, jak Barzykowski mówi, łękliwi, a może też roztropni, myśleli o układach i w tym kierunku parcie na wodza naczelnego wierali. Tu zaczynają się skargi na dyplomatyczną jego skłonność. Mojem zdaniem, nie była to chwila do układów. Jeżeli jaka była, to dużo później i tę wskażę; — ale była potrzeba wypoczynku, była potrzeba wstrzymania ruchów zaczepnych nieprzyjaciela, nawet była potrzeba dania dowodu dość poważnej opinii i pędzącej do układów zagranicy, że dalsze prowadzenie wojny nie było urojeniem zapaleńców, ale koniecznością polityczną.

Wódz naczelny zawiadomiwszy Rząd narodowy, rozpoczął rokowania z główną kwaterą rosyjską, a te jak nie doprowadziły do żadnego rezultatu, tak były obowiązkiem tego, który ostatecznie za przyszłość odpowiadał i znał najlepiej siłę i zasoby wojska. W najświetniejszej i najzasłuższej Skrzyneckiego chwili niechętny mu Barzykowski ze surowym występem sądem, nie pomny, że cały przebieg powstania nie może wskazać na osobistość równie szlachetną, odważną i poświęconą. Dobry żołnierz nie był genialnym wodzem, ale uprzedzenie, robi jego zwycięstwa zasługą cudzych pomysłów, a klęski wyłącznie jemu przypisuje, chociaż Barzykowskiemu lepiej jak komukolwiek wiadomo, jakie wpływy utrudniały jego stanowisko i działanie.

Obok surowego o Skrzyneckim sądu, zobaczymy po trzech miesiącach powstania ludzi, którymi posługiwać się mogło.

Osobistość ks. Adama Czartoryskiego nie potrzebuje już ani pochwały, ani ocenienia. — Nietylko w historii polskiej, ale trudno w historii w ogóle spotkać charakter taki wzniosły, przeźroczy i jednolity: ustawne zapomnienie o sobie aż do granic, w których u człowieka publicznego staje się ono wadą, bo odejmuje nadto indywidualności, a posługuje drugim. Marcin Badeni, z tym zmysłem dowcipnej obserwaacyi, który go odznaczał, mawiał: „że ks. Adam jest jak łódka, na której niejedyn się przewiezie i odepchnie ją od brzegu“. I prawda, przewiózł się na niej Nowosilcow, przewiózł Szaniawski, że innych pomnę. Działo się to dlatego, że nigdy nie szukał siebie, co jeżeli moralnie człowieka podnosi, w życiu praktycznem, zwłaszcza publicznem szkodzi, bo ten, co chce zrobić dobrze i to mieć winien przekonanie, że nikt tak dobrze jak on sam, jego nie przeprowadzi myśli. Widzimy też wielką tę osobistość schodzącą do sfer działania zapewne niemniej zaszczytnych, ale mniej obszernych. Z ministerjum spraw zagranicznych do okręgu naukowego, na kongres, ale już nie jako czynnik przeważny. Minister, który pisał książkę tak wzniosłą pod pseudonimem Toulousant, nie mógł nagiąć się do podstępów dyplomatycznych, któremi na nieszczęście ludzkość posługiwać się musi. Stawiał ideał, czy sam był idealistą? W każdym razie z przekonaniem swoim targować się nie umiał i raz obrawszy drogę, szedł nią do końca, choćby go miała doprowadzić do przepaści. To tłumaczy postępowanie jego w 1830 r. Jak raz uznał powstanie, jak podpisał pierwszą odezwę, tak do ostatka nie chwieje się, może wątpi o skutku, ale nie waha się nigdy, co jemu robić przystoi; najwięcej mając do stracenia, najmniej o tem myśli, bez przechwałek stoi na straży narodowej godności, imieniem swoim okrywa ją nazewnątrz, a kiedy ostatecznie zerwać musi z rządem, któremu służył, śmiałem jak naówczas wspomnieniem, o stosunku kraju i osobistym z cesarzem Aleksandrem, podnosi się aż do ideału człowieka, co przy zmiennych losach umie być wdzięcznym.

Książę, jak ludzie tej miary i tego stanowiska, nie

mógł się cofać, na początku dał firmę, zrazu łagodził powagą swoją antagonizmy, na polu bitwy osobiście się wystawiał, w tem jedynie winny, że zamiast utrzymywać równowagę pomiędzy władzami, władzy nie zagarnął. Działanie dyplomatyczne, które sobie zastrzegł, kończyło się na listach pisywanych do ludzi stanu państw europejskich, których wspinała dyalektyka nie mogła jednak zmienić politycznych konieczności czy uprzedzeń. Powody, jakie my przywoziliśmy, były polityczne, były logiczne, ale niebezpieczeństwa, na które wskazywaliśmy, przedstawiały się w dali, a interwencya, której żądaliśmy, musiała nastąpić zaraz, to jest kiedy tron Ludwika Filipa nie był utwierdzony, a Anglia reformą zajęta.

Zastępował się książe w biurze zagranicznym przez radcę Stanu Andrzeja Horodyskiego. — Byłto człowiek zacny, patriota, gruntownie uczony, może obok Szaniawskiego jedyny publicysta w Polsce, ale niepraktyczny, bez żadnej w dyplomacyi wprawy. Co mógł zrobić doktryner i teoretyk w sferze, w której wszystko od praktyczności i przebiegłości zależy? Największym też naszym błędem było, że odwoływaliśmy się do uczuć, a narody rządzą się i rządzić muszą interesem.

Bodaj każdy umiał ocenić sferę, do której powołany. Lelewel, po tysięczny raz powtarzam, pierwszorzędny uczony, badacz genialny, jeżeli nie wynalazca, to najbliższy poprzednik nowej krytyczno-historycznej metody, umiał przez swój patryotyzm i osobny osobisty urok fanatyzować młodzież. Spiskujący skrycie, prześladowany przez Nowosilcowa, wysunięty został na polityczną widownię już w r. 1830 jako poseł na Sejm.

Wszystkie spiskujące stronnictwa miały z nim poczucie, a wiadomo, jakie podehorążowie przez Wysockiego mieli od niego wskazówki. Dziwny tego człowieka temperament, niezwykła powierzehowność, robiły z niego niemal bez jego woli, konspiracyjną potęgę. Powiedziałem bez woli, bo raczej był pchany, jak szedł naprzód; więcej sztandarem jak czyn-

nikiem, do czego brakowało mu odwagi i inicjatywy. Warto czytać w Barzykowskim, a tu zupełnie zgodny z innemi danem jak gra podwójną rolę w Rządzie narodowym, ministeryum i gdziekolwiek się znajduje. Ani jednego śmiałego czynu, nawet słowa; zasiada w Rządzie, a w klubie patryotycznym prezyduje, z cynizmem, szczerym czy nie szczerym uśmiechem, pokazuje elukubracje swego stronnictwa na sesjach rządu, którego zdradzać przed swymi nie przestaje. Pod jego też powagą, jak zobaczymy, rośnie wpływ nanowo zorganizowanego klubu, który jest zewnętrznem narzędziem tajnego spisku, którego objawy zrazu nieśmiałe, po klęskach zuchwałe, paraliżują Rząd i wodza naczelnego, podkopując karność w wojsku, a zaufanie w kraju. — Pamięć Lelewela póki polskiego języka i historii, uchowają kolosalne, a tyle dla naszego imienia zaszczytne, uczone jego prace, wykonane o głodzie i chłodzie, z jak największą godnością osoby, z abnegacją interesu, ale przyłączył się jeżeli nie do upadku sprawy, to do starcia z niej tej pięknej szlachetności barwy, która wyłączną była jej ozdobą.

Nazajutrz, po wzięciu dyktatury, idę wieczorem na klub patryotyczny. Tłok niesłychany, mowca na stole. Głos miał piękny, dykeja łatwa. mówił o wypuszczeniu gwardyi, o działaniu Chłopickiego i w zapale powiada: „W tej chwili, kiedy ja mówię, Dyktator jest mimowolnym zdrajcą.“ Robi się wrzawa nie do opisania: precz z nim, wyrzucić; młody człowiek blisko stołu, dobywa pistoletu, odwodzi kurek i chce mu w łeb wypalić Tym mowcą był Mochnacki; wśród krzyków ze stołu nie zszedł, ręce na piersiach skrzyżował i spokojnie okiem wodzi po tłuszczy. Po kilku minutach wykrzyczeli się, hałas się uspokoił, a Mochnacki silnym ale wzruszonym głosem: „Śmiałych głosów słyszeć nie chcecie; przyjdzie czas, kiedy całe to zgromadzenie, całe miasto drżeć będzie od strachu, błagać będzie o głos śmiały, a głos śmiały się nie odezwie“. Temi kilkoma słowy, spokojem opanował nanowo zgromadzenie; wiwat niech żyje, oklaskom nie było

końca. Oto są zgromadzenia publiczne, oto czem był Mochnacki.

Wychowany w szkole swojego ojca, który był bardzo zdolnym i uczciwym urzędnikiem, ale zasad sekciarskich aż do fanatyzmu, zdolny, nad wiek swój uczony, zarówno do literatury jak polityki zapalony, z umysłem naturalnie zdrowym i silnym, ale bez zasad, chciał i Ojczyznę oswobodzić, i teorie realizować i swoją osobę wynieść. — Ci ludzie omylili się. — Nie znali kraju. Rozumieli, że dlatego iż teroryzm opanował Francję, da się polskie społeczeństwo teroryzmem rządzić; inny temperament, inny ustrój społeczny. — Teroryzm powiedzie się, gdzie warstwy ludowe staną się jego narzędziem. To, co już w części udawało się w r. 1863, było niepodobne w r. 1830. — Nagromadzili przeto ohydę teroryzmu, nie osiągnąwszy skutku; przeciwny wywarł skutek, to jest atonię moralną, która przyspieszyła upadek. Mochnacki nie był terorystą. Rozumniejszy, nawet zacniejszy od tej gawiedzi, chcąc od początku iść na przebój z powstaniem, trafnie doradzał rozbrojenie gwardyi, marsz na Litwę. Ale w chwili, o której piszę, już jego gwiazda zbladła, wpływu nie miał głównie przez swe otoczenie; odzyskał dopiero całą umysłową swoją siłę w emigracyi.

Władysław Ostrowski, marszałek, z postawy i charakteru rycerz średniowieczny, gotów, jak tego dał był dowody, zginąć przy swojej armacie, stanąć śmiało wobec groźnej władzy, słabnął wobec opinii i nacisku pseudopatriotów. Czyste ale trwożliwe jego wobec interesu Ojczyzny sumienie, wywoływało chwiejność w chwilach stanowczych: przyjaźnią, zasadami, stanowiskiem z ks. Czartoryskim złączony, nie zawsze był mu pewną podporą, zakrywając się obowiązkiem bezstronności, która fałszywie zrozumiana, w chwilach stanowczych gubi sprawy. Mimo to była to jedna z najpiękniejszych czasów tego postaci, bo kraj cały bez różnicy stronnictw, nikomu tak nie wierzył, jak Władysławowi Ostrowskiemu.

Niemojewscy z zastępem Kaliszanów, dosyć już znani;

reprezentowali oni tę najszkodliwszą polityków grupę, która chwiejnością i nieokreślnikiem swoich zasad ustawnie przechylając wagę, nie daje siły powagom konserwatywnym, a temsamem wzmacnia burzące. Zobaczymy ich też po 15 sierpnia u steru. Wincenty był człowiek zaeny, spaczony francuskiego parlamentaryzmu przykładem, odurzony popularnością w Sejmie i kraju, przeniósł do czasów powstania teorye, które stały się jego naturą; zawsze o wiele od brata wyższy, który przyniósł tylko do rządu upor w nierozsądnem zdaniu i niedolności w działaniu.

Przeciwstawieniem tych ludzi był Leon Dembowski. Od Księstwa Warszawskiego oddany nauce, wystąpił w Sejmie i rządzie jako pierwszorzędny, nie mowca, ale co w Anglii nazywają *debatter*. Zawsze do odpowiedzi gotów trafmem, krótkiem, ścisłem przemówieniem, zamykał Kaliszanom, głównie Biernackiemu mowę. Twarz blada, prawie bez wyrazu, czoło wypukłe, łyse, a słowa jego były jak strzały, które nawylot przeciwnika przeszywały. — Długo trzeźwość umysłu zachował. bo za czasów Wielopolskiego znowu i użytecznie był czynny.

Małachowski Gustaw i Świdziński Konstanty należą do najwybitniejszych członków Izby, przyjaciele i powinowaci. Pierwszy rzadko pięknej postawy, ucięty na angielskiego męża stanu, umysłu wyższego i wykształconego, polubowny w obejściu, choć stały w zasadach, podnosił się czasem do najszczytniejszej wymowy, jak przekonać się można na str. 196 t. II. Nie wywierał wpływu dostatecznego chyba dlatego, że od niechęcenia traktował ważne sprawy, a języka powściągnąć nie umiał. Świdziński, głęboko uczony, znany jako gorący patriota, mały, pękaty, bardzo gwałtowny i odważny do zuchwalstwa, jak był redaktorem manifestu, tak do ostatniej chwili układom przeciwny, ale może z całego stronnictwa konserwatywnego najgłośniej bronił swoich i partyi przekonań.

Barzykowski sam o sobie mówi. a co mówi, to jest prawdą. — Człowiek miernych zdolności, wielką i znaną uczei-

wością zdobył stanowisko; widzimy go wszędzie czynnym, użytecznym, bez szukania rozgłosu, a jeżeli do wielkiej polityki nie bardzo zdolny, to nieczównany w praktycznej służbie dla powstania, w którego wierzył pożądaną koniec. — Wojna, chwała narodowa, wiele winny Barzykowskiemu, i zasługuje na to, by go naród zachował we wdzięcznej i szanowanej pamięci.

Zdawało mi się właściwie dać w tym czasie, po Grochowskiej bitwie, która na dwoje dzieli epopeję 1830 roku, charakterystykę głównych czynników w dalszym ciągu opowiadania, ale boję się nużyć czytelnika, pomny, że co współczesnego obchodzi, to po latach 50 mniej przedstawia interesu. Temi siłami posługiwała się wależąca Polska; należałoby może nie pomijać Ledóchowskiego, Morosiewicza, Wołowskiego, Krysińskiego i wskazać, jak z tej mieszaniny wyszły następne wypadki i błędy.

Ale zobaczymy ich później, a teraz znowu zwrot na wspaniałe usposobienie kraju przez cały ten miesiąc tęsknego oczekiwania i przygotowań. Jakie narady albo nieporozumienia zachodziły w głównej kwaterze i sztabie generalnym, o tem publiczność nie wiedziała. Barzykowski całą zasługę następnego zaczepnego działania przypisuje Prądzyńskiemu, podnosząc rozliczne plany, które wodzowi naczelnemu poddawał. O błędach Skrzyneckiego będzie dosyć czasu mówić, ale raz na zawsze trzeba zastrzedz, że takie odwoływanie się do rad niby genialnie dawanych, w historii nie mają żadnej wartości. Niektóre rodzą się w pamiętnikach *ex post facto*; inne mogą być słuszne, ale łatwo rady dawać nawet genialne, kiedy się niema odpowiedzialności. Chwała należy temu, który ostatecznie decyduje i odpowiada. Nie można zatem zmniejszać dowolnie zasługi Skrzyneckiego; on rozkazał atak na Geismara, on go poprowadził, jemu należy chwała za najpiękniejsze dnie wojny, a kiedy nam przyjdzie robić mu słuszne wyrzuty, nie zmniejszajmy dziś jego zasługi, bo chwała polskiego oręża i imię jego przejdzie do naszej historii z datą dnia bitwy pod Dębem.

Dzień 31 marca tyle razy był opisany, ale ten tylko, co ciemnym rankiem most na Wiśle przechodził, co słyszał pierwsze strzały, spotykał pierwszych niewolników i pierwsze zdobyte sztandary. ten tylko może zrozumieć, jak w sereu, które szło z obowiązkiem i poświęceniem, zaczęła się budzić nadzieja. Pierchał nieprzyjaciel, topniała groza rosyjskiej armii przewagi, rosła wiara we wodza i we własne siły. — Sławna szarża szóstkami na szosie obsadzonej armatami i wojskiem, odbyta niemal zmrokiem (*quaeque ipse vidi et quorum pars fui*), która bitwę skończyła, a prowadzona była przez dywizyon karabinierów i szwadrony poznańskie, nie była tyle niebezpieczna, ile głośna. — Wystrzały z armat górowały; nie pamiętam, czy kto z naszych zginął, cała sprawa trwała może 25 minut. drogo przez armię nieprzyjacielską opłacona. Po tym dniu i równie jeśli nie świetnym, to szczęśliwym nazajutrz, nastąpiła śmiertelna nieczynność. — Ciekawy, w Barzykowskim znajdzie jej przyczyny i straszne skutki. Oskarżenia wodza naczelnego przez tak surowego sędziego, należy brać z uwagą; Barzykowski był pod urokiem pełnego wyobraźni, niewyczerpanego w projektach Prądyńskiego, w którym już antagonizm do Skrzyneckiego rozwijać się zaczął. Niepotrzebnie albo nieszlachetnie przywodzi anegdoty; aby nieczynności wodza wytłómaczyć, wystarcza jedna przyczyna. Skrzynecki, jak już mówiłem, doskonały żołnierz, miłośnik Ojczyzny, najszlachetniejszy człowiek, nie miał w charakterze i umyśle warunków na wodza naczelnego, nie miał inicjatywy, nie umiał zrobić ruchu zaczepnego, w którym było ryzyko.

To tłómaczy wszystko, a były też przyczyny, o których niżej, a które potęgowały tę niemoc. — Z rozpaczliwą rezygnacją stały pułki dni trzynaście wokół głównej kwatery pod Jędrzejowem; jakie ruchy odbywała podówczas armia rosyjska i co wypadło robić polskiej. znajdzie ciekawy czytelnik w tomie III, a dotąd nigdy tak dokładnie i sumiennie opowiedziane nie były. Nie wchodząc w wartość planów Prądyńskiego, które często krytykował Chrzanowski, nie będąc

znawcą wojskowej sztuki, można powiedzieć, że straciliśmy korzyści otrzymane przy rozpoczęciu wiosennej kampanii, a zbudziwszy się z tego letargu, już sprawa była o wiele trudniejszą. Świetne pod Iganiami spotkanie jest tylko dowodem, co przy inicjatywie i czynności dałoby się otrzymać. Barzykowski doskonale informowany, bo nie żałując swej osoby, często bywał w ogniu, a ma urzędowe raporta pod ręką, dokładnie i barwnie opisując i bezczynność i działanie, podwaja interes i staje się równie zajmującym, jak był ciężkim w politycznych swoich wywodach. — Wracą do nich, kreśląc przebieg dyplomatycznego działania Rządu narodowego, a poświęca mu niemal cały rozdział 25-ty.

Pomijając szczegóły, które ciekawy czytelnik znajdzie bardzo dokładne i wiarogodne w książce, należy ocenić to tak surowo sądzone działanie. Ludzie, którym misje do Paryża, Londynu, Wiednia, były powierzone, byli poświęceni, zdolni, jak nie wiem, czyby dziś nasze społeczeństwo podobnych dostarczyło. Improwizowana ta dyplomacya pisała dobrze, stawała z godnością i powagą, co tem bardziej ocenić należy, że zastępowała sprawę najszlachetniejszą, ale słabą i osamotnioną. — Kiedy Talleyrand zasiadł pomiędzy zwycięzskimi mocarstwami na kongresie wiedeńskim, osłabioną reprezentując Francję, mógł wobec sprzymierzonych powiedzieć z dumą: „przychodzę pomiędzy was z równą potęgą, bo reprezentuję zasadę, w której walczyliście imieniu.“ — Wysłanicy nasi spotkali się z rządami, które albo w ścisłych z Rosją były stosunkach, albo o nie czyniły starania. Interes, czy polityczny, czy dynastyczny, czy handlowy, wiązał je z tem państwem, *status quo* im dogadzało, było skutkiem długich wojen i rokowań. My wskazywaliśmy na rycerski obowiązek i niebezpieczeństwo rzetelne, ale które przedstawiało się w dali. Tylko idealisci, jak my jesteśmy, spodziewać się mogli, że naród zapalny ale trzeźwy, jak francuski, że naród zimny a egoistyczny, jak angielski, porzucą swoje sprawy, zerwą sojusze, aby nam przyjść w pomoc. W Warszawie zdawało się to możebne; zdała rachuje się na uczucie i wymowę, ale

wysłańcy nasi dotknąwszy się rzeczywistości w Paryżu i Londynie, widzieli, że na żadną pomoc rachować nie można, a ludzie publiczni tych krajów z zupełną otwartością nawet odmawiając medycy, doradzali układy. Pod tym względem na złą nie możemy narzekać wiarę.

Ale jest w naturze serca ludzkiego karmić się iluzją albo nadzieją; im sprawa świętsza, cel wyższy, tem trudniej przyznać sobie, że nie ma nic do zrobienia. — Najzdolniejszy z naszych wysłańców, Wielopolski, z godnością stanąwszy przed ministrami Anglii, podawszy znakomity swój memoriał, mogący służyć za wzór politycznego pisma, przekonał się, że niema tam dla nas pomocy; zdał raport Rządowi narodowemu i wyjechał, nie opuszczając dobrowolnie stanowiska, nie dla choroby żony, bo już w Londynie o jej śmierci odebrał wiadomość, ale dla zdania sprawy, otrzeźwienia Rządu i dla pełnienia dalszej służby krajowi. Że nasi wysłańcy obojętnie przyjmowani przez urzędowe organa, zwracali się do stronnictwa ruchu, właściwie rewolucyjnego, popełnili tem błąd wielki; cała sprawa nasza stała na gruncie prawnym, była walką słuszności przeciwko sile, nie przystało nam wywoływać demonicznych żywiołów, które i nie łatwo przyjąć mogły do władzy, i niewiedomo, czy umiejętną dzierżyłyby je ręką, bo doświadczenie uczy, że każdy tak zwany ruch ludowy, okiełznać musi mniej-więcej rozumna władza, a wtenczas kończy się uczucie, zaczyna polityka; tak było w 1831 roku, tak w 1848, tak w 1871. Stosunki w Lafayettem we Francyi, z Sir Fr. Burdet w Anglii, więcej nam szkody, jak korzyści przyniosły, bo rząd, na który chce się działać przez presyę opinii, staje się odrazu nieprzychylnym.

Dwa państwa jedynie chowały, choć w głębi, istotną chęć niesienia ewentualnej pomocy, albo interwencyi, bo w tem miały interes: Turcyja i Austryja. Pierwszej zneutralizował akcyę rząd francuski, odwołując ambasadora Guillominot, który na dywan w kierunku anti-rosyjskim działał. Druga, od czasów Kaunitza wiedziała dobrze, że rozbiór Polski może obrócić się tylko na korzyść Prus i Rosyi. — Z Pol-

ską przedrozbiorową ani przewaga Rosyi nad Dunajem, ani dzisiejsze Cesarstwo Niemieckie, nie były możebne. Minister tych zasad i przeszłości, co ks. Metternich, nie mógł przyjąć sympatycznie powstańczego ruchu w Warszawie, którego naturę trudno było ocenić; ale człowiek polityczny tej miary, widząc, jak wojsko nasze trzyma w szachu całą Rosyę potęgę, stacza zwycięskie bitwy, a w kraju panuje porządek obok zapału, uszanowanie prawa i własności, czego najlepszy w rozprawach o kwestyi włościańskiej był dowód, musiał zadawać sobie pytanie czy to nie opatrzna chwila, aby nawagę od północy wstrzymać, a wetować na Prusach politykę Herzberga. Dopuszcza do Wiednia Andrzeja Zamoyskiego, który pod kulami choleryczny kordon, w nocy wśród Przemśle przepływa, a za pośrednictwem gubernatora Galicyi ks. Lobkowitza komunikacye Polski przyjmuje. Warunkowane były niewątpliwie dalsze kroki, powodzeniem naszego oręża i zdrowych żywiołów przewagą. I jedne i drugie niedopisały. Nie każdy będzie czytał Barzykowskiego, niech mi tu wolno będzie wdzięczności kraju przypomnieć Izydora Pietruskiego, który będąc agentem Rządu narodowego, a w ciągłych z ks. Lobkowitzem stosunkach, nietylko wielkie na drodze składek, uzbrojenia, oddawał usługi, ale powagą swego charakteru, trzeźwością poglądów, dyskrecyą, był rządowi austryackiemu rękojmią, że będzie dobrze poinformowany, że go nie skompromituje, przeceniając okazywaną życzliwość czy bezstronność. Nie miała wtenczas Galicya większego miłośnika Ojczyzny, bo jeżeli ks. Henryk Lubomirski czuł dla niej równie gorąco, to Pietruski górował roztropnością polityczną, jak tego w listach jego ówczesnych do Rządu miałem dowody.

Agenci nasi za granicą, nie zawsze szczęśliwi w środkach i skutku, dawali dowody zdolnej gorliwości. Misją główną paryską kierował generał Kniaziewicz, który rycerskie w legionach i na każdym polu życia, chciał kończyć w niewdzięcznej dyplomatycznej służbie, i kasztelan Ludwik Plater.

Ostatni wysokie stanowisko w komisji skarbu opuścił na pierwsze wezwanie, opuścił także dom i Ojczyznę, i więcej

ich nie obaczył. Można powiedzieć, że bez wyjątku każdy obowiązkowi dopisał, a im więcej miał do stracenia, tem ohotniej poświęcał. Stary Pac osobę i milionowy majątek, Aleksander Potocki i Eustachy Sapielha królewskie fortuny opuszczają, na jednym uchodząc koniu. Czterech Zamoyskich wojskowo służy, a 500 koni pod ich imieniem. Walewscy pięknie zapracowany majątek, ryzykują; powtarzam, każdy swój obowiązek spełnia, a powtarzam to, choćbym miał czytelnika znudzić; *et hoc meminisse juvabit*.

Sprawozdanie nie jest i nie powinno być streszczeniem, muszę jednak niektóre opowiadania szczegóły podnieść, bo są charakterystyczne.

Kiedy wojsko stoi, albo pomniejsze odbywa harce, a dyplomacya nasza niewdzięczną prowadzi pracę; Sejm, który w zmniejszonym komplecie poważnie dyskusował prawo o uwłaszczeniu włościan, najprzód w rządowych majątkach ujrzał, gdy popłoch minął powracających posłów. Wszedł tymczasem z nowych wyborów do Izby, Dominik Krysiński prawnik, publicysta, skory do pióra i mowy. Prawdziwą plagą zgromadzeń parlamentarnych, są ludzie obdarzeni łatwą wymową, ogólnie a powierzchownie uczeni, imponujący pamięcią, szczegółów i cyfr zapasem, wywierają oni na ludzi przeciętnej miary wpływ przewaźny, a jeżeli nadęci próżnością, która widzi nie sprawę, ale swoją osobę, zgubny. Takim był Krysiński. Żądny wejść do ministeryum, aby zrobić sobie rozgłos, interpeluje o stosunki z zagranicą, i żąda wyjaśnienia co do działania naszych dyplomatycznych agentów. W takiej chwili, w takim położeniu, w takich stosunkach, kiedy dwory europejskie traktatami związane, i każdy krok, każda obietnica musiały być tajemnicą okryte, podobne żądanie było wyraźną aberracją i Rząd stokroć winny, że interpelacye dopuścił, dać wyjaśnienie przyrzekł.

Na lekkomyślną mowę Krysińskiego, która kończyła się słowy: że nasza dyplomacya nic zgoła nie zrobiła, odpowiedział Minister z wymową i oględnością, które go cechowały, a chcąc Izbę co do przebiegu negocyacji z Anglią

zaspokoić, wezwał Wielopolskiego, którego Rząd, Radcą stanu mianował, do zdania z niej sprawy. Pierwsze to publiczne Wielopolskiego wystąpienie, dało miarę człowieka. Krysiński upadł z wnioskiem nagany, a kiedy powtórnie 30-go Kwietnia wpośród innej materji w sprawy zagraniczne wkroczył. Wielopolski znakomitym wywodem prawa publicznego europejskiego, wyjaśnił położenie sprawy naszej, zapewnił, że gabinet angielski niewzruszenie na kongresowej stoi zasadzie; ale że po akcie detronizacyi, dyplomacya nasza w swoich usiłowaniach i podaniach o całą Polskę przemawiać musi, i istotnie przemawia. Te dwie mowy, jak dały Wielopolskiemu znakomite w Izbie stanowisko i wskazały czego sprawa krajowa i w jakim kierunku po nim spodziewać się mogła, tak zatiwożyły kaliską partję. Powagą i bezwzględnością argumentacyi rozdzielił on Izbę na dwa obozy.

Spostrzegli Kaliszanie niebezpieczeństwo, a kiedy Wielopolski w dyskusji nad prawem odwetu w dniu 2 Maja tłómacząc rzetelną myśl Rządu, stanął nieostrożnie w opozycyi ze zdaniem ministra spraw wewnętrznych, Bonawentury Niemojewskiego, ostatni wprowadził sprawę na radę ministrów, zażądał odwołania ze Sejmu Radcę stanu Wielopolskiego. Solidaryzując się z ostatnim, Małachowski złożył tekę ministra spraw zagranicznych, a Kaliszanie wnieśli uchwałę, którą Sejm przyjął, stanowiącą, że żaden urzędnik nie będący posłem, przemawiać w Izbie nie może. Tak sprawie krajowej ubyła taka jak Wielopolskiego siła, a ks. Czartoryskiemu w sprawach zagranicznych tak znakomity, jak Małachowski, pomocnik.

Po odniesionych zwycięztwach, głównie za sprawą niezrównanej odwagi prostego żołnierza, Sejm obradujący w zmniejszonym komplecie zajął się był sprawą włościańską. Zarzuty robione powstaniu i jego głównym przywódcom, że nie ogłosili odrazu uwłaszczenia, pochodzić tylko mogą od teoretyków z praktyką spraw społecznych i politycznych nicobeznanych. Uwłaszczenie ryczałtowe, uwłaszczenie rewolucyjne, mógł ogłaszać rząd taki, jak krakowski w 1846 r. Żaden

człowiek rozsądny, żadne ciało polityczne, obok wojny zewnętrznej, nie mogło wewnętrznej zapalać walki, zmieniać naraz wszystkie warunki ekonomiczne, kiedy kraj potrzebował podatku, rekruta, konia i zboża.

Sejm orzekł rozsądnie i uznał w zasadzie potrzebę zniesienia pańszczyzny; tymczasowo uchwalił onej zniesienie w dobrach rządowych, gdzie to mógł uczynić, nie gwałcąc prawa własności, i gdzie mógł dla zasłużonych żołnierzy dać w gruntach wynagrodzenie.

Kiedy tak Sejm pod urokiem świeżych zwycięstw i zasłoną armii, mógł spokojnie o przyszłej społecznej organizacji kraju radzić, wojsko nasze stało jak widzieliśmy bezczynnie naprzeciw rosyjskiego. Na prawem skrzydle polecono jen. Dwernickiemu z nielicznym korpusem kawalerji i instruktorów wkroczyć na Wołyń i Podole, aby tam zatrudnić ciągnącego jen. Rüdigerę i powstanie zorganizować. Wyprawa, której nikt podjąć się nie chciał, a której komendę Dwernicki, co niech mu służy na chwałę, przyjął, była niesumienną, bo słowa Lelewela „odpowiedzialności nie bierzemy, będą chcieli powstać, to dobrze, nie, to nie“, naseryo wzięte być nie mogą. Pokazać w zabranym kraju orły polskie, hułanów polskich, głośnego jenerała z proklamacją Rządu i przypuszczać wolność wyboru, czy powstać, albo nie, to trzeba na to nie znać charakteru narodowego, a głównie usposobienia gorącego, wzniósłego, rycerskiego. obywateli tamtych prowincyj. Mógł Dwernicki zapalić ogień, ale go utrzymać i rozszerzyć nie potrafił; spłonęły w nim nadzieje na przyszłość, a w obecności instytucyj, szkoły, stanowisko i wpływ żywiołu polskiego. Aby zatrudnić nieprzyjaciela, odwrócić od Dwernickiego a niedopuszczyć przejścia Wisły jenerałowi Krentzowi, wysłany został Sierawski. Nie pisząc tu historii, możnaby pominąć tę niefortunną wyprawę, gdyby nie cisnąca się do serca potrzeba przypomnienia i na tem miejscu, jak w bitwie pod Wronowem 17 Kwietnia, Juliusz Małachowski żołnierz, zupełnie nowy, mając powierzoną obronę głównej pozycyi, do ostatniego ładunku wystrzelawszy, z kosą w rękę

idzie i trzema kulami przeszyty pada. I znowu *et hoc meminisse jurabit*.

Kiedy się to działo, był spokój na lni, ale nie w głównej kwaterze. Niewyczerpany w projektach Prądyński, wskazywał między innymi stoczenie walnej bitwy z Dybiczem pod Suchą, kiedy Chrzanowski marsz na gwardye, które tymczasem przysły pod Łomżą doradzał. Dla człowieka, któremu genialny pogląd nie wskazuje jednej drogi, najstraszniejsze położenie. Znajdywał się Skrzynecki wobec dwóch ludzi najzdolniejszych w armii, a będących w antagonizmie jeszcze nie tyle osób, co poglądów.

Wódz Chrzanowskiemu ulega, idzie pod Kuflew. Kiedy Dembiński w przedniej straży zaprawdę bohaterską z całą nawałą armii Dybicza stacza walkę i pochód jej naprzód wstrzymuje, kwatermistrz otrzymuje od wodza rozkaz cofania się na Mińsk i traci sposobność zwycięstwa, nie tylko prawdopodobnego ale pewnego, jak się pokazało z mężnego, przez Chrzanowskiego pościgu. Działo się to 23-go Kwietnia, a równocześnie nadeszły wiadomości o trudnem Dwernickiego położeniu. Dać pomoc, ale którą? kiedy Kreutz i Toll, Lubelskie zajmują, otaczając Zamość. Dostać się do granicznej twierdzy, wedle Prądyńskiego, niepodobna. Na to Chrzanowski powiada: „to wedle zdolności dowódczy.“ Po takim słowie wzięwszy 6000 ludzi i 10 dział, często zaczepiany i otaczany, nigdy napadnięty, odbywa najpiękniejszy może marsz z całej wojny, dochodzi do Zamościa, oszukując albo bijąc dwakroć liczniejszego nieprzyjaciela. Nie bez zasługi oficerów, którzy jak kapitan Leśniowski, obwarowany na cmentarzu Lubartowskim, w 110 ludzi zatrzymuje cały korpus, jak podpułkownik Michał Badeni szarżą Krakusów odpierający pod Starym Zamościem parcie Tolstoja i Delinhausena. Ostatniego Barzykowski nie wymienia, ale dziękował mu w rozkazie dziennym Chrzanowski, a wódz naczelny kawalerskim krzyżem *Virtuti militari* nagroził.

W głównym wodza naczelnego sztabie już był tylko jeden doradzca zniechęcony, z przekonaniem, że zmiana w naczel-

nem dowództwie potrzebna, wchodzi w stosunki nie tylko z prezesem Rządu, ale ze skrajnem Nowej Polski stronnictwem. Żołnierz. żądny boju i pod Kuflewem i pod Dembem, wstrzymany, zaczyna szemrać. Dyplomacya zagraniczna, albo nasi agenci, domagają się zwycięstw; skrajnego ruchu ludzie, żądają głowy Cichowskiego i wówczas na wniosek ks. Czartoryskiego Rząd Narodowy wystósował pismo do wodza naczelnego, z żądaniem, aby ruch stanowczy przedsięwziął. Prądzyński doradzał. albo uderzyć z boku na główny korpus Dybicza pod Suchą, albo marsz na gwardye. Barzykowski przyznaje genialność pierwszemu planowi, Skrzynecki wybrał drugi.

W wojnie tak wiele zależy od wykonania, od wartości wojska swego i nieprzyjaciela, od wypadków, że trudno mówić o genialności planu, który nie był wykonany. Sam Prądzyński przyznaje, że ruch na gwardye odpowiadał usposobieniu wodza, bo go zbliżał do Litwy. Rozpoczęty w milczeniu, prowadzony był opieszale. Na linii armia rosyjska miała 93.500 ludzi i 358 dział. Polska z rezerwami, z załogami fortec, z kompaniami robotniczymi 81.500 i 152 dział. Na wyprawę przeciw gwardyom użyto 44.000. Barzykowski kilkakrotnie podnosi, że Wódz naczelny party jedynie przez Rząd, szefa sztabu, niecierpliwość kraju i opinii, ruch rozpoczął, i wyraz twarzy jego ponury dowodził, że siedł bez zapału i nadziei, a ufał więcej listom, które pisał, i dyplomatycznym zachodom. Pisał listy do kogo? dyplomatyzył z kim? a że czoło zdradzało troskę, temu zaprawdę dziwić się trudno. Sobie nie ufał, wojsko utraciło wielu starych żołnierzy, bujnej swego szefa sztabu wyobraźni nie wierzył, a losy Ojczyzny rozstrzygać się miały: zgodnie z swoim charakterem, ostatnią rozprawę odraczał. Nie jest rzeczą rozbioru, przechodzić z autorem koleje naszej armii, może aż zanadto, dałem szczegółów dla czytelników, którzy już nie mogą tego co współczesni czuć interesu. W strategiczne rozumowanie wdawać się z Barzykowskim anibym potrafił, ani myślę, ale dla zrozumienia i ocenienia następnych wypadków, winienem podnieść,

że kiedy armia nasza doścignęła gwardye pod Śniadowem 17-go Maja i Prądzyński rozkazy do korpusu przygotował w zamiarze uderzenia nazajutrz na nieprzyjaciela i stoczenia walnej bitwy, Wódz naczelny podpisu odmówił, bo nie miał od Umińskiego i Lubieńskiego raportu, bo nie był panem mostu pod Ostrołęką, bo o tyły nie był spokojny. Następnie gorsząca pomiędzy Skrzyneckim a Prądzyńskim scena: Wódz nowe rozkazy wydaje, Szef sztabu podpisać i rozesłać ich odmawia; główną kwaterę opuszcza. Barzykowski, choć nieprzychylny Skrzyneckiemu, postępowanie Prądzyńskiego potępia.

Autor nasz uważa dzień 18-ty Maja jako najfatalniejszy w całym przebiegu wojny i rozstrzygający nie tylko losy kampanii, ale Polski. Na kim wina, nie wchodzę, ale prawdę temu twierdzeniu przyznać należy. Dzień stracono, gwardye miały czas wyjść z najtrudniejszego położenia i wówczas dopiero natarczywie ścigać je zaczęto, nie bacząc, że armia nasza stawała w najniebezpieczniejszym położeniu, co też niebawem wypadki stwierdziły. Pod Tykocinem, kiedy dopędzono tylnych straży gwardyi, korpus rysyjski przeszedł Narew i był już bezpieczny.

Epopeja, albo gdyby kto chciał wyrazić się poetycznie, rapsod powstania 1830 r., dzieli się na trzy okresy, od wybuchu 29-go listopada aż do rozpoczęcia kroków wojennych, od tej chwili do bitwy pod Ostrołęką, i od tej strasznej rozprawy aż do wzięcia Warszawy. — Widzieliśmy początek i wzrost powstania, walkę wewnętrznych żywiołów, w których jeżeli nie polityczny rozum, to najszlachetniejsze zwyciężyły uczucia; widzieliśmy heroiczną odwagę wojsk, kraju i ludzi, którzy stali u steru. Przychodzi rozebrać okres najboleśniej-szy, nie dlatego tylko, że jest upadkiem moralnym, ale że jest dowodem, jak niepoprawni w dawnych wadach, nie byliśmy dostatecznie przygotowani do politycznego życia i do znoszenia ciężkich zawodów. — Nie poptynie tu opowiadanie

tak jasno, prosto i pogodnie, jak dotąd, ale przyjdzie badać i kręte drogi i grę najrozmaitszych żywiołów, stronnicych i osobistych namiętności; niełatwo tu będzie rozwikłać działanie tak różnorodnych wpływów, którym nawet w ogóle bezstronny nasz autor ulega, a wymierzyć każdemu prawdę.

Kiedy w beзуżytecznym już pościgu za gwardyami, wojska nasze stały w Tykocinie i 22-go maja solenne na rynku odbywało się nabożeństwo, Skrzynecki odebrał wiadomość, że marszałek Dybicz przepawiwszy się przez Bug pod Grannem, w 40.000 maszerował ku Ostrołęce, aby wojska polskie odciąć od Warszawy, a z gwardyami się połączywszy bitwę stoczyć.

Wódz polski nakazał natychmiast odwrót w kierunku Ostrołęki, który też się spieszenie, ale w największym porządku odbywał. Ani chce, ani może w krótkim sprawozdaniu o książęce powtarzać, albo nawet streszczać tylekroć powtarzanych rozpraw o przyczynach błędów, popełnionych w tym nieszczęśliwym odwrócie, chociaż nigdzie tak szczegółowo, dokładnie i sumiennie podane nie były; ale winienem porównyując z Willisenem i Schmidtem, rozłożyć odpowiedzialność, na kogo należy.

Prądyński, który, jak widzieliśmy, z pogwałceniem karność wojskowej samowolnie przestał pełnić obowiązki kwatermistrza, pogodził się ze Skrzyneckim, a nawet został mianowany szefem sztabu; jako taki nie może usuwać się od odpowiedzialności, którą z Wodzem naczelnym dzieli.

Barzykowski nieprzychylny Skrzyneckiemu, wymową, wyobraźnią i niewyczerpaną płodnością Prądyńskiego olśniony, jako człowiek prawy, tłumaczeń Prądyńskiego *ex post facto* nie przyjmuje, ale surowo potępia rozkaz, który przykuł Giełguda do Łonży, i upór, z jakim przekonać się nie dał, że korpus, który się zbliżał, wojska, które pod Jakością w szeregach widzieli, to była główna Dybicza armia. Władysław Zamoyski, donoszący szefowi sztabu generalnemu napróżno, że Dybicz się zbliża, zarówno jak Barzykowski,

upornemu temu zaślepieniu przypisują wydanie rozkazów i wypadki, które nastąpiły.

Niedługo na nie trzeba było czekać. Dnia 25-go maja armia nasza dotarła Ostrołęki, przeszła Narew i rozłożyła się do spoczynku. Mosty obluzowane tem muiej mogły być zdjęte. że jen. Lubiński ze swoją dywizją został po drugiej miasta stronie, z rozkazem wstrzymać z dzień nieprzyjaciela, gdyby się pokazał. Lubiński mógłby był wstrzymać gwardye, całej nawały 60.000-nej armii wstrzymać nie mógł. Zanini armia polska dotarła do Narwii, spostrzeżono się w głównym sztabie, że ruchomy korpusik Sierakowskiego, będący już pod Rajgrodem, stoi na powietrzu. Już Chłapowski z korpusem instruktorów wszedł na Litwę; powzięto na razie myśl, przeznaczyć tamże Sierakowskiego, ale wzmocnić go wojskiem i dowódcą. Komu taką powierzyć sprawę?

Był człowiek, który najszcześniejsze domowe pożycie wśród szacunku obywatelskiego a w latach już niemłodych poświęcając, odrazu do powstania przystąpił, organizacją wojewódzką tak dzielnie się zajął, że Krakusów pułk już pod Ryczywołem się odznaczył, a jak widzieliśmy, z całą Dybicza armii przewagą, szczęśliwie się zmierzył. Henryk Dembiński zapytany przez Wodza, czy tej komendy się podejmuje, nie pyta o hazard i niepodobieństwo, słuca głosu serea i powinności, odpowiada: dobrze. Szwadrony poznańskie, w których cała wielkopolska młodzież służyła, otrzymują na własne żądanie pozwolenie, aby pójść na Litwę. Idą Mielżyński, Potulicki, Mycielski, Brzezański, Koczorowski, Szczaniecycy, Darowski i t. d. i kapelan ich ks. Łoga. A wielu ich wróci?

Dnia 20-go maja dodnia, na polach pod Ostrołęką, wśród spoczywającej armii Wódz naczelny przegląda bohaterski oddział, mową zagrzewa, błogosławi i z Prądyńskim do głównej kwatery w Krukach o parę kilometrów odjeżdża.

Słońce weszło wspaniale, dzień był pogodny, o godzinie 9-tej usłyszano pierwsze strzały Dybicza, który widząc wojsko polskie po lewej stronie Narwii, zamierza wrzucić je do

rzeki i dlatego z niesłychaną natarczywością uderzyć kazał. Nie jest moją rzeczą opisywać szczegółowo i systematycznie bitwę, ale bodaj następne pokolenia pamiętały, co nawet obok wielkich uchybień dowództwa, bohaterstwo zrobić mogło. Bitwę pod Ostrołęką przegraliśmy; w każdym razie była początkiem naszego upadku, ale nie wiem, czy kiedy i gdzie żołnierz polski dał takie wytrwałości i pogardy śmierci dowody; znowu niestety nie sprawa polska, ale honor polski ocalony tylko został i ten nawet, na którym cięży odpowiedzialność przegranej, moralnie zwycięża, Łubieński cofa się, mosty przechodzi, tylną straż jego trzyma Bogusławski z pułkiem 4-tym. Jak się mam wstrzymać od podania na tem nawet miejscu pamięci i wdzięczności potomnych dla tego nieśmiertelnego zastępu, który ledwo krok za krokiem ustępuje, po trzykroć na bagnety uderza, całą armię Dybieza wstrzymując, daje czas rozłożonemu wojsku za broń porwać, kiedy nieprzyjaciel nasz najzaciętszy, Schmitt, który był na miejscu, powiada: „Ten pułk polski wyborowy wszystko czynił, aby parcie Moskali odeprzeć i miasto utrzymać. Pojedynczo musiał być każdy dom zdobywany; aby ementarz mógł być wzięty, trzeba było działa zatoczyć. Bogusławski miał do wytrzymania uderzenie całego korpusu grenadyerskiego. Jeszcze na drugi dzień podziwiano ciała tych wojowników kształtnie utoczone.“ Pułk, który wyginał, zwyciężył, ale nie pomogło to bohaterstwo; wojsko rosyjskie, które także wybornie się biło, a było dwakroć liczniejsze i zorganizowane do boju, pod zasłoną licznej swej artylerji na wysokim postawionej brzegu, przechodzi mosty. Właśnie w tej chwili Wódz naczelny ze swoim szefem sztabu przybywają z Kruków, widzą kolumny nieprzyjaciela przechodzące mosty, rozwijające się pod zasłoną wysokich okopów drogi, i swoje wojsko, zbierające się w pośpiechu z małym dział zapasem, bo artylerja już poszła do Rożana. Ratuje chwilowo położenie Pac na czele batalionu pułku 5-go i weteranów, które pierwsze się sformowało i baterje Lewandowskiego strzegły. Pac, człek letni, od wojska odwykły, dobywa szpady i je-

nerał dywizyi na czele batalionu uderza na bagnety; dwoma kulami ugodzony, schodzi z pola. W tej chwili właśnie Wódz i szef sztabu zjawiają się na placu. Surowo za komendę pod Ostrołęką bywa Skrzynecki sądzony i surowo go też Barzykowski sądził. Zawinił, że bitwy nie przewidział; zawinił, że Łubieńskiego po drugiej stronie Narwii zostawił; zawinił, że dał podejść się zniecka nieprzygotowany; to prawda i za to go potomność potępi i przez ciąg życia dosyć ucierpiał. Ale kiedy raz i Wódz i Prądyński nie umieli uniknąć napadu, co miał robić? Wojsko spoczywa, gotuje, kąpie się. Rozkazy na przypadek ataku nie wydane, bo nieprzewidziany. Łubieński cofa się, wślad za nim Rosyanie na most się tłoczą, z 40 armat i wysokiej pozycyi ogień sypią. Jeżeli potrafią przejść mosty i rozwinąć się, będą pędzić armię naszą w nieładzie, osłabioną odkomenderowaniem Giełguda i Dembińskiego. — Bądź cobądź, należało pochód Rosyan wstrzymać i to Skrzynecki zrobił. Barzykowski wymawia mu, że był tego dnia żołnierzem, nie generałem. Niech wytrawni wojskowi powiedzą, czy w takiej chwili, w takim położeniu było podobna zachować krew zimną i czy krew zimna byłaby pomogła. Jak twierdzi Barzykowski, komenderował przeto Skrzynecki, czując odpowiedzialność i widząc skutki przejścia nieprzyjaciela na brzeg prawy: „wszystko naprzód, artylerya, piechota, jazda.“ Czy popełniwszy wielkie błędy, było co innego do roboty, i czemuż płodny w projekta Prądyński, obecny na placu bitwy, planu nie podał, w komendzie nie wziął udziału, ale czując, jaka na szefie stabu ciąży odpowiedzialność, moralnie zabity chodził ze spuszczoną głową po placu bitwy?

Skrzynecki komenderował wszystko naprzód, ale sam stał dzień cały na czele batalionów, w najstraszniejszym ogniu wyniosła postawa, jak sztandar górujący w szeregach, widoczny, ani na chwilę nie dopuścił, aby duch żołnierza osłabł. Barzykowski podziwiając odwagę, wymawia upór; ale upór ten zbawił honor wojska i odroczył wzięcie Warszawy. — Było coś homerycznego w tej walce na kolby, pię-

ście i bagnety, w której nie serce, ale tylko liczba i znużenie ustępowały. Koło godziny 1-szej Węgrowski odparty, Langerman z brygadą stawa, Breański pułk 1-szy do szturmowania prowadzi, Skrzynecki w środku czapką wskazuje i donośnym głosem: tam! tam! woła; ale ogień armatni i karabinowy ściele naszych. Wódz w uniesieniu pyta Langermana: „co zrobiliście z twoją brygadą?” Ten wskazuje na niebo: „tam ulecieli.” — Na piechotę usadowioną nad Narwią hułany mają uderzyć. — Smug błotnisty dzielił ich od nieprzyjaciela. Konie grzęzną, ludzie od strzałów giną. Po natarciu pułku 3-go i 5-go, rusza pułk 2-gi, generał Kieki i pułkownik Mycielski na przodzie. Moczary nie do przebycia; pod największym ogniem, jakby na Saskim placu, odłamują się szóstkauni, obchodzą bagno, formują po drugiej stronie i uderzają na piechotę. Grunt krzakami przerosły, dla kawaleryi niesposobny; pułk pod ogniem spędza piechotę, przesadza groble, ale w tej chwili Kieki ginie od armatniej kuli; Ołtarzewski, waleczny z walecznych, na czele 1-go szwadronu, od karabinowej; Juliusz Stadnicki, przez piersi przeszyty, spada z konia wołając: „naprzód dzieci.” Pułk traci 11 oficerów i 150 żołnierzy, a tu ani dzień, ani bitwa, ani straty się nie kończą. Jak na dłoni widać było, jak nowe kolumny ku mostowi się posuwały. Wódz polski miał jeszcze w odwodzie dywizję Kamińskiego, z młodego złożoną żołnierza, ale pod komendą Henryka Kamińskiego. Daje rozkaz do ataku. Kamiński dobywa zegarka: dopiero „5-ta i ostatnia rezerwa w ogień?” „Tam na grobli miejsce generała,” — z żywością zawołał Skrzynecki. Na to poważnie Kamiński: „Pójdę i moich poprowadzę; dam się zabić, ale niech Wódz pomni na los bitwy, bo to los Ojczyzny.” Homeryczny ten dyalog poprzedził ostatnie i najstraszniejsze starcie. Rosyanie przełamani, cofają się i znowu posiłkowani uderzają. Kamiński, Krasiecki i Muchowiecki, w którego kolumnie walczy Wódz naczelny, odpychają rotę nieprzyjacielską aż do mostu, a to w ten sposób, że Dybicz w swoim raporcie mówi: „szybko, gwałtownie i ze wściekłością było to uderzenie przez buntowników wykonane.”

Opłacił je Kamiński życiem, bodaj najzdolniejszy z naszych generałów poległ. Krasicki wzięty do niewoli, kolumny przedzone bez komendy łamią się; spostrzega to nieprzyjaciel, nowe zastępy wysyła, chwila krytyczna, — jeden Skrzynecki, a to słowa Barzykowskiego, — niezłomny, jak wryty, jeden na polu bitwy zostaje, szle rozkazy, aby rozbitki przybywały. Staje z 1-szym pułkiem Langerman, a Prądzyński przypro-wadza pułk 5-ty; toby nie wystarczyło, kiedy szczęśliwym pomysłem Wódz nakazuje baterii lekkokonnej Bema wstrzy-mać ogniem pochód nieprzyjaciela. Bem uformowawszy w szwa-dron swoich konnych żołnierzy, pod ich zasłoną w galopie posuwa się o strzał karabinowy, odprzodkowszy działa i ta-kin kartaczowym sypie ogniem, że Rosyanie dalej ruszyć nie mogą; sześćdziesiąt armat na Bema pociski miota, który zaprzodkowawszy działa, bez wielkiej straty wraca, a słońce też jakby nierade przyświecać temu mordowi, zapada. Ostro-łęka mogła być Berezyną, — nie była; nasze wojsko miało przeciwko sobie liczbę, pozycję, atak niespodziewany, brak komendy i artylerji. Wszystkiemu podołał duch, który nas dotąd ożywiał, a któremu bądź co bądź dał wyraz Skrzynecki. -- Tracił przez niedecyzję czas pod Jędrzejowem, gwar-dye ścigał niedołęźnie, nieprzygotowany dał się napaść, ale szaloną odwagą, niezłomną wytrwałością, jeśli nie nagroził tych ciężkich uchybień, a cięższych jeszcze następności, to odroczył upadek powstania, honor broni i własną moralną wartość.

Wieczór 26-go na pobojuwisku odbyła się rada wojenna; zagał ją Wódz naczelny zdaniem, aby zebrawszy pod za-słoną jazdy, która mniej ucierpiała, rozpierchniętą piechotę, trzymać się, póki wezwany Giełgud nie połączy się z armią, stoczyć bitwę, a w najgorszym razie zginać; kończył swoją mowę słowy: należy umieć umierać. Przekonanie to, które silnie powtórzył, na nieszczęście poddał pod dyskusję.

W ciężkich razach, kiedy się ma myśl szlachetną a nie-bezpieczną, należy umieć ją wykonać, wypowiedzieć jako

nieodwołalną, ale nigdy nie puszczać się na zdanie liczby. W liczbie zawsze spotykamy ludzi mniejszego ducha, którzy czepiają się wrzekomo drogi rozsądku i mrożą zapal pierwszego natchnienia. Inaczej być nie może, tak się stało. Oficerowie kawaleryi nie widząc piechoty, uważali stoczenie bitwy nazajutrz za niemożliwe. Skrzynecki raz jeszcze powtórzył: trzeba umieć umrzeć, większość zwrot ku Warszawie zawotowała. — A co stanie się z Giełgudem? Na to Dembiński: „Niech idzie na Litwę.“ „A kto mu rozkaz zawiezie, kiedy drogi przez nieprzyjaciela obsadzone?“ „Ja.“ Żegnano Dembińskiego z uszanowaniem, bo szedł jak na stracone imię.

„Co to jest bitwę przegrać?“ pytał ktoś znakomitego francuskiego generała. „To jest rozumieć, że się ją przegrało.“ Nie prawdziwszego. Pod Ostrołęką wojsko nasze nie podało tyłu, nieprzyjaciel przec i gonić nie mógł i nie gonił. Skrzynecki po tyłu bohaterstwa wojska i swojego dowodach, bitwy pod Ostrołęką nie przegrał, ale ją przegrał w Warszawie i we własnem przekonaniu. Pod tem wrażeniem pierwszy raport z Serocka przeraził rząd, ale został sekretnym, a nawet wycofanym.

Teraz rozpoczyna się najboleśniej i najtrudniejsza do przedstawienia i osądzenia chwila spraw krajowych. Sprawodawca nie może wciąż iść za książką, bo napisałby drugą; przypuszcza, że czytelnik zna fakta, albo szukać ich będzie w autorze, z którym rozprawić się muszę; sprężyny i przyczyny tych faktów tak się ukrywają, że nie łatwo je rozwikłać.

Skrzynecki i Prądyński przybywają 28-go na Pragę. Ostatni z zamiarem oskarżenia Wodza naczelnego i dania mu następcy; pierwszy z myślą usprawiedliwienia siebie to wyznaniem błędów, to upatrzeniem współwiny w Rządzie. Sejm w nieprzezornem uniesieniu dziękując wodzowi, że nie zwątpił o Ojczyźnie, i czyniąc mu owacye, do których ciągle zbyt jesteśmy skłonni, utrudnił położenie Rządu, Skrzyneckiemu dodał otuchy. Barzykowski zarzuca mu, że stał o buławę; a któ-

ryż przywódzca pobity nie stoi. aby mógł wetować swą klęskę? Przyznaje jednak, że Skrzynecki wyrzekł te słowa: „Postawcie zdolniejszego, dziś ustępuję.“ Autor twierdzi, że wojsko ściągnęło pod Pragę, a nie do Modlina, aby wyrzucić pressę na rząd, Sejm i opinię. — Myśli ukrytych badać nie potrzebuję. Skrzynecki rozumiał, że Rząd, w którym zasiadali łącznie Książę, Barzykowski, Lelewel, Niemojowski i Morawski, nie był jednolity, sami nawzajem neutralizując siły, nie miał jednostajnego na zewnątrz kierunku, ale działał przez kompromisa. — Rozumiał nadto, że obecność Lelewela najgorzej wpływała na usposobienie gabinetów, na których interwencyę rachowano. — Rząd zbiorowy z ministrami i Sejmem, który ustawnie wkraczał w jego działanie, w czasie powstania, kiedy wszystko na jednolitem i szybkim działaniu zawisło, nie był odpowiedni. Tego byli mniemania ludzie polityczni, jak Małachowski, Świdziński, Ledóchowski, Dembowski, nawet w głębi serca Ostrowscy; i Świdziński wypracował projekt jednolitego, monarchicznego rządu. Poparł go Wódz naczelny. Czy dlatego, aby móż wchodzić łatwiej w układy, jak ustawnie podejrzywa Barzykowski, nie składając żadnych na to dowodów? — Czy dlatego, że miał nadzieję sam władzę najwyższą osiąść? to tutaj obojętne, ale nie obojętne, że popierał projekt. — Już urok jego nie tylko zmaliał, ale powaga była podkopana. Już Prądzyński był wygotował akt oskarżenia, wysuwając niezdolnego Jankowskiego na wodza, a Krukowiecki dawszy największej niesubordynacyi przykład, wszedł w poczucie z ulicą i klubem patryotycznym. W takiej chwili, wśród takich żywiołów, które i na Sejm oddziaływały, próba była niebezpieczną i niepolityczną; nie udała się i stała się szkodliwą. Rząd obecny z 5-ciu utrzymał się, ale osłabiony przez dyskusyę i poczucie wewnętrznego rozdwojenia, tak dalece, że Barzykowski chciał podać się do dymisyi i tylko stanowczem oświadczeniem ks. Adama, że to samo uczyni, dał się wstrzymać. Położenie Wodza naczelnego wobec odrzuconego projektu, który uważał za zbawienny, oskarżenia Prądzyńskiego,

intryg Krukowieckiego, wyuzdanej prasy i spisku, było coraz drażliwsze, i to robi trudność sumiennego rozwikłania i przedstawienia nie już tylko działania jednego człowieka albo stron, ale ogólnego, tak skomplikowanego ruchu wszystkich, na ostatni wypadek składających się czynników. — Po upływie pół wieku przeszło, jakkolwiek mam sobie za zaletę, że będąc prawdziwym, nie jestem bezstronnym, umilkły w sercu te gwałtowne uczucia, które szukają w przeciwniku kozła ofiarnego. Będąc przyjacielem Skrzyneckiego, oceniam zasługi Prądzyńskiego. Ale jak wytłómaczyć i akt oskarżenia (str. 95) i słabość, aby go nie podpisać i niejako cofnąć. Podkopał zaufanie, nie miał odwagi ani siebie, ani innego postawić; czując się winnym ważnych przed bitwą Ostrołęcką opuszczeń, które przyjaciel jego Barzykowski przyznaje, szukał jedyne go winnego w Skrzyneckim, dawał artykuły do *Nowej Polski*, wpływu i talentu swego używał, aby paraliżować Wodza naczelnego.

W takim położeniu, wobec opozycji Prądzyńskiego, intryg Krukowieckiego i spisku, kiedy Skrzynecki nie potrafił ani rządu skoncentrować w osobie ks. Czartoyńskiego, ani go sam ośwładnąć, co było możebne tylko po zwycięskiej bitwie, był przykuty do stolicy obawą stracenia wpływu, albo rewolucyjnego ruchu jej ludności.

Tutaj Barzykowski daje obraz działania naszej dyplomacji nazewnątrz i ruchów korpusów na Litwie.

Przywodzić dzisiaj negocyacye w Paryżu i Londynie, byłoby rzeczą próżną, pamięć ich i dowody zostaną jako ciekawy pomnik w książce Barzykowskiego; należy jednak podnieść trzecią konferencyą misyi naszej, z ministrem spraw zagranicznych i ks. Orleańskim w Paryżu i negocyacyi w Londynie.

Pierwsza w której Sebastiani oświadczył, że rząd zrobił krok stanowczy do Anglii i odczytał naszej delegacyi notę, wysłaną do Talleyranda z bardzo nieśmiałym wezwaniem Anglii do pokojowej interwencyi, a która obudziła

w Skrzyneckim nieszczęśliwą nadzieję europejskiego pośrednictwa.

Negocyaacye w Londynie w związku z tą notą, miały jednak inny charakter. Gabinet Lorda Grey, zajęty był ukonczaniem sprawy belgijskiej. Po rewolucyi była obawa przyłączenia jej do Francyi. Ujście Skaldy, Antwerpia swobodna, były to jak są i dziś dla Anglii kwestye żywotne. Powrót pod panowanie holenderskie niepodobny; konferencya ówczesna londyńska ułożyła stawne 18-ście artykułów, wedle których stosunki Belgii miały być urządzone. Potrzebna była zgoda kongresu belgijskiego na nie, a ten stanowczo odmawiał.

Lord Palmerston zagadnięty o interwenyę, odpowiada: dobrze, ale wprzód załatwić sprawę belgijską. Wystaniec Polski, Walewski miał bliskie z domem posła francuskiego stosunki. Stary dyplomata mówi do młodego: macie poczucie z belgijską misyą; nadzieją usłużenia Polsce skłonicie ich do przyjęcia 18-tu artykułów, a natychmiast zatrudnimy się waszą sprawą. Tak się stało, Merode, Vilain Quatorze, Van de Wayer myśl przyjęli, a z ich poręki Roman Załuski udał się do Brukselli, gdzie działaniem na członków kongresu, przemawianiem na zgromadzeniach publicznych, wpływ katolickiego stronnictwa dla polskiej wylanego sprawy, tyle zdziałały, że 9 Lipca kongres 18-ście artykułów przyjął. Czy Walewskiego i Załuskiego. Talleyrand z Palmerstonem wspólnie użyli za narzędzie, czy też starego dyplomate młody Palmerston wyprowadził w pole, jak twierdzi Ludwik Blanc (*Histoire de dix ans* str. 212) dość, że natychmiast gabinet angielski rzekł się bezwzględną notą z 14-go Lipca wszelkiego w sprawie polskiej udziału, a tak staliśmy się znówu obcych interesów narzędziem. Już zatem w połowie lipca wiedział Rząd, wiedział wódz naczelny, że na żadną pomoc z zachodu liczyć nie możemy, tem bardziej, że wyprawy na Litwę smutny brały koniec.

Jak widzieliśmy, pierwszy wszedł Chłapowski. Stanowczo nietylko niechętny dla niego, ale niesprawiedliwy Barykowski, musi przyznać świetny początek jęgo pochodu.

Ze szczupłym korpusem, kogo spotka, bije śmiało, w głąb kraju się zapuszcza, powstanie organizuje i zmierzać ku błotom pińskim, pragnie, aby z tak obronnego stanowiska nieprzyjacielowi szkodzić i ku północy i ku południowi. Sam Barzykowski uważa ten plan jako trafny, a dziwi się, że tą zajętego myślą przeraża wiadomość, że Giełgud ze znacznym korpusem przeznaczony wszedł na Litwę, jako głównie komenderujący. Chłapowski znał zdolności Giełguda, a ufał swoim planom, czy miał się cieszyć, że zaniechane, i czy to należy koniecznie tłómaczyć obrażoną dumą? Chłapowski nie tylko poddał się nowej komendzie, ale kilkakrotnie ofiarowane sobie gwałtem dowództwo odrzucił. Chłapowski był przede wszystkim człowiekiem sumienia i zasad. Podkomendny Giełguda, więcej karność wojskową cenił, jak własną sławę, i za to miałby w historii cierpieć? Nie odpowiada ani za klęskę pod Wilnem, ani pod Szawłami, bo aż nadto wiadome spóźnienie, niedołęztwo i upór Giełguda. Ale niech Barzykowski nie przemilecza, że będąc w tylnej straży, wyratował korpus takim natarciem ułanów, że i nieprzyjaciel stracił ochotę pościgu i historyk rosyjskiej armii z uwielbieniem mówi o heroicznej kilkakrotnej pułku 1 szarzy. Za to długo i szczegółowo opowiada bolesne narady, swary, klęski, które poprzedziły przejście wojsk naszych na ziemię pruską, z dziwnem uprzedzeniem, robiąc Chłapowskiego za wszystko odpowiedzialnym, zapoznając te wysoką enotę może do przesady posuniętą, aby komendy od niekarnego nie przyjmować wojska. Chłapowskiego obrona nie należy do tego pisma; podjął się jej właśnie zdolniejszy, a ja sam w krótkim życiorysie zestawilem tak fakta, że czytelnik sam ostateczny sąd wydaje. Powtarzać się nie chcę, ale pytam, czemu, kiedy Dwernicki, i to pierwszy, bez potrzeby, wszedł do Galicji, kiedy nasza główna armia w 30 tysięcy przechodziła niepróbną walki pod Brodnicą, opinia współczesnych tylko dla Chłapowskiego, co więzieniem i workiem za powstanie odpowiadała, była tak surową? Bo Chłapowski powodzeniem nadzieje obudził, bo z całego układu osoby i charakteru nie

był popularnym, bo wręcz był przeciwny prądom, które w opinii zapanowały. Kiedy po nieszczęśliwem uderzeniu na Szawle, radę wojenną złożono w Kurszanach, a wojsko wedle świadectwa, które sam Barzykowski przywodzi (str. 271) było podobne do kupy zwalonych żołnierzy, głosowano czy wojsko ma zostać razem, czy być podzielone na oddziały. Równość głosów rozstrzygnął Gielgud za rozdziałem.

Barzykowski upatruje tu już umówiony zamiar złożenia broni w Prusiech, niemal zdradę, w każdym razie małoduszność i wskazuje na przykład Dembińskiego. Pomijam świadectwo Macieja Mielżyńskiego, któremu nikt, kto go znał, nie zaprzeczy, ale tu nie tak kwestya się stawia. Rozbitki naszej armii litewskiej przedstawiające się w dosyć poważnej cyfrze, były otoczone i do granicy pruskiej przyparte przez siły przeważne. Można tylko było albo złożyć broń przed Prusakami lub wrogiem, albo bić się do upadłego i zginąć; narody, które powstają, tak czynić powinny. Chłapowski już nie rozkazujący, ale party przez fatalność, z wiarą w europejską wojnę wolał drugie. Bodajśmy byli zginęli z bronią w ręku, ale armie bez karności nie podnoszą się do tego heroizmu. Przykład Dembińskiego, który potrafił wpośród przeważnych korpusów rosyjskich przebić się do Warszawy, nie dowodzi. Każdy zrozumie, że co było możebne z korpusikiem 2.000 ludzi, nie było możebne dla armii, i że puszczając się traktem Dembińskiego, byłaby złożyła broń przed Rosyanami.

To Chłapowski przewidywał i dla tego zjadliwe poduszczenia Barzykowskiego dotknąć go nie mogą, bo dościgłyby słuszniej Ramorinę, Dwernickiego, Rybińskiego, w którego głównej kwaterze znajdował się jednak Barzykowski, kiedy przechodziliśmy Drwęcę. Wszyscyśmy winni, wszyscy zanadto ceniliśmy swoje życie. A z kąd się wziął ten upadek ducha, to zobaczymy niżej.

Na ostatnią pociechę w tej pracy, rzućmy okiem na ten mały zastęp, który ku północno-wschodowi rusza. Jedzie na przedzie z ogorzałą twarzą, sumiastym wąsem, z przewieszoną

lisiurką czterdziestoletni dowódca, pół żołnierza, pół rolnika, wyraz dobroci, zapału i poświęcenia bije z oczów. Od samego początku powstania czynny, przy każdej odznaczający się bitwie, tak, że rośnie w zaufaniu komendy a miłości żołnierza. Porzucił żonę pełną uroku, dzieci, które kochał, stanowisko szanowane i szczęśliwe, ale już o tem nie myśli; sprawia swój oddział, żywi dobrze i ludzi i konie, omija zastępy nieprzyjaciela, i kiedy miano go już za zgubionego, nieutraciwszy swoich, z poczem dzielnych Litwinów wraca. O tem później, ale warto historyka coby opisał tę nową *Anabazis*. Niepotrzeba było Dembińskiego obniżyć, aby podnieść Chłapowskiego, bo ostatni tego nie potrzebuje, ja go też nie upośledzam, ale miło mi zastanowić się nad tą piękną pana Henryka postacią, która bezustannie podnosi się w zastrudze, zdolności i poświęceniu, aż dopóki spisek co godził we wszystko co piękne i wzniosłe, nie zachwiał zaufania w jego osobę. Dlatego zaś podnoszę tę piękną, prawdziwie polsko-szlachecką osobistość, że kraj był dla niej niewdzięczny i zapomina o zasługach nie najzdolniejszego, ale najbardziej poświęconego ze swoich synów.

Giełguda armia broń złożyła, Dembiński zginął gdzieś na Litwie, powstanie chyliło się tam ku upadkowi, w Warszawie niewiele o tem wiedziano, a tymczasem zachodziły i w stolicy i w armii rosyjskiej ważne wypadki.

Dybicz umarł d. 13-go czerwca; chwilowo zastępujący go Toll, dostał rozkaz posunięcia wojsk w Płockie, z zamiarem przekroczenia Wisły. Rüdiger który w kilkanaście tysięcy stał koło Lublina, wskutek powołania korpusu Kreutzza na Litwę, gdzie się paliło, był zupełnie odosobniony, mając na tyłach Chrzanowskiego w Zamościu, stał jak mówią po wojskowemu na powietrzu. Nie uszło to baczości naszej komendy, która parta przez opinię do czynu, nie mogąc dosięgnąć Kreutzza, który ku północy maszerował, chciała świetnym czynem, obudzić odwagę i nadzieję. Postanowiono wyprawę na Rüdigera. Barzykowski opisuje ją ze wszystkimi szczegółami, bo niestęchanie była ważną w następstwach, rachuje liezbę

wojska, cytuje rozkazy sztabu. Rüdiger przeszedłszy Wieprz tak był otoczony przez Chrzanowskiego, Ramorinę i korpus ekspedycyjny, że zdawało się, iż wyjść nie może. W sztabie sekret nie bywał ściśle trzymany. Pamiętam, że widzieliśmy wszyscy, że wyprawa idzie na Rüdigera, a taka była pewność wygranej, że mówiono 19 go czerwca po południu: już o tej godzinie Rüdiger pewno w matni. Wyprawą komenderował Jankowski. Czemu nie Wódz naczelny? Barzykowski twierdzi, że Prądzyński forytując Jankowskiego na wodza, chciał łatwe zapewnić mu zwycięstwo, a Skrzyneckiego odwiódł od komendy osobistej. Jakkolwiekbydź, to pewna, że wskutek rozkazów nadto ogólnych, niedołężności jenerała, karygodnych zaniedbań Bukowskiego i komendanta w Rüdizie, Rüdiger uszedł, wyprawa powróciła bez skutku, obietnice robione publiczności zawiedzione. Pamiętam doskonale tę chwilę. Poczucie niebezpieczeństwa rosło, wyprawa na Rüdigera miała je zażegnać, namiętne wiązała się z nią nadzieja; przerażenie było straszne, jak zwykle w nieszczęściu myśl zdrady zaświtała. Tego właśnie było potrzeba ludziom i prądom, które nurtując dawno w głębi, wydobywały się już na wierzch. Dzienniki, Towarzystwo patryotyczne, zawrzały oburzeniem, domagając się kary na zdrajców. Zdrady nie było. Była niudolność i zaniedbanie. Za pierwszą odpowiadał Prądzyński; na drugie były prawa wojskowe i słusznie należała kara, której się domagano. Są ludzie, którzy wszędzie wachają zbrodnię i niskie pobudki, bo wyższych w sercu nie czują. Rząd obiecał sprawiedliwość, należało wymierzyć ją zaraz wedle praw wojskowych. Aresztowano winnych; odwołując wyrok, zostawiono tak złym namiętnościom pokarm i przedmiot.

Tymczasem cesarz Mikołaj nominował Paszkiewicza wodzem swojej armii; zanim przybył, przytoczę znany mi szczegół, który Barzykowskiemu jak i innym zdaje się nie był wiadomy. Właśnie kiedy Skrzynecki wyprawił się na Krentza, przyszedł do biura spraw zagranicznych list duży formatu półarkusza, ze znakiem pocztowym Hamburg, pod adresem jenerała Skrzyneckiego. Radca Stanu Horodyski nie

był obecny. Biuro było w lewem Namiestnikowskiego pałacu skrzydle, on mieszkał w prawem. Wiadomo było, że odbierać listy do wodza miał prawo; wziąłem list i odnoszę. A to co, z Hamburga? miał wielkie do mnie zaufanie; czytaj Waćpan, kto tam podpisany? Różniecki. List obszerny, zdaje mi się na półtora arkusza własnoręcznie napisany z wielką znajomością ludzi i rzeczy. Zaczynał, że nie pisze z polecenia Mikołaja, ale z własnego natchnienia. Że właśnie teraz przy zmianie wodza możebna do układów chwila, kiedy miłość własna Paszkiewicza nie jest zadrażniona, a honor wojskowy polski na tyłu polach wyratowany. Że mu wiadomo, że Paszkiewicz ma do traktowania upoważnienie, a przekonać Polacy się mogli, że zagranica żadnej pomocy im nie da. Że choćby armia była pobita, cesarz drugą wystawi, a Warszawę zdobędzie. Dalej, że mówi to, aby krajowi oszczędzić nieszczęść. Kończył wymowną od Skrzyneckiego apostrofą, że znając go wie, że żadne osobiste korzyści wpłynąć na niego nie mogą, dlatego nie obiecuje łask, które dla niego żadnej nie mają wartości, ale odzywa się do jego sumienia, które nakazać mu powinno raczej ściągnąć na swą głowę przekleństwa zapaleńców a wyratować Ojczyznę z toni. List żadnego skutku nie miał, dowodził jednak dwóch rzeczy. Raz, jak wówczas jeszcze Mikołaj układów pragnął; powtóre, jakie o uczuciach Skrzyneckiego w takiej nawet jak Różnieckiego duszy było rozumienie. Wódz naczelny złożył list Rządowi Narodowemu.

Powiedziałem wyżej, że jeżeli po Grochowie nie była do układów chwila, to ją wskażę później. W rzeczy samej do układów, jeżeli być mogły, tylko była chwila zmiany dowództwa. Z jednej strony choć niepomyślnie, ale świetnie stoczyliśmy bitwy, z drugiej wysilenia kraju dochodziły do ostatecznych granic, pomoc Francyi i Anglii coraz mniej prawdopodobna. Litwa jeszcze w ogniu powstania, a Wilno w niebezpieczeństwie. Póki na ostrzu miecza sprawa się waży, póty w poczuciu równości przystępuje się do układów, póty można wiele wytargować.

Uspობienie umysłów nie dopuszczało układów.

Choć przeciwny wybuchowi powstania, to jednak pojmowałem tylko walkę o Polskę od Odry do Dźwiny.

Widziałem ja dobrze, że kto twierdząc chce zdobyć, potrzebuje usadowić się w jednym forcie i ztamtąd dalsze robić podkopy; dlatego powstania nie chciałem, ale gdy raz nastąpiło, należało wytrwać.

Kiedy na początku powstania, wysłany przez rząd francuski ks. Mortemart do Petersburga z wrzekomą w sprawie polskiej misją, przejeżdżał przez Berlin, Rząd narodowy wyprawił młodego Andrzeja Koźmiana, aby zajechawszy mu drogę, wyrozumiał go i objaśnił. Ambasador pytał, jakie kraj formułuje żądania, gdzie ich granice. Na to Koźmian: „*Nous voulons tout*“. „*Alors vous n'aurez rien*“ odpowiedział Mortemart. Co by się było wytargowało nie wiem, ale byłoby się uniknęło strasznej szkody, jaką społeczeństwo nasze poniosło przez emigrację i zesłania w Sybir.

Do układów nie przystąpiono, nie dognano Kreutza, wypuszczono Rüdigera, a tymczasem Paszkiewicz posuwał się ku pruskiej granicy w zamiarze przejścia Wisły. Wodza naczelnego usprawiedliwić trudno. Zamiast uderzyć na nieprzyjaciela, kiedy marsz flankowy odbywał, do czego tak wyborną dawał mu sposobność Modlin, dozwolił mu przejścia Wisły. Jak to wytłumaczyć? Ani nadzieją, ani chęcią interwencji i układów. Skrzynecki już nie był wodzem. Podkomendni, a wpływowi rozczylniali jego władzę, przychylni, jak bywa w takich razach, słabo go popierali; zwycięstwem albo śmiałej karności czynem, należało odzyskać urok; to nie było w jego charakterze. Czuł więc, że tracił grunt pod nogami, bo za Krukowieckim i Prądyńskim stał klub patryotyczny, a w części Kaliszanie. Punkt oparcia miał w Sejmie i prezesie Rządu Narodowego, resztą powagi trzymał na wodzy ulicę i dlatego tak trudno było mu Warszawę opuszczać i stawiać sprawę Ojczyzny na los jednej bitwy. Narody polityczne otaczają zaufaniem jedynych ludzi, których postawić mogą; my umiemy na nieszczęście, jak skoro kto przyjdzie do władzy, zwłaszcza swój, zaraz wyrwać pióra, którymi

miałyby się do lotu. Fatalnie składały się tutaj na zgubę błędy człowieka i błędy narodu. Słowo zdrada, było wyrzuczone po wyprawie na Rüdigera. Twierdzi Barzykowski, że je powtarzał Krukowiecki, chociaż takie było o zaćności Skrzyneckiego rozumienie, że podejrzenia tego nikt do jego nie odnosił osoby. Nie powtarzam znanego przebiegu wypadków, jak to wyznaczonej do Rady wojennej sejmowej komisji, obietnicy Wodza, że bitwę stoczy, nieczekając nieprzyjaciela pod murami Warszawy, i śmiałej sumienności Chrzanowskiego, który jeden miał odwagę powiedzieć, że armia nasza w tej już chwili nie mogła się mierzyć z rosyjską i doradzał układy. Wódz wreszcie nie tyle pokrzepiony, co obalamucony tylko co nadeszłymi wiadomościami od paryskiej misji, że Francya krok stanowczy choć nieśmiały do Anglii uczyniła, wyrusza do Sochaczewa, kiedy już Łowicz zajęty przez nieprzyjaciela. Rady wojenne nie zgodne co do działania, Chrzanowski z Prądzyskim jak zwykle w sporze, a rozstrój w wojsku.

Kiedy się to działo, o Dembińskim i jego korpusie zupełnie głucho. Korpus Giełguda wszedł do Prus, on ruszył ku północo-wschodowi, zapewne rozbity, może wyginął, albo już w niewoli. A Dembiński zakreśla ogromne półkole, z niezrównaną pilnością korpusik prowadzi, zaopatrjuje, zwiększa, nieprzyjaciela szybkimi ruchami zmyla, mniejsze posterunki znosi, korpusy znaczniejsze omija i szczęśliwie zrobiwszy mil 120, nieustannie ścigany, Bug przechodzi, pod Warszawą staje. Miasto, kraj, zdrażnione niepowodzeniem, tłumione obawą, miały jeszcze jeden dzień piękny i jasny. Ci, których miano za zgubionych, wracają jak bohaterzy, pomnożeni heroicznym braci Litwinów zastępem, prowadzą niewolnika, nie utracili jednej armaty. Wyległa cała Warszawa na Pragę i most, na którym spotykam Dembińskiego. Kto wypowie tę radość i to uwielbienie, które miało być tak krótko trwałem! Piękne dwa portrety uchowały rysy tego męża. U Stattlera bądź co bądź wielkiego portrecisty, swobodny, śmiały, podniosły po spełnionym obowiązku. Rodakowski w swoim arcydziele przedstawił szlachetnego, nieugiętego, ale którego czoło

poorały troski życia, zawody nadziei, a może obojętność swoich. W innej chwili, w innym usposobieniu wojska i ludności, powrót już nie mówię korpusu, ale generała, który takiej odwagi i charakteru dał dowody, byłyby zbawienne. Krukowiecki przyjął Dembińskiego z niechęcią, Prądzyński z krytyką, a klub patriotyczny z nadzieją pozyskania i wyzyskania jego popularności. Rząd Narodowy zstępuje na ulicę, aby go powitać. mianuje generałem dywizyi. Sejm osobnem prawem nagradza wodza i żołnierzy, nabożeństwo u Karmelitów dziękczynne, którego kłęcząc słucha, a słuchać musi kazania wymierzonego przeciwko Skrzyneckiemu.

Wskazałem w pierwszej rozbiory tej części, jak różnorodne wpływy, stworzyły gorącą atmosferę, która wywołała detronizację. — Proszę dziś czytelnika uważać prądy, które miały nie tylko ulicę, ale Sejmem i wojskiem. Wódz naczelny mimo poparcia Rządu, Sejmu i opinii, systematycznym może przekonaniem wiedziony, zostawał w bezczynności, popełniwszy wprzódki niezem wytlómaczyć się nie dające błędy. Od pamiętnej o reformie rządu w Sejmie rozprawy, Kaliszanie coraz bardziej w nierozumnej opozycyi względem Skrzyneckiego i ks. Czartoryskiego stojąc, sami niezdolni, jak zwykle pośrednie stronnictwa władzę opanować, gotowali grunt dla party skrajnej, tj. Lelewela i Towarzystwa patriotycznego. To ostatnie, które w cieniu rosło, a przyciągało wszystkie niezdrowe żywioły, chroniące się do stolicy przed służbą w polu, popierane bezczelną prasą, wtajemniczone w działanie rządu przez swego prezesa, panowało na ulicy. Być miłośnikiem Ojczyzny — pięknie, ale nie łatwo; jakież ma pociąg patent na patriotę zyskany bez pracy i poświęcenia, a zwłaszcza kiedy podłym namiętnościami pozór zasługi dać można. Towarzystwo przez niegodnego X. Puławskiego audyencyi u Dembińskiego zażądało, odtrącił je ze zwykłą sobie szlachetnością, ale i nierozwagą. Od tej chwili poprzysięgło zemstę, a na sposób spisku zorganizowane i w wojsku i w mieście siało nieufność i podejrzenie tak, że Dembiński, jak zobaczymy, jako gubernator stolicy i

wódz naczelny napotyka niekarność w wojsku, a opozycję w Rządzie.

Katastrofa zbliża się: Kreutz przeszedłszy Wisłę pod Nieszawą, łączy się z Paszkiewiczem. Rüdiger wchodzi w Sandomierskie. Mamy jeszcze amunicyi dostatek i silną armię gotową zginąć, nie mamy ani człowieka, ani zastępu ludzi przewodnich, którymby kraj cały ufał a którychby słuchał.

Anarchiści burzą, intryganci powstają, Skrzyneckiego to o zdradę, to o ambicję, to o nieudolność posądzają, a w całym tem prawdziwym pandemonium on jeden stoi, może wojskowo winny, ale moralnie czysty, rośnie gotowością odstąpienia władzy, największą szlachetnością i zaparciem siebie. Obok niego stoją nieskazitelny Dembiński i Chrzanowski.

Znał Skrzynecki siebie, wiedział, że odporną tylko prowadzić umie bitwę i dlatego uporeczywie chciał ją pod Warszawą stoczyć. Kto wie, czy wobec sił, któremi rozporządzał, oparty o fortyfikacye miasta, nie byłoby najlepsza taktyka.

Infandum jubes renovare dolorem. — Po latach pięćdziesięciu czterech, z wielkim bólem przychodzi rozbierać piąty i ostatni tom Barzykowskiego.

Straszna to droga przechodzić od niewiary do nadziei, a od nadziei do upadku i rozpacz. Drogę tę przechodziłem raz w życiu; dziś, kiedy ją znowu powtarzać i przypominać przychodzi, na wspomnienie błędów i popełnionych zbrodni, serce się podnosi, krew bije do głowy i niełatwo znaleźć spokój potrzebny, aby nietylko fakta zebrać treściwie, ale we właściwym przedstawić je światło, a każdemu oddać wedle zasługi. Przewodnikiem doskonałym jest tutaj autor, a nietrudno mi go kontrolować, bo rzadko moja zawodzi mnie pamięć, a mam pod ręką równoczesne dzienniki.

Kiedy Skrzynecki, mimo poleceń Rządu, Sejmu i własnych obietnic, bitwy nie stoczył i cofał się, Sejm był już, zwłaszcza powiększony posłami z zabranych krajów, w rozstroju; Kaliszanie z zasad wodzowi naczelnemu przeciwni, od rozprawy o zmianę rządu wprost nieprzyjaźni, przeciw

niemu występowali. Towarzystwo patryotyczne zagarnęło do swego łona szumowiny wojska i, nie ludu, ale bruku warszawskiego; o swego prezesa, a zarazem członka Rządu Lelwela i dziennikarstwo oparte, wywierało wpływ na licznych posłów i ruchliwą a zrozpaczoną opinię. Jedni i drudzy, choć z różnych powodów nienawidzili Skrzyneckiego do tego stopnia, że wobec nieprzyjaciela nie zawachali się żądać zmiany wodza, nie mając dlań zastępcy.

Jedzie delegacya z członków obydwóch Izb i Rządu złożona, aby wpośród jenerałów wynaleść wodza naczelnego. — Rzadki w historyi wypadek. — Delegacya przybywa do głównej kwatery pod Bolimowem. — Straszne z tą miejscowością połączone wspomnienia. Rozstrój karności wojskowej zaczęty pod Glinianami, tutaj po trzech wiekach się kończył.

Kiedy delegacya z jenerałami obraduje w spichlerzu, wojsko sejmikuje na dziedzińcu pod wpływem klubowych emisaryuszów. — Na los głosów puszczone dowództwo; najwięcej otrzymał ich Dembiński. Ale nienawistni mu Kaliszanie przewodzący w deputacyi, przyznają tylko zastępstwo i ograniczają władzę. Tu wspaniała następuje chwila. Złożony Skrzynecki, wojsku, które nie przestaje okazywać mu zaufania, poleca posłuszeństwo dla nowego wodza i wydaje odezwę, którą do najwyższej podnosi się moralnej godności. Nie byłyto złe czasy, nie byli zwyczajni ludzie, którzy taki choć zapóźniony dawali ze siebie przykład. — Kiedy tak w obozie obradują, a Prądzyński radzi Dembińskiemu, aby negocyował, armia rosyjska posuwa się naprzód, ściska coraz bardziej stolicę, licznych emisaryuszów wysyła do Warszawy. — Trzeba odczytać nie Barzykowskiego, ale dzienniki ówczesne, aby mieć wyobrażenie, jaka tam panowała temperatura. Są narody, które w chwilach niebezpieczeństwa skupiają się około ludzi przewodnich, zaufanych, — tak np. kiedy z Dymitrem zajmowaliśmy Moskwę, pierwszy kniaź rosyjski, Pożarski, i pierwszy człowiek ludu, rzeźnik Minin, podali sobie ręce i polską zwyciężyli załogę; u nas dziennikarstwo zniszczyło w publiczności z natury do zawiści skłonnej, jak już

Długosz uważał, potęgę najzaciejszych ludzi, wietrzyło wszędzie zdradę, jak gdyby naród, który nikomu ufać nie powinien i nie może, miał prawo do bytu i trochę na podobieństwo dnia dzisiejszego odcjmował ochotę do służby publicznej. — Usposobieniu temu sztucznie stworzonemu dawał kierunek klub, zagarnawszy, jak zwykle dzieje się z pośredniami stronnictwami Kaliszanów, którzy bezwiednie stawali się jego narzędziem. Są ludzie, którzy czy z natury, czy z zepucia, krwi potrzebują, niezdolni wyższych ocenić pobudek, bo im są obce, uważają teroryzm jako jedyny w ciężkich chwilach środek, choćby wszystko miało przepaść, ale przynajmniej uczynimy zadość swojej nienawiści. Takich miało Towarzystwo patryotyczne; jak zaś takie uczucia są zaraźliwe, wiadomo.

Jaką odgrywał tu rolę Krukowiecki? — Żyjemy w czasach, które wszystkie rehabilitować chcą błędy. — Kto do historii wstąpił, zwłaszcza dobrowolnie, przed nią jest odpowiedzialny.

Burzliwy charakter zdolnego tego wojskowego był znany; nie znosił karności, nie znosił pierwszeństwa. Pod Grochowem nie wykonał ruchu, który Chłopicki nakazał. — Wybór pułkownika Skrzyneckiego na wodza, kiedy on był generałem dywizyi, dopełnił miary goryczy. Nie złądziła jej nominacya na gubernatora Warszawy. Człowiek jego energii mógł tam być bardzo użytecznym, a zaprawdę byłoby może drugie stanowisko w armii. — Zdaniem Barzykowskiego, posłużyło mu tylko do zawiązania licznych stosunków w mieście i klubie. Po Ostrołęckiej bitwie stawiał się wodzowi naczelnemu zuchwale, wreszcie złożył komendę stolicy. Wówczas głównie stał się ogniskiem, w którym śródkowały się niechęci, ambicje, podejrzenia; w słowach niepohamowany, oskarżał o zdradę, którą też wietrzono w nieczynności Skrzyneckiego. Taki właśnie człowiek odpowiadał nieokreślonym aspiracyom gminu. Warto zapytać, jaki duch tym człowiekiem miotał. Zguby Ojczyzny nie pragnął, bić się nie myślał, jak tego dowiódł pod Warszawą, żadnych

później łask od Rosyi nie przyjął, w miernem zaciszu życie skończył. Prawdziwie psychologicznie warto by badać, czy obrażona duma, czy chęć znaczenia i odwetu, niepokój duszy, mogą popchnąć do przepaści. Boć rwać się do władzy, kiedy wszystko było w upadku, zaledwo opłacić się mogło, a powtarzam, nie będąc w znowie z nieprzyjacielem, wszystkie wziął na siebie pozory, głównie przez to, że w odezwach mówiąc o rozpaczliwej obronie, miał zamiar traktowania i robił to, o co ustawnie Skrzyneckiego oskarżał. Zobaczymy go dalej; tutaj musiałem dłużej mówić o człowieku zagadkowym wogóle, zrozumiałym tylko dla prawdziwych serca ludzkiego znawców, którego jeżeli z często zarzucanej lekkomyślności zdrady obmyć należy, od ciężkiej odpowiedzialności uwolnić nie można.

Dembiński przyjął zastępczo dowództwo, w przekonaniu, że stanowczo wodzem ogłoszonym będzie; jakie miał plany dalszej wojny, to już dziś obojętne; bo jak już raz uważałem, plany *ex post facto* powstają; ale nie obojętne punkta, które pod d. 13-tym sierpnia ks. Czartoryski Dembińskiemu podał.

Książę, wobec którego Lelewel wyraz zdrada, odważył się wymówić, który za dwa dni Warszawę konno, przebrany, miał opuszczać, pistoletem kierując sobie drogę, z trafnością wojskowego wskazuje plany dalszego działania. Odwaga w nim nie osłabła, determinacya *usque ad finem*, wierny podpisowi, którym do powstania przystąpił, o układach nie myśli, zawsze sobie podobny. Warto, aby przyszły biograf księcia zamieścił to pismo wraz z jego datą. W tem życiu tak przeźroczysem, jednolitem, prostotą heroicznem, na którego tle, co rzadko, próżno szukałbyś skazy, takie rady dane w takiej chwili, odbijają się blaskiem niezwykłej zasługi.

Kiedy Skrzynecki, Dembiński, Czartoryski prawdziwego patriotyzmu dają dowody, dokładnie przedstawia Barzykowski, co w mieście się dzieje. Kaliszanie preforsowali w Sejmie uchwałę, że Rząd, nie Sejm ma wybierać wodza, w tem przekonaniu, że w ten sposób wybór na Dembińskiego nie

padnie. Ciekawą a gorszącą opowiada Barzykowski scenę, kiedy Lelewel rozstrzygając równość głosów pomiędzy Dembińskim i Prądzyńskim, z cynizmem niby na los szczęścia, niby posuwając dwa papierki, na rzecz Prądzyńskiego rozstrzygnął. Prądzyński, skory zawsze do krytyki a unikający odpowiedzialności, nie przyjmuje; noszą się z buławą, aż złożono w zacne ale już nieudolne ręce starego Małachowskiego. Nie o to szło klubowi, który chciał krwi, i Krukowieckiemu cheiwemu władzy, choć nie wiedzącemu co z nią zrobić.

Izba poselska w rozstroju, Rząd miał w swoim składzie głównego choć najnieodolniejszego konspiratora, wojska w stolicy prawie zgoła nie, a gubernator, równie jak komendant gwardyi narodowej, byli ludzie słabi. Opinia była pod wrażeniem jakiegoś bliskiego wypadku, którego mowy na klubie były zapowiedzią, a wiadomości, przychodzące z obozów rosyjskich z prawego i lewego brzegu Wisły, naznaczyły dzień ruchu rewolucyjnego, który równie był im znany jak pożądany. Wiadomości o armii z Bolimowa przychodziły co chwila, przekęcane pomnażały trwogę i oburzenie; ludzie ci nie cofają się przed żadnem kłamstwem. „Wojsko chce się bić; ale Rząd robi układy z nieprzyjacielem, Skrzynecki zdrajca, Dembiński z nim w zgodzie. Pod sąd oddać, powiesić, niech naród o sobie myśli“. Wtórował temu, jak twierdzi Barzykowski, Mochnacki, Grodecki i inni. A zatem najść Rząd narodowy, dyktaturę albo konwent z 9ciu zaprowadzić, zdrajców ukarać. Mochnacki mówi: gdyby Rząd był kilku winnych powiesił, byłby uratował od scen d. 16-go sierpnia. — Powiesić, kogo? niewinnych, bo Jankowski i Bukowski byli winni głupstwa, nie zbrodni, a sam Mochnacki w innym miejscu mówi: „że nietylko kłębka, ale nici winy w nich znaleźć nie można“.

Dzień 15-ty sierpnia 1831 r. był pogodny, gorący. Klub obradował wczas popołudniu na zwykły temat zdrady i żądania wyjaśnień, czemu winni nie ukarani. Był to tylko środek rozgorączkowania zgromadzenia, aby je poprowadzić na Rząd i mniemanych zdrajców.

Obrady trwały za dnia: poprawiam tu Barzykowskiego, bo moja nie zawodzi mnie pamięć. Postanowiona deputacya do Rządu ruszyła w otoczeniu licznej czeredy. Siedziałem na ganku domu obok aplikacyjnej szkoły z panią Fredrową, która w szkole kierowała szpitalem. Godzina może 6ta. — Widzę kupę ludu z Puławskim na czele. Domyślam się co to jest i biegnę do mieszkania swego w Tarnowskich pałacu obok namiestnikowskiego; przypasawszy pałasz, staję w przedsiönku Rządu narodowego. Tłumna deputacya, która ciągnęła koło Zygmunta, nadchodzi. Chce mówić z Rżadem. Książę, Barzykowski, Niemojowski, kiedy Lelewel skrył się za franękę, stają we drzwiach sali posiedzeń, nie wpuszczając tłumu, który się zajmował. Puławski, po nim Czyński i Płużański głos zabierają w sali. Słów tych nie słyszałem, ani odpowiedzi prezesa Rżadu. — Opowiadanie autora nosi wszystkie cechy prawdy. Zaczęte, stanowcze i poważne słowa Księcia, śmiałe Barzykowskiego, zaimponowały tłumom, zaczęły się uspokajać, nawet rozehodzić, a Księcia odjeżdżającego pożegnali okrzykiem. Pod Lwami już niewielu było; lekki deszcz zaczął padać, zebranie topniało, kiedy głos dał się słyszeć: „hej do zamku, na zdrajców!“ — Wnet grupa się powiększyła i posuwa Krakowskiem Przedmieściem. Stał podówczas mur równoległy od Zamku aż pod Blachę. W tej ciasnej szyi posuwał się tłum ku bramie zachodniej. Jak zwykle, dalsi bezpieczni, parli poprzednich; kto komenderował plutonem gwardyi narodowej, nie wiem, ale wart komandorskiego krzyża *Virtuti militari*, albo raczej *civili*. Ustawił pluton, wystąpił naprzód i rzekł (to osobiście słyszałem): jeżeli trzy kroki postąpicie naprzód, dam ognia“. Tłum się posuwał, pluton wypalił; czy byli ranni, nie wiem; motłoch się rozprysnął z krzykiem: gwardya swoich morduje! Tymczasem bataliony gwardyi ścigały pod kolumnę Zygmunta najlepiej usposobione, gotowe ruch wstrzymać ogniem albo bagnetem, kiedy głos, który ja sam słyszałem, odezwał się: „komendant posterunku zamkowego przestąpił rozkazy, strzelając do ludu, będzie do odpowiedzialności pociągnięty“. Nietrzeba było więcej jak

te słowa, aby gwardye narodową zdemoralizować. Została nieczynną, tłumy drugą bramą wdzierały się do Zamku. Pobiegłem do pałacu Paca zawiadomić marszałka Ostrowskiego. Spoczywał; obudziłem, wracam na plac zamkowy, dzieło zbrodni było spełnione. Wobec zorganizowanego spisku, działanie ludzi porządku, choćby najliczniejszych, jest niepodobne. Mogło tam działać wojsko, ale go nie było; mogła działać gwardya narodowa, ale ją zdemoralizowano. Szalał nie lud warszawski, bo nawet Solec, tak czynny w pierwszych dniach rewolucyi, nie ruszył się. Szalała sfanatyzowana falanga klubu, a powąchwawszy krwi pod Zamkiem, dalejże na Czyste, gdzie kilkunastu więźniów niby politycznych trzymano. Orgia krwawa się zaczęła, a właśnie w tej chwili konno ks. Adam w oficerskim mundurze przebywał rogatkę, chroniąc się do obozu. Poznany albo nie, zapewnić nie mogę, ale kilka strzałów padło za wyjeżdżającym. — Co się dzieć musiało w sercu człowieka, który wszystko poświęcił, a za którym polskie godziły kule! — Co do mnie, jestem przekonany, że nie myślał w tej chwili ani o niebezpieczeństwie osoby, ani o niewdzięczności swoich, ale o hańbie, która okryła sprawę i o jej koniecznym upadku. Mógłbym tutaj ponury a nawet plastyczny obraz tej nocy przedstawić, mógłbym wskazać na obłęd, który kielichami szampana przy otwartych oknach obchodził te krwawe saturnalia. — Dajmy temu pokój, wróćmy raczej do historycznych faktów. Z pośród cieniów nocy, łuny pochodni, oświecających dzieło odurzenia i zgrozy, które opanowało umysły, wychyla się tragicznie Krukowieckiego postać. Barzykowski cały kierunek działania klubu jemu przypisuje, nawet każe mu czekać pod Zygmuntem na pochód kolumny, gdzie ja go jednak nie widziałem; mam nawet osobiste przekonanie, że egzekucyj sumarycznych nie chciał; błędem zwykłym ludzi dogadzającym namiętności rozumiał, że pokieruje ruchem, który go przerósł na ulicy, ale, jak zobaczymy, dał mu przewagę w Sejmie. Odrazu *via facti* objął gubernatorstwo, odrazu ukarał nieznanego zbrodniarza. Obok listy prawdziwej czy udanej dekretowanych na szubienicę,

stawiał się poniekąd rękojmią bezpieczeństwa i porządku. Kiedy tak gotował sobie drogę do władzy, której niewiadomo poco tak gwałtownie żądał, Dembiński podówczas wodzem, zawiadomiony co się w Warszawie dzieje, stanął główną kwaterą na Czystem, wyprawiwszy wprzód Chrzanowskiego do miasta, aby porządek przywrócić, winnych aresztować. Ze zwykłą energią, prawdziwych kierowników przyaresztował, mieszkańców co do bezpieczeństwa osób uspokoił, ale nie potrafił, bo to już było niepodobna, przywrócić tej swobody ducha, którą daje świadectwo dobrego sumienia i poczucie własnej godności. Każdy czuł się jakby osobiście odpowiedzialnym za popełnione na winnych i niewinnych bezprawia; walczyć, poświęcać się, ginąć po to, aby najpodlejsze w Ojczyźnie zapanowały żywioły, czy to warto? każdy pytał. Zapał w sercach ostygł, ręce opadły, a dzienniki nieśmiałym głosem tłómaczyły wypadki. Strach i teroryzm to ma w sobie najgorszego, że tłumi szlachetne uczucia, nie pozwala właściwie oceniać podłych czynów. szuka wymówki w kłamstwie; tak było w odezwach, od których odbija śmiała, a jak rozumie Barzykowski, nietrafna odezwa Dembińskiego. Wchodząc do Warszawy, nosił się z myślą objęcia władzy, czynem śmiałym limitowania Sejmu i prowadzenia walki na swoją odpowiedzialność. Nic nie było łatwiejszego; w dniu 16-go i 17-go byłby przez miasto a nawet wojsko przyjęty jako zbawca. W takich chwilach myśl musi odrazu stać się czynem, a należy umieć brać odpowiedzialność za uprzątnienie zawad, które złość albo nierozum stawia. Dembiński, człowiek heroicznej odwagi i poświęcenia, tych rzeczy nie wiedział; radził się, a potęga tajemnicy zwietrzała. W pamiętniku swoim narzeka na Ostrowskiego słusznie, na Wielopolskiego niesłusznie, nawet pamięć niezupełnie mu dopisuje. Przyrzekł zrobić zamach stanu. Wielopolski wygotował odezwę, rano o 6-tej poszedłem z nim do Jenerała. Był w łóżku; Wielopolski siostrzeniec wszedł do sypialni. Za kilka minut wypada w największym uniesieniu, drze odezwę mówiąc: *le coeur lui a manqué*. — Pisz Dembiński (str. 155), że Lelewela głowa spaść musiała..

Oczywiście, ta surowa sprawiedliwość trwożyła jego serce i sumienie, a nie było na kim się oprzeć. Ostrowski bronił nietykalności Sejmu, Barzykowski Rządu, było zatem niemożliwą i niepolityczną rzeczą, nadzieja czy zachcenie zamachu stanu, z przyzwoleniem ciał rządzących.

Podwakroć Dembiński w pamiętnikach wspomina, że byłby musiał Lelewela zgładzić. Wystarczyło go aresztować, już środki surowsze nie byłyby pomogły, nie były na czasie. I tu się też kończy czynna Lelewela rola. Był on, jak widzieliśmy, jakby złym duchem całej sprawy przez dziewięć miesięcy. Bywają ludzie, teoretycy, niezdolni do czynu z temperamentu i charakteru, a pełni chęci wpływu stanowczego i przeprowadzenia swoich myśli. Bezinteresowność podnosi ich urok, tajemnemi jak z trójnoga słowy niedoświadczonych, którzy upatrują w nich geniusz, magnetyzują. Takim był Lelewel; młodzież do ruchu, nie zbadawszy politycznej sytuacji, zagrzewał. Po wybuchu wszedłszy do rządu, równocześnie w klubie przewodził, zdradzając rządowe tajemnice i słabe strony. Sprawę naszą kompromitował nawiątną, ani raz choćby w swoim kierunku, nie wystąpiwszy śmiało i stanowczo. Posuwa się wobec ks. Adama aż do słowa: zdrada, a gdy ten grozi dymisją, tłumaczy się z pokorą; wybór wodza z cynizmem puszcza na los szczęścia, kiedy hołota Rząd nadchodzi, kryje się za franką. Drży przed Dembińskim i ostatecznie do wyboru Krukowieckiego przykłada rękę.

Rząd 17-go złożył mandat. Sejm obraduje nad formą nowego i czego nie chciał przed dwoma miesiącami, to dziś spełnia bezużytecznie. Postanawia, że rząd ma się składać z prezesa w radzie ministrów. Kto ma być tym prezesem? Ostrowski czy Krukowiecki. — Opisuje obszernie Barzykowski fortele, których miał Krukowiecki używać do kaptowania głosów. Fortele skutkowały; wybrany prezesem wpośród ogólnej konsternacji wojska, miasta i kraju. Jeszcze raz pytam: poco ten człowiek dobijał się władzy na Ojczyzny i swoje nieszczęście? Nie miał zdrady na myśli, stanowczo nie zdradził w zwy-

czajnem znaczeniu. Ale mimo zapewnień w proklamacyach, bić się nie myślał. W ostatniej chwili ściągać na siebie *odium* kapitulacyi, czy się opłaciło? Może spodziewał się wytargować lepsze warunki, ale wtedy na co zakłęcia na siwą głowę, których nie sprawdziły szumne proklamacye. Bądź co bądź urzęduje. Do swego boku bierze osławionego Krępowieckiego; Zaliwskiego z pod sądu wojennego uwalnia. Mochnackiego referendarzem nominuje i do pióra używa.

Czytając artykuły w spółczesnych dziennikach, obrady Sejmu, odezwy, załatwienie spraw bieżących, zdawałoby się, że wypadek walki wątpliwy, a obręcz ze spiżu i żelaza, która otacza Warszawę, ścieśnia się coraz bardziej, katastrofa się zbliża. Słowa te same w ustach, a przekonanie i wewnętrzne uczucie u wielu kłam im zadaje. U wielu, bo różnić należy; rozropnej nadziei zwycięstwa nie było, ale była rzetelna gotowość ofiary. Zkądże pochodził ten wstręt do układów niemal koniecznych, te zuchwałe warunki podawane generałowi Dannenberg w wilię wzięcia Warszawy? Miał on, nie rozbieram tu słusznie czy niesłusznie, moralną podstawę. Naród polski dobrowolnie rozbiorów nie uznał, uważał je jako fakt przemocy, który nie mógł być źródłem prawa. Gdyby Sejm w imieniu narodu przyjął warunki podane przez Cesarza, byłoby to, jak uważano podówczas, stanowiło początek prawa, a tego sumienie przyjąć nie mogło. Powtarzam, że nie wchodzę tutaj w rozbiór ów przekonania i uczucia, tylko dokładnie przedstawiam usposobienie nietylko najgorętszych, ale i rozsądnych miłośników Ojczyzny. — A więc bić się do ostatniego. — Mam mocne przekonanie, że w wojsku była do tego gotowość aż do 15-go sierpnia i gdyby nie upadek na duchu, wywołany przez zbrodnie dnia tego i rozstrój w komendzie, o którym niżej, marszałek Paszkiewicz nie byłby wszedł do Warszawy 8-go września.

Jenerał Prądyński w memoryale swoim mówi, że nie ma miasta trudniejszego do obrony, jak Warszawa; rozmierza obwód i promień jego, twierdząc, że 50.000 ludzi zaledwie wystarcza, aby obsadzić działa przygotowane do obrony.

Jeżeli tak, a przeczyć tego nie można, czemu wyprawiono Ramorinę w 20.000 ludzi na prawy brzeg Wisły? Jak wiadomo, prezes Rządu zaledwo przyszedłszy do władzy, nakazał generałowi Skrzyneckiemu odjąć wszelką komendę i podać się do dymisyi. Zrozumiał swoje położenie Skrzynecki i ukrył się u przyjaciela tak dobrze, że oprócz żony, nikt nie wiedział, że jest w Warszawie. Skoro tylko w ukryciu dowiedział się o wysłaniu korpusu Ramorina, rzekł do żony: „ręczę, że traktują.“ -- Barzykowski szczegółowo opisuje przebieg wyprawy na prawy brzeg Wisły, błędy Ramoriny, udział Prądzyńskiego. Szczegóły te, ponieważ wyprawa się nie powiodła, już dziś nas nie obchodzą; obchodzi to tylko, co działo się w Warszawie, której Krukowiecki, jak wyraża się w liście do ks. Czartoryskiego z d. 20-go sierpnia i w liście do Prądzyńskiego z d. 28-go t. m., miał bronić jak Saragossy. (Förster, str. 131 i 143).

W Warszawie czytano odezwy ogniste prezesa, które z pióra Mochnackiego płynęły, a którym nie wierzono, i kłamliwe dzienników artykuły, które dziś jeszcze obrzydzenie sprawują. Klub patryotyczny już niepotrzebny i zatrwożony, zamilkł. Przez kilka miesięcy wyuzdana prasa zaprowadziła taki zamęt i rozstrój w umysłach mieszkańców, że w końcu, zwłaszcza po ostatnich wypadkach nie było właściwie opinii, a liczna ludność zagraniczna i żydowska, choć głośno odezwąć się nie śmiała, pragnęła końca wojny przez układy.

Sejm stracił był istotną powagę i władzę moralną; znać było nieobecność ks. Czartoryskiego; nie śmiał brać odpowiedzialności za układy, bo pierwszym onych warunkiem miało być cofnięcie detronizacyi, którą Sejm tak nierozmyślnie orzekł. W wojsku, w mieście, w kraju było jednak liczne stronnictwo gotowe walczyć i zginąć. Ale to nie dość; aby zginąć, aby walczyć, trzeba zaufanego na przedzie. Tego nie było i to było najcięższym owej chwili bólem. Nie było w nikim dostatecznej powagi moralnej i wszyscy zmaleli.

Krukowiecki już pod 20-tym sierpnia (Förster str. 127) przewidywał układy; z czego nie robiłoby się zarzutu,

gdyby o nie Skrzyneckiego nie oskarżał i nie obiecywał zagrzebać się pod murami Warszawy; czy to było możebne, nie wiem, ale z pewnością należało stoczyć pod okopami Warszawy bitwę, jak tego chciał Skrzynecki; byłaby rozstrzygnęła los Warszawy i kraju, oszczędzając upokorzenia w układach i zarzutu, że powstanie z armią trzykroć licniejszą, jak 29-go listopada, zamiast bronić swych orłów, umiało tylko unieść je za granicę.

Wina upadku moralnego ciąży na ludziach i fakcyi, która niezdolna podnieść się do wyższych pobudek, terroryzmem przytłumiła ducha poświęcenia, a wina niedołęznej obrony, zdaniem Barzykowskiego, na jenerale Krukowieckim. Co do mnie, zaprawdę żadnego nie mam interesu, aby odpowiedzialność jego powiększać. Przeciwnie, jest w naszym interesie, aby każdą osobistość, każdy charakter oczyścić. Żołnierz na tyłu polach bitwy odwagą i zdolnością odznaczony, ma prawo do sprawiedliwego ocenienia; dlatego odsuwając stanowczo zarzut zdrady, nie można usprawiedliwić jenerała.

Nie podpisał kapitulacyi, to prawda, ale doprowadził rzeczy do tego, że ją podpisać musiano, bo wyprawieniem korpusu na prawy brzeg Wisły, oddaniem komendy zacnemu, ale niezdolnemu wodzowi, niedołęznem przygotowaniem i prowadzeniem obrony, sromotnego upadku Warszawy stał się przyczyną. Jedną miał chwilę dobrą, kiedy dnia 7-go września, z godnością i odwagą, stanął w obozie rosyjskim do rozprawy z Paszkiewiczem i to mu porachować należy.

Kiedy w Warszawie po wymownych odezwach, ani gwardya narodowa, ani straż bezpieczeństwa zorganizowaną ani rozłożoną nie była, toczył się spór o użycie rezerw pomiędzy pułkownikami, a komendą miasta; armia rosyjska zaś pod jednolitą komendą, wszystkie przygotowania i ćwiczenia do szturmowania czyniła. Paszkiewicz chciał szturmowania unikać. Obawa rozpaczliwej obrony, może wstąpienie do przelewu krwi własnego żołnierza, jak dziś wiemy, szczupły amunicyi zapas, potęgowały tę wolę, bo nie przypuszczał, aby rząd tak zu-

chwale przemawiający nie przedsiębrał wszystkich, ba nawet ostatecznych do obrony środków.

Na dniu 1-go września parlamentarz doręczył przednim strażom list generała Witta z odezwą cesarza, który w słowach umiarkowanych nakazywał powrót do posłuszeństwa, a dawał nadzieję przebaczenia. Gdy ta nie wywarła żadnego skutku i nie było odpowiedzi, na d. 4-tym września Witt napisał imieniem wodza rosyjskiego list do Krukowieckiego, żądając porozumienia osobistego, albo przez osobę zaufaną z generałem Dannenbergiem. Rząd zawiadomiony wyznaczył Prądyńskiego, nie dając mu jednak żadnego upoważnienia do układów. Barzykowski przywodzi relację, jaką zdał Prądyński Rządowi narodowemu, i komentuje ją słowami Schmidta, wskazując, jak zreżnie Dannenberg wielomowność i dobroduszość Prądyńskiego wyzyskać potrafił. Ale Barzykowski wspomina tylko o raporcie Nr. I, pobieżnie zdającym z rozmowy sprawę. Czyby nie znał raportu Nr. II, który Förster podaje *in extenso*, a który zaprawdę jest bolesnym objawem politycznej niedojrzałości Prądyńskiego i sfer, w imieniu których przemawiał. Mniej liczni poniekąd już w rozstroju, moglibyśmy jednak stoczyć bitwę albo zwycięzką albo zaszczytną, ale negocjować z Rosyanami nie byliśmy w stanie. Rozumowanie i wnioski Prądyńskiego były tak śmieszne, że chyba tylko chęć wybadania mogła skłonić Dannenberga do przedłużenia nadmiar rozmowy. Pięknie jest, gdzie idzie o prawo, stawiać kwestyę absolutnie. Albo wszystko, albo nic. Ale wówczas należy z determinacją ginąć. Żądać przyłączenia zabranych krajów do Królestwa, armii itd., kiedy 100.000 stało pod Warszawą, a żadnego nie odnieśliśmy zwycięstwa, było więcej popis jak heroizm.

Taka jednak poszła odpowiedź, przesłana przez Tyszkiewicza Paszkiewiczowi; była jakby wezwaniem do szturmu. Ludność stolicy nie zdawała sobie dobrze sprawy z położenia. Czytała od kilku miesięcy, że Warszawa nie była do zdobycia. Stawiane barykady, sypane wały na ochotnika dodawały otuchy. Bem nominowany generałem zapewniał, że

ogniem swoich armat wstrzyma rosyjską armię; sam Krukowiecki w dziwnym obłędzie pisze: „że zostawiona w stolicy armia do jej obrony dostateczna.“ Dopiero kiedy feldmarszałek odebrał odpowiedź Rządu narodowego, stracił nadzieję wzięcia Warszawy przez układy i rozpoczął 5-go września ściągać całą pod okopy armię, zrozumiano, że przyszła chwila spełnienia przez 9 miesięcy powtarzanych obietnic.

Rozumie kto może, iż strach, przerażenie było wielkie. Otóż powiem, nie. Od 15-go sierpnia nastąpiło pewne odretwienie, życie obrzydło; nie było heroizmu, ale była rezygnacya tem trudniejsza, że poświęcenie nie miało celu. Uczucie ogółu musi koniecznie koncentrować jeden człowiek; tego nie było. Kiedy 6-go do dnia 200 armat dało wystrzałem hasło szturm, stanęło wojsko oczekując śmierci, nie zwycięstwa. Wieczną będzie chwałą wojska polskiego ten dzień krwawy; nie było wodza, nie było komendy, ani surowej kontroli, ani duchowej podniety, a każdy wypełnił swoją powinność, każdy na swoim miejscu spokojnie ponosił śmierć albo jej oczekiwał. Jak nie podnieść takiej zasługi? Jak nie płakać krwawemi łzami, że przez brak komendy stała się nieużyteczną. Kto ciekaw, niech czyta w Barzykowskim i liczbę i rozdział wojsk i opis walk; ja tylko powiem, na co patrzyłem i co słyszałem zaraz po wzięciu Warszawy.

O godzinie 6-tej stanął pułk w asekuracyi armat pod Wolskimi rogatkami. Niedługo, a liczne wojska rosyjskie postępować zaczęły na działa, broniące wielkiego szanca pod Wolą, mianowicie Nr. 54 i 57. Broniły pierwszego dwie kompanie, kiedy go zajęły przeważne siły nieprzyjaciela; lont do prochów przyłożony pogrzebał w jednych gruzach zwycięzców i zwyciężonych. Nr. 57 obsadzony 137 żołnierzami; zginęli wszyscy prócz czterech, i nie wiedzielibyśmy o bohaterkiej obronie, gdyby raport nieprzyjacielski nie dał im świadectwa, a nam wiadomości, że żaden się nie poddał, a jedyny, który krzyknął „pardon,“ przebity szpadą własnego oficera. Po zdobyciu tych dwóch dzieł uderzenie na Wolę.

Z punktu, którego pułk, tracąc wiele ludzi, opuścić nie mógł, widać było, eboć niewyraźnie, straszną okolo ementarza Wolskiego walkę. Potężny ten szaniec, rozstrzygający los Warszawy, potrzebował do obrony 4 000 ludzi, a miał ich tylko 1317. Czemu? Na kim zaniedbania wina? Komenderował Sowiński. Sowińskiego znałem dobrze; komendant przez lat wiele szkoły aplikacyjnej, do której często jako przyjaciel braci Rzewuskich chodziłem; podziwiałem wspaniałą tę postać bez nogi, o siwych włosach, czarnem oku i rumianej twarzy. Ostatni widział go w szańcu Dembiński; żalił się na brak żołnierzy, wkońcu powiedział: „bądź spokojny, ławo mnie nie wezmą.“ — Słowa dotrzymał. Wiele tam padło Rosyan, nie wiemy; uczył ich pamięć Mikołaj żelaznym pomnikiem. Wojskowi nasi nie przypuszczali nigdy, aby Paszkiewicz przez Wolę atakował; po wzięciu dwóch lunet 54 i 57, nie było tajemnicą, że Wola ich celem. Dopiero poruszyli się Małachowski i Prądyński; ślano adjutantów do Umińskiego, który pomocy nie nadesłał; po Bema, którego nie było, bo obserwował z luterskiego kościoła, a Rosyanie po gwałtownym dwugodzinnym armatnim ogniu, w przeważnej liczbie śmiało na szaniec uderzyli. W pięknym porządku kawalerya jadąc, poszczególnie rzucała faszyny, piechota po nich następując, spotykała palisady; od wschodniej tylko strony nie zdołano ich osadzić. Upatrzył to nieprzyjaciel; w trzy bataliony bokiem wchodzi do szańca, nie spotykając batalionu 10-go, który komenderujący z nieodgadnionych powodów ściągnął. Załoga, z tyłu zaatakowana, cofa się i resztki gromadzą się na ementarzu, z kądem liczbą wypierani razem ze szturmującymi cisną się do kościoła. Już szaniec utrzymać się nie da, ale zostaje do obrony honor wojskowy i to słowo: „do ostatniego bronić się będziemy.“ Sowiński znudzony siada z karabinem w rękę pod ołtarzem, rozkazem, głosem, przykładem zagrzewa swoich, a kiedy wszyscy padli, żołnierza rosyjskiego, który woła na niego „pardon jenerale,“ przebija bagnetem i pada pod dziecięciu razami.

Heroiczną walkę i śmierć Sowińskiego podaje z całą prostotą prawdy; słowa nie tutaj dodać nie potrafią. Patrzelibyśmy z dali przykuci do armat, szczegółów rozeznac było niepodobna, ale duch w piersiach zamierał, a choć gęsto kule padały, o śmierci nikt nie myślał; aż kiedy się spostrzegło, że nieprzyjaciel w szańcu Wolskim, prawdziwa rozpacz ogarnęła serce. Czemu Umiński nakazanej pomocy nie nadesłał, czemu Bem, którego armaty wstrzymane jego rozkazem, ruszyć z miejsca nie chciały, tak późno i tylko z lekką konną baterią pod Wolę podjechał? Bo nie było komendy. Istotnie nikt tego dnia nie komenderował, i czuł to każdy żołnierz, i to odejmowało mu otuchę, choć nie zmniejszało poświęcenia.

Wątpię, aby kiedy co podobnego w Polsce widziano, jak wojsko 1831 r. Z tradycjami Napoleona, wyćwiczone na Saskim placu, złożone i wzmocnione ludnością krajową, której usiłowania rządu rosyjskiego i spisku nie potrafiły jeszcze sztucznie rozdzielić, miało jednolitość i poczucie narodowe, które podobno nigdy się już nie odnajdzie. Szedł dziedzie wioski, szli jego synowie i włościanie z ochotą, bez przymusu, nietylko powołani, ale i na ochotnika. Wyrobił się z tego zastęp prawdziwie niezrównany, i co do mnie nie spotkałem nic wspanialszego, jak ówczesny prosty żołnierz. Nie wiedział o stronnictwach, nie szukał zaszczytu, ale miał tradycję polską i ta w nim cudów dokazywała. Czasem i to nierzadko nie dopisała komenda, ale gdzie i kiedy on się cofnął? Wyratował Ostrołękę, a tutaj kładł się trupem jak zboże na łanie, w poczuciu natechnienia i obowiązku. Po latach 2.000 wspominamy Termopile; nie mniejsza była ofiara naszego żołnierza, a nie brakło i Leonidasa. Gorkiemi łzami płakać trzeba, że taki zmarnowaliśmy materiał, a bodaj że niepowrotnie, bo któż nic tradycyi nawiązać potrafi. Po upadku Woli, armaty zbliżyły się do nas, strzały były celniejsze, wiatraki i Czyste się paliło, wałowa nasza odpowiadała artylerya; utrata Woli przeraża dowódców, postanawiają odebrać szaniec, Bem stawia na pozycyi artylerję rezerwową, Dem-

biński osobiście stawia krakusów w asekuracji, a Bogusławski z pułkiem czwartym do szturm. Woli nie odebrano, na jej parapetach ustawione działa zasypywały naszych, przeważne siły piechoty Paszkiewicz poruszył, szaniec utrzymał, ale przyznaje w raporcie, że ta obrona kosztowała go więcej ludzi, aniżeli wzięcie Woli. — Słońce chyliło się, działa uci-chły; znużone wojska spoczęły obok tych, co snem śmierci zasnęli.

Barzykowski (str. 265) nazywa ten dzień dla Rosyi szczęśliwym, dla nas oplakany. Prawda, a głównie dlatego, że mógł być pełnym chwały. Z takim żołnierzem, działami obronnemi, przy jakiegokolwiek jednolitej komendzie nie byłby nieprzyjaciel podstał pod okopy. Ale słusznie Barzykowski uważa, wiedział przez spiegów, co się u nas dzieje i dlatego uderzył na punkt, który był kluczem pozycyi, bo znał słabość załogi. Żołnierz rosyjski szedł też śmiało, pięknie, a generałowie dopełnili powinności.

Godzą się jednak powagi wojskowe i ktokolwiek miał szczęście być pod Warszawą, ma nietylko poczucie, ma przekonanie, że Warszawa, której lud pragnął iść na wały, której gwardyi nie poruszono, byłaby się stała, wedle do zbytku używanego wyrażenia — grobem nieprzyjaciela.

Stało się inaczej. — Utracono pierwszą linię fortyfikacyjną, Warszawa stała otworem. Czy można było bronić się jeszcze, używszy rezerw, gwardyi narodowej i doczekać powrotu korpusu Ramoriny, który dostał stósowne rozkazy? Kto dziś rozstrzygnąć może; co jednak pewne, to to, że ani prezes Rządu narodowego, ani kwatermistrz jeneralny, nie zrobili nic w tym kierunku.

Kiedy wieczorem — a idę wślad za naracją Barzykowskiego — Krukowiecki zwołanej Radzie ministrów przedstawił, że po wzięciu Woli obrona niemożliwa, a żołnierz bić się nie chce (!!!), zostaje więc tylko traktowanie z nieprzyjacielem i zażądał zdania i upoważnienia, ci sami ludzie, którzy przed dwoma dniami zuchwale odrzucili propozycje Dannenberga, nie śmieli wziąć na siebie odpowiedzialności, skła-

dając ją to na prezesa Rządu, to na Sejm. Tak przerwano sobie sprawę i umowę, na której nikt imienia swego położyć nie chciał. Obszernie i szczegółowo opowiada przebieg narad, rokowań, zbyt wiele przywiązując wagi do form politycznych i parlamentarnych, robiąc odpowiedzialnym to Prądyńskiego, to Krukowieckiego za przestąpienie atrybucyj, jakie im przysługiwały; tu nie o to szło, czy w tak strasznych i nagłych chwilach pominięto literę upoważnienia, ale o to, że nikt nie umiał ani zagrażać do obrony, ani z godnością przeprowadzić układu czy poddania. Wyrzuca Prądyńskiemu obietnicę daną Paszkiewiczowi 7-go września, Krukowieckiemu, że nie był na swoim stanowisku. Ale w istocie wina ciąży na nich za rozstrój, który wprowadzili, i na tych, co im pomogli do władzy. Intrygi Lelewelewskie, spisek klubu, stronność Kaliszanów, sprowadziły zamęt w Sejmie, nieufność w opinii, niedołężność w komendzie. Chwiejność w traktowaniu, niemoc obrony, to były tylko skutki poprzednich błędów. Prądyński 7-go rano uznaje władzę cesarza Mikołaja. O godzinie 8-mej Krukowiecki zaprzecza temu aktowi. Szturm do 2-giej zawieszony, a przez ten czas ani Rząd, ani Sejm do decyzji przyjść nie mogą; ministrowie Morawski i Niemojewski do dymisyi się podają, w Sejmie heroiczne głosy bez czynów, a wojsko, mimo oskarżeń Krukowieckiego, bić się gotowe.

O godzinie 2-giej 300 armat na raz dało hasło do szturm.

Jest powszechnie mniemanie, że Warszawa była tylko broniona na dniu 6 września, a dnia następnego ustępowały wojska polskie pod nawałą rosyjską. Tak nie jest. To wojsko, o którym mówiono, że się już bić nie chce, bez planu bitwy, bez ogólnej komendy, na każdym punkcie równie silny stawiało odpór. Główne na prawym skrzydle miał zadanie Dembiński. Sprawił wojsko, aby z boku uderzyć na kolumny postępujące ku wałom, Bemowi nakazuje posunąć dwie baterie, brygadzie jazdy Dłuskiego poleca szarżę. Już lance

zniżone, szable dobyto, widać w dali czerwonych huzarów, kiedy naraz rozkaz: stanąć i cofnąć się. Całe życie żałowałem, że do spotkania nie przyszło. Dopiero w okazji człowiek sam o sobie wiedzieć może, co wart. Bem rozkazu wykonać odmówił, Małachowski oczekując, jak mniema Barzykowski, na Krukowieckiego, plan Dembińskiego zmienił. Główny atak nieprzyjaciela był dziś na nasze lewe skrzydło, komenderował tam Umiński z Andrychiewiczem i jazdą Jagmina.

Drugą linię fortyfikacji zdobyto, ale każde dzieło, szczególnie Nr. 23 i 24, dzielny opór stawiało. W otwartem polu łatwo spostrzedz i naszkicować epizody bitwy; tu odbywało się wpośród fortyfikacji, wałów, w końcu ogrodów, aż nasi cofnęli się pod ewangelicki cmentarz. Tu dopiero z za muru zamienionego w strzelnicę, bronią dostępu; rosyjskie wojsko z odwagą idzie naprzód, dwóch generałów pada, i jak Schmidt twierdzi, mury te więcej ludzi jak zdobycie szanieców kosztowały. Kto ciekaw, niech czyta szczegóły w samym dziele; tu tylko tyle się przywodzi, ile potrzeba, aby osądzić bohaterstwo naszego wojska, utrwalić jego pamięć i przekonać, co zawsze twierdziłem i twierdzę, że przy jakiegokolwiek jednolitej komendzie nietylko Rosyanie do Warszawy nie byłiby weszli, ale wojna byłaby się przeciągnęła, a wypadek jej byłby jeżeli ostatecznie nie zwycięzki dla nas, to w każdym razie odmienny.

Kiedy Witt i Murawiew lewe nasze wparli do rogatek skrzydło, prawe broniło wałów koło Jerolimskich i Wolskich rogatek. Tamto pułk 4 i 26 przyjęły natarcie Nabokowa bagnetem i zmusiły do odwrotu. Po chwili wypoczynku, Gorczakow z częścią wyborową korpusu Kreutza uderza na szaniec i zdobywa go, sam ranny, generał Jefimowicz zabity. Rosyanie wdzierają się na wał miejski z największą zaciekłością broniący; Ladogski pułk, mający oficerów rannych lub zabitych, cofa się. Freytak w cztery bataliony odnawia bitwę, zwycięstwo łatwym się staje, bo już nasze wojsko odebrało rozkaz odwrotu na Pragę. Wechodziliśmy do miasta przez Wolskie rogatki, czerwone huzary gotowały się do ataku,

a w rogatkach widzę młodziutkiego oficera, przez kontuzję ogłuszonego, z podwiązaną, niemal dziecięcą twarzą, który najspokojniej komenderuje ogień swój półbaterii a za każdym strzałem kotłuje się w szeregach. Był to Trębicki; nie znałem go wcale, potem nie spotkałem; podobno dobrze gospodarował w Podlaskiem i książką się bawił, a niedawno umarł. Takie wrażenie zrobił na mnie zimną odwagą i spokojem komendy, że miło mi tu wspomnieć jego nazwisko.

Kiedy tak wojsko biło się, a wkońcu maszerowało na Pragę, nieustannie traktowano z feldmarszałkiem. Prądyński parlamentował, zaręczając, że Krukowiecki miał upoważnienie do podpisania kapitulacji. — Wszystkie momenta tych rokowań podnosi Barzykowski, surowo Prądyńskiego i Krukowieckiego sądząc. — Wskutek anarchii wywołanej, osłabienia ducha, złej albo raczej żadnej komendy, miasto bronionem nie było, niebezpieczeństwo łupu zagrażało, ani Rząd, ani jego prezes, ani Sejm odpowiedzialności wziąć nie chcieli za poddanie. Warunki jeszcze dałyby się korzystniejsze otrzymać, ale w zamieszaniu pojąć nikt nie mógł się odważyć na stanowczą decyzję. Potępia Barzykowski list Krukowieckiego do cesarza, ale nie mówi, co było do roboty. Przywodzi o sobie, jak wpadł na salę obrad Rządu narodowego, wołając: ratujecie Ojczyznę! Ale jak ją było w tej chwili ratować? — Winny Krukowiecki, że za jego sprawą czy przyzwoleniem anarchia wzięła górę i z jej zwycięstwa korzystał. Winny, że żądny pierwszego stanowiska, zaniedbał obrony; ale nie robiłbym mu zarzutu za osnowę listu do cesarza, kiedy Sejm tylko obradował, a nie chciał czy nie umiał poruszyć ludności miasta do obrony¹⁾. Z żalem powiedzieć trzeba, nie znalazł się nikt, coby rozpaczliwy jej nastrój umiał wyzyskać. Sejm

¹⁾ Sąd surowy o Krukowieckim powtarzam za Barzyckim, a nie inaczej sądzono go współcześnie. — Kto do historii wstąpił, tego historia ma prawo sądzić. Prawda, ale powinna być sprawiedliwą: jeżeli wskutek niespokoju swego ducha zawinił, a tu niema dla mnie żadnej wątpliwości, to nie tylko, nie można go posądzać o knowania na zgubę sprawy, ale przeciwnie, powiedzieć należy, że do takich po-

się załimitował, nie postanowiwszy, prezesem Rządu Niemojowskiego Bonawenturę mianując; ale gdy i ten układów podpisywać nie chciał, stanęło na tem, że władza wojskowa kapitulację podpisze. Po całonocnem rokowaniu ustąpiliśmy z wojskiem, Sejmem, Rządem na Pragę. Przebywaliśmy także w nocy ten most, po którym w innym usposobieniu stąpał żołnierz 31-go marca. Ranek był wspaniały, słońce oświecało zużonego żołnierza, powózki, armaty, wozy amunicyjne, rannych, którzy to pieszo, to konno uchodzili. Zbliży się do mnie, ledwo się trzymając na koniu, oficer z trupią niemal głową, cała bez krwi, plastrami ściągnięta i cichym wita głosem. Byłto Aleksander Ekielski, kolega mój szkolny, znakomity w matematyce Frączkiewicza uczeń, zdolny i dziwnie odważny artylerzysta. Broniąc armaty, siedmnaście cięć dostał w głowę. Ale polska głowa dużo wytrzyma; dociągnął do granicy, wylizał się i lata jeszcze, człek dziwnej szlachetności i podniosłości serca, był użyteczny swoim. Bóg też cennym jego dzieciom błogosławi.

Kiedy tabor nasz ładował się w dalszą drogę, a feldmarszałek ranny w łożku leżał, do dnia 8-go przybył dniem i nocą jadąc z Wiednia Andrzej Zamoyski z austryackim pułkownikiem Caboga, który jako *attaché militaire* przy sztabie rosyjskim był powołany chwilowo do Wiednia. Wieźli propozycye i medyacye rządu austryackiego. Jakie były, jak szły daleko, nie wiem, ale wielokrotnie mawiał mi p. Andrzej, że miały być stanowcze. Paszkiewicz przyjął p. Zamoyskiego

dejrzeń niema żadnego wątku, że nie wchodząc, czy z klubem miał tajne stosunki, w nocy 15-go sierpnia oddał niejakie zasługi; a że wobec Paszkiewicza i W. Księcia d. 7-go września wystąpił z godnością i odwagą, której przyszłość zapomnieć nie powinna. Po latach pięćdziesiąt należy spokojnie sądzić: potępić zgubne skutki popędliwości, chęci władzy, nawet z mniemaniem, że jej się użyć dobrze potrafi, ale wskazać zarazem, że tu działał więcej temperament, jak stanowcza zła wola, której u wojskowego polskiego przypuszczać trudno. Te słowa dodatkowo natchnęła mi obawa, aby zmarłemu, choć w dobrej wierze, nie zaszkodzić niewłaściwym sądem.

najgorzej, niemal brutalnie; Caboga, zastawszy *fait accompli*, musiał się kontentować odpowiedzią: przybyliście dzień za późno. — Wartoby wyszukać w ministerym spraw zagranicznych w Wiedniu osnowę tego komunikatu, który byłby nader cennym dla historii.

Wiadomo, że wojsko polskie dawszy się znowu złowić na układy pod Modlinem, posuwało się prawym brzegiem Wisły ku granicy pruskiej; że Sejm obradował w Zakroczymiu, mianował Rybińskiego wodzem, który przeszedł Drwęcę. Niech to czyta i opisuje kto chce, ale mnie dosyć, że na to patrzeć musiałem.

Kończę więc zbyt długi rozbiór książki, raczej dzieła Barzykowskiego. Osądziłem je zrazu zbyt surowo, zniecierpliwiony płytkim nieraz politycznym sądem autora. Ale praca jego sumienna, oparta na dokumentach nie dla każdego dostępnych, ożywiona poczuciem osobistego w spracach udziału, będzie najlepszym źródłem dla tego który dziś czy kiedyś zechce zbadać ten krótki ale uczący okres, może raczej rok naszej historii. Wielki miłośnik Ojczyzny, śmiały na polu bitwy, gorliwy w działaniu, sumienny w sądzie, słuszne należy mu miejsce pomiędzy najlepiej zasłużonymi owego czasu. Kraj, majątek, stosunki opuścił, więcej tego co najbardziej kochał, nie zobaczył. Należy mu wdzięczność i poczesne pomiędzy zasłużonymi inię. Może nadto prędko zapominamy o tych, co dawiej żyli w dostatkach, a wszystko za kraj stracili. Miałem zawsze emigracyę za błąd i nieszczęście, przyszło mi nieraz walczyć ze zgubnym jej wpływem, zmarnowała siły, które w kraju zostając, byłyby żywiołem odpornym; ale z drugiej strony zaenie polski reprezentowała naród, dla niektórych była koniecznością i emigranta takiego spotykałem zawsze z największem uszanowaniem.

Niełatwo rozstać mi się z tą bolesną pracą i choć rad-bym ją coprędzej ukończył, jak nie spojrzeć za siebie.

Historya powstań naszych nauczyć powinna, że impro-wizowana polityka przez zapał i spisek jest zgubna. Że narody ujarzmione o tyle przetrwać mogą złą dolę, o ile wierne

zostaną tej tradycyi, na której byt ich został osnowany. Że tradycya polska w porządku moralnym jest chrześcijańska na kościelnym gruncie, w politycznym, nie na obniżeniu klas wyższych, zawisła, ale na podniesieniu niższych do godności społecznej; że jeżeli w ujarzmieniu nie zachowa naród warstw kierujących i nie umie im zaufać, a te nie umieją wciągnąć w siebie przeważnie budzących się potęg indywidualnych, to tak jak okręt bez steru rozbije się o skały.

Przebieg powstania dowodzi, że najfalszywszym jest robiony przez obcych i swoich zarzut, że nie umiemy słuchać. Kiedy jaki naród tak kornie, chętnie słuchał czy Rządu, czy Sejmu, czy Dyktatora? Polacy umieją słuchać, ale nie mają takich, co by umieli rozkazywać. Po Chłopickiego upadku nie było człowieka, co by posiadał zaufanie narodu, aby skupiając jego uczucia, nadzieję, wolę, rzucił potęgę tych sił łącznych ku jednemu celowi.

Czy takich ludzi społeczność nasza wydać nie zdolna, czy też zanim się rozwiną, zanim czyn spełnią, nie wyrzywa im zwolna tych piór i skrzydeł, na którychby się podnieśli? Duch krytyki, czy duch zawiści nie dozwala się rozwijać potężnym osobistościom; zwłaszcza jeśli swojskie.

W r. 1830, jak ze słusznem oburzeniem mówi Barzykowski, wytworzono dowolnie widmo arystokracji, jakby po to, aby, kiedy było największej jedności potrzeba, dzielić i mózdz podejrywać. Siedzący na bruku, w klubie i redakcyach, jak Żukowski, Ostrowski, Czyński, Krępowiecki, Janowski itp., nietylko uczyli patriotyzmu ludzi, którzy krew, stanowisko, milionowe majątki na los szczęścia Ojczyzny stawiali, ale podkopywali ich wpływ i powagę, choć nie zmniejszyli ofiarności. Ideał nowej Polski Wersalczyków, ludzi r. 1846 i 1863, spełniony, szlachta zmelta na młynie to rewolucyjnym, to despotycznym, politycznie zniknęła, niepotrzebnie trudni się nią tyle rosyjskie dziennikarstwo, w zgodzie z pozytywistami warszawskimi; zkad więc mowa o arystokracji, feudalizmie, wstecznictwie? — Na miłość Boga i Oj-

czynny, dziś tylko zgoda i harmonia społeczna na tle wiary i tradycyi.

Cerwantes pisząc jedną już tylko ręką nieśmiertelne swoje dzieło, mówi: „straciłem rękę pod Lepanto, ale co to znaczy obok wspomnienia, że się w bitwie pod Lepanto było “ — Ręki nie straciłem, arcydzieła nie napisałem, ale Bogu dziękuję, że na starość wspomnieć mogę: byłem pod Grochowem, pod Dębem i pod Warszawą.



ZYGMUNT ANTONI HELCEL¹⁾.

Książka, którą Henryk Lisicki pod godłem Zygmunta Helcla napisał, pozostanie nie tylko jako zasługa w literaturze, ale jako czyn piękny i dla kraju użyteczny; aby taką książkę napisać, potrzeba zdrowego umysłu, czystego sumienia i cywilnej odwagi. Zdadzą o niej sprawę zdolniejsi odemnie; ale wątpię, aby kogo z żyjących bardziej obchodziła. Na każdej karcie wspomnienia dalekiej przeszłości, na każdej, pamięć wspólnych usiłowań i ludzi wyższych, z którymi łączyły mnie 50-letnie stosunki. *Quindecim anni grande humani aevi spatium*, powiedział Tacyt. Tu przychodzi mi reasumować półwiekowe wspomnienia i dążności. Nie idzie mi tu zgoła o krytykę; może wypadnie kilka drobnych faktów sprostować albo dopełnić, ale mając tylko moralny wpływ na opinię krajową na celu, będę przymuszony sąd czasem zmodyfikować, co dla mnie tem trudniejsze, że zapatruję się na wypadki polityczne, ludzi, prawdy i błędy, z tego samego stanowiska i z tych samych zasad. Różnicę w sądzie może stanowić zarówno wiek, jak ta okoliczność, że autor patrzy na wypadki zdaleka, a ja byłem w ich środku. Obydwóch ludzi, o których mówi, kochałem bardzo, obadwaj byli wielcy miłośnicy Ojczyzny; a jak podówczas było zwyczajem, nie kochali jej platonicznie, ale w ciągłym czynie i usiłowaniach. Podniosą jedni niesłychaną pracę autora w nagromadzeniu

¹⁾ Drukowane w Przeglądzie Polskim 1882 r.

materyałów, drudzy zalety stylu, mnie przypada tylko rozebrać sądy jego, podnieść jednych trafność, inne sprostować, zawsze w celu uczenia nie teoretycznie, ale na żywych a tak blisko obchodzących nas wypadkach.

Źródłem przeciwieństwa, przyczyną straszego antagonizmu politycznego, który się objawia, a krwawą może skończyć się walką, jest zapatrywanie na ludzkość i stosunki społeczne organiczne albo atomistyczne.

Trzeba jednak umysłu dobrze wprawnego do filozoficznych badań, aby pochwycić wszystkie następności tego przeciwieństwa i upatrzeć w praktyce filiację onych z teoryą. Następności jednej albo drugiej nauki są ogromne i taka dzieli je przepaść, że w żaden sposób i na żadnym polu złąć się i pogodzić harmonijnie nie mogą. Dla tej prostej przyczyny, że organizm uznaje koniecznie jedną myśl i potęgę duchową początkującą (*causalitas*), z której wysnuwają się prawa tak moralnego, jak i fizycznego świata, atomizm zaś przypuszcza i rozumie tylko materję doskonałą się bezwiednie przez lat miliony. Pierwszy zatem wierzy w osobistego Boga i człowieka, drugi co najwięcej, jeżeli nie ateistą, jest panteistą. Pierwszy przyjmuje wyższe prawo moralne, którego prawa wszystkie, są tylko rozwinięciem i zastosowaniem; drugi wyrabia dopiero to prawo wedle postulatów indywidualnego rozumu, a pod sankcją większości, to jest siły.

Potrzebowałem koniecznie zrobić to rozróżnienie bardzo proste, choć wyglądające na metafizykę, bo bez niego trudno zdać sobie sprawę i z błędów, jakie napotykamy w ocenieniu zasad i wypadków politycznych, i pociągnąć linię, która dzieli prawdę od fałszu. W codziennem użyciu posługujemy się nazwą konserwatystów i ludzi przewrotu czyli rewolucjonistów, która dlatego samego niedostateczna, że jak trudno określić co zachować potrzeba, tak nie każda dążność do koniecznych zmian w ustroju społeczeństwa jest rewolucyjną. Umysły mniej logiczne wedle upodobania i chwilowej dogodności posługując się argumentami to z jednej, to drugiej

szoły, mnożą tylko zamieszanie, a obok skażonego politycznego języka powstaje istna wieża Babel.

Z takiego stanowiska patrząc, konserwatywna prawdziwa polityka, nie będzie jakimś czepianiem się form przeżytych, ratowaniem przywilejów albo uprzedzeń, ale zdrowym pojęciem tego, co obok zmiennych zewnętrznych kształtów, jest niepożyte, absolutne w ustroju ludzkości, jeżeli ma zbliżyć się do realizacji królestwa Bożego na ziemi. A zatem idea władzy, idea prawa, idea hierarchii moralnej. Czy książka Lisieckiego stała się bezwiednie dopełnieniem biografii Wielopolskiego, czy Helcel ma być folią, na której całym światłem ma zabłysnąć Wielopolski, nie wchodzi, ale przeczyć muszę, aby ostatni był ojcem tak zwanej konserwatywnej polityki w Polsce (V. VIII).

Rozbiór Polski był skutkiem błędów politycznych epoki, podwójnie i z przeciwnych biegunów na los ojczyzny działających. Zasady encyklopedystów jak rozwiązały sumienia gabinetowej polityki dworów, tak ubezwładniły zarazem działanie dobrych patryotów, którzy ojczyznę ratować chcieli. Społeczeństwo w stanie, jaki po rozbiorze nastąpił, żadnej polityki wyrabiać nie może. Jednakże kiedy po utworzeniu Królestwa kongresowego normalniejszy stan zapanował, z mieszaniny reminiscencyi sejmu czteroletniego, dworactwa nowego, biurokratycznych instynktów przyniesionych z Austrii i Prus przez zdatnych urzędników, jak Radey Stanu, Wyczechowski, Woźnicki, Rembielińscy itd., nie mogło się wyrobić ani stronnictwo, ani kierunek zdrowy, kiedy opinią trzęśli Kaliszanie, a spisek nurtował. Wówczas, kiedy Wielopolski zajęty swoim procesem, tak młody a już śmiałością imponujący, wyrabiał się w odosobnieniu z więzów filozofii niemieckiej, które długo jeszcze mu zawadzały, genialni publicyści jak de Maistre, Haller, Bonald, Görres, Fr. Schlegel, a nawet Genz, idąc Burkego śladem, działali na umysły młodsze, może dlatego dostępniejsze tym wyobrażeniom starym, a w owej chwili zupełnie nowym, że niezwiązane uprzedzeniami przeszłości, szukały wyjścia z obłędu, który panował. Sku-

piało się to działanie wokół osoby Stanisława Rzewuskiego, który choć umarł w 25-tym roku życia, wpłynął silnie na swe pokolenie, a był szanowany przez starszych, jak Raczyński, Gustaw Małachowski, Świdziński i t. p.

Kiedy powstanie 29-go listopada wybuchło, Wielopolski znalazł grunt przygotowany, sam zaś na innej ale pokrewnej drodze do podobnych, jeżeli nie tych samych, dochodził rezultatów.

Z jaką godnością i trzeźwością odbył londyńską misję, wiadomo. Za powrotem Księżę Prezes rządu zrozumiałwszy, jaka tkwiła w nim potęga, wprowadził go do sejmu jako referenta w ministerjum spraw zewnętrznych i wtedy Wielopolski powiedział mowę, którą odrazu rozdzielił Izbę na dwa obozy. Kaliszanie zrozumieli doniosłość kroku i przeprowadzili uchwałę, która odmawiała w Izbie głosu referentom ministra, jeżeli nie byli posłami. Przywodzę tutaj te szczegóły, aby zaznaczyć, jak dokładnie znam filiację, przebieg i zewnętrzne objawy wyrabiających się tak we Wielopolskim, jak w kraju zasad.

Rok 1832 zgromadził w Krakowie wielu politycznych ludzi, którzy w wypadkach byli czynni. Jak to zwykle w Polsce, a może i wszędzie, pocieszano się nadziejami na przyszłość, a więcej jeszcze rozbiorem błędów przeszłości. Andrzej Zamojski, Świdziński, Moroziewicz, Wielopolski, jakiś czas Dembiński, w codziennych niemal schadzkach i rozmowach trafnie choć bezużytecznie rozbierali błędy niedawno popełnione. Helcel, tylko co ożeniony, samotnie gotował się do wykładu prawa polskiego. Od szkół z nim zaprzyjaźniony zbliżyłem go do Wielopolskiego, jeżeli dobrze pamiętam, z powodu zamierzonej o uniwersytecie krak. pracy. Podczas reorganizacyi 1833 r. zagrożony uniwersytet uważaliśmy za obowiązek ratować. Czy wystarczał na to memoryał od obywateli, nie ma co dziś rozbierać, ale był koniecznym i zaszczytnym. Była to piękna praca, szkoda że zaginęła, może dałaby się odszukać w Archiwum w Wiedniu. Wywód historyczny wygotował Helcel, memoryał napisał Świdziński. Podanie do

dworów, mające wprowadzić przedmiot, ja redagowałem: Wielopolski ciągle do narad należał, nie biorąc udziału w redakcyi. Podpisy nie były liczne, ale poważne, gniew komisarzy reorganizacyjnych wielki¹⁾.

Skrzętnie Lisicki zebrał, co nie łatwo, daty do żywota i prac Helela przez lat dziesiątek; mogę dodać, że tak on jak Wielopolski obok naukowych prac jednego, a praktycznych drugiego, śledzili pilnie postępu, czy chylenia się filozofii niemieckiej w uczniach albo następcach Hegla, jak de Caro, Goeschel, Rosenkranz itp.: a od r. 1840 zajmowała obydwóch panująca w kraju myśl czynszowania włościan. W tym celu chciał nawet Helcel zakupić w Królestwie majątek; do tego nie przyszło, ale kilkakrotne zjazdy i kilkodniowe narady wraz z Adamem Potockim to w Chrobrzu, to w Kurozwękach, posłużyły nam do wyjaśnienia sprawy, którą, groźne zbliżające się wypadki, miały przerwać i odroczyć.

Wypadki te gotowały się od lat kilkunastu: niezbyt dawne, a już niemal zapomniane, w każdym razie mało zrozumiane, bo jednym brak ciekawości, drudzy mają w milczeniu interes. Jeżeli wypadki świata i ludzkość poddane są fatalnemu biegowi, to nauka historyi, ba, wszelka nauka niepotrzebna. Umysł trzeźwy zdoła tak zwane przeznaczenie pogodzić z wolną wolą. Tak narody, jak pojedynczy ludzie wyrabiają swoją przyszłość i dlatego historia jest nie tylko wedle słów Bossueta mistrzynią królów ale i ludów; kto z wielką pracą zestawia błędy bliższej przeszłości ku nauce

¹⁾ Nie bardzo było łatwo o podpisy w chwili, kiedy jedni byli pod wrażeniem ogólnego pogromu, a drugich drażniono nadzieją pozyskania senatorskich godności. Poszukiwaną godność Senatora ofiarowano zacnemu i poważnemu stanowiskiem obywatelowi N. Wencłowi. Z memoriałem ja sam chodziłem prosząc, aby podpisał. Wiedział i mówił, że go senatorstwo ominie; na chwilę się nie wahał. Podpisał, i oczywiście senatorem nie został, a zacy ten obywatel mało sobie to ważąc, ile razy mnie później spotykał, z uśmiechem mówił: Pan mię to senatorskiej godności pozbawiłeś. Piękną też tem wspomnieniem zostawił dzieciom spuściznę.

i przestrodze swoich, spełnia uczynek dobry; kto z odwagą, uprzedzeniem, które przyszłości grożą, stawia śmiało czoło, spełnia najpiękniejszy obywatelski obowiązek. Dlatego powiedziałem słusznie, że nowa p. Lisickiego książka nie tylko pozostanie w literaturze, ale jest czynem pięknym i użytecznym.

A najprzód muszę odgarnąć wszelkie uprzedzenia: autora żywotu Helela i Wielopolskiego za nieomylnego nie mam. Tyle błędów popełnił w ostatnim, że nie miałem odwagi wziąć się do ich sprostowania; namiętne uprzedzenie, stronne informacje, dziwne niewyrozumnienie potęg, pod których wpływem ludzie najwytrawniejsi działają w gorączkowych czasach, dały tej książce piętno, które nie łatwe do zatarcia: to jest, że napisana bez miłości.

Rzecz dziwna, jak poważna wytrawia praca.

Wszystkich wad swej metody, a nawet swego temperamentu nie pozbył się autor. Lekarz i w żywym ciele krajać musi, ale usiłuje oszczędzić bólu; inaczej pan Lisicki: do cięcia koniecznego dodaje kwas ironii, który dlatego tak bolesny, że zaspakaja tylko poczucie własnej trafności. Ale wyjaśniła się w umyśle jego teoria polityczna prawdziwa, i to stanowi jego niepoślednią zasługę, że w jej świetle sądzi, od razu wskazuje dokładnie, jak z obawy uszczerbku swobód rozpraszano w Polsce władzę na atomy, a wówczas nawet kiedy o naprawie Rzpltej najbardziej myślano, podczas 4-letniego Sejmu, wiara we wszechmocność pisanych ustaw grasująca w całej Europie, łudziła najtęższe głowy polityczne i rachunkowe, których u nas liczba zwykle tak mała. To usposobienie powstania w r. 1830 nie wywołało, ale je ubezwładniło, i dlatego słusznie autor potępia ciągłą ingerencję Sejmu w sprawach rządowych i wojskowych. Tak sądzi on dzisiaj; byli tacy, którzy to widzieli wpośród wypadków; ale pokolenie, które odziedziczyło błędy przodków a oddychało zatrutą polityczną atmosferą teraźniejszości, nie mogło się zdobyć na taki rozum. Prawdę mówiąc, w takim położeniu jeżeli naród ma być zbawiony, Bóg daje mu człowieka, który

owładnie położenie. Spróbował tego zaeny Chłopicki, ale nie było w nim dość siły woli albo rozumu. Po 50-ciu latach, w osobnym pokoju, otoczonemu książkami, ze zimną głową, choć wierzę, że z gorącym sercem, łatwo sądzić zapał, na który składały się miłość Ojczyzny, obawa odwetu, nadzieje obudzone przez ruchy w Europie, a głównie to poczucie niezem nieokreślone, jakie daje walka, hazard życia i najdroższych skarbów. Tacy, którzy powstaniu byli najprzeciwniejsi, którzy mieli odwagę to mówić, kiedy raz uznane było za narodowe, kiedy z niem honor polskiego oręża był związany, chcieli bitwy, nie układów, i byliby ją świetnie stoczyli, gdyby nie rozdział wewnętrzny. Więcej powiem: mam to przekonanie, że gdyby nie pogrom moralny, który nastąpił po zwycięstwie klubu patryotycznego w strasznym dniu 15-go sierpnia i wyprawienie korpusu Ramorina, Paszkiewicz nie byłby nigdy wszedł do Warszawy d. 8-go września. Wiadomo, że nie miał amunicyi tylko na jedną bitwę, i jedynie znajomość naszych niezgód mogła mu dać odwagę atakowania Warszawy po lewym brzegu Wisły. Nawet tak osłabiona załoga byłaby wytrzymała szturm szóstego i siódmego, gdyby jakakolwiek była komenda. Trudno prostemu żołnierzowi, który stał w asekuracyi armat i przez pół dnia patrzył, jak pociski nieprzyjacielskie zapomniane szwadron przeredzały, sądzić o warunkach bitwy; to też nie to, na co patrzałem, ale to, co później słyszałem i wiedziałem, utwierdza moje przekonanie, że gdyby była komenda, nie Sowiński tylko i Ordon byliby spełnili powinność, a nieprzyjaciela nie wpuścili do stolicy. Co byłoby nastąpiło później, nie wiem, ani prorokuję, ale to wiem, że przedstawienia Austrii, które przywiózł pułkownik Kaboga wraz z Andrzejem Zamojskim, nie były tak mało ważne jak autor rozumie. Przepraszam czytelnika za ten ustęp, ale w 51 rocznicę szturm Warszawy nadto gwałtowne cisną się wspomnienia, aby móż je stłumić.

Życie znakomitych ludzi jest wyborną ramą, aby w nią wprawić obraz całej epoki; nie dziw, że spotykamy tutaj

po sobie ocenienie najważniejszych wypadków, którym Helcel był współczesnym, albo w których brał udział; tak dopiero wypadki w człowieku, albo człowieka w wypadkach, należy ocenić można. Należało zaprawdę zebrać w streszczeniu szalone ruchy rewolucyjnej partii w emigracyi, aby mogły być dla naszego pokolenia i następnych nauką i przestrożą; dlatego gdyby p. Henryk Lisiecki nie był nic w swoim życiu napisał, jak rozdziały: IV-ty o propagandzie rewolucyjnej i V-ty o wypadkach r. 1846, już byłby sobie zjednał wielką zasługę.

Nie od dzisiaj, jak to powiedziałem nieraz, a ze stanowiska naukowego wskazałem w początku tego pisma, propaganda rewolucyjna działa przeciwko moralnemu i organicznemu ustrojowi społeczeństwa. Zaprzeczano jej związek z klubem; tymczasem zaledwo ten odcień emigracyi naszej dotknął się ziemi francuskiej, odrazu główni i najgwałtowniejsi anarehiści porozumieli się z tak zwaną partją ruchu we Francyi. Dla ostatniej nie było nic tak pożądanego, jak użyć za narzędzie ludzi pełnych zapału i sprawy, która z natury i sprawiedliwości swojej była i musiała być w czasie, kiedy zepsucie moralne nie było jeszcze sere wyziębiło, w najwyższym stopniu sympatyczną. Surowo, choć słusznie mając znowu sądzić tych ludzi, w uczuciu sprawiedliwości i miłości winienem powiedzieć, że pomiędzy nimi były dusze w najwyższym stopniu szlachetne i poświęcone, że wielu prosto w patriotycznej tylko działało wierze, gotowi wszystko poświęcić dla uczucia, które, choć wzniosłe, przeszło w stan chorobliwy.

Emigracya, wskazana koniecznością dla niektórych, gromadnie, była największym błędem, jaki popełnić można było, choćby dlatego tylko, że kraj pod przemocą pozbawiony najdzielniejszych sił odpornych, łatwiej ulegał przewadze rządu. Jedna jej część najruchliwsza, szczepiąc kwas, który przyniosła na stronnictwie rewolucyjnym francuskim, wytworzyła potworne ciało, tak zwaną Centralizację w Poitiers i Wersalu. Trzeba było wiele fałszu w zasadach, rozpacz, bólu rzetel-

nego, nienawiści i osobistej ambicji, aby dojść do takiego zboczenia umysłu, które najprzód objawiło się słowy, a następnie czynem. Dobrze zrobił p. Lisiecki, że przypomniał te nauki obecnemu pokoleniu, skłonnemu do uznania kierunku, bez znajomości dokąd prowadzi. Niechaj się przekona, że uczucie, kiedy nie jest pod sterem rozumu, doprowadzi do przepaści. że zbrodnią jest używać łatwowierności zacnych i młodych pod hasłem dobra Ojczyzny, i że negacya, nienawiść nie nigdy nie stworzyły. Z kilkunastoletnich robót gorączkowych tego koła nie zostało, prócz zmarnowania ludzi heroiczych, jak Zawisza i Konarski, i wspomnienia upokarzającej farsy krakowskiej; bo ani tych, którzy tam wystąpili, ani ich działania na seryo brać nie można. O mało że jej drogo nie przypłacił Helcel, bo Dembowski, który koniecznie jednym przykładem chciał zterroryzować miasto, zrazu z dwoma innymi miał zamiar pod sąd go oddać.

P. Lisiecki opowiadając te wypadki nie oddaje sprawiedliwości Michałowi Wiszniewskiemu. On sam jeden rachując na młodzież uniwersytecką, która, jak w roku 1830 w Warszawie, tak tutaj instynktem zdrowego serca wiedziona nie zawiodła swego profesora, poczuwszy upokorzenie miasta, które takiej poddawało się mierności, rozpędził szajkę awanturników. Słyszałem zawsze z ust Helcela ten czyn podnoszony do godności patryotyzmu i wielkiej odwagi; słyszałem, że nie był dostatecznie poparty i dlatego ustąpił Wiszniewski, z takim do społeczeństwa, które chciał ratować, żalem, że kraj i miasto nazawsze porzucił, osiadając do końca życia we Włoszech. Z piętnastoletniego spiskowania w kraju i zagranicą pozostała tylko rzeź galicyjska i Hen. Kamińskiego „Prawdy żywotne Narodu Polskiego.“ Jak bez przystępu światła i powietrza mdłe i zatrute wyradzają się rośliny, tak w naszym społeczeństwie zakorzenił się fałsz tak, że nawet doświadczenie tak srogie, uroku mu nie odjęło. Trentowski napisał zaraz książkę, dziś nader rzadką, pod nazwą *Ojczyzniaak*; w niej z imienia i nazwiska winnych zawieruchy napiętnował. Było też takie, a zaprawdę słuszne rozdrażnie-

nie na rząd austriacki, potęgowane nieuczynnym obchodzeniem z tymi co byli skompromitowani, albo za takich mian — taka niechęć do jego urzędników, jak Berndt, Breyndel, Zachert, Herold, Zajączkowski, że brakło uwagi czy odwagi, aby sprawców tyła złego przed sąd zdrowej opinii podciągnąć, i że jeszcze później mogli szkodzić i szkodzili; bo dziwnem zбочeniem umysłów nie rozumiano, że tylko ze zastanowieniem obmyślane środki ratunku sprawy są zasługą, ale że proste afirmowanie praw naszych nie wystarcza, bo najwyższym ideałem jest przygotowanie sił na przyszłość, nie zaś marnowanie onych w niewczesnych ruchach.

W bezpośrednim związku i równocześnie z wypadkami krakowskimi były poznańskie. Nietylko nikt lepiej, ale nikt tak dokładnie ówczesnych stosunków Księstwa nie zestawił, a przyczyn nie wskazał, jak Lisieki. Może i musi się to wielom nie podobać, ale my bądźmy konsekwentni, zatwierdzając, nie osłabiając sądu tak prawdziwego.

Oddając sprawiedliwość i dążnościom i zdolnościom Marcinkowskiego, nie oenił go dostatecznie. Z Marcinkowskim służyłem wojskowo, a różnica zapatrywań wywoływała pomiędzy nami zacięte dyskusye. Marcinkowski nie był człowiekiem zasad, ani spisku, on był sam sobą; miał poprostu dążności i wyobrażenia będące skutkiem stanowiska, wychowania, na tle umysłu wyższego i bardzo podniosłego serca. Nie zdawał sobie sprawy, czy był demokratą, albo nie. Natura była to absolutna i despotyczna, dlatego wśród miękkiego społeczeństwa przeprowadził myśl wyższą, a jak zobaczymy, płodną. Trafnie czuł brak polskiego mieszczaństwa i całe usiłowanie tego człowieka dążyło do tego, aby je wytworzyć. Sztucznie mnożyć uczonych, wywoływać proletaryat naukowy, uważam zarówno z autorem za błąd; ale Marcinkowskiemu szło o zbudzenie w stanie średnim poczucia polskiego i zdolności do walki z żywiołem niemieckim i żydowskim. To mu się udało, a Towarzystwo Pomocy naukowej było tylko do tego środkiem, który skuteczność swoją najwierniej okazał.

Czem byłoby Księstwo bez Marcinkowskiego i Towarzystwa? Ilety księży, nauczycieli, urzędników, przemysłowców polskich ztamtąd wyszło, tak, że dziś może żywioł narodowy więcej ma korzeni w mieszczaństwie prowincjonalnem, niż w tej warstwie, którą nawykliśmy uważać jako głównie historyczną. Lubił się przechwalać, że matka jego miała szynk na Chwaliszewie, ale wszystkie jego instynkta, stosunki, upodobania, były nawskróś szlacheckie, i dlatego wspólnie z Mielżyńskim, Potworowskim, Morawskim itd. przeprowadzał przewagą swej woli, rozumu i rzetelnego uczucia, instytucye i kierunek, które zapewne czyste natechnęło sumienie, kiedy przyniosły owoce. Żadne działanie Marcinkowskiego, choć dla mnie mało sympatyczne, nie było szkodliwe, ale pokazało się użyteczne; a kiedy emisaryusze roku 1846 naszli go ze swemi planami, to ich spierutem z domu wypędził, a katastrofy zarówno jak Edward Raczyński, na innym krańcu stojący wielki miłośnik Ojczyzny, nie przeżył.

Zasada, aby zamożniejsi przykładali się do wykształcenia uboższych, była, jest i będzie zawsze śliczną. Od wieków Biskupi, Opaćstwa. Klasztory, to zakładali bursy, to chowali ubóstwo; ale ta zasada powinna być praktykowaną przez rękę uczeiwą i zdolną. Aksyomat (124) postawiony przez Lisieckiego, że w działaniu politycznem i najlepszych, najszlachetniejszych chęci skutek nie uwieczniony, jeśli w parze nie idą z zasadami, absolutnie słuszna, musi być w zastosowaniu zrozumiania względnie.

Podziwiając konsekwentność autora, pytam go, gdzie dziś i u kogo szukać tych zasad. Logicznie pojęty systemat polityczny należy do największych rzadkości; ktoby z nim tylko chciał współdziałać, skazałby się na niedziałanie wcale; dosyć, jeżeli spotka takich, co choć kilkoma posiłkując się prawdami, dążą do wzniesłego celu. Tak się działo z Hellem. Całe pokolenie wychowane na północnych Uniwersytetach niemieckich, przesiąknięte nauką Hegla. Do jakich prowadzi rezultatów w praktyce politycznej, wskazałem w jednym z ulotnych (niestety, innych po mnie nie zostanie) pism mo-

ich. Helcel długo zamotany w subtelną przędzę mistrza, wyrabiał się i wyswobadzał przez początki wiary, które wyniósł z domu, naturę umysłu polskiego i wypadki, które go powołały do czynnego wystąpienia; a tu na str. 152, jedna z tych uwag o wyrobieniu politycznego człowieka, która świadczy o głębokim poglądzie, wytrawności i doświadczeniu autora.

Praktycznie ten proces w umyśle Helcela wykazał się w liście jego do niemieckiego publicyisty, a może bardziej jeszcze w znakomitym, prywatnym, rzucającym najwłaściwsze światło na wzniosły charakter i usposobienie; bo mimo przyjaźni, a nawet uszanowania jakie miał dla Wielopolskiego, przebija się już niejaka różnica zapatrywania, głównie w zdaniu o wierności i wytrwaniu w swoim przekonaniu. „Droga powinności mojej jako członka narodu, który Opatrzność Boska osobną cechą oznaczyła, droga ta stoi mi znów, jak dawniej, jasno przed oczyma.“ Nie sam jeden Helcel tak czuł i myślał.

Rozbiór książki niekoniecznie powinien być polemiką z autorem. Tam, gdzie jak w danym wypadku wielka łączność zdań, powinien być raczej wyjaśnieniem, a ze stanowiska krytyka, dopełnieniem.

Z całej, a wedle mnie tak cennej Lisieckiego pracy, najważniejszym jest może rozdział: „Myśl konserwatywna w Polsce.“

Wyrażenia konserwatyzm, partya konserwatywna, zwykle nie używam. Widziałem wielu tak zwanych konserwatystów i całe stronnictwa dbałe tylko o zachowanie swego stanowiska, przywileju, własności, nawet uprzedzenia; o takim konserwatyzmie niema co mówić; natchniony egoizmem, nie puszczając korzeni w grunt moralny, bywał zwykle zmiecionym w pierwszym z rewolucją starciu. Inna rzecz, jeżeli, jak mówi autor (str. 167), ostatecznym źródłem zachowawczych przekonań jest podstawa prawa Bożego, które Stwórca dał człowiekowi wraz z wiarą, rozumem i wolną wolą.“

Te słowa jakkolwiek prawdziwe, nie dają dostatecznego pojęcia politycznej teorii.

Jak na początku, choć w innej formie wspomniałem, dwie teorye dzielą świat naukowy i polityczny. Jedna oparta na zbadaniu natury człowieka i ludzkości, potwierdzona przez historię (najważniejsze w polityce criterium), druga wychodzi z dowolnego przypuszczenia, z hipotezy, której historia przeczy, ale która przeszedłszy od Epikura i szkoły Aleksandryjskiej przez Averroistów do Hobbesa i Spinozy, znajduje ostatni wyraz swój idealistyczny w Hegelianizmie, schodzącym aż do Hartmana, realistyczny w Darwinizmie. W tychto najwyższych sferach, w tych zagadnieniach trzeba szukać przyczyn, które nas dzielą, i wspólnego środka, który ludzkość może do zgody doprowadzić. Aby jednak tak wysoko nie sięgać, a nawet nie odwoływać się, jak robi autor, do powag teologicznych i samego Ś. Tomasza: z nierówności samych sił i zdolności z jaką się człowiek rodzi, z niemożności jego życia pojedynczo, ze stosunku rodzinnego w jakim na świat przychodzi, wykształca się organizm, to jest hierarchia, w której zarodzie spotykamy się nie tylko z ideą, ale z faktem władzy i objawionego prawa. Oczywiście przypuszcza to stworzenie, to jest Boga osobistego, Wszechmocnego. Ale to prawo tak jest zgodne z naturą ludzką, że mu nauka miano prawa natury nadała — i w tem rozumieniu prawo natury i prawo Boskie jest jedno i to samo. Jakże tu wspaniale, bez żadnej hipotezy niemożliwej rozwija się organicznie ustrój ludzkości w społeczeństwie: to wskutek ojcostwa będącego opieką, to wskutek przewagi siły będącej także opieką, z rodziny przechodząc w społeczeństwo wiąże się hierarchicznie, słabsi z mocniejszymi na podstawie równości w moralnej godności się łączą, aż nareszcie powstają polityczne ciała z cechami narodowości i różnemi zewnętrznymi kształtami. Ludzkość bowiem nie zna form sakramentalnych, również uprawniona jest rzeczpospolita, jak monarchia; treść władzy tu i tam jednakowa, tylko objaw jej zewnętrzny różny, a byle się wykształciła wedle słusznych praw Boskich, prawowita jest, można o niej powiedzieć, że pochodzi od Boga. Tak rzecz

zrozumiawszy, uzna każdy człowiek logiczny, że władza pochodzi od Boga, nie tak, aby podług Bossuetowskiej teorii, zaczerpniętej z wyjątkowego prawodawstwa ludu Bożego, wprost Opatrzność człowiekowi albo rodzinie uświęconą oddawała powagę; ale w ten sposób, że została zdobytą wedle praw przez Boga ludzkości danych, albo ustaloną przez czas i uznanie. Badanie historii wskazuje, jak rozmaite są tutaj objawy przebiegu takiej organizacyi, jaką odgrywają rolę namiętności i słabości ludzkie, a układają się do równowagi wedle tego, czy prawo moralne więcej albo mniej społeczeństwo przejmuje.

Kto to zrozumie, zrozumie i prawa, wedle których wykształcają się konstytucye narodów. Powstają one wedle żywiołów składowych, potęg, które w nich istnieją, podań przeszłości, nawet geograficznego i etnograficznego położenia. Pytam, czy np. konstytucya, jak Ameryki Północnej, mogła powstać i utrzymać się inaczej, jak w warunkach przestrzeni, która każdą chęć posiadania zaspokoi, i ludności, która dla miłości wolności i sumienia heroicznie własną porzuciła ziemię, a surowe przyniosła ze sobą obyczaje.

Ale jakże się wiąże ta teoria z praktyką, o którą tutaj idzie? Oto tak: że nie ma modły konstytucyi jednej dla wszystkich ludów; że jej jak sukni nawzajem dla siebie zapożyczać nie mogą; że pisane konstytucye tyle warte co papier, na których drukowane: że w miarę, jak prawo miłości mniej szanowane w jakim narodzie, jedne żywioły absorbują drugie na wielką ogółu szkodę; tak we Francyi monarchizm, w Wenecyi możnowładztwo, w Polsce żywioł szlachecki, a że wolność, którą w teorii definiować można jako rozwinięcie swego czynu w obrębie swych praw, w praktyce nie może być inaczej pojętą, tylko jako równowaga sił społecznych. Że zaś ta równowaga zależy od charakteru ludności, historycznego jej przebiegu, panowania prawa moralnego wolność w społeczeństwach bardzo rzadka i jest nietrwała. Choć do niej dążyć należy, choć jest nagrodą cnót narodowych, nie na niej stoi byt ludzkości, ale na władzy i prawie,

i dlatego naród, który tych dwóch warunków uszanować nie umie, nie ma warunków bytu; i Polska upadła, jak słusznie autor (167) uważa, wskutek zniszczenia władzy, dodałbym, wskutek bezkarności. Że odrodzenie jej polityczne musiało poprzedzić odbudowanie społeczne przez przywrócenie zasady władzy, prawda, i sam mawiałem, że władza choć obca, choć najgorsza, jest jeszcze narzędziem organicznem społeczeństwa. Ale niestety, spotkaliśmy się pod rządem rosyjskim z władzą, której działanie skierowane do zniszczenia wszystkiego co nam było najdroższe, a społecznie i moralnie konieczne; rozwinął się więc w ogóle narodu, od którego głębszego rozumienia wymagać trudno, duch negacyi, który nie mógł być ani organizmu, ani odrodzenia początkiem. Była chwila po wstąpieniu na tron Wilhelma IV i zwołaniu Stanów, aby w zaborze pruskim zaafirmować bez poświęcenia stanowiska narodowego, stanowisko rządowe. Uchwycił ją podwakroć Wielopolski i z całą potęgą praktycznego swojego zmysłu wskazał drogę postępowania w Poznańskim: napróżno. Obłąd liberalny za mocno panował, trzeba było jeszcze lat wielu doświadczenia i szczęśliwego zbiegu okoliczności, może nawet osobistości panującego, aby zrobić z 6-milionowej ludności polskiej organiczny ustroj, przyjmujący warunki bytu, współdziałający w monarchii, karny pod prawem. Kiedy instykt narodowy własnej konserwacyi wszedł na tę drogę, to tutaj i dziś odrodzenie moralne społeczeństwa naszego na podstawie idei władzy jest możebne. W miarę, jak długo Galicya wytrwa na tej drodze, wykształci się jądro społeczeństwa w warunkach normalnych, tem pewniejsze przyszłości, że inne społeczeństwa europejskie popadają w zgniliznę i rozpadają się na atomy. Dlatego wymownie przez Spasowicza i jego szkołę wskazane drogi, czy prawdy, są tak niebezpieczne, bo wychodząc z podstawy prawdziwej i moralnej zwracają się do bałamutnych ideałów, w których nie ma nic idealnego, którym obca podstawa duchowa, które zdradzają pod ogólni-

kową, a nie nieznaczącą nazwą demokracji kierunek, który doprowadzić musi ludzkość do rozbicia na atomy.

Cheiałem tu dopełnić myśl autora, która w gruncie prawdziwa, ale postawiona apodyktycznie, bezwzględnością swoją mogłaby zrazić, a zrozumiana tak, jak starałem się ją wytłómaczyć, przekona każdy umysł nieuprzedzony, a do rozumowania zdolny, że zasady zdrowej polityki tak pojęte, oparte z jednej strony na godności pojedynka, z drugiej na hierarchii władzy, poddanej wyższemu prawu, zapewnią owe dwa konieczne społeczeństwu warunki: wolność i porządek; że nie tylko nie jest jakimś zaofanem, albo zwrotem niemożliwym do przeżytych form przeszłości, ale owszem, źródłem ciągłego rozwoju i prawdziwego postępu; że w tem pojęciu rzeczy i rewolucye, choć złe w sobie, są dopuszczeniem Opatrzności, aby albo zepsucie ukarać, albo pokruszyć wypalone już formy; ale nie następuje już po nich, jak głupio mniemają, całkowita i zupełna zmiana wszystkich zasad, na których ludzkość spoczywała; chybaaby ta chciała z ustroju hierarchiczno-organicznego przerzucić się w atomizm, a zatem przyjąć żelazne jego następności. Próbuje tego obecnie Francya, próbuje i Belgia kosztem wolności i sumienia połowy mieszkańców. Solidaryzm i pozytywizm, owe najniższe, najpodlejsze formy negacyi ducha, obchodzą tam swoje orgie, stwierdzając w praktyce, że tolerancya, głoszona przez tak zwanych liberalistów była kłamstwem i podstępem, mającym służyć do zdobycia przewagi i nadużycia przemocy.

Wolność, którą określiłem jako równowagę sił społecznych, nie obejdzie się bez moralnego prawa, które dopiero tę równowagę miarkuje i utrzymuje, i w najrozmaitszych wyrabia formach; ono wykształciło Rzeczpospolitą chrześcijańską wieków średnich, wychowało swobodę miast włoskich i niemieckich, a dogmatyczny choć błędny toryzm stworzył nowoczesną Anglię. Rzecz więc prosta, że „intelektualnie najwyżej stojąca frakcya konserwatyizmu w kraju i na wychodźstwie opierała się o katolicyzm“ (186).

Jak zaś niestety katolicyzm rozumiano, obok dokła-

dnej znajomości pism, faktów i kierunków, z nieubłaganą logiką wskazał p. Lisicki; nie pominął żadnego wybitniejszego człowieka, niemal żadnego postawionego zdania i cały Rozdział VI-ty zostanie jako źródło, z którego długo czerpać będą ciekawi znajomość ówczesnych stosunków i prądów umysłowych, a wątpliwi zasady, wedle których sądzić je należy. Nie potrzebuję zapewniać, że z mojego stanowiska, jako wiernego Kościołowi, potępiałem zawsze messyanizm i jego odnogi, choć wprost do herezyi nie dociągały; równie wstrętna była mi zawsze Polska pokutująca, jak i męczennica na krzyżu, a jednak muszę tutaj rozprawić się z autorem.

Stosowanie słów Pisma Ś-go, nawet teologów, wprost do wypadków i działań politycznych, następować tylko może z wielką uwagą, rozwagą, nawet względnością. Nauka Kościoła stawia zasadę np. peremptorycznego ulegania zwierzchności, ale jak zasada ta ma być w każdym razie stosowaną, rozumianą, o tem nie mówi, bo to zależy od najrozmaitszych okoliczności, formy rządu, praw nabytych i pogwałcenia sumienia. Główną zaś tutaj odgrywa rolę kwestya politycznej roztropności.

Niech się autor nie gorszy; tak jest w życiu ludzkości. Zasada, jakkolwiek w sobie prawdziwa, absolutnie stosowaną być nie może; obciąża ona odpowiedzialność nawet w chwili działania, aby nie stało się namiętnem i zbrodniczem ale zrozumianą być powinna co do ducha, nie co do litery. Nie inaczej uczy historia, a reguły na to nie wynaleziono i do końca świata nie wynajdą, kiedy, wolno narodowi ryzykować teraźniejszość dla przyszłości. Wspomina tu autor z ironią o Ojcu narodu, a jednak tak jest; narody, które mają przyszłość, mają też warstwę ludzi przewodnich, którzy na swą odpowiedzialność biorą stanowcze w chwilach historycznych działanie. Społeczeństwo polskie, rozdarte emigracją, w stanie rozdziału przez spisek, nie umiało ich uszanować. — Ale nie uprzedzam wypadków.

Rok 1848.

Walka, która się toczyła pod ziemią, a dziś toczy jawnie pomiędzy rewolucją powszechną a porządkiem społecznym i Kościołem, to jest pomiędzy organicznym, na prawie objawionem, opartym ustroju, a materyalnym atomizmem, dla którego prawo jest wyrobem rozumu, nie była w roku 1848, jak wielu mniemało, zwycięstwem ostatniego. Mimo warstatów narodowych, prawa do pracy i strasznej bratobójczej w czerwcu walki, mimo wiedeńskich i berlińskich ruchów, zręby społeczne wytrzymały. Wolne Mularstwo, które etapami prowadzi swoje dzieło, wstrzymało pochód, aby nowe podkopy przygotować; myśl narodowości, która mu jest wstrętą, była jeszcze nadto żywotna i stała się narzędziem, którego użyło.

Kiedy w Berlinie królewska głowa uchylała się przed Mierosławskim, kiedy pod okiem i nieniał upoważnieniem rządu zbierały się obozy w Poznańskim, w Galicyi organizowały gwardye i rady narodowe, nie dziwota, że emigracya, która lat 20 na taką czekała chwilę, ruszyła się gromadnie, i że wobec wywrotu, który zdawał się ogólnym, w najtrzeźwiejszych głowach polskich powstawało pytanie czy, kiedy wszystko wali się i rozkłada, nie ma nadziei i miejsca dla bytu, który całą duchową zachował żywotność. Ta tylko była różnica, że kiedy jedni uważali tę chwilę jako organiczną, drudzy uważali ją jako rewolucyjną, i ślady tej różnicy napotykaamy przez rok 1848 w opinii krajowej, w postępowaniu stronnictw, w dziennikarstwie i Sejmie wiedeńskim. Przewagę w działaniu, a w każdym razie w przeszkadzaniu do rozumnego i praktycznego działania, musieli mieć ci, którzy występowali z gotowym programem i gotową organizacją, aby go przeprowadzić. Dlatego dopóki o to idzie, aby bez planu zawichrzyć zasadę własności i węzły społeczeństwa osłabić, widzimy ich zawsze na przedzie.

Świetny, krwawy a bezcelowy przebieg wypadków Poznańskich mistrzowsko zestawiał autor w rozdziale VII-mym, ale nie całą wyprowadził z nich naukę. Jakakolwiek siłę rozwija spiszek pod tą lub inną formą, jakąkolwiek dysponuje liczbą, to ostatecznie byłby bezwładnym, gdyby ludzie poważni odmówili mu pomocy. Błędne rozumienie, że przystąpić do fałszywego działania wolno, albo należy, aby go czy kontrolować, czy kierować, czy ubezwładnić, bywa i było w r. 1848 wyzyskiwane przez ludzi ruchu, a pokornie uznane przez powagi krajowe. W takich razach, a powtórzyło się to w r. 1863, użyją imienia i powagi ludzi przewodnich, aby upozorować swoje działanie, zyskując zaufanie, którego sami doświadczyćby nie mogli. Tej nauki albo jeszcze nie mieli, albo jej nie słuchali zaeni Księstwa Poznańskiego obywatele, których nazwiska przytacza, i dlatego mimo najlepszej woli stali się narzędziem emigracyi.

Jak jednak trudno w takich kierować się chwilach, jak pobłażliwie sądzić należy, przekonywują dwa akta, które popłynęły z myśli i pióra Helela i Wielopolskiego, projekt Konfederacyi i projekt środkowego organu. Słusznie Lisicki powiada, „że aby znaczenie tych projektów ocenić, uprzytomnić sobie trzeba dawne czasy“ (str. 237); ale niechaj słuszną tę uwagę i do innych stosuje.

Na zjazd Wrocławski odebrałem od jen. Dembińskiego zaproszenie. Nie pojechałem, odpisałem list, który Jenerał odczytał na zebraniu, nie wiem czemu tając moje nazwisko. Całe życie miałem wstręt nieprzezwyjężony, aby stać się czyjmkolwiek bądź narzędziem, a natyle miałem wyrobione zasady, żeby wiedzieć, że są stronnictwa, z którymi należy walczyć, nigdy nie można współdziałać.

O wiele pierwiej, aniżeli zjazd we Wrocławiu, zaszły ważne w Galicyi i Krakowie wypadki, przedstawione przez autora z tą werwą, talentem strzeszczenia i obrazowością, które mu właściwe, ale zarazem z tą ironią, bezwzględnością sądu, który łatwy i prawdziwy po latach trzydziestu, ale który jest niesprawiedliwością odnośnie do chwili. Po

latach długiej i ciężkiej samowoli rządu, po strasznych roku 1846 cierpieniach, które zarówno winnych jak niewinnych dotknęły, nadzieja, nie powiem odwetu, ale spełnienia pragnień, karmionych przez emigracyjną literaturę i przez spiszek, musiała koniecznie się w sercach odezwać. Ludność była w stanie człowieka wyprowadzonego z ciemnicy na światło dzienne, i nie dziw, że ją trapiły widma przeszłości. Przestraszone obywatelstwo, na wezwanie Rady narodowej robiło ofiarę z pańszczyzny; potrzeba było tylko roztropnego słowa, aby je powstrzymać. Właśnie przybyłem do Krakowa; tegoż dnia wieczór zebrali się licznie obywatele krakowscy z bliższych eyrkułów u ks. Henryka Lubomirskiego, na naradę w tym przedmiocie. Zabrawszy głos, przedstawiłem skutki ekonomiczne i polityczne takiego kroku; zmarnowanie ogromnego kapitału, zubożenie kraju w chwili, w której do wielkich może być powołanym wysileń, podkopanie idei własności. Odwołuję się tutaj do pamięci bardzo młodego i egzaltowanego podówczas Dr. Machalskiego, który zdrowym obdarzony rozumem, otrzeźwiał, jak i wielu innych obywateli. Właściciele dóbr w Księstwie Krakowskim zebrawszy się następnie w Komitecie gospodarskim w domu Darowskiego, niemal w zupełnym komplecie, powoławszy mnie do przewodniczenia zebraniu, postanowili zniesienie pańszczyzny z dniem 3-go maja pod warunkami, które szanując prawo własności, miały być bliżej określone przez komisję, złożoną z Adama Potockiego, Piotra Michałowskiego, Michała Badeniego, Chwałibogowskiego, Florkiewicza i Zapalskiego, znowu pod przewodnictwem Pawła Popiela. Protokół tej narady posiadam: skutkiem jej było opracowanie projektu, w którym dzieląc wartość pańszczyzny na trzy części, właściciele darowali $\frac{1}{3}$ włościanom, $\frac{1}{3}$ gminie, której ważność już oceniono, a $\frac{1}{3}$ mieli włościanie płacić właścicielowi. Rozwinięcie tej myśli dosyć płodnej, bo gminie dawała majątkową podstawę, wstrzymał patent 15-go kwietnia.

Szczegół ten nie dla udziału, jaki w nim brałem, przy-

taczam, ale jako dowód, że obywatelstwu nie brakowało rozsądku i odwagi, ale brakowało inicjatywy.

Właśnie w sam czas tych narad zaszły w Krakowie obrzydliwe burdy, obrachowane na konieczne starcie z wojskiem, rozlew krwi, a które zakończyły się bombardowaniem miasta.

Szczegóły mniej więcej dokładnie opisał autor, ale tylko kto patrzył na ten ruch, charakter jego przedstawić potrafi. Poczucie narodowości, rzetelnego patriotyzmu, a szczególnie nienawiść do obcego żywiołu, najsilniej żyje w miejskich warstwach ludowych. Bez żadnej nawet organizacyi łatwo je poruszyć w imię Ojczyzny i wolności. Komitet krakowski, złożony z ludzi, którzy oddawna byli z rewolucyjnym stronictwem w stosunkach, wzmocniony napływem emigrantów i pod kierunkiem ludzi, jak Wysocki, Zienkowiec i t. p., poruszył masy ludowe, które dokonały aresztowania Kriega. Nazajutrz zastęp emigrantów zatrzymanych chwilowo przybywa, wzburzenie rośnie. Moszyński składa naczelnictwo gwardyi narodowej, której dowództwo Adam Potocki, zawsze do poświęcenia skłonny, obejmuje. Starcie z wojskiem nastąpiło koło godziny 3-ciej. W takich wypadkach niema tego, który kazał stawiać barykady. Stawiano je z zapalem, ale zupełna prawda, że stawiały zawsze z natchnienia komitetu kobiety, stróże kanienieczni i dzieci, *quaeque ipse vidi*. Część najpoważniejsza obywatelstwa zamknęła się w domach. Młodsza i odważniejsza w szeregach gwardyi narodowej, uważała za obowiązek starciu zapobiedz. Patrole gwardyi rozbierały barykady, które powstawały na nowo. Patrol na ulicę Floryańską prowadziłem ja. Groźnie się stawiano, mierzano z karabinu do piersi, strzał nie padł do nas żaden. Patrol wrócił „pod Barany“ i stanął w szeregu; naprzeciwko frontem do wieży Ratuszowej stał szwadron dragonów, komenderowany przez hr. Neiperga; dalej koło Ś-go Wojciecha pluton piechoty. W szeregach gwardyi narodowej stanowcza chęć utrzymania porządku, kuszona ustawicznie przez głównych wichrzycieli, którym może byłoby się udało poruszyć

ją, kiedy strzał piechoty wprost na „Barany“ wymierzony, a wkrótce następujące armatnie strzały ze Zamku, obok zabitych i rannych na barykadach, zakończyły tę lekkomyślną walkę, w której jednak kilkunastu młodych ludzi bohaterską poległo śmiercią, bo w pięknym, choć nieużytecznym poświęceniu. — Heleel, który słaby niedawno był z Wiednia powrócił, przeleżał cały ten dzień na łożu boleści. Nie obywatele to krakowscy zdobyli się wówczas, jak mówi Lisicki, na akt niepotrzebnej odwagi. Heleel wrażliwy i kochający miasto, które łatwo mogło zgorzeć w płomieniach, podniósł pierwszy myśl protestu, i niedostępny przeciwnemu zdaniu, nawet przyjaciół, ze zwykłą sobie przeprowadził energią, czego mu też i Wielopolski nie pochwalił.

Odpowiedzialność za te wypadki, za bałamucenie przekonań i uczuć kraju, spada na ludzi, którzy korzystając z jego niedoświadczenia, używali za narzędzie do swoich celów. Długiego społeczeństwo potrzebowało czasu, aby otrzeźwić się z blekotu, którym je pojono. Na to jedyne lekarstwo polityczna swoboda i instytucje samodzielne, których używa.

Genezę i naturę kwestyi rusińskiej skreślił Lisicki z trafnością i ścisłością, które mu są właściwe, ile razy nie unosi go drażliwy temperament. Przeczając, jakoby Stadion wynalazł kwestyę ruską, czego nikt w ścisłym znaczeniu tego słowa nie utrzymywał, przyznaje (str. 307), „iż poruszył Rusinów i powołał na świadectwo przeciw polskim dążnościom.“ Ferment był, to prawda, ale on go poruszył; jeżeli zaś słusznie wyrzuca Radzie narodowej lwowskiej podniesienie sporu, toć nie powinien zapominać, że pod d. 28-go października Rusini podali ohydny do ministryum adres, a że mimo to dziennik, o którym mówi, że był bezbarwny, pod d. 9-go grudnia 1848 r., to jest lat temu 34, postawił imieniem swego stronnictwa sprawę ruską i uznał prawa Rusinów w tym duchu i niemal w tych wyrazach, jak list mój do Polanowskiego.

Pisząc żywot Helcela, musiał autor poświęcić obszerny rozdział Zborowi w Pradze, na którym Helcel przeważnie zajmował stanowisko.

Zbliżenie Słowian rakuskich było koniecznem wobec prądu, który austriackich Niemców ciągnął do Frankfurtu. Zbliżenie to miało przygotować myśl federacyjną, która leżała w naturze rzeczy. Zbór został zwichnięty wskutek przy mieszki żywiołów rewolucyjnych, które czynnie objawiły się rozruchem, a skończyły wojskową repressją. Wielopolski, Austrii niechętny, przybył z ciekawości, udziału w naradach nie brał, a nie potrzebował długiego czasu, aby się przekonać, że zjazd opanowany przez ludzi ruchu, skutku żadnego mieć nie będzie. Helcel mając wiele stosunków z uczonymi czeskimi, gorętszy w uczuciach i żywszej wyobraźni, brał rzecz na seryo. Wygotował polecony sobie adres do Cesarza, który o tyle ma dla nas wartości, że po raz pierwszy zjawia się w nim wyraz *f e d e r a c y a*. Mojem zdaniem Lisicki zjazdu w Pradze albo nie zrozumiał, albo nie ocenił. Bawi się przedstawieniem stron ujemnych i niepraktycznych; te łatwo dostrzedz, zwłaszcza po 30 latach. Jeżeli tam bruździli Polacy, to nie jako Polacy, ale jako ludzie fałszywych zasad. Poczucie, które zgromadziło ludy słowiańskie Austrii, było poczuciem potęgi przyszłości plemion południowo-zachodnich i chęć dania tej potędze kształtu i wyrazu. Wyraz ten może pierwszy wyrzekł Helcel i w tem jego zasługa. W tem także znaczenie zjazdu, bo zwykle streszcza się w pojedynku usposobienie ogółu, usposobienie czasem bezwiedne, ale mające przyczynę w naturze stosunków. Było więc obowiązkiem Lisickiego dostrzedz i przedstawić, jak się rodziła i z więzów wydobywała ta myśl federacyi, która po 30 latach nie dała się urzeczywistnić; tak to wolno wykształcają się organizmy i formy państwowe.

Mało komu dziś pamiętno, ale współcześni, albo badacze polityczni wiedzą, jak polska deputacya na wiedeńskim sejmie rozdzieliła się na dwa obozy. Mniej liczny, stojąc na gruncie wyłącznie narodowym, szukał drogi otrzymania mo-

żebnego bytu w związku z Rakuzkim domem. Jakby nazwać tę mniejszość, obojętna, ale to pewno, że jak była przeciwną rewolucyjnemu ruchowi, który objawiał się na ulicy, a w izbie miał współników, tak pojmował Rakuzkie państwo, jako w bliskiej przyszłości ustrój federacyjny. Władza była tak chwiejna, przyszłość niemal dynastji tak niepewna, że Polacy, którzy nie byli z nią związani ani historycznie, ani dobrodziejstw wspomnieniem, mogli walczyć o zasady, ale nie o stanowisko dworu. Tak też istotnie było. Garstka konserwatystów, nietyle zbliżona politycznym kierunkiem, ile instynktem i tradycją, czasem śmiało, jak Adam Potocki, czasem głośno, jak w liście swoim do wyborców Zdzisław Zamoyski, protestowali przeciw wspólnictwu sejmu z działaniem, które skończyło się rewolucją odbytą w Wiedniu, na tle dążności europejskich.

Właśnie w chwili, kiedy i w sejmie wiedeńskim, w opinii i działaniu ciał dowolnie ukonstytuowanych w kraju, przeważała nieokreślona, a niezem, ani wstrzymana, ani kierowana anarchia, powstał usiłowaniem kilku ludzi i ich ofiarnością *Czas*. Ci sami, którzy w kwietniu rozbierali barykady, nie ugięli czoła przed prądem, a czując konieczną potrzebę jawnej obrony zasad, które głośno wyznawali, pragnęli organu, coby mógł podnieść walkę z ówczesnym dziennikarstwem. Przybył do Krakowa Lucyan Siemiński. Nie było jeszcze ten wytrawny polityk, którego wiek, wypadki, walka wykształciły, ale pisarz znakomity, znacznego imienia i powagi, charakteru rycerskiego, pełen ognia i odwagi obok zdrowego rozsądku, dowcipu, który przeszedł w przysłowie; był jedynym człowiekiem, któremu można było oddać kierownictwo nowego dziennika, kiedy chciał go się podjąć. Twierdzi autor, że nie miał wybitnego charakteru. Redakcyja wiedziała doskonale, dokąd dąży; ale raz, mogła posługiwać się tylko siłami, które były pod ręką, drugi raz, wiedziała, że najprzód należy zdobyć czytelników koło, zwolna prowadzić je gdzie należy, drogi prawdy wskazywać łagodnie, a nigdy na podstawie fałszu. Działając inaczej, dochodziło się

tam, gdzie doszła *Polska* Męciszewskiego, choć znakomicie redagowana; *Czas* szedł inną drogą i nie dał się z niej sprowadzić, nawet napomnieniem Wielopolskiego.

Wielopolskiemu nie przypadło być Kolumbem polityki galicyjskiej (str. 350), jak autor mówi. Dla Galicyi specyficznej polityki, która jest jedną dla wszystkich, nie było, tylko zastosowanie zdrowych zasad do jej położenia i walka z fałszem. Prowadzona też była od kwietniowych barykad; jako jej narzędzie powstał *Czas*, a Stowarzyszenie ziemiańskie wschodniej części kraju, było objawem budzącej się tam roztropności politycznej i odwagi cywilnej. Ludzie spisku zawsze są w pogotowiu, bo mają organizację i władzę, ale trzeba zbiegu licznych okoliczności, aby wspólne ludzi porządku wywołać działanie.

Zeszły się na to wiedeński przewrót, moralnie z nim powinowactwo części polskiej deputacyi, które było krajowi wstrętne, i rozbicie rewolucyi słowiańską przewagą. Odzywają się też potężnie te wszystkie żywioły we wzniosłej Adama Potockiego duszy i wylewają w znakomitym, zamieszczonym pod d. 15-go listopada liście, w którego zakończeniu wskazuje na drogi, na które wstąpić należy. Tak w wyrobionych zasadach jednych, w instynktach drugich, w publicystyce dziennikarskiej, przygotowaną była polityczna akcja przyszłości. Nie stworzył jej Wielopolski, ale miał wielką zasługę, że z całą stanowczością swego charakteru, a jasnością poglądów do niej przystąpił, i jak z przytoczonych listów, z których każdy prawdziwie politycznego człowieka cechę nosi, widzimy, do działania zagrzewał, środki wskazywał, sam własnego nie żałując pióra. Już tę chwilę Heleel uważał za właściwą, aby wejść w życie czynne, a opróżnione krzesło po Krzyżanowskim dawało do tego sposobność. Bez użycia zwykłych przy wyborach środków, lud wiejski wybornie podówczas usposobiony, stanął przy osobie i dążnościach Helela. Przewodniczyłem temu zebraniu i poświadczyć mogę rzetelność sprawozdania *Czasu* z d. 19-go listopada. Heleel, znany właścicielowi z czasów go-

spodarstwa w Górze, tak otwartem wystąpieniem, jak osnową przemowy, najlepsze zrobił wrażenie na wyborcach, którzy byli zachowali zdrowie rozsądku i prostotę serca. Przemowa programowa, znakomicie zastosowana do wyborców rozmaitego usposobienia i pojętności, określała wyraźnie grunt, który miał być podstawą jego działania. Wściekała się *Jutrzenka*, prawda, ale i to prawda, że *Czas* odrazu jak przygotował, tak poparł wybór Helela artykułem z 20-go listopada, który popłynął od redakcyi. Wielopolskiego pióra są artykuły z 21-go listopada i 5-go grudnia, a choćbym się nie spuszczał na pamięć, która mię rzadko zawodzi, to jakby w spiżu lane, noszą tak wybitne cechy jego stylu i charakteru, że wszelka ustaje, gdyby była, wątpliwość.

Artykuły te, a jeszcze bardziej listy do Adama Potockiego i Leona Sapiehy, pozostaną jako świadectwo czynnego i politycznego umysłu, który nie poprzestaje na zachęcie, ale przewiduje i wskazuje środki działania z naciskiem, świadczącym o gorliwości dla sprawy publicznej. Szło wówczas o odtrącenie związku z rewolucyjnym prądem, w tym kierunku odzywał się *Czas*, Wielopolski, Helcel; ale polityki galicyjskiej, jak ją rozumiemy dzisiaj, nie było, bo na nią czas nie był nadszedł. Kto mógł przewidzieć, jakie zwycięży zwycięża, z którymi walczyć albo łączyć się wypadnie? Zadaniem chwili było zwalczenie rewolucyjnego żywiołu przez żywioł słowiański.

Sejm w Kromieryżu, na który Helcel pojechał natychmiast po wyborze, nie był dość poważny, aby nawet być polem do tej walki. Zabawiano się tam układaniem praw zasadniczych, dyskusjami, jak o zniesieniu kary śmierci itp. Helcel ze zwykłą sobie śmiałością, choć osamotniony, zaznaczył odrazu swoje stanowisko. Autor twierdzi, że nie mógł o jego działaniu wynaleść szczegółów; wertując *Jutrzenkę*, znalazłby ostre i stronne o pierwszym jego wystąpieniu sprawozdanie. A jednak to wystąpienie, ta odważna stanowczość jednała uznanie przyjaciół, tak, że kiedy przybyłem do Kromieryża w lutym, już wywierał wpływ na

pewną liczbę posłów, zbierających się zwykle u Zdzisława Zamoyskiego. Wiele szanowany przez Czechów, nie potrafił jednak sprowadzić ich wówczas z gruntu interesu na grunt zasad.

Charakterystyczne zachowałem z tego pobytu wspomnienie. Przechadzając się po pięknym Biskupim parku z Pałacem, tłumaczyłem wzajemną szkodę, jaką wyrządzają sobie Czesi i Polacy brakiem jednolitego działania; na to wielki uczoney: „Jak pan chcesz łączności, kiedy jazda polska walczyła przeciwko nam w bitwie pod Białą Górą.“ — Wniósłem zdąd, że za ten ten mąż i wielki patriota nie dowiedział się jeszcze; „że nie ma przepaści, którejby polityka zarówno nie mogła.“

Kiedy p. Lisicki drugi tom swój wyda, nie wiem; abym był w stanie zdać z niego sprawę, wątpię. Przeżywszy bodaj nie sam jeden ludzi, którzy od 30-go roku działali, bywszy świadkiem, choć nieprzeważnym uczestnikiem najważniejszych wypadków od lat 52, miałem sobie za obowiązek wziąć pod rozbiór książkę, która tego właśnie czasu jest obrazem, — książkę z umyślnem może pomijaną milczeniem, ale mojem zdaniem znakomitą. P. Lisicki bezwzględnością swoich sądów dowodzi, iż nie doszedł jeszcze przekonania, że stosunki ludzkie to logika, a nie matematyka, dlatego chociaż mówi prawdę, tak ją potęguje, że staje się czasem wątpliwą. I to jest, jeżeli nie jedyną, to największą wadą jego książki.



Między Rosją a Niemcami ¹⁾.

— *Między Rosją a Niemcami*, studjum wysnute z faktów znanych przez Wychowalcę Szkół Rosyjskich. (Kraków — druk Wł. A. Anczyca i Spółki, 1886 — str. 232). — W ostatnim, jaki od X. Kalinki odebrałem, liście, wyrażone gorąco życzenie, abym choć na jednej karcie napisał recenzję książki bezimiennie drukowanej: *Między Rosją a Niemcami*. — Na jednej karcie?!

Nie pamiętam, aby jaka książka poruszyła tak dalece człowieka aż do głębi duszy i serca. Nie łatwo ją przeczytać: z jakąż boleścią pisał ją autor? Ktokolwiek on jest, musi należeć do młodszej generacji. My starzy, chociaż patrzymy na rzeczy trzeźwo i widzimy nagromadzone błędy przeszłości, grzechy obecne, rozpaczliwe położenie, stworzone politycznym ustrojem Europy i wykształcone potęgą mocarstw północnych, nie możemy sobie powiedzieć: a więc nie ma nadziei! My stoimy nad konającą matką, spodziewając się, że albo silna wyratuje ją konstytucya, albo Bóg się zmiłuje! Autor nie bez drżenia, ale z odwagą zapuszcza nóż w rany głęboko i znajduje tylko obumarłe ciało. Trzeba odwagi, aby tam zajrzeć, a jednak przyznać należy, że jest miłośnikiem Ojczyzny, że dyagnoza jego choć straszna, ale prawdziwa.

O co idzie? Czy Polska, jako naród żyjący, żyjący niezawisłe, jako ustroj polityczny, jest możliwa? Autor, który

¹⁾ Drukowane w Przeglądzie Polskim 1886 r.

zna z gruntu warunki bytu społeczeństw, i bierze w rachubę zewnętrzne okoliczności i wewnętrzne żywioły, wobec wściekłej od wschodu i północy wydanej Polakom walki, a obojętności nietylko państwowej, ale humanitarnej, pyta, kogo te oskarżenia, ta nienawiść, niezrozumiała względem słabych, ma na celu? Nie naród polski rozbity i zabsorbowany, nie lud polski, który ze swym losem pod każdym pogodził się rządem, ale szlachtę polską, bo ona nietylko reprezentuje i utrzymuje tradycję, ale niejako majestat dawnej rzeczypospolitej i prawowitość władzy; bo ona jest wobec zaborców niejako pretendentem, którego uśmiercić potrzeba. Ztąd te udane strachy przed polskim żywiołem, ztąd nieludzkie, podłe a nieznane w historii środki, zarówno używane przez bizantyjską Rosję i cywilizowane Prusy.

Tak postawiwszy, a istotnie prawdziwie kwestyę, autor przypatruje się tej nienajlicniejszej, nienajinteligentniejszej warstwie, ale jedynej, która wedle niego jest politycznym czynnikiem.

Autor wychowany w Petersburgu i prowincjach nadbałtyckich, nie zna dokładnie składu naszego społeczeństwa. Samej szlachcie przypisuje on polityczne aspiracye i działanie, zaliczając do niej nietylko dziś bezrolnych dziedziców, ale całą klasę mieszczańską, która jak twierdzi, nieznacznie podniosłszy się w miastach i w inteligencji, weszła w jej szeregi, z nią czuje i działa. Tak nie jest: jakkolwiek jest tendencyą warstw mieszczańskich wchodzić w stanowisko klas uprzywilejowanych przez prawo albo opinię, to mieszczaństwo pod wszystkiemi trzema zaborami, więcej liberalnym owiane duchem, znacznie podszyte semityzmem, stanowi dziś wagę znaczną w opinii i działaniu społeczno-politycznym. Ta uwaga była potrzebna, bo kilkakrotnie autor błąd ten powtarza, najbardziej rażąco, kiedy mówi o powstaniu 1863 r., które miało przeważnie mieszczański początek i barwę.

Szlachta polska bywała sądzona namiętnie i głupio przez całe stronnictwa i szkoły. Tu konserwatysta robi jej obraz

tak bolesny, że chyba prawdziwy. Tylko prawda tak pali, jak każde pociągnięcie jego pędzla.

O szczegóły mniejsza; wiemy, jak często nieporadna gospodarczo, wzajemną sobie szkodziła zawiścią; wiemy, jak przez długie lata robiła składki na swą zgubę i swych wrogów, a dziś jeszcze subwencyonuje z naiwną albo złą wiarą fałsz szerzące dzienniki; wiemy jak temi drogami obok wykluczenia z wpływu, z posad urzędowych, traci ziemię, polityczne stanowisko i poglądy; ale nie zaszkodzi przejrzeć się w tym obrazie, który choć zbyt realistycznie nakreślony, przyznaje, że szlachta polska wyszła z tych prób moralnie zdrowszą; a gdyby znał Królestwo Polskie, toby wiedział, jak mimo działania rządu, mimo przesilenia gospodarskiego, broni się mężnie już nietylko wpływowi rusyfikizmu, ale przeciw działaniu stokroć boleśniejszemu, bezrozumnej, antynarodowej i społecznej, bezwyznaniowej szajki, która wiednie czy bezwiednie gotuje grunt pod zasiew nieprzyjaciół, ale wypleni do reszty cnotę i siłę. Autor, który żywioł narodowy upatruje tylko w szlachecie i w tem, co na jej wykształciło się modłę, przedstawivszy, czem ona jest dzisiaj, musi przychodzić do konkluzji, że społeczność polska nie zawiera żywiołów zdolnych utrzymać jej niepodległość. Skreśliwszy znouwu charakterystykę rozluźnionego w rodzinach życia, antagonizmu magnackich i szlacheckich domów, aspiracyi ruchliwej, bezrolnej a każdym wpływom ulegającej zubożałej szlachty, twierdzi, że ta klasa jedyna, która dziś jeszcze czuje i działa, bez związku z ludem, który podejrzewa ją o chęć powrotu do pańszczyzny, a pozbawiona narodowego poczucia, nie jest w stanie ani odbudować, ani nawet sztucznie odbudowanej utrzymać niezawisłej Polski.

Ustrój i usposobienie polityczne Europy, żadnego nie zapewnia Polsce sojusznika; przestała być czynnikiem równowagi, a straciła, stracić musiała sympatyę ludów; ja powiem, nie dlatego, że słaba, że nikomu potrzebną nie jest, ale dlatego, że zawładnął opinią Europy prąd egoistyczny, wyrodzony z pozytywizmu, spotęgowany mniemaniem, że jesteśmy

katolicyzmu paizą i podporą. Szczelnie zwarei pomiędzy dwie potęgi patrzące z niechęcią, że w obręczy, która nas ściska, jest luka od strony Austrii, po odtrąceniu Rusinów, Niemców, Żydów, niezbyt liczni, bez przyjaciół politycznych i moralnych (a tych, których mamy, jak Windhorst, umiały tylko niektóre podłe nasze pisma zbezczesić), jaka nasza przyszłość, kiedy każde powstanie zmniejszyło tylko obszar i liczbę obrońców?

Od północno-wschodu, od Rosyi, niezego spodziewać się nie można: w poczuciu swjej siły, a należy tu wziąć w rachunek i umysłowy rozwój, dąży ona do spełnienia testamentu Piotra W. Czy ten testament prawdziwy czy wymyślony, stał się on ideałem narodu patryotycznego, który dziedziczy tradycją bizantyńską polityki i tatarskie instynkta i od czterech wieków nie zboczył od swych dążeń. Piotr Wielki europeizując Rosyę zewnątrznie, nie zmienił jej natury, nietylko nie zrobił jej szkody, ale usposobił do skutecznego na zachód działania; szkodę społeczną zrobił jej niezmierną, przez reformę a raczej absorbcyę Kościoła. Piotr W. zlewając w osobie cara duchową i polityczną władzę, uprzedził teorię państwową, którą rewolucya wprowadziła we Francyi, a którą przyswoiły sobie i inne narody. Słusznie nazywa ją autor „jakobińską;“ jest taką w rzeczy samej, bo w miejscu prawa i porządku boskiego, stawia prawo ludzkie, wolę ludzką bez żadnego względu na prawa drugich, bez przebierania w środkach, upoważniając władzę obojętną, pojedynczą czy zbiorową do czynów najokrutniejszych, jeżeli przez mniemaną rację stanu wymaganych. Antagonizm pomiędzy Rosyą a Polską trwał od dawna, ale przybrał zupełnie inny charakter od czasu reform kościelnych Piotra W., bo idea państwowa spotęgowana kościelną, a kościelna spotęgowana państwową, znalazła się w największym przeciwieństwie z indywidualizmem społeczeństwa polskiego, swobodą duchową katolicyzmu. Przy tej sposobności autor podnosi się do najwyższych, najprawdziwszych poglądów na str. 80, 81, 82, o stosunkach nowożytnego państwa do Kościoła katolickiego, które zastoso-

wane do Rosyi, tłómaczą nieubłagane jej prześladowanie polskich katolików, nie jako wyznających inną religią, ale jako nieprzyjaciół Państwa. Ale nie dość na tem. Żywioł polski jest rosyjskiemu zaporą w dążeniu jego do Carogrodu i zawładnięciu południową Słowiańszczyzną; żywioł polski przedstawia takie przeciwieństwo z rosyjskim duchem, sympatyje Polaków są tak przeciwne rosyjskim interesom, jak je Rosyane pojmują, że rząd i naród przyszedł do wniosku, iż samo istnienie nie już politycznie niepodległej Polski, ale żywiołu polskiego, jest jego interesom zagrażające. Uczucie to i zapatrywanie powstało w chwili, kiedy Rosya stanowczo zdemokratyzowaną została. Rząd, szukając punktu oparcia w masach, puściwszy wodze namiętnościom, sam stał się narzędziem jakobińskich zasad i zaczął je stósować w Polsce co do własności i co do sumienia. Zdekoltizować i zrusyfikować Polskę na drodze środków, jakimi Jakubini zrepublikanizowali Francję, rozniecać antagonizm klas, podkopywać większą własność na korzyść mas ludowych, a to wszystko na tle narodowościowem. Tak zwróciła się przeciwko Polakom nauka głoszona przez centralizacyę naszą i nauka o narodowościach, wprowadzona przez Napoleona III.

Chociaż autor może nie zformułował nigdy dla siebie zasad prawa publicznego, z niezmierną trafnością a z nieubłaganą logiką wskazuje na przeobrażenie liberalnych doktryn; pochopność Polaków, aby je popierać i uznawać w zastosowaniu, n. p. do Włoch i Rzymu, a dopiero wytrzeźwić, kiedy do nich zastowane. Piękny i uczący obraz godny głębokiego zastanowienia. A kiedy mówi na str. 102: „zdemoralizować ludność, aby, jeżeli się da, przechylić ku prawosławiu, rozstroić społecznie a ekonomicznie osłabić;“ to nie mogą też nie zwrócić uwagi na część prasy polskiej, nie codziennej, ale niby naukowo-publicystycznej, która jakby w sojuszu z zewnętrznymi czynnikami, podkopuje wiarę w objawienie, miłość przeszłości, zgodę warstw społecznych, a mając do czynienia często z mniej wykształconą publicznością, obniża umysłowy i moralny jej poziom, a robi dostępną każdemu fał-

szowi i każdej pokusie. Dobrało się też świeżo grono literatów, którzy na innym gruncie próbowali już szczęścia, a co gorsza, literatek, aby stworzyć organ, szkodliwy nie, bo tego lud czytać nie będzie, ale wstydlivy, boć to narodowe upokorzenie. aby mogli się znaleźć ludzie, co śmia karmić taką treścią, i w takiej formie. Na chorem ciele przyjmie się łatwo zaraza; do tego stopnia chorzy nie jesteśmy, aby przyjąć się mogła ta, którą *Głos* głosi.

Jeżeli, zdaniem autora, Rosya musi fatalnie na drodze ku południowi i zachodowi druzgotać i asymilować ludność polską, to Niemcy nie mogą także pozbyć się polskich prowincyj, ale w pochodzie ku wschodowi muszą dążyć do zajęcia jeszcze części Polski, aby się zbliżyć do nadbałtyckich krajów; jest zatem ich interesem zarówno jak Rosyi, tępić u siebie ludność polską, czego też nie zaniedbują wobec państwowej, jak słusznie ją nazywa, jakobińskiej teoryi, która wyraz swój filozoficzny znajduje w Hartmannie, praktyczny w ks. Bismarku. Tak więc polska narodowość ścieśniona pomiędzy dwa prądy, kierowane jednym interesem, a natchnione jedną bezwzględną zasadą, tak, że rząd pruski, zarówno jak rosyjski, wrogo stoi względem polskiej ludności. Nieliczna, przerażona, niejednolita, im więcej pokazuje żywotności i politycznych aspiracyj, tem srożej nie prześladowana, ale tępiona.

Wojna prawdopodobna, może nawet konieczna między Niemcami a Rosyą, żadnej nie przyniesie nam korzyści; prowadzona koniecznie w naszym kraju, zniszczy ekonomicznie ziemię, przerzedzi żywioł naradowy, a skutek prawdopodobny: zajęcie Królestwa przez Prusy, a wschodniej Galicyi przez Rosyą, szali życzeń przeważać nie może. Dotąd do Nru X. autor niezrównanie ze znajomością społeczeństwa i zasad politycznych i możebnej w danych warunkach przyszłości, a z przerażającą niemal trzeźwością, skreślił położenie, zestawiał bilans naszych sił, — przychodzi do konkluzyi.

Kiedy nie mamy sił do odporu, a powstanie nowe wyczerpując ostatnie, nawet choćby było możebne, byłoby zbro-

dnia, co znaczy ciągle odwoływanie się do praw, których nikt nie szanuje; przypomnienie, że nie odstąpiliśmy od nadziei odzyskania Ojczyzny od Odry do Dźwiny, kiedy tu nie rozstrzygają chęci, ani prawa, ale siła — *vana sine viribus ira*. Dziś Rosya się nas nie przeleknie, ani żąda sojuszu z nami; chwila porozumienia o *modus vivendi* minęła, bo walka z politycznej, stała się rasową i duchową.

Tak, kiedy wszystkie nadzieje przepadły, ukazał się wreszcie z łona polskiej szlacheckiej społeczności program pracy organicznej. Czy wiele zmieniło się w Polsce pod tem nowem hasłem? pyta; a chociaż odpowiedzi nie daje, przyznaje, że postęp powolny i otrzeźwienie widoczne w polskiej szlachcie.

Ja widzę wielki; zdala nawet autor go nie spostrzega, albo nie wie ile potrzeba czasu, aby się otrząsnąć z dawnych uprzedzeń i zwyczajów, zwłaszcza jeżeli tkwią w naturze. Autorowi idzie głównie o szlachtę, o co później się rozprawię, ale zaręczyć go mogę, że jest religijniejszą i moralniejszą, że w wychowaniu więcej karności, a rządu i pracy w domu, i że jeżeli bawić się jeszcze lubi osobistą polityką, jak tego początek obecnego Sejmu dowodzi, to równie do pracy organicznej w Radzie powiatowej albo w gminie, w gospodarstwie, albo do osobistego nad ludem działania gotowa.

Te są istotne, a nie wyliczam wszystkich, owoce pracy organicznej, których autor uznać nie chce. A wielka szkoda, bo kto tyle prawd powiedział, tak surową z duchem narodu odbył spowiedź, ten nie powinien przesadą osłabić powagi swego słowa, ani piędzą swjej gorliwej niecierpliwości mierzyć poprawę społeczeństwa. Katolik, człowiek politycznego i społecznego ładu, miłośnik Ojczyzny, nie powinien w zgryźliwym usposobieniu tracić równowagi, która gorszyć tylko może przyjaciół, a którą nieprzyjaciele wyzyskują. Jakiegokolwiek bądź usposobienie szlachty, która jedna za wszystko ma odpowiadać, to ostatecznie rozważyć powinna, że wedle dalszego wyводу autora, wobec nieuchronnego zalania ziem polskich przez Niemców, korzystniejszą jest dla nas ta ewen-

tualność już dlatego, że cywilizacya nasza jest wspólna, że dziś od Polaków żądać niepodobna zlania się z Rosyą, której instynkta, interesa rzetelne albo urojone i tak trafnie spostrzeżony wschodnio-jakobiński kierunek, wywołały antagonizm pomiędzy wszystkimi warstwami społeczeństwa, który siła może złamać, ale nigdy ułagodzić, grozi nie zrusyfikowaniem, ale rozpuszczeniem w nihilizmie. Trafnie tutaj uważa, że pochód Niemców ku wschodowi jest koniecznością społeczną, kiedy parcie Rosyi na zachód jest politycznej natury i ztąd wnosi, że przyrodzona, a dziś tak zorganizowana Germanii siła pokona rosyjską pomiędzy Wisłą i Dźwiną. Ktokolwiek poznał kraj zaniemeński, uważał, jak licznie niemieccy pionierzy, to jako przemysłowcy, to jako gospodarze po nim rozsiani, jak nawet w samem Wilnie wyplenienie żywiołu polskiego dzieje się na korzyść Niemców. Pamiętam, jak Antoni Helecl, kiedy jeszcze potęgą cesarstwa zachodniego nie była przez genialnego ustaloną człowieka, przepowiadał klęskę Rosyi pomiędzy Niemnem a Dźwiną. Tego autor nie rozbiera, ale wskazuje na względne korzyści, jakie mimo dzisiejszego prawodawstwa pruskiego żywioł polski osiągnąć może.

Pó takim wywodzie, który usiłowałem jak najbardziej streścić, przychodzi do konkluzyi. Ostateczne zapanowanie niemieckiego albo rosyjskiego żywiołu nie grozi ostateczną zagładą. Aspiracye polityczne już dlatego samego szkodliwe, że budzą czujność nieprzyjaciół. Dać im pokój, a poprzestać na utrzymaniu etnograficznej, duchowej odrębności. Duchowa ta sfera nie może być liberalno-jakobińska, sfera wrogów, ale najbardziej przez nich znienawidzona a potężna, Kościół katolicki.

Na tem właściwie kończy autor, bo dowcipne, może nawet trafne porównanie legitymizmu szlachty polskiej, z legitymizmem Burbonów, miało znaczenie po rok 1831 — dziś utraciło go zupełnie. Stosując praktycznie radę porzucenia wszelkich aspiracyj politycznych do postępowania Koła polskiego w Berlinie, potępia jego postępowanie, radząc zlanie z centrum, a w epilogu, podaje rozbiór tegoro-

cznych rozpraw berlińskich, uważając je jak w najlepszej wierze wymierzone przeciwko interesowi polskiemu.

Strzeszczenie było zbyt długie, ale chcąc wydać wyrok o piśmie tej doniosłości, należało dołączyć akta.

A teraz co?

Dni temu parę, zdając w rozmowie sprawę z konkluzyi jednej z najrozumniejszych i najbardziej uroczych kobiet naszego czasu, ta zerwała się w uniesieniu mówiąc: „A więc nawet rozstać się z nadzieją, a naszej młodzieży co zostanie? obóz pozytywistów prowadzący do socjalizmu i nihilizmu! Autor zapomniał, biorąc wszystko na rozum, o Panu Bogu!“

Autor o Panu Bogu nie zapomniał; ale w sprawach politycznych rachować na Jego bezpośrednie działanie ani mógł, ani był powinien. Bóg wskazał ludziom i narodom warunki bytu: *Hoc fac et vives*. Które tym warunkiem gardzą, same winne swego losu.

Aby konkluzję autora ocenić, należy się odnieść do najwyższych zasad. Jeżeli obraz naszego społeczeństwa jaki przedstawił i warunki polityczne, w których ono postanowione, są prawdziwe, to konkluzya jego słuszna. Takby orzec należało, gdyby polityka, gdyby historyczne objawy były matematyką. Ale one matematyką nie są, i matematycznej konkluzyi wyprowadzić niepodobna już dla tego samego, że czynniki ciągle się zmieniają. Największa więc wobec nowych objawów nie pomoże tu przenikliwość. Przed pół wiekiem europejska pentarchia rządziła światem. Z rewolucyjnego przewrotu powstaje naraz imperyalizm z narodowościową teorią, dziś patrzymy na panowanie interesu i siły, które przed żadną nie cofają się zbrodnią. Kto przyszłość przewidzi wobec słów mędrca: *Deus fecit sanabiles nationes terrae*. Nie dlatego się to mówi, aby próżną nadymać się nadzieją a żywotności uniemanej czynne dawać oznaki, ale dlatego, że człowiek, że naród niema prawa pozbywać się sztucznie poczucia żywotności.

Słusznie autor potępia bezmyślne manifestacye, które drażnią przeciwnika, a łudzą nas samych siłą, której nie po-

siadamy, ale kiedy żąda, aby się naród zadołował, to jakby zapomniał, że zadołowany łatwo zadusić się może. Pod rosyjskim, pod pruskim zaborem. Polacy muszą przyjąć warunki bytu jakie istnieją, szukając stanowisk i wpływu; z dobrą wiarą przykład dały prowincye nadbałtyckie i Rusini naddnieprscy, którzy dotąd nie małą w organizmie rządowym odgrywają rolę, a nie utraciły etnicznego pierwiastku. Najważniejszym, jak słusznie autor uważa, będzie tu czynnikiem zachowawczym karność kościelna i wiara katolicka, ale silna aż do męczeństwa, którego tak cudowne przykłady dała Ruś unicka. Tu niema i nie może być kompromisu; ale prąd obecny nie jest wieczystym i może niedaleki czas, kiedy wierność Bogu będzie rękojmnią wierności żołnierza i urzędnika. Pod każdym zaborem roztropność i zdrowa polityka wskażą działanie w prywatnem, publicznem i rządowem życiu. Tu trzeba dać rękojmnię wytrwania, dzielności, a gdzie Bóg jak w państwie rakuskiem dał pole do pokazania, że jesteśmy żywiołem organicznym, zdolnym nie tylko być rządzonym przez prawo, ale także ażeby rządzić, tam dawać tych zalet dowody, jak też nasi ludzie stanu czynią, na korzyść państwa i rodziny panującej. Zdaleka patrząc, autor nie widzi, jaka tu się praca organiczna odbywa, jak wiele się nauczono, jak wiele zapomniano. Zapewne jak po morzu wzburzonym pływają szumowiny, ale warstwy ludowe są zdrowe i zostaną póki jak dziś ludzie kierujący, już nie tylko szlachta, będą w sojuszu z ludem przez wiarę i tradycję. Powtarzam, autor zdaleka tego nie postrzega, może wobec spuścizny, jakie niecała a ograniczona część prasy peryodycznej pod rosyjskim zaborem roznosi. Ta nieznanostwo czy pomijanie ludu jako czynnika narodowego jest najslabszą książki stroną. A jednak o ten lud, jak o skałę rozbijają się dotąd rewolucyjno-socyalne i obco-rządowe prądy; jaka jego wartość i waga, widzimy w Poznańskim a w części nawet w Galicyi, nie mówiąc już o Królestwie Polskiem, gdzie gminy z zaufaniem oddają sądownictwo swoje w ręce obywateli ziemskich jeśli tego godni, a rząd stanowczego nie

zakłada veto. Jeżeli więc autora zrozpacza stan może prawdziwy, ale zbyt czarno namalowanej szlachty, to niech się pocieszy stanem ludu, ale to pewno, że dla obydwóch tych warstw, których rozdzielić niepodobna, bo razem dopiero tworzą jedną całość, jest tylko jedna tak w porządku duchowym jak i doczesnym zbawienia, to jest utrzymania etnicznej językowej i rodowej indywidualności droga, wierność i łączność z dogmatem i karnością katolickiego kościoła i to nie w politycznym celu. Stawia w końcu pytanie autor, czy nam raczej przyjąć germańską czy rosyjską przewagę. Mojem zdaniem, pytanie zbytuczne, bo rozstrzygnię o tem siła, to jednak pewna, że wszystkie słowiańsko-szczepowe prądy prowadzące ku Rosyi, przeważyc nie mogą i nie powinny pierwiastku rzymsko-zachodniego, który nas wykarmił, wychował i ucywilizował.

Pomijam rady dawane kołu polskiemu w Berlinie, aby się rozwiązało, przestając odwoływać się do traktatów i przyrzeczeń, których nikt nie uznaje. Nie jest to kwestya zasad ale taktyki. Wolno tu mieć swoje zdanie, a wybór należy zostawić tym, na których ciąży odpowiedzialność. Słyszałem sądy bardzo rozmaite o książce. Książka, jak każdy objaw siły i bezwzględного przekonania musiała wywołać przesadne uznanie z jednej strony, a surową krytykę z drugiej. Napisa-
sana stylem twardym, jak gdyby autor ojczystego języka rzadko używał, podnosi się jednak nieraz przez gwałtowne uczucie aż do niepospolitej wymowy; nie jest paszkwilem na szlachtę i wykształcone warstwy, ale surowym rachunkiem sumienia z niemi. Ale rachunek sumienia o tyle dobry, o ile prowadzi do poprawy, nie do rozpacz. Dlatego przyjąć ją można tylko i zalecić z dobrodziejstwem inwentarza, który sobie każdy sporządzi wedle powyższych wskazówek.

O znaczeniu większej własności¹⁾.

Kiedy się ma rozbiierać i oceniać książkę, obojętna, kto jej autorem. Są jednak dzieła, których od autora oddzielić niepodobna, choć się pragnie zapomnieć, kto je napisał. Przy gruntownym rozbiórze książki, każda pochwała autora jest wstrętną. Cóż kiedy często osobistość tłómaczy i doniosłość i naturę książki.

Prawdy te czuć się dają w obec książki: O znaczeniu większej własności i obowiązkach właścicieli w Królestwie Polskiem. Rozmiarem broszura, treścią dzieło, powstała z licznych artykułów, które przez ciąg lat dwóch Ludwik Górski w *Niwie* umieszczał. Kto jest Ludwik Górski, wszyscy wiedzą, a kto nie wie, to się dowie jak przeczyta, dlatego nie trzeba go tu chwalić: raz, że wszystkie dzielnice Polski znają dokładnie tę osobistość, a powtóre, że czytając, dowiedzą się, jaki miał i ma w sprawach publicznych udział, a co ważniejsza, jak znając położenie i potrzeby społeczeństwa, gorąco pragnie przynieść mu pomoc.

Rzecz napisana dla Królestwa Polskiego, również ważna dla Galicyi, bo jakkolwiek ostatnimi czasy społeczny nasz nstrój nie przeszedł przez taki kataklizm jak Królestwo Polskie, i większa własność w korzystniejszych znajduje się warunkach, to jednak podział kraju, wpływ odmiennych in-

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1886 r. z powodu książki Ludwika Górskiego.

stytucyj nie potrafiły do tyła zmienić i stosunków i charakteru narodowego, żeby wypowiedziane prawdy i rady nie miały zarówno znaleźć zastosowania z tej i z tamtej strony Wisły.

Dzieło krótkie, a sprawozdanie nie wiem, czy będzie krótkie, bo wypadnie zwłaszcza przy pierwszych dwóch rozdziałach wkroczyć w historię lat ostatnich Królestwa, a nie przypuszczam, aby to dla czytelników wydawać się miało obcym lub obojętnym.

Straszne wypadki r. 1863, przewrót, który po nim od 1864 nastąpił a nie skończył się jeszcze, dla jednej tylko klasy mieszkańców Królestwa, nielicznej ale ruchliwej, stał się wiodącym do celu. Klasa ta, stronnictwo, może lepiej szkoła, zrywając z tradycją religijną, społeczną, polityczną i obyczajową narodu, patrzy właśnie na urzeczywistnienie swoich teoryj, znajduje grunt przygotowany do swojej roboty, obojętna dla dotychczasowego ustroju własności, a tylko przez brak logicznej konsekwencji albo wrodzone sercu polskiemu bezwiedne uczucie uchowało miłość dla kraju. Dla ludu był o tyle niebezpiecznym, że mógł obudzić gwałtowne namiętności, zwichnąć wyobrażenia o sprawiedliwości, ale rozbił się jak o skałę o zdrowy rozsądek i uczciwe serce chłopca polskiego. Materyalnie lud stanowczo zarobił. Pozostała klasa właścicieli większych, tak zwana szlachta, na którą właśnie, ponieważ mniemano, że w niej skrytalizowały się wszystkie podania przeszłości a przyszłości nadzieje, wymierzono najsilniejsze działanie tembardziej bezwzględne, że z przyczyn, których tu przypominać niepodobna, użyto do dzieła zniszczenia ludzi, którzy z tem większym zapałem, niemal fanatyzmem doń się wzięli, że mogli odrazu mścić się nad Polakiem i nad szlachcicem. Nie brakło im też i pomocy, bo pamiętam byłego agenta Rządu Narodowego, przedzierzgniętego na sekretarza komisarza włościańskiego, który mi mówił, że zawsze wierny swoim zasadom, bo na tej jak tamtej drodze walczył ze szlachtą. Wyrazu tego genetycznego używam, bo utarty, ale wiem dobrze, że choć i dziś jeszcze

dypłomów szlachectwa udzielają, że szlachty nie ma. Szlachta, to jest klasa z rodu dziedzicznie przypuszczona do udziału w prawodawczej i państwowej władzy, mająca zatem udział w majestacie narodowym; gdzie tego nie ma tam szlachta nie istnieje, chyba o tyle, aby można od niej wymagać albo jej urągać. Otóż ta większa własność, *ulgo* szlachta, zaskoczona ukazami r. 1864, musiała stanąć do walki z komitetem urządzającym, który wszechwładny, tłómaczył prawo nie w prawnej i ekonomicznej, ale w społecznej myśli. Naraz bez robocizny i kapitału, bez opieki prawa i powagi, którą mieli dotąd w gromadzie, większa własność stanęła do walki i wyszła z niej zwycięsko. Autor mówiąc o tych sprawach i czasach, zastrzega się słowami z Pisma: „Położę straż ustom moim, a drzwi osadzone wargom moim.“ Lecz ja mogę swobodnie mówić.

Kataklyzm nie był zupełny, dzięki usposobieniu albo enocie ludu. Prawie bez wyjątku, gdziekolwiek nie był z umysłu podburzony, okazał poczucie sprawiedliwości, hamował chciwość, zachował uszanowanie. Czy odtąd wyrosłe pokolenie pod wpływem komisarzy, straży ziemskiej, pisarzy gminnych, podobne ojcom? — nie wiem. Cesarz Aleksander II nawet odtrącając to, co nazywał naszym marzeniem, nie był dla Polaków srogim. Jeżeli nie było w Królestwie zupełnej swobody, było bezpieczeństwo, środki do rozwoju, łagodne działanie władzy. To usposobienie przetrwało ruchy uliczne i spiskowe w Warszawie, objawiło się przyjęciem reform margrabiego, a doszło kulminacyjnego punktu, kiedy Cesarz brata do Warszawy przysłał w myśli, którą po części odgadnąć można. Kiedy powstanie wybuchło, sprawa polska była postawiona jako Europejska, a Rosya nie była jeszcze wyszła z tej fazy, którą ks. Gorezaków oznaczył słowy: *la Russie se recueille*, była nawet gotową odstąpić Królestwa. Równocześnie minister napoleoński mówił do piszącego: *Vous ne pouvez pas avoir moins que le royaume de 1815, peut être avec un débouché sur la Baltique*. A hr. Orłów znakomitemu Polakowi oświadczył: *Nous ne tenons pas à la Pologne*. Na

zapytanie: *Qu'est ce-que Votre Excellence considère comme la Pologne? Tout ce qui est Catholique-Latin, le Royaume, Białystok, Grodno.*

Takie było położenie, dopóki Prusy nie rozpoczęły swej akcji, dopóki Lord Russel nie odstąpił od polityki francuskiej, a kraj nie odepchnął Wielopolskiego i amnestyi. Cesarz Aleksander, dobrze mi to wiadomo, był w sprzeczności ze swoim otoczeniem; jakkolwiek absolutny, car musi rachować się z opinią Rosyi. Próba czy polityka, którą rozpoczął pod wpływem Margrabiego, nie powiodła się. Car był zawstydzony. Zapominał, że jest monarchą, a jako człowiek w uczuciu ludzkiego rozżalenia, tych Polaków, dla których miał rzetelnie dobrą wolę, oddał na pastwę komitetu w Warszawie, a Murawiewa w Wilnie. Monarcha tak nie postępuje, Monarcha wznosi się wyżej, ze swej ręki i opieki nie wypuszcza tego nawet, co wedle niego popełnił błąd albo winę; tu słuszny żal do niego, a jednak za jego panowania to, co dziś się dzieje, było niepodobnem.

Odstąpiłem niby od książki, bo mnie uniósł przedmiot, ale nie będzie bez rzucenia światła na dalszą jej ośnowę.

Mówiąc o obowiązkach większej własności, określa co przez nią rozumie. Ścisłe i pracowite badanie w braku dokładnej statystyki doprowadza autora do przekonania, że własność większa, którą oznacza na minimum 300 morgów, i mniejsza, równoważą się niemal w Królestwie a nawet w Galicyi, którą porównywa. Ta równowaga jest podług mnie niezmierną stosunków naszych ekonomicznych korzyścią; ani latifundyów, ani zatimizowania ziemi, ale utrzymanie tych poważnych jednostek, które w sobie mają warunki egzystencji i kulturalnej niezawisłości.

Zanim wskaże obowiązek, zwraca uwagę na warunki bytu, dowodząc, że taka większa własność jest organiczną całością, warsztatem rolniczym, na którym rozwinąć można i moralne działanie i zapewnić rodzinie byt niezależny. Zkąd zatem zjawisko, że jedni na tym warsztacie utrzymać się nie mogą, drudzy zniechęceni, dobrowolnie go opuszczają,

kiedy własność nawet uszczuplona posiada jeszcze warunki zapewniające niezależność bytu, kiedy dla wykształconego umysłu otwiera pole do wdzięcznej pracy, kiedy daje sposobność wywierania wpływu? Autor przyczynę znajduje w trudach obecnego gospodarstwa, a dogodności życia miejskiego, a tutaj bodaj każdy czytał wymowne, prawdziwą miłością Ojczyzny natchnione słowa, któremi karci, prosi, zaklina, aby nie opuszczać stanowiska, znaleźć prawdziwą rozkosz nie w ucieczce, ale w walce i zwycięstwie, nie w wygodnym egoizmie, ale w uczynności i służbie bliźniego, za nagrodą szacunku i miłości.

Każde słowo dla nas szlachty wioskowej w tutejszym kraju, bo i stosunki podobne, z tą różnicą, że jeżeli w Królestwie zatruwa pobyt na wsi strażnik wiejski, pisarz gminny, komisarz włościański, nam Opatrzność i dobry monarcha zapewniły spokój ducha, bezpieczeństwo osoby i własności. Ale autor, jak w praktyce swojego życia, tak w książce nie poprzestaje na wskazaniu, że większa własność należycie hodowana, jest jeszcze najpewniejszym środkiem zapewnienia sobie i rodzinie przyszłości, dalej wskazuje na wielką misję społeczną i narodową, którą większy właściciel spełniać powinien. Człowiek potrzebuje ideału, bez niego i w codziennej ustanie praktyce.

Tym ideałem niepłonnym, niezamglonym, jest praca moralna w zakresie swojego wpływu. Sąsiedzi jednej części ludności, patronowie drugiej i dość licznej, winniśmy chrześcijańsko-cywilizacyjnie działać. Byle nie brakło serca, nie braknie sposobności, a ktoby nie wiedział jak, niech czyta książkę pana Górskiego, a znajdzie dla siebie i dla żony wdzięczne działania pole, którego barwne i pełne woni kwiaty, a zdrowe owoce nagrodzą jego prace.

Rozbiór nie jest streszczeniem, ale wskazać muszę na historią przebiegu kwestyi włościańskiej w Królestwie, dla tych, których to obchodzi, a do której może powrócę.

Ale nie dość jak dotąd zrobił autor, wskazać potrzebę i obowiązek, należy podać środki, jak je wypełnić?

Jądrem odpowiedzi jest życiodajna zasada, że każde stanowisko wkłada odpowiednie obowiązki, odnoszące się nietylko do siebie i swoich, ale do społeczeństwa. Że zatem większa własność daje dostatniejsze życie, liczy patronat, stanowisko to zarazem nakazuje, aby lepszym przodować gospodarstwem, moralnym i religijnym przykładem oddziaływać na sąsiednią ludność, a tak własność w innych uprzywilejowanych krajach, w Królestwie utopiona jak jednostka w gminie, a podejrzywana przez rząd, potrafi jednak zdobyć i wpływ i uznanie, jeżeli dla materialnej tylko, także ważnej i nawet obowiązkowej korzyści, nie zapomni czem była w kraju, a czem dziś jeszcze, aby jego tradycją uchować, być powinna. Słów autora niepodobna czytać bez podniesienia ducha i nadziei, iż póki tylko tacy żyć, działać i kochać Boga, kraj i bliźniego będą, póty bądźmy spokojni. Niepodobna świetnych tych ustępów powtarzać, proszę czytać, a przeczytawszy, poczujesz się zdolniejszym do pracy, poświęcenia, do wszystkiego dobrego, bo ujrzysz sferę, aby je wykonać.

Słowa te, jeżeli mają zastosowanie do Królestwa, gdzie wszystkie zamknięte drogi, gdzie w sobie trzeba szukać wątku, jakże potężnie działać powinny na nasz kraj koronny, na nas większych właścicieli, kiedy mamy stanowisko aż nazbyt spokojne na obszarze dworskim, kiedy stoi nam otworem wpływ w Radzie powiatowej, w szkole, w dozorze kościelnym, w kasach oszczędności i kiedy nikt nie podejrzewa stosunków z ludem.

Pytam więc, co właściciela może ciągnąć do miasta, kiedy na tem szerokiem polu pracy społecznej, nietylko rolnictwo trzyma pierwsze miejsce, ale obok materialnej korzyści, której lekceważyć nie należy, zaspokajają i poczucie godności i poczucie poświęcenia.

Sporną pomiędzy ekonomistami kwestyą, czy przewaga wielkiej albo małej własności korzystna i pożądana, rozstrzyga w jedynie mądry sposób, mówiąc, że nie ma na to sakramentalnej formuły, bo Czechy mają lepszą produkcję na wiel-

kich obszarach, a Belgia na drobnych udziałach, wpływają na to miejscowe i kulturowe okoliczności, zawsze jednak przewaga większej własności politycznie pożądana. Czy ta większa własność będzie w rozmiarach miernych do 300 morgów, większych do 1.500 albo największych, zawsze potrzebne wyższe uzdolnienie, które nabywa się nauką i praktyką, a która równie konieczna temu, który sam gospodaruje na miernej przestrzeni, jak temu, który posługuje się wykształconymi urzędnikami, ale powinien nimi kierować, jeżeli nie mają być zaprowadzonymi na bezdroża, przeciwny jest wogóle dzierżawcom w naszym kraju, nie mówiąc już o wypuszczaniu folwarków żydom, co uważa — i słusznie — za czyn nieobywatelski i niechrześcijański.

Brakowi gruntownego, fachowego wychowania, albo pracowitości, przypisuje małą produkcję kraju, zaniedbanie chowu inwentarza, który właśnie w chwili, kiedy zboże tanieje, stać się powinien gospodarza podporą. Rozbierając kryzys gospodarską, która niemniej jak nam, daje się uczuć Francji, Anglii, nawet Niemcom, znajdujemy jej przyczynę w olbrzymiej, a taniej wczoraj Ameryki, dziś już Indyi produkcji. Cła, któremi Niemcy bronią się, najdotkliwsze dla Królestwa, a mało Niemcom pomagają. A tutaj rozprawia się autor z tymi, którzy zbawienia od cel ochronnych się spodziewają, co dla mnie tem ciekawsze, że uważałem za błędną natarczywość, z jaką o cła domagano się na rolniczym wiecu we Lwowie. Pan Górski, który zna doskonale całą literaturę ekonomiczną teraźniejszości i z miarą nią się posługuje, dowodzi trafnie, idąc za Riplera zdaniem: że cło na zboże podnieść może jego cenę tylko w takim stosunku jaki zachodzi między ilością zboża krajowego, a ilością sprowadzoną z zewnątrz; nie bardzo zatem potrzebnie tak gorąco i nagle domagamy się cel ochronnych i trudzimy nawet skargami najwyższe sfery, kiedy bardzo dobrze znane prawo, że po latach drożyzny nastają tanie, a zbyt wygórowana cena ziemi spada znowu na lat kilka w wartości. Tak było po wielkich napoleońskich wojnach: pamiętamy te czasy bardzo do-

brze, kiedy pszenica o $\frac{2}{3}$ staniała, a dobra ziemskie długami bez amortyzacji przeciążone, za żadną cenę nie znajdowały kupca. — Wyratowało własność większą Towarzystwo kredytowe, kilka lat nieurodzajnych w Anglii, i obudzony przemysł zewnętrzny; a chociaż gospodarstwa podówczas pańszczyźniane nie potrzebowały kapitału, ani wielkiego naukowego wykształcenia, to jednak, jak dobrze zapamiętam a cyframi mógłbym dowiedzieć, ówczesna kryzys od dzisiejszej groźniejszą była. Jeden ratunek możebny, a środek słuszny, to obniżenie podatków: czy to w obecnej chwili możebne? Ale co możebne z pewnością, to ograniczenie intensywnych gospodarstw, rachunkowość w nakładach, dozór osobisty, chów lepszego i dochód z inwentarza nawet z drobiu, jednym słowem ta energia gospodarza, a skrzętność gospodyni, która nie obejdzie się bez zmiany w codziennych zatrudnieniach i dotychczasowych zapatrywaniach i potrafi otworzyć szczerą ale liczną dochodu źródła.

Streszczać zwięźlej książki, nie jest moim zamiarem, ale raczej do tyła zaciekawić, aby ją każdy wziął do ręki i z uwagą czytał. Rozdziały V i VI odnoszą się wprost do każdego większego gospodarstwa i gospodarza, w jakimkolwiek kraju, napisane z tą znajomością przedmiotu i dokładnością, którą tylko nauka i doświadczenie dać, a miłość kraju i współobywateli natchnąć może. Jako pierwszy warunek powodzenia w gospodarstwie rachunek, nie ten tylko tak potrzebny, który zestawia cyfry dokładnie przychodu i rozchodu, ale ten rachunek, albo wyrachowanie, które obliczyć umie korzyść nakładów, a które tak często w praktyce zawodzą. Każdy znał gospodarzy pilnych, do przedsiębiorstwa chętnych, użyteczne na pozór poczynających roboty, ze stratą, bo nie obliczyli kosztów, stosunków, zysku, bo sami dokładnie przedmiotu nie znali, spuszczać się na techników i przedsiębiorców. Dlatego przed kilku laty przeciwny byłem w sejmie na biura urzędowe melioracyjne, zawsze wykonywujące roboty kosztownie, w tej nadziei, która już uwiódła tylu gospodarzy, że koszta melioracyjne z łatwością się wróca.

Słusznie, stokroć słusznie, ostrzega autor, jak wolno kapitał wyłożony na gospodarskie ulepszenia zwraca się albo tak zrasta z majątkiem, że choć wartość jego podnosi, nigdy w gotówce nie powraca. — A tutaj koniecznie i logicznie stawia się kwestya kredytu i potrzebnego w rolnictwie kapitału, w tej chwili może najważniejsza, kiedy co do korzyści, jakie pieniądź tanio pożyczony przynosi małemu albo dużemu właścicielowi, najrozmaitsze panują teorye a instytucye kredytowe na wyścigi kuszą łaknącego gospodarza.

Tylko panujący zupełnie nad przedmiotem umysł, mógł w tak krótkich a wyczerpujących słowach wskazać, że główną tu uwagę zwrócić należy: 1-mo na warunki, pod jakimi dostać można kapitału, 2-do na podwyższenie spodziewanego ztąd dochodu, bez którego wierzyciela zaspokoić nie podobna: roztropność osobista kierować tu może tylko, i ona różnia między kapitałem obrotowym a nakładowym. Słusznie uważa, że ostatni, jeżeli go właściciel nie posiada, ponieważ bardzo późno się wraca, może tylko być hipotecznym, długoterminowym, jeżeli można, umarzalnym. Ja dodam z mojego doświadczenia, że nakłady melioracyjne uważam te tylko za właściwe, które się robią z intrat. Kapitał czy własny, czy pożyczony, zwykle przepada, szukać go trzeba w mniemanem podniesieniu wartości dóbr, która od konjunktury zależy. Gospodarowałem na dość rozległym obszarze i w bardzo różnorodnych warunkach, zawsze tej przestrzegałem reguły: włożyć co się zaoszczędzi; raz na zakład, w połowie fabryczny użyłem kapitału i to ze szkodą.

Obrotowy kapitał innemi rządzony warunkami, użyty na robociznę, potrzeby gospodarskie, w pośród gotujących się zbiorów, może być prędko zwróconym, dlatego osobisty wystarcza tutaj kredyt. Z naciskiem różnicę tych podwójnych potrzeb i podwójnego kredytu, rozbiera słusznie, mówiąc, jak szkodliwe w praktyce pomieszanie wyobrażeń, co do tego przedmiotu. Że kapitał nakładowy, kapitał na spłatę wierzitelności, może być tylko hipoteczny, ale właścicielowi pomoże tylko, jeżeli umarzalny, ztąd powstały liczne i zba-

wienne instytucye kredytowych, niechaj mi wolno wspomnieć mimochodem o uchwale powziętej na 23 Sesijsi Towarzystwa Kred. galicyjskiego.

Skoro kurs listów zastawnych nie jest przymusowym, jak był przy pierwszej emisji w Królestwie 1825 r., kwestya obniżenia procentu pod względem sprawiedliwości odpada. Zostaje kwestya finansowa, to jest kursu listów zastawnych na krajowych i zagranicznych giełdach i kwestya przedłużenia amortyzacyi na dwa pokolenia. Że w obecnym targu pieniężnego stanie, listy nie tylko $4\frac{1}{2}$ procentowe dojdą kursu *al pari*, ale dociągnęłyby doń wkrótce i 4 procentowe, nie ma żadnej wątpliwości. Ilość kapitałów rośnie, lokacye pewne i stałe z natury rzeczy mnożyć się nie mogą, nie mówiąc już o tem, że kapitalista, który nie pracuje, słusznie na 4 procenta przestać powinien; dziwić się nawet można, że hr. Męciński w użytecznej swej inicjatywie zażądał $4\frac{1}{2}$ zamiast 4 procentowej na przyszłość emisji. Nie o to idzie, obawy, jakie z tego tytułu finansista *Czasu* w Nrze 69 podnosi, aby właściciel ziemi, oceniając ją dlatego za wysoko przy kupnie, albo działach, są płonne. Nie będzie takiego, któryby dlatego, że udało mu się niższy od długów procent płacić, rozumiał, że majątek jego na wartości zyskał, jeszcze teoria Rodbertusa nie rozpowszechniła się u nas, idzie o to, że amortyzacya rozłożona na lat 52, jest mimo wszelkich rozumowań ekspropyacyą przyszłych pokoleń. Pyta, czy nie lepiej obciążyć syna albo wnuka, aniżeli dać się wywłaszczyć z majątku, który ma być podstawą ich obywatelskiego bytu?

Te słowa były napisane, kiedy w Nrze *Czasu* 76 hr. Męciński tłumaczy powody, dla których wniósł i przeprowadził emisję I. z. z kuponem $4\frac{1}{2}\%$. Ani wątpię, że to zrobił w najlepszej eheci, nie bez ważnych powodów pytanie, czy obawy jego były uzasadnione. Są to kwestye, których na drodze rozumowania przewidzieć trudno, rozstrzyga je praktyka. Jemu szło o możność konwersyi, mnie o skrócenie czasu amortyzacyi, tak upragnionej dla dłużnika i zostawiającej posiadaczowi listów szanse wylosowania.

Nie lepiej, bo niepotrzebnie; bo niżenie procentu od listów zastawnych na 4⁰/₀, a oznaczenia na amortyzacją 1¹/₂⁰/₀, nie byłoby obniżyło kursu papieru, a zostawiło nadzieję oczyszczenia majątku, tę nadzieję, która bądź co bądź do pracy zagrzewa, oszczędność budzi, pociesza w kłopotach i wstrzymuje od zachcianek. Na obawy finansisty *Czasu*, że na procenta wyżej zabezpieczonej pożyczki, niższa będzie się zanieczyszczać hipoteka, powiem, że kto od amortyzującego się długu nie może zapłacić 5¹/₂⁰/₀, ten już jest nieuleczalnym bankrutem i tego każdy kredyt dobija.

Niemniej należy hr. Męcińskiemu chwała, że sprawę tę rozpoczął i przeprowadził. Ruchliwość tego umysłu na różnorodnych polach, gotowość do służby publicznej, dar zjednywania opinii, a szeregowania ludzi, tem bardziej każą żałować, że wrodzona trafność ulega często w najważniejszych sprawach namiętności, chęci czy niechęci osobistej, a tak mojem zdaniem marnieją rzadkie w jednym człowieku Opatrzności dary, które w nim składają się, co u nas tak nie często się zdarza, na człowieka publicznego.

Kończy autor znakomity ten rozdział zestawieniem instytucyj kredytowych, mogących właściciela ziemskiego zaopatrzyć w kapitał, wskazując, że jeżeli łatwy i tani kredyt dla niego pożądanym, to tylko pod warunkiem, że go nigdy nie nadużyje, łatwy zwłaszcza wekslowy, to broń obosieczna.

Kiedy po zniesieniu pańszczyzny w roku 1848, której mówiąc szczerą prawdę, żaden ucziwy i rozumny nie żałował człowiek, jeden z najszlachetniejszych obywateli ówczesnych mówił do mnie: „prawda, ale ginie stosunek patryarchalny.“ Odpowiedziałem uwagą: „patryarchalność ustaje, i słusznie, jak każda instytucya, która się przeżyła, ale powstaje patronat i jego obowiązki.“ Miałem zupełną słuszność. Liczna zawsze dworska i folwarczna służba tak wielkie wkłada obowiązki, że i czas i serce właściciela zapełnić potrafią. Wskutek miejscowych przyczyn, a głównie wskutek uwłaszczenia folwarcznych parobków, liczniejsza jest czeladź w Królestwie, aniżeli w Galicyi; ale nie o ten chodzi tu sto-

sunek; służba liczniejsza albo nie, powinności właściciela są też same, a zawsze rządzone postawioną z początku zasadą, że każde stanowisko wyższe, a takim jest jeszcze większa własność i położenie chlebobaweze, nie jest tylko środkiem do używania, ale wkłada odpowiednie obowiązki.

W obszernym rozdziale mówi autor o stosunku do oficyalistów i czeladzi. Niejałowa to i zwykła filantropia. Różni i słusznie postępowanie dla zapewnienia swojego dobra i dla wywarcia dobroczynnego i moralnego na tak różnorodną i liczną ludność, wpływu.

Bodaj każdy większy właściciel z rad tych co do wybrania, wykształcenia urzędników gospodarczych i postępowania z nimi korzystał; — już dlatego, że z każdego słowa, każdej rady czuć spokojny, zdrowy rozsądek, na doświadczeniu i znajomości serca ludzkiego oparty, już dlatego, że wiadomo z jakim skutkiem sam na wielkich gospodaruje obszarach, a wszystko podniesione tym duchem miłości chrześcijańskiej, który osobistego dobra jedynie szukać nie umie, ale znajduje takowe także w szczęściu i powodzeniu drugich. — Niezwykły to *laudator temporis acti*, rozumie jakie przekształcenia społeczne wprowadziły zmiany w stosunku urzędników do chlebobawców, uznaje takowe i daje odpowiednie praktyczne rady. Ta jest osobliwsza autora książki zaleta, że rozumie i uznaje, co w nowym społecznym ustroju dobrego, a że jest nowy, tego tylko dobrowolna ślepotą nie widzi, odrzucić zatem jako przeżyte, a co jako należące do niezmiennych warunków ludzkości zachować przystoi.

W drugiej rozdziału połowie trudni się czeladzią, tą właśnie liczną ludnością, bo 21% wynoszącą, którą się większa własność posługuje i nad którą wykonywać patronat powinna. Kto przeczyta uważnie, ten wejdzie sam w siebie i zapyta w sumieniu, jak go spełnia. Czy wszystko, co przeczyta, wykonać potrafi? Zapewne nie; ale zostanie mu dosyć światła, dosyć natchnienia, aby usiłował choć niektóre rady wprowadzić w praktykę swojego zawodu. I to jest największą Ludwika Górskiego zasługą; ba, może i nagrodą. —

Twierdzi, że nie wyczerpał tej kwestyi; myli się. Nie należy utopić prawd w nagromadzonych słowach i wywodach, właśnie tak w treści zestawione mogą uderzyć i zapewne, jak tego gorąco pragnie, „przekonać młodych pracowników, że gospodarstwo nie ogranicza się na uprawie roli i chowie inwentarza, ale że w sferze ich działania są obowiązki innej natury, które mają rozległą cywilizacyjną doniosłość.“

Obowiązki wskazane w rozdziale VII odnoszą się głównie do stosunków, jakie ukazy r. 1864 w Królestwie Polskiem stworzyły, a które albo systematycznie ograniczają działanie większej własności, albo wpływ jej gubią w żywiole gminnym, bo właściciel kilku tysięcy morgów ziemi ma tyle wpływu, co trzechnorgowy chałupnik — mniej ta rozprawa dla naszych czytelników ciekawa, o tyle jednak naucejąca, że trafny właściciel w dobrych z gromadą stosunkach jako wójt, albo ławnik z wyborów, będzie miał wpływ w gminie, który u nas dla właścicieli obszaru dworskiego jest niemożliwy. W większym jeszcze stopniu działać może sędzia gminny w sądzie, którego Królestwu Polskiemu pozazdrościć możemy, a który nie mało przykłada się do dobrobytu włościan.

Byłoby tu może na czasie, porównywając instytucye Galicyi i Królestwa, mówić o gminie okręgowej, gminie prawdziwej, o sądownictwie spornem i niespornem, ale to zaprowadziłoby nas na pole polityczne, a przedłużyło już nadto długie pismo. Zakończę je w ślad autora kilku uwagami. Że kiedy większa własność u nas równoważy się niemal z mniejszą, mierne dobra regułą, a t y f u n d y a wyjątkiem, parcelacya pożądana, bo ziemia w posiadaniu ludzi niemających wyższego wykształcenia jest jałowem polem, w którym gnieździ się dzikość, sobkostwo i zabobon, że obywatel pozbawiony pańszczyzny i propinacyi, zostawiony własnym siłom, może albo wyteżywszy siły utrzymać się przy majątku i poddać moralnym obowiązkom, albo ujawnić, że umiał korzystać z cudzego trudu, ale do nowego położenia nie dorósł.

Aby napisać taką książkę, nie dosyć być ekonomistą, politykiem, wytrawnym gospodarzem, trzeba być na wskrós przejętym chrześcijańskiemu zasadą, aby ją zrozumieć, aby z niej korzystać, trzeba kochać Boga, Ojczyznę i bliźniego. Z tej tylko wyżyny zrozumieć można postulata, jakie stawia do różnych grup właścicieli, potępiając nie tylko egoizm, ale i ten w złych czasach zaraźliwy między najlepszymi pesymizm, — który nie ma nadziei — a jeszcze gorzej ten — który zamyka się w kole interesów samej wielkiej własności, jakby dawnego braterstwa szlacheckiego nie trzeba rozszerzyć i pogłębić, aby się nie stało kastowym egoizmem. Taka książka jest dobrym i obywatelskim czynem. Oceniona pochlebnie i trafnie w *Przeglądzie Powszechnym i Polskim*, może najgruntowniej w *Bibliotece Warszawskiej*. O to idzie, aby była czytana i dlatego pozwoliłem sobie nieco obszerniej o niej pomówić.

Powinna być w każdym obywatelskim domu, w rękę każdego właściciela wsi i każdej pani domu. Napisana dostępnym wybornym polskim językiem i stylem, czyta się łatwo, a raz zaczęta, zaciekawia mimo powagi przedmiotu, bo otwiera nowe, szerokie, świetne poglądy na stosunki codzienne, powszednie, ale które z tego stanowiska są tak podniosłe i poetyczne.

Książka Ludwika Górskiego wyszła w czasie największego ucisku, upokorzenia i obojętności dla żywiołu polskiego. Czy ma być pociechą na te wszystkie bole? Społeczność, na której gruncie podobne myśli powstały, społeczność, któraby z nich korzystać umiała: taka społeczność o przyszłość swoją spokojność być może.

ANGLIA z r. 1831.

w listach lorda Grey i księżnej Lieven¹⁾.

(Correspondence of Princess Lieven and Earl Grey. Edited and translated by Guy le Strange. With portraits. Vol. I.: 1824 to 1830 Vol. II.: 1830 to 1834. — London. Richard Bentley and Son, 1890. — S. 479, 509).

W końcu czerwca 1829 r. kończyłem nauki prawne w Paryżu, a przykładając się głównie do prawa publicznego, ciekaw byłem zbadać na miejscu konstytucję angielską. Chwila była bardzo ważna, nie wiem, czy nawet nie była zenitem potęgi, rozwoju i wpływu Anglii. Za ledwo *bill emancypacyi katolików* był przeszedł przez parlament, a największy wódz żyjący podówczas, jak zwyciężył pod Waterloo, tak zwyciężył i w parlamencie. Po trzech wiekach straszego uciemiężenia, katolicy irlandzcy zdobyli równouprawnienie. Rzecz dziwna, złożyli się na to zwycięstwo, radykalny niemal O'Connel i najzaciętszy dotąd przywódca angielskich torysów. Niech mi wolno będzie mimochodem wspomnieć, że reformy w duchu swobody przychodziły zawsze niemal, kiedy konserwatyści byli u steru rządu. — Londyn był świetny jak nigdy, rok był obfity w urodzaje; nastrój podniosły, bo społeczeństwo angielskie poczuło, że sprawiedliwość wyrządzona Irlandyi podniosła je moralnie. Są w życiu narodu chwile najwyższej potęgi i rozwoju, które dopiero potomność spo-

¹⁾ Drukowane w Przeglądzie Polskim 1890 r.

strzeże i oceni. Taką naprzykład była dla Wenecyi chwila, w czasie sławnej ligi w Cambrai. Wenecya była jeszcze długo potężną panią na morzach Śródziemnych, ale zwolna, choć kilka następujących pokoleń na to nie uważało, traciła na swej potędze. Mojem zdaniem, tak dzieje się z Anglią. Od roku 1830, w którym otaczał ją jeszcze urok wojen Napoleońskich, traci wpływ na kontynencie, słabnie, choć się rozszerza jej władza w koloniach, a powstania w Indjach wskazują na groźną przyszłość.

Jechałem do Londynu, z paszportem Królestwa Polskiego; ambasadorem rosyjskim był wówczas książę Lieven, pierwszym sekretarzem Józef Sobolewski, syn zasłużonego tyle w kraju Ignacego, sekretarza ministra stanu przy Aleksandrze I., a wielkiego przyjaciela dziada mojego. Sobolewski przyjął mnie najserdeczniej, ułatwił wszystko, wprowadził do *Travellers-Club*, przedstawił księżnie Lieven, która mi dała bilet tak dla Anglika pożądanym na sławny bal *Almack's*, uprzejmie zaprosiła do swego domu, gdzie spotkałem rozpoczynającego karierę lorda Palmerstona. — Jak każdy rad o młodych wspominać latach, tak mówiłem o tem pobieźnie Jerzemu Mycielskiemu. Wziął ztąd assumpt, żeby zażądać odemnie sprawozdania o świeżo wyszłej, a mnie nieznaney korespondencyi lorda Grey z księżną Lieven; wymawiałem się, a mimo to nadesłał dwa duże tomy w paradnej oprawie, wspaniałym drukiem, prawdziwa edycya dla high-life londyńskiego; bo też tylko osoby do high-life należące będą te listy czytać, znajdując w nich wspomnienie wypadków, walk i osobistości, które dziś tylko dla krewnych, albo przyjaciół mieć mogą interes.

Księżna Dorota Lieven, z domu hrabianka Benkendorff¹⁾

¹⁾ Córka generała Krzysztofa hr. Bekendorffa, z inflanckiej rodziny, urodziła się w r. 1794; w r. 1811 poszła za mąż za hr. Krzysztofa Lieven, który w r. 1812 został ambasadorem rosyjskim w Londynie i zatrzymał tę posadę aż do r. 1834. W r. 1826 otrzymał tytuł książęcy, a umarł w Rzymie w r. 1837. Księżna Lieven osiadła następnie w Paryżu i żyła tam już aż do śmierci w r. 1857.

uchodziła za kobietę polityczną w wielkim stylu; mówiono, że ona, nie mąż jej, uprzejmy, kawalerski książę Krzysztof Lieven, była istotnie ambasadorem; Sobolewski twierdził, że jakkolwiek księżna namiętnie dyplomacyą się bawi, to jest słabym dyplomata. Kto przeczyta listy, nie będzie tego zdania. Obok uczucia kobiecości, które jej nie opuszcza, bo jest dobrą żoną, czułą matką i światową kobietą, widać w niej umysł trzeźwy, zdanie pewne i niewzruszone, zręczność w wyzyskaniu stosunków przyjacielskich na korzyść swojego kraju i stanowiska, nie ubliżając jednak nigdy szczerzej przyjaźni. Korespondencya pomiędzy temi dwiema niepospolitemi osobistościami, trwała lat kilkanaście, a powtarza się najmniej co tydzień, kiedy są rozdzielone, a nieustannie w Londynie, jeśli osobiście spotkać się nie mogą. Pyta się człowiek, co mogło pobudzić, wywołać i utrzymać przez lata taki stosunek. Zalotności najmniejszego nie ma śladu; przebija się tylko idealna przyjaźń, oparta na szacunku charakteru i rozumu. I jakkolwiek z początku nuży czytelnika dość proste, jeśli nie jałowe listowanie, to z czasem widać rosnącą przyjaźń wzajemną, i dla rozumu uwielbienie i zaufanie tak, że podziwiać trzeba wierność tych dwóch dusz wyjątkowych, związanych wspólnym interesem, to dla dobra wzajemnej Ojczyzny, to dla dobra ludzkości. Jak powiedziałem, listy początkowe, kiedy lord Grey dochodzi lat sześćdziesięciu a księżna Lieven przyznaje sobie przeszło lat czterdzieści, mniej budzą ciekawość; co najwięcej tych zajmą, co pamiętają Canninga wpływ; osobistość Wihelma IV., restauracyę francuską i czasy wielkiej przewagi dyplomatycznej księcia Metternicha. Korespondencya, politycznie historyczna, staje się ważną od bitwy pod Navarinem. Sławna ta bitwa, która wywołała tak rozmaite sądy, a ostatecznie złamała potęgę państwa tureckiego, wywołała zaś uznanie powstania greckiego, zajmuje mocno i lorda Grey i księżnę Lieven. Występuje tu po raz pierwszy interes rosyjski, a ponieważ chętnie, czy niechętnie, przyczyniła się Rosya do zniszczenia floty tureckiej, schodzą się uczucia obydwóch piszących, bo lord Grey

przewiduje i pragnie zmartwychwstania Grecyi. Nie rad czytelnika nużę, ale do zrozumienia treści listów, nawet do zdania z nich sprawy, potrzeba pamiętać, że wówczas zwołano sławną konferencyę dworów do Londynu, która przez lata pracowała nad znalezieniem *modus vivendi*, i dla Grecyi i dla Turcyi. Tu już spostrzegamy w listach księżnej Lieven ciągłą troskę o stanowisko Rosyi, ale znajduje ona zupełne odbicie swoich uczuć i obaw w przekonaniach lorda Grey. Lord Karol Grey, już potężny wpływem, a znany jako przywódzca whigów, jak Achilles w swoim namiocie, tak z zamku Howick, oczekuje wypadków, któreby go powołały do czynnej publicznej służby. Powtarza się często w historyi zjawisko, że długoletni spokój w stosunkach politycznych krajów europejskich, zmienia wypadek napozór nieprzewidziany, a który wstrząsa dawnym ustrojem i społeczeństw i rządów. Takim wypadkiem była bitwa pod Navarino, niespodziewanie stoczona. Wypadła ona nie tylko na korzyść Grecyi, ale i na korzyść Rosyi. Niemal równocześnie ten sam duch, który pracował nad uwolnieniem Grecyi, zmieniał stosunki polityczne wewnętrzne we Francyi. Po rojalistowskiem ministeryum Villèle, następował Martignac, a w Londynie trwała konferencya w sprawie Grecyi. Wszystkie te wypadki, omawiane szczegółowo w listach, które tem są poufalsze, że obydwie strony zarówno odznaczają się przychylnością dla Grecyi, jak nienawiścią do polityki i osoby ks. Metternicha. Aby mieć wyobrażenie o stosunku i tonie tej korespondencyi, daję wyjątek z listu księżnej z dnia 29-go stycznia 1829 r.

„List twój, lordzie, odebrany wczoraj, zmartwił mnie; oczekiwałam spotkania, a mówisz, że nie przybędziesz; czemu, zrozumieć nie mogę. Coraz bardziej widzę, że robi mi to w oczach twoich ujmę, że nie jestem rodowitą Angielką, bo aż nadto dobrze widzę, że nie mówisz mi nigdy o sprawach, które odnoszą się do politycznego twego stanowiska w kraju. Zapewne dlatego, że niezdolna tych spraw zrozumieć, albo niegodna, abyś mi je powierzał? Ale niemasz w tem słuszności. Gdyby wszyscy byli wykluczeni z twego

zaufania, zniosłabym to spokojnie; ale tak nie jest, i dlatego nie łatwo się temu poddam. Mam ja zdrowy rozsądek, znam wasz kraj doskonale, jestem szczerą twoją przyjaciółką, kochany lordzie, a chociaż nigdy rady dawać nie należy, kiedy się o nią nie jest proszonym, to mam odwagę wystąpić z moją. W moich oczach, stanowisko twoje nie jest dość jasne w tej chwili, a jeżeli mam użyć pospolitego wyrazu, dość przystojne (*confortable*). Nie łączą cię już stosunki z dawnymi przyjaciółmi, a nowych nie zawarłeś. Na tym świecie stać nie można samemu, a takie osamotnienie bywa szkodliwe. Pytam, czy przyczyną tego nie jest, że nie objawiasz swoich zamiarów. Twoi dawni przyjaciele, zawsze ci wierni, i wiem, że serdecznie pragną zawiązać z Tobą stosunki; czybyś nie czuł pociągu do takiego zwrotu? Nie wierzyłam ja nigdy słowom: *et l'on revient toujours à ses premiers amours*, bo nie rzadszego w życiu, jak powrót do pierwszej miłości; ale silnie wierzę, że jest rzeczą miłą i naturalną, zwracać się do dawnych przyjaciół. Czy mówię nie do rzeczy, albo czy poehlebiam sobie, iż właśnie dlatego, że jestem obcokrajową, moja rada, jako bezinteresowna, spotka się z twojem uznaniem. Być może, kochany lordzie, że niedługo przyjdzie mi porzucić Anglię nazawsze. Jestem ja obca stronnictwom politycznym, ale nie pocuję się nigdy obcą względem ciebie, albo obojętną względem wszystkiego, co się odnosi do twojej sławy. Chwila zastanowienia, i pomyśl o tem, com powiedziała; jeszcze jedno słowo, i skończyłam. Może rada moja budzi w sercu Twojem podejrzenie, ale daję ci słowo honoru, że wszystko co poprzedziło, jest jedynie skutkiem własnego natchnienia, i jeżeli to, co ci powiedziałam, jest szaleństwem, to ja jedna za to odpowiadam, bo tego przedmiotu nikt ani słowem ze mną nie dotknął. — Od mojego ostatniego listu przybył tu hrabia Matuszewicz, pierwszy sekretarz hrabiego Nesselrode, a w wielkich łaskach u cesarza zostający.“

Zapewne w Petersburgu, w ważnej konferencji londyńskiej, do której należały Rosya, Austria, Prusy i Anglia,

nie uważano za dostateczne zdolności księcia Lieven, kiedy mu posłano pomoc Matuszewicza. Matuszewicz, syn Tadeusza, znakomitego na czteroletnim sejmie posła i ministra dla Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, odbył tak świetnie nauki we Francyi, że był pierwszym *au grand concours de philosophie*. Wszedł zaraz do dyplomacyi, uważany jako pierwsze pióro w petersburskiem *collège des affaires étrangères*, i posłany został do Londynu w pomoc księciu Lieven. Widać z listu księżnej obawy, że męża zastąpi. Obawa była próżną, bo księstwo Lieven, zetknąwszy się z cesarzem w Warszawie, w czasie sejmu r. 1830, jeszcze w łaskach cesarskich bardziej się podnieśli. Matuszewicz przeważne zdolnościami swemi w konferencyi zajął miejsce, ale może zbyt oddany ponętom angielskiego życia, ostatecznie zwichnął swoją karierę, której końcem zdawało się być kanclerstwo w Rosyi.

Z wyraźną też niechęcią lord Grey dowiaduje się o przybyciu Matuszewicza, i w liście z 1-go lutego 1829 r. oświadcza, że list księżnej potwierdza tylko obawę, jaka go pochwyliła na pierwszą wiadomość o misyi tego hrabiego, którego nazwiska wymówić niepodobna: „Mówisz, księżno, o możebności, żebyś się oddaliła z Anglii *pour toujours*, co dla mnie jest jakby *arrêt de mort*. Ale nie zatrzymuję się nad tym smutnym przedmiotem; może moje obawy są próżne i uspakajam się zapewnieniem, że przybycie hrabiego nie jest dowodem niełaski. Czuję wartość wszystkiego, co mówisz o mojej osobie. Niewątpliwie są okoliczności w twojem i mojem położeniu, które koniecznie nakazują nam pewną wstrzeмиęźliwość, okoliczności, które każdego z nas obojga stawiają w niemożności być zupełnie bezstronnymi tam, gdzie zachodzą ważne sprawy twojej i mojej Ojczyzny; przekonany jestem jednak, że nigdy dla jakiegokolwiek bądź powodu nie dasz mi rady, któraby oddziałać mogła na moje stanowisko, albo na mój honor. Otwarcie ci powiedziałem, że nie mam dla ciebie tajemnicy, i to jest ściśle prawdą, z wyjątkiem tych spraw, które sama z siebie odgadniesz. Moje

położenie jest z wielu względów trudne: trudne wskutek rozmaitych okoliczności, których niepodobna rozbiierać w liście. Wpływa na to i mój wiek, który zmniejsza energię i ambicję, wpływa na to i niejaki przeziśnięcie duela, któremu ulegałem całe życie, a które powiększa nadwątlone zdrowie. Te to powody i pragnienia uniknięcia rozprawy pomiędzy ks. Wellingtonem a lordem Anglesey są istotnym powodem, że do Londynu nie przyjeżdżam. Nie mogę łączyć się z opozycją, bo zwiększyłbym trudności rządu w kwestyi katolickiej, która dla mnie jest największej wagi; nie mogę też z drugiej strony wystąpić jako popierający rząd, który w odległym i niejasnym tylko działaniu, pragnie zbliżyć to, co ja uważam za przedmiot i konieczny i będący najwyższej wagi. Znajduję się zatem w rodzaju neutralnego stanowiska. Wprawdzie nie sam jeden, ale dosyć osamotniony, aby to stanowisko było niedogodnem, gdyby się przedłużyło. W tem jednak stanowisku widzę sposób być użytecznym, i dlatego to chcę czekać i widzieć cokolwiek jaśniej postęp wypadków, zanim wdam się w czynność, która gdy raz będzie rozpoczęta, to już dla mnie nie będzie wyboru. Oto tajemnica mego obecnego stanowiska i moich poglądów. Teraz wiesz, księżno, tyle, ile wiedzą moi najzaufańsi przyjaciele, ale nie więcej chyba. Wskazałem, że to położenie nie może trwać długo; jestem gotów rozpocząć za pierwszą wskazówką; nie wątpliwie też oczekuję wezwań, którym posłusznym będę. Pisz, księżno, do mnie do Howick, zkąd nie ruszę przed niedzielą. Pragnąłbym, abym twój list dał nam lepsze nadzieje pokoju, bo warunki, od których on zależy, wprowadzają mnie w rozpacz. Daruj, że powiem, że nie widzę w nich wyrozumienia; przyzuając, że pragniesz podbicia i podziału Turcyi, do tego końca zmierzasz. *Je ne suis pas Tourcque*, jak mówi lord West-Moreland, ale drzę na niebezpieczeństwo, na jakie pokój Europy jest wystawiony. Czekam mowy królewskiej i wskazówek i pierwszych kroków rządu. — I tak, *l'homme d'énormément d'esprit, d'une franchise et loyauté tout a fait remarquable*, staje się naraz *le plus grand co-*

quin du monde (Wellington o Metternichu). Może byłaś zawiedziona co do jego moralnej wartości, ale niepodobna być zawiedziona co do zdolności umysłowych. Siła jego rozumu i talenta, jako męża stanu, nie są zmienione, wskutek dróg, jakie dziś obiera. ani mogą być zmniejszone, dlatego, że dziś chodzi krętymi drogami. Przypominam pani, jakieś w mieście mówiła, że książę Wellington mówił o nim jako o wielkim mężu stanu. Zdania do tego zmieniające się stopnia, muszą w końcu zachwiać wiarę w zdrowy sąd tych, którzy je wygłaszają.“

Te wyjątki z listów mogą dać wyobrażenie o umysłowym usposobieniu obydwóch stron piszących i o niechęci do polityki austriackiej, i rzucić światło na cały ten stosunek. Polityka ta nie była tak błahą, jak się korespondującym wydawało; w każdym razie miała ona przymiot ciągłości, i w końcu przeszłego wieku widzimy Austryę na straży bezpieczeństwa państwa tureckiego. Powtarza się to w czasie wojny tureckiej w 1828 r., kiedy wojska rosyjskie muszą z pod Adrianopola powracać i akurat w lat pięćdziesiąt, kiedy traktat pod San Stefano w wykonaniu wstrzymany, a w Berlinie rozdarty. Jeżeli dziś patrzymy na straszną zawziętość polityki rosyjskiej przeciwko Austrii, to listy księżnej Lieven świadczą, że nie mniejszą była w 1828 r. Narody, które mają przyszłość, muszą mieć konieczną w polityce swej ciągłość; dlatego to tak trudno, aby narody demokratyczne, zwłaszcza organizowanie polityczne na głosowaniu powszechnem, kędy *aura popularis* rozstrzyga, mogły mieć politykę jednolitą, dążącą do jednego celu.

Sprawa grecka coraz bardziej zajmowała umysły, a jakkolwiek warunki wolności greckiej inne były jak u nowożytnych państw europejskich, nie przestawały one działać na społeczeństwa, których politycznych aspiracyj nie zmieniły, ale powstrzymały tylko kongresy w Opawie, w Laibach i w Weronie. Skutki tego objawiły się naprzód, jakieśmy mówili, we Francyi, a znalazły wyraz w powołaniu księcia Polignac do przewodnictwa ministeryum. Księżna Lieven i lord

Grey nieustannie trafnie przewidują koniec monarchii, która nie miała, czy nie uniała, kim zdolniejszym się posłużyć. W tym czasie właśnie bawiłem u księdza Lamennais w La Chennais wśród kilkunastu ludzi niepospolitych zdolności i wpływu; człowiek ten był dotąd wiernym Kościołowi i dawnym swoim zasadom, a trafnym poglądem przewidywał przyszłość. Właśnie pod moją bytność, przyszedł list od hrabiego Labourdonnaye, niewątpliwie najznakomitszego z pomiędzy ówczesnych ministrów. Prosił o radę i publicystyczną pomoc. Na to genialny pisarz odpowiedział: „Chcąc reakcyę w kierunku monarchicznym utrzymać, należało naprzód pochwycić członków spisku rewolucyjnego, zaarrestować przywódców, wstrzymać wolność druku i rządzić jak na to pozwala w wyjątkowych wypadkach konstytucya, rozporządzeniami, *par ordonnance*. Możeby się udało, nie wiem; ale wy to zrobicie za kilka miesięcy a wtenczas runie i ministerjum i monarchia zarazem.“ Nie tak przezornie, ale podobny koniec przewidywali i nasi korespondenci. O Bourbonów i porządek monarchiczny, ani księżna Lieven, ani lord Grey nie stoją; boją się tylko, aby europejska wojna nie powstała, albo wskutek zaczepki Francyi, pragnącej odzyskać nadreńską granicę, albo wskutek koalicji.

W miesiącu czerwcu, na miesiąc przed wybuchem lipcowym, księżna Lieven, powołana została z mężem do Warszawy, dokąd dwór cesarski na ostatni sejm Królestwa Polskiego zjechał. Listy nie ustają, ale ciekawość moja zawiedziona, bo próżno szukać sądu o społeczeństwie i o stosunkach w Warszawie, kiedy ją tylko dworskie rosyjskie sprawy zajmują. Widziałem wtedy księżnę, sztywną i zimną, dla towarzystwa warszawskiego obojętną. Wraca z uniesieniem do ukochanej Anglii, gdzie zastaje niemal już rewolucyę lipcową. Oto pierwsze wrażenie, 2-go sierpnia 1830 r. „*Richmond*. Posłałam do Londynu po lekarza, ale nie stan mojego zdrowia był powodem, że nie pisałam; we środę, późno odebrałem list twój, kochany lordzie. Dziś posyłam mój do Milton. Jakżeż straszne wiadomości z Francyi; to, co słyszymy, zmienia cha-

rakter sytuacji. Uprawniony opór przeciwko postanowieniom królewskim, był do przewidzenia, ale gwałty spełnione, zmieniają naturę wypadku. Jeżeli końcem wszystkiego ma być rzeczpospolita, to można się obawiać, że będzie to rzeczpospolita z charakterem zaczepnym. A wówczas, które z państw europejskich nie będzie przymuszone, aby się wziąć do broni? Oto moja opinia: Cokolwiek wywołuje obawę zaczepki państw sąsiednich, spowodować także musi środki ostrożności; a jeżeli taka zaczepka nastąpi — to wojna. W danym jednak wypadku, jeżeli szczęśliwie do takiej zaczepki nie przyjdzie, i jeżeli rząd, jakkolwiek on będzie we Francji, uspokoi Europę wyraźnem zapewnieniem, to nikt nie będzie miał prawa wdawać się w jej sprawę. Ale któż może się spodziewać takiego rozumu w pośród przewrotów, które miotają Francją? I to wszystko dla człowieka, jak Polignac. Szczegółów nie daję, bo dzisiejsze dzienniki, których dotąd nie czytałam, obejmują wszystko, co odebrał w swoich depeszach lord Aberdeen. Ambasadorowie są jakby więźniami w swoich hotelach; kuryerzy są wstrzymani; ten jeden, który przywiózł depesze, potrafił ująć i przejść przez barykady. Pozzo nie daje znaku życia; boję się o niego, bo może umrzeć ze strachu. Nie jest to człowiek na chwile krytyczne. Cokolwiek przyjdzie, przekonana jestem, że Karol X. przestał panować. Nikt nie przewidział tego, co zaszło. We wtorek 27-go pisał Pozzo do mnie. „Niema czego się obawiać niepokojów w Paryżu, gwałtów nie będzie.“ Niepojęte zaślepienie. — W tej chwili odbieram wiadomości. Książę Orleański jest namiestnikiem królestwa, a prawdopodobnie królem. Listy prywatne mówią z zapałem o ludności paryskiej; dwór sam ma być odpowiedzialnym za zbrodnie i ich następstwa. Nie mogę zdać sobie jeszcze sprawy z tych strasznych wypadków. Z pewnością nie były one wywołane przez wpływ waszego rządu; przynajmniej takie moje przekonanie. Ale te wypadki wpłyną na jego los; Bóg jedynie wie, co nastąpi. Jakże to przykro w takiej chwili być cierpiącą i oddaloną, lordzie. od ciebie.“

L.

„Milton, 3-go sierpnia 1830 r. — Kochana księżno! Dziś rano odebrałem twój list, trudno wyrazić, z jaką pociechą; boli mnie, że co mówisz o ostatnich wypadkach we Francyi, wskazuje na inne aniżeli moje ocenienie. Co się da zrobić prawnym oporem względem władzy, która wszelkie pogwałciła prawa? Siła była jedynym środkiem, i Bogu dzięki, że zwyciężyła. Mojem zdaniem, lud paryski okazał równie wiele wstrzemięźliwości, jak odwagi, i zasługuje na podziw każdego, kto czuje, że nietylko obronił wolność we Francyi, ale obronił ją we wszystkich Europy krajach. Śmierć Jerzego IV staje się obecnie szczęśliwym wypadkiem. Jego usposobienie wobec tej kryzys, mogło wiele złego zrobić. Jeżeli obecne ministryum nie otrzyma od tej rewolucyi zupełnej gwarancji dla pokoju i wolności świata, to jego tylko będzie winą. Ale nie trzeba się wahać, nie trzeba okazywać złej woli. Rząd księcia Orleańskiego należy szczerze i otwarcie uznać, to jest, jak tylko będzie pewne, że zatwierdzony ogólną wolą Francyi. Co do mnie, byłbym gotów uznać każdy inny rząd, nawet republikę, byle także przez narodową zatwierdzoną wolę. Środki ostrożności uważam za potrzebne, ale te, któreby wskazywały na łączność w działaniu innych państw, mogłyby wywołać nieufność, a w końcu wojnę. Nie idzie zatem, bym doradzał obojętność, albo ustępstwo, gdyby miały zajść jakiegokolwiek usiłowania, aby rozszerzyć panowanie Francyi. Przypuszczać takie jej chęci, to jest pobudzać jej chciwość; takie postępowanie musi pochwalić każdy, kto zdrowo patrzy na wypadki i na ich przyczyny. Co do nas Anglików, badając naszą historję, musimy uznać, że Karol X słusznie swój tron utracił. Francuzi, powołując księcia Orleańskiego, o tyle tylko odstąpili od praw sukcesyjnych, o ile koniecznie było potrzebnem do zabezpieczenia siebie, i jak powiedziałem, winniśmy go uznać. Nie wiem jednak, czy tak proste postępowanie i zapatrywanie, będzie przez nasz rząd uznane i przeprowadzone. Całe jego postępowanie wzmacnia moją obawę. Mam jednak nadzieję, i wierzę, że nie natchnął i nie popierał gwałtu — tak jak wierzę, że nie

wpływał na powołanie księcia Polignac do rządu. Wogóle obecny pogląd na sprawy publiczne cieszy mnie; nie miałem nadziei, widzieć co podobnego; utwierdza mnie w tem zapatrywaniu, skład rządu tymczasowego. Powinien on zaspokoić wszystkie stronnictwa we Francyi. La Fayette i gwardya narodowa, książę Orleański, toć to książę ze krwi Bourbonów, chorągiew trójkolorowa, generał Clausel, dają republikanom, liberałom, Bourbonom, a nawet Bonapartystom względne zadowolenie i zapewniają ludzkie i wstrzemięzliwe działanie w jednym kierunku. Żądałaś, księżno, mego zdania; masz je jawnie, choć nieco pospiesznie wypowiedziane. To jednak wyłącznie dla ciebie.“

G.

Nie byłoby trudno przejść księżnie Lieven na wiare swojego przyjaciela, gdyby nie obawa, jak tę sprawę pojmie cesarz Mikołaj; a kiedy ruchy rewolucyjne objawiły się w Brukselli, ponieważ odnosiły się do rodziny książąt Oranii, spokrewnionej z dworem rosyjskim, potępia je surowo, choć miały głównie narodowy odcień, i mówi; „A jeżeli Belgowie mogą powstawać, to za tym przykładem pójdą i Polacy.“ I poszli w rzeczy samej. — Może być, że dlatego dałem sobie pracę czytania tych listów, aby zbadać sąd i usiłowania lorda Grey z powodu rewolucyi 29-go listopada. Już parę miesięcy wprzódy lord Grey, który się nosił głównie z myślą reformy parlamentu, został pierwszym ministrem. Od lat wielu, sprawa reformy parlamentu zajmowała go, i można powiedzieć, że cała siła woli i myśli tego człowieka spotęgowała się w tym jednym celu. Widzieliśmy, jak zapatrywał się na rewolucyę lipcową; czy podobna było przypuścić, żeby tensam człowiek był obojętny dla powstania w Warszawie. Lord Grey, jako prezes gabinetu, osiadł w Londynie; listowanie ustać musiało; ale on, jak i księżna Lieven, tak nawykli do ciągłych stosunków, że nie mogąc się dla olbrzymich prezesa ministrów zatrudnień widywać, codziennie niemal do siebie choć krótko pisywali. Te, jak nazywają *Notes*, zastępują nam przerwane listy. Szczególne, fatalne nieszczęście ściga zawsze naszą sprawę; człowiek, stojący na czele partyi liberalnej

w Anglii, podniosłego i szerokiego serca, przenikliwego rozumu, przyjaciel księcia Adama, powinien był gwałtownie poczuć ważność listopadowego powstania; a to tembardziej, że mniej od niego biegli politycy, mogli widzieć, że to była jedyna chwila, i ostatni środek do wstrzymania olbrzymiego rozwoju potęgi Rosyi; Kaukaz nie był jeszcze zdobyty; Austria chociaż traktatami związana, w ostatniej wojnie tureckiej okazała się niepewnym i niebezpiecznym aliantem; antagonizm w Persyi dał się mocno poczuć. Ale w tej chwili, wszystko dla ministra, który kwestyę reformy ze swoim życiem i całą przyszłością złączył, obojętne. To, co całą Anglię i Francję, ba całą Europę wstrząsa, nie porusza go wcale; Polaków on żałuje, poleca ich szlachetności Mikołaja, ale ani raz jeden, wielkie bitwy pod Grochowem, Dębem i Ostrołęką stoczone, nie robią na nim wrażenia, nie wywołują dyplomatycznej akcyi; nie widzi niebezpieczeństwa, jakie Europie i Anglii od Rosyi w przyszłości grozi. Czy nie czytał memoriału, który ministrowi spraw zagranicznych Wielopolski podał? Nie czytał zapewne, bo znakomite to pismo 27-letniego polskiego wysłańca, który poraz pierwszy wstępował w sprawy międzynarodowe, byłoby zrobiło wrażenie, a w każdym razie zasługiwało na wzmiankę, kiedy tak często księżna Lieven o wiadomości z Warszawy zapytywała. Upakarzająca jest niemal obojętność, z jaką mężowie stanu tej epoki, sprawę polską traktują. Rachują się z nią we Francyi, o ile ulica i opozycja występują. W Anglii staje się dla niektórych ludzi środkiem zdobycia stanowiska politycznego; dla ludzi stanu w ogóle jest niedogodną, niemal wstrętną, a to w lat piętnaście po napoleońskich wojnach, księstwie Warszawskim i kongresie wiedeńskim.

Bądźcobądź, powstanie nasze zagraża chwilowo zgodzie przyjaciół. Zdaje się, że księżna Lieven powtórzyła komuś poufny sąd lorda Grey o sprawie polskiej. Surowo, w liście z dnia 5-go stycznia o to się upomina, w słowach: „Jeżeli nie mam zupełnej pewności, że moje imię nie będzie wzmiankowane, usta moje muszą być zamknięte, a rozmowa ogrą-

nieżyć się do codziennych plotek. Pamiętam, jak mi księżna mówiła, że piszesz do Nesselrodego i nie miałem nic przeciw temu, co zamierzałaś donieść, ale nawet jemu racz nie donosić tego, co mówię w największym zaufaniu. Słowem to tylko donoś, o czem książę Lieven urzędowo dowie się odemnie, albo od lorda Palmerstona.“ — Podaję odpowiedź, bo kogo listy zajmą, ten rad osądzi całą naturę stosunku. „Zaprawdę, kochany lordzie — pisze 6-go stycznia 1831 r. — nie mogło być dla mnie większej zgryzoty, jak przekonanie, że mogłam być dla ciebie powodem niepokoju, a przedewszystkiem, że mogłeś przypuścić, iż jestem zdolna zdradzić twoje zaufanie. Ale wybacz uwagę, że za gorąco wzięłeś wypadek, nader prosty w sobie, a w rzeczy samej, o ile ciebie dotyczy, niewinny. Pamiętam dokładnie, iż wyprowadzając depezę do cesarzowej, na ręce ambasadora naszego w Berlinie, w liście do niego, który był odpowiedzią na sprawozdanie o wypadkach warszawskich, powiedziałam, że rząd angielski nad nimi ubolewa, i że pragnie, abyśmy mogli spiesznie je uśmierzyć. Jeżeli to z mej strony nie było roztropne, to w najlepszej wyrzeczone myśli. Nie mogę pojąć, aby rząd zaprzyjaźniony mógł życzyć powodzenia usiłowaniom, które aliantowi szkodzą. Powtarzanie niektórych twoich uwag, nie wspominając imienia, zdaje mi się, nie było przecie zdradą zaufania. To, co pisałam, z pewnością nie przestąpi kół dyplomatycznych, i raczej podniesie zaufanie rządów dla twojej osoby. Posądzany o apostołstwo rewolucyi, czyż nie radbyś temu zaprzeczyć? Czyż nie uważasz, że jest korzystniejszem dla interesów Anglii, aby obce rządy okazywały jej i dobrą wolę, i zaufanie raczej, jak tę podejrzliwość i niechęć, które wywołują koniecznie antagonizm zasad? Zapewne nie byłbyś mógł wyrażać się w Izbie jak w poufnej ze mną rozmowie, i tu rozumiem zastrzeżenie, które nakazuje twoje stanowisko. Aleć to nie Anglikowi powtarzałam twoje słowa. W każdym razie, czy żałować, że gabinety europejskie ufają twej dobrej woli? Zaprawdę, zajście to nie zasługuje na tak poważne tłumaczenie. Ale

przebacz mi, kochany lordzie. Naprzód chciałem dowieść, że rzecz nie zasługiwała na takie zarzuty, powtórę zapewnić cię, że z żalem i rezygnacją przyjąłem twój sąd. Na słowo honoru zaręczam, że nie powtórzę słowem, ani pismem, chyba z twojem pozwoleniem, spraw mi powierzonych. Zachowaj mi nadal twoje zaufanie i przyjaźń.“

Wybaczył łatwo; wzajemne zaufanie nie stygnie; księżna Lieven udziela najsekretniejszych depeesz, a lord Grey (czy do uwierzenia?), komunikuje księżnic minutę mowy, którą król ma otworzyć nowo wybrany parlament.

Rozgrywa się najciekawsza walka, która pośrednio nie była bez wpływu na nasze sprawy. W projekcie mowy jest wzmianka o ruchach i walkach w Belgii i Włoszech, walka zaś między Polską a Rosyą, podniesiona jako wojna. Różnica ta nie uszła bystrego oka księżnej Lieven, i oto list z dnia 17-go czerwca 1831 r. „To, co pragnęłam powiedzieć ci, kochany lordzie, odnosi się tylko do jednego słowa, do słowa wojna, które ma być użyte odnośnie do Polski. Rozmyślając nad paragrafem tak jak mi to czytałeś, uderzyło mnie, że ten wyraz następuje po wzmiance o wewnętrznych ruchach, jak nazywasz wypadki we Włoszech. Czy z tej różnicy nie możnaby wnosić, że sprawy Polski są innej natury. W rzeczy samej, zupełnie tesame. Powstanie w Polsce jest bowiem tem samem, co powstanie we Włoszech. Wyraz wojna nie był nigdy używany w żadnem urzędowem piśmie Anglii, nawet względem Greeyi; a ściśle biorąc, wyraz ten może być użyty jedynie, kiedy waleczą z sobą dwa państwa. Inny zupełnie jest stosunek między Polską a Rosyą, kiedy cesarz rosyjski uznany jest traktatami jako zwierzchnik tego kraju, z kąd wypływa, że wyrażenie wojna, nie stosuje się zupełnie do obecnego wypadku. Nadto, bardzo jest ważnem, abyś nieprzyjaciółom swoim nie dał przyczyny do zaczepki; to wyrażenie byłoby niewątpliwie przez nich, na twoją szkodę wyzyskane. Wyraz walka (*contest*), albo jeszcze ogólniejsze określenie: nieszczęśne wypadki (*unfortunate events*), mogłoby bardzo zastąpić wyraz wojna. Walka (*contest*)

wyraża tęsamą myśl, a nie naprowadza na ocenienie, wywołane przez użycie wyrazu wojna. — Wybacz, Kochany lordzie, że śmiem ci wyrazić moje zdanie. Ale tak głęboko poczułam zaufanie i przyjaźń, z jaką do mnie wczoraj mówiłeś, że nie waham się wypowiedzieć wszystkiego, co jest w głębi duszy. Zaręczam ci, że niktby nie ocenił, jak ja, szlachetnego zaufania, którem mnie zaszczyciłeś; jest ono mi dowodem przyjacielskich uczuć, jakie żywisz dla nas. Daruj mi słowo walka (*contest*), na miejsce wyrazu wojna, a na wieki będę ci za to wdzięczna. Widzisz, że to wszystko nie dało się powiedzieć przy ludziach. — Nie przestawałam podziwiać podwiązki, którą nosisz. Zgadzałam się z lady Cowper, że ta odznaka nigdy piękniej noszoną nie była. Bywaj zdrow, Kochany lordzie. Proszę w odpowiedzi na moją prośbę o jedno słowo. Nie wyobrazisz sobie, jaką mi łaskę zrobisz, czyniąc to, o co proszę.“

W mowie, którą nazajutrz Wilhelm IV otwarł parlament, nie wspomniał o wojnie między Rosją a Polską; uważał ją tylko, jako walkę (*contest*). Ministerium angielskie wiedziało w czerwcu, że pod Grochowem zginęło z obydwóch stron 20.000 ludzi, że pod Dębem wzięto 8.000 niewolnika, że pod Ostrołką odbyła się jedna z najzaciętszych bitew w naszym wieku; to nie wystarczało, aby walkę nazwać wojną — bo księżna Lieven na to nie pozwalała.

W tym samym to czasie, sprawa belgijska zajmowała całą uwagę ministerium angielskiego, które uważało za wielki tryumf, że Leopold Koburgski został uznany królem. A tu niech wolno mi będzie wtrącić szczegół, może dzieć zapomniany. Przy wyborze króla Leopolda, konferencya londyńska zreagowała protokół, mający ustalić przyszłość stosunków między Belgią a Hollandyą. Szło o to, aby Belgów skłonić do przyjęcia protokołu. Sprawy polskie miał popierać w Londynie Walewski, w bliskich będący stosunkach z domem ambasadora francuskiego, księcia Talleyrand, któremu szło głównie o załatwienie sprawy belgijskiej, mającej niby koniecznie uprzedzić wdanie się w sprawę polską. Bawili

wtenczas w Londynie agenci belgijscy, Van de Vayer i Villain XIV. Roman Załuski, wyprawiony z Paryża z depe- szami, miał służyć do pomocy Walewskiemu. Podstępnie uwiedziony obietnicami ambasadora francuskiego, w porozu- nieniu z wysłańcami belgijskimi, udaje się do Brukseli i zwo- ławszy wielkie polityczne zebranie przedstawia, że sprawą polską zajmie się korzystnie dyplomacya, byle tylko Belgia przyjęła protokół londyński. Powód ten szlachetny, wymownie przedstawiony przez Załuskiego, skłonił Belgów do przyjęcia orzeczenia konferencyi, która, jak się pokazało potem, mimo obłudnych obietnic Talleyranda, nie myślała sprawą naszą się zajmować. Nie więcej zajmowało się nią ministerjum angielskie, jak się to odbija w korespondencyi. Czasem księżna Lieven oburza się na artykuł półurzędowego kuryera, który tłómaczy lord Grey wolnością druku w Anglii. Pośród gorących rozpraw o sprawę holenderską, nawzajem sobie udzielają wiadomości przychodzące z Polski, nawzajem obo- jętnie przyjmowane, a dopiero przybycie Niemcewicza w sier- pniu, budzi gorliwość księżnej. Pod dniem 26-go sierpnia w krótkich słowach zaznacza księżna Lieven: „Nasze pol- skie sprawy kończą się,“ a kiedy 16-go września lord Grey odbiera depeszę o wzięciu Warszawy, przesyła ją księżnie Lieven z temi słowy: „Może tę wiadomość odebrałaś zką- dinąd, ale zaprawdę moja posyłka jest tej treści, że będzie Ci miłą, choćby Cię już zkądinąd doszła.“ — *Grey*.

„17-go września *Richmond*. — Od ciebie odebrałem, ko- chany lordzie, pierwszą wiadomość o wzięciu Warszawy. Odebrałam ją dziś, budząc się; nie mogłam odebrać milszej wiadomości, a jej wartość podniesiona przez to, że przyszła od ciebie. Po stokroć dziękuję.“ We dwa dni później z roz- kosznego Panshanger, siedziby lady Cowper, donosi pobieżnie że z dzienników berlińskich dowiaduje się o pobiciu Polaków, których straty większe, jak rozumiano; dziękuje Bogu, że ta sprawa skończona, a spokojna o Polskę, może cała się oddać sprawom parlamentarnym.

Powstania polskie grzeszyły zawsze dorywczością, nie-

obrachowaniem chwili, i niezapewnieniem sobie sprzymierzeńców, a początkowaniem ich przez ludzi pełnych zapału i poświęcenia, ale równie pełnych próżności, nieznających zaś stosunków politycznych Europy. Naród szlachetny bije się z nieustraszonem męstwem, szanuje zasady porządku społecznego; ludzki i szlachetny względem nieprzyjaciela, usiłuje podkopać potęgę olbrzyma, który grozi całemu zachodowi. I ani jeden rząd w Europie nie daje mu pomocy i otuchy. Nie dziw, dwory rozbiorowe; ale we Francyi, jeżeli ludność głośno odzywała się za nami, to rząd nie poparł jednym czynem powstania, które go zachowało od wschodniej nawały, a po 8-mym września, minister spraw zagranicznych Sebastiani, oświadczył uroczyście w Izbie deputowanych: Porządek panuje w Warszawie. Nie lepiej jak widzieliśmy, działo się w Londynie. Lord Grey, pochłonięty cały sprawą reformy, zatrwożony stanowiskiem Francyi, która mogła się jeszcze przedzierzgnąć w zaczepną rzeczpospolitą, pragnął utrzymać stosunki z Rosyą, ale to pragnienie niewątpliwie spotęgowane było przez stosunek przyjaźni, jaki go wiązał z księżną Lieven.

Smutny na całą przeszłość naszą rzuca cień obojętność politycznego świata na wszystkie trzy nasze rozbiory i na olbrzymią 1831 roku walkę. Jakże? czy już nie przedstawiliśmy żadnej siły, żadnej wartości? Nie po raz pierwszy przychodzi mi mówić o wypadkach 1863 r.; sąd mój dobrze znany z listów do ks. Sapiehy i Lubomirskiego, a jednak wrażenie, jakie ten ruch zrobił w Europie, politycznie nie było bez znaczenia i kiedy w tymże roku, bodaj czy nie 20-go marca, z ministrem Walewskim omawiałem tę sprawę, po długiach zastrzeżeniach rzekł do mnie: „Ruch to nieobmyślany, niewczesny, niedogodny dla polityki cesarskiej; ale Panu powiem, że mimo charakteru awanturniczego, jaki ma obecnie, kwestya polska nie była od rozbiorów ani w roku 1814, ani w 1831 postawiona jako europejska, tak, jak dziś. Ażeby zaś Pana o tem przekonać, powiem w zaufaniu, jako uczciwemu człowiekowi, co jest tajemnicą dla całego Paryża,

że dziś wieczór ksiązę Metternich wyjeżdża do Wiednia z propozycjami cesarza. Ale panowie, używajcie innych ludzi, bo nie możemy tych popierać nad Wisłą, z którymi walczymy nad Sekwaną.“ — Co mogło spowodować Napoleona III. do rozpoczęcia takiej akcyi? czy teorya jego o narodowościach, czy już obawa rosnącej przewagi Rosyi, która zdaje się i na rząd angielski działała, kiedy stanowcza nota rządu angielskiego wysłana została, którą dopiero depesza lorda Russel, zapewne po naradzie, wstrzymała w Berlinie? To pewne, że kiedy Cavour zamierzał dzieło zjednoczenia Włoch i wywołał wojnę z Austryą, to nie poprzestał na spiskach i powstaniach miejscowych, ale plan gotowy przedstawił cesarzowi Francuzów w obozie pod Châlons, i zapewnił sobie jego uznanie i pomoc. Nasi politycy takiej nie potrzebowali dyplomatycznej ostrożności. Bez sprzymierzeńców, w najniewłaściwszej chwili, w kraju odciętem od morza, rozpoczęli działanie; z jakim skutkiem — wiadomo.

Ale powracam do naszej korespondencyi, już mniej ważnej dla nas po upadku powstania polskiego, lecz niemniej charakterystycznej. Ksiązę Adam Czartoryski przyjeżdża do Londynu; dawne stosunki łączyły go z lordem Grey. Wygnańca, wielkiego pana, najszlachetniejszego patriotę, prezes ministrów zaprasza na obiad, nie urzędowy, ale w swojej willi East-Sheen, w towarzystwie rodziny i kilku prywatnych osób. Donosi księżnie o tem w słowach: „Czartoryski obiadował u mnie wczoraj. Trudno wypowiedzieć, ile we mnie wzbudza współczucia. Zapewne temu współczuciu nie nie zarzucisz, a nawet niepodobna, abyś go nie dzieliła.“ Na tę wiadomość, pod 2-gim stycznia 1832 r.: „Twój bilet doszedł mnie wczorajszej nocy, kochany lordzie. Ksiązę Lieven, zawiadomiony był wczoraj, jaki zaszczyt spotkał księcia Czartoryskiego, kiedy zaprosiłeś go na obiad do swojego domu, wraz z kilku ministrami; wskutek tego, mąż mój zażądał rozmowy z lordem Palmerston, któremu chciał zrobić niektóre uwagi w tym przedmiocie. Kochany lordzie, ten człowiek, którego ty, pierwszy minister w Anglii, przyjąłeś właśnie

z takimi oznakami poszanowania, jakie mógłbyś tylko okazać cudzoziemcowi najwyższego stanowiska, jest zbrodniarzem stanu, przekonanym o zdradzie względem swego monarchy, a monarchy sprzymierzeńca i przyjaciela Anglii, i to po upływie roku usiłowań ambasadora rosyjskiego, aby wspólnie z Anglią utrzymać pokój Europy. Czy może ten buntownik, zdrajca względem swojego monarchy, być przyjęty w sposób pochlebny przez naczelnika rządu angielskiego! Kochany lordzie, twoje współczucie dla księcia Czartoryskiego, jest bardzo ludzkie. I ja go żałuję, lecz żałuję go za jego błędy, i że stał się przyczyną śmierci tylu tysięcy. Ale pokazując mu więcej jak litość, zapomniałeś, że człowiek stanu jest odpowiedzialnym przed publicznością za każdy swój czyn, że nie wolno mu się kierować sympatją i uczuciem i że dlatego przyjęcie, jakiego doświadczył ksiązę Czartoryjski, może być uważane jako obraza takiego sprzymierzeńca, jak Rosya. Kiedy lord Grey jest pierwszym ministrem Anglii, lord Grey przestaje istnieć jako osoba prywatna. Każdy twój czyn, jest czynem Anglii. — Nie mogę wyrazić, jak mnie boli, żeś na to nie zwrócił uwagi. Znasz mnie dosyć, żeby zrozumieć, że po 19-stu latach pobytu w Anglii, pierwszy zawód i pierwsza przykrość przychodzi mi od ciebie.“

Boję się znużyć czytelnika, ale dla sprawiedliwości muszę podać i odpowiedź lorda Grey. „Kochana księżno. — Właśnie odbieram twój list. Nie powiem z zadziwieniem, bo już przez Palmerstona wiedziałem o dziwnej jego z księciem Lieven rozmowie, ale z głębokim żalem. Do każdego innego moja odpowiedź byłaby krótka, mianowicie, że ani obcy minister może robić takie uwagi, ani ja mogę je przyjmować. Do ciebie, księżno, nie mogę pisać w tonie surowym. Rozumiem, że zdarza się po raz pierwszy, aby obcy minister śmiał badać członka rządu, co do osób, jakie zaprasza na obiad, i bądź pewna, że takiego postępowania nie dopuszczę. Pozwól, że ci przypomnę, z jaką skrupulatnością nasz rząd wykonywał obowiązki neutralności pomiędzy walczącemi stronami, jak przyjacielskie przez cały ten czas były sto-

sunki z Rosyą. Osobiście przestrzegałem tej zasady, unikałem o ile możności wszelkich stosunków z agentami polskiego rządu, a szczególnie z księciem Czartoryskim, dopóki był członkiem rządu. Wiesz, księżno, jakie było postępowanie naszego rządu, głównie za moją sprawą, kiedy Francya żądała wspólnej interwencyi. Po tem wszystkiem miałem prawo spodziewać się, że książę Lieven nie uda się do innego ministra, ale do mnie w przedmiocie, któryby nie był wart uwagi, gdyby nie sposób, w jaki podniesiony został. Kiedy książę Czartoryski przybył do tego kraju, nie widziałem w nim osoby urzędowej, będącej w przeciwieństwie z państwem sprzymierzonym, ale nieszczęśliwego wygnańca, ogłoszonego ze wszystkiego, co posiadał, a który nie popełnił nic, co by mogło zmniejszać mój szacunek dla jego charakteru. W takim to położeniu, i pośród takich okoliczności, zaprosiłem go na obiad do Sheen, dokąd poprzednio lord Palmerston był zaproszony. I to jest spotęgowane, jako nieprzyjazne wystąpienie, po 19 latach pierwsze, jakiego Rosya doświadczyła od Anglii.“

Zakończy ten spór księżna Lieven listem z 5-go stycznia, w którym nie odstępując zgola od swych oskarżeń, kończy słowa, że wypowiedziawszy wszystko, co miała na sercu, zamyka rozprawę, z nadzieją, że nieporozumienie więcej podnoszonem nie będzie. Nie tak pojął sprawę lord Grey; upomniał się jeszcze o szorstkie wystąpienie ambasadora rosyjskiego. Ale w końcu przyjaciele się pogodzili i lord Grey pisze pod 11-tym stycznia: „Kochana księżno. Nie ma człowieka mniej skłonnego do tego, co Francuzi nazywają *bouderie*, jak ja; a gdyby jakie złe usposobienie było w mej myśli zostało, to je rozwiął list twój ostatni“ etc. I w rzeczy samej, ani już mowy o Polsee, Czartoryskim, Niemcewiczu, a zato coraz gwałtowniejszy interes w sprawach parlamentarnych.

Czytając listy, przebiegając pamiętnik Grevilla, pojmuje się, że zachody, o których tak boleśnie wspomina w swoich pamiętnikach Niemcewicz, nie mogły przynieść

skutku. Tymczasem walka w parlamencie wrzała, Izba lordów ostatecznie odrzuciła projekt reformy 9-go maja. Powołany lord Lyndhurst i Wellington do utworzenia gabinetu. A tu wspomnienie osobiste. Bawiło podówczas w Krakowie wielu członków sejmu i czynnych w rewolucyi ludzi: Andrzej Zamoyski, Wielopolski, Świdziński, Morozewicz i inni. Schodziłszy się prawie codziennie, i jak zwykle w Polsce po wypadkach, rozbierali przeszłość, jej błędy i nadzieje. Jadałszy obiad w traktyerni „pod Wandą,” naprzeciwko kościoła św. Mikołaja. Tego dnia, kiedy przysłała wiadomość o odrzuceniu billu, a powołaniu lorda Wellington, idę na obiad od miasta, a Andrzej Zamoyski od szpitala św. Łazarza. Nie mówiąc nic, rozkrzyżowawszy ręce, ściskamy się serdecznie, czując radość z tej wiadomości, a obiadując razem, cieniem węgierskiem winem podnosimy kielichy: *Old England for ever*. Radość nie była długa; torysowie nie potrafili złożyć ministeryum, zaburzenia powstały po miastach angielskich, lord Grey powrócił, reforma parlamentu przeszła.

Reforma przeszła, i dobrze się stało. W tem szczęśliwym i wytrawnem społeczeństwie, zamiast rewolucyi, nastąpiła ewolucya. Jeszcze raz, dobrze się stało. A mimo to szlusznie piliśmy na zachowanie starej Anglii. Nie trzeba jednak rozumieć, żebyśmy, jak to wmawiają w ludzi naszych przekonani, pragnęli reakcyi, albo nie uznawali, że w ustroju politycznym społeczeństw zmiany są konieczne. Tylko nie należy uważać nowych czynników, wchodzących w życie, jako postęp. Że te czynniki dobijają się miejsca i praw w społeczeństwie, jest koniecznością; ale ta konieczność ma w sobie zarodek upadku. Społeczeństwo, naród dochodzący do zenitu potęgi i chwały, wskutek naturalnego i zdrowego organizmu utrzymać się na nim nie może, zstępuje niżej, a im wolniej zstępuje, tem lepiej; ludzie zatem, których nazywają konserwatystami, wstrzymując ten pochód, to zstępywanie, są dobrodziejami ludzkości, wiedzą dobrze, że nowe żywioły przychodzą do życia, że im miejsce i prawo należy, ale normują ten ruch, i o tyle przyznają mu skutek,

o ile rzetelne, nowe organiczne żywioły wchodzą w ustrój społeczeństwa. Nie ogólna teoria o wszechwładztwie ludów rozstrzyga tutaj, ale powołuje się jako czynniki polityczne korporacye całe, albo pojedynki, które majątkiem, rozumem, wpływem, przedstawiają rzeczywistą siłę. Gdyby tu było miejsce śledzić i pierwszą reformę lorda Grey, i drugą Roberta Peel, toby się wykazało najdokładniej na szczegółach, prawdę tego, co powiedziałem.

Ale wracajmy do listów księżnej Lieven. Trwała korespondencya aż do r. 1834, w którym opuściła Londyn. Listy te są ciekawe, głównie jako materyał polityczny. Ktoby chciał śledzić prądy polityczne, wpływy osobiste, które na wypadki oddziaływały, wiele z nich nauczyć się może. Piękny, choć nieco wrażliwy charakter lorda Grey, opiera się gwałtownemu temperamentowi księżnej Lieven wówczas tylko, kiedy idzie o rzetelny interes Anglii. Czy działanie jej odbiło się na sprawie Polski? trudno powiedzieć. Może w szczegółach, ale oprócz lorda Grey, byli jeszcze i inni polityczni ludzie w Anglii, a oprócz sławnego członka opozycyi Burdett, nikt się za nami nie ujął. Biada narodowi, który musi rachować na sympatyę ludów. Naród powinien być siłą, na którą drudzy liczyć mogą i której potrzebują. Ta siła da się utrzymać albo nawet rozwinąć, kiedy składowe organiczne żywioły na podstawie duchowej, w zgodzie działają. Wszelkie dążenie do rozstroju, dla zrealizowania jakiejś wątpliwej teoryi, jest zaparciem się nadziei w przyszłość.

IV.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

JENERAŁ KAZIMIERZ TAŃSKI¹⁾.

Na dniu 12-go marca zebrało się w mieście Chmielniku pięćdziesiąt kilku duchownych, stukilkudziesiąt obywateli starych wojskowych, urzędników, zbliśka i dała przybyłych i wielka liczba mieszczan, włościan z dóbr dziedzicznych Chmielnik i Łagiewniki, aby oddać ostatnią posługę Kazimierzowi Tańskiemu, byłemu generałowi wojsk polskich. W tem licznej zebraniu, co oddawało hołd enocie, zasłudze i miłości kraju, cztery w około trumny stanęły pokolenia. Dla jednych był towarzyszem, dla drugich zwierzchnikiem i przywódcą; dla wszystkich przykładem i żyjącą tradycją wielkiej przeszłości. Znaleźli się tam przy jego trumnie zapomnieni, jakby z grobu powstałi żołnierze z legionów włoskich, legii nadwiślańskiej i nadunajskiej, starey z siwą brodą i ogorzałą twarzą, co nawykłszy żyć między olbrzymami, nie chcą się bratać z obecnem pokoleniem i samotnie stoją w pośród dzisiejszej społeczności. Wieść o śmierci Tańskiego wywołała ich z domowej samotności; przyszli zapłakać nad trumną najstarszego może i najzaciejszego z pomiędzy szczyplęgo ich koła. Łzy gorące, płynące po twarzach, dowodziły, że w tych hartownych duszach, wiek nie osłabił życia, a właściwie wiek cierpienia i smutku nie oziębził serca. Ale, bo cóż

¹⁾ Umarł w Łagiewnikach w Królestwie Polskim 7-go marca 1853 r., drukowane tegoż roku w Czasie.

to były za serca, co poświęcały wszystko, majątek, rodziny, swobodę, życie, dla nadziei. Nie zasiądziecie już więcej koło tego gościnnego stołu, przy którym i czem było najlepszego w domu i sercem lepszym nad wszystko was obdzielał: nie zasiądziecie koło komina w Łagiewnikach i nie usłyszycie tej gawędy pełnej prostoty, ale i pełnej epicznej poezji, której się nigdy dosyć nie można było nasłuchać. Ale, bo cóż to było za życie człowieka, który, jak świadczy stan jego służby w 47 bitwach, i jakich bitwach, miał czynny udział, który po Kościuszkowskiej wojnie poszedł na Wołoszczyznę, przebył Turcję, w Stambule wsiadł na okręt i połączył się we Włoszech z kolegami co na innej drodze tam się dostali, który odbył wszystkie kampanie włoskie z legionami, uczestniczył we wszystkich walnych bitwach Wielkiego Cesarza, a następnie krwawą wojnę hiszpańską z doborem polskiego wojska przewalczył. — Nieśmiertelny ten korpus, który podniósł do najwyższej wojennej sławy Chłopicki, a któremu przyświecali Kliki, Sobolewski, Sułkowski, Dobieccy, Kozietulski, Piotr Krasiński, Niegolewski, Łubieńscy itd., liczył ciągle Tańskiego w swoich szeregach. Nie było też marszałka francuskiego, nie było członka rodziny cesarskiej, nie było korpuśnego generała, z którymby nie był w osobistych i służbowych stosunkach. Świadek naoczny zjazdu królów w Erfurcie, wysłany przez Caulaincourta z najważniejszemi z Petersburga depezbami, które ostatecznie wojnę w r. 1812 udecydowały, jednoczył w sobie podania pół wieku i zadziwiającą pamięcią umiał je uprzytomniać.

Kto z nas sąsiadów nie znał owej wielkiej skórzanej torby, z której dokumenta na utwierdzenie swych opowiadań wydobywał; kto z nas kochanego generała nie widzi w kurecie i w wielkich napoleońskich butach, których do śmierci nie porzucił, mówiącego z zapalem o wielkim człowieku i wielkich czasach, i często rozczulonego do łez nad marnością tyłu poświęceń się i usiłowań? Godłem jego było we wszystkim co prawe i szlachetne, *usque ad finem*. — Nie opuścił bohatera, którego obietnicom wierzył. Kiedy w r. 1815, nowa

organizacya wojska polskiego w Królestwie nastąpiła, zasłużony żołnierz zajął pod sztandarem narodowym stanowisko i w krótko dowództwo otrzymał. — Przed wypadkami r. 1830, Tański wyszedł ze służby w stopniu generała i osiadł na gospodarstwie, owym ostatecznym zawodzie polskiego szlachcica; orał tę ziemię, której nie mógł obronić. Bóg błogosławił widocznie prostocie i enocie. Już nie młody, znalazł szczęście domowe w związku odpowiednim sercu — bez wielkich zachodów, z dziwną bezinteresownością przyszedł do znacznego majątku, a jak Opatrzność była szczerą dla niego, tak i nieograniczoną szczodrością dzielił się z potrzebniejszemi; prawdziwie iściło się przysłowie, że nikt się datkiem nie zubożył. Ale nie tylko pieniężną niósł pomoc każdemu: tych wspierał radą, tamtych polecaniem u osób wysoko położonych, co rzadko odmawiały, kiedy się Tański wstawiał; ztąd był całej okolicy patryarchą i niemal opatrznością. Nie wiem też, aby kto był szczerzej jak on kochanym i opłakiwanym.

Dał mu Bóg trzech synów — pociechę i chlubę przeszłego wieku, dwóch starszych jedna choroba w jednej chwili zabrała. Podobne nieszczęście tylko czuli rodzice ocenić potrafią. Ale Tański miał od lat najmłodszych silną wiarę, i wiedział, że co Bóg dał, to mu zabrać wolno. Zniósł ten cios nie ze stoiczną odwagą, ale z chrześcijańskim poddaniem — tylko uważano, iż jakkolwiek swobody umysłu nie stracił, więcej się jeszcze modlił. Budowała też każdego, kto przypadkiem w porze nabożeństwa wstąpił do kościoła w Chmielniku, wysoka starego żołnierza postać, klęcząca przed ołtarzem z takim skupieniem ducha, że można było wnosić, że ta czysta dusza z Bogiem rozmawia. I niezmierne też ztąd przynosił skarby miłości bliźniego, to była główna pięknego serca cecha. Żadnej niechęci, żadnej złości, wszędzie lał miód i olej miłości. — Dla tego, gdyby kto pytał, za co Tański był tak ogólnie i serdecznie kochany? bo kochał. — Kochał kraj, kochał współobywateli, kochał włościan i sług swoich, i dlatego zapewne nie było właściciela w kraju całym, któ-

ryby był tyle kochanym w tych właśnie stosunkach, gdzie pozornie sprzeczny interes wywołuje częste niechęci.

Zebrani tak licznie współobywatele czuli dobrze, że grzebiąc jenerała, grzebali z nim ostatnie niepowrotnej przeszłości pamiątki. Cała ta przeszłość stanęła przed ich oczyma, w sercu budząca jakieś uczucie zwątpienia, że już takich charakterów jak Tański, coraz mniej się spotyka w życiu, jakby dzisiejszy czas nie był ich w stanie wydawać...

PIOTR STEINKELLER¹⁾.

† 11-go lutego 1854 r.

Kiedy temu kilka tygodni, ogłosiliśmy w piśmie naszym zgon Steinkellera, rozumieliśmy, iż życie człowieka, który w Królestwie Polskim, tyle śladów swej czynności zostawił, będzie przedmiotem licznych rozbiorów tak jak jego śmierć powodem ogólnego żalu. Mniej wiadomi szczegółów jego działania, czekaliśmy, aż sprawiedliwość oddadzą mu, najprzód tam kędy należy. Kiedy jednak czekamy napróżno, powiemy co nam wiadomo o zmarłym, bo naszym zdaniem, kraj mu winien wdzięczność; a biada krajowi, który ludziom zasłużonym wdzięcznym być nie umie i pamięci ich nie uszanuje. A zaprawdę stopy nie można w Królestwie Polskim postawić, aby nie napotkać śladów działania Steinkellera. Czy wyjeżdżasz od północy na Kowno, czy od południa na Michałowice, czy od zachodu na Kalisz, pierwszy środek komunikacyjny, który napotkasz Steinkellerka²⁾. Jeżeli kolej warszawsko-wiedeńska powstała, mimo wszelkich przemian, przez jakie to przedsięwzięcie przechodziło, a które nam dobrze znajome, głó-

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1854 r.

²⁾ Tak zwano przez długie lata wozy pocztowe w Królestwie Polskiem od nazwiska tego, który je zaprowadził.

wnym może czynnikiem jego, Steinkeller. W Warszawie doróżki ulepszone jego dziełem. Chleb, którego jedzą, olej, którego oświeca, drzewo, które opala — z jego wychodziły zakłady. Jeżeli miasto dotąd nie jest oświecone gazem; nie jego w tem wina, ale zakłady machin i narzędzi gospodarskich w Żarkach, gospodarstwo w Żarkach i Dzieduszycach, nawodnienie łąk, uprawa lotnych piasków, jego wszechstronnej czynności, gorliwości, użyteczności i na tem polu dowodzą. Kiedy postępy gospodarstwa krajowego zażądały sztucznych nawozów, a leniwość krajową z założonemi rękami, za niemi wzdychała, odgadł tę potrzebę, i dostarczył gips i kości mielone, rury do drenowania, dla wygody zaś i zbytku założył fabrykę pieców, równającą się w wyrobach z pierwszorzędną zagranicą. Tak można powiedzieć bez przesady, iż nie ma szczegółu odnoszącego się do przemysłu, lub gospodarstwa krajowego, któregooby silna jego głowa nie byłaby obmyśliła, a czynna wola nie wprowadziła w życie. Jeżeli sobie przypomnimy, iż obok tego Steinkeller, właściciel cynkowni w kraju, otwierając odpływ tego metalu zagranicą, otworzył walcownię cynku w Anglii, a drugą pod Paryżem, że doświadczenie kosztem jego majątku robione, przyprowadziły metal ten do wzięcia, którego obecnie używać zaczyna, przyznamy, iż należał do rzędu pierwszych przemysłowców nie tylko naszego kraju; w naszym był istotnym zjawiskiem. Nie jesteśmy biegli ani w handlu, ani w przemyśle; nie wiemy czy z tego stanowiska przedsiębiorstwa Steinkellera wytrzymają sąd surowy ludzi praktycznych, ale tu nie rozbieramy zasług jego jako przedsiębiorcy, ale jako człowieka użytecznego dla kraju. Mógł co się nazywa źle spekulować i zapewne spekulował nie dobrze, kiedy interesu zostawił, jak mówią, w położeniu krytycznym, ale ludzi jego rozmiarów nie zwykłym mierzy się łokciem. Jakkolwiek w interesie prywatnym bywał drażliwym i aż do uporu twardy, w ogóle nie osobisty ale publiczny interes miał na celu. Był to poeta, zdobywca przemysłowy; w ognistej wyobraźni powstawały naraz tysięczne często olbrzymie za-

miary którym przeprowadzonym w rzeczywistość, nie mógł wydołać — bo przechodziły nie tylko zasoby, ale siły fizyczne jednego człowieka. Tacy ludzie, często zgubni dla siebie, są zawsze dla ogółu użyteczni. Zapyta kto, i jakiż jego pracy skutek? nie wszystkie jego zakłady stoją, sam majątek stracił, i ze zgryzoty umarł. Zakłady jego niektóre mogły upaść, majątek mógł stracić, ale owoc jego pracy żyją.

Rozrzucił w kraju kilkanaście milionów, ożywił przemysł i gospodarstwo, urządził komunikacje pocztowe, bez niego możeby kolej warszawska nie powstała; nie krajowi chyba przystałoby robić mu zarzut, iż na jego zasługach majątek nadwerczył. Na drodze handlu i przemysłu, również jak na każdej innej, można się dobić najwyższych krajowych zaszczytów, ale podobnie jak na każdej wówczas tylko, kiedy się ją uświęca interesem ogółu, i miłością dobra publicznego.

Cesarz Mikołaj, dobry ludzi znawca, dowiedziawszy się w roku 1842, iż Steinkeller kilka milionów miał kredytu w Banku, bez odpowiedniej już podobno hipoteki, uniał powiedzieć: *Faire tout pour Steinkeller*“ i kazał go ratować. Jak dalece i w jaki sposób stało się zadość woli monarchy, nie jest nam wiadomo. To wiemy, iż ostatnie chwile miał zatrute goryczą, ale nie żałował drogi, którą chodził. Urodzony w Krakowie, przybył tu po zbyt czynnem życiu na spoczynek i znalazł go wieczny. Przyjdzie zawsze czas, kiedy uznają zasługi Steinkellera, kiedy dziwić się będą, że jeden człowiek mógł tyle przedsięwziąć, tyle wykonać. Co do nas nie czekamy, aby w przyszłości oddano mu sprawiedliwość wyrzekamy śmiało dzisiaj, iż Piotr Steinkeller dobrze się zasłużył krajowi, bo w każdym zawodzie umiemy uszanować rozum czynny i serce podniosłe!

PIOTR MICHAŁOWSKI¹⁾.

† 9-go czerwea 1855 r.

Zaeny dom Jasińczyków nie przestawał przez ciąg pięciu wieków. zasłużonych a znakomych mężów krajowi polskiemu dostarczać, począwszy od owego wojewody krakowskiego, co jednomyślnie z Oleśnikiem radził, aż do kasztelana, którego wierszem Kochowski słaWił, a któremu za większy zaszczyt służył, iż mu jako najlepszemu przyjacielowi Jan Zamoyski syna jedynaka w opiekę oddał. U starszych ludzi nie wygasły podania o surowym, w wieku ubiegłym sędziu Michałowskim, a są pomiędzy nimi, co jednego z najczystszych obywateli w pośród zepsutego czasu podkomorzego Michałowskiego pamiętają. Prawość nieugięta i przedziwny rozsądek, były jakoby cechą tej rodziny, która co rzadko, osobne zachowała piętno.

Z tego domu wyszedł, a urodził się z ojca także znakomitego prawością, pracą, rozsądkiem, Piotr Michałowski zmarły 9-go czerwea w dobrach własnych Krzysztoforzyce. W 54-tym roku życia zgaśł człowiek, który był chlubą i zaszczytem całego kraju. Obywatele tutejszego miasta wiedzą, czem był Piotr Michałowski: w innych częściach dawnej Polski był znany, to jako wielki filolog, to jako znany administrator, to jako gospodarz, to jako malarz pierwszy w swym rodzaju tak, że rozumiano, iż było kilku a nie jeden Michałowski. Bo dziwny ten człowiek, którego natura uposażyła tak bogato, a któremu Opatrzność odmówiła tylko sfery i czasu, w każdym przedmiocie mówiąc bez przesady, był mistrzem. O takim człowieku trochę szczegółów nie zawadzi.

¹⁾ Drukowane w „Czasie” w 1855 r.

Urodzony z początkiem wieku, skończył nauki szkolne i uniwersyteckie w Krakowie. Pamiętamy jak ośmnastoletni młodzieniec ogorzałej twarzy, przenikliwych oczu, wysokiego czoła, zwracał ogólną uwagę. Odłudny, a zapamiętały w pracy, pełen ironii w dowcipie a zapału w duszy, pracował w filologii i bibliografii polskiej, pod znakomitemi mistrzami owego czasu Szugtem, Müniczem, Bandtkiem; młody, miał ustalone imię i powagę, wrażał nawet trwogę trafnością odpowiedzi i już wtenczas genialnego pędzla. Gorliwy ojciec wyprawił go po skończeniu nauk akademickich do słynnej Göttyngi. Cztery lata znowu poświęcił uporcezywej pracy, której owocem rzadka biegłość w języku i literaturze greckiej, łacińskiej, angielskiej hiszpańskiej, że pominiemy dostępnejsze: w każdym języku pisał poprawnie, mówił dokładnie, nawet w rozmaitych dyalektach. Z takim zapasem, do którego dodać należy biegłość w matematyce i naukach przyrodzonych, powraca do kraju.

Była wówczas w Królestwie Polskiem piękna do zasługi i działania sfera, administracya krajowa i człowiek znakomity, który wszelką zdolność przygarnąć i użyć umiał. Książę Lubecki otoczony gromem najzdatniejszej młodzieży, obok którego stali Jelski, Łęski, Tys, Sapięha, Zamoyski, odgadnął jak zwykli wielcy ministrowie, od razu Piotra Michałowskiego; a wcieliwszy właśnie wydział górniczy, dotąd należący do komisji spraw wewnętrznych, do komisji skarbu, i pragnąc na nowo wydział ten uorganizować, postawił na jego czele Michałowskiego. Młody, nowoprzybyły, niedoświadczony, spotyka się z nieufnością, niechęcią, uprzedzeniem, a nawet zepsuciem zastarzałych w dawnym nierządzie urzędników. Orlem okiem odgaduje wady ludzi i organizacyi, żelazną energią kruszy wszystko, co mu stawia zapory: obudza nienawiść i potwarz, sarkania i denuncyacye, ale minister dotrzymuje mu zaufania, on ministrowi dotrzymuje słowa. Pięć lat nie minęło, ale pięć lat prawie bezsennych, pięć lat krwawej pracy, Michałowski zostawia fabryki w tym stanie kwitnącym, w jakim zastał je rok 1830, zostawia admini-

stracę natchniętą jego duchem, to jest duchem pracy, porządku, poświęcenia dla dobra publicznego; zostawia szkołę górniczą i rozpoczęte olbrzymie fabryki pod Bobrą, które ministrowi mimo uwielbienia, jakie miał dla jego osoby, odradzał z właściwą sobie cierpką otwartością. Rok 1830 zastał go wpośród tej pracy i nie oderwał go od raz powziętego zawodu, ale wywołał potok potwarczych pism miotanych przez obrażony interes albo miłość własną przeciw jego osobie, na które nigdy słowem nie odpowiedział, ale kiedy w pośród ówczesnej potrzeby broni, fabryki wojskowe nie mogły wyrabiać dokładnych karabinów, rząd wezwał Michałowskiego do urządzenia warsztatów w górnictwie, które w kilka tygodni wydawały po pięćset karabinów dziennie. Po skończonych wypadkach r. 1831, już wprzód ozdoby orderem św. Stanisława a pobierający bardzo znaczną pensję, porzucił służbę dobrowolnie i oddaje się znowu namiętnie nauce i sztuce. Kilka lat przepędzonych w Paryżu, przez ciąg których pracuje dziennie po godzin szesnaście, zwraca uwagę znawców. Po śmierci znanego Géricaux, uznany pierwszym malarzem koni, przychodzi do europejskiej sławy: miłośnicy sztuki rozrywają po niesłychanych cenach genialne szkice, które łatwa a dobroczynna ręka puszcza na cele miłosierdzia.

Ale polskiego szlachcica ciągnie tęsknota do roli. Powraca, gospodaruje równie dzielnie, przeplatając praktyczną pracę, sztuką i literaturą wyższą, w której czerpie natchnienia. Że człowiek tak usposobiony i tak używający czasu, mąż godny swej żony, ojciec starannie chowanych dzieci, nie mógł oddawać się towarzyskiemu życiu, łatwo każdy zrozumie. Taka praca nie idzie w parze z zabawą, a kto żył poufale z najwyższymi geniuszami ludzkości, albo w ideale sztuki, ten niechętnie zstępował do stosunków powszednich. Ztąd Michałowski podziwiany i szanowany powszechnie, mało był znanym: nawet posądzany to o egoizm, to o dumę. — Nadszedł rok 1848. Niebezpieczeństwo powstaje; Michałowski występuje ze swojego odosobnienia. W czasach tak trudnych

powagą swoją ze spokojem pośredniczy: otwiera zdanie zdrowe i poważne, a kiedy władza uważała potrzebę wzmocnienia porządku publicznego użyciem współdziałania wpływów miejscowych, staje z zaufaniem Rządu a z poklaskiem obywateli na czele Rady administracyjnej W. Ks. Krakowskiego. Trzy lata przewodniczył wśród stosunków niełatwych; jak przewodniczył, dowodem zaszczyt, którym go łaska sprawiedliwa monarchy uczeła — wiedzą tutejsi mieszkańcy. Teraz dowiódł Michałowski jakim był egoistą. Pracowity, zawsze i dla każdego dostępny, zaniechał dla ogólnego dobra i rodziny i gospodarstwa i tyle mu drogiej sztuki; od rana do wieczora oddany usługom publicznym, uważał urząd nie jako honor, ale jako *officium*. I tak jest w istocie: urzędowi należy uszanowanie, ale urząd nawzajem to nie przywilej, to służba.

Pamiętamy wszyscy, że r. 1847 i 1848 zostawił spuścizną dla naszego miasta nowy rodzaj ludności, tak zwanych *pauprów*, która mniejsza, iż zalegała ulice, ale gotowała na przyszłość pokolenie złodniarzy. Skarga była ogólna — pomocy nigdzie. Michałowski ulitował się tej większej jeszcze moralnie jak materialnie nędzy. Poświęca całą swoją trzy tysiące złotych reńskich wynoszącą pensję, pojmując myśl wykształcenia parobków gospodarskich, podnosi zakład, który całą niemal tę ludność ogarnął, oprócz funduszu dodaje mu osobistą pieczę i nadzór. Urzędowanie jego skończyło się lat temu trzy, ale nie skończyła opieka. Dotrwał do ostatniej chwili życia w przedsięwziętem dziele: tulił koło siebie, utrzymywał własnymi funduszami, nieraz pracą rąk swoich, przybrane sieroty; karecił, uczył pracy i bojaźni Pana Boga. Takich czynów nie należy oceniać, dosyć je opowiedzieć. To była korona życia, przepędzonego w pracy uporeczywej, prawie nadludzkiej, która zarem z wadą sercową zniszczyła żelazną konstytucją. Lat temu kilka stracił dziecko: chrześcjanin poddał się woli Pana Boga. Ojciec zbyt gwałtownie uczył ból, organ serca ucierpiał. Ale zbyt w siłach swych zaufany nie folgował sobie jak należało.

Bolesna następuje się uwaga jak często u nas wielkim zdolnościom brakuje właściwej sfery działania, jak się marnują ludzie pierwszego rzędu. Dziwnie różnorodne, a co rzadko, gruntowne wiadomości robiły go zdolnym do każdego niemal zawodu: bystrość poglądu, talent organizacyjny, dar poznawania i kierowania ludźmi usposabiały go do wysokiego publicznego stanowiska; w każdej społeczności o podobnych mu nie łatwo — wyższych nie znamy. Co się tu mówi, nie jest ani uprzedzeniem, ani przesadą, raczej nie donosi prawdy jak ją przechodzi, bo oprócz zbytniego wrodzonego unikania ludzi, kiedy obowiązek wyraźnie z nimi stosunków nie nakazywał, zupełna harmonia panowała w tym dziwnym człowieku. Jasny widok prawdy w zastosowaniu do świata społecznego i uznanie jej w moralnym. Od lat najmłodszych miał mocną wiarę, której ani nauka nie obalamuciła, ani obyczaj nie przyćmił. W tem świetle patrzył na siebie i wypadki, których wir porwać go nigdy nie potrafił. Ztąd powaga, ztąd skazówka i otucha dla słabszych, że po której stronie był Piotr Michałowski, pobłądzić trudno. Było się na kim oprzeć, było mówiąc po naszymu, przed kim czapkę zdjąć. Uchylali ją też radzi wielcy i mali, a ten hołd oddawany wyższości i enocie, nie wiemy nawet, czy kiedy zwrócił jego uwagę. Obok powierzchownej szorstkości było w nim dziwne wyrozumienie i łagodność w sądzie: nie przebaczył nigdy śmieszności, tłumaczył błąd i słabość.

A teraz kiedy ta jasna pochodnia między nami zgasła, powiedzmy prawdę, której życie Michałowskiego dowodzi. Jeżeli ludziom znakomitym nie zawsze podobna zajęć to stanowisko, do którego przeznaczyły ich zdolności, to jednak człowiekiem znakomitym zawsze być można, bo w porządku ludzkości żaden czyn dobry, żadna myśl zbawienna, żadne szlachetne uczucie nie ginie.

JENERAŁ JAN SKRZYNECKI¹⁾.

† 12-go stycznia 1860 r.

Jan Skrzynecki, były wódz naczelny w wojnie r. 1831, umarł jak donieśliśmy, dnia wczorajszego w mieście naszym o godzinie 5-tej zrana.

Ludziom, którzy na szczęście lub nieszczęście swoje wstąpili do historii, historia wymierzy sprawiedliwość. Panegiryków nie pisaliśmy nigdy: wypadłoby pióro z ręki naszej, gdybyśmy zaczęli od człowieka, który sam siebie tak surowo sądził. Przyjaciele zmarłego, jesteście spokojni i cierpliwi. Świat wielbi tylko szczęśliwych. Skrzynecki ostatecznie do szczęśliwych nie należał; ale ten sam świat bądź co bądź szanuje zacnych; porwany przez wielkie czyny, bije także czołem przed wielkim charakterem i wielką duszą. Kłamliwe uprzedzenia na stronę. Skrzynecki od pierwszego wstąpienia w życie publiczne, a tem była wojskowość, aż do dnia, aż do chwili śmierci, jeden i ten sam w zasadach, dążności, miłości. Nigdy się nie zachwiał wobec groźnego niebezpieczeństwa, albo groźnej władzy, nie zraził ani niesprawiedliwością jednych, ani boleśniejszą może obojętnością drugich; dotrwał w uczuciach i przekonaniach — a zatem zwyciężył. Zwycięstwo zewnętrzne Bóg tylko daje. Człowiek zwycięża nawet, kiedy kładzie głowę, ale kładzie ją ze swoim przekonaniem.

W r. 1806 pierwszy zaraz wchodzi do wojska Ks. Warszawskiego jako żołnierz. Szybko postępuje w stopniach. W r. 1809 jest już kapitanem. W każdej kampanii posunięty albo odznaczony. Stan jego służby podnosi, jako w r. 1812 ze 100 ludźmi piechoty odiera podwójne natarcie pułku kirasyerów. Wiadomo wszystkim, jak pod Arcis sur Aube za-

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1860 r.

pewnia na czele swego batalionu bezpieczeństwo sztabu a nawet osoby cesarza Napoleona. Do nowej organizacyi armii r. 1815 wchodzi jako podpułkownik. Wkrótce mianowany pułkownikiem pułku 8-go. Czem był pułk 8 my wiedzą ci, którzy pamiętają najpiękniejsze wojsko na świecie, w boju okazał się pierwszym po pułku czwartym.

Pułkownik pułku 8-go ozdobiony krzyżem wojskowym i legii honorowej, szanowany z odwagi, szlachetności, zdolności i nauki, miał to do siebie szczególnego, że nie hołdował ówczesnym opiniom politycznym i religijnym w kraju. Miłośnik wolności był przeciwnikiem opartego na teorii równości francuskiego pseudo-liberalizmu. Katolik gorliwy, jawnie gardził niewiarą. Czy dlatego, czy też rachując na ducha karności Skrzyneckiego, Wielki Ks. Konstanty wezwał go do wojennego sądu w sławnej r. 1823 Łukasińskiego sprawie. Trzeba pamiętać tamte czasy i trwogę, jaką umiał wrazać Wielki Książę, aby ocenić zasługę Skrzyneckiego. Sąd swoją powinność wypełnił, wyrok mimo gróźb wydał wedle sumienia i sprawiedliwości. Łukasińskiego przed zemstą Wielkiego Księcia nie zasłonił, ale zwycięstwo moralne zostało otrzymane, kraj dowiedział się, że w czasie, w którym odwaga cywilna nie była codzienną, posiadał żołnierza-obywatela, na którego sumiennosc i stałosc mógł rachować.

Rok 1830 zastał Skrzyneckiego pułkownikiem pułku 8-go. Czasy te należą już do historyi. Czy o nich milczeć? Już przekwitły pokolenia, które na nie patrzyły, już dwa razy przebiegliśmy odtąd przestrzeń, którą Tacyt jako „wielką“ w życiu ludzkim nazywa.

W armii narodowej objął komendę brygady, następnie dywizyi. Gdy się kampania rozpoczęła, a feldmarszałek Dybicz na czele 150.000 armii na Warszawę zmierzał, Skrzynecki postawiony na gościńcu stanisławowskim, stawiał śmiało czoło posuwającej potędze, stoczył słynny bój pod Dobrem i odparł chwilowo korpus Rozena, a następnie mimo ciśnienia całej armii rosyjskiej, z swym szczupłym oddziałem w największym porządku pod Grochów się cofnął. Potyczka ta

i odwrót wykonane z taką przytomnością i krwią zimną, jak na placu mustry, zwróciły na Skrzyneckiego oczy wszystkich wojskowych. Nastąpiła bitwa pod Grochowem, owa najstraszniejsza od Lipska po dziś dzień rozprawa. Chłopi ciężko ranił. Skrzynecki okryty sławą w tym boju, podejmuje opuszczoną na placu walki komendę, odiera ostatni atak rosyjski, ocala armię. Po bitwie, ks. Radziwiłł, który przez poświęcenie naczelne dowództwo był przyjął, złożył go przez sumienie. 26-go lutego zwołana rada wojenna rano. Skrzynecki jednomyślnie przez nią rządowi narodowemu na wodza przedstawiony i potwierdzony. Widzieliśmy go wieczór po bitwie grochowieckiej: rano 26-go też sama 44-letnia głowa szronem była już pokryta... tak poczuł straszną odpowiedzialność stanowiska, którego nie pragnął, które, jako posłuszny syn Ojczyzny, z trwogą i posłuszeństwem przyjął.

Dalszy przebieg wypadków znajomy. Ani oceniać, ani usprawiedliwiać wojskowych czynów Skrzyneckiego nie naszą rzeczą; ale jak nie wspomnieć, że z jego imieniem, z jego dowództwem łączą się świetne wspomnienia Wawru, Dębego, Igani, a nawet bolesna choć bohaterska bitwa pod Ostrołką. Jeżeli stoczył tę bitwę nieszczęśliwą, to zaprawdę chciał ten błąd żywcem opłacić, ale siedm kul, które przeszły jego płaszcz, nie dotykając osoby, na dłuższe moralne zachowały go cierpienie.

Nastąpiły najsmutniejsze dla Skrzyneckiego chwile. Niepewność rokowania, wewnętrzny rozbrat w sejmie i mieście jak zwykle kiedy po niepowodzeniu nastąpi bezczynność. Nie miał dostatecznej i dość śmiałej inicjatywy. Najodważniejszy z ludzi nie umiał brać dycyzji zaczepnej, miał zaś do czynienia z żywiołem szlachetnym i zapalnym, ale nader do zaufania i zaufania trudnym. Ludzie wielcy są często wielkimi przez grunt, w który zapuszczają korzenie; ztąd jedne narody więcej od drugich wielkich wydają ludzi. Naród polski, o którego charakterze Długosz jeszcze wspomina, że do zaufania trudny, do zawisłości uskory, należy owoładnąć, aby go powodować. Tego Skrzynecki czy nie chciał czy nie umiał. To

pewna, że gdyby był znał godniejszego, byłby pewno dowództwa ustąpił, bo należał do wyjątkowych ludzi, którym idzie jedynie o rzeź, a nie o osobę. — Ale tego godniejszego nie było. — Dlatego wśród gorszących nawet scen Bolimowa, naczelnego dowództwa nie złożył, ale mu ono przez Rząd narodowy odjęte zostało. Zbyt sunienny w takiej chwili usłuchał. Czem był dla sprawy wojskowej Skrzynecki okazało się najdokładniej, kiedy go brakło.

Jenerał Skrzynecki od chwili niemal wstąpienia w życie historyczne mało szczęśliwy a jeszcze mniej sprawiedliwie oceniany, jedną miał pociechę ale wielką. Nigdy ani w pełni władzy, przy niepowodzeniu lub bezczynności, ani po jej utracie nie był podejrzewany o prywatę. Nad tę nawet zawiść i duch stronnictwa wyższym go znały.

I czy ten człowiek, który ostatnią kroplę krwi byłby za kraj wylał, którego podwładni szkalowali a przyjaciele nawet obojętnie opuścili, czy zachował jaki kwas w sereu, albo żał do sprawy lub do ludzi? Tu osobna odkrywa się jego serca strona. Skrzynecki był to w zupełności żołnierz Chrystusa Pana. Wiara mocna, bezwzględna, przejmowała na wskrós jego duszę, a podniosła tak wysoko serce, że górowało nad najzwyczajniejsze ludzkie uczucia. Nie własną party pychą, ale powołany do naczelnej komendy, zapewne byłby rad powodzeniu, które byłoby dało zwycięstwo sprawie a chwałę jemu. Ale zrobiwszy wszystko wedle możliwości i zdolności sumiennie, wiedząc dobrze, że ostatecznie Bóg sam czy zwycięstwa czy myśli, które zwycięstwo zapewniają, daje, był spokojny i poddany tak woli boskiej jak i sądom ludzkim. I tu było owo wielkie seree, owa wielka dusza, o której na początku mówiliśmy. Dlatego też żadnego przekonania do ostatniej chwili śmierci nie zaparł się, uczucia nie odstąpił — umarł zwycięzcą.



JENERAŁ FRANCISZEK MORAWSKI ¹⁾.

† 12-go grudnia 1861.

A tak zstępują powoli do grobu ostatni reprezentanci epoki Księstwa Warszawskiego, owej epoki pełnej nadziei, zapału, lekkomyślności, a zarazem epicznej wielkości w czynach, wątpliwego a często jednak wytwornego smaku w literaturze, organicznej w najważniejszych socyalnych i prawodawczych zadaniach.

Jednym z ostatnich a niewątpliwie najświetniejszych, najzacniejszych ludzi tej epoki był zmarły dopiero generał Franciszek Morawski. Czy pokolenie, które wyrosło, a ma przechowywać podania przeszłości, wie dobrze, kto był Franciszek Morawski? A jednak, lat temu trzydzieści kilka, bajka, satyra, wiersz ulotny Morawskiego obiegały kraj cały, rzadko drukowane, rozchodziły się pisemnie, (bo Wielki Książę nie lubił wojskowych literatów), a po dziś dzień nie straciły nic ze swej wartości. On to powiedział ową sławną mowę w rocznicę śmierci Księcia Józefa Poniatowskiego, kiedy powracające pułki polskie wyprawiły we Francyi żałobne nabożeństwo, on w czasie powstania i wojny r. 1831 po zużyciu się kilku ucziwych ludzi, jako minister wojny sprawę tę wiekopomnej sławy do końca doprowadził. On wreszcie kilkoletniem zesłaniem w Wołogdzie opłacił zaszczyt niepożyty służenia dobrze Ojczyźnie na wysokim stanowisku. Żołnierz, wieszcz, wysoki dostojnik, męczennik — wszystko przy dobrem sumieniu: wychował też zacnego syna i pełną uroku córkę — co Bóg mógł więcej dać człowiekowi?...

Dzierżykraje Morawscy, rodzina wielkopolska, dawno siedzieli na Oporowie. Pod koniec ostatniego wieku, trzech

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1861 r.

braci było w tym domu patrzących dziecinnem okiem na ostatni upadek Ojczyzny. Józef nauce prawa i filozofii oddany, zaraz po ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego wszedł do służby publicznej i do końca jako Referendarz Stanu w niej wytrwał. Po r. 1820 w W. Księstwie Poznańskiem do narad nad oczynszowaniem włościan i przeprowadzeniem tej sprawy użyty, przyplącił wielokrotnemi pożarami poświęcenie czasu, osoby i majątku dla dobra ludu wiejskiego. Jan młodo zmarły, zostawił krajowi takich dwóch synów, że zaprawdę dość mu się odslużył. Franciszek, zaraz jak tylko Napoleon stanął na ziemi polskiej, i uderzeniem swej stopy wywołał tysiące jakby ze snu twardego obudzonych rycerzy, zjawił się w szeregach, bił się na wszystkich polach, zdobył krzyż polski i legii honorowej, a przytem co wówczas było rzeczą zwyczajną, śpiewał, wierszował. Tak Godebski, Brodziński, Mieroszewski i inni, z tą jednak różnicą, że talent Morawskiego od razu wystąpił w całej doskonałości co do treści i co do formy.

Zawód literacki Morawskiego, czem był i czem zostanie w polskiej literaturze, opisze zapewne taki, co sam jeden zdolny jest ocenić najdelikatniejsze odcienia poety właśnie takiego jak Morawski. My dajemy mu tę nazwę, której popolitować nie lubimy, bo choć Morawski poematu na wielkie rozmiary nie utrzymał, to wywołał postacie, które zostaną, a pomniejsze jego utwory mają tę całość i plastyczną wydatność, które są cechą arcydzieła. Wzłobily się też w pamięć narodu. Kto nie pamięta „Wieży kruszwickiej“, kto „Kolei żelaznej“, wiersza o „Czapce“ do Krasińskiego, kto ustępów z „Klasyków i Romantyków“, kto bajki o ziemniakach? i t. d.

Jeżeli nie najświetniejsza, to najgłówniejsza czynność literacka Morawskiego przypada na lata królestwa kongresowego. Wówczas wrzała najzaciejsza walka pomiędzy nową a dawną szkołą. Nie w Polsce tylko toczył się bój zacięty, ale może nigdzie tyle dowcipu, talentu, attyckiej choć zjadliwej soli z jednej strony, tyle geniuszu, zapалу i potęgi

z drugiej. Najdłużej dochowała wierność dawnej szkole Warszawska. Tam to za gościnnym stołem Marcina Badeniego szermowali co piątek Koźmian, Osiński, Niemcewicz, Staszyc, Morawski, przeciw Romantykom. Sypały się iskry dowcipu świetne, choć czasem palące, a kiedy wątku zabrakło, zaproszony Jaxa Marcinkowski ożywał naiwnem zarozumieniem i dobrodusznem samochwalstwem. Byliśmy świadkami a czasem uczestnikami tych umysłowych turniejów. Pierwszy otrzeźwiał Morawski. Piękna jego dusza i zdrowy umysł zrozumiały, że natchnienie wieszce żadną nie jest krępowane formą, a znachodzi się tak w odzie Horacego jak w balladzie Mickiewicza; że forma odnosi się do czasu, natchnienie do wieczności. Koźmian, który nie mniej miał talentu i zdrowego sądu, ale więcej uporu, strofował Morawskiego, który aby nie zostać odpowiedzi dłużnym, pozwalał sobie żartów nawet na Horacego. Taka była jednak przyjaźń serdeczna, takie powinowactwo umysłu i serca pomiędzy tymi ludźmi, że i to nawet poróżnić ich nie mogło.

Kiedy Morawski powrócił z Wołody, Niemcewicz opuścić musiał po raz trzeci ziemię rodzinną, ale teraz by nie zobaczyć jej więcej. Osiński umarł. Owo Towarzystwo Puławskie, którego Morawski był często duszą a zawsze ozdobą, rozproszone, pani domu Zamoyskich owo dziwnie rzadkie połączenie cnoty, piękności, uroku, miłości bliźniego, dogorywała pod włoskiem niebem. Koźmiana zastał tylko generał Morawski, a że jako poddany pruski, musiał wracać w Poznańskie pod surowemi wówczas pasportowemi prawami, długo tylko listowne utrzymywał z nim stosunki. Jeżeli kiedy ta korespondencya stanie się własnością publiczności, nie wątpić, że znajdą się prawdziwe skarby dowcipu i wytrawnego literackiego sądu.

Później mógł Morawski co lat dwa odwiedzać starszego przyjaciela. Ktoby opowiedział owe radosne piotrowickie zjazdy, owe długie rozmowy i zacięte kłótnie, tenby opowiedział, jak Koźmian drżącym sercem czyta „Czarnieckiego“ a w oczach pana Franciszka upatruje sądu. Przymięszał się

do nich trzeci młodszy, niepoprawny wieszcz, nie wiedzieć, z jakiej szkoły, ale podobno ze szkoły Izajasza. Tamci „zaznali byli Ojczyznę a ten „tylko proch i kości“ — ale odżyła w jego wieszczym duchu i w całym blasku i w całej żałobie... Tak we trzech, każdy wedle usposobienia odtwarzali najgłówniejsze strony ducha narodowego. Najstarszy przedstawiając epokę heroiczną; drugi w najwierniejszych i najpowabniejszych rysach zamarłe życie domowe; trzeci kilkoma wierszami tak potrafił poruszyć nagromadzone cierpieniem i niesprawiedliwością na dnie duszy narodu żywość, że buchały na raz potokiem, który cieszy, dziwi albo trwoży...

Mówiliśmy o Morawskim, żołnierzu i wieszczu. Ale był on jeszcze jak każdy polski szlachcic, ziemskim obywatelem, owa ostatnia a bodaj nie najświetniejsza dla każdego z nas karyera. W części, która z rozdartych naszego kraju ma może najtrudniejsze położenie, a gdzie gospodarność osobista jest narodową zasługą, osiadł na ojcowiznie w tej stronie Księstwa, która, nie ujnując innym, okazała zawsze wiele politycznego poglądu. Morawscy, Potworowscy, Platerowie, Chłapowscy, Zóltowscy, Stablewscy, itd. działali zawsze łącznie i w pewnym kierunku. Umiał generał być starym, co nie każdy potrafi. Nadziaławszy się do syta, zostawił pole innym, sam radą, miłością, pośrednictwem dopomagał. Serce i umysł były młode. Najdzielniejsze może utwory poetyczne należą do tej epoki. Jak zaś to serce było gorące, mogliby nam powiedzieć najbliżsi krwią i przyjaźnią, ale tej zastony podnosić nam nie wolno. Dosyć na tem, jak był kochany; tylko ci, co miłują, miłość obudzić mogą.

Dożył wieku pięknego, bo lat siedmdziesiąt ośm. Dożył chwili, na którą długo czekał, chwili rozbudzenia ducha narodowego. Czyby do niego zastosować słowo Cycerona: *fortunatus illi exitus, qui ea non vidit quum venerint quae praevidit futura?* — nie mniemam.

JOZEF GOŁUCHOWSKI¹⁾.

† 22-go listopada 1858 r.

Pod samem pasmem gór Świętokrzyskich, na gościńcu pomiędzy Opatowem a Kunowem, leży na pagórku wieś Garbacz. Każdy przejeżdżający uderzony osobną jej powierzchnością. Chałupy jedne wałą się, a drugie systematycznie pod sznur i też samą modłę murowane. Stodoła jedna ogromnych rozmiarów, opodal śpiechlerz jak baszta murowany, magazyny gospodarcze na piętro: piwnice, lodownie jakby Sukiennice. Dworu w tej wsi nie widać, tylko wielki browar. Gdzie Pan mieszka? — w gorzelni.

Wieś ta znana w całej Polsce. Nie pominął jej żaden z ludzi znakomitszych rozumem, wpływem albo stanowiskiem w kraju; zajeżdżał tam nieraz rolnik z dalekich okolic po przykład, młodzież rolnictwu oddana wędrowała po naukę, obywatel, sąsiad albo urzędnik po radę lub pomoc, chory po opiekę, ubogi po wsparcie, zasmucony albo na duchu upadły po ochłodę i pociechę. W tej wsi, w tym browarze mieszkał od lat przeszło trzydziestu Józef Gołuchowski. Nigdy zacnego imienia nikt piękniej nie nosił. Będą tacy co opiszą dokładnie prace, zasługi i wpływ tego człowieka. Dziś dosyć pokrótce opowiedzieć czem był, aby młodsze zwłaszcza pokolenie wiedziało co kraj miał i co stracił.

Józef Gołuchowski, potomek zacnej, znakomitej i zamożnej szlacheckiej rodziny w Sandomierskiem, która w XVII wieku posiadała obszerne około Chmielnika majątki, a nawet jeżeli się nie myłę dziedziczyła to miasto, był ostatnim synem licznem potomstwem obdarzonych rodziców. Urodził się wkrótce po ostatnim rozbiorze kraju, w zajętej przez Cesarza Austrii części. Oddany w 10-tym roku życia

¹⁾ Czytane na posiedzeniu Tow. Przyjaciół Nauk w styczniu 1859 roku.

do akademii Terezyańskiej, od pierwszej do ostatniej klasy był przez cały ciąg kursów pierwszym w zakładzie, któremu winniśmy wdzięczność, bo nam wielu ludzi porządných wychował. Cesarz Franciszek II., dbały o młodzież, wiedział o Gołuchowskim; zawsze o niego pytał, a niechętnie przyjął wiadomość, iż po skończeniu nauk przeszedł w służbę dopiero co organizowanego Królestwa kongresowego. Zapalony do publicznego dobra, przyjmuje profesurę w liceum warszawskim. Aż dotąd naukom matematycznym oddany, czuje popęd do filozofii; ciasno mu w obecnej sferze, porzuca Warszawę i zasiada na ławach uniwersyteckich w Erlangen. Tam słucha Schellinga i wchodzi z nim w osobiste stosunki. To spotkanie cały późniejszy kierunek Gołuchowskiego wytknęło. Z całym zapałem duszy czystej, kochającej prawdę, ze zdolnością głowy silnej a uporeczywością pracy, jemu właściwą, oddaje się filozofii.

Aby kto z namiętnością filozofii się oddawał, dla obecnego pokolenia może będzie niezrozumiałem. Nie tak było wówczas. Pomiedzy filozofią francuską prowadzącą do materializmu, a spirytualizmem niemieckim — przepaść. I jedna i druga w ostatecznej loicznej konsekwencji prowadziła do panteizmu; w praktyce wyrodziła się we Francyi w rewolucyę, w Niemczech w samowładztwo państwa. Tego wówczas nie rozumiano, ale te następności były konieczne. Słusznie Fryderyk Schlegel powiada: „że śmieszna jest lekceważyć systemata filozoficzne, które w tej lub owej epoce, tej lub owej społeczności panowały; bo czy to uczeni albo ludzie stanu chcą uznać albo nie, filozofia panująca ogromny a nawet śpieszny wpływ wywiera na praktyczne losy ludzkości.“ Stosownie do geniuszu francuskiego i germańskiego żywiołu, pierwszy puścił się bezwzględnie w aplikacyę; drugi bez wodzy, bez hamulca, aż do ostatnich kresów spekulacyi i idealizmu dochodził (Fichte).

Już wówczas Schelling, który nie był jeszcze Berlińskim Schellingem, pośrednią a bliższą prawdy drogę obierał. Jako Niemiec, na głowę przeciwny materialnemu kierunkowi

szkoły francuskiej, której słusznie aż do nazwiska filozofii zaprzeczał, a której owoc gorzki jako człowiek prawy i Niemiec pożywał, przeglądał bezdeń, do której w ostatecznych konsekwencyach i północna prowadziła szkoła. Już wówczas wyraźnie stanęła przed jego umysłem osobistość Boga i człowieka. Przed oczyma mistrza i ucznia wynurzały się te postacie ze mgły, w której pływały pojęcia niemieckiej szkoły. Mistrz zamknął się w sobie i milczał. lat 20 wyrabiając zarody prawd, które umysł jego uderzyły. Uczeń na szczęśliwym wychowany gruncie, bo katolik i Polak, tyle od dziecka wysłał prawdy, iż jakiegokolwiek koleje umysłowe przechodzi, tych początków pozbyć się nie potrafi, prędzej zbliżył się do celu, i wydał w Erlandzie 1822 roku książkę: *Über die Philosophie in ihrem Verhältnisse mit dem Leben ganzer Völker und einzelner Menschen*. Książka ta zrobiła w Niemczech i w kraju ogromne wrażenie. Dzisiaj nikt przeczytać jej nie potrafi bez korzyści, pociechy i zapału, jeżeli dusza jego do zapału zdolna: czytali ją Niemcy z podziwieniem, my z dumą. Imię Gołuchowskiego od Dunaju przebiegło jak iskra elektryczna nad Wilię.

Ówczesny kurator wileńskiego uniwersytetu Adam książę Czartoryski powołał Gołuchowskiego do katedry filozofii w tej słusznie sławnej szkole. Czem było Wilno podówczas, wiedzą wszyscy dla których się mówi; nie mówiłoby się dla tych, którzy tego nie wiedzą. — Zaledwo stanął na katedrze, zaledwo przemówił, wówczas 26-cioletni młodzieniec, obudził zapał, który pocieszył jednych, zatrwożył, przeraził, oburzył drugich. Najobszerniejsze audytorya nie mogły objąć tłumy młodych i starszych słuchaczy. Łatwo to pojąć przywodząc na pamięć czem było wówczas Wilno. Mickiewicz pierwsze swoje ballady wyśpiewał. Zan, Czeczot i inni gromadzili około siebie promienistych. Lelewel czytał historię. Grodek, choć nie młody, filologię jak młody pojmował i uczył. Robił się przeto we wszystkich wyobrażeniach i dążnościach; nie było prawdę mówiąc nie wyraźnego, jasnego w celach i kierunku. ale wrzało jak w wulkanie przed wybuchem albo

trzęsieniem ziemi: wulkan nie buchnął płomieniem, ale ziemia się zatrzęsała i zostało z tego trochę gruzów i popiołów...

Chyba niewdzięczny i niesprawiedliwy zaprzeczy Śniadeckim wielkiej zasługi. Winniśmy im język czysty i jędrny, sławę u obcych, organizacją szkoły wileńskiej, ustalenie jej funduszów; winniśmy im, łaskawemu Monarsze i księciu Adamowi Czartoryskiemu, że Litwa po dziś dzień idzie przodem co do wykształcenia i ducha polskiego naukowego. Bo kiedy Warszawa, Poznań, Lwów, Kraków, zalane były żywiołem obcym, w Wilnie przechowały się tradycye, język i przekonanie, co możemy zrobić sami na własnym gruncie. Ale Śniadeccy byli na wskrós ludzie zachodu i XVIII wieku. Nie mogli pobratać się z nowym żywiołem, nie mogli go zrozumieć. Umysły tak wzniosłe, że w rzeczy samej poetyczne, nawykłe do nauk ścisłych i przyrodzonych, a tak trzeźwe, że dopatrzyły próżni, jaką mgła języka filozoficznego niemieckiego pokrywa, nie chcieli porozumieć się z młodzieńcem, który rękę do nich wyciągał, a przynosił naukę, z której ostatnią treścią pobratać się byli mogli i powinni.

Gdyby stronictwa tak w nauce jak w polityce uprzedzeń pozbyć się mogły, a zbliżyć i wyrozumieć się chciały, ilużby nieszczęść ludzkość uniknęła!

Śniadeccy stanęli przeciw Gołuchowskiemu, i wówczas to wyrzekania Jana njął w znany wiersz Mickiewicz:

Duchy karczemnej tworem gawiedzi
W głupstwa wywarzone kuźni;
Dzieweczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni.

Wiadomo z historyi jak korzystano, kto korzystał i w jakim celu z rozdwojenia, które się w uniwersytecie wileńskim na polu poezyi i nauki objawiło. Czy dlatego Śniadeckich potępiać, że sumiennem ale zbyt absolutnem przekonaniem rzeczy ogólnej zaszkoźdili? — bynajmniej. Znaliśmy poufnie Gołuchowskiego, nigdy ich o to nie obwinał, bo wyższy i prawy wiedział dobrze, że nikt swego chara-

keru zaprzeć się nie potrafi; że ludzi znakomitych brać potrzeba ryczałtem, i że wady ich są zwykle skutkiem nieodłącznym zalet.

Dosyć, że ówczesny świeżo mianowany kurator akademii wileńskiej zmienił skład i ciała uczącego się, i uczącego. Kilku profesorów, a między nimi Józef Gołuchowski, zostało odsuniętych od katedry. Pamiętamy dobrze tę chwilę ognistym rylem wypisaną na sercu naszym. Było to r. 1825. Gołuchowski powrócił do Warszawy; miał lat 27, ale na tej twarzy nie można się było wieku doczytać. Pracą, chorobą i cierpieniem moralnem zmęczony miał już rysy, które się do śmierci nie zmieniły. Czoło wysokie, oko czarne, żywe i głębokie, wielka prostota w obejściu a skromność w układzie, zaledwie zdradzały osobistość, do której młodzi przystępowaliśmy z zapalem i uszanowaniem. Nie zapomnę nigdy, kiedy mi czytał wstępną swojego kursu lekcję i rozprawę o cierpieniach.

Zawód publiczny dla tego, który katedrę z politycznych przyczyn utracił, był zamknięty. Posiadał spadkiem rodzinnym sumę na dobrach Garbacz w Sandomirskim. Serce wiązało go z Magdaleną z Gołuchowskich Gołuchowską, wdową po bracie. Połączywszy wspólnie fundusze, kupili majątek obdużony i zrujnowany. Od tej chwili zaczęli zupełnie nowe życie. Pierwsze lata zajęły uporeczywe przygotowawcze prace i zwykłe dla początkujących gospodarzy kłeski. Ogień pochłoniął budynki i gorzelnię. Zaczęły nowe powstawać, kiedy dzień 29 listopada 1830 r. zatrzęsł całym krajem.

I tygodnia Gołuchowski w domu nie wysiedział, ujrzelśmy go w Warszawie.

Czasy i ludzie tej epoki należą do historii, wolno o nich mówić i sądzić. Powstanie roku 1830 nie było w początku powstaniem narodowem, wywołanem albo przez niestęchanie nadużycia władzy albo trudności skarbowe. Rząd w ogóle był łagodny, niezbyt fiskalny, byt ogólny polepszał się zwłaszcza od czasu objęcia zarządu skarbu przez księcia Lubeckiego; oprócz wybryków księcia Konstantego więcej z oso-

bistego usposobienia jak z polityki rządowej wypływających, nie było właściwie nadużyć, bo administracya spoczywała w ręku krajowców, po większej części ludzi zdolnych i gorących patryotów, którzy stali wszyscy pod strażą już dość czułą opinii publicznej. — Powstanie to mające przyczynę swoją w poczuciu ogólnem i potrzebie zupełnej niezawisłości, objawiło się jednak początkowo jako spisek wojskowy i wybuch młodzieży. Najgorętsi patryoci, najpierwsi ludzie stanu nie tylko nie brali udziału w powstaniu, ale byli mu obcy a po większej części niechętni: można powiedzieć, iż oprócz Gustawa Małachowskiego, Romana Sołtyka, Świdzińskiego, żaden z ludzi znakomitszych w kraju nie znał zamiarów spiskowych. O powstaniu mówiono w Warszawie przez kilka tygodni, jako o rzeczy bliskiej, pewnej, już nie mogącej być wstrzymaną, ale najgorętsze serca, najlepsze głowy przewidywały tylko nieszczęścia, mocno przekonane, że stan nasz społeczny i moralny potrzebował trwania ówczesnych stosunków politycznych, aby się wyrobić, dojrzeć, ustalić i nabyć potrzebnego hartu do trudnej walki, a trudniejszego jeszcze potem zorganizowania wewnętrznego: uważały nadto po lipcowej rewolucyi konieczną potrzebę cierpliwego czekania, dopóki się nie rozpocznie nieunikniona pomiędzy zachodem i wschodem rozprawa. Tu zaś przypominam dla mniejsz z ówczesnymi stosunkami obznajomionych, że minister skarbu odebrał rozkaz mienia w pogotowiu 150 milionów, a naczelnik armii polecenie dokończenia jej stanu. Ale wiatr z zachodu dął silnie a wiadomo jak mocno działa na głowy i serca Polaków. Nadto pomiędzy częścią, zwłaszcza młodszych współrodaków, uczucia narodowe były złane z pojęciami, jak je wówczas zwano, liberalnemi: a pod tą nazwą, potrzeba rozumieć wszystkie odcienia począwszy od konstytucjonalizmu *à la* Benjamin Constant, aż do jakobinizmu *à la* Babeuf. Słowem w wielu choć nie powiem w najliczniejszych tego stronnictwa głowach, myśl polska złała się z myślą rewolucyjną 1789: — nie żeby ta myśl doszła do pewnego określonego wyrazu i celu, ale ówczesna frazeologia polity-

czna tak o władnęła umysł a zbakierowała dążności, że kwestyi narodowej nie rozumiano tylko pod formą polityczną i socyalną: bo jak mówi wieszcz:

. „jaćś Francuzi wymowni
zrobili wynalazek, że ludzie są równi.“

Ci wymowni Francuzi mieli rzeczywisty interes, aby ruch w Polsce zatrudnił cesarza Mikołaja, niebaczni a pełni ognia młodzieńcy, mając otuchę w najzuakomitszym badaczu a najmizerniejszym polityku swego czasu, który im mniej i ciemniej mówił, tem bardziej za wyrocznią miany. powstałi z okrzykiem, który nigdy na tej ziemi bez echa się nie ozwał: *Jeszcze Polska nie zginęła.*

Nie należy do rzeczy przebieg pierwszych chwil rewolucyi, dosyć, że orzeczeniem sejmu stała się narodową, a wówczas nie wchodząc czy na czasie albo nie, obowiązywała solidarnie wszystkich i wszyscy ją też przyjęli wedle pięknego wyrażenia Gustawa Małachowskiego: bez dobrodziejstwa inwentarza. A tutaj nie mogę pominąć uwagi dla stronniw politycznych nader ważnej. Co chwila jedue drugie potępiają, nie wchodząc, czy im dobra albo zła wiara towarzyszy; ale w podobnych wypadkach nie o to chodzi jedynie kto zdrowiej widzi i zdrowiej radzi, ale że nie wolno nikomu wyłączać się od drogi, którą naród obrał, choćby prowadziła do zguby. — W takim razie człowiek z przekonaniem i odwagą cywilną, winien oświecać, stanąć śmiało naprzeciw fałszywej opinii, mówić głośno prawdę, ale kiedy raz naród obrał kierunek, winien solidarnie dzielić jego losy. Co do mnie na jednej kładę szali zarozumiałych śmiałków, co bez powołania śmiać brać na swoje sumienie początkowanie wielkich politycznych odmian, i tych co widząc, że wszyscy toną, sami chcą się uratować: tu egoizm własnego bezpieczeństwa, tam egoizm próżności. Targowiczanie nie dlatego godni kaźni, że mniej trafnie o losach Ojczyzny sądzili, bo to jeszcze pytanie, ale dlatego, że kiedy kraj cały miał ginąć, na innej drodze i kraj i siebie ratować chcieli. Zaledwo powstanie

przez kraj, nie wchodząc dziś, słusznie albo niesłusznie, za narodowe przyjęte zostało, objawiły się dwa kierunki, polsko-insurrekcyjny, i liberalno-socyalny. Pierwszy miał po sobie powagę wieków, zasług, stanowiska. głównie opierał się na obywatelstwie ziemskim, a nawet na lud wiejski mógł rachować; drugi przedstawiało stronnictwo nieliczne, ale śmiałe, ruchawe, zorganizowane, mające swój język, zasady, a nawet i władzę. Pierwsze żądało bytu Ojczyzny z żywiołami, jakie podała przeszłość a utrzymała obecność, drugie żądało nowej Polski. To stronnictwo nader trafnie urządzonym klubem patriotycznym parło na opinią, ale rzecz dziwna nie zabsorbowało młodzieży akademickiej, która dziwnym instynktem enoty trzymała się powagi i władzy. Na tę młodzież, otaczającą cześć dyktatora i zajzszakomitszych ludzi kraju, działanie swe rozczyńiające wywarło stronnictwo Nowej Polski. W tej właśnie chwili Gołuchowski do Warszawy przyjeżdża. Widziałem go zaraz po jego przybyciu, zrobiłem mu obraz stanu opinii i miasta. Nie znając jeszcze dokładnie trafności politycznej Gołuchowskiego, z pociechą ujrzałem, że doskonale niebezpieczeństwo położenia rozumiał; rachując na dawne wileńskie z Lelewalem stosunki, szedł zaraz do niego, aby otrzymać współdziałanie i zachęcić do użycia przeważnego wpływu, jaki miał u swego stronnictwa, aby je pohamować: przedstawił rodział, jaki w kraju nastąpi i skutki, które też nastąpiły. — Napróżno! Leleweł jako uczony zaszczyt polskiego imienia, bezinteresowny i nieugięty jak każdy fanatyk swego ideału, Leleweł w opuszczeniu a niemal w nędzy stojący, niewzruszony na raz obranej drodze, zasługuje na uszanowanie; jako badacz na wdzięczność naszą. Ale Leleweł nie pojął, że jeżeli ludzie polityczni byli i mogli być tylko wielkimi historykami, to nie idzie wcale za tem, aby historyczni i archeologiczni badacze byli politykami. Badacze jak często, jeżeli tak niesłychanym jak Leleweł obdarzeni zmysłem wykrywają prawdy, to jeszcze częściej znajdują to czego szukali. Podobnie i Leleweł znajdował wątek do swych politycznych zasad albo urojeń w przeszłości swego kraju.

Słuszniali albo nie, teraz nie wchodzę, dość że otoczony urokiem nauki, prześladowania, niezawisłości i szczerej miłości Ojczyzny, choć zupełnie do czynu niezdalny, wywierał wpływ ogromny na swoje stronnictwo, albo może lepiej powiem szkołę.

Stronnictwo Nowej Polski chciało przeciągnąć młodzież akademicką na swoją stronę — chwila była po temu. Dyktator chwiejący się, niezrozumiały w działaniu, a zatem niepewność i trwoga w powszechności. Lubecki i Jezierski, wyprawieni do Peterburga, oczekiwani byli z powrotem. Młodzież z zapalem poświęcona Dyktatorowi, którego straż przyboczną stanowiła, nie wiedząc czy dalej ma ufać mu albo nie, zaczęła przechodzić do przeciwnego obozu. Wówczas Gołuchowski i zapowiada prelekye filozoficzno-polityczne w auli uniwersytetu. Prolekye te, a było ich podobno pięć czy sześć, nie były nigdy pisane; żaden ślad po nich nie pozostał, oprócz skutku, który sprawiły. Gołuchowski posiadający w najwyższym stopniu dar wymowy doraźnej, a mając cały swój systemat gotowy w głowie, z niesłychaną zręcznością i poczuciem, które nie zawsze było mu właściwe, wybrał to co było potrzeba, aby sprawić skutek — to jest poprowadzić umysły i uczucia na właściwą drogę. Gdyby był powstał na kierunek demokratyczny i jego następności, byłby może częścią młodych słuchaczów ziaził, a od razu obudził uwagę naczelników partyi. Słowa demokracja, arystokracja, monarchia, nie wyrzekł, nie obudził w młodzieży żadnego, podejrzenia; w wywodzie pełnym uroku, podniosłości, który dziwnie odpowiadał usposobieniu chwili, bo do niej były częste zwroty, wyłożył pogląd atomistyczny i organiczny na świat i jego stosunki. Wskazał na czem zależał jeden i drugi, do czego prowadził. Dowiódł, jak atomizm, obok wrzekomej bo nieporządnej wolności, albo raczej dowolności, nie prowadzi do ładu i da się tylko ująć w karby żelazną materialną siłą, że zatem ma swój koniec w despotyzmie pod tą lub ową formą: a przeciwnie organizm w równowadze rozmaitych potęg, wykształca przyrodzone formy społeczne, które wolny

ruch nie podług oderwanej teoryi ale z życia powstałej mając, zapewniają ludzkości swobodę o tyje, o ile to możebne i moralnemu usposobieniu tej lub owej społeczności odpowiednie. Rezultat jednej teoryi w praktyce równość, drugiej hierarchia. Słuchałem szczęśliwym trafem tych prelekcij. Stojąc już wówczas co do tych pytań na pewnem stanowisku, którego 30 lat życia i doświadczenie wypadków polityeznych nietylko nie zmieniło, ale je utwierdziło, z moenem biciem serca chwytalem każdy wyraz i z pociechą podziwiałem zręczność wymowy. W rzeczy samej doprowadził słuchaczów na stanowisko, którego pragnął; ani wiedzieli jak ich przekonał o potrzebie władzy, o konieczności hierarchii w społeczności, o niezbędnym warunku podstawy moralnej w każdym ustroju polityeznym, i o prawie miłości, które wiązać musi istoty duchowe i nieśmiertelne, aby się wielkie cele Boga przez ludzkość spełniły. Każdy rozumiał, iż nie nowego nie słyszał, że G o ł u c h o w s k i tylko to mówił, co w głębi duszy słuchacza nie jasno tkwiło, i łączył się sercem z jego natchnieniem i wynosił błogie usposobienie.

Poniekąd tak było w istocie. Cała ta młodzież podobnie jak kraj cały była zdrowa; uczucia były szlachetne i prawdziwe, frazeologia tylko sfałszowana. Ta część narodu, którą loże tajnych towarzystw zepsuły, te indywidualia, które natchnienia i hasło brały z Francyi, były zepsute i zgniłym wyziewem rozszerzały mór w około siebie. — Mowy G o ł u c h o w s k i e g o były antidotum: cała też ta pocziwa młodzież zaniechała klubów, weszła do wojska, a jak kochała Ojczyznę, tego dowodem plac boju. — G o ł u c h o w s k i e g o noszono po Krakowskiem-Przedmieściu na rękach. Był on całe życie nieco szczególny — podczas rewolucyi nosił się w chłopskiej sandmierskiej sukmanie, ztąd N o w a P o l s k a nazwała go chłopem, który w sandmierskiej sukmanie arystokratom pańszczyznę odrabia.

G o ł u c h o w s k i e g o słyszałem wiele razy mówiącego publicznie, nigdy tak jak w czasie tych prelekcij: zapewne dlatego, że z natury dogmatysta, nawykły do mówienia z ka-

tedry, do rozwijania swobodnie w porządku loicznym swych myśli, mniej był zdolny do parlamentarnej rozprawy. To zapewne tłumaczy, czemu nie usiłował wejść do Izby ani zajął wśród obecnych wypadków stanowiska odpowiedniego zdolnościom i niezmiernemu przywiązaniu do kraju. Pełen odwagi cywilnej, orientujący się łatwo w zawikłanych położeniach, nie miał jednak tej stanowczości w działaniu, która robi człowieka politycznego: nawykły do oceniania pytań w czystym świetle prawdy, a do oceniania czynów na delikatnej wadze trwożliwego sumienia. Wejść na prawdę w stosunki z żywiołami mniej czystymi, było mu niepodobna. Powołany do kierowania ministerstwem oświecenia, nie miał podówczas czasu ani pola do działania przeważnie. Był to czas, w którym *silent musae*: zaledwo można było utrzymać organizację ówczesną szkół, nie zaś myśleć o organicznych zmianach, jakoż została utrzymana w porządku. A tutaj nie mogę pominiąć uwagi, że powstanie roku 1830 nie było podobne do żadnej rewolucyi, które je poprzedziły i które po niem nastąpiły w Europie. Badam pamięcią historycę i nie podobnego nie widzę. Naród cały powstaje, zrywa z Monarchą i władzą, wydaje zaledwie na 4 miliony liczny a ubogi, wojnę na śmierć państwu 60-milionowemu, w pełni swej potęgi a w rękę człowieka co umiał cheieć i rozkazywać: nową władzę tworzy, w instynktowem poczuciu potrzeby koncentruje ją w jednym człowieku, któremu bezwzględnie ufa i losy swoje oddaje, nie w chwili upadku i zwątpienia, ale w chwili pierwszego szału. Zaczyna się najdziwniejsza pomiędzy narodem a tym człowiekiem walka, Chłopskiemu dyktaturę oddają, on jej nie chce; ledwo skłoniony znową ją składa: ale niemniej walczyć będzie. Sejm ustanawia rząd narodowy a prezes jego Adam książę Czartoryski w pierwszej zaraz przemowie wspomina z wdzięcznością zaufanie, którem go niegdyś zaszczycał Cesarz Aleksander. Każdy poświęcić się gotowy — nikt władzy ani zaszczytu nie pragnie. Tymczasem cały kraj się uzbraja, ale uzbraja porządnie, żadnych wybryków, we wszystkim kierunek idzie z góry, a sprzężny administracyjne

grają, jakby kraj był zupełnie spokojny. Wymiar sprawiedliwości cywilnej i kryminalnej ani na chwilę nieprzerwany. Podatki, liwerunki wpływają jak najregularniej. — Towarzystwo kredytowe opłacane i opłacające procenta, ubezpieczenie najzupełniejsze, ani rozbojów ani kradzieży. Ludność jedna poszła do wojska, druga pracuje w roli — włościanie ochotnie idą do pułków. W tem co się mówi ani słowa nie ma przesady, a cudzoziemcy, którzy wówczas przyjeżdżali do kraju, nie mogli pojąć co znaczy ten ład moralny w chwili takiego politycznego wzburzenia. Jeżeli kędy było co niezwykłego, to w usposobieniu ludności stolicy, w której wskutek nagromadzenia różnorodnych żywiołów i bliskości ogniska rządu, musiało życie silniej i wielostronniej się objawiać: a objawiało się tarcie stronnictw w sejmie, w pismach czasowych poważniej, w *Honoratce* i innych kawiarniach wesoło, odpowiednio do charakteru narodowego. Ale i to za pierwszym wystrzałem pod Białoleką ustało. z pomiędzy ludzi pióra i mowy co było zacnego jak Maurycy Mochmacki, poszło na linię bojową, usposobienie ogólne było poważne, wspaniałe. Uciął klub patryotyczny, nie było przez parę miesięcy stronnictw. Z wiosną dopiero wskutek bezczynności wojska po zwycięstwach pod Wawrem, Dębem i Iganiami. głównie wskutek Ostrołęckiej porażki: kiedy co tylko dzielne i prawdziwie Ojczyznę miłujące było w obozie, stronnictwo kaliskie zaczęło bruzdzić w sejmie, a Nowej Polski w mieście. Nie rozbieram znanego przebiegu rewolucyi po dzień 15-go Sierpnia. Czy była nadzieja prawdopodobna szczęśliwego końca? Ja rozumiem, że była mimo słabości rządu, błędów wodzów, zdrad dyplomacyi zagranicznej. Ale dom sam w sobie rozdzielony, runie.

Jak partya Kołłątaja z obcym francuskim żywiołem, jeżeli nie zabiła to dobiła powstanie Pana Kościuszki, tak klub patryotyczny, który w cichości był znowu powstał, w cieniu przyszedł do znaczenia i wpływu, zabił rewolucyę. Rozczyn jaki wprowadził w karność wojskową, wywołał gorszącą Bolimowa sceny: dzień 15-go sierpnia splamił najczyst-

sza dotąd sprawę i nietylko zgubnemu człowiekowi oddał losy narodu, ale złamał jego ducha. Niechaj przed Bogiem, ludźmi i potomnością odpowiedzą sprawcy tej zbrodni. Niebaczni: głupio powtarzali: „terrorizm zbawił Francję, zbawi i Polskę“ — a nie umieli rozróżnić położenia, żywiołów, nie mieli *criterium* moralnego do ocenienia tego co prawe i zabiwienne. Francya dziś jeszcze nie może obmyć ze siebie krwi, którą się w r. 1793 zbryzgała i nie może trafić i nie trafi do celu, do którego po trupach współobywateli iść chciała. Widziałem wówczas Gołuchowskiego, dzielił rozpacz wszystkich uczciwych i prawdziwie politycznych ludzi. Ósmy września był następnością 15-go sierpnia. — Brakło głowy, brakło i serca; nie tego co gotowe ginąć, ale tego co z nadzieją umie rozumnie działać, ufać i łącznie walczyć — a jednak ósmy września mógł być dniem tryumfu, jak wiedzą wszyscy co go zbliżka widzieli; a nazajutrz rano pełnomocnik austriacki przy kwaterze głównej rosyjskiej zacytował hrabia Caboga, odbierał od swego dworu rozkaz stanowczego imieniem Austrii przemówienia — ale porządek wedle słów generała Sebastiani był już przywrócony w Warszawie. Jedni poszli w rozsypkę, drudzy powrócili do domu. Gołuchowski powrócił do Garbacza. Kto w owych czasach nie żył, ten pojąć nie potrafi nigdy boleści i rozpaczy, jakie ogarnęły wszystkich. Uczucia te w gorącej jego duszy były gwałtowne, alś nie mogły zostać beczynne. Filozofia u Gołuchowskiego nie była czemś jałowem, oderwanem, jedynie spekulacyjnem. Bynajmniej — na wskrós przejmując całą jego istotę, to była bodźcem do działania, to kierownicą, to narzędziem, którem otwierał sobie drogę do najpraktyczniejszych zawodów. Był trochę przykrojony na wzór filozofów greckich pierwszej szkoły. Ja n. p. tak sobie wystawiam Talesa, stosującego do zajęć praktycznych najwyższe prawdy zdobyte na polu spekulacyi — rozumiejącego lepiej te stosunki, bo w związku z ogółem, trafiającego do ludzi jako znający serce. Jakoż w powierzchowności miał coś osobnego, niezwykłego, i w kraju był znany pod imieniem filozofa. Jako

filozof, przeto istotny, to jest jako człowiek mądry, wytrwały, wstrzemięźliwy, zaprzął się do rolnej i przemysłowej pracy. Koleje tej pracy bardzo dla praktycznego rolnika ciekawe, uczące, po wielokroć na miejscu przez znawców oceniane, mniej mają w szczegółach swoich dla publiczności zajęcia. Co ważniejsza, to że nie zabsorbowały go do tyła, aby zapomniał o głównym obowiązku, do którego czuł się zawsze powołanym, o obowiązku nauczania.

Czasu nader oszczędny, nie żałował go nigdy, aby na każdy zjazd sąsiedzki, każdą obywatelską uroczystość stanąć. Pełen wesołości, uroku, dowcipu, był duszą każdego zebrania. Tam w częste wchodził dysputy, z częstemi występował mowami, któremi umysły z uspienia budził, błędy wyświecał, zasady kształcił i zaprawdę do wszystkiego co wzniosłe, szlachetne, użyteczne, zagrzewał. Słowa jego przebrzmiały, zawsze nieprzygotowane, a często w żartobliwą przybrane szatę, czasem niecierpliwszą wedle słów wieszcza młodzież nużyły, ale zaprawdę nie przebrzmiały bez pożytku.

Gdyby to co tu mówię było słyszane w saudomierskiej ziemi, to każdy położywszy rękę na sumieniu, przyzna, że tak przykładowi jak i mowom Gołuchowskiego winna ta okolica lepsze gospodarstwo, większą oszczędzić i rządność w domach, stanowisko wyższe w poglądzie na sprawy publiczne, a głównie ducha miłości i zgody, które też słusnie odznaczać powinny ziemię, co od wieków wzięła za swoje godło: *kochajmy się*.

Takie czynne, jakkolwiek ostrożne życie, zwróciło uwagę dziwnie wówczas pedejrzliwego rządu. Gołuchowskiego w r. 1835 aresztowano i wzięto do cytadelli, za co? wskutek jakich podejrzeń? nigdy wiadomem nie było. Pięć miesięcy samotnie wysiedział. Uwolniony bez wyroku, jak ujęty bez oskarżenia, a cierpiący na zdrowiu, skoro tylko potrafił uzyskać paszport, wyjechał do Greffenbergu zaczynającego być sławnym przez Prisznicę. Tak genialny jak Prisznicę człowiek zajął go mocno, uwierzył fanatycznie jego metodzie i został jej wierny do śmierci.

Pokrzepiony na siłach, powraca Gołuchowski do Garbacza i znowu uporeczywe około gospodarstwa zachody. Rozumiano powszechnie, że wyłącznie był niem zajęty; nie brakowało literackich przekąsów i surowych od mniej powołanych napomnień. Ale nie wiadano, że codziennie kilkogodzinnej oddawał się umysłowej pracy; nie wiadano, że ze samotnej izby swojej, przywilejem geniuszowi właściwym, spoglądał głęboko w usposobienie i stosunki społeczne całej Europy.

Liberalizm z całym aparatem parlamentarno-reprezentacyjnym zaczął się zużywać. Już przed rokiem 1830-tym umysły, nie wiem jak powiedzieć, czy śmielsze, czy bardziej konsekwentne, marzyły nie już wolność osobistą, nie już równowagę władz, nietylko kontrolę grosza publicznego, ale przekształcenie radykalne stosunków społecznych. Kierunek ten miał swój organ w znanym wówczas, a znakomicie pisanem tygodniowem piśmie *Globe*. Ciekawość do literatury niemieckiej pierwsza obudziła we Francyi pani de Stäel. Filozofią zaś niemiecką, że pomimę Wrońskiego, pierwszy uczynił popularną Cousin. Z jego to szkoły wyszli Damiron, Dubois, Jouffroy, Chevalier, celniejsi redaktorowie *Globu*. Panteizm niszcząc osobistość Boga jak indywidualność człowieka, musi w loicznej konsekwencji prowadzić w polityce do wszechwładztwa państwa, albo do sztucznego ustroju społecznego, który dotąd w praktyce nigdzie się nie powiódł, znanego pod nazwą socjalizmu. Ten kierunek wyklówał się, że tak powiem w opinii, ale nie dochodził jeszcze do właściwego wyrazu. Jak zwykle, kiedy czy nowy błąd, czy nowa prawda na świecie się jawi, występuje z kilku naraz źródeł.

W cieniu od lat kilku, człowiek, którego bliżej tutaj charakteryzować nie potrzebuję, Saint-Simon, małe ale fanatyczne około siebie zgromadził koło. Więcej konsekwentny i bezwzględny, przeciągnął jak zwykle bywa w podobnych razach mniej wyrazistych, niedostatecznie świadomych swego celu zwolenników Cousina, który z nazwą eklektyzmu na pół stanął drogi. Tutaj pokazuje się cała trafność przytoczonej

na początku tej rozprawy uwagi Schlegla, co do wpływu, jaki filozofia na losy ludzkości wywiera. Jakie koleje przeszła szkoła czy sekta Saint-Simona, wiadomo. Obecnie obchodzić nas nie mogą, ale ze zasad, jakie wyrobiła, podobnie jak ze zasad, które Cousin zasiał, a *Globe* upowszechnił, wyrosła szkoła czyli stronnictwo socyalistów, nie Francyi tylko właściwe, rozszerzone i w Niemczech, ale dlatego tylko koleje jego we Francyi spotykamy, bo kraj ten ma przewilej wskutek praktycznego usposobienia i dziwnie jasnego języka, iż upowszechnia wyobrażenia, które sobie przyswoił, a nawet gotów próby na samym sobie odbywać. Gołuchowski czuł doskonale i śledził tę robotę w umysłach, zapragnął bliżej ją zbadać: uzyskawszy paszport w r. 1845, zwiedza Niemcy, Włochy, Francję, Anglię, wehodzi wszędzie z ludźmi najznakomitszymi wszelkich stronnictw w stosunki, i z początkiem roku 1846 stawa na całą zimę w Berlinie. Tu uczeń i mistrz po 24-eh latach spotykają się znowu. Kto opowie radość dwóch serc jak Schellinga i Gołuchowskiego, które po latach rozdziału i pracy do jednego w ukochanej nauce doszły celu. Przyjęty przez wszystkie znakomitości naukowe owych Aten północnych z uwielbieniem, polskim obyczajem pragnął mistrza niegdyś, a dziś przyjaciela, uczną w swoim domu ugościć, a sprosiwszy liczne uczonych grono, wobec Humboldta, Saviniego, Eichorna i innych, obszerną przemową skreślił zasługi Schellinga i stanowisko ówczesne nauk filozoficznych w Europie. Schelling proponował mu imieniem monarchy katedrę filozofii tymczasowo w Wrocławiu, a chcąc za lat trzy opuścić stanowisko publiczne, zapewniał następstwo katedry w Berlinie. Gołuchowski odmówił, ale sam od niego słyszałem, iż nie chcąc pracować na obcej ziemi, nigdy większego poświęcenia dla miłości swej Ojczyzny nie zrobił. Nazajutrz po dniu tak radośnym odebrał wiadomość o strasznych wypadkach w końcu lutego spełnionych na tej tu ziemi. Doniosłość onych zmierzył do razu: cios, który jego sercu i umysłowi zadały, nie zabliznił się do śmierci. Przeniósł upadek szkoły wileńskiej, przeniósł upadek usiłowań

roku 1831; rozpadnięcie się żywiołów społecznych na własnej ziemi, wstrzęsło do gruntu silną tę i kochającą duszę. Wrócił natychmiast do Garbacza, ale nie po to, aby kaptur bezezynnie na swą głowę zaciągnąć, raczej aby obmyślać, jak stawić czoło groźnej burzy, która od półnoocy i zachodu nadciągała.

W roku 1846 na początku czerwca ogłoszono w Królestwie Polskiem ukaz, krótki, wątpliwy, niedokładny, jakby *ab irato* napisany, który do razu zmieniał stosunki własności w całym kraju, a dalsze zapowiadał zmiany. G o ł u c h o w s k i widząc, na co się z dołu od zachodu zabierało, a co od półnoocy z góry rozpoczęło; widząc nadto z jednej strony potrzebę zmienienia stosunku pańszczyźnianego, bo pańszczyzna bardzo szanowny ustrój gospodarstwa krajowego w pewnej danej epoce i w pewnych okolicznościach, jest dzisiaj mechanizmem zużyтым, zardzewiałym, słusznie skazanym na odrzucenie; z drugiej uważając błędne w kraju pojęcia o stosunkach społecznych i własności, tem błędniejsze, że przekradając się mimochodem, nie były ani mogły być wytrawione; pisze jednym pociągiem pióra: Kwestyę włościańską w Polsce i w Rosyi. Napisana w roku 1847, zbiegiem okoliczności mogła wyjść dopiero 1848. Mówić o tej książce nie potrzeba, znana wszystkim, których ta kwestya obchodzi. Szczególną w tem okazał zręczność, że obawiając się zbyt nagłych postępów na drodze ukazem r. 1846 wskazanej, ostrzegł dobitnie, iż zachodzi pewna solidarność pomiędzy rozwiązaniem onej w Królestwie Polskiem, a w cesarstwie Rosyjskiem: że błędy tu popełnione odbiją się tam ale na większe rozmiary. Pierwsze to dzieło, które tak znakomitą i liczną literaturę stosunków włościańskich rozpoczęło, w tem ciekawe, że pomimo 10-letnich rozpraw, wypadków politycznych i prawodawczych, kwestya ta pozostała na tem stanowisku, na którym ją od razu osadził: Czy aby wyjść ze stosunku pańszczyźnianego, aby być najliczniejszej klasy w narodzie podnieść, potrzeba jednemu wziąć, a drugiemu dać; czy raczej uważając stosunek obecnej własności za prawnym, wziąć go za punkt wyjścia, a środkami naturalnemi,

prawnemi. które kodeks cywilny francuski w kraju obowiązujący podaje, z pracy przymusowej przejść do pracy wolnej, a tak nietylko usamowolnić tę pracę, ale wskazać jej własność jako nagrodę. Styl popularny, plastyczny jakby rozmowny, robi tę książkę dziwnie dostępną. Porównania, obrazy, przysłowia dają jej niepojęty urok. Mimo trudności rozeszła się szybko, nie wywołała dla przyczyn łatwych do odgadnięcia polemiki piśmiennej, ale tem żywszą ustną. Polemika, wypadki r. 1848, rozprawy sejmowe w Wiedniu i Kromierzcu, przekonały Gołuchowskiego, że jeszcze niedokładnie zrozumiany, że nie wszystko wypowiedział. Zasiada powtórnie do pracy, dniami i nocą sobie nie folgując, i pisze niby inny autor dzieło pod napisem: Rozbiór kwestyi własności w Rosyi i Polsce. Rozmiary dużo większe tego dzieła, konieczne powtarzania, trudności niezmiernie, jakich w rozszerzaniu się doświadczyło, było może powodem, że równie jak pierwsze rozpowszechnionem nie zostało. Książki do 800 kart bitym drukiem obejmującej nie każdy doczytał, zwłaszcza kiedy na pierwszych pięciuset kartkach spotykał już dawniej, tylko obszerniej omówione myśli; ale ktokolwiek miał cierpliwość pójść dalej, znajdzie odniesienie do najwyższych zasad teoryj politycznych, które świat dzieli, i wskazanie następstw, do których konsekwentnie jedne i drugie doprowadzić muszą. Ze zasady osobistości Boga i indywidualności człowieka wypływa prawo miłości i wolności, które tłumaczy wszystkie zagadki świata tego.

Człowiek ulegający tylko prawu miłości i niem wiedziony, odpowiedzialny, bo wolny w swoim czynie, żadną koniecznością nie jest krępowany: w ustroju towarzyskim potęgi społeczne, w miarę jak się rozwijają, układają się do równowagi; często nie bez walki, nie bez bólu; często jedne drugie absorbują; ale w miarę jak prawo miłości bardziej społeczność przejmuje, prawo wolności staje się obszerniejszem i udziałem większej ilości indywidualności: i toć to jest właściwy i prawdziwy postęp. Ztąd ludzkość nie zna wyłączonej kształtów społecznych. Stosunkowo do jej wykształ-

enia, żywiołów składowych, dziejów, nawet geograficznego i etnograficznego położenia, urządzi się naturalnie to monarchicznie, to gminnie; to mniejsza, to większa liczba wolnych obywateli występuje. Kwitnie i upada pod jednemi jak i pod drugimi formami, w miarę jak prawo miłości szanowane. Cały urok, cała nauka historyi z tej różnorodności wypływa.

Błąd panteistyczny, który na drodze filozoficznej dostał się do polityki, a któremu wielu sami nie wiedząc hołdują, do sprzecznej zupełnie prowadzi następności. Zapomnijmy na chwilę, że Bóg jest osobistym, a człowiek wolnym pojedynkiem prawu miłości tylko poddanym; straszna konieczność światem zaczyna rządzić, wolność, a zatem godność człowieka przepadła: nie wyrabiają się już i nie równoważą pod strażą prawa miłości potęgi społeczne: we formy przewidziane z góry wtłacza się gwałtem ludzkość, i istnieć może tylko albo pod absolutyzmem jak w dawnych Indyach, albo w rządzie gminnym jak u Mormonów. Tu nie ma przesady, boć mamy pod ręką dzieła mniej lub więcej konsekwentnych socjalistów, a przed oczami kraj Utah. Obmyślano tam wszystko dla człowieka, aby jadł, aby pił, aby się mnożył; ale odjęto mu godność, odjąwszy mu wolność, własność i odpowiedzialność. I słusznie: jeżeli człowiek niema duszy indywidualnej, mającej żyć nieśmiertelnie i odpowiadać za złe i dobre, o cóż się turbować, byleby miał chleb powszedni? Nie podnosi też już człowieka miłość bliźniego aż do heroizmu, aż do ideału, ale przymus wyciska na nim codzienne jałowe obowiązki żywota, a społeczność przedstawia szary obraz rozpaczliwej jednostajności. Jako wpływ tych zasad, uważał także ideę państwa, która w dawnym Rzymie wykształciła się wtedy dopiero, kiedy wschodni panteizm do niego zawitał. Za wynik tych zasad poczytywał i państwo dzisiaj pojmowane, bez organiczno-hierarchicznych żywiołów, z ustrojem administracyjnym, który ma wszystko rządzić, rozdzielać, bo wszystko absorbuje. Istny a straszny Lewiatan Hobesa. Stosując ten sposób zapatrywania do kwestyi włościańskiej, pragnął największej wolności w układach, przekonany, że interes stron

obydwóch najwłaściwsze onej poda rozwiązanie. Ponieważ jednak i ukaz roku 1846 i wypadki zaszele w sąsiednich krajach wskazywały, iż bez wyroku władzy rozwiązana nie zostanie, podaje sposoby, aby zmiana nastąpiła bez pogwałcenia kardynalnych praw społecznych, a przecięła na raz sztucznie obudzony antagonizm pomiędzy dwiema najważniejszymi u nas narodu warstwami.

Jakkolwiek dzieła Gołuchowskiego były zakazane, zwróciły uwagę władz rządowych w Królestwie Polskiem i Rosyi. Kwestya włościańska została przetłómaczoną na język rosyjski, a niby niewiadomy autor zakazanego dzieła zaproszony na sesyę utworzonego w komisyi rządowej spraw wewnętrznych komitetu do interesów włościańskich.

Gołuchowski obarezony świeżo nowem a obszernem przedsięwzięciem gospodarskiem, które obdarzony szczególnym organizacyjnym darem, jak najszczęśliwiej co do ogółu urządził, coraz bardziej bywał zadumany, coraz więcej zamykał się na wiele godzin w śpiehlerzu, ulubionej swojej pracowni, stawał się mniej mownym; znający go wiedzieli, że nowa gotowała się w nim praca. W roku 1854 na święta Bożego Narodzenia, w domu nieodżałowanego Juliusza hr. Ledóchowskiego w Górkach, w poufnej rozmowie wyznał, że dochodząc lat 60, niepewny przyszłości, czuje, że powołania swego jeszcze nie dopełnił, że filozofia była jego zawodem, że im bardziej nowa szkoła Hegla weszła na bezdroża, tem bardziej jest jego obowiązkiem, widząc, iż rzetelnego rozbratu pomiędzy filozofią a objawioną prawdą chrześcijańską niema, wykazać zgodę rozumu z objawieniem. Mówił do mnie godzin kilka z takim zapalem, podniosłością, z miłością narodu, któremu zdrowy cheiał podać pokarm, iż tę chwilę do najpamiętniejszych mojego życia zaliczam. Prosiłem aby nie odkładając, to co mówił równie zwięzle napisał. To być nie może, odpowiedział, musi być dzieło zupełne, opatrzone aparatem naukowym dla powagi, aby nie rozumiano, iż nie idąc w trop za nauką, jestem obcy dzisiejszemu stanowisku. Pracował coraz więcej, aż dusza objąć nie mogła uczuć i myśli,

które nią miotały. i dnia 6-go listopada 1856 roku zaczął pisać dzieło filozoficzne, które winno usprawiedliwić dawane mu zwykle filozofa imię. Skończył 16-go czerwea 1857. Przez siedm miesięcy niedostępny i zamknięty pisał po 15 godzin dziennie. Ciekawy ten manuskrypt, na którym poprawek prawie niema, wyraźnym, silnym napisany charakterem, wskazuje sposób jego pracy. Rzecz cała wylała się na raz z tej potężnej głowy: podział na rozdziały i paragrafy następnie dopiero robione. Część pierwsza obejmuje: Historyczne rozwinięcie głównych systematów filozoficznych, od Kanta do najnowszych czasów. Druga sam systemat filozoficzny w 88-miu rozdziałach. Całość ma tytuł: *Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka*. Manuskrypt gotowy do druku przeszedł cenzurę i ma wyjść wkrótce na widok publiczny. Rozbiór dzieła w obecnem położeniu byłby przedwczesnym, niechaj samo za sobą i za autorem świadczy. Pódezas tej pracy twarde prowadził G o ł u c h o w s k i życie; zwykle jak mawiał, ciało na chudym obroku a na twardem wędzidle trzymał. Przez ten czas surowszym był jeszcze dla siebie; sypiał na gołej ziemi, aby duch tem wolniej mógł w wyższe i jaśniejsze podnosić się sfery.

Zaledwie ukończył, ciężka choroba ukochanej żony przykłała go na jedenaście miesięcy do łóża jej boleści. Był on przedewszystkiem człowiekiem serea i obowiązku; ani stosunki społeczne; ani interesa, ani nawet ruch przez świeżo zawiązane Towarzystwo rolnicze obudzony, nie potrafiłyby go oderwać od tego, co uważał za pierwszy moralny obowiązek. Zrobił wyjątek na gody weselne córki przyjaciela i pożegnanie najzaćniejszego a opuszczającego tamte strony dostojnika i obywatela. Po raz ostatni słyszeliśmy wówczas głos ten szanowny i ukochany. Silne ciało uległo natężeniu myśli i uczuciu serea. Ośmnastego listopada 1858, po krótkiej chorobie, ze świadomością swego stanu, w największym spokoju, z poddaniem się Bogu, opatrzony wśród zupełnej jeszcze przytomności i na własne żądanie ŚŚ Sakramentami,

nie umarł — zstąpił do grobu, zwoławszy wprzód całą gromadę i tłómacząc jej sprawiedliwe i pełne miłości a energiczne postępowanie.

Większego miłośnika swej Ojczyzny nie znałem. Lepszego sąsiada, stalszego przyjaciela nie było. Obmowa nigdy nie przeszła przez usta jego; a mimo to Gołuchowski choć kochany, szanowany, nie był w pospolitem znaczeniu wyrazu popularnym. Dlaczego? bo przeciwny prądowi, którym szła obłąkana opinia publiczna. Ale on nawykły we wszystkim osobę swoją poświęcać, nie gonił za tem co jemu poklask, ale co krajowi pożytek przynieść mogło. I słusznie; prawdy, które człowiek wyższy widzi, których broni i rozpowszechnia, nie zawsze przyjęte bywają, nie zawsze widoczny i skory plon przynoszą; ale są często tym balsamem, który zdrowie społeczeństwa mimo jego wiedzy utrzymuje. Niech to będzie nauką dla młodszego pokolenia. Myśl dobra, czyn dobry, usiłowanie sumienne, często nie przynoszą wrzekomo widocznych owoców; ale jak kropla wody, która wpada w morze choć niewidziana, zmienia jednak równowagę całego oceanu, tak żaden czyn dobry, żadna myśl dobra, żadne usiłowanie sumienne a bezinteresowne, w ekonomii świata moralnego nie przepada, a na osiągnięcie ostatecznych najwyższych celów przeważny wpływ wywiera. To niech będzie pociechą dla ludzi prawych a niepoznanych — tego nauczyło mnie 52 lat życia, a 32 lat doświadczenia.

ANDRZEJ HR. ZAMOYSKI¹⁾.

† 29-go października 1874. r.

Lat temu pięćdziesiąt okładem, w Styczniu r. 1824, u stołu Wojewody Badeniego, podówczas ministra Sprawiedliwości, jak zwykle w dzień piątkowy zasiedli: Niemeewicz, Staszyc, Koźmian, Fr. Morawski, Osiński, K. St. Sierakowski (zwany Sieraczkim), Moźnicki. Jedno miejsce zostało próżne. A to dla kogo? zapytał Niemeewicz podobno. Jędraś przyjdzie dzisiaj, a spażnia się bo zapracowany, odrzekł gospodarz. Tak nazywano drugiego syna p. Ordynata Zamoyckiego w tem kole przyjaciół i poufałych błękitnego pałacu.

Wszedł niebawem młody człowiek wyniosłej postaci, wysokiego czoła, z wyrazem twarzy stanowczym, a uśmiechem łagodnym, który do końca zachował. Wówczas po raz pierwszy, o kilka lat młodszy, poznałem człowieka, który, jak już tylokrotnie powiedziano, pozostał na całe życie panem Andrzejem.

Z tym człowiekiem, z tem imieniem połączyło się przez lat trzydzieści tyle świetnych nadziei, szlachetnych usiłowań, prac użytecznych i podniosłych, że zaprawdę nie powiem za wiele, iż przez ten przeciąg czasu życie narodu było skupione w jego sercu. Ztamtąd brało popęd i natchnienie. Otoczony też był urokiem ogólnego uznania, ubiegano się o każdy, choćby daleki z nim stosunek, a że istotnie był królem, hetmanem i kapłanem, wyrodziło się też, jak zwykle na świecie, koło jego osoby dworactwo.

¹⁾ Drukowane w Przegl. Pol. 1874 r.

Ziemia się zatrzęsła, wszystko z posad ruszone i drzewo to, które tylu oceniało, tylu karmiło owocem, zasnęło. Bałwochwalstwo obróciło się w sąd surowy, pochlebstwo w obojętność. Co było zacnego zostało z szacunkiem przy nim i podziwia ten charakter czysty, to serce pełne poświęcenia, to bezwzględne zapomnienie o sobie wobec publicznej sprawy.

Czy to, co tutaj o panu Andrzeju Zamoyskim powiem, spodoba się albo nie, jest mi obojętnem, bo mówię o człowieku, który do historii należy. Jeszcze zwłoki jego nie ostygły, jeszcze go rodzina i przyjaciele nie oplakali, a tu już rozbiór, sąd czynów i pobudek. Jest to przeznaczeniem ludzi znakomitych, że jak za życia idą naprzód na pierwsze strzały, tak po śmierci muszą świadczyć jako przykład, lub przestroga.

Pisząc dla młodszego pokolenia, winienem powiedzieć, że był synem Stanisława Zamoyskiego prezesa Senatu i Zofii z Czartoryskich, córki Ks. Jenerała Ziem Podolskich a tutaj muszę się zatrzymać.

Panią Zamoyską poznałem, kiedy dobrze przeszła południe lat niewieściach. Pani ta, sławna z piękności, uroku i cnoty, nie była doświadczyła jeszcze bólów, które ją przy końcu żywota nawiedziły, ale na tej twarzy, na której zdawało się „że zimę oglądasz przy wiosnie“, wyryte było świadectwo ciężkich i podniosłych prac i usiłowań, które towarzyszą życiu w wyższych sferach społecznych, kiedy się chce zadosyć uczynić obowiązkom żony, matki i pani. Matka siedmiu synów i trzech córek, prawdziwa matrona: wiek poezji otoczył tę rzadką osobistość, a dzieci słusznie napisały na grobie te piękne z księgi Machabeuszów słowa: „Każdego z synów słowami mądrości napominała“.

Nie były te napomnienia próżne, Bóg im błogosławił.

Andrzej Zamoyski urodził się r. 1800, przebył nauki po większej części za granicą; kształcił się na wojskowego i odbył kurs inżynierii. W matematyce biegły, kilkoma językami władający doskonale, powrócił do Warszawy. Wojskową służbą nie poszedł, ale mając lat 22 wstąpił do komisji spraw

wewnętrznych, na której czele stał podówczas Tadeusz Mostowski, a dyrektorami byli: Koźmian, Staszyc i t. d. Od pierwszej chwili odznaczył się uporczywą pracą, zapalem dla dobra kraju, poczuciem obowiązków i wyższemi poglądy. Młodego urzędnika cenił wysoko niełatwy i niepobłażliwy Mostowski. Mostowski, poseł znakomity sejmu czteroletniego, polityk i literat, brał udział przeważny we wszystkich sprawach krajowych od lat czterdziestu. Nie obcy narowom wieku i społeczności, w której żył i kształcił się, odznaczał się wielką miłością kraju, trzeźwością poglądu i tą bezwzględną stanowczością w obejściu, którą daje poczucie osobistej siły i wyższości.

Pod taką nawet ręką nie stracił swej niezawisłości Zamoyski, a minister oceniając zdolność dużo niższego w porządku służbowym urzędnika, używał go do opracowania albo przeprowadzenia najważniejszych projektów. Praktyczny umysł Zamoyskiego miał się zaraz pożytecznych ulepszeń, wystrzegając się ogólnikowych chęci i narzekania.

Po zaborze porozbiorowym, po wojnach Ks. Warszawskiego, wszystko w kraju leżało odłogiem. Prawdawcze i administracyjne działanie samodzielne, wewnętrzne, do którego, nie zapominajmy nigdy bądź co bądź, cesarz Aleksander stworzył nam pole, w kilku latach piękne przyniosło owoce. — W tych kilku latach powstało na polu prawnem, nowe hipoteczne prawo, kodeks karny, pierwsza księga kodeksu cywilnego; na polu przemysłowem i ekonomicznem Towarzystwo Kredytowe, Bank Polski, fabryki górnicze, kanały i drogi. W tych latach powstał i kwitnął Uniwersytet warszawski. Grono młodych i zdolnych ludzi pracowało z zapalem. Jelski, Łęski, Tymowski, Michałowski, Leon Sapiela, Tys, Hołmanowie, I. K. Wołowski, Fryderyk Skarbek: jak dali swoją pracę, tak połączyli swe imię ze zbawiennemi usiłowaniami na polu administracyjnem, prawnem, naukowem. Pamiętam doskonale te czasy i tych ludzi, sam znacznie młodszy, ale żądny zająć pomiędzy nimi miejsce. Nie było

wytrwalszego i z większą inicjatywą jak Andrzej Zamoyski, a dziwnym trafem, albo raczej nagrodą, danem mu było zamiary młodości spełnić w kilkadziesiąt lat później. Tak było co do projektowanego mostu stałego na Wiśle, tak co do więzień poprawczych dla młodych przestępców. Nauka dla każdego, jak użalać się nie należy, kiedy na razie nawet zdrowe nasze zaniary nie mają uznania. Wielu ma sobie już za zasługę, kiedy myśl zbawienną rzuci, i wielu zawodzi żale, kiedy takowej odrazu władza albo opinia nie uzna. Ale nie dosyć dobrą myśl podjąć, dla tej myśli należy czasem lata pracować, waleczyć, zdobywać. W pośród tych prac wchodzi w związek małżeński z ową Różą Potocką, o której Varnhagen v. Ense, spotkawszy ją w Paryżu u panny Mendelson mówi z uniesieniem, że w życiu podobnego dziecka nie widział. To cudowne dziecko stało się czułą, wytrwałą i ukochaną od męża żoną. Obowiązki ojca i męża żadnego uszczerbku nie przyniosły obowiązkom męża i obywatela, praca nie ustawała, ale stanowisko, które zajmował, rosło.

Przyszedł rok 1830; czterech braci i dwóch szwagrów: Leon Sapieha i Tytus Działyński służyli wojskowo, Andrzej urzędował; wyprawiono agentów do różnych dworów. Nie było ważniejszej dla nas podówczas potęgi jak austriacka. Wysłani do Wiednia Jelski i znany z wojen hiszpańskich pułkownik Bojanowicz, zdołali tylko dotrzeć do Ołomuńca, dokąd wyjechał z rozkazu kanclerza dla wysłuchania ich, główne Metternicha posiadający zaufanie hrabia Adam Clam Martinitz (ojciec znanego i cenionego w Krakowie Henryka). Zaenę Ludwik Morsztyn, niby prywatnie osiadłszy w Wiedniu, użyteczne i trafne dawał rządowi narodowemu wskazówki, a przygotowywał dobre usposobienie; wszakże szło o to, aby genialnemu ministrowi spraw zagranicznych osobiście i gorąco przedstawić, że to ostatnia chwila do wstrzymania rosyjskiej przewagi. Książę Adam Czartoryski wysłał po dwakroć pana Andrzeja. Nie tylko paszportu odmówiono do Wiednia, ale komory ostrzeżone, a kordon choleryczny okalał granicę. Po kilku dniach zabawy w Bobrku, upatrzywszy noc ciemną,

w bród przebywa Przemszę pośród strażów kordonu. od których go opatrność zachowuje. Przybył do Wiednia i niespodziewanie naraz stanął w gabinecie ks. Metternicha.

Gabinet austriacki, który z początku uważał rewolucję jako uliczną sprawę, po kilku miesiącach poważnej wojny zmienił swe usposobienie. Cesarz Franciszek pod rubaszną powierzchownością miał rozum przenikliwy; rozbiór Polski uważał jako przegraną Austrii, a o utracie Galicyi mawiał zawsze jak o ewentalności, na którą przygotowany ks. Metternich w pełni podówczas zdolności swoich, czuł że to była ostatnia chwila powstrzymania Rosyi, kiedy tak niespodziewanie część jedna Polski mogła opór jej stawić. Rząd austriacki powołał do Wiednia, przydzielonego do głównej kwatery rosyjskiej agenta swego wojskowego pułkownika Kaboga. Wskutek narady Austriya dała pułkownikowi Kaboga misję pośredniczącą, ze stanowczem żądaniem zawieszenia broni. Jaki wpływ na tę decyzję wywarł Andrzej Zamoyski, powiedziec niepodobna, ale to pewna, że był głównym jej czynnikiem. Z pułkownikiem Kaboga dniem i nocą spiesząc stanął pod Warszawą 8 Września rano!!!

Już nie było miejsca ani czasu do pośrednictwa. Pana Zamoyskiego przyjął hr. Paszkiewicz w łóżku, na którem leżał kontuzjonowany i szorstko oświadczył mu, że go każe rozstrzelać. Po srogiej burzy trzeba czasu, aby się morze uspokoiło.

Po roku 1831 niełatwo każdy znalazł miejsce spoczynku i sferę działania.

Po kilkunastu miesiącach pielgrzymki, na jaką polskie rodziny peryodycznie skazane, pan Andrzej Zamoyski zajął się interesami ordynacyi. Oddawna Zamoyscy obrabiali myśl zniesienia pańszczyzny, a zaprowadzenia oczynszowania. Osiadłszy w dobrach ordynackich Klemensowie, cały oddał się przeprowadzeniu oczynszowania i gospodarstwu postępowemu; do tej epoki jego życia należą zjazdy gospodarskie w Klemensowie, zaprowadzenie chowu koni krwi pełnej i t. d. Zjazdy zostały zakazane, a tymczasem hr. Zamoyski więcej

z natury przemysłowice jak rolnik, a nadto nie puszczejący mimo, żadnego przedmiotu mogącego wpłynąć na dobrobyt kraju, zamyśla o żegludze parowej na rzekach Polski. Rozumiał on dobrze, że aby żegluga mogła być skuteczną potrzeba naprzód regulacji rzek krajowych. Mimo to, myśli żeglugi nie opuścił. Pierwszym statkiem parowym dotarł do Krakowa i Przemysła, a po tem doświadczeniu zawiązał spółkę żeglugi parowej, której sam był nietylko najważniejszym akcyonaryuszem ale i poręczycielem. Jak zwykle jeden przemysł wywołuje drugi, żegluga wywołała zakład warsztatów na Soleu. Topił tam swoje i rodziny kapitały, bo chciał kraj udarować nowym komunikacyi środkami, a zarazem dać zarobek zaonej młodzieży. Już podówczas osiadł stanowczo w Warszawie, umysł czynny, wynajdywał nowe działania użytecznego sfery, serce gorące przyciągało ludzi szlachetnych i dobrej woli. Od r. 1840 nie w Warszawie nie działo się bez jego pomocy, kierunku lub wpływu, był głównym ogniskiem życia w stolicy.

Warszawa ma ten osobliwy przywilej, że ogołocona z instytucyi, krępowana w ruchach, umie żywotnością zastąpić brak jednych, a wywołać drugie. Za życia Paszkiewicza nie było uniwersytetu, nie było towarzystw naukowych, nawet biblioteki, a wytworzyły się koła, to redakcyjne, to przemysłowe, to znowu towarzyskie, które zastępowały brak instytucyi, a robiły, co publiczne zakłady robić zwykły.

Nieobeszło się ani jedno bez udziału hr. Zamoyskiego; wszystkim, a mówię to na co patrzałem, dodawał podniosłości, wskazywał cel wyższy. Człowiek ten uszlachetniał czego się dotknął; i jeźliby można robić mu zarzut to ten, że zbyt siły swoje rozdrabniał, że nie umiał albo raczej nie chciał ograniczyć się w działaniu. Czy sprawy finansowe, czy przemysł, czy drobne przedsięwzięcia, jak spółka jedwabnicza, wszystko pochłaniało czas jego i siły. Już podówczas zdobył stanowisko wyjątkowe: a względem rządu utrzymał je nie zręcznością, bo tą nie celował, ale bezwzględną szlache-

tnością i energią, które imponowały nawet wszechmocnej władzy.

Aby uszanować taką cnotę, aby zużytkować taką zdolność i stanowisko, powołany jednomyślnie na prezesa Tow. Kredyt. Ziem. jedynej w Królestwie instytucyi, jakby się dziś powiedziało w Galicyi, autonomicznej. Odrazu projektowano użycie ogromnego funduszu z kar na założenie banków zaliczkowych (co się nie powiodło) i postawienie gmachu dla władz Tow. Kred., co nastąpiło. Powstaje najpiękniejsza budowa w Warszawie, która długo świadczyć będzie jakim był prezesem p. Andrzej i jak w sztuce nawet, miał smak wytworny.

Coraz bardziej przyjdzie teraz śledzić ten charakter i te zdolności. Nie idzie tu bowiem o pochwałę, ale o wytlómaczenie wielu zjawisk późniejszych i ścisły wymiar sprawiedliwości. Był to umysł mający pogląd głęboki, choć nie zbyt obszerny, więcej do analizy jak do syntezy usposobiony; w charakterze krewkim i z natury prawie gwałtownym, obok wielkiej wytrwałości był zapas prostoty, dobroci i abnegacyi niezrównany, było do zasad takie przywiązanie, że ich dla żadnych chwilowych względów nie poświęcił, ani umiał ukryć, choćby tego dobrze zrozumiany interes wymagał, trwożliwie też ze swoim badał się sumieniem, aby nie przekroczyć linii prawdy i powinności jak ją pojmował.

Zobaczmy skutki tego usposobienia. Rozumiał on dobrze, iż aby do działania zdrowego ludzi nakłonić, aby w kraju wyrobić te właśnie zalety organiczne, na których najbardziej zbywało, potrzeba skupić zdolniejszych około jakiej praktycznej roboty. Związano spółkę redakcyjną Roczników gospodarskich. Po odbytej próbie, kiedy kraj zaczął wolniej oddychać w początkach panowania cesarza Aleksandra II, proszono i otrzymano pozwolenie zawiązania Towarzystwa Rolniczego.

Rozumiano w Rosyi, mniemało wielu i w kraju, że Towarzystwo założone w myśli zrobienia z niego politycznego

narzędzia. Tylko nieznający zgoła pana Zamoyskiego mógłby temu uwierzyć; każdemu działaniu tajemnemu na głowę przeciwny, dla tego tylko może zawiązał Towarzystwo Rolnicze, aby ujęci w jego związek jawny, zaabsorbowani czynnością legalną a pełną zasługi, nie dali się wciągnąć w spiski. Nie pojmował Polski przygotowanej rewolucyą, a wywalczoną spiskiem, powtarzał że pojmował tylko Polskę, która przez pracę, naukę, bogactwo, organizację przyszlaby do takiej siły i wagi, iżby jak owoc dojrzały odpadła od drzewa rosyjskiego.

Taki był jego cel, a środki: wykształcenie ludności na podstawie cywilizacji chrześcijańskiej, zmiana stosunków społecznych i rolniczych przez oczynszowanie. Towarzystwo Rolnicze zawiązanem zostało i rozwinęło się olbrzymio, zapal budziło jak wszystko co w Polsce przedstawione pod godłem zasługi narodowej. Była to najświetniejsza chwila życia i działania p. Zamoyskiego. Towarzystwo kierowane przez wybór najzacniejszych ludzi kraju, brało jednak wspólnie z niemi swój popęd i duch od hr. Zamoyskiego. Niektórzy z przyjaciół widząc ten ruch potężny, a przewidując możebne następstwo, radzili aby w tem celu zaprowadził organizacją wewnętrzną, która zapewniałaby mu przewagę. Stanowczo odtrącał te rady, mając wstręt do wszystkiego co do intrygi byłoby podobnem, a rachując może nazbyt na wpływ osobisty. Rzadkiem rządów zwłaszcza absolutnych postanowieniem, zostawiono Tow. Rol. wpływ przeważny na położenie zasad do największej społecznej i ekonomicznej zmiany, do oczynszowania i uwłaszczenia włościan. Komitet Towarzystwa mający przygotować ten projekt wzmocniono siłami powołanemi z kraju. Tutaj po raz pierwszy spotkał się p. Andrzej z niemałym zdziwieniem a może i bólem, z opozycyą swoich, z podwójną podejrzliwością rządu. Co się działo w tej duszy, kiedy w tym czasie, przed głównym Krakowskiego Przedmieścia kościołem postawił piękną figurę Chrystusa Pana niosącego ciężki krzyż na barkach, a wskazującego niebo?

Już po dwakroć przyszło mi opisywać zbliżającą się burzę, która resztki organizacyi narodowej zmiotła z naszej ziemi. Skracam ten obraz wielom przytomny, choć małej liezbie zrozumiały, a dla mniejszej jeszcze nauczający. Zbliża się rok 1861; położenie ówczesne Europy, polityka Napoleńska, spisek ogólny rewolucyjny, objawiający się to na tle narodowem, to na socyalmem. według potrzeby rewolucyjnego stronnictwa i wedle kraju, — doprowadziły umysły do największego niepokoju, budząc, jak zawsze u nas, narodowe nadzieje. Najtrzeźwiejsze umysły uważały tę chwilę za stanowiącą: wedle swej siły i samodzielnosci żądając i spodziewając się, albo odbudowania wielkiej ojezyny, albo powrotu do instytucey w roku 1831 utraconych. Spisek teroryzował już opinią, wielu mówiąc i czyniąc ze strachu w dobrej rozumiało wierze, że czynią z miłości i obowiązku. Jeżeli dobrze uważałem, a mogłem zbliżka przekonać się, p. Zamoy-ski najmniej ze wszystkich był tym ruchem owładnięty, wierzył tylko w swoją teorią, odtrącał i adres i rewolucyjne kareń porywy, znał tylko walkę na polu organicznem, spisku nie widział albo go widzieć nie chciał; powiem prawdę nie widział, a w siłę jego nie wierzył.

Po za p. Zamoy-skim, obok niego stał człowiek, który w młodości, bo w r. 1831, odznaczał się był bystrym politycznym sądem, wymową i śmiałym charakterem w kraju; zagranicą, dyplomatyczną zręcznością. Przez długie lata, prywatnemu życiu oddany, raz tylko odezwał się głosem potężnym; było to w roku 1846; zabrzmiał ten głos szeroko jak trąba. ale nie archaniola, bo ozwał się w nim ton rozpaczny. Jednak nikt go nie posądził, aby złym był Polakiem, ci co go znali *wiedzieli*, że serce to które wrzało jak krater wulkanu, biło prawdziwą miłością ojezyny. Margrabia Wielopolski. w poczuciu olbrzymiej swej siły, był zdecydowany odegrać ważną rolę i kraj wyrwać z upokarzającego jak się wyrażał położenia. Posadzany o pobudki pychy, to do nas nie należy; my go sądzić możemy tylko według tego co zdziałał i chciał zdziałać. Bóg intencye sądzi, historia czyny.

Pilnie śledząc oznaki czasu, siedział jak orzeł samotny na skale, gotów pochwycić w silne swoje ręce każdą sposobność działania. Sposobność ta ominęła go w roku 1857 pod pierwszą cesarza w Warszawie bytność. Przywilejem ludzi genialnych, zdaleka czuł teraz burzę, która się gotowała. do Towarzystwa Rolniczego miał od chwili jego założenia niechęć.

Kiedy Towarzystwo Rolnicze liczniej jak kiedykolwiek zebrane. pod wpływem najrozmaitszych żywiołów, nadziei i tajnych sprężyn rozgorączkowane, miało się brać do załatwienia kwestyi włościańskiej. sam obok Towarzystwa występuje z myślą adresu, z żądaniem powrotu do *status quo ante bellum* roku 1831. Najrozmaitsze usposobienia miotają opinią. Licznie przytomni obywatele z zabranych krajów uważają podobne żądanie jako zdradę względem Podola i Litwy; wielu rozumie, że wskutek postawionej przez Napoleona teoryi o narodowościach przyjąć tylko można Polskę od Odry do Dźwiny. Straszny powstaje w umysłach zamęt, a spisek nie przestaje dąć w tę zawieruchę. bo sam jeden wiedział dobrze, do czego dążył i miał przygotowane narzędzia i sprężyny. P. Zamoyski odręcał myśl adresu, wedle niego każdy żądał za wiele albo za mało; on tranzakeyi nie rozumiał i dlatego to zapytany przez wielkorządcę, co by rząd rosyjski dla tego kraju mógł zrobić, odpowiedział więcej szczerze jak politycznie: „opuścić go“. Dalszy przebieg wiadomy: spisek pchał do powstania, do krwi rozlewu; oznaki żałoby, strzały na Krakowskiem Przedmieściu, procesya z poległymi do domu hr. Zamoyskiego, powtórnie podniesiona myśl adresu.

Pamięć ludzka krótka i zawodna. Wielu dziś łączy osobę p. Zamoyskiego z rnhem 1863 r. sądząc, że jeżeli mu nie przywodził, to go przynajmniej przygotował. Wzywam pamięci tych wszystkich, którzy tego wieczora byli w pokojach p. Zamoyskiego, a wielu żyje, czy do ostatniej chwili nie opierał się adresowi? Już to nie był adres margrabiego, do którego sztucznie taki wstręt rozbudzono, iż proponowane przez Tomasza Potockiego odczytanie projektu tego adresu

odrzuconem zostało, ale znana, bezbarwna redakeya, w ogólnikach cierpienia, nadzieje i potrzeby kraju przedstawiająca, tem niebezpieczniejsza, że ponieważ nie było w niej określone, wszystko znieść się i dorozumianem być mogło. I tego p. Zamoyski podpisać wzbraniał się. Od rana przydawał groźną sesją Towarzystwa — potem strzały, uspokajanie ludności, przyjęcie poległych, ustawne rady, dyskusye, wreszcie rozprawa o adresie długa i uporeczywa, do rana niemal przeciągająca się. — Wszysey stronnicy i przyjaciele, którzy byli postanowili adres podpisać, błagali, aby swój podpis położył na czele; znużony, zachwiany, nie chcąc siebie wrzekomo ochraniać, kiedy inni brali odpowiedzialność, podpisał. Czy zrobił źle albo dobrze, nie wchodzę; ale pewna że na bieg wypadków podpis ten nie wywarł wpływu. Spisek już był podkopał stanowisko hr. Zamoyskiego; używał wprawdzie jego imienia, podszywał się pod jego powagę, ale w gruncie nienawdził go zarówno jak margrabiego. Pokazało się to wkrótce na zebraniach członków Towarzystwa i delegatów, których gubernie nadesłały. Musiano jednak rachować się z tą potęgą, która tak długo krajowi całemu przewodniczyła, a dla obywateli ziemskich była rękojmnią uczciwości i martyotyżmu.

Szybko po sobie następujące: pogrzeb poległych, oddanie policyi obywatelstwu, śmierć arcybiskupa Fijałkowskiego, przesłanie adresu, misya rady stanu Karnickiego do Petersburga, doprowadziły umysły do największej egzaltacyi, a w nieporadnym rządzie wywołały anarchię tem większą, że łagodnie usposobiony monarcha, szukając drogi, na jakiej mógłby Królestwo uspokoić, nie rozumiał dokładnie ani natury, ani dążności ruchów, które się objawiały. Kiedy każde ustępstwo wywoływało nowe żądania, naraz kraj się dowiaduje, że margrabia Wielopolski mianowany ministrem.

Z szaloną odwagą, ze świadectwem czystego sumienia, z gotowym do przeprowadzenia politycznym planem, staje u steru kołatanego straszna burzą okrętu: mówię u steru, bo każdy kto znał margrabiego, wiedział, że jakiegokolwiek miałby

stanowisko urzędowe, zawsze będzie pierwszym. Tak stanęli naprzeciwko siebie margrabia z urzędowym charakterem, zbrojny siłą do przeprowadzenia reform zbawiennych i hr. Zamoyski z całym urokiem opinii krajowej, która szła za jego sztandarem: obaj ojczyznę miłujący, obaj żądni jej bytu i szczęścia.

Powtarzam, że nieczyjej nie piszę pochwały; badam, sądzę charaktery i piszę materiały do historii, muszę dojść do krańców prawdy, a jeżeli to będzie z bólem dla niektórych czytających, niech raczą wierzyć, że stokroć większy miał ból piszący. Pan Andrzej Zamoyski przez lat trzydzieści pracował dla kraju; jak pracował i jakie były tej pracy skutki, wykazał z najściślejszą prawdą, bez żadnej przesady Stanisław Tarnowski. Ta praca doprowadziła społeczeństwo nasze do moralnego przebudzenia, do stanowiska wyjątkowego; jak powiedziałem, był królem, hetmanem i kapłanem:łożył na to zdrowie, majątek i szczęście domowe, a chociaż przekonany jestem dlatego że go znałem, iż nie miał na celu osobistej chwały i wyniesienia, to jednak był człowiekiem, i ta chwała i to stanowisko musiały mu być drogie. Człowiek choć pokorny ale podniosłego ducha, ma upodobanie w tym wpływie, który ułatwia czynienie wiele dobrego i ma nagrodę w uznaniu ludzkim. Margrabia, jeżeli uznania nie zmujejsza, to ten wpływ mu odbiera i jednym skokiem staje na pierwszym stanowisku. Czy było powinnością p. Zamoyskiego iść za margrabią? Tak wielu twierdzi; ale zapominają, że p. Zamoyski miał swoją przeszłość, swój program, i że za złe mieć mu nie można, iż cudzego adresu nie przyjął. Margrabia pragnie zużytkować siłę p. Andrzeja, szuka jego pomocy; następuje pamiętne uściśnienie na święconem. Cóż kiedy margrabia wierny bezwzględnej swej naturze, nie uprzedziwszy prezesa, rozwiązuje Towarzystwo rolnicze i robi to w sposób tak bolesny i drażniący, jak go tylko niechęć osobista zrobić mogła.

Działanie p. Andrzeja było skończone. Nie przeszedł do spiskującego obozu, nie przeszkadzał działaniu margra-

biego — wielu z najzdolniejszych jego przyjaciół politycznych weszło do organizacyi urzędowej, którą nowy minister a później naczelnik rządu wprowadził, i weszli z zupełną dobrą wiarą. Co do mnie, uważam program margrabiego jako bardziej praktyczny, a zatem bardziej polityczny jak program, albo raczej teorię p. Andrzeja. W politycznym ustroju państwa, chcąc co zrobić albo przygotować, potrzeba stawiać instytucye, wskazywać praktyczną sferę działania, siły społeczne pobudzać do pracy na wytkniętej drodze i do wyrażonego celu. Ogólnikami można wznosić obudzić uczucia i usiłowania, ale będzie to robota, użyteczna zapewne, lecz tylko przygotowaweza, bo jest to utopia, aby naród bez samodzielnych instytucyi, mógł wyrobić sobie tę siłę moralną, która pokonywa mocnego ciemńyciela. Przyznaję, iż rządzić, Towarzystwem Rolniczem tak zorganizowanem jak było podówczas i które mogło się stać co chwila narzędziem spisku, było niepodobnem, ale niemniej dla tego usprawiedliwić winienem ja i każdy człowiek bezstronny p. Andrzeja z robionego mu zarzutu, że odmówił pomocy w nowej politycznej organizacyi kraju. Margrabiemu usiłowaniom oddałem po dwakroć publiczne uznanie, kiedy nikt nie śmiał podnieść głosu w jego obronie, da Bóg i czas skompletować materyały, to może kiedy przyjdzie mi przedstawić zajmującą i wspianą tę postać we właściwem świetle, ale margrabia sam bez czyjegobądź udziału dobrowolnie wziął ciężar sprawy publicznej na barki, jego było rzeczą pozyskać stronników i przyjaciół; tak robią ludzie polityczni — narzekać na opuszczenie nie wystarcza i nie należy. Nieusprawiedliwia to bynajmniej kraju, że go opuścił, że ceniąc jego usiłowania, ze strachu ich nie poparł; że odtrącił instytucye zbawienne, jak rada stanu, rady powiatowe, a spiskowi dał się powodować. Temu winna była tak zwana organizacya biała, temu winni byli ludzie podwójnego sumienia, co tę słabą organizacyę zaprzędali rządowi narodowemu, temu nie był winien p. Zamoyski. Już powiedziałem wyżej, jak naturze

jego była przeciwną każda intryga, każde postępowanie tajne, każdy kompromis: czyste a może zbyt trwożliwe jego sumienie nie mogło odstąpić jak żadnej zasady, tak żadnej części praw narodowych; jak odtrącało spisek, tak nie znając ostatniego słowa systematu czy programu margrabiego, przyłożyć do niego ręki nie pozwalało. Wątpił także Zamoyski i wątpił nie sam jeden w Polsce, aby plan Wielkopolskiego dał się przeprowadzić. — To co tu mówię jest tak dalece prawdą, że kiedy Wielkopolski w r. 1862 już naczelnik rządu chciał znowu zbliżyć się do p. Andrzeja, wspólnie z nim stanąć przed wielkim księciem i tak wzmocnić swoje stanowisko, p. Andrzej który wieczór na to się był zgodził, po przepędzeniu bezsennej nocy i odbytej strasznej walee oświadczył „iż nie śmiałyby spojrzeć na żonę i dzieci gdyby dobrowolnie do tych rokowań przystąpił“.

W tych słowach, które nie bez trudności przywodzę, klucz do całego jego postępowania. Pytam, dobrze te szczegóły wiedzących, czy prawda albo nie? A jeżeli prawda, kto potępi sumiennego miłośnika ojezyny za to, że cofnął się przed udziałem w działaniu, które słusznie, albo raczej nie słusznie, lecz w głębi duszy, ustępstwem od raz przyjętych zasad mu się zdawało. Nie idzie tu o usprawiedliwienie: usprawiedliwienia Andrzej Zamoyski nie potrzebuje. Idzie po prostu o prawdę, że do ostatka został wiernym swoim przekonaniom, a obrażona miłość własna nie była jak wielu mniema pobudką jego postępowania.

Andrzej Zamoyski od chwili rozwiązania Tow. Rol. stał na uboczu; czasem dał radę, czasem odezwał się z krytyką, zawsze odradzał spisku i czynnego powstania. Jakkolwiek, jak to już widzieliśmy spisek podkopał stanowisko, to jednak powaga jego była wielka, mógł wstrzymać albo paraliżować powstanie. Komitet postanowił go się pozbyć. Wzywa organizację białą do dania dowodu swego patriotyzmu w adresie do hr. Zamoyskiego. Nigdy większego dowodu zręczności nie dał komitet. Adres podany, a hr. Za-

moyski wezwany do Petersburga, dostaje rozkaz opuszczenia kraju na czas nieograniczony.

Stał przed monarchą. — Jaka nastąpiła rozprawa pomiędzy pierwszym władcą na świecie a synem ziemi podbitej, rozświetowanej, który jednak nigdy się nie uląkł i nie ugiął, tutaj nie należy. Tyle można powiedzieć, że szczerłość i godność zyskały uznanie i szacunek.

Wiadomo, że potem bawił w stolicy Francji, a jak spisek i powstanie potępiał w domu, tak trzymał się daleko od wszelkich robót, zachodów, intryg, które miały ojczyznę zbawić, a tylko przedłużyły konanie powstania. Umiał, już niepowołany do działania, być człowiekiem przydatnym — przykład jego i pogląd nie wywarły wpływu.

„Bóg sam jest wielkim“ zawołał raz w zapale pierwszy mówca chrześcijański. Prawda, ale wspaniały to także widok człowieka na podobieństwo boskie stworzonego, pamiętnego swojego początku i końca. Czasem Opatrzność zlewa obfite i różnorodne dary, aby dać piękny i pouczający przykład.

Hr. Andrzej Zamoyski rodzi się w domu zamożnym i świetnym. Od młodu wchodzi w życie czynne, pracowite, użyteczne swoim i krajowi. spełnia w trudnych czasach i powołaniach posługi zaszczytne a nie zawsze łatwe. Cnota, poczucie obywatelskie i okoliczności, stawiają go na czele kraju: wszystko mu się wiedzie i w domu i poza domem: otoczony urokiem wpływu i panowania moralnego, owej największej pokusy człowieka, ani na chwilę nie traci równowagi, lub ulega złudzeniom próżności albo pychy. — Odwraca się karta. Łamie się wszystko w jego rękach równie zawsze czystych i czynnych; z taką pracą przygotowane dzieło moralnego odrodzenia kraju tonie w pośród powodzi krwi i łez. Straty rodzinne, klęski domowe, oziębienie dawnych stosunków. „Wspaniały to dla bogów widok“ powiedział poganin, „mąż prawy z zapasach z przeciwną fortuną.“ Zapewne, ale nam wspanialszy Andrzej Zamoyski, a taki wzór dać może tylko Chrześcianin. Wytrzymał wielką powodzenia próbę, wytrzymał i próbę przeciwności. Z największą godnością, spokojnie, bez

skargi, bez zarzutów, z miłością dla wszystkich i dla wszystkiego co dawniej kochał: serce oziębło dopiero z ostatniem uderzeniem. Jest nam nauką, że nie powodzenie, nie zwycięstwo, nawet niekoniecznie skutek osiągnięty w najszlachetniejszych usiłowaniach, są największą moralną wielkością, ale czyste, niezachwiane dążenie do spełnienia obowiązku, ale cierpliwość i rezygnacya w trudach i zawodach, które się po drodze spotyka, ale poświęcenie siebie dla drugich. Z tego stanowiska, a to jest jedynie prawdziwe, Andrzej Zamoyski jest jednym z najwspanialszych przykładów, jakie historia wskazuje.

MAURYCY MANN¹⁾.

† 13-go listopada 1876 r.

Nad grobem Maurycego Manna przemawiać nie chciałem, może nie mogłem; zastąpił mnie stokroć godniejszy. Ale są ludzie, o których choć mówili, i mówili znakomicie, kaznodzieje, uczeni, koledzy, dziennikarze, znajdzie się coś powiedzieć i przyjacielowi. Rzecz dziwna, że to się mówi o takim, co ani społecznymi stosunki, ani urzędem, ani bogactwem nie zajmował stanowiska. Wszystkiego w życiu sam, walką i krwawą pracą musiał się dorabiać. Publicysta, dziennikarz, literat; z kądże ten żal tak ogólny i poczucie straty dla powszechności?

Po Bogu tylko człowiek jest wielki. Ogrom świata całego, natura, są straszne, zadziwiające, piękne; wielkie jest tylko to, co ma świadomość siebie i w tej świadomości wyrabia własnem, przez łaskę wsparciem usiłowaniem, ideał doskonałości. Dlatego badanie wielu ludzi, co sławą w świecie nie zabyli tak ciekawe; dlatego Kościół aż do zaszczytu świętości podniósł ludzi, o których świat ani wiedział, ani chciał wiedzieć.

Przejęcie uważne życia Maurycego Manna będzie dla każdego ciekawe i uczące, dla przyjaciół, dla których to się pisze, drogą pamiątką — oby tylko siły nie zawiodły piszącego, który jak nigdy w życiu, tak i tutaj nie myśli o panegiryku, ale trzeźwo nietylko pragnie opowiadać ale i sądzić. Że Mann był dziennikarzem, że przez lat 25 był redaktorem *Czasu*, to wszyscy wiedzą, ale tu przyjdzie zbadać, jakim

¹⁾ Drukowane jako manuskrypt dla przyjaciół 1877 r.

był dziennikarzem i jakie były skutki jego pracy. Ale nim do tego dojdziemy, zobaczymy jego młodość i początki.

Urodzony z Jana Manna, rodem co to nazywano Galicyanina, i matki Ernestyny von Hauseger, siostry pułkownika w. a., od dzieciństwa w trudnych chował się stosunkach. Szczupła pensya ojca nie wystarczała, matka, kobieta niepospolitego charakteru, na pół jako przyjaciółka i towarzyszka, bawiła w domu Julii z hr. O'Donnellów Wąsowiczowej. Julia Wąsowiczowa, przyjaciółka p. Rozalii Rzewuskiej, Cecyli Ożarówskiej, ks. Clary, w osobistych stosunkach ze sławnymi z dowcipu, jak Albert Mier, Jan O'Donnell, ks. de Ligne, była typem pani owego czasu. Niesłychanie oczytana, wielkiego piękna i uroku, choć w skromnych majątkowych stosunkach, przyciągała do siebie i gromadziła rozumniejsze towarzystwo obojej płci swego czasu, tak że salonik jej jak miał niesłychany urok dla starszych, tak dla młodych był niezrównaną szkołą. W tem to kole, wpośród takich wpływów przeszły lata dzieciństwa młodego Maurycego, który obok rzadkiej, zadziwiającej niemal dziecięcej piękności, zdradzał już szczególny dowcip i wielkie zdolności. Ale stosunki majątkowe p. Wąsowiczowej coraz się pogorszały. P. Mannowa odwagi niepospolitej, aby ulżyć przyjaciółce, aby dziecku ukochanemu mózdz dać wychowanie, bierze młodych ludzi, chodzących do szkół, na stancję; pracując z energią, którą tylko macierzyństwo wzbudzić może, daje synowi sposobność chodzenia i ukończenia szkoły. Chodził nie napróżno; od początku odznaczył się zdolnością, a zdając maturitatis w roku 1830 w wieku lat 15, otrzymał jedyny dany przez ciąg lat kilku medal złoty. Nauki gimnazyjalne skończył świetnie, a równorzędnie naukę życia i świata brał w tej sferze i tem gronie osób, w którym żył a w którym wyrosłi tymczasem rówieśnicy, późniejsi przyjaciele jego.

Po rewolucyi lipcowej wielu Polaków, pobierających nauki w Paryżu, przeniosło się do Genewy, która podówczas mogła się szczycić poczem uczonych profesorów, godnych tego imienia. Maurycy Mann wezwany przez przyjaciół, spieszy

oddać się pracy. Bawiła w Genewie przy synach Marya z Rzewuskich, Jarosława Potockiego żona, tak zwana wówczas ogólnie pani Jarosławowa. Kto tej pani nie znał, ten nie znał ideału kobiety. Tylko na gruncie polskiego charakteru takie dadzą się połączyć zalety. Uczucie panowało u niej nad rozumem, dlatego choć podstawą jej wychowania był klasycyzm francuski, rozrósł się na nim bujnie niemiecki romantyzm, czy pod formą literatury, muzyki, czy sztuki. Pierwsi uczeni, jak Schlegel w Niemczech, Lammenais we Francji, Orioli w Rzymie; malarze, jak Overbeck, Veit, Cornelius. to wpływali na nią, to odbierali natchnienie, a kobiece, nie męskie usposobienie jej umysłu wyrabiało z tego najpoetyczniejsze barwy, które całą tę uroczą otaczały postaci. Wpływ p. Jarosławowej. Klaudyny Potockiej. p. Custine Labédoyère na usposobienie wyobraźni i charakteru. pp. Sismondi, Rossi itp. na umysł młody, wytworzyły ten pogląd na świat serca i świat historii, które później w nim podziwiać będziemy. Pobyt w Paryżu, co wówczas było konieczne, zakończył ten cyklus pracy i wykształcenia. Powrót do kraju w czasie, kiedy pogrom rewolucyi listopadowej oddziaływał na społeczeństwo, a życie objawiało się tylko spiskiem, był straszny. Zdolnemu nad miarę, stojącemu bez majątku a z całym urokiem młodości, rozumu, nauki, radzono i chciano otworzyć wstęp do dyplomacyi rosyjskiej lub wojska. Nie było wahania ani chwili; wybrał raczej kilka lat bolesnego czekania, szukania, które dla niego było tem niebezpieczniejsze, że urok osobisty otwierał mu towarzyskie stosunki, powabne, przyjemne, a w istocie rozstrajające. Wiązała go ze szkolnych i genewskich czasów przyjaźń z Henrykiem Wodzickim. U świeżo ożenionego obejmuje pomoc gospodarską i tutaj pokazuje się odrazu zdolność do każdego jakiegobądź zawodu i potrzeba osobistej, dla utrzymania zupełnej niezależności, pracy. Na tej samej drodze bierze w dzierżawę wieś Wróżeńice z odwagą i swobodą umysłu. Przekonał się jednak, że to stanowczo nie było jego powołaniem. Przenosi się w Poznańskie, gdzie w rodzinach przyjaznych Wodzickich, Mycielskich, ks. Sułkowskich znajduje zatrudnienie

niezawisłe. Żyła podówczas w Poznańskim Karolina z Wodzickich Mycielska. Szanowna matka licznej rodziny, już dawno była przeszła południe lat niewieściich, ale i w oczach i w sercu zachowała ogień i zapal młodocności; kto by chciał wiedzieć, jak wyglądała za młodu, niech się przypatrzy niezrównanemu rysunkowi Kurowskiego; kto chce wiedzieć, jak podniosła i wyrobiona była ta dusza podówczas, niech przeczyta powieść jej: „Wczoraj.“ Dlatego o niej tu wspominać, że warto przywołać pamięć istot, które ogrzewały, ożywiały, złościły jak blaskiem słonecznym ową epokę, a nie były bez wpływu na Manna. Poznańskie miało wtedy Marcinkowskiego, Raczyńskiego Edwarda, pana Macieja ¹⁾; w Rydzynie i w Rokosowie było życie świetne: w tak ożywionem kole pośród stosunków, które nie były bez romantyczności, Mann czytany z literaturą francuską, często bywający w Paryżu, poczuł pociąg do dramatycznego autorstwa. Mann wychował się na gruncie surowych, bezględnie katolickich zasad; nie utracił ich ani na chwilę, ale świat, młodość, wyobraźnia, literatura porwały go w swój wir i bywało, że gonił za błędnymi ognikami. W podróży włoskiej poznał Aleksandra Dumasa, napatrzył się sztuk francuskich i dalej pisać na tle towarzyskich stosunków, których wiele miał przed oczami. Pisząc przed 15-tu laty do Manna w ciężkiej chwili jego życia, nazywałem te próby *juvenilia*. Nie mógł się na to zgodzić. Kochał te utwory, jak czasem rodzice najbardziej kochają dzieci wątlesze. Co do mnie zdania mojego nie zmieniłem. Mann autorem dramatycznym nie był. Zapatrzył się na złe przykłady i rozumiał, że refleksją i sztuką dadzą się tworzyć dramata, to jest wywoływać istoty żyjące. Ani sztuka kontrastu, ani znajomość serca ludzkiego, stosunków i charakterów, ani najlepiej obmyślane zawiązanie intrygi nie wystarczą na napisanie dramatu. Żyjące istoty, z żywego natchmionego źródła powinny wypłynąć, aby wiecznie żyć mogły i porwały żyjących. Autor, który potrzebuje tłumaczyć, przekonywać,

¹⁾ Mielżyńskiego.

że dobrze zrobił i tłumaczyć swoją intencję, to już nie jest poeta dramatyczny. Ale niezadługo wpadł Mann na trop właściwego swego powołania.

Wypadki dojrzewały w r. 1848. Po rewolucyi lutowej w Paryżu, marcowa w Berlinie odbiła się wnet w Poznaniu, obudziła nadzieje przedwczesne, a usiłowania nieroztropne: zgubny ferment r. 1846 zawrzał w Wielkiej Polsce, komiczno-tragiczni bohaterowie tego straszego dramatu, po berlińskich owacyach próbowali czy powstania, czy rewolucyi. Popłynęło trochę krwi, znęcali się nieludzko Prusacy nad polską ludnością, władza rządowa zyskała łatwo przewagę, ale obudzony wiedeńską i berlińską rewolucją ruch, który z ulicy przeniósł się do kościoła Ś. Pawła w Frankfurcie, nie ustawał, fale były jeszcze mocno, a rzecz prosta, nie ustawały na naszym gruncie, na którym jak zwykle obok wspólnego, jedyne go narodowego celu, dwa przeciwne prądy walcząc ze sobą, zamęt zwiększały. Aby dojść do porozumienia, aby uregulować działanie a zdobyć się na jednolity kierunek, na wzór irlandzkiej ligi, za inicjatywą zdaje mi się, Cezarego Platera, powstała organicznie bardzo dobrze pomyślana, a praktycznie przeprowadzona liga. Każdy powiat wybrał posta, narady umiarkowane przybrały parlamentarną formę, liga mogła się stać, nawet stawała się już potęgą. Pomijam jak rząd pruski, skoro tylko to zmiarkował, rozwiązał ligę; dosyć, że tu po raz pierwszy Maurycy Mann wszedł czynnie osobiście do życia publicznego. Wybrany zdaje mi się z Kościańskiego, znalazł się po raz pierwszy na mównicy i znalazł się tam dobrze, nad przyjaciół i swoje spodziewanie. Trafny pogląd, którym się odrazu odznaczył, broszura, którą napisał, wskazały człowieka politycznego i przychodzi dziś bardzo żałować, że gdy życie wolne polityczne w Austrii się otwarło, stosunki poddaństwa nie pozwoliły mu wziąć w niem udziału. Kiedy zamierały zwolna pod wpływem liberalnego germanizmu nietylko przedwześnie obudzone nadzieje bytu, ale nawet prawa przyznane narodowości naszej, traktatami i okupacyjnymi patenty w Prusiech, kiedy w Austrii walka wrzasa

na polach węgierskich, w Izbach i na ulicach Wiednia, powstał za inicjatywą kilku ludzi dobrej woli w Krakowie dziennik *Czas*. Redakcyę główną objął Lucyan Siemieński. Potrzeba było powagi tego imienia a dzielności tego pióra, aby dziennik polityczny codzienny, bez własnej drukarni, wobec niejakich uprzedzeń, z funduszem całym nakładowym 15,000 złp. czyli 3,750 r. mógł się utrzymać. Przetrwał rozwiązanie gwałtowne Sejmu w Kromieryżu, przetrwał stanu oblężenia w Galicyi początki, rozszerzył swoje ramy, ale wyczerpywał fundusze. Z wiosną 1849 r. przestąpił do stowarzyszonych właścicieli Adam Potocki z tą ofiarnością i duchem inicjatywy, które go zawsze cechowały. *Czas* potrzebował korespondenta w Poznańskim. Nie pomnę z pewnością kto, ale zaproponowano Manna. Pierwsze korespondencye były dosyć jałowe, pisane niewprawnem politycznem piórem. Sam był z nich niekontent, chciał nawet zerwać stosunek; pocieszałem go i dodawałem odwagi listami. Zaufanie, jakie miałem w jego zdolnościach, nie zawiodło mnie. Korespondencya nabierała i barwy i życia, a kiedy potrzeba było koniecznie wzmocnić siły redakcyjne *Czasu*, proponowałem mu, aby wszedł do jej składu. Tłómaczył się brakiem wprawy i nie dość jędrnym stylem polskim. Rozproszyłem te skrupuły zapewniając, że łatwo wprawa dopełni tych niedostaków, a wreszcie używając argumentu, który już podówczas zaczynał być dla niego rozstrzygającym, to jest wskazując, że to jest obowiązek. Rozpoczęła się dla niego: „Idź i czyn”.

W rzeczy samej początkowe jego artykuły ważne co do treści, nie były pisane wprawnem, polskiem dziennikarskiem piórem. Zasiadał podówczas w redakcyi politycznej dziennika Sobolewski, Waleryan Kalinka i ten zacny, prawy, skromny, a niezrównany w pracy i w bardzo umiejętnej pracy Szukiewicz. Wśród takich kolegów łatwo przychodziła wprawa, a dopiero teraz poznaliśmy główne jego usposobienia znamię, wielką siłę woli i charakteru. Żelazną wytrwałością kształcił język, nabywał wiadomości politycznych, poznawał obce mu dotąd stosunki kraju. Nieporozumienie z kierującym podów-

czas częścią polityczną *Czasu*¹⁾ skłoniło Manna i Waleryana Kalinkę do opuszczenia redakcyi. Ostatni wyjechał do Francyi i jak dziś widać, także trafił na swoje pisarskie i duchowne powołanie, Mann w kilka miesięcy powrócił. Już nie potrzebował podówczas wskazówek, rozwinął skrzydła i górnym lotem unosił się nad wypadkami, sokolim okiem z tych wyżyn obejmował ogół położenia, potrzeb i obowiązków kraju. Od tej chwili głównie należy nam śledzić Manna, nie tyle dla jego chwały, jak dla naszej nauki. Czasy Szwarcenberga i Bacha nie były łatwe. Pomijam tak upokarzający dla kraju, a straszny dla przyjaciół epizod aresztowania i sądenia bezprawnego Adama Potockiego, a przechodzę do następujących po sobie postanowień. Patent stemplowy, ustawa o indemnizacyi, prawo o żandarmeryi, odjęcie języka w szkole i urzędzie, germanizacya Akademii Jagiellońskiej. Na każdym punkcie należało walczyć i walczono, ale z taką zręcznością, że niepodobna było mimo cenzury ani zabić dziennika, ani zmusić go do odmiany kierunku.

W pamiętniku nie można opuścić żadnego wpływającego na życie człowieka faktu. W r. 1852 Adam Potocki po długim więzieniu, wybierając się dla wypoczynku na Wschód, proponuje trzem przyjaciołom wspólną podróż. Jeden mógł, nie chciał; drugi chciał, nie mógł; Mann mógł i chciał i pojechał. Powstały ztąd liczne i znakomite listy do *Czasu* i powstało dzieło trzech-tomowe: *Podróż na Wschód*. Książka nie odznacza się opisem malowniczym albo naukowym Wschodu, nie udaje ani pejzażystę ani archeologa, ale pod względem osądzenia, że tak powiem, humanitarnego i politycznego Wschodu może nie ma sobie równej. Podróż poprzedziła wojnę krymską, intrzygi dyplomatyczne były w grze pełnej, człowiek nad miarę rozumny a towarzyski, jedno wy dobył, drugie odgadł, dosyć, że poglądy jego na kwestyę wschodnią dziś mają jeszcze zupełną swą wartość i życzylibyśmy bardzo, nie tyle turystom, ile dyplomatom, aby ją

¹⁾ Był nim podówczas Paweł Popiel.

odeczytać. Książka ta, po której Mann spodziewał się słusznego uznania, rozgłosu, wreszcie zwrotu kosztów druku, przeszła niespostrzeżenie. Czemu? *habent sua fata libelli*. Czy to już zaczynała się ta koalicja dziennikarska, która później, kiedy go nie mogła pokonać, chciała ignorować, czy forma na wstępie mniej pociągająca, dość, że *Podróż na Wschód* nie miała powodzenia. Ktokolwiek wie z doświadczenia, jak autor piszący wiąże się z tem dzieckiem swej duszy, jak rachuje na jego powodzenie, ten pojmie boleść Manna tem bardziej, że moralne także na pisanie książki wpływały przy czyny. Swoim zwyczajem wytrawił ból ten nie największy, jaki go miał spotkać, i usłyszał głos: Idź i czyń. Za tym głosem poszedł i czy z równą swobodą ducha, nie wiem, ale z równą energią pracował dalej.

Czas powstał w groźnej chwili jako dziennik zasad. W galicyjskiej społeczności nie było ich, nie mogły się wyrobić pod rewolucyjną biurokracją. Galicya miała spiski, nie miała zasad. Na zachodzie rewolucye lipcowa i lutowa zniszczyły, jedna porządek tradycyjalny, druga społeczny. W tej powodzi, której ostatnie fale odbijały się i o nasze brzegi, mogły utonąć i materyalne i duchowe skarby. Kościelna nauka zatruta u nas Józefinizmem, duchowieństwo albo biókratyczne albo zaciągnięte do spisków, więc nie mogące podołać swemu powołaniu. Rdzeń ludu katolicki, choć bardzo obalamucony, w klasie oświeczonej, przeciętnie biorąc, większość przyznająca się do Kościoła, a nie umiejąca zdać sobie sprawy, że wiara to nie jest abstrakcja, ale wkłada towarzyskie i społeczne obowiązki. Partya rewolucyjna, jak wszędzie tak i u nas, godziła w Kościół, ale u nas musiała się z nim rachować. W takiej chwili i wobec takich żywiołów powstał *Czas*. Zadaniem jego było bronić moralnej organizacyi społeczeństwa, polskości, gdziekolwiek byłby jej interes zagrożony, powagi i wolności Kościoła. Od początku wywiesił ten sztandar, był dziennikiem katolickim bez restrykcyi, ale był politycznym, nie kościelnym. W narodach, w których stron-

nictwo wybitne, zorganizowane w obozy, tam, gdzie na jednej ziemi żyją dwa społeczeństwa połączone stosunkami materialnymi, a które w sferze moralnej przepaść dzieli, tam muszą być, jak są sztandary, tak dzienniki dla każdego stronnictwa wyłączne. U nas tego podówczas nie było, taki wyłączny kierunek był niemożliwy, niepotrzebny, byłby szkodliwym. Szło o to, aby zwolna puszczać i powtarzać prawdy społeczne, polityczne i religijne, a tak gotować żywioły zdrowe na przypadek szczęśliwszych okoliczności. Ile razy szło o jaką ważną kościelną sprawę, jak konkordat, sprawa papieska itp., dziennik wypowiedział zdanie swe stanowczo, bezwzględnie, ale nie grał ciągle na jednej strunie, bo to nie było jego wyłącznym powołaniem. Taką teorię postępowania zastał Mann, przychodząc do *Czasu*, i taką prowadził w praktyce dalej. Zatrzymałem się nad tym przedmiotem, bo jak zobaczymy zaraz, teoria ta wywołała ciężkie zarzuty i to ze strony, z której najmniej spodziewać się można było, a nie były bez wpływu na całą niemal przyszłość Manna.

Zasady wiary mają to do siebie, że w miarę jak człowiek głębiej przejmuje się nimi w życiu, a w ich świetle sądzi świat i wypadki, z coraz większą garnie się do nich miłością i zapalem, bo w nich widzi zaspokojenie wszystkich potrzeb duszy i serea dla siebie, a dla ludzkości prawo godzące wszystkie sprzeczności, wywołane przez namiętność, nierówne siły, a równie gwałtowne żądze. Mann w miarę jak pracował, jak się uczył, nie w księdze tylko pisanej, ale w księdze świata, w miarę jak walczył, zapalał się coraz mocniej do tych zasad, a coraz lepiej rozumiał ich całość organiczną i kamień węgielny, na którym spoczywały.

Kiedy po wojnie krymskiej zdawało się, że nastąpi chwila ogólnego pokoju i czas do prac moralnych, których Francya tak bardzo potrzebowała, pada jak piorun z czystego nieba list do jenerara Ney'a a broszura o stosunkach papieństwa do Włoch p. Lagueronniere. Mann, który już był przyszedł do pełni swych publicystycznych zdolności, odrazu zmierzł całą doniosłość tego kroku, na chwilę, jak dobrze pa-

miętał, nie miał illuzyi, przewidział wszystko, co się stać miało i stało, i zaczął pisać broszury o Sprawie Rzymskiej, które może są znakomitszą częścią, a w każdym razie najzasłużeńszą z prac tego pracowitego żywota. Czy rozumiał, że broszury pisane po polsku mogą wpłynąć na bieg wypadków nie Europę, ale świat obchodzących? Nie miał on ani tej nadziei, ani tej illuzyi, ale wiedział, że w ekonomii moralnej jakby magnetycznemi prądy udzielają się uczucia jedne drugim, w każdym razie nie chciał, aby na naszym narodzie ciążyła część moralnej odpowiedzialności, gdyby całym sercem nie potępił zamachu na Głowę chrześcijaństwa. Była to epoka, kiedy Ludwik Napoleon puścił w świat teorię swoją o narodowościach i aglomeratach szczepowych. Pochopni do chwytania choćby brzytwy, aby się ratować, Polacy dali się ująć na tę ponętę i wielu marzyło to o jedności włoskiej to o niemieckiej, a to pod hasłem zdrady sprawy narodowej. Kiedy mnożył się materiał do obrabiania literackich i politycznych pytań, obszerniej i poważniej niż można w dzienniku, Redakcyja *Czasu*, na inicjatywę Manna, postanowiła wydawać *Dodatek do Czasu*.

Wydawnictwo dosyć spore, obejmowało prace rozmaitej wartości; główne tętno było w nim zawsze zgodne z całym duchem *Czasu*; tu i owdzie wkradły się to w korespondencyach zagranicznych, to w utworach literackich szczegóły, gorszące nigdy, ale mniej poważne, światowe. W *Dodatku do Czasu* drukował Mann swoje broszury o sprawie papieżkiej, które potem w odbitkach po kraju krążyły.

Kto w naszych czasach nie rozumie i nie bierze w rachubę działania towarzystw tajnych, ten nic nie rozumie. Nie należy im może przypisywać wyłącznie wszystkiego, co się dzieje, bo przyczyny wielkich wypadków historycznych są zawsze złożonej natury; lecz nie widzieć, że w przeważnych wypadkach odegrały niestety główną rolę, można, bo wolno każdemu oczy zamknąć, albo mieć wzrok krótki; ale ludzie polityczni, śledzący sprężyny działające od wieku, doskonale umięją rozróżnić wpływy wytrawnych spiskowców. Już oko

wprawne mogło spostrzegać przedświt r. 1863. Pisma Manna, którego dotąd krajowe i zagraniczne dzienniki zostawiały w pokoju, zaczęły budzić niechęć. Prasa warszawska, używająca względnej swobody, trudnić się Mannem zaczęła. Metoda zawsze jedna, kiedy człowieka nie można zwyciężyć logiką albo nauką, a zastraszyć groźbą czy niepopularnością, zniszczyć go moralnie, przypisując jakieś mniej znaczne pobudki. Zniszczyć moralnie człowieka kryształowej czystości Manna nie było łatwo. Nie powiodło się, ale nie obeszło się bez cierpienia, bo choć gadzina żądłem nie zatruje, nie jest miło, kiedy jadem oślini. To jednak było mniejsze; kiedy naraz najznakomitsze pismo, jakie nie tylko wychodziło podówczas, ale może najznakomitsze, jakie kiedykolwiek wychodziło w polskim języku: *Przegląd Poznański* zaatakował *Czas* i *Dodatek* wogóle, a Maurycego Manna w szczególności. Ten cios był istotnie dla niego straszny. Pisał do mnie: Zbaczyszony jestem przez przeciwników, to rzecz prosta, ale jeśli jestem potępiony przez moich, cóż mi pozostaje? nie mam podstawy, nie mam racji bytu. Miał słusność. Genialny Pascal, największy znawca serca ludzkiego, dobrze powiedział: „Człowiek ma tak wysokie wyobrażenie o wartości i wielkości duszy człowieka, że pragnie żyć w niej szacunkiem i na to zrezygnować się nie może, aby był przez nią wzgardzony“. Prawda zupełna i ani cienia pychy nikt tutaj nie dopatrzy. Człowiek potrzebuje uznania, a biada samemu! Mann zostawał sam. Za ledwie dostałem numer *Przeglądu*, piszę w liście do Manna obszerny rozbiór napaści *Przeglądu*, kończąc wyrazami, że nie wiem, czy go bardziej kocham czy szanuję i podpisuję moim nazwiskiem. Listu tego, przeznaczonego do *Dodatku*, redakcyja w ówczesnym swym składzie, łącznie z właścicielem *Czasu*, mimo jakich takich zasług, jakie mogłem mieć w dzienniku, nie przyjęła.

To była najwyższa próba, na jaką to serce podniosłe było wystawione w życiu, tak wielka, że od tego czasu można rachować wstrząśnienie jego zdrowia. Ale serce jego nie wy-

schło; zrozumiał, że ani zazdrość ani niechęć nie wpłynęła na decyzją kolegów, że był prąd, przed którym wszystko się uchylało, a może też wpłynęło i nazwisko autora listu, podówczas w najwyższym stopniu niepopularne. Pochylił głowę, pochyliło się może i ciało, dusza się podniosła, pracował dalej — a była też praca potrzebna.

Kiedy Opatrzność kogo chce wyposażyć bogato, to go obsypuje takimi dary, że rozdzielone na wielu jeszczeby starczyły. Niesłychany urok rozmowy, takt wykwintny, poczucie godności, które przed wielkimi tego świata ani się uniażało, ani przeżyło przez pychę, otwierało mu stosunki obzerne. Syn niezamożnego urzędnika, wychowany przez wdowę, co niemal w pocie czoła pracowała na niego, w kraju, w którym nie mógł zostać ani ministrem ani generałem, żył nie tylko w poufalej przyjaźni najpierwszych i najlepszych swego czasu, ale posiadał ich nieograniczone zaufanie. Jak tu nie wspomnieć tak często wspominanych i Leona Rzewuskiego i tego Adama Potockiego, którego nikt nie zastąpił i który zostawił po sobie próżnię, choć przyjęte, że nikt nie jest koniecznym na świecie. Zapewne świat i tak pójdzie, ale jak pójdzie skoro podobnych nie stanie? Ktokolwiek czy obcy czy krajowy przejeżdżał przez nasze miasto, szukał Manna i badał jego zdanie. Ztąd był w możności posiadania wiadomości często niedostępnych dla innych dziennikarzy. Ztąd w *Czasie* pojawiały się korespondencje z Petersburga, Poczdamu, Paryża, Wiednia, które zwracały uwagę w całej Europie. Już w czasie, o którym mówimy, opinia o jego politycznej trafności tak była ustalona, że z najściślejszą prawdą powiedzieć można, że nie w kraju nie robiło się bez jego rady lub współdziałania. Niech jednak nikt nie rozumie, że takie stanowisko przychodzi darmo albo łatwo. Mann krwawo pracował, zdrów albo chory, zniechęcony albo swobodny, do późnej nocy pisał, wertował dzienniki, a w dzień siedział za redakcyjnym stołem.

Po wojnie włoskiej następuje zmiana systematu. Kontestują hr. Gołuchowskiemu inicjatywę w zwołaniu wzmo-

enionej Rady Stanu i wydaniu patentu październikowego. Co do mnie nie pojmuję tego; stokroć wolę przypisać najpolityczniejszy akt obecnego panowania rodakowi, niż szukać ojcostwa w węgierskim obozie. Patent październikowy wyszedł pod firmą Gołuchowskiego, Gołuchowski był zdolny podnieść myśl tak trafną, jemu po laskawym monarsze należy ztąd chwala. Ale jedne fakta wywołują drugie: zaledwie rozbudzone zostały przycisnięte uczucia kraju, wnet powstała myśl deputacyi do Wiednia, a programem jej i całego następnego działawia, artykuł *Czasu* z d. 15-go grudnia 1859. Proszę odczytać ten artykuł, a jest w nim wszystko czego kraj do dziś dnia się domaga, nad czem pracuje. Takich artykułów programowych, nie piszą ani Jan, ani Paweł, takie artykuły pisze kraj cały, ale sześliwy ten, w którym się skupiają myśli i pragnienia kraju całego i który umie im dać wyraz.

Kiedy patenta lutowe zwiechnęły drogę, po której Austria postępować miała, rozpoczęła się polemika dziennikarska i parlamentarna walka, która może byłaby poszła naturalnym i spokojnym torem, gdyby gotujące się w Królestwie Polskiem wypadki nie były zwróciły w inną stronę i namiętności kraju i rozpraw dzienników. Równocześnie *Czas* stawiał program, który deputacya galicyjska popierała w Wiedniu, a Towarzystwo rolnicze obradowało nad kwestyą włościańską w Warszawie. Czuć już było chmury gromadzące się od południowego wschodu i zachodu. Spotkały się nad Warszawą, wiecher rewolucyjny zatoczył je w straszną trąbę, która miała zniszczyć na ziemi naszej reszty odrębnego narodowego bytu, wiarę, język, naukę, prawodawstwo, a rzucić w paszczę schyzmy i rusyfikacyi Litwę i Ukrainsko-Podolskie kraje. Lat temu dwanaście piętnowałem po raz pierwszy ten ruch malkobójczy nie przychodzę przeto z radą i sądem po wypadkach, ale sądziłem je kiedy były najgroźniejsze, tak jak co nie było trudne, przepowiadałem co miało nastąpić. Wolno zatem każdemu potępiać zdanie, jakie wypowiem; ale nie wolno nikomu mówić, że przychodzi po niewczasie. Z bólem strasznym przychodzi wspominać te czasy, ale niedawno, z powodu

utworu dramatycznego¹⁾, który wierną był tylko fotografią wypadków, powstały głosy dowodzące, że pokolenie obecne ze strasznej tej nie korzystało nauki. Dlatego choć wiem dobrze jak uprzedzenie czytać nie zwykło trzeźwego przedstawienia prawdy, wypowiem o ile do wątku opowiadania potrzebną będzie.

Stronnictwo rewolucyjne spiskować nie przestaje; z dziwnym instynktem umie wybierać chwilę i grunt do swojego działania. Za rządów Cesarstwa spiskowanie było na porządku dziennym we Francyi, a przyczynę łatwo odgadnąć. Teorya jako cel polityczny przez cesarza głoszona o narodowościach, niezrównaniem było narzędziem, Polska podówczas najlepszym gruntem. Ponieważ zaś, spiskowym nie szło ostatecznie o Ojczyznę, więc hasłem był Garibaldi, j e d y n y, Józef i nie było też zajazdu, poczty, handlu, gdzieby jego portretu nie było. Jako przekleństwo wyłącznych rządów szlacheckich w Polsce, miłość Ojczyzny zwolna tylko zstępowała w niższe społeczne warstwy, ogarnęła stan średni i tam głównie pod hasłem polskości najliczniejszych i pełnych najlepszej wiary zyskał spisek uczestników. Prowadzony w najwyższy sposób umiejętnie, wyzyskiwał szczerą wiarę ludności i wiązał przysięgą za sprawą przeniewierczych kapłanów. Przekonany jestem, że ani p. Andrzej Zamoyski, ani margrabia Wielopolski, nie znali potęgi i rozległości spisku.

Kiedy strzały padły na Krakowskiem-Przedmieściu, i pięć ofiar zaciekłości i niezręczności władz rosyjskich, było to dla spisku pożądanym wypadkiem, który też natychmiast wyzyskał. Znany dalszy przebieg wypadków. Kiedy na ulicy polskiego miasta pada pięciu obywateli od kul rosyjskich, to nie wchodząc w głębsze przyczyny, łatwo pojąć, jakie to robi wrażenie na publiczności polskiej. *Czas* w pierwszej chwili tak zrozumiał ten wypadek: „Te pięć ofiar padające na ulicy od kul rosyjskich to znaczy: obecnego stanu rzeczy dłużej znosić nie możemy, wolimy śmierć.“ W *Czasie* ważyły się podówczas podwójne prądy. Gorący ale trzeźwy udział

¹⁾ „Dramat bez nazwy“ drukowany bezimiennie w Przeglądzie Polskim 1874 r.

dla rozwijających się wypadków, które ujmował w praktyczne rezultata margrabia Wielopolski, i sangwiniczne nadzieje pędzące poniekąd do czynu na podstawie wskazówek dawanych z Zachodu. Za ledwo margrabia rozpoczął praktyczne swe reformy, Mann, który rozumiał doskonale dążność i potęgę spisku, a genialne Wielopolskiego cele mógł odgadnąć z dawnych z nim stosunków, naszkicował w pamiętnym artykule dziennika tę potężną postać, która wpośród groźnych wypadków tylko rosła. Ale nie zawsze w *Czasie* kierunek Manna przeważał: namiętności były nadto gwałtowne, *Czas* płynął na niebezpieczne wody, sumienie Manna zatrwożone, a było to sumienie bardzo delikatne, jak być powinno zawsze, a rzadko bywa u dziennikarza, walki tej wewnętrznej zdrowie jego już zachwiane znieść nie mogło, zażądał urlopu w czerwcu 1862 r. Ówczesny właściciel *Czasu* p. Wincenty Kirchmayer, wykonywał prawa patronatu prawdziwie hojnie. Nie użył nigdy dziennika do żadnej spekulacji giełdowej. Dla korzyści liczby prenumeratorów nie zmieniał albo modyfikował zasad, sumieniu za cnej redakcyi zostawiał kierunek, a pracę redaktorów umiał oceniać. Zgodził się na całoroczny urlop, zachowując pensyą. *Suum cuique*. Ciężka choroba w Ems, pobyt kilkomiesięczny w Rzymie, gdzie umiał być bardzo użytecznym, wypełniły resztę r 1862 i cały niemal 1863 r. W końcu tego roku powrócił.

Już pogrom powstania zbliżał się do końca, iściło się, eo był przewidział, prąd jednak był tak niesłychanie silny, że nie powstrzymać go nie mogło. Słabły siły, nie słabła namiętność ani popęd dawany z dołu. Pochwyciły się za bary jak dwa tytany duch rewolucyi i mongolskiego caryzmu. Straszne to było ściśnięcie. Runął duch rewolucyjny, padł, i jak niegdyś szatan w Miltonowskim piekle, zastał od Odry do Dźwiny szczątkami swemi całą krainę. W chwili pogromu mało kto ocenił jej skutki; odgadł je odrazu bystry rozum Manna. Zrozumiał, że tu w grze nie była sama tylko wola cesarza, ale że wszystkie demoniczne siły, ukryte w głębi narodu rosyjskiego, stanęły nietylko obok niego, ale za nim

i posuwały naprzód. Nienawiść historyczna, poczucie krzywd wyrządzonych Polsce, fanatyzm religijny budzący się naraz, instynkta socjalistyczne, pycha narodowa, wszystko łączyło się razem, aby zgnieść na proch powalonego wiekowego przeciwnika. Nie było środka, któregooby nie użyto, aby namiętności pobudzić. Czy kto czytał broszurę, popularnym napisaną językiem, a rozrzuconą w tysiącach egzemplarzy: *Prawda ruska i krzywda polska?* Co tylko umysł zdolny a przewrotny wymyślić może, aby poruszyć nienawiść ludu prostego, a gwałtownego, wszystko tam znajdziesz, i kiedy *Moskiewskie Wiadomości* pobudzały klasy cywilizowane, takimi środkami rozwścieklono czerń, a monarcha, który początkowo próbował, trzeba powiedzieć, i łagodności i ustępstw, party takimi środkami, oddał tę nieszczęśliwą ziemię na pastwę idealistów i filozofów. Znalazł się też, jak zwykle w takich razach, człowiek, w którego głowie te różnorodne żywioły miały swój wyraz, a w ręce narzędzie. Ks. Czerkawski, bo o Murawiewie nie ma co mówić, przewrócił swojemi ukazami tę społeczność, a zalał ją swoją szkołą. Cztery ukazy, rządzące Królestwo, a mające być wprowadzone przez komitet, zagrzmiały nad Polską.

Ukazy te były już dostatecznie ocenione; warto jednak przypomnieć, że ukaz rządzący gminy, miał wielkie zalety i że z wyłączeniem artykułów, mających wprost polityczną tendencję, mógł wiele przyłożyć się do organizacyi społeczeństwa. Rozumiano, że to koniec, Mann znown zrozumiał, że to dopiero początek. On, który zaraz w latach 1861 i 1862 odgadł w pamiętnym artykule ową postać, która z taką potęgą i siłą opanowała nie wypadki niestety, ale władzę; on teraz w ciągu kilku numerów dziennika dodawał obywatelstwu Królestwa Polskiego otuchy, zachęcał nie do biernej opozycyi, ale do czynnego udziału we wszystkich stanowiskach dostępnych, zaklinał, aby zlewało się z ludem, miłością i wspólną w urzędach pracą, słowem, w nowem położeniu pełniło obowiązki przewodnika narodu.

Było to właściwością Manna przez ciąg całego dzienni-

karskiego zawodu, że obejmował sprawy całego polskiego narodu pod jakimkolwiek bądź zaborem. Każdej z rozdzielonych części doradzał, każdą zarówno kochał, dodać winieniem, każdą znał najdokładniej. Ale rzecz prosta, trudnił się najbardziej sprawami naszego koronnego kraju. Zajął on po powrocie z innymi zaenymi redaktorami *Czasu* stanowisko równorzędne, ale ta przenikliwość poglądu, którą rozumnie uznawali koledzy, dawała mu niejako przywilej kierownictwa w politycznych sprawach, może bardziej jeszcze w wewnętrznych aniżeli zewnętrznych. Napisać artykuł do dziennika obok wprawy do pióra i jakiej takiej znajomości przedmiotu, rzecz łatwa; nie ma o czem mówić. Ale przez ćwierć wieku przemawiać w każdej sprawie odnośnie do pewnych zasad, nie stanąć nigdy ze sobą w sprzeczności, każdy wypadek uważać za tło i przykład do zastosowania, objaśnienia, wytłómaczenia zasady, słowem na praktyce wyklądać i nauczać teorii politycznej, tak aby wchodziła w życie, w uczucia, aby wykorzeniła przesady, a siała zdrowe, organiczne pojęcia, to już nie dziennikarstwo, to kurs polityki, to księga żywa prawa, czytana z wysokiego pulpitu, jak niegdyś księgi Pisma, dla nauki ludu czytane w Świątyni jerozolimskiej.

Taka to była przez lat 25 praca Manna. Dorobił się był przez ten czas i nauką książkową i żywą nauką politycznego świata, w którym żył i działał kompletnej i prawdziwej teorii prawa publicznego, które mu też na każde pytanie dawało odpowiedź, a wyjście z każdej trudności. Odwołuję się tu do jego kolegów; dadzą świadectwo, jak szybko, łatwo i stanowczo w każdej orientował się sprawie, wystarczało mu zastosować swoje zasady, swoją modłę do każdego wypadku, aby go osądzić. Ztąd ta jednolitość *Czasu* przez lat 25, której bliżej, nie tyle może dla jego pochwały, jak dla naszej nauki przypatrzeć się warto. Polityka lub kto woli prawo publiczne, ma jak każda inna nauka stronę teoretyczną spekulacyjną i praktyczną. Każda z nich ma swoją sferę, swoje zasady, głównie może swój język. Na to uważa bardzo mało ludzi, trudniących się publicystyką, ztąd przenoszenie

ustawne pojęć, zwłaszcza definicyj z jednej w drugą. Ztąd zamęt i trudność wzajemnego zrozumienia. Teorya polityczna ma zasady ogólne, absolutne, odnoszące się do całej ludzkości uważanej jako jedność, dlatego jak wychodzi z ideału, tak bez żadnej transakeyi stawia postulata. W praktyce polityka, nie bez związku z teorią, stosuje ją logicznie, a nie matematycznie, z uwzględnieniem historii, żywiołów składowych, geograficznego położenia, instynktów rasowych; dlatego to najzupełniejsze prawdy teoretyczne albo nie mają zastosowania w praktyce, lub ściśle stosowane sprowadzają największe nieszczęścia. Gdyby było miejsce i czas po temu, wykazałoby się, jak dziwnym wypadkiem, jakby ironią losu, to co w teorii zdaje się największą prawdą, w praktyce polityki jest największym błędem, i dlatego to zmysł praktyczny tak wielką w sztuce rządzenia odgrywa rolę, i dlatego ludzie stanu, którzy największe w świecie po sobie zostawili ślady, nie wstępywali zwykle na katedry profesorskie. Ale co mniej potrzebne ministrowi, to konieczne prawdziwemu dziennikarzowi i dlatego nad tym tyle rozszerzyłem się przedmiotem, że Mann właśnie tę różnicę znał, tę naukę posiadał i dlatego mógł się nią posługiwać.

Dyplom październikowy był zneutralizowany patentami lutowemi; walka wewnętrzna żywiołów poruszonych przez pierwszy, i żywiołów, co za pośrednictwem ostatnich przyszły do władzy, wywołała ministeryum Belcredego. Zdawało się, że kraje do Rakuskiego domu należące, przybiorą wskazany im przez naturę ustrój federacyjny, kiedy upór Węgrów, klęski wojny r. 1866, a może głównie ministeryum Beusta, doprowadzając do dualizmu, ubezwładniły na długie czasy najpiękniejszą monarchię na świecie. Jak wytłómaczyć ustępstwo korony i nieporadność innych krajów? Rokowanie Czechów z Polakami, a Mann miał w nich udział, bo był pierwszym człowiekiem, którego widział Zeithamer za przybyciem do Krakowa, nie przyniosły owoców. Kto był winien na konferencyi Polaków z Czechami w Wiedniu, nie wchodzę; to pewna, że Sejm wysyłając 2-go marca deputacyę do Rady

państwa, popełnił błąd, który naprawić się nie dał. Przewidział to Mann; nadludzkie robił usiłowania, aby tę klęskę odsunąć: napróżno. Chwila ta, może jedna z najważniejszych w jego zawodzie dziennikarskim, wpłynęła potężnie nie tylko na sprawy Galicyi, ale na sprawy całej monarchii; osamotniła Czechów, zdała Słowian węgierskich na łaskę Madziarów, przygotowała wybory bezpośrednie do Rady państwa. Co popełniło na tę drogę? Jakaś dziwna, niezrozumiana słabość wielu z naszych ludzi publicznych do Węgrów, a może także zręcznie wyzyskane związki tajne z lat dawnych.

Ostatni lat dziesiątek był niesłychanie ważny dla naszego kraju, jak przez to co zrobił, tak przez to co zaniedbał. Prawo gminne, organizacja władz autonomicznych, ustalony stosunek prawny Rusinów, Rada wychowania. Do narad nad prawem gminnym był urzędownie wezwany, do układu zarysu należał; wiadomo, jak od lat 20 w sprawie ruskiej przemawiał; pisał, aby Rusinom przyznać równorzędność; był w tej illuzyi, a nie on sam jeden, że Śto-Jurców zaspokoi sprawiedliwość, kiedy oni żądają panowania. Powstały z czasem wprost przeciw *Czasowi* stawiane dzienniki: *Wiek*, *Hasło*, *Kraj*. Tutaj dopiero trzeba było widzieć ciekawą tę osobistość, przygniecioną chwilami pracą i zdrowiem, budzącą się z nową siłą i energią, a w końcu pobijającą przeciwników to siłą rozumowania, to powagą milczenia.

Przyszła rezolucya. Zrozumiał on doskonale, nie powiem, jej doniosłość, ale raczej jej nicłość. Odradzał, ostrzegał, ale Sejm ją przyjął imieniem kraju; deputacya w Wiedniu popierała płód ten niefortunny, charakteru zawsze czystego, umysłu zwykle trzeźwego. *Czas* jako dziennik krajowy, Mann jako redaktor, mieli sobie za obowiązek popierać głos Sejmu i deputacyi. Było to najwyższe poświęcenie, na jakie miłośnik solidarności zdobyć się może. Jak zaś umiał rozróżniać, co i kiedy należało, mamy dowód, iż gdy pokrywał milczeniem lub słabem poparciem rezolucyę, która wyszła z kraju, to umiał potępić bezwyznaniowych członków Reichsratu i kiedy dziś nasi deputowani uznali za właściwe milczeć w czasie

dyskusji o sprawie wschodniej, Mann już mówić nie mogąc, słabnącą ręką nakreślił surowy sąd postępowania deputowanych w Galicyi.

Przeszedłem cały ciąg jego postępowania w sprawach krajowych, bo ciekawem było sprawdzić, że nie było ani jednej, którąby był obojętnie albo lekko pominął, i zatwierdzić prawdę słów wyrzeczonych przez najwymowniejsze usta nad jego grobem: że kiedy wszyscy mylili się, Mann nie mylił się jeden i nigdy.

Kiedy *Czas* powstał, powstanie grzmiało w Wiedniu i na Węgrzech, kule rozpalone padały na gmachy Lwowa, bagnet rozstrzygał ludowe ruchy w Niemczech, po strasznych dniach czerwcowych zaledwo uspokajały się wzburzone fale paryskiego motłochu, Ojciec Śty uchodził do Gaety, kiedy najszlachetniejszy z publicznych mężów włoskich padał pod nożem zbrodniarza, co był tylko narzędziem daleko większych zbrodniarzy.

Czas miał jako zadanie politykę i został mu wiernym, ale ludzie, którzy go założyli, wiedzieli, że podwójna natura ludzkości podwójnego także potrzebuje kierunku w organizmie politycznym i duchowym. Wiedzieli, wierzyli, że ostateczne cele człowieka są poza tym światem i że ustroj społeczny jest tylko koniecznym środkiem, aby dojść do tych celów, i że ten ustroj o tyle da się przeprowadzić, o ile oparty na pierwiastku moralnym, a o tyle będzie doskonalszym, o ile ten pierwiastek bardziej się zbliży do absolutnej prawdy, tak jak nam podana w nauce Kościoła katolickiego. Wiara silna w nieomylność tej nauki, przekonanie nadto na całej przeszłości historycznej oparte, że ona jedna pośrednio utrzymać potrafi i tradycję ojczyzną, wkładały na założycieli i redaktorów obowiązek nie tylko bronięcia Kościoła zawsze i wszędzie, ale nadto ogłaszania, rozszerzania tych prawd, które dlatego może, iż ogólnie w kraju przyjęte, zobojętniały, wyszły z pamięci i zdawały się tylko obowiązywać *forum internum* bez żadnego związku z prawodawstwem publicznem. Tak społeczność bezwiednie popadła w polityczne pogaństwo,

tem bardziej, że mu grunt przygotował Józefinizm austriacki. Należało, jak już uważałem, postępować bardzo wolno, a zarazem wzmoć siły redakcyjne w tym kierunku. Wczwany Mann odrazu zrozumiał, o co idzie. Redakcyjnej wprawy nabył przy takich kolegach, jak Szukiewicz, Kalinka, z największą roztropnością i wytrwałością prowadził dalej dzieło walki na polu kościelnem, której ani na chwilę, ani przy żadnej sposobności nie spuścił z oka. I tu jest jego największa zasługa.

Czy Ojciec Śty, powróciwszy z Gaety, w trudnych warunkach przyprowadzał porządek w Rzymie, czy ogniste mowy Montalemberta i zdrowy instynkt ludu francuskiego, posuwały na stolice świata standar trójkolorowy; czy konkordat zawierała Austria, zawsze *Czas* sprawy te wyjaśniał podług czystej nauki Kościoła, aby nikogo w mimowolnym nie zostawić błędzie, a za każdą uroczystością kościelną artykuły jego jak oddźwięk dawnych kolęd, jaśniejące nieprzebraną rozmaitością barw i wspomnień narodowo-religijnych, jak budziły miłość i wiarę, tak przez te tylko cnoty mogły być natchnione. Epoka próby, którą obecnie Kościół, a z nim my przechodzimy, trwoży ludzi słabej wiary a cieszy nieprzyjaciół, nieświadomych jego historyi. Mann wychował się, powtarzam, w najzdrowszych zasadach, nie przepłynął jednak strumienia młodości bez szwanku; ale widok tego, co się obok niego działo, nauka, z jednej strony wybryki rewolucyjnego socjalizmu, z drugiej rozkwit walki religijnej, obudziły dawny zapal, oddał zupełnie siebie, zdolności, spokój, nawet dobre imię na usługi prawdy. W miarę, jak walczył, rozjaśniło się w jego głowie i sumieniu; jasny widok ułatwiał niejako wiarę.

Ranke robi, nie pomnę już z powodu którego papieża, bardzo trafną uwagę. Mówi, że niesłychana i niezem niezwalczona siła katolickiego Kościoła pochodzi ztąd, że bez względu na czas, okoliczności, przeciwieństwa lub obawę szkody, absolutnie afirmuje swoje zasady. Prawda; ale to pominął i tego rozumieć nie mógł, że dlatego je tak afirmuje, że jest pewny

ich prawdy i ma obietnice wieczności. Dlatego ryzykuje oderwanie Anglii, raczej jakby pokrzywdził prawo kościelne w Katarzynie Aragońskiej, dlatego koncesyi dogmatycznej nie robi żadnej, dlatego potępia z bólem Tertulianów i Orygenesów. W żadnym może czasie nie wyrodziło się pod płaszczem prawowiernej teologii, tyle niebezpiecznych błędów jak w naszym. Hermès, Lamennais, Günter, Balzer aż do Döllingerowskich czasów, cóż to za szereg sług Kościoła, których naukę z bezprzykładną pilnością badając i rozbierając, Stolica Apostolska potępić musiała. Z tych błędów napozór bardzo subtelnych, wyrodziły się praktyczne, wkraczając to w dziedzinę polityki, to w dziedzinę stosunków Kościoła i państwa. Były częściowo potępione; w danej jednak chwili uznał Kościół za potrzebne zebrać te potępiające orzeczenia w jedną całość. Encyklika r. 1865 i Syllabus dały katolikom wskazówkę, jak rozeznac prawdę od fałszu. Forma absolutna a negatywna Syllabusa robiła go w najwyższym stopniu wstrętnym dla pokolenia, co nawykło wszystko rozumem rozbierać, a nawet wielu szczerze do Kościoła przywiązanych w dobrej wierze wyrobili sobie teorię pseudo-katolicką o niektórych stosunkach, które Kościół cierpiał, ale których nigdy nie uznał. Stało tu pytanie przed sądem sumienia: Czy ja się myślę czy Kościół? Zasłepieni w swoim zdaniu, to co nazywamy ruchem czasu, duchem wieku, brali za postęp świata; jak gdyby wiara mogła stać się zmienną jak polityka, a nieruchoma skała płynąć z wezbranem strumieniem. Wieczne prawdy nie mają nic wspólnego z czasem, epoki są dla nich chwilami, w których ludzkość może, mając przywilej wolności, opuścić Kościół i istotnie opuszcza go na swoją szkodę, ale wkrótce albo leci w przepaść, albo musi usłuchać głosu nawołującego pasterza.

Czy taka walka odbyła się w duszy Manna, nie wchodzi, rozumem jednak, że się bez niej obeszło, bo wiedział dobrze, że te nowe systemata, te błędy, które koło prawdy powstają i na chwilę wstrząsną jej panowanie, jak dym przechodzą, że panowanie fałszu krótkie i dlatego odrazu

stanowczo przyjął tłumaczenie takie nauki Kościoła, jakie Ojciec Śty podał, takiego bronił, nie mając jeszcze jak np. we Francyi albo Niemczech stronnictwa, w któreby korzenie zapuszczał i grona czytelników, do któregoby przemawiał. Powtórzyła się ta sama trudność po ogłoszeniu dogmatu nieomyślności.

Dziwna ekonomia Kościoła katolickiego, dziwna szczególnie dla tych, co zapominają, że Boska. Dogmat nieomyślności wniesiony na Sobór; poważne grono biskupów liczą, nauką, świątobliwością przeciwnie mu; teologowie dzielą się na dwa obozy, wierni z trwogą oczekują orzeczenia i jego skutków. Tu zdaje się tradycya przerwana, tu znowu umniejszona powaga biskupów: Niemcy podnoszą głos wątpliwy, jakby zwiastowali przyszłe odstępstwo. Cieszą się w obozie tajnym i jawnym nieprzyjaciół Kościoła, a hetman tej świętokradkiej wojny podsadza miny przez tego samego człowieka, co wkrótce miał stać się ofiarą jego zemsty, a swojej przewrotności. Nie na czasie, mówili smutno najwierniejsi synowie Kościoła; przesadą własnej zasady zgubi się pontyfikat, przebakali nieprzyjaciele. Dogmat ogłoszono, a ci biskupi niby wątpliwi, byli pierwszymi wyznawcami, jeżeli nie męczennikami; przyciągnięte cugle karności kościelnej dały kapłanom i wiernym żywsze poczucie obowiązku, prześladowanie znalazło całą potęgę duchowną, skupioną w jednej ręce, która może nią kierować w punkt najbardziej zagrożony, a wiernym wskazać, do jakich granic bierna ich opozycya dochodzić może. To wszystko rozumiemy dzisiaj, Mamm to rozumiał odrazu nie przez syllogizm, ale wprost przez potęgę silnej wiary.

Tak przeszedłem zawód pisarski, polityczny i polemiczny Maurycego Manna. W każdym czysty, poświęcony, zawsze użyteczny, a użyteczny tak, że wielkie pytanie, czy i kto go zastąpi. Pisząc dla przyjaciół, winienem powiedzieć, jaki był człowiek. Dziwnym trafem na pogrzebie Manna nie było ani jednego krewnego, ale pokazało się, że krewnem mu było wszystko, co było tylko zacnego, podniosłego, ro-

zumnego w naszym mieście. Posuwał się pochód pogrzebowy, a postępowali za nim ze ściśnioncem sercem panie, ludzie polityczni, uczeni, duchowni, wreszcie wiele nędzy; każdy jakby szczególnie osierocony; nie było tam pokazu, nie było deferencyi dla rodziny, nie było też cichych i obojętnych rozmów, bo zbyt wielu traciło zaufanego, pewnego przyjaciela, a wszyscy wiedzieli, jakiego Polska traciła szermierza. Jest to osobliwość, nad którą zastanowić się warto. W kilku, może w kilkunastu rodzinach był Mann tak zaufanym przyjacielem, że nie było dla niego tajemnicy, że najważniejsze domowe sprawy bez jego nie obeszły się rady i wiedzy, a nie powstało ztąd nigdy nieporozumienie; bo jak z jednej strony był niezrównany w radzie, tak z drugiej na milczenie jego można było rachować nie tak tylko, aby nie powtórzył, co mu pod tajemnicą powierzono, bo to prostej uczciwości obowiązków, ale wiedział, co i kiedy powtórzyć można było, choć do tego nie był obowiązany, bo to dopiero prawdziwym jest dowodem taktu, delikatności i dyskrecyi. Słowem, nie w tym człowieku nie było pospolitego. Przyjaźń dochowywał stale, a przelewał ją na dzieci i wnuki z taką żywością uczucia, jak gdyby stosunek się dopiero zaczynał. Wpływem swoim o ile mógł każdemu godnemu usłużył, hojny dla nędzy nad miarę, w sprawach pieniężnych posuwał szlachetność dalej może jak należało, na co moglibyśmy przywieść przykłady, gdyby nie odnosiły się do osób i spraw nadto bliskich; i dobrze napisał przyjaciel z młodszego pokolenia: „Rzecz dziwna, w gustach i nawyknieniach był dzieckiem swego wieku, co do uczucia honoru zdawałoby się, że go się u Hiszpanów XVI wieku uczył“.

Ci, dla których to piszę, wybaczą, że folgując własnemu uczuciu, zbyt się rozszerzam nad moralną charakterystyką ich i mojego przyjaciela; ale taką było rozkoszą używać przyjaźni tej pięknej, podniosłej, a pełnej powagi i godności duszy, że pociechą uznawać dary, któremi była wyposażona, przyprowadzić na pamięć enoty, któremi jaśniała. Syn nad wszystko przywiązany, przyjaciel pewny, obywatel pracujący

dla dobra kraju bez żadnego kompromisu sumienia z interesem. odważny wyznawca przekonań. — Czy po tem mam wspomnieć o uroku osobistym? A czemu nie. Nie mała to rzecz, choć ceni się we właściwym stopniu, obcowanie towarzyskie wykwiłtne, pełne prostoty a zarazem oglądy, wesołe bez bufoneryi, wzniosłe bez przesady. Nie mała, bo tylko tam się znajduje, gdzie z taką siłą tryska z zapasu ducha, iż to przychodzi bez pracy, bez usiłowania, więc naturalne, więc nigdy nie rażące. Dar rozmowy, ten kwiat życia towarzyskiego ginie; nie jest on potrzebny do szczęścia ludzkości, bliskie pokolenie obejdzie się bez niego, jak się obchodzi Ameryka. ale nie mniej stanowił największą rozkosz umysłów wybranych i był cechą społeczeństw o wysokiej kulturze. On to stworzył *Cortezana*, on *Dworzanina*, z niego popłynął Molierowski dyalog i humor Fredry. Ostatnim może rozmowcą (*causeur*) był Mann. Kiedy lat temu parę znalazł się w Paryżu w towarzystwie Pawła Lacroix, Jakóba Bibliophile itp. pierwszorzędných literatów, dziwił bystrych Francuzów ten Polak, co równał się dowcipem, a górował poglądem.

Niepowrotnie minęły i te chwile, kiedy wchodził do koła rodzinnego z wypogodzoną twarzą, z zapasem zajmujących opowiadań, przynosząc naukę i swobodę, i te, kiedy w ciężkich nieszczęściach przychodził dzielić ból i cierpienie, których nikt podobnie ulżyć nie umiał. i te jeszcze, których tak wiele pamiętam, kiedy w trzech lub czterech zaufanych przyjaciół, jednych co do celów i zasad, rozbierało się czasem bardzo sumiennie i głęboko, potrzeby obecności, niebezpieczeństwa przyszłości, środki zaradcze. Czasem rozmowa wznosiła się do najwyższego diapazonu, choć nikt o tem nie myślał. A była tam i butelka, bo nie było pedantycznego nastroju: *homo sum nil humanum alienum a me puto*. Tak jeden sypiąc iskry jak błyskawice, co ciemny rozjaśniały widnokrag, drugi reasumował dyskusyę, Mann zwykle praktyczną pochwyczał stronę i robił z niej praktyczny użytek.

W ostatnim lat dziesiątku z pokolenia 1830 roku umarł Zdzisław, Władysław i Andrzej Zamoyski, Leon Rzewuski,

Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Antoni Helcel, Aleksander Kurz, August Bielowski, zasłużony i przezaeny Skobel, zamknął ten szereg Maurycy Mann. Piękne to były osobistości.

My, co pozostaliśmy wśród mogił, wspomnień bolesnych, a małych nadziei, patrząc na przykłady, jakie nam zostawili, nie ustaniemy w pracy da Bóg, a widząc i karząc złe, nie ustaniemy w miłości, aby nie długo, nie podobni zasługą, ale dobrą wolą z nimi się połączyć.

ALEKSANDER WIELOPOLSKI ¹⁾.

† 30-go grudnia 1877 r.

Postać Margrabiego Wielopolskiego należy do historii. Długo, bardzo długo jeszcze, będą trwać nie tylko rozprawy, ale spory o wartość moralną, polityczną, narodową tej postaci. Dostyc, aby osądzić, jakich rozmiarów był to człowiek. Nie idzie więc tu o pochwałę; w trumnieby się przewrócił, gdybyśmy go zwyczajnym chcieli uczcić panegirkiem. Takie postaci, nie pochwały żądają, ale sądu. Ten, któremu przyjdzie wydać kiedyś sąd o Aleksandrze Wielopolskim Margrabim Myszkowskim, nie będzie miał łatwego zadania. Wytłómaczyć proces, który odbył się w tym umyśle potężnym, a ognistem sercu, aby przejść całą skalę najrozmaitszych uczuć, celów, dążeń, ten tylko potrafi, kto zbliżka i oddawna patrzył na te objawy. Czas nie wiele ułatwi, bo namiętności będą te same za pół wieku i za pół wieku będą przeciwnicy i zapaleni zwolennicy Margrabiego. Nie nam przypadnie kreślić ten obraz, do tego potrzeba klucza, którego nie mamy, a który koniecznie potrzebny dla przyszłego biografy Margrabiego, my którzy kilkakrotnie, a raz wśród najgroźniejszych wypadków oddaliśmy mu publicznie sprawiedliwość, zostawiając młodszym i godniejszym zaufania rodziny dzieło politycznego wytłómaczenia tajemnic Margrabiego, wyjmujemy kilka rysów z tego żywota, którego studyum wystarczyłoby do zajęcia kilku lat życia myślącego człowieka.

¹⁾ Drukowane w „Kurjerze Poznańskim“ 8-go stycznia 1878 r.

Wszystko tu eiekawe, młodość, sprawy sądowe prywatne, stanowisko w r. 1830, prace umysłowe i onych szczupły i treściwy owoc. — Wypadki roku czterdziestego szóstego, które stanowczo, nie wiem jak powiedzieć, złamały, zwiechnęły czy zdecydowały jego kierunek; rok 1848, w którym nie mógł dla siebie znaleźć miejsca, a w którym jednak, jak wskazał na konieczny rozdział, wschodniej i zachodniej Słowiańszczyzny tak wskazówka ta pozostała aksjomatem dla umysłów wyższych i konsekwentnych, jak Helcel i wielu innych.

Wszystko to składa się na zasługę albo winę: w każdym razie należy do ocenienia tej potężnej natury, jakich żywioł polski i słowiański nie wiele wydał. Wszystko to obecnemu pokoleniu mniej znane; pokolenie, dla którego piszemy, nie zna Wielopolskiego, prawnika, dyplomaty i gorącego miłośnika Ojczyzny, filozofa, ekonomisty socyalnego, który zniósł pańszczyznę w swych dobrach na lat dwadzieścia pierwej, nim mógł znieść ją w kraju; — obywatela stojącego niezłomnie przy godności stanowiska wobec przeważnych władców, ujarzmionego kraju; pokolenie to zna tylko Naczelnika Rządu Królestwa Polskiego, w latach 1861, 1862, 1863, jako takiego wielbi, albo nienawidzi; z nim tylko obecnie mamy sprawę.

Czy naród polski, zużywszy przed upadkiem w anarchii wolności, a po upadku w anarchii przekonani indywidualnych, swe siły organiczne, może powstać sam przez swoje usiłowania, czy też wspólnie z innym silniejszym organizmem politycznym, jest to owo wielkie pytanie, na które usiłowania dotychczasowe nie dały odpowiedzi. Wielopolski gorący miłośnik Ojczyzny — a dał tego dowód, kiedy gotów zawsze na usługi kraju, przez lat trzydzieści wolny i od władzy pożądaný daleko stał od niej, od zaszczytów i wpływu, rozumiał, że w obecnem położeniu i usposobieniu Europy, druga tylko zostawała droga. Widział rozkład, jaki postępował w ślad rządów moskiewskich; prawa idące coraz bardziej w przedawnienie, upatrzwszy, jak mniemał, chwilę sposobną

i w stosunkach zewnętrznych i usposobieniu kraju, w pośród zamieci, spisku najsilniejszego, jaki tylko wyobraźnia pojąć może, miał odwagę przeprowadzić zamiary swoje. Jedną ręką sięgnąć po udział władzy cesarskiej, a drugą trzymać i zdusić hydrę rewolucyjną, było najśmielsze przedsięwzięcie, na jakie człowiek kiedykolwiek się mógł porwać, a margrabia miał nadto doświadczenia politycznego, żeby nie wiedzieć, co go czeka, jeśli się nie uda! Tutaj rozdzieliliśmy się w drogach, ale jestem przekonany, że obok dozwolonej, a nawet chwalebnej chęci zaznaczenia swego nazwiska w wielkiem przedsięwzięciu, powodowała nim najczystsza miłość Ojczyzny. Na tę wyprawę wybrał się sam. Jakiej zręczności, jakiego rozumu, jakiego geniuszu niemal było potrzeba, aby zwalczyć na dworze niezwyčajność położenia, uprzedzenia i obawy monarchy, zawiść dworaków, a pozyskać zaufanie, władzę i urząd, tego ocenić nie potrafią mniej obznajomieni z przebiegiem i tradycją spraw politycznych na dworach; ale co ocenić każdy Polak winien, to, że tam wystąpił z godnością i powagą, która dziwiła, gniewała, ale imponowała, i tego Moskwa Wielopolskiemu nigdy nie zapomniała i nie zapomni.

Zdobył stanowisko wstępnyim bojem, głowy nie uchylił, a na tej głowie w tej chwili spoczywał majestat narodu. Margrabia, przerażony otoczenie monarchy a może i całą Moskwę swoim powodzeniem powrócił do kraju i znowu został sam.

Czemu? czy temu winien był spisek używający godziwych i niegodziwych sposobów, aby jego stanowisko zwinąć, uniemożliwić, wreszcie go się pozbyć? zapewne. — Ale bądź co bądź, Margrabia był także winnym. Człowiek publiczny, człowiek stanu powinien pociągnąć, albo zmusić do postrachu. Jak mawiał — (opinia kraju jest jak rumak, którego mąż stanu dosiąść i ujeździć powinien), tego nie potrafił; czy przyczyną tego były dawne błędy życia publicznego, w to nie wchodzi, został znowu sam; jak znowu się wyrażał: jak drogoskaz na rozstajnych drogach. Jakiekolwiek

zarzuty Wielopolskiemu robić będą, ten jeden jest słuszny. Człowiek stanu choć najczystszy, choć najgenialniejszy, musi mieć poparcie; a jeszcze raz. on był sam.

Największe zdaje się nieszczęście, jakie naród spotkać może, jest, kiedy Opatrzność odmawia mu ludzi znakomitych. Jest większe: kiedy Opatrzność ich daje, a naród uznać, ani przyjąć ich nie chce. Nie mówię już, kto znał Wielopolskiego zbliska, ale kto pilnie uważał jego zawód publiczny, jego rządy, ten przyznać musi, że w naszych czasach podobnych mu Europa mało widziała. Porównywano jego charakter i usposobienie z sławnym mężem stanu Niemiec. Gdzie rezultaty tak olbrzymio się różnią, trudno tam znaleźć punkt porównania: ale też była inna sfera działania i inne żywioły, któremi posługiwać się mogli. Wreszcie to obojętne, to zaś pewne, że w ciągu dwóch lat niespełna, doświadczając z góry i z dołu przeciwieństwa, rozwiązał kwestyę włościańską, dał krajowi samorząd, jakiego Rosya nie miała, sprawy skoncentrował w Warszawie, zaprowadził system edukacyjny, którego ślady, choć trwał tak krótko, długo jeszcze czuć się dadzą i będą ratować język i ducha narodu. I człowieka, który po nikolajowskich i paszkiewiczowskich rządach tak działał, takie prawdziwe dobrodziejstwa na naród sypał, takiego człowieka kraj nie poparł! Czemu? bo nie wiedział kraj, dokąd go Wielopolski prowadził. Że nie wiedział, to prawda, ale wiedział, że to co margrabia dawał, było dobre; że w jakiegokolwiek nawet myśli byłoby dane, umacniało siły narodu, podnosiło jego oświatę, jednym słowem, służyło w każdym razie, aby zbliżyć się do celu wszystkich uczuć i nadziei.

Ta odpowiedzialność długo na obywatelstwie ciężę będzie, i jeśli ono dziś srodze cierpi. poniekąd cierpi sprawiedliwie, boć jeżeli mogło poddać się ślepemu kierunkowi niewiedomego spisku, to stokroć słuszniej mogło wierzyć jawnemu, użytecznemu działaniu. Jakkolwiekby, słuszność nakazuje rozdzielić odpowiedzialność. Powinien był kraj uznać

Wielopolskiego, ale czy nie było jego obowiązkiem zaufać, i pozyskać zaufanie ludzi czystych, których niestety często odtrącał, bo nie wierzył milczeniu i wierności zasadom. Jeżeli kraj taki, że nie ma komu zaufać, to takiego kraju żałować nie warto, jeżeli tak nie jest, to sobie jednemu ufać i kazać ufać nie można. Czy ten błąd zrozumiał margrabia kiedy? nie wiemy, to pewno, że go srodze odpokutował. Bezstronności w sądzie, może bezwzględności, dalej, jak to czynimy, posunąć nie można, a jednak ciężka odpowiedzialność waży, już nie mówię na tych, co wprost wydali margrabiemu walkę na śmierć i życie, ale na tych małodusznych, co nie śmieli jawnie, czynnie obok niego stanąć i zapewnić krajowi dobrodziejstwa samorządu. O tem już się mówiło i niestety wypadki nadto głośno mówią: niedość, aby niepoprawny fanatyzm doprowadzić do zwrotu, dość głośno, aby podnieść zasługi zmarłego.

W ciągu całej ośmiowiekowej historii naszej, która płynie wspaniale, spokojnie, ale mniej dramatycznie, Wielopolski zostanie postacią prawdziwie tragiczną. W poczuciu sił olbrzymich a z uczuciem gorącym, zaledwie za młodu, spróbował sił swoich, to w prywatnych, to w publicznych sprawach przez lat trzydzieści, jak Tytan przywalony skałą, czekał chwili działania. Nadchodzi wybuch: kierunkiem i środkami, które uważał za jedynie możebne, chwyta władzę, chce ratować Ojczyznę, którą od młodu zapamiętałe kochał, łoży na to siły, spokój i majątek (bo uporządkowany pracą znacznie w r. 1863 zniszczył), życie na hazard wystawia, jak Laokon otoczony gadziną, sam z nią walczy w boju heroicznym, a rozpaczliwym, i patrzy ze zbytnią pogardą może, to na obojętność, to na odrętwienie, to na spisek tych, za których ofiarował najdroższe skarby życia. Co się działo w tej duszy wyniosłej, przezornej, przewidującej, na widok zaślepienia, które pędziło naród do przepaści, a nie wierząc w jego poświęcenie, bezceściło imię, o które stał, jak każdy uczciwy człowiek stać powinien. To walka między potęgą siły olbrzymiej i indywidualnej natchnionej miłością, świa-

domą czystych zamiarów, a nierozumem, obojętnością, opętaniem narodu, to jest jeden z najtragiczniejszych obrazów, jaki historia nie Polski tylko, ale świata przedstawia.

W pogaństwie bohater kończył rozpaczą i samobójstwem; chrześcjanin kończy przebaczeniem i rezygnacją; tak skończył Aleksander Wielopolski.

JENERAŁ CHŁAPOWSKI¹⁾.

† 27-go marca 1879 r.

Rodzina jenerała Chłapowskiego wezwwała mnie, abym przemówił nad jego grobem; minął mnie ten wielki zaszczyt, bo ważna publiczna sprawa nie dozwalała mi w tej właśnie chwili kraju opuszczać. A zaprawdę byłbym rad przybyć, nie po to, aby chwalić, bo to nie było nigdy moim rzemiosłem, ale aby udzielić wyrazu żalowi przytomnych, żalowi całego kraju, który płacze jednego z znaczniejszych swych synów, ale który też obok tego ma prawo i sądzić. Będzie dla sądu czas i miejsce, bo odpowiedzialność cięży na każdym, który się dotknął publicznej sprawy. Chłapowski go się nie ulęknie. Naprzód mamy sprawę z żalem pokolenia obecnego, dla którego urywa się z jego śmiercią nie tradycyi, podania tej przeszłości, która albo widziała Ojczyznę, albo walczyła z nadzieją jej odzyskania. Takiej straty nie nagrodzi, bo nie ma już sfery, w której mogliby się wyrażać i wykształcać ludzie. Obowiązki są i będą zawsze, prawych, da Bóg, nie braknie; ale jak i gdzie mają powstać rycerskie i bohaterskie postacie? Ostatni zszedł z tego zastępu, który w epoce bądź co bądź przez ogrom swej heroicznej, a opromienionej przez natchnienie geniuszu, walczył z poświęceniem. My, nawet starsi, przyszliliśmy do trzeźwego na czasy Napoleońskie poglądu; że mało czego było się po nich spodziewać, wiemy. Tego ojcowie nasi wiedzieć nie mogli i zapal ich, potęgowany przez osobistość wielkiego wojownika, był czysty i słuszny. Nie łatwo nam też przychodzi zrozumieć

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ w 1879 r.

tych żołnierzy, co choć nieraz wychowani w dostatkach, w dziecinnych niemal latach siadali na koń i od Niemna do Tagu, od Sierra Moreny do Uralu na końskim przejeżdżali się siodle. Tak Chłapowski; a nietylko życiorys, historia przechowuje o tem pamięć, choć nie było czasu i wieku, aby dojść do najwyższych stopni. Dwóch oficerów polskich, równych wiekiem i stanowiskiem choć z różnem usposobieniem, zwróciło zdolnością, odwagą, czynnością, uwagę Cezara, Dezydery Chłapowski i Tomasz Łubieński. Kto ich nie słyszał mówiących to o hiszpańskiej, to o moskiewskiej wyprawie, ten już epiecznego, pełnego poczci nie usłszy opowiadania. Zrosli się też z tym narodem, z którym i za który walezyli, do śmierci, zostali na pół Francuzami, a dla Napoleona mieli swego czasu tę cześć, którą geniusz zawsze wzbudza. Nie były to jeszcze czasy naszych migracyjnych wojen, ale było w nich więcej bohaterstwa osobistego i człowiek ten, który walezył w puszczech Egiptu, zadżumionych dotykał się w Jaffie, jak drugi Cezar ufny w swoją gwiazdę wpośród nieprzyjaciół przebywał Egijskie morze, z nad Gwadelkwiwiru przerzuczał pułki nad Dźwinę, konkordat zawierał, kodeks ogłaszał, człowiek ten działał nietylko na wyobraźnię, ale porywał duszę. Z jego upadkiem pękło nie jedno serce. Pamiętam generała Stokowskiego, który, usypawszy kopeczyk w ogrodzie pięknych nad Wisłą Winiar, przesiadywał tam godzinami w zadumie i z żalu umarł. Dzielna Chłapowskiego natura otrzęsła się z rozpacz. Czasy, jak zwykle po długich wojnach, były materyalnie ciężkie, majątek znaczny, ale jak wszystkie podówczas, nadzwyczaj obciążony i najgorzej zagospodarowany. Charakter energiczny a umysł przenikliwy wskazał, co należało robić. Przykład pracowitych, ale na gospodarstwie zbyt wydatnych Niemców nie wystarczał mu. On widział dalej i lepiej. Pojechał do Anglii i tam w uciążliwej praktyce nauczył się i doskonałego obejścia z rolą i bydłem i tego praktycznego zmysłu, który umie skutki znakomite małemi i prostemi otrzymywać środkami. Nauczyć się i zrozumieć prawo przyrody, to nie sztuka. Zastosowanie go

dopiero zasługą, bo tu trzeba tego, o co u człowieka, a zwłaszcza u Polaka natrudniej: wytrwałości charakteru, za pomocą której potrafił zaprowadzić może on jeden taki ład, taką karność w zarządzie wielkiego majątku, że, jak zobaczymy, nie potrafiły go zachwiać burze polityczne i odalenie. Tak się zaczęło to życie, które przez pół wieku miało być wzorem i szkołą dla całej Polski.

W tych to latach pomiędzy 1810 a 1830 r. rząd pruski rozpoczął wielkie swoje zniesienia pańszczyzny i oczynszowania włościan dzieło. Wezwał do rady i czynnej pomocy znakomitsze w Poznańskim siły. Chłapowski, oddany zapamiętałe gospodarstwu i podniesieniu upadłej fortuny, nie był jednak nigdy tego mniemania, aby szlachecowi prywatne życie wystarczyć miało. Wezwany przez rząd, pracy nie odmówił swojej, trafnością i bystrością umysłu nie tylko dziełu temu przewodniczył, ale przywilejem wyższych charakterów podniósł tak, że wpływowi jego tutaj, a przykładowi w gospodarstwie, przypisać należy głównie rozwój kultury, bogactwa i prawdziwej cywilizacji u ludu Wielkopolskiego. Niechaj ci, którzy zbliżeni na to patrzyli, oddadzą szczegółowo świadectwo prawdzie i powiedzą, jak potężne choć nie urzędowe i niemal bezwiedne uszlachetnienie stosunków gromady i dworu, głównie Chłapowskiemu zawdzięczyć, jak choć ani minister, ani prawodawca, bogactwo krajowe podniósł.

Przybyła pomoc w znacznej i pełnej ideału żonie; przyszło pozbyć nagle i ze stratą majątek, w Królestwie Polskiem, aby uniknąć zestknięcia z szwagrem ks. Konstantym; ale ani urok domowego szczęścia, ani konieczne czasem wysokie stonunki, będące skutkiem małżeństwa, nie oderwały tego zacieklego pracownika od zagonu i domowej strzechy. Majątek się podniósł, rosła sława gospodarza a rozkwitła rodzina, mająca kiedyś piękne Ojca przechować imię. Panowała w Turwi praca, ogłada, rósł majątek, wszystko co przy dobrem sumieniu i ludzkim szacunku może dać szczęście. Ale na tej ziemi trwałego szczęścia nie znaleźć. Wybuchło powstanie w końcu 1830 r. Już nieraz przyszło mi sądzić tę

sprawę, którą choć bardzo młody odrazu co do namiętności ocenilem. W miarę jak schodzą ludzie, którzy w wypadkach powstania mieli udział, roznamiętniają się sądy, a usiłują rehabilitować niektóre osobistości i charaktery a obniżać drugie. Nie mam jeszcze w tej chwili z tą polityką sprawy.

Poznańska młodzież, na pierwszy odgłos powstania, sypnęła się gromadnie. Granicę zrazu obsadzoną przebywali konno z pistoletami w ręku. A co była za młodzież, nie łatwo ich wyleczyć. a trudniej byłoby zapomnieć. Aby lepiej zaznaczyć udział Wielkiej Polski, zawiązała się w osobny korpus, zwany szwadronami poznańskimi, gdzie doktorzy filozofii, medycyny, prawa, teologii, panowie, szlachta, służyli jako prości żołnierze. Miałem szczęście między nimi służyć i zostałem bodaj nie sam, aby im oddać świadectwo. Gdzież oni są? Ten Tytus Działyński. łacinnik. antykwarz, prawdziwy wojewodzie jak był zwykł się podpisywać, co tak długo miał ku pożytkowi Ojczyzny na innem polu pracować; owi bracia Mielżyńscy, z których jeden poległ na Ponarskich górach, a Pan Maciej długo w karności Poznańskiej trzymał. A poeciwy ks. Loga, a rycerz prawdziwie średniowieczny Tertulian Koczorowski, a Staś Baranowski, a Libelt. Garczyńscy, Mycielsey, co krwią swoją każde pobojowisko znaczyli, że tylu innych nazwać nie mogę; ale nie pominę Marcinkowskiego, z których zawsze dla różnicy przekonań byłem w wojnie, a którego olbrzymie serce i zdolność organizacyjną odrazu cenilem i uznałem. Żałuję, że ich tu wszystkich nazwać nie mogę, kilku żyjących jak Żółtowskiego, Mierzyńskiego, Kwileckiego zdała pozdrawiam.

Chłapowski w ośm dni już był w Warszawie.

Nie mógł i nie powinien był wstępować do szwadronów; wyższe zdolności wojskowe wskazywały go na inne stanowisko, które też otrzymał. Powierzono Chłapowskiemu komendę brygady. Powtarzać tu nie ma potrzeby tego, co liczni specyjali wojny 1830 r. historycy powiedzieli. Brał zaszczytny udział we wszystkich bitwach, które korpusowi jego przypadły.

W czasie wyprawy na gwardye otrzymał osobistą na Litwie komendę. Kiedy się ma do czynienia z taką, jak Chłapowski osobistością, to ani przez wzgląd na świeżo zamkniętą mogiłę, ani przez wzgląd na rodzinę nie stara się przesliznąć przez chwile trudne, albo niezrozumiałe życia. Nie chwalebę ja tych pisarzy, którzy bohatera swego stawiają jakby nigdy nie popełnił, albo nie mógł popełnić błędu. Błąd, nawet w chwili danej słabość, rzecz ludzka. Faktem jest, że Chłapowski granice przestąpił, na obcej broń złożył. Nie wątpię, że pamiętniki człowieka tak na wylot prawdziwego, sprawę tę co do powodów i okoliczności wyjaśnia. Co do mnie, muszę potępić tę pochopność, którą mamy do powstania i tę łatwość, z jaką przyparci przechodzimy granicę. Zkądby to pochodziło? Jużciż nie z braku odwagi, pogardy śmierci i poświęcenia. Ja mam głębokie przekonanie a oparte na tem, na co patrzałem i co dokładnie wiedziałem, że nawet po niefortunnem wysłaniu korpusu Ramorina, że nawet z temi siłami, które były zostały w Warszawie, Paszkiewicz nie byłby nigdy wszedł do stolicy, gdyby była komenda i inna obrona. Nie bardzo potrzebnie, a szczególnie nie bardzo zasadnie wygrzebują dzisiaj nie dość dokładne informacje, aby rehabilitować jednych, a potępić drugich. Pytają, czemu korpus Ramorina wezwany rozkazem nie wrócił do Warszawy. Ja postawiłbym inne pytanie: czemu ten korpus został wyprawiony; bo wiem doskonale, że ukryty po 15-tym sierpnia Skrzynecki mówił odrazu: skoro ten korpus wyprawiają, więc jest decyzja, aby poddać Warszawę. Mimo to przy jednolitej komendzie, przy podniesieniu ducha mieszkańców i wojska. Paszkiewicz osłabiony dniem pierwszym szturm, bez amunicji, nie byłby wszedł do Warszawy, gdyby nie miękka obrona spowodowana przez wewnętrzny rozstrój i traktowanie z główną kwaterą rosyjską. Serce pęka, rozbierając następności tego moralnego upadku, bo już 9-go rano pełnomocnik austriacki pułkownik Caboga przybywał z Wiednia do Warszawy z stanowczemi warunkami wdania się rządu austriackiego. Tak osłabienie moralne jako skutek knowań klubu

patryotycznego, Bolimowskieli rozpraw, w których nawet ludzie nie byli bez winy, i strasznego dnia 15-go sierpnia, tłumaczą niektóre objawy w ciągu powstańczej naszej wojny i ostateczny jej koniec.

Tak też było na Litwie. Dla uszanowania hierarchii powierzono komendę niezwiemu, choć niedołężnemu. Najstraszniejszą pokusą żołnierza jest przekonanie, że go dowództwo na nieużyteczne poświęcenie prowadzi. Czy to niedołęztwo mógłby był Chłapowski ośwładnąć? Zobaczymy, że z jego usposobieniem, z jego przekonaniem o karności wojskowej, byłby nie chciał: ferment był już zasiany, burzył gwałtownie w każdej niepowodzenia chwili: w takim położeniu przywódzca przechodzi najstraszniejsze męki, albo podniecany przez zapaleńców, i wówczas całe armie składają broń na obcej ziemi, zamiast ginąć na swojej.

Te uwagi powinny być każdemu bezstronnemu przytomne, kiedy ma sądzić przeszłość ludzi publicznych. Przechodząc w szczególności do Chłapowskiego, który miał usposobienie, że tłumaczyć się i usprawiedliwiać nie lubił, nie myślę polemiki o tak odległe wypadki rozpoczynać; ale zestawię fakta w ten sposób, aby każdy mógł sam zdanie swoje wyrobić. Od pierwszej chwili rewolucyi i przybycia do Warszawy ulubioną myślą Chłapowskiego było przenieść wojnę na Litwę. Kiedy w czasie Tykocińskiej na gwardye wyprawy wódz naczelny uznał potrzebę poparcia powstania litewskiego, nie bardzo łatwo było zrazu znaleźć chętnego dowódcę. Chłapowski powołany przez wodza naczelnego do Książopola, odrazu przyjął komendę i w 500 koni, 100 ludzi piechoty i dwoma armatami przechodzi 19-go maja pomiędzy armią Dybicza i gwardyami, docierając do Białowiejskiej puszczy: po drodze to zabiera, to rozbija korpusiki rosyjskie, rozrzucone koło Bielska, Lidy, komenderowane przez generała Linden, opatrując powstanie litewskie w instruktorów, których 100 przydał mu był wódz naczelny. W pochodzie tym dowiaduje się, że generał dywizyi Giełgud niemal odcięty po Ostrołęckiej bitwie, został jako głównodowodzący na Litwę

wyprawiony, a on jego komendzie poddany. Porozumiawszy się z Giełgudem, postanowiono na Chłapowskiego wniosek atakować Wilno z wojska ogołocone; a tak zdobyć moralną i polityczną stolicę Litwy. Oznaczono dzień połączenia korpusów na Ponarskich górach. Chłapowski stanął i wobec nieprzyjaciela liczniejszego wprawdzie, ale jeszcze nie groźnego, patrzył na miasto gotowe do powstania i sześć dni śmiertelnych czekał na Giełguda. Przyszedł wreszcie; było zapóźno. Wilno zajmowało 10,000 ludzi, liczna artylerya obsadziła góry, atak był nierozsądny, ale go Giełgud nakazał. Znane szczegóły już próżnego, a morderczego usiłowania, ale choć nie mniej znano, to mniej podnoszono, że trzykrotna szarża ułanów, nakazana w właściwej chwili przez Chłapowskiego, uratowała cofający się korpus Giełguda, którego odtąd Chłapowski był nominalnym szefem sztabu, i ztąd też składają na niego całą odpowiedzialność na następne działanie.

Faktem jest, że Giełgud jak zwykle ludzie mierni upierał się niewczesnie, albo słabej słuchał rady, a kiedy mu jego szef sztabu plan wygotował: iżby okopawszy się pod Alexotą, a zreorganizowawszy korpusa, podzielił je na sześć części, któreby partyzaneką poza armią rosyjską prowadziły wojnę na Żmudzi, Kurlandyi i Pińszczyźnie, usłuchać nie chciał; poszedł na Szawle, gdzie spotkała naszych ostatnia ciężka porażka, po której wojsko rozdzielone na trzy części w trzech rozeszło się kierunkach. Dembiński, o którego heroicznym powrocie jeszcze za życia jego jakby zapomniano, poszedł ku północno-wschodowi; Roland ku Połondze, Giełgud ku Jurbork. Po dwakroć korpus oficerów chciał oddać dowództwo Chłapowskiemu, który na to odpowiedział groźbą oddania ich pod sąd. Wierny zasadom karności szedł z Giełgudem ku pruskiej granicy, a tu jak zawsze po każdym błędzie dowódcy wypadało mu trudne zadanie zakrywania umiejętnie odwrotu.

Wiadomo, że walczył wszędzie walecznie i z wyższym talentem, że przydniósł do armii tradycyę wielkiej wojny, że w każdym odznaczył się spotkaniu; nie darowano przejścia granicy, choć dowodzącym nie był. Czemu?

W chwilach niepowodzenia potrzebny był kozioł ofiarny. Chłapowskiego sądzono surowo, przypisując mu wpływ przeważny na Giełguda. Dembiński, człek kawalerski, osobistej niezdolny zawiści, nie szczędzi jednak Chłapowskiemu zarzutów; wszystkie obracają się w ogólniaka; zarzuca, że nie opanował władzy Giełguda, który znowu przypisywał na radzie wojennej niekarność Dembińskiego wszystkie niepowodzenia. Szczęściem mamy świadka, którego słowom każdy uwierzy. Ktokolwiek znał Macieja Mielżyńskiego, a takich jeszcze wielu, przyzna, że dla tego człowieka wobec prawdy nie ważył żaden stosunek krwi lub przyjaźni. Pan Maciej na krok Chłapowskiego nie był odstąpił i jeden po drugim wszystkie zarzuty Dembińskiego odparł; obydwa prawdomówni, ale jeden w uniesieniu szlachetnego żalu miota ogólne zarzuty, drugi prostuje takowe głośno, od razu, szczegółowo. Z porównania obydwóch pokazuje się, że Chłapowski robiony odpowiedzialnym za błędy Giełguda panem sytuacji w jego sztabie nie był, że zawsze posłuszny i gotowy do walki, władzy ować nie umiał, czy nie chciał, i że korpus Giełguda, bo nie należy zapominać, iż to już nie był Chłapowskiego oddział, po nieszczęśliwym uderzeniu na Szawle party przez siły rosyjskie, mógł tylko przejść albo granicę, albo w rozpaczliwej walce śmierć znaleźć. Ostatnie byłoby niewątpliwie chwalebne i tak powinny kończyć powstające czy armie czy oddziały. Czemu nasze nie tak kończyły, wskazano wyżej; a każdy kto widział wojsko w rozstroju niekarność, przyzna czy to podobne, kiedy pojedynczy żołnierz czuje w sobie odbicie ogólnego zwątpienia. Korpus Giełguda przeszedł granicę jak Ramorino, jak cała armia pod Brodnicą, na Chłapowskiego powstawano, bo zdawało się, że dlatego, iż wiele był zrobił, miano prawo żądać od niego tych natchnień, które czasem rozpacz albo geniusz daje, a które dlatego są zarówno szczęściem, jak zastugą.

Wiadome niegdyś prześladowania rządu pruskiego na wszystkich, którzy w tej wojnie udział mieli; jedni grubo płacili workiem, drudzy utratą wolności. Chłapowski dwa

lata odsiedział w fortecy, zapłacił 22,000 tal., od których mógł się zwolnić jednym słowem prośby i wrócił do Turwi.

Organizacya gospodarstwa była tak wyborna, karność zaszczipiona tak silna, że długa niebytność najmniejszego nieładu nie wprowadziła. Pamiętam bardzo dobrze, jak podówczas przywodzono jako dowód szczególnego do organizacyi i rządzenia talentu, że się nie w majątku nie rozprzęgło. Odtąd sam długo gospodarowałem i poświadczyć mogę, że to jest najwyższy doskonałości systemu dowód. Kierować osobiście tą na pozór tak prostą, a w istocie skomplikowaną gospodarstwa wiejskiego na większe rozmiary machiną, to już trudno: ale ją tak nakręcić, aby działała sama, oddalić się osobą, a natchnąć duchem, któryby sam działał, należy do zadań najtrudniejszych a wymaga dwóch warunków, żelaznego charakteru i bardzo długiego bez przerwy osobistego dołożenia.

Chłapowski umiał dosiedzieć, wstać zawsze rano, zawsze z równą energią pracować i wymagać: przywilejem ludzi wyższych obejmując ogół, znał dokładnie szczegóły, a umiał w nich nie ginąć, najrzadsze w sztuce rządzenia fakta. Już przed rokiem 1830 majątek był uporządkowany, kwitnął, przynosił, bogacił, ale korzystny dla właściciela, nie był jeszcze uabył przykładem wpływu. Pamiętam, jak opowiadano o Turwi jak o czemś nadzwyczajnem, ale jedni mało dowierzali, drudzy, naśladowując Chłapowskiego bez jego warunków osobistych, potracili. Po wojnie całe Poznańskie spoważniało. Zniesienie pańszczyzny przez oczynszowanie przygotowało grunt do rzetelnego postępu, ale pod łagodnymi rządami nieodżałowanego Namiestnika Radziwiłła, swobodnie pędził życie polski żywioł. Po wojnie, więzienia, znaczne pieniężne kontrybucye, surowy ober-prezydenta Flottwela regiment, poważniejszą całemu usposobieniu obywatelskiemu dały cechę. Opatrzności widoki, dla naszego narodu są tajemnicą: ale, ktokolwiek umie patrzeć, nie mógł nie uważać, jak dziwnem zdarzeniem na troje rozdarty zawsze pod jednym zaborem ma położenie stosunkowo znośniejsze, nawet czasem o tyle korzystne, że tradycya, ję-

zyk przechować się mogą, a obok szkoły nieszczęścia i kary, wyrabiają się żywioły organiczne. Tak było w Warszawskim księstwie i Królestwie Polskiem, do roku 1830: tak dziś od lat kilkunastu w Galicyi, tak było podówczas w Wielkiej Polsce. Kiedy nad Królestwem zawisły mikołajewskie rządy z rusyfikacyjną i schymatycką dążnością, a Galicya, która była nieco pod ks. Lobkowicem odetchnęła, poczuła na długo całą grozę biurokratycznej Kriega ręki, w Poznańskim administracya systematyczna ale wykształcona, stosunkowo łagodna, dawała wiele swobody — w każdym razie dozwalała kształcić się w wybornych szkołach, a rządząc wedle prawa nie zaś dowolności, szanowała godność człowieka. Pokolenie ówczesne chowało się na uniwersytetach niemieckich, a uniwersyteta te miały ludzi jak Hugo Savigny, Gans, Wachler, Hegel, Schelling, Görres itd. Przywoziło ztamtąd wiele bałamutnych teori, ale przywoziło także poglądy szersze, umysły ożywione. Rzecz dziwna, że ta nauka niemiecka, choć potrafi olśnić i oplątać głowę polską, to tylko do czasu: w końcu zdrowy polski rozsądek, w którym zawsze zarody wiary niewykorzenione pozostaną, wydobędzie się z tych więzów i na prostą, czasem najwyższą trafi drogę. Tak Józef Kremer, tak Helcel, tak Cieszkowski, tak Aleksander Wielopolski, że pomnę innych. Ale to nastąpiło później, praca zaś użyteczna już zaraz powstała.

Siły narodowe solidarnie wspierają się nawzajem, ogień zapalony w jednej sferze udziela się drugim. Powstał wówczas nieoceniony *Przyjaciel Ludu*, Libelt zaczynał naukowe działanie, Rymarkiewicz w skromnym zawodzie pracował na ten szacunek, który go na starość otacza. Niebawem Moraczewski wydał tendencyjną swoją historję a Berwiński niepomny na napomnienia Göthego polityczne wiersze pisał. Edward Raczyński wyszukiwał i wydawał źródła do historii ostatnich czasów, Działyński, ledwo do Kurnika z wygnania powrócił, rozpoczął nieśmiertelne swoje wydawnictwa, kiedy generał Morawski do dawnych nowe dodawał pieśni, a synowcy jego Wojciech, Józef, Kajetan rozpoczynali prace,

które tylko z śmiercią ustaną. Surowszą a praktyczną drogą szedł Marcinkowski z przyjaciół swoim p. Maciejem. Marcinkowski budził, karecił i zakładał to piękne pomocy naukowej stowarzyszenie. Ogólne serce usposobienie było jak zawsze u nas patryotyczne — umysłów zaś filozoficzno-obojętne na prawdy wiary, która żyła głęboko w warstwach ludowych.

Ospaństwo episkopatu i duchowieństwa w Niemczech obudził grom, który nderzył w biskupa Kolońskiego Droste-Vischeringa. Jak zwykle prześladowanie podnieciło gorliwość. Stary Görres, którego Napoleon nazywał czwartą przeciw niemu sprzymierzoną potęgą, choć tylko piórem wojował, chwycił znowu za to potężne pióro: słowo jego jak trąba Archanioła przebudziło tych, co zdawało, że w cieniu śmierci zasnęli: walka się zaostrzyła, rozszerzyła, aż doszła i do ziemi naszej. Siedział podówczas na Stolicy św. Wojciecha zacny Dunin. Niezmierna polubowność i łagodność charakteru zawiodła organa rządowe: stanął murem i jak konfrater jego z nad Renu powędrował do więzienia. Prześladowanie biskupa i rodaka ocknęło niebacznych: zrazu jak to bywa, duch patryotyzmu i opozycji zbliżał do kościoła i dawnych tradycyj; a kto do ognia i światła się zbliża, ten bywa ogrzany i oświecony. Przybyło też do księstwa dwóch ludzi, którzy na usposobienie opinii nie mają wpływ wywierać mieli. Jan Koźmian i Cezary Plater. Jeden i drugi zbliżyli się do Turwi, gdzie dawna się była przechowała tradycya. Nie potrafili jednak wstrzymać wybuchu przygotowanego lekkomyślną czy zbrodniczą ręką, a który robił przełom w ówczesnym ugrupowaniu stronnictw i ludzi. Lelewelowska szkoła historyczna, która po całej grasowała Polsce, a w Księstwie znalazła swój wyraz w Moraczewskim, Wersalczycy i pismem i spiskiem, zawojowali młode pokolenie i wywołali ruch w umysłach, którego ofiarą padło dwóch ludzi bardzo różnych co do zasad i dążności, podobnych podniosłością ducha: Raczyński i Marcinkowski. U jednego nie dotrzymała głowa, u drugiego pękło serce. Inaczej Chłapowski. Przewrót moralny, a w ślad jego i polityczny, który innych doprowadzał do rozpacz, jego

utwierdzał na drodze prawdy: wiedział, że równowagę tak w człowieku, jak i w społeczności utrzymuje tylko wiara, podana przez Kościół, był też najwierniejszym jego synem z tą stanowczością a zarazem z tą prostotą, które go zawsze cechowały. W pośród takich wypadków, takich ludzi i takiego rosnącego usposobienia rozwijało się gospodarstwo Turewskie, a przytem wpływ i duchowe działanie generała. Objawiało się w kilku kierunkach jak zwykle u ludzi wyższych. Nie było na pozór żadnego naukowego i dogmatycznego aparatu, a potężne skutki dosięgały dalekich okolic. Turwia była znana w całej Polsce; — przybywali jedni, aby przykładem się zbudować, inni na naukę. Uczono się tam nie tylko gospodarstwa, ale moralności, oszczędności, pracy: nie zliczyć tych, co wyszli na ludzi. Nie dość, że generał uczył przykładem i mową, napisał jeszcze książkę gospodarską po dziś dzień bodaj najlepszą w polskim języku, a tak dosięgał najdalejszych dzielnic Ojczyzny. W kraju, jak nasz, którego przeważnem źródłem bogactwa jest i będzie jeszcze długo urodzajna ziemia, najwyższą osiągnie zasługę ten, co ją w ręku utrzymać i do wielkiej produkeyi przymusić potrafi. Naród, który chce żyć, który dziś chce zaważyć na szali interesów europejskich, musi być bogatym, a na to jeden tylko środek, produkować dużo, produkować tanio, a żyć oszczędnie.

Kiedy lat temu podobno 25, byłem po raz pierwszy w Turwi, chodząc z generałem po folwarku, obok pięknych, gospodarskich budynków, widziałem chlew drewniany pochylony pod strzechą. Spostrzegł moje zadziwienie i rzekł: dziwisz się, widzę, tej pustee, ale moja zasada trzymać budynek, póki tylko może być użyteczny, a dopiero, kiedy konieczna potrzeba, stawiać nowy fundamentalny. Złotemi literami dla każdego właściciela zapisać te słowa, które były częścią tych zasad pełnych rozsądku i doświadczenia, co stanowiły skarb jego mądrości. Gdyby kilku ludzi takich miała każda dzielnica Polski, jakżeby się jej postać zmieniła, bo na ludność okoliczną nie tyle nie oddziaływa jak przykład i widok owocu usiłowań. A kiedy do tego jak w Turwi utrzymuje się sto-

sunek patryarchalny powagi i momocy dla młodszej, a sąsiedniej braci, kiedy kwitnie zamożność, na którą wieśniak w każdym społeczeństwie jest czuły, to wytwarza się zwolna ta łączność, jaką podziwiamy w Poznańskim pomiędzy gromadą a dworem, czy przy wyborach, czy na wiecach, a głównie w dotyczących Kościoła sprawach.

Nie dokaże tego nikt, kto nie potrafi siedzieć na miejscu i nie ma w sobie tej potęgi, co bezwiednie drugim rozkazuje, dlatego nie pomijając weale innych czynników, mam przekonanie, że Chłapowski przyczynił się do społecznego rozkwitu Wielkiej-Polski, takiej, jaką dziś podziwiamy.

Przez długie lata wszyscy ludzie i wszystkie różnorodne żywioły, o których wspominałem wyżej, spotykały się w tym domu jak na naturalnym gruncie. We wszystkich była część prawdy i tą też łączyły się strony, aż jednym ogrzane ogniem zlały się w jeden czysty metal. Przeważny tu, jak na całą okolicę — ba na całe Księstwo wywarła wpływ, potężna osobistość ks. Jana Koźmiana, którego bez majątku a nawet jak dotąd bez stanowiska, upatrzył był sobie jenerał za zięcia, a który, zyskawszy tak podstawę, mógł rozpocząć ten łańcuch działań najróżnorodniejszych, które wszystkie zmierzały do utrzymania Kościoła katolickiego i narodowości polskiej. Tak pośrednio, czy bezpośrednio Dezydery Chłapowski przyczynił się przez ciąg długiego życia do wszystkiego co katolikowi, Polakowi i obywatelowi powinno być drogie.

Dzieckiem prawie zaczął walkę o tę ziemię, mężem służył jej to z pługiem, to z szablą w rękę, podeszły z młodzieńczym zapalem i młodzieńczą siłą uczył, bogacił i wychowywał tę rodzinę, która, da Bóg, przechowa jego tradycje.

Gdybym te słowa, które tu piszę, miał był szczęście powiedzieć w tem miejscu, które na zawsze zrobił pamiątkowem, wśród tego wielkopolskiego ludu, który tak wspaniały daje widok i przykład, wobec synów i wnuków tych, z którymi pół wieku temu służyłem wojskowo, byłbym zapewne znalazł słowa wyższego natchnienia: — dziś nie szło mi

o wymowę, ale o przedstawienie wielkiego obywatela, człowieka wyjątkowego na tle wypadków, w pośród których żył i działał, w ramach rzeczywistej prawdy, nie zaś opromienionego światłem sztucznem. Oryginał był dość piękny, aby nie potrzebował idealizowania, tylko trzeba mieć oko zdrowe i umieć patrzeć, aby widzieć w życiu Dezyderego Chłapowskiego przykład na długie lata i uznać dobrodziejstwa, które rozlał na całe pokolenie, na bliższe i dalsze dzielnice Ojczyzny.

POGRZEB W KRASICZYNIE¹⁾.

Obchody pogrzebowe obchodzą się niestety ustawicznie: ale pogrzeb pogrzebowi nie równy. Nie zawsze terażniejszość umie być wdzięczną, nie zawsze oceni zasługi.

Dla mnie był pociągający udział wdzięczności narodowej: jest to jeden z tych symptomatów, które bądź co bądź napętniają otuchą wiek podeszły, a nie obojętny na przyszłość Ojczyzny. Osobistość obok zasług była sympatyczną: Leon Sapieha choć nie miał wad polskich, był na nie wyrozumiały; choć siła w nim była, to potęgą i poczuciem tej siły nie odtrącał; obudziło się też w sumieniu krajowem przekonanie, że wielkiemu obywatelowi stała się była wielka krzywda. Przyznano też, jak nieraz stało się w naszej historii, umarłemu to, czego przyznać nie chciała żywemu zawiść jednych, a małoduszność drugich.

Nie przychodzę z pochwałą wysokiego i zasłużonego rodu, do którego Leon Sapieha należał, choć znam dobrze ważność wielkich rodów dla narodu, bo on dorabiał się od lat najmłodszych swego stanowiska twardą pracą, tak, jakby się na to stanowisko kilka wieków nie było składało. Wspomnę jednak o matce. — Jaki wpływ matki na ludzi znakomitych mają, już ztąd wniesć można, że słusznie uważano, iż nie było wielkiego człowieka, któryby nie był przez znakomitą wypiastrawiony kobietę. Straciwszy młodo uczonego a znanego z podróży po krajach słowiańskich ojca, wychowany został przez Annę z Zamoyskich, panią męzkiego charakteru, niepospolitego rozumu i hartu duszy, która młoda

¹⁾ Drukowane w „Przeglądzie Polskim“ 1879 r.

zostawszy wdową, umiała i majątek utrzymać i później go ratować, i dać synowi ten popęd do rzeczy wyższych, który już w młodości o przyszłości człowieka stanowi. — Urodzony na początku wieku, otoczony od kolebki ludźmi, którzy w sprawach krajowych najważniejszy udział mieli, łączył w sobie niejako tradycję XVIII wieku, i najważniejsze bieżącego wypadki. — W otoczeniu ludzi, jak Potocey, Niemcewicz, Marcin Badeni, Koźmian, Matusiewicz, Mostowski; uczonych, jak Staszyc, Bentkowski, rozwijały się wzniosłe uczucia i wysokie poglądy, ale nie rozwijały się ani pycha, ani próżność. — Ukończywszy nauki w świeżo otwartym uniwersytecie Warszawskim, kiedy doszedł lat 20, wszedł obyczajem współczesnym do urzędu, dobijał się odznaczenia tą wytrwałą pracą, tą sumienną o dobro publiczne nawet w skromnej sterze gorliwością, które go przez całe cechowały życie. Warto przypomnieć sobie mniej znane dziś położenie ówczesne Królestwa Polskiego. — Nowa administracya, nowy rząd zaledwo były zaprowadzone. Posiłkował się on prawami, instytucjami i ludźmi, jakich przekazały mu pruskie, austriackie i francuskie panowanie. Jestto prawdziwą właściwością naszego narodu, że niesłuchanie prędko dźwiga się z upadku, i organizuje. Ministerya, Rady Wojewódzkie, Uniwersytet powstawały, a już przed rokiem 1823 dwa świetne odbyły się sejmy, z których drugi objawił wprawdzie ducha opozycyjnego, ale zarazem wydał znakomite prawo hipoteczne. Kraj rządzony przez rodaków, używał swobody pod prawem. Wybryki W. Ks. Konstantego dawały się czuć wojsku, ale nie obywatelstwu. Kraj jednak zubożony przez kilkonastoletnie wojny, przy niezmiernem obniżeniu cen zboża, był w istotnej nędzy; podatki wpływały z trudnością i skarb nie był w stanie pokryć potrzeb wojska i administracyi. Wówczas to cesarz Aleksander oświadczył, że Królestwo chcąc zachować swoją odrębność, winno wystarczyć na swoje potrzeby, i przysłał na ministra skarbu księcia Ksawerego Druckiego Lubeckiego, znanego już w kraju jako członka rządu tymczasowego, wraz z księciem Adamem Czartoryskim i Tadeuszem

Wawrzeckim w roku 1814. Lubecki choć Litwin ale długo w służbie rosyjskiej zostający, nie był ani dobrze przyjęty, ani dobrze widziany. Najlepsi patryoci, najzuakomitsi urzędnicy i obywatele patrzyli na niego z uprzedzeniem, niedowierzaniem, a nawet z niechęcią.

Aby skarb pusty zasilić, zażądał opłaty podatków z góry. Krzyk nie do opisania, ale Lubecki nie był to człowiek, coby się cofnął przed krzykiem; pewny siebie, mając plan gotowy w głowie, szedł naprzód. Górnictwo należało do ministerium spraw wewnętrznych, wraz z przemysłem, pod dyrekcją Staszycy, podówczas ministra stanu. Do tego wydziału wstąpił Sapieha, z którego domem dawne łączyły Staszycy stosunki. Lubecki zażądał i otrzymał przydzielenie górnictwa do ministerium skarbu; tego nigdy Staszyc nie przeboleał i piorunował do śmierci na absolutnego ministra. Sapieha z całym wydziałem przeszedł do komisji skarbu i tam zjednął sobie odrazu imię niestrudzonego pracownika, a w kole, które liczyło ludzi, jak Michałowski, Łęski, Andrzej Zamoyski, Jel-ski, Tis — że tylu innych pomnę — zdobył sobie pierwszorzędne stanowisko. Już podówczas tak, jak znaliście go do końca, trafny, cichy, uprzejmy, w pracy niepożyty, dziwił, mogę zaświadczyć, obojętnością na poklask i karierę, bo nie znano jeszcze pobudek moralnych, które nim władały.

Wówczas to genialny minister, który wszystko chciał, umiał i mógł zrobić, poleca Piotrowi Michałowskiemu urządzenie górnictwa w Królestwie. Michałowski świeżo z Göttingi przybyły, filolog posiadający doskonale dwa starożytne języki a sześć nowożytnych, Michałowski malarz, rysownik, muzyk doskonały, który zwykle sypiał w krześle a mógł pracować dwadzieścia godzin ciągle, zażądał pomocy Leona Sapiehy. Prawdziwie ciekawy i uczący byłyby obraz pracy dwóch młodych przyjaciół pośród gór i lasów kieleckich, zatrudnień dnia a niewygód nocy. Żelazna i genialna Michałowskiego natura, w połączeniu z trafnością, pracą, darem ujęcia i użycia ludzi młodego Sapiehy cudów dokazały: powstały jak na rozkaz owe wielkie górnicze zakłady, które miały służyć

przemysłowi, a które w roku 1831 broni dostarczały; powstały, a miłość wspólna dobra publicznego dwóch przyjaciół, w wiecznej zostawiła niepamięci, którego była większa zasługa. Miło spocząć przy takich wspomnieniach, a już tutaj przytoczyć należy, że podówczas, jak przez całe życie, ułatwiało walkę i poświęcenie, potężne natchnienie i pomoc duchowa którą od najbliższego siebie serca odbierał. — Tak uzbrojonego nie mogły żadne pokusy ani pochlebstwa dworskie pozyskać, ale też godności jego nie ujęło uszanowanie, które dla monarchy podówczas króla Polskiego okazywał.

Przyszedł straszny i wiekopomny dzień 29-go listopada. Sapiehy nie zastał w kraju. Jakie byłyby jego uczucia wobec takiego historycznego wypadku, — nie wiem, ale zapewne nie inne, jak dobrze mi znane jego przyjaciół i krewnych. Jakiegokolwiek były, czyby uważał powstanie za błąd polityczny, czy za bohaterskie poświęcenie, zarówno jak wszyscy uczciwi i godni tego imienia Polacy, jak skoro sejm, prawy organ narodu, orzekł, że było narodowe — nie rozbrajał więcej, nie ratował ani osoby, ani majątku, wszedł do wojska i zdobył ten krzyż *Virtuti Militari*, przed którym każdy schyla głowę z uszanowaniem. Przesłużył wojskowo, ale takie było o jego zdolnościach politycznych rozumienie, że Wielopolski wyjeżdżając w trudnem w Londynie posłannictwie, żądał, aby mu był dodany do pomocy.

Sprawa przepadła, na całym obszarze ziem polskich srogi zapanował ucisk, a wedle słów ministra francuskiego, „porządek w Warszawie“ (*L'ordre régné à Varsovie. Sebastani 21 Septembre*).

Leon Sapieha opuścił Warszawę, której nie miał więcej oglądać. Przechodził wspólnie z armią granicę pruską, ale wprzódy, jak to już wspomniałem, a powtarzać nie chcę — wierny tradycyom największych polskich patriotów, związał się przysięgą z Andrzejem i Władysławem Zamoyskimi, że gdziekolwiek ich Opatrzność postawi, na dobro kraju pracować będą. — Owocem tej przysięgi były trzydziestoletnie prace Andrzeja Zamoyskiego w Królestwie Polskiem, dokwitające

w Towarzystwie rolniczym, zachody polityczno-dyplomatyczne z zagranicą Władysława Zamoyskiego i szereg usiłowań równie ciekawych liczbą, jak i doniosłością, których nasz kraj koronny był świadkiem i celem.

Majątek ręką przezornej matki uratowany, był jednakże bardzo uszczuplony. Sapieha wiedział, że tak kraj, jak i rodzina muszą mieć materyalną podstawę, i że osiągnąć ją tylko można oszczędnością i pracą; przykładem i słowy zagrzewał współobywateli, a wierny swej przysiędze, wierny nawyknieniom młodości, nie oddał się nie męzkiemu żalowi, ale wziął się do czynu. Pokolenie dzisiejsze nie ma wyobrażenia o ówczesnem umysłowem i moralnem usposobieniu Galicyi. Cała czynność polityczno-administracyjna i finansowa Galicyi, skoncentrowana w urzędach, nie zostawiała żadnej inicjatywy obywatelstwu, które też w karygodnem otrętwieniu zostawało. Kogo bardziej oskarżać, czy rząd, który taki stan sprowadził, czy obywatelstwo, które go znosiło? — Nie zniósł go Sapieha. Od małych zaczynając rzeczy, których tu wyliczać nie potrzeba, badał przenikliwem okiem wszystkie nędze i potrzeby kraju; wychowany w szkole wielkiego ministra, widział, że pierwszą rzeczą, zamiast podnosić błędy braci, należy starać się zaradzić im czynem: upatrywał więc ludzi i do pracy zapalał. Niedługo, a stosunek z księciem Leonem Sapieha był zaszczytem i chlubą, zaczęła się kształcić młodzież, a on stał się ogniskiem życia, które praktyczne obejmując sfery, oddziaływało na wszystko. W życiu społeczeństw wszystko się trzyma, faktycznie istnieje solidarność, kiedy natchnione jak tutaj wyższemi pobudkami.

Leon Sapieha pod skromną powierzchownością, człowiek wyższych poglądów, wiedział dobrze, że ludzie i narody nie żyją tylko ideami, ale że potrzebują chleba i wina. Jak czuł w sobie duchowy początek, tak uważał jego ważność i pierwszeństwo, ale wiedział także, że do narodu, jak do człowieka, trzeba iść pierwiej z czynem jak ze słowem; przynosił mu więc dobrodziejstwa, a zyskiwał wpływ i stanowisko,

z którym rząd nawet wkrótce rachować się musiał. — Tylko uporeczywa praca, posilkowana nabytą wprawą, wytlómaczyć może tę mnogość instytucyj, zakładów to większych, to mniejszych rozmiarów, któremi kraj był uposażony, a które ustalając wpływ księcia, zaczynały budzić to w górze, to na dole zawiść i podejrzenie. Jestto koniecznem zasługi i powodzenia warunkiem, że wywołuje przeciwników. A jeżeli do tego przyłączą się polityczne zasady i kastowe antagonizmy, robią tych przeciwników nieubłaganymi, nieprzebierającymi w środkach, zwłaszcza, kiedy społeczeństwo chwiejne i nie wytrawne. Uprzykrzyło się wielom słyszeć, że wszystko książe Leon robi, a że przezorny, majątek swój porządkował, szukano tego przyczyny nie w zasłudze, ale w winie. Intryga, która sprzysięgła się na pierwszego obywatela w kraju, uznana dziś publicznie i przez przeciwników, czemuż nie znalazła potępienia od tych, którzy dziś enocie oddają świadectwo? W szczególności nie wchodzę, bo w tych sprawach nie bywałem i czas gorączki akcyjnej przeszedłem bez najmniejszego udziału; ale zdrowym sądząc rozsądkiem, zdawałaby mi się słuszną taka reguła postępowania. W sprawach trudnych, patrzę kto jest w grze: jeżeli widzę z jednej strony wypróbowanego miłośnika Ojczyzny, twórcę krajowego i prywatnego przemysłu, a z drugiej intrygę zręcznie ułożoną przez wypróbowanych sprawców, to już wiem po czyjej stronie, choć nie dzielę zapatrywań, jakie w finansowych przyjęły się sferach.

Przemysłowiec, przedsiębiorca, finansista, przechodzi na pole polityczne. O działaniu księcia Sapiehy w sferze politycznej, od chwili jak życie publiczne rozpoczęło się w monarchii i w naszym koronnym kraju, tyle już mówiono i pisano dobrze, a nawet wybornie, że nie wiem czy warto jeszcze dotykać tej strony. Poświęcony, polubowny, spokojny, bezstronny; ze zupełnem zaparciem się siebie, to wiadomo i uznano; że te warunki obok powagi stanowiska i charakteru były potrzebne, aby ująć w karby i systemat, życie parlamentarne u nas, kiedy nawet tradycya tego życia zagi-

nęła, to prawda i to nie mała zasługa. Ale to postępowanie nie było skutkiem jakiejś dobroduszości, ale głęboko obmyślanym planem, którego ściśle i konsekwentnie trzymał się z tą uporeczywą wytrwałością, która była główną cechą jego charakteru.

Wysokie stanowiska tworzą politycznych ludzi; że zdolność jest wrodzoną, o tem wie każdy, ale na co nie każdy zwrócić potrafi uwagę, to, że tradycya domowa, stosunki z pierwszorzędnymi ludźmi, ocieranie się o ważne wypadki, sfera obszerna, dają pogląd na publiczne sprawy, których nauka nawet dać nie może, bo jej brak praktycznej miary. Są ludzie genialni, którzy drogę tę przeskoczą, intuicyą odgadną tajemnicę sztuki stanu: takim naprzykład był Thiers, o którym słusznie Talleyrand powiedział: „*Il n'est pas parvenu, il est arrivé,*“ ale to są wyjątki, kiedy ludzie stanowiska choć przy mniejszych zdolnościach, posiadają tę sztukę odrazu i byle nie byli zaślepieni namiętnością, albo duchem stronnictwa i egoizmu, potrafią ją zastosować. — W rzadkich ale długich z księciem Leonem rozmowach, obok pilnej uwagi na jego postępowanie, miałem sposobność poznać i zrozumieć ten głęboki zmysł polityczny, który nim kierował. Doskonale obznajomiony z instytucjami i zwyczajami angielskimi, nie marzył o tem, aby je naśladować, wiedząc, że wyrosły z historyi i charakteru narodowego, ale wzięły z nich dla siebie tę wysoką mądrość, która tam się rozwinęła w życiu politycznym przez wieki, a która nie jest już ani rzymską, ani wenecką, ani angielską, ale ludzką. Ta to mądrość kierowała nim w czynach, i chociaż ani wymową, ani genialnością, ani energią nie celował, nakazywał posłuch, uspokajał burze, słowem kierował umysłami i sercami, o tyle szczęśliwszy od wielkiego swego przyjaciela, że spotykał nie bez własnej zasługi, usposobienie przyjazne, pełne miłości i uszanowania. — Co to za przykład urodzić się możnym i bogatym, pięknym i pełnym uroku, a od pierwszej młodości oddać się pracy, zrazu cichej, dla dobra publicznego, poświęcić wszystko, aby obowiązkom względem Ojczyzny, z hazard-

dem zdrowia i życia zadosyć uczynić; kiedy Bóg tej walce nie pobłogosławił, szukać nie nowej Ojczyzny, bo gdzieżby ją znalazł, ale nowego gruntu, na którym mógłby na jej usługi pracować; przez długie lata gotować się do dzieła, wreszcie ovladnąć kierunek działania i opinii w kraju; nakoniec potomek Piotra i Lwa Sapichy, tyłu hetmanów i senatorów, umieć działać skromnie, cicho, łagodnie, jakby dla ekspiacyi pychy niektórych swych przodków. W domu, choć o prywatnych sprawach mówić nie lubię, przedstawiać wzór chrześcijańskiego męża, ojca, pana, — są to zasługi, które sumienie publiczne płaci czecią, jakiej na żadnym nie widziałem pogrzebie. Miał też, jak to już napomknąłem — trzeba prawdę powiedzieć — pociechę. Całe życie stała obok niego kobieta gorącego serca i śmiałego umysłu, ucieczka w smutku, oparcie w chwilach zwątpienia, a dziwnym przywilejem „choć posuwała się pod lat niewieścich południe“ „długo, długo oboje dziewczki i matrony wdzięki, na jednym lieu zespalała cudnie.“ Kto widział tę parę w uroku lat pierwszej młodości, kto ją widział dotykałą straszniemi dla rodziców próby, kto zbliżał się kiedy szron na głowie nie oziębiał zapału w sercu, ten wiedzieć będzie, co to jest chrześcijańskie małżeństwo. — Umarł, bo i wszyscy umrzeć musimy, ale wiedział poco żył, i wdzięczna Ojczyzna o tem nie zapomni. Odżałować go nie można, ale nie dość żałować, naśladować go trzeba młodemu pokoleniu. Sfera do działania otwarta, tylko trzeba roztropności, wyrzeczenia się siebie, odwagi i pracy. Lubi to pokolenie powtarzać Odeę do młodości, ale cóż, kiedy nie zawsze myśli mistrza rozumi. Żądał od niej zapału, tej wiary, co góry przenosi, żądał ideału, żądał zgody duchowej (hej ramię do ramienia!), która bryłę świata z posad ruszyć może, ale nie dawał jej inicjatywy spraw politycznych. Oby ta młodzież zagrożona utratą pamięci o przeszłości, a nadziei w przyszłość, zagrożona pozytywizmem, pogardziła zbytnią wygodą i powodzeniem w życiu, a ukochała ideał, tak jej bliski a równie poetyczny, jak pełen zasługi. Niedaleko szukać.

Zdobywać pracą sposobność do służby krajowej, każdą posadę uszlachetnić sumiennem spełnieniem obowiązków, krzewić taką praktykę, poczenie prawa u ludzi, badać przeszłość, aby ukochać co w niej dobrego, a znaleźć w błędach przyczyny obecnej kary; podnosić oszczędnością bogactwo kraju, a zapewnić swoją niezawisłość; wyrzec się uprzedzeń kastowych i rasowych, które mają przyczynę już nie w rzeczywistości ale w braku miłości, oto poezya, którą każde chrześcijańskie i polskie serce zrozumieć powinno, a której praktyki św. pamięci Leon książę Sapieha w spuściźnie nam zostawił. — Na ogromnym dziedzińcu Krasieczyńskiego zamku, Izba poselska, wszystkie najwyższe władze, obywatele z sąsiedztwa i najdalszych stron przybyli, słudzy i domownicy, lud okoliczny, otoczyli trumnę z żalem, któremu dały wyraz wymowne słowa. Trumnę tę złożono nie w Kodniu¹⁾.

¹⁾ Kodeń na Podlasiu, majątek ks. Sapiehów, których groby w podziemiach kościoła Kodeńskiego się znajdowały. Kościół na cerkiew w ostatnich czasach przemieniono, obraz Matki Boskiej cudownej do Częstochowy przeniesiono.

JÓZEF BADEN I¹).

† 12-go października 1878 r.

Leżał dziś na katafalku syn znanej i kochanej w Krakowie rodziny. Leżał jak śpiący tylko z takim wyrazem spokoju i poddania, ale także z takim wyrazem pewności i siły. Żył krótko, ledwo lat 42, żył w czasach ciężkich, a mało sposobnych do czynu, a jednak umarł z tem ogólnem przeświadczeniem, że przed wszystkimi był do czynu zdolny, a gdyby Bóg w swem miłosierdziu był dni jego przedłużył, byłby dla kraju przed wszystkimi potrzebny. Zkąd takie rozumienie o człowieku, który nie miał sposobności — nie wielkimi zasługami, bo te miał — ale wielką pierwszorzędną działalnością zabłysnąć? Zkąd? Bo od pierwszej młodości i w każdej chwili życia pełnił swój obowiązek, nietylko zupełnie, ale z tą sumiennością, która nawet przy znakomitych zdolnościach, jakie posiadał, nie byłaby starczyła, gdyby jej nie była towarzyszyła najwyższa prawda. By taki sąd usprawiedliwić o Józefie Badenim, kilka tu szczegółów z życia chyba dla tych, którzy go nie znali, bo kto się doń zbliżał, kto go widział w publicznem działaniu, ten nie pytał, by go ocenić, co robił w życiu. Po świetnie odbytych naukach, a jak na młodego człowieka przystało, po otrzymanych stopniach, po podróży, która kilka razy zwróciła uwagę cudzoziemców na młodego Polaka, wchodzi natychmiast w Warszawie do służby w komisji spraw wewnętrznych, porzuca ją w 1861 roku, a skoro Wielopolski objął kierunek sprawy publicznej, wraca do niej natychmiast. Przez tego wielkiego znawcę lu-

1) Drukowane w „Czasie“ 14-go października 1878 r.

dzi¹⁾ powołany na Referendarza Rady stanu, używany do spraw trudnych, wymagających sądu, energii i roztropności nad wiek młodzieńczy, zrósł się tak z tą epoką, że sam od niej liczył dni publicznego życia swego. Rok 1863 może nie był dla niego pierwszym zawodem i pierwszym bólem, ale był zawodem, któremu się natychmiast i zupełnie poddał, ale co jest podobno wytłómaczeniem przedwczesnego zgonu, był raną, która się wprawdzie zabiłżniła, ale która się nie zagoiła do końca życia. Wytracony z kolej, jak zawsze u nas, przerzucony w nową dla siebie sferę działania, gospodarując okazał taką zdolność organiczną w praktycznym zawodzie, jakiej się nikt w nim nie domyślał. Tu znowu przerwa, znowu zawód. Innego byłby przygnębił, nie jednego powalił, jego tylko umocnił, podniósł, wewnątrz wyswobodził. Więc się zaczął dla niego w tym koronnym kraju nowy zawód polityczno-obywatelski, który jeżeli sumiennie spełniany, nie może być bez pożytku, bez prawdziwej zasługi, nie jest nawet bez chwały.

Nadmiaru zdolności nie mamy w kraju. Kiedy się jawią, a połączone z niezwykłym, nie codziennym charakterem, zawsze przeladowane pracą. To też Józef Badeni wszędzie, gdzie stanął, gdzie działał, w Radzie powiatowej, w Towarzystwie Rolniczem, w Reprezentacyi krajowej, od razu musiał zająć miejsce. I chociaż w kilku latach nie dało się może bardzo wiele zrobić, to ostatecznie on, nie kto inny w wielu najtrudniejszych chwilach przeważał.

I takie też było o jego zdolnościach i o jego charakterze rozumienie, że zwykle w tych najważniejszych sprawach krajowych, przy naradach powag społecznych, oczekiwano jego udziału, rady, a często decyzji. Nawał tych prac, po których przychodziły prywatne obowiązki, bo każdy chciał go mieć, to opiekunem dzieci, to doradcą, to rozjemcą w trudnych sprawach, podkopał bardzo silną naturę. Powiedziano o innych, że nie mieli polskich wad, o nim powiedzieć można,

¹⁾ Wielopolski go nazywał: Princeps juventutis.

że miał wszystkie polskie zalety wrodzone, u innych tak często odłogiem leżące, u niego przetrawione wewnątrzną nad sobą pracą, przerobionew cnoty. Nie rozumiał, by można było odmówić pomocy, niepojmował, by można było nie ratować bliźniego, nawet z hazardem własnej egzystencji, nie umiał odmówić usługi; a kiedy ją spełniał, to z gorliwością, o której tylko ci mówić powinni, co z niej korzystali. Szczególny był w tym człowieku do sprawy publicznej zapał, szczególna miłość dla Kościoła, szczególne poświęcenie dla dobra kraju, dla potrzeby bliźnich, dla pożytku nawet domowych i włościan. Nie dla tej duszy nie było obojętne, nie dla tego serca za małe i dlatego wszystko co czynił, czynił z jednakowem przeświadczeniem spełnianego obowiązku: czy prosta narada parafialna, czy świetna dyskusya, jak ustawy polowej w Sejmie.

Tego życia w ciągłej działalności, bez przymieszki najmniejszej miłości własnej, bez pyłu próżności, w nieustannej służbie dobrej sprawy, wytłómaczyć sobie nie potrafi, kto nie wie, jaką siłę, jaką moc prawdy i obowiązku daje wiara. W naszym kraju wierzą niemal wszyscy i niech za to Bogu będzie chwala, ale ta wiara, która ogarnie wszystko w życiu, która kieruje każdym jego czynem, a panuje nad każdym uczuciem, ta jest rzadką, bo jest łaską, na którą trzeba zasłużyć. Tę wiarę on miał, ale niech nikt nie myśli, by ona była rzeczą naturalną i przychodziła łatwo w życiu. Kiedy razu jednego w poważnej dyskusyi między przyjaciółmi, wyrwało mu się jak od niechcienia, że życie chrześcianina nie jest zabawką, ani ścieżką różami wysłaną, lecz trudem, pracą nad sobą samym, ciągłym odmawianiem sobie przyjemności i spełnianiem twardego obowiązku, to własnego życia dał najprawdziwszy obraz. Ale ta wiara była mu też najwyższą pociechą na łożu boleści, gdy przyszło mu się rozstawać z rodziną, z przyjaciółmi, jakimi mało kto się poszczycić może, z nadziejami w przyszłość, do których bądź co bądź przywiązuje się serce człowieka. Nie opuściła go też do ostatniego tchnienia ta podniosłość serca, z którą już skostniałe ręce podnosił do modlitwy i wlepiął wzrok w krzyż. Szedł ku

wieczności, jak szedł przez życie, prosto, jasno wytkniętą drogą, bez trwogi, bez najmniejszej obawy, zdawało się, bez żadnej wewnętrznej pokusy. Pismo tak maluje męża sprawiedliwego.

Młodego człowieka śmierć, może od śmierci Stanisława Rzewuskiego nie wywołała w naszym społeczeństwie takiego wrażenia. Jest ogólne przekonanie, że kiedy w 42 roku życia Józef Badeni umierał, ponosił stratę kraj cały.

JOZEF SZUJSKI¹⁾.

† 6-go lutego 1883 r.

Ludzie wyżsi, znakomici, mają to do siebie a zwłaszcza po śmierci, że jak byli sztandarem, tak stają się hasłem stronnictw, pod którym czasem różnorodne zaczynają walczyć, jak o Patrokla zwłoki Grecy i Trojanie morderezą rozpoczęli bitwę.

Śmierć Józefa Szujskiego wywołała całą literaturę, a da Bóg nie na tem koniec. Choć nie miałem z nim tyle poufalitych, co inni szczęśliwi, stosunków, wiadomo jak ścisły duchowy łączył mnie z nim związek; uważałem go za człowieka najbardziej potrzebnego i może nie byłbym żałował dni własnych, aby jego przedłużyć. Znakomita praca Smolki będzie kiedyś tłem dla tego, co napisze jego życie. Uważana przez niektórych za przesadną w ocenieniu, mnie zgoła nie razi. Jedno albo drugie hyperboliczne w pośpiechu wyrażenie, nie zmniejsza ani zasługi, ani wartości pisarza; raczej może mu miano za złe, że śmiało podniósł i uznał duchowy, wyższy, nawet dogmatyczny Szujskiego kierunek, stawiając jako najważniejszą, choć nie najdłuższą pracę, odczyty, które on sam za główną swą zasługę uważał.

Ale nie o to mi idzie. Wpływu, jaki znakomita ta postać wywarła, zaprzeczyć nie myślę; zobaczymy dalej, że ją rozumiem i oceniam, nie powinny jednak żal, przyjaźń, ani nawet krytyka, chcąc być bezstronną i trzeźwą, zaślepiac się do tyła, aby być niesprawiedliwą dla ludzi i czasu. Wielkie wypadki i ważne zmiany społeczne skłonni jesteśmy przy-

¹⁾ Drukowane w „Przeglądzie Powszechnym“ 1885 r.

pisywać jednej przyczynie, albo jednemu człowiekowi. Tak nie jest: przyczyny są zawsze złożonej natury; ludzie dziedczą prace poprzedników. Ani Wielopolski jak chce Lisiecki, ani Szujski, jak chcą Koźmian i Bobrzyński, nie był ojcem konserwatyzmu i polityki obecnej w Polsce; nie on wpadł na myśl jaja Kolumba; obaj ci pisarze młodzi, nie pamiętają jak oddawna wyrabiali się w społeczeństwie naszym dwa sprzeczne prądy, które zaznaczyły swoje kierunki w czynach i w dogmatycznym stawianiu zasad, a jeżeli ostatnie i obecne pokolenie sformułowało je w praktyce, to dla prostej przyczyny, że stosunki wywołały i mogły tylko wywołać takie przekonania i wskazać takie drogi.

W r. 1848, ani za Bachowskich rządów, działanie wspólne, organiczne — albo jak chcą, organizujące z rządem — nie było podobne. Ale tak w r. 1848, jak za ministerium Bacha, zdrowe polityczne zasady były głoszone i broniące przez ludzi, którzy podówczas nie mogąc działać, gotowali grunt pod przyszłość.

Zasady te zdobyte na drodze spekulacyjnej dokładnem zbadaniem natury człowieka i ludzkości, potwierdzone przez historyczne studia, przechodząc przez to podwójne kryterium, dały tym ludziom zupełną pewność co do ich prawdy i dlatego, jak skoro natura rzeczy wywołała w Austrii w r. 1859 pokrewne objawy, odrazu adresem 1860 r. z nimi się połączyli, a wypadki lat strasznych do r. 1864 ani na chwilę nie zmieniły ich poglądu i kierunku. Tak, kiedy za ministerium Belcrediego na tle październikowego dyplomu na nowe a właściwe popchnięto Austryę tory, sejm r. 1866 zrozumiał zadanie, a posłowie jak Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Paszkowski, Henryk Wodzicki, Helcel i t. p. w izbie, pisarze, jak Mann, Rzewuski, Dębicki, w dziennikarstwie i politycznych broszurach, wyrabiali tę politykę, którą kraj idąc od lat 16, zdobył samorząd w granicach politycznej możebności, wpływ u monarchy i w monarchii, a co więcej daleko, poczucie w sobie, a przekonanie u obcych, że stał się ważnym czynnikiem i posiada te instynkta i potęgi, na których zawsze

mu zbywało, a które robią z niego materyał do politycznego wpływu i politycznego bytu.

Grono to ludzi tworzyło długo tak zwaną partję krakowską, która przeważnie w sejmie zajmowała stanowisko. O Stańczykach nie było słyhać, bez nich powstało urządzenie gmin i rad powiatowych, ustawy szkolne, a nawet Zarys¹⁾. Stańczyki podówczas w chwalebnym zwrocie wyrabiali siebie i swoje zasady.

Geneza Stańczyków. Bobrzyński w zajmującym swoim odczycie, nadto szeroko rozciągnął Stańczykowe plemie; albo nie pamięta jak powstało, albo pełen dworności, chce im przydać splendoru i powagi. Bobrzyński, a bardziej Stanisław Koźmian, tak o Stańczykach mówią, jakby od nich dopiero rozpoczął się zwrot opinii krajowej, jakby oni założyli fundamenta zdrowej polityki i wyrobili stronnictwo konserwatywne, politykę t. z. polsko-austriacką. Tak nie jest.

Prąd, który miotał w r. 1863 był tak gwałtowny, że zagarnął wiele żywiołów, które były mu obee, a dla których nawet był wstrętnym. Ulegali mu starzy, wytrawni ludzie z przeszłością i stanowiskiem; ani się dziwie, ani zbyt surowo potępiam, że ludzie młodzi, zdolni, pełni szlachetnego zapału i ducha poświęcenia, bez żadnego politycznego doświadczenia, a nie bez przymieszki tego poczucia, które rade wielkich spraw się dotykać, rzucili się w wir wypadków, których całą oceniali grozę, z tą nadzieją, która już tyłu zgubiła ludzi i tyle spraw zniszczyła, że niemi pokierować, a przynajmniej zmniejszyć zgubność złego potrafią. Oczywiście stało się inaczej; jak zwykle, dodali tylko rzutowi otuchy i powagi, wzmocnili jego potęgę a usprawiedliwili cele, nie zyskawszy żadnej w kierownictwie władzy. Ustawicznie powtarzający się to błąd ludzi zacnych a słabych, którzy właśnie oszukują sumienie mniemaniem, że biorąc w złej albo nierozsądnej sprawie udział, potrafią zgubność jej uczynić mniej szkodliwą. Zapominać jednak nie trzeba, że jedni życiem błąd swój opłacili, drudzy z odwagą stawali, aby sprawa krwią szlachetną zboczona, nie była także obryzgana błotem.

Ludzie ci nieliczni, ale pełni miłości Ojczyzny i poświęcenia, jak mieli odwagę cierpieć chwilowo wygnanie, nawet ciężkie więzienie, tak mieli większą daleko zasługę, — a natchnęła ją podniosłość celu i miłość — uznania i błędu i konieczności nawrotu. Proces nie był łatwy, nie mógł być prędkim, odbywał się u jednych na drodze spekulacji, u drugich na drodze doświadczenia, u Szujskiego na drodze historycznych studyów.

Równocześnie jak to napomknąłem, za ministerium Belcrediego zebrał się sejm r. 1866, i na tym to sejmie powstało pośród walk najważniejszych stronnictwo konserwatywne, czy krakowskie. Czy tych żywiołów nie posiadała wschodnia Galicya? posiadała je, bo monopolium politycznej prawdy do nikogo wyłącznie nie należy, ale wskutek właściwości miejscowych, nawyknień w stosunkach ze rządem, albo zbyt spornych, albo zbyt uległych, wskutek także osobistego wpływu ówczesnego namiestnika, tak w konserwatyzmie jak i w partyi ruchu był inny charakter; w każdym razie pierwszy, nie sformułował we Lwowie swoich zasad. Ten sejm założył fundamenta ustroju politycznego i duchowego rozwoju naszego koronnego kraju. Późniejsi Stańczycy nie wzięli w nim poważnego udziału; ani Przegląd Polski, choć od roku wychodził, ani Teka Stańczyka nie była jeszcze wskazała nowego kierunku; Szujski nie mógł przeboleć rozchwiania swoich ideałów, straszna w tej silnej głowie i potężnem sercu panowała burza, objawiająca się polemicznymi artykułami pełnymi ognia i niepokoju, a których kierunek streszcza się w liście, który chowam. Pisał do mnie w słowach:

„Puszczasz pan „kilka słów“, ja puszczyć odpowiem. Aby jednak jak najmniej uronić z pierwotnej myśli, na którą się oba zgodzili, poprzestaną na odporze kilku zarzutów, a zajmę się głównie wskazaniem drogi porozumienia. W ten sposób będę chciał upożytecznić naszą polemikę. Jesteś, szanowny pan, katolikiem i ja nim jestem, jesteś przywiązany do kraju i ja pochlebiam sobie, że go Kocham, jak nie na ziemi. Jesteś starszym, o wiele starszym odemnie, tu

może największa między nami różnica. W okropnych stosunkach naszych, starość przychodzi prędko, a objawia się nie osłabieniem siły rozumu, ale osłabieniem siły wiary. Traci się wiarę w społeczeństwo, w magiczny wpływ kochającego serca, w potęgę jawnego postępowania, w skuteczność wielkiej i szczerzej polityki, w pożyteczność owej Chrystusowej popularności, która idzie między tłum i zyskuje wyznawców. U nas cała wyższa warstwa społeczna choruje na tę starość, spuściznę z przeszłości, i przyjmuje na siebie coraz bardziej rolę hrabiego Henryka w Nieboskiej Komedii. Nikt tego nie nie czuł lepiej jak melancholijny wieszcz jej, Krasinowski.

Osobiście podówczas nie znałem Szujskiego, widziałem z osnowy listu, że zbliża się do uznania prawdy, którą otwierały przed nim historia i wypadki. Takie charaktery nie nie robią na wpol; Szujski z zastępem swoich przyjaciół, którzy już byli otrzeźwieli, postawiwszy teoretyczny kierunek w swoich Kilkuprawdach, rozumiał, że nie dość dogmatycznie nauczać, ale że należało wprzód rozbić nagromadzony ogrom fałszu, tem niebezpieczniejszy, że ukrywał się pod płaszczem zasługi, a nadęty był próżnością. Jako broń obrał formę satyry tak piekającej, że jak słusznie uważa Bobrzyński, wgryzła się aż do szpiku kości, a ból szaloną obudził niechęć. Nie wiem czy od czasu sławnej satyry „Ménipée“ podczas Ligi powstałej, tego rodzaju publicystyka tyle podniosła wrzawy. Listy Juniusa głównie mierzyły w ministra i jego popleczników. Teka Stańczyka uderzyła w całe stronnictwo, które do niedawna politycznie całym trzęsło krajem, a uderzyła z bezwzględnością pogardy, a gorliwością nowonawróconych. Kiedy zacny Bieliński nadmiar kwasu, który ożywiał Tekę, surowo osądził, Szujski odparł zarzut, a po dwunastu latach, nie ostygnąwszy z zapału, usprawiedliwiał treść i formę koniecznością zrobienia wrażenia, potrzebą pokazania tym, co terroryzowali opinią, że są ludzie, co się ich nie boją, wreszcie prawdą pod formę nie tak polemiczną jak aforystyczną postawionych zasad. Cała wspaniałość duszy Szujskiego przegląda w tej odpowiedzi, która dowodzi, z jaką dobrą wiarą, z jaką

miłością publicznej sprawy pochwycił on i jego przyjaciele za ten a nie inny oręż.

A jednak mojem zdaniem w Tece Stańczyka odzywa się struna, która razi, struna ironii. Nie była chwila po temu. Cel może był dobry; u mnie cel nigdy nie usprawiedliwia środków. Może bez tej ironii byłaby Teką mniej czytana, ale byłaby miała wpływ zbawienniejszy. To przyznawszy winienem uznać, że ludzi i ich działania nie należy brać ryczałtowo, i nie da ich się jak podług recepty ukształtować; a nadto, że tylko charaktery i działanie bezwzględne zostawiają w wypadkach ślad po sobie.

To do jego osoby, której ze Stańczykami solidaryzować nie należy. Był Stańczykiem, ale był czemś więcej, nie ograniczył się na działaniu negatywnem, ale kiedy jego przyjaciele, wskazawszy i wychłostawszy błędy przeszłości, umieli pokazać, czego się strzedz wypadało, a praktyczne na razie (opportunizm) wskazywali drogi, za co należy im i wdzięczność i chwała, on odniósł się do najwyższych zasad, w ich świetle sądził, uczył, kierował. Tego może nie dostrzegli jego stronnicy i wielbiciele, nawet ci co pośmiertnie uznali jego zasługi, ale dostrzegli doskonale przeciwnicy, i dlatego wydano mu głośną albo cichą walką, która dopiero z dniem śmierci ustało.

Śledząc pilnie ten wolny postęp ku politycznej i duchowej prawdzie, którego skończył się zupełnem jej uznaniem, (*justitia et pax osculatae sunt*), pytałem nieraz sam siebie, na jakiej drodze odbywał się ten ciekawy a tak zbawienny proces? O ile było mi wiadomo, studyów nad prawem publicznem i historią tej nauki nie odbywał, spekulacyjnie nie badał; otóż dobra wiara, z jaką prawdy szukał i nauka historii, obok bystrego i zdrowego rozumu, były mu przewodnią. W rzeczy samej historia jest największą i najpewniejszą polityki mistrzynią, jeżeli badana wedle zdrowej metody, która krytycznie zestawia fakta, a nie szuka błędnej, *a priori*, powziętej teorii. Jeżeli tak zdobyte prawdy polityczne zgodzą się ze spekulacją opartą na znajomości natury człowieka

i ludzkości, to już żadnej po zaaplikowaniu podwójnego tego kryterium nie ma wątpliwości. Drugiego, Szujski podobno nie próbował, dopełnili tego za niego inni; dość, że w miarę jak żył, jak się uczył, jak działał, pojmował i przedstawiał coraz jaśniej organizm społeczeństwa, ustrój i podstawę jego w duchowym objawione porządku. Jak społeczeństwo nie było dla niego utworem wolnej człowieka woli, ale koniecznością jego natury, tak prawo nie było wyrobem rozumu, ale objawioną prawdą zastosowaną do stosunków ludzkości. Tylko bardzo wprawne oko dopatrzy związku jaki panuje pomiędzy tem zapatrywaniem a całym kierunkiem Szujskiego w pismach, w kursach uniwersyteckich, w sejmie; w Akademii każdoroczne sprawozdanie dawało mu świadectwo, ostateczne zaś słowo wymówił w odczytach o Odrodzeniu.

Stańcycy w życiu publicznem. Zaprawdę nie w samej tylko Tece zaznaczyli swoją czynność. Z poświęceniem czasu, pracy i kosztu wydawany Przegląd Polski, dawał świadectwo niepospolitej gorliwości i wytrwania, umiał praktycznie wskazywać polityczne działania, przypominać błędy przeszłości, a ostrzegać przed obecnymi; czynił to nieraz z potęgą pióra i poglądem, które, choć był czytany w nielicznem kole, zapewniły mu wpływ i wdzięczność. Mówił to, co mówili może z mniejszym talentem przed nim inni, a co odpowiadało przekonaniom stronnictwa już licznego. Że te prawdy przyjęte i uznane zostały, nie idzie zatem aby Stańcycy wyrobili je i włali dopiero w przekonania; i niesłusznie Bobrzyński uważa liczne w Galicyi, Królestwie i Poznańskiem stronnictwo zachowawcze, za rozrodzone Stańczyka plemię.

Żaden człowiek zasad zdrowych, organicznych, wyrzekać się Stańczyków nie miał powodu; cieszył się ich działaniem, talentem, odwagą, popierał ich, ale niekoniecznie wchodził do tego ciasnego obozu. Że to nie byli ludzie popolicci, działanie niepospolite najlepszym dowodem; że od lat tyłu o nich mowa, z nimi walka, i że dziś jeszcze powstają koła polityczne ze sztandarem: Hejże na Soplicę! — pochodzi to z błędu, który specyficznych Stańczyków mięsza

nie bezwiednie z krakowskiem i całym organicznym i duchowym stronnictwem; znana taktyka.

Stańcycy odznaczeni w publicystyce, sporadycznie zasiadali i działali w sejmie jako krakowianie; dopiero kiedy marszałkiem został hr. Ludwik Wodzicki, zajęli tam osobne stanowisko. Zwarte, wybitne, nie wiem, jak to nazwać, może najlepiej bractwo, odrazu, chcąc kierować, rozsadziło stronnictwo krakowskie; nie pomogło temu zawiązanie klubu Reformy, zaczęło wolno słabnąć i wpływ tracić, bo zbyt silnie i kanciasto skryształizowane jądro, nie dopuszczało kohezji składowych części. Krakowianie, albo raczej żywiół, który reprezentowali, słabnął, przestał przewodzić, aż się rozpadł przy kwestyi gminnej. Oto skutek wewnętrznej Stańczyków polityki. Teraz o zewnętrznej.

Zewnętrznej polityki naszej nie należy rozumieć jak u innych narodów; ma ona znaczyć nie sprawy jedynie koronnego kraju, czy skarbowości, czy administracyi, czy edukacyi dotyczące, ale stosunek nasz do innych części Polski, do rządów, które tam panują, do środków utrzymania odrębnych cech narodowych. Zatracenia tej odrębności, wyrzeczenia się przyszłości i nadziei, żaden uczeiwy a nawet rozumny nie dopuścił się człowiek. Byt narodów, które wedle słów Pisma św. są uleczalne (*sanabiles*) składa się z przeszłości, terażniejszości i przyszłości (*uniternitas*). Żadnemu pokoleniu wyrzekać go się nie wolno, bo wnuki albo synowie zadaliby kłam takiej frymarce. Ale pokolenia winne rozumnie i sumiennie bez przesądzenia przyszłości, na podstawie prawd duchowych, wzmacniać organizm, obierać te drogi, które chwila wskazuje, a obierać nie te tylko, które chwila obecna wskazywać się zdaje, ale które polityka stale obmyślona w związku z naturą i przeszłością społeczeństwa nakazała. Chwiejność tutaj byłaby w najwyższym stopniu zgubną. Znam ja dobrze tę polityczną mądrość, która niby wiązać się nie chce z żadnym organizmem państwowym, rachując, kóten większe nam przedstawia korzyści. Takie licytowanie swej wartości, niegodne szlachetnego narodu, z pewnością stałych

nie zapewni przyjaciół; zaprzędanie takie więcej dającemu równie podle jak zgubne. Czy o tem pomyśleli ludzie zaćni? a znam takich, którzy niebaczenie powtarzają: „kto wie, czy Rosya nie zapewniłaby nam więcej swobód, więcej korzyści materyalnych, czy pokrewieństwo szczepowe nie jest podstawą łączności“; czy pomyśleli, że każdy, o takie podejrzanu uczucia, traci prawo do wiary i do tej miłości, której dotąd wszystko zawdzięcza nasz kraj koronny? Wolno tak myśleć niektórym bankierom, przemysłowcom i pozytywistom warszawskim, nie wolno ludziom, którzy poważnie trudnią się sprawą publiczną, a zwłaszcza kiedy kraj uroczyste powieźdiał: „przy Tobie N. Panie stoimy, i stać chcemy“, powieźdiał wprzód, zanim Stańczycy weszli w rachunek politycznego życia w Galicyi; ich zasługą, że tę myśl śmiało, wyraźnie, ujęli i sformułowali.

W tej właśnie chwili, kiedy piszę, sala ratusza lwowskiego brzmi zapowiedzią niesumiennych obietnic; warto zatem tę politykę wyjaśnić. W niepewnej dla każdego rozsądnego człowieka przyszłości dwie tylko są rzeczy pewne: raz, że naród dobrowolnie nigdy nie wyrzeczy się swojego bytu; drugi raz, że w niepewności, jakie warunki i kształty bytu tego być mogą, o tyle więcej otrzymamy, o ile więcej pierwiastku moralnego i organicznego w sobie wyrobić potrafimy. Nie pomogą tu zgoła najgłośniejsze okrzyki, że Polska nie zginęła; nie pomogą najbardziej stanowcze afirmacye niespożytych albo traktatami poręczonych naszych praw; pomoże jedynie wyrobiona, wewnętrzna, żywotna siła, będąca skutkiem uznania i praktykowania warunków życia społecznego, a temi są obok języka i narodowości, które dzięki Bogu i dobremu monarsze są bezpieczne, uszanowanie władzy i prawa, pod których opieką układają się powaśnione niegdyś żywioły społeczne do równowagi, tak, że przychodzą do wspólnej jako naród świadomości. Proces ten pod rządem rosyjskim odbywać się nie może, bo potrzebuje koniecznie normalnych warunków, na których tam zupełnie zbywa; dlatego też widzimy tam objawy chorobliwe, które same, gdyby

ich społeczeństwo nie wyrzuciło, zdolne są zatruć jego zdrowie. Widzimy rozpoczętą assymilacyjną czynność, propagowaną przez pismo z talentem redagowane, które w dobrej wierze rozumie, że wywieszenie wspólnego nam dziś wszystkim demokratycznego sztandaru wystarcza, aby sprowadzić opinię na grunt konstytucyjny, do którego w Rosyi danych nie ma, a chociażby były, to właśnie na tym gruncie rozpoczęłby się najniebezpieczniejszy dla niej rozkład i absorbcya konieczna wobec ogromu państwa rosyjskiego i obudzonych w jego ludności aspiracyj. Błąd ten, który w Warszawie i w zabraniach krajach wielu znajduje zwolenników, pochodzi z zapoznania w ogólnie humanitarnym poglądzie, iż narody żyją i żyć tylko mogą pierwiastkiem duchowym, na którym się rozwinęły; że są pomiędzy szczepami zasadnicze różnice, których skutkiem jeden szczep może pochłonać drugi, złać się dobrowolnie nigdy nie potrafią; że odgrywają tutaj główną rolę pierwiastek religijny wykształcający duchowość i moralność, i pierwiastek cywilizacyjno-historyczny, który wykształca pojęcia prawa politycznego i cywilnego. Te to przyczyny robią niepodobną na jakimkolwiek bądź gruncie fuzyą rosyjskiego z polskim plemieniem.

Nie twierdzą, jak często chcą nasze uprzedzenia, aby nasze stosunki państwowo-społeczne i moralne były wyższe od rosyjskich, które każdy znający rzecz oceniać musi: ale są z gruntu inne. Wyrosły z pierwiastku bizantyjskiego, wschodnio-azyatyckiego, wyrosły ze strasznych walk, z których Rosya wyszła politycznie zwycięsko, ale z utratą indywidualizmu będącego cechą Zachodu, z niewykształconą ideą własności, ze złaniem w jedno kościelnej i państwowej władzy, słowem z utratą wszystkiego, co uważamy słusznie jako główny nasz kapitał narodowy.

Rozumiał to Szujski, kiedy niemal ostatnie słowa jego były: trzymajcie się Zachodu; ten związek ze Zachodem ułatwi sojusz z państwem i domem, który choć należał do rozbioru Polski, sam jeden go żałował, a sam jeden mógł nam dać już wskutek ustroju państwowego te warunki bytu, które

Aleksander I. chciał dać Królestwu, a pokazało się, że nie mógł. Nierozsądny tylko, i obcy polityce człowiek mógłby chcieć przepowiadać dzisiaj, — kiedy nietylko trony się chwieją, ale ziemia trzęsie, — w jakiej kombinacji, wśród jakich warunków i sojuszków, Polska istniećby mogła, czy jako członek federacji, czy jako *secundo genitura*; dzisiaj o to idzie, by się do tego gotować.

Kraj koronny przez organ sejmu wyrzekł przy kim stoi i stać chce, a zasługą Stańczyków, głównie jednego z nich, że teorię tę sformułowali, a bezwzględnie i śmiało głosem wprowadzili w praktykę. Szujski poszedł dalej, albo raczej głębiej. Umysł silny, przenikliwy i konsekwentny, dążąc do wzmocnienia sił narodowych, nie mógł pozostać na zewnętrznych, politycznych formach, na samej roztropności w korzystaniu ze szczęśliwych stosunków, i tutaj, podług mnie, główne jego zasługi.

Dziś, kiedy rozum i nauka mniemają, że potrafią nie tylko same rozwiązać wielką bytu ludzkiego zagadkę, ale dać jej balast i kierunek, on, nie mniejszy rozumem i nauką od kogo bądź, zrozumiał, że początek ludzkości, prawo, którem się rządzi, cel, do którego zmierza, są nadprzyrodzone, a ztąd popłynął cały jego pogląd na dzieje, na wychowanie, na potrzeby każdego, a głównie polskiego społeczeństwa.

Studia historyczne są dziś, że tak powiem, na porządku dziennym: pierwszorzędne talenta poświęcają im czas i zdolności, a niewątpliwie rozjaśniły, przy umiejętnym badaniu źródeł, wiele poszczególnych zjawisk. Stosownie do osobistego usposobienia, bardziej jeszcze do prądów panujących w opinii, posługują, jeżeli się podnoszą do historyzoficznego zapatrywania, teorii albo celom autora. Tak mieliśmy historyków upatrujących przyczynę upadku w odstąpieniu od gminowładztwa, jak mamy zwolenników potężnej państwowej siły. W jednych i drugich panuje, choć nie przyznany, rodzaj fatalizmu, bo nie odnoszą się do wyższego moralnego porządku. W te błędy i ostateczności Szujski nie popadł, jak nie popadnie nigdy ten, co w świetle prawdy Boskiej rozbiera

wypadki ludzkie. I to dało mu ten sąd wytrawny, który od lat kilkunastu podziwialiśmy w każdym jego piśmie, w każdym odezwaniu, a który tak gorszy wielu. Wskutek panujących uprzedzeń, zmniejszało się wzięcie, *causiperry* prawne, polityczne i moralne, śmiały głos przeciw niemu podnosić, i, jak często w Polsce bywało, trzeba było śmierci, aby całą jego wartość ocenić.

To jest właściwe Szujskiego znaczenie; a Smolki to zasługą, że na nie wskazał. Opatrzność zawsze w każdej chwili niebezpiecznej przysyła ludzi, którzy prawdę głosząc, nie pozwalają, że tak rzekę, aby przy obniżeniu poziomu moralnego, społeczeństwo zasnęło w błędzie. Takim opatrznyim człowiekiem był niewątpliwie Szujski i miał też wszystko co potrzeba do spełnienia swojej misji: powierzchowność uroczą, fantazyę pełną życia i natchnienia, miłość Ojczyzny ognistą, różnorodne a prawie nigdy nie schodzące się w jednym człowieku zdolności, łatwość w pracy niezwykłą, a zapal do niej, niestety, niepohamowany. Tak wyposażony człowiek, pełen dobrej wiary a próżen egoizmu, jak tylko trafił na drogę prawdy, kroczył nią, póki nie doszedł do źródła, to jest do uznania objawionej nauki Chrystusa i powagi Kościoła, który ja głosi. Odtąd, przy każdej sposobności, uznanej przez siebie prawdzie oddawał świadectwo, tem bardziej, że widział w niej, i słusznie, zbawienie Ojczyzny.

Gdyby fanatyzm negacyi umiejętnie kierowany od dawna przez spisek mógł przejrzeć, to widok społeczeństwa Francji a usiłowań w Niemczech i Rosji skłoniłyby go do odwrotu. To nie nastąpi; poddany despotycznej z urokiem tajemnicy władzy, jak żyd wieczny tułacz zatrzymać się nie może, musi iść naprzód, łudząc się, że w miejsce chrześcijańskiej zaprowadzi humanitarną religię. Widok przewrotów bez skutku od lat stu które wywołał, mógłby opamiętać, widok herezji, które w tym nowym kościele powstają, zastraszyć. Ale nie. Duch negacyi to kłamca od początku, od początku kusi i oszukuje, to podniecając pychę życia, to rozniecając namiętności mienia i krewkości, to szukając w nauce środka

zmaterjalizowania ludu, który wyjątkowo uchował zdrowie rozsądku i prostotę wiary, wtenczas właśnie, kiedy ona jedna zasłania go od zaguby tradycyi i narodowości.

To wszystko Szujski wiedział, ale nie dość mu na tem było; wypowiedział to najświetniej, najdobitniej, najsmiejiej w swoich prelekyach o odrodzeniu. Te prelekye, na których zwolna zaczęło ubywać słuchaczy, są jego najpiękniejszym czynem, długo będą wpływ wywierać; czy są najważniejszym jego dziełem, wnet zobaczymy. O odrodzeniu, o humanizmie, o wpływie klasyków na moralność ludzkości mówi dziś wielu: czy bardzo wielu zdaje sobie sprawę, nie wiem. Jeżeli dobrze pamiętam, to pierwszym, który zwrócił uwagę z naukowego stanowiska na wpływ humanizmu, na reformacyę, był Fryderyk Schlegel, w sławnych swoich *Vorlesungen über die Neuere Geschichte* (Wiedeń 1809). Wielki znawca i wieków średnich i szesnastego stulecia, poczynając od filozofów arabskich w Hiszpanii, wskazuje, jak zbierał się przyływ fali, jak w pośród poznania druku, prochu, Ameryki, systemu niebieskiego, umysły rozbudzone, były przygotowane do jakiegoś ruchu, któremu gotowały grunt bogactwo i swoboda miast włoskich i niemieckich, jak często bywa, idąc w parę z zepsuciem obyczajów. Nauka filozofii wyrodziła się; to co było środkiem, stało się celem; dyalektyka scholastyczna, potrzebna jako sposób ćwiczenia rozumu, posunięta w XV. wieku do śmieszności, w XVI. wieku stała się przedmiotem zaczepek i żartów humanistów, którzy poprzestając na negacyi, nie przenosili żadnej filozofii, ale trzeźwość sądu i elegancyę formy. Filozofia scholastyczna z dawnych czasów była połączona z teologią, a tak ciosy wymierzone na skostniałą naukę, padały czasem bezwiednie na wiarę. Scholastyicy, jak w takich razach bywa, bronili się, co łatwo, dogmatami, a tak wchodziły w grę żywioły. stanowiące składowe części ekonomii chrześcijańskiego świata.

Dobrze przed wzięciem Carogrodu i przyływem greckich ksiąg i uczonych, odzywały się symptomata niewiary we Włoszech, strumienie gnostycyzmu i neoplatonizmu, które

pływały pod ziemią, bęchały czasem na powierzchnię, i nieśluszenie byłoby robić ztąd zarzut wyłącznie humanistom. Społeczeństwo włoskie było zepsute, zwierzchnicy Kościoła wskutek przeważnego politycznego stanowiska, jakie zajmowali, nadto światowi: co dziwnego, że woń poezyi i cywilizacyi starożytnej, która w całym stawała uroku, odurzyła głowy, a bujnej krewkości ciała puszczała wodze? Równocześnie, a w części za ich wpływem, sztuka wskutek ożywionego handlu, życia publicznego, włoskich rzeczypospolitych i narodowego geniuszu, nietylko dochodziła najwyższego a dotąd nieprześcigniętego ideału, ale stała się żywiołem składowym narodowego i społecznego życia. Powodzenie budzi pychę, a jak dziś odkryte siły natury, które człowiek ujarzmił i użyć do swych posług potrafi, nadymają go aż do mniemania, że bez karności moralnej ludzkość obejść się potrafi, tak podówczas uroczy zmysłowy materializm, ośwładnął społeczeństwo i sprawił, że człowiek pojedynczy zażądał swobody myśli i sądu, aby się uwolnić od karności Kościoła i sumienia. *Post hoc ergo propter hoc*. Że reformacja nastąpiła po odrodzeniu, że humaniści niemieccy jak Reuchlin, Hutten, Erazm v. Rotterdam, wpłynęli na jego rozwój, ztąd wniosek, że humanizm był główną i jedyną przyczyną reformacji. Tak nie jest. Przyczyny wielkich historycznych wypadków, jak nieraz powiedziałem, są zawsze złożonej natury. Szujski wiedział to lepiej jak ktokolwiek, i dlatego z ironią w ostatniej nocy do prelekcji piątej pyta, czy to jemu, który połowę życia z klasykami przepędził, można robić ten zarzut, że ich lekko waży. Szujski był istotnie na wskrós humanistą i filologiem w obszernym tego wyrazu znaczeniu. Już Ast w zanadto może mało dziś znanem dziele *Philologie*, wypowiedział dokładnie co jest filologia. To nie jest tylko języków łacińskiego i greckiego posiadanie; i zapewne nie trudno pisać piękniej po łacinie jak Szujski; filologia to jest wejście za pośrednictwem języka i literatury do wnętrza starożytnego świata. I dlatego stoimy o studia klasyczne we własnych językach, że świat starożytny zamknął swój cyklus. Jak ana-

tom badać może człowieka tylko na obumarłym trupie, tak badając ludzkość, można ją tylko poznać i kształcić na sta-
rożytnym świecie, który ostatni swój wyraz wyrzekł. Ztąd
nauk klasycznych nazwa. Kształcą człowieka, a więc *huma-
niora studia*: i zaprawdę nie wiem, aby kto na obszarze
ziem polskich był prawdziwszym jak Szujski humanistą. Kiedy
Smolka w uniesieniu podziwu i żalu wyrzekł, że Szujski był
Newtonem, to wielu posądzało go o przesadę. Szujski astro-
nomem nie był i nie mógł ponderacyi ciał niebieskich od-
kryć; ale Szujski przy zdumiewającej znajomości czasów
i źródeł, umiał rozróżnić nietylko wpływ każdego żywiołu,
ale w tych samych nieraz ludziach, dualizm objawiający się
w epokach przelomu, oddziaływanie tych prądów to na duchowe
usposobienie, to na ustrój polityczny narodu, a do tego po-
trzeba genialnego poglądu. I kiedy cieszyć nam się i szczyścić
należy, że posiadamy równych co do nauki, dowcipnego ze-
stawienia faktów, wyprowadzenia ztąd zajmujących teorii,
to Szujski jeden tylko podniósł się aż do zrozumienia rządów
Opatrzności w świecie i dlatego widzi w dalekiej już prze-
szłości początki złego, które z czasem miało działać na roz-
kład a i bezwładność naszego społeczeństwa. Czy reformacya
dzieląc Niemcy na dwa obozy, stawiając zasadę: *cujus regio
ejus religio*, obniżając poziom wychowania i nauk tak, że
jak uważa Halami, (zaprawdę nie ultramontanin), protestanci
oddawali dzieci do szkół jezuickich, była, jak chce Smolka,
przyczyną rozwoju nauk, swobody, cywilizacyi; ani myślę
rozbierać, boć to próżna byłaby praca; tem bardziej, że ci,
co nie chcieli słuchać Szujskiego, czytać tego nie będą. Jedno
tylko zastrzegam, że Szujski, jego szkoła, są na drodze po-
stępu. Bankructwo rewolucyjnych zasad, choć ani zadeklaro-
wane, ani przez sąd ogłoszone, dla umysłów przenikliwszych
jasne. Ich rzeczą wskazywać te dawne, a dziś nowe drogi,
i to rzetelny obecny postęp.

Uśmiech szyderezy, albo politowania na niejednej twarzy,
ani nas zdziwi, ani zastraszy, jak nie zastraszył Szujskiego,
kiedy jawnie wyznawał, że: jest chrześcianinem

w karbach nauki Kościoła. Prelekye o odrodzeniu zostaną pomnikiem i dowodem, na jakiej wysokości stało społeczeństwo, które taki kwiat wydać mogło.

Ale niewątpliwie najznakomitszem dziełem, jakie Szujski zostawił, są jego Dwanaście Ksiąg Historji Polskiej. Dziwne, jak umówione milczenie o tej pracy; Godlewski znany redaktor *Niwy*, prosił mnie, bym zrobił jej rozbiór. Rzecz nie łatwa, bo bardzo treściwa, a przytem niepodobna było nie zestawić jej z dziejami Bobrzyńskiego. Gdzie mnie, spotykać się z Bobrzyńskim? Jednak do roboty się wziąłem, ale praca podrobiona zaginęła gdzieś wśród moich papierów najnieporządniej utrzymywanych. Drugi raz do roboty się nie wezmę.

Szujski pisząc książkę, chciał pisać i rozumiał, że pisze książkę elementarną. W tem błąd, bo ona przypuszcza już nie elementarną, ale dokładną znajomość faktów polskiej historii i wykształcenie, mogące korzystać z głębokiego sądu i szerokich poglądów. Pomijając również w końcu ani zbyt ważne ani zbyt wielkie różnice co do początkowych dziejów naszych pomiędzy Szujskim a Bobrzyńskim, zasadniczy spór powstaje co do czasów, w których wykształca się organizm państwowy. Spór ten ważny, jest dosyć subtelnej natury, i dlatego nie łatwo ani wskazać na różnice ani zbadać ich przyczyny.

I jeden i drugi upatruje początki rozkładu w braku sprężystości władzy, w onej nieuszanowaniu, w lekceważeniu prawa i owej luźności we wszystkich hierarchicznych stosunkach, które polskie znamionują społeczeństwo. Zdawałoby się zatem że jednozgodni; ale właśnie tutaj zaczyna się różnica. Bobrzyński zgodnie z prądem obecnie panującym, widzi zbawienie w idei państwowej, która w owych czasach koncentrować się musi w panującej dynastji; imponuje mu wola i siła, obojętna czy oparta na prawnej podstawie. Ztąd podniesie niedołęznego króla, dlatego tylko, że bezwzględny, jakby sama bezwzględność była już zasługą; obniży najświetniejszą epokę naszej historii, upatrując w niej zarody upadku, jakby nie wiedział, że właśnie kwiat w rozkwicie zapowiada barwy

i woni utratę; godziłby się i na rządy Iwana Groźnego w Polsce, byle jej wraził ducha karności i posłuszeństwa. Jakkolwiek nie zaprzecza nigdzie idei duchowej, ciągle ją ignoruje, jak gdyby potęgi moralne nie były najważniejszym czynnikiem w życiu narodów. I zaraz przykład: Iwan Groźny z całym swym okrucieństwem, z całym cynizmem, nie był tyle szkodliwym dla rosyjskiego społeczeństwa, jakby był dla naszego, bo reprezentował tam nie tylko polityczny ale i duchowy pierwiastek. Głowa Kościoła, narzędzie boskich na ziemi rządów, podnosił do wysokości rządów Opatrzności wybryki namiętności i fantazyi. Społeczeństwo zachodnie katolickie nigdyby tego nie zniosło i dlatego wybór jego na tron polski był prostą niemożebnością, poselstwo Haraburdy było facyjnym wybrykiem, a Iwan czuł to tak dobrze, że tylko stał o Litwę, polskiej nie pragnął korony.

Inaczej Szujski. Zarówno luźność potępia, a bezkarności niemal głównie upadek narodu przypisuje, ale zbadał duchowe potęgi, które są tak ważnymi w rozwoju i bycie ludzkości czynnikami. Z podwójnej człowieka i ludzkości natury wychodząc, uznaje metafizyczne, a jeżeli kto woli, filozoficzne warunki bytu i rozwijania się społeczeństwa, trzeźwo patrzy na praktyczne zastosowanie w historycznym i politycznym życiu. Nie ma i nie może tu być żadnego fatalizmu, przyczyny rodzą koniecznie skutki, wola jednostek i społeczeństwa wolna, wybór między złem a dobrem swobodny, warunki i następności jednego i drugiego wskazane. Gdyby tu było miejsce do zbadania tych najwyższych zadań, toby się pokazało, że wszystkie następstwa w praktycznej polityki sferze, są skutkiem spekulacyjnych pojęć. Jeżeli człowiek jest wytworem pracy natury przez miliony lat, jeżeli jest postulatem rozumu, który nie wiadomo jak się wyrobił z materji i to nawet bez udziału tego ducha, o którym Wirgiliusz mówi: *Mens agitat molem et magno se corpore miscet*, jeżeli społeczeństwo powstało przez układ, to konieczność, idea państwa, zupełne podporządkowanie nawet bytu, jest usprawiedliwione. Wówczas można bezwzględnej woli człowieka przy-

znawać prawo szukania drogi zbawienia państwa na jakiegokolwiek drodze. Ale jeżeli człowiek, a więc i ludzkość wyszła z ręki Stwórcy wszechwiednego, wszechdobrego, jeżeli człowiek jest koniecznie z natury swojej, nie z wyboru społecznym, jeżeli społecznym być nie może bez prawa, a więc to prawo musiało mu być objawione, jeżeli wolna wola temu poddaje się prawu; logicznie rozwijają się następności tych dwóch zapatrywań w tak odmienny, nawet antagonistyczny sposób, że dzieli je przepaść, której nie zappełnić nie może, a która koniecznie musi wywołać walkę. Nie wiem jak dalece Bobrzyński filozofią się zajmował, że ma umysł filozoficzny to pewna, dlatego zgodzi się pewno ze mną, że pierwszy sposób zapatrywania się na stosunki społeczne wypływa, choć może bezwiednie, z panteizmu, drugie ma źródło w monoteizmie, tam tłumaczy wszystko atomizm, tutaj ożywiony duchem organizm.

Tak to w logicznym porządku różnice polityczne, spory społeczne, odnoszą się do najwyższych duchowych zagadek i tam szukać trzeba i źródła straszego antagonizmu, które wywołują, i środków do ich rozwiązania.

Większa część ludzi, którzy wrzekomo walczą, to w imię postępu, to pod sztandarem zachowawczym, ani się domyśla, w jakim punkcie rozchodzą się ich drogi, bo umysły konsekwentne są rzadkie, i mało ich pojmuje, że ostatecznym wyrazem w filozofii, a naturalnie i w polityce jest albo panteizm, albo monoteizm. Pierwszy, który rozpanoszył się na Wschodzie, trzyma tam ludzkość w marzącym uśpieniu, a w Europie przybiera to kształt absolutnego państwa, to konsekwentniej dąży do ostatnich socjalizmu krańców. Drugi uznaje Boga osobistego i człowieka pojedynczo wolną obdarzonego wola, który zaopatrzony od chwili stworzenia objawionem moralnym prawem miłości, z natury towarzyski, bo samotnie żyć nie może, wytwarza najrozmaitsze, a zawsze organiczno-hierarchiczne stosunki społeczne, według czasu i miejsca; żyje w patriarchacie, rozwija się w teokracji, z dopełnieniem objawienia przychodzi do zupełnego i w najrozmaitszych formach bytu,

wykszałca cywilizację chrześcijańską, w Kościele katolickim znajduje ciąglą miarę prawdy i hamulec moralny dla tej wolności, która jak robi najwyższą godność człowieka, tak jest jego największem niebezpieczeństwem. Nie jest tu miejsce rozbiierać, ale można wskazać jeszcze genezę politycznych konstytucyj, które nie mogą wytwarzać się na modłę jakiejś pojętej *a priori* teoryi, ale naturalnie kształcą się, niemal rodzą w kombinacji tych sił i potrzeb żywotnych, które objawiają się w społeczeństwie. Przybierają najrozmaitsze formy, równie uprawnione, byle powstawały w granicach i pod powagą prawa moralnego. Że nie obchodzi się tu bez gry namiętności, bez nadużycia siły, rzecz prosta, bo przyrodzona wolność człowieka tego powodem, ale też, w miarę jak społeczeństwo jakie szanuje bardziej prawo miłości, żywiły te układają się do równowagi, przychodzi do większej powagi na zewnątrz, a dowolności wewnątrz, i to robi zasługę narodów; za to dłużej albo krócej żyją.

Jakie z tego zapatrywania wypływają następności co do początku i pojęcia władzy i prawa, pomijam, ale trudno mi pominąć ciekawego objawu, który z tą sprawą ma styczność. Kiedy wskutek podnoszonej a groźnej we Francyi kwestyi robotniczej, Le Play miał sobie polecone zbadanie stosunków Indowych w Europie i Ameryce, znakomity ten człowiek, ani polityk, ani prawnik, a najmniej katolik, uderzony atomizmem, w który panujące od lat stu teorya i praktyka pogrążyły społeczeństwa, głównie zachodniej Europy, i nieporadnością, w którą wtrąciły pojedynczego człowieka, dojrzał, że brak hierarchicznego organizmu wywołał rozkład obecny, którego tam tylko nie dostrzegł, gdzie utrzymały się jeszcze ślady dawniejszych stosunków i dawniejszej tradycyi. Człowiek szukający z dobrą wiarą, a obserwator doskonały, wniósł zdąd, że obecne prawodawstwo cywilne, które dziedzictwa dzieli, władzę rodzicielską, a więc i rodzinę, osłabia, — i administracyjne, które znosząc korporacyjne ustroje, wywołało bezmierną konkurencyę, są powodem obecnego indywidualizmu, a bezbronności jednostki. Idąc w górę, szukał

praw tej organizacyi, której szczątki tylko znachodził, i znalazł je w przykazaniach boskich. Ciekawy ten nad wszystko proces, doprowadził go do uznania praw moralnych i społecznych, wedle których danych z góry, rozwija się i wykształca ludzkość do najwyższej doskonałości. I kiedy z góry myśliciele jak de Maistre, Bonald, Haller, Stahl, Gerlach, Burke, wskazali jak z duchowego porządku wykształcają się stosunki naturalne ludzkości, on z braku tych stosunków, podniósł się do potrzeby uznania prawd objawionych.

Dlatego mimochodem zatrzymałem się tak długo nad tym przedmiotem, bo dowodzi, jak różnemi drogami umysł ludzki może przyjść do prawdy, jeżeli obok dobrej wiary, zaopatrzone jest odpowiednią siłą. A to jest tak dalece prawdą, że nie robi tu wyjątku nawet Renan, którego umysł z natury przenikliwy, widzi wybornie cały fałsz poglądów i teorii dzisiejszej polityki i spustoszenia, które zrzędziły, dochodzi do wniosków, które loika wskazuje, i tu dopiero cofa się konwulsyjnie, kiedy stanął przed podwojami Kościoła, któremu wojnę nie jego rozum wypowiedział, ale jego serce.

Do tych prawd doszedł Szujski na drodze historii, co dla niego było tem łatwiejsze, że gruntu wiary nigdy nie był opuścił. Ten duch wiary promienieje z całej jego książki, oświeca mniej jasne objawy, a jednak ani na chwilę nie zaślepia w trzeźwości poglądów i sądu, kiedy np. potępia w chwili upadku i zachwianej moralności formę wrzekomo ascetycznej i namiętnej pobożności; kiedy potępia u uczciwych ludzi brak odwagi cywilnej i domatorstwo, które z pozorem roztropności jest egoizmem i małodusznością. Z całej książki wypływa ta wielka nauka, której właśnie od historii żądamy: że pod wpływem prawa moralnego siły społeczne mogą dojść do takiej równowagi, iż zapewnią ludzkości dwa główne warunki bytu: wolność i porządek, iż te siły do równowagi w Polsce nie przyszły, bo zaabsorbował dla siebie wszystko element szlachecki, który dlatego został ukarany; że jeżeli w Polsce była wolność bez porządku, to w społeczeństwie rosyjskiem, w którym carat zaabsorbował inne

żywioty, był posłuch bez wolności, a we Francyi pod rządem głosowania powszechnego, panuje despotyzm grubych i niskich instynktów; że najrozumniejszy nawet, biurokratyczny ustroj jak w Prusiech, wychodząc z idei t. z. prawnego państwa, musi logicznie brać jednostkę w opiekę, to jest wodzić go na pasku, a za to zapewniać mu potrzeby materyalne, monopolizując środki przewozowe, regulując stosunki służbowe, to jest robiąc wszystko z góry, czego pragnie socyalizm z dołu. Dla ludzi rozumujących z matematyczną ścisłością, a wolą absolutną, ma to wielki urok, a oparte na teorii nabiera naukowej powagi, ale nie można stawiać jako ideał tego, co historycznie usprawiedliwić się nie da, a logicznie prowadzi do anarchii albo despotyzmu. Zwrot wobec nauki po książkach i katedrach jest tu bardzo trudny, tylko wypadki, tylko bolesne doświadczenie doprowadzi niektóre społeczeństwa do tego wspaniałego ustroju, jakim od lat dwóchset cieszy się Anglia; jakim zaledwo tyle cieszył się Rzym. Że takie epoki równowagi sił społecznych w narodach są rzadkie, dobrze mi wiadomo; do tego potrzeba obok charakteru narodowego, zbiegu wielu szczęśliwych okoliczności, ale kiedy się mówi dla nauki, trzeba stawiać najwyższy ideał, którego urzeczywistnienie widzimy jednak w społeczeństwie angielskiem.

Wiele z tych następności Szujski nie wypowiedział, wszystkich zaród w jego książce. Dlatego uważam ją nie tylko jako najznakomitsze jego dzieło, ale jako pomnikowe w literaturze naszej. Dodać potrzeba, że pisana lepszym jak wszystkie inne stylem. Szujski, utarte to zdanie, stylistą nie był, a w dziejach bez ujmy jasności, chcąc być zwięzłym, potrafi w kilka wierszy zmieścić zasób myśli, który wystarczy na długą rozwałę i naukę. Jeżeli najwonniejszym i najbarwniejszym kwiatem umysłu Szujskiego są odczyty o odrodzeniu, to najzdrowszy owoc i najbardziej pożywny, dał nam w dwunastu księgach.

Będzie to osobnym przywilejem, a może błogostawieństwem naszego narodu, naszej szkoły głównej, naszego miasta, że w czasie, kiedy nauka, albo prawdom wiary zaprzecza,

albo je ignoruje, uczony, którego możemy postawić obok każdego nietylko w kraju, ale i zagranicą, wieszcz natchniony, człowiek publiczny, znaczny na każdym polu i w każdym przedmiocie, kierownik prac historycznych akademii, miłośnik gorący, śmiały a bezinteresowny Ojczyzny, był wiernym synem Kościoła, głośno przyznawał się do posłuszeństwa jego nauce i wskazał, że od chwili kiedy słabła jego powaga w Ojczyźnie, ta zaczęła chylić się do upadku. Zasługi tej może nie oceniają współcześni, niektórzy wybaczą wyższemu człowiekowi tę słabość, ale przyjdzie czas, kiedy po wielu cierpieniach, może strasznych kataklizmach, ludzkość podnosząc o ratunek oczy do Krzyża, błogosławić będzie pamięć tego, który doń drogę wskazywał.

AUGUST HR. ZAMOYSKI¹⁾.

† 23-go lutego 1889 r.

Po Stanisławie Ordynacie Zamoyskim, ożenionym z Zofią Czartoryską, która urokiem piękności i cnoty oprzemieniała epokę księstwa Warszawskiego, i kongresowego Królestwa, zostało siedmiu synów i trzy córki. Dziwną prawdziwie zasługą rodziców, czy Opatrzności łaską, całe to liczne pokolenie w przebiegu przez czasy dobre i najgorsze, odznaczyło się w sposób osobny. Ordynat miał szczególną metodę chowania synów. Jedni przebywali w Anglii, drudzy w Genewie, albo uczyli się w Getyndze, inni znowu w Krzemieńcu; a skutek był ten sam, każdy miał typ Zamoyskich, każdy miał poczucie pracy i obowiązków obywatelskich.

Tomasz ordynat wystawił *antiquo more* pułk w r. 1830. Ciężka choroba stanęła temu tak pięknie rozpoczętemu życiu na przeszkodzie. Andrzej od lat młodzieńczych twardo w hierarchii rządowej pracuje. Sprawę publiczną hazardem własnej osoby ratować pragnie, a gdy jej brakło, sam jeden potrafił obudzić duch publiczny. Jan, prawnik skończony; Władysław, o którym trudno pobieżnie mówić, ale bo też mówić nie potrzeba, choć tego serce przyjaciela pragnęłoby, o człowieku, którego imię i pamięć w każdym polskim sercu żyje. Zdzisław, czy na polu bitwy, czy w Radzie państwa, zawsze wierny swoim uczuciom, zasługuje na osobną biografię. Szósty z rządu August właśnie zakończył życie w Bachórcu, pielęgnowany przez córki. Młodszy, nie mógł jak oni służyć Ojczyźnie urzędem, mógł tylko wojskowo. Jakoż w każdej bi-

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ w 1889 r.

twie widziano na przodzie, a pod Iganiami, jeśli dobrze pamiętam, mocno kontuzyonowany, zdobył krzyż *Virtuti Militari*. Przyszło mu żyć w czasach, o których starożytny mówi: *Optime vixit, qui optime latuit*. Poczucie narodowej i własnej godności poniekąd go osamotniło. Głowy nie uchylił, ręki nie podał, tylko tam, gdzie mu to nakazywał szacunek. Posągowa ta postać na uboczu wrażała uszanowanie i obcym i swoim. W czasach, w których próżność, posługująca się dostatkiem, rozkładowo działa na społeczeństwo, przykład największej prostoty obok stanowiska, wielkopańskiej ogłady i majątku pocieszająco działa na społeczeństwo. Jakby tradycją od wielkiego protoplasty, Zamoyscy zachowali w ostatniemu pokoleniu tę piękną rodu swojego cechę, co nie przeszkadzało wcale, ożenionemu z Elfrydą hr. Tyzenhauzówną, być wzorem staropolskiej gościnności.

Daj Boże, aby ostatni i najmłodszy z tego pokolenia ¹⁾ i ta Pani ²⁾, która rok każdy życia zaznaczyła trwałem i użytecznem dziełem, byli nam jeszcze długo pociechą.

¹⁾ Stanisław hr. Zamoyski.

²⁾ Księżna Leonowa Sapieżyna.

STANISŁAW RZEWUSKI¹⁾.

na podstawie jego zapisków i własnych wspomnień.

† w maju 1831 r.

W gmachu popijarskim, na rogu ulicy Długiej i Miodowej, w którym ostatnimi czasy mieścił się sąd apelacyjny i biura rejentów, umieszczono w r. 1822 szkołę Aplikacyjną.

Wielki ks. Konstanty, niepospolity organizator armii, jak założył szkołę kadetów w Kaliszu, tak chciał mieć dla najzdolniejszych uczniów wyższą szkołę wojskową, która miała kształcić do inżynierii, artylerii i kwatermistrzostwa. Nie szedził dla tej szkoły żadnych kosztów; umieszczona wygodnie, niemal zbytkowo; miała nauczycieli to sprowadzanych z zagranicy, jak uczony Coriot, to najzdolniejszych krajowych, jak matematyk ks. Skolimowski, fizyk Skroeki i t. d. Głównym dyrektorem szkoły był pułkownik Sowiński, który w kilka lat później zginął pod Wolą. Kierownikiem nauk był pułkownik Kołaczkowski; inspektorami kapitanowie Przedpeński i Paszkowski. Pod kierunkiem to takich ludzi miała rozwijać się szkoła, utrzymywana równie zbytkowo jak karnie; młodzież wychodziła rzadko, odwiedzać ją można było tylko wyjątkowo. Jak powiedziałem, najzdolniejsi z kadetów kaliskich bywali do niej przyjmowani; tak wszedł Fröhlich, Malczewski, Hofman, że wielu pomnę. Szczególniejsze względy W. Ks. otwierały także do niej wejście młodzieży zacnej i wyższych rodów. Tak weszło dwóch książąt Czetwertyńskich, Władysław i Borys, tak Tomasz i Gustaw Potoccy, tak powróciwszy z zagranicy w r. 1824 na 25-ty, weszli

¹⁾ Drukowane w „Przeglądzie Powszechnym“ 1889 r.

Stanisław i Leon Rzewusey. Matka ich, sławna Rozalia z Lubomirskich Rzewuska, córka owej uroczej piękności, Aleksandrowej z Chodkiewiczów Lubomirskiej, której głowa padła pod nożem gilotyny, a która dzieckiem będąc przepędziła jedenaście miesięcy na opiece dozorey więzienia *la Force*, znana była z zasad monarchicznych, a równie przez urok osobisty jak i zasady doświadczała względów wielkiego księcia. Mąż jej Wacław, tak zwany Emir Rzewuski, od wielu lat rycerskie życie prowadził na Wschodzie, i właśnie miał do swoich dóbr Sawrańskich, ale nie już do żony, powrócić. Pani Rozalia, przebywając często w Wiedniu w kole ograniczonym, ale w najświetniejszym towarzystwie: ks. Metternicha, ks. de Ligne, Jana i Maurycego O'Donellów, Hammera i Genza, dała synom wychowanie domowe, ale systematyczne i ściśle naukowe, pod kierunkiem najzaciejszego kapitana Hübnera. Po skończeniu nauk gimnazjalnych, pod tym samym kierunkiem pojechali do Paryża, gdzie w znanym domu p. Emanuela Bailly, który co zacniejszą młodzież gromadził koło siebie, przebywali, uczęszczając na uniwersytet.

Wiadomo, że Rzewuskich rodzina, wogóle wyłącznemi obdarzona zdolnościami, podniosła się w Rzeczypospolitej późno, ale szybkim krokiem przemierzyła drogę do najwyższych godności; hetmaństwo było w niej dziedziczne niemal przez 3 pokolenia: Wacław Rzewuski cierpiał za Ojczyznę ciężkie wygnanie, Seweryn tak się zespolił z dawnym ustrojem, że na szkodę Ojczyzny, a jeszcze większą swoją, choć w dobrej wierze wystąpił przeciw konstytucyi 3-go maja. Książę Jenerał ziem podolskich porównywał Rzewuskich do pięknego pałacu, pełnego marmurów, brązu i złota, ale w którym straszny. Jest coś prawdy w tem dowcipnem porównaniu. Potęga zdolności u niektórych członków tej rodziny górowała nad zdrowym rozsądkiem; miara i równowaga nie była łatwą dla tych ludzi, którym szczęście służyło, jak to się objawiło i w życiu Seweryna Rzewuskiego i w życiu syna jego Wacława; nie do wszystkich jednak da się to zastosować, a zna-

łem najwspanialsze wyjątki: Stanisław Rzewuski, o którym tu chcę mówić i siostra jego Marya, Jarosławowa Potocka.

Stanisław Rzewuski wkrótce zwrócił w Paryżu uwagę profesorów i uczonych: Cuvier, Sylvestre de Sacy, Durnouf, otaczali go łaskawemi względami. Między młodzieżą zajął Stanisław świetne stanowisko, po dwóch latach otrzymał dyplom doktora filozofii, i z rozkazu matki powrócił do kraju. Po krótkim w Opolu wypoczynku, matka, osoba stanowczego charakteru, umieściła obydwóch synów w szkole aplikacyjnej. W czasie to swojego powrotu, Stanisław Rzewuski kreślił dorywczo, w małej książeczce, której oryginał posiadam, wrażenia podróży i myśli, które ten umysł tak czynny zajmowały. Nie jest to dziennik — są to jakby memoranda wedle czasu i potrzeby duszy. Wyjątki, które podam poniżej, poprzedzę szczegółami o pobycie autora w szkole aplikacyjnej i dalszym tego pięknego a krótkiego żywota przebiegu. Wyjątki te dadzą miarę potęgi tego umysłu, który, żyjąc tylko do lat 24 nie mógł większych swej czynności zostawić śladów.

Do szkoły aplikacyjnej, jak powiedziałem, dostęp nie był łatwy, że jednak tam było dwóch Czetwertyńskich, a ja z Rzewuskiemi miałem zachowanie, pułkownik Sowiński pozwolił, abym po skończonych lekcjach, co sobota wieczorem przychodził. Jakoż prawie żadnej nie opuszczaliśmy, i ja i Kazimierz Czetwertyński, brat starszy dwóch uczniów szkoły, a mój najserdeczniejszy przyjaciel. Była to także wspaniała natura: doskonale wyuczony to w domu, to w Richeliowskiem liceum w Odessie, grek i łacinnik znakomity, a posiadając wybornie języki żywe, miał zamiar wstąpić do karyery dyplomatycznej, a kończył wydział prawny w Warszawie. Był to umysł jasny, miał zapał do wszystkiego co piękne i wielkie, znakomitą łatwość redakecyi, i stało przed nim duże pole pracy i zasługi, gdyby nie ta fatalność, która wszystkie zdolności u nas na zmarnowanie skazywała. Wszysey trzej mieliśmy jedne, duchowe zasady, silne katolickie przekonanie, w których zastosowaniu do społeczeństwa, widzieliśmy i zbawienie ludzkości i własnej Ojczyzny.

Jakie prądy panowały w ówczesnem społeczeństwie, wiadomo, ale wiadomo także, jak silna reakcyja duchowa objawiała się w pierwszej ćwierci naszego stulecia. Dzieła Bonalda, De Maistre'a, Lamennais'go, we Francyi; Adama Müllera, Stolberg'a, Schlegla w Niemczech, kierunek idealny w poezjach Lamartine'a i Manzonięgo, zwracały umysły i przekonania na drogę wiary i dogmatycznych zasad. Jak rozbrat z Kościołem wywołał rewolucyę francuską i jej następstwa w całej Europie, tak byliśmy tego przekonania, a przy nim i dziś obstaję, że tylko powrót do wiary i karności kościelnej może ludzkość z odmętu obecnego wybawić. Nie było też pytania filozoficznego i politycznego, któregobyśmy wieczorami w szkole aplikacyjnej nie rozbiali, a stawały nam przed oczyma wszystkie zagadki, które do dnia dzisiejszego nie zostały. W rzeczy samej, choć nazwy były inne, pytania i dążności były te same. Z naszych rozpraw jedne pamiętam, drugich ślad na piśmie. Postawiliśmy raz pytanie: czy europejska cywilizacyja nie jest zagrożona, nie już przez barbarzyństwo zewnętrzne — bo nikt podówczas Chińczyków się nie obawiał — ale przez barbarzyństwo wewnętrzne? Socyalistów, nihilistów wprawdzie nie było, ale już były te zasady, które ich wytwarzają: równość bezwzględna, wszechwładztwo ludowe, idea prawa pochodząca nie od Boga, ale od społecznego rozumu, objawiającego się przez większość; te czynniki zwyciężając, musiały koniecznie doprowadzić do obecnego stanu, do wszechwładztwa państwowego, i mniemania w luźnej ludności, że wszystko należy jej się od państwa, a teorii rządowej, że państwo może i powinno wszystkiemu zadosyć uczynić. Pamiętam dobrze, jak przewidując te wszystkie następstwa wyrażałem obawę barbarzyństwa powstałego z zewnątrz, przywodząc jako przykład stary Rzym, który jeszcze przed migracyą ludów północnych, popadł był w wyrafinowane barbarzyństwo. Na to Rzewuski: Społeczeństwa pogańskie choć kulturnie wykształcone, mogły ulegać barbarzyństwu zewnętrznemu, albo wewnętrznemu, nigdy zaś społeczeństwo chrześcijańskie, które ma w sobie ży-

wotną siłę odradzającą stosunki społeczne; po długiej dyskusyi uznałem jego zdanie, ale dziś pytam, czy się ono da zastosować do narodu, który, jak francuski pozbył się chrześcijaństwa, i gdzie władza, postawiona przez większość, systematycznie posiew chrześcijański utrudnia i wyrывa?

Innym razem znowu, upatrując w walce o stanowiska społeczne przyczynę wewnętrznego niepokoju, postawił jeden z nas pytanie: czy kastowe indyjskie lub egipskie instytucje nie były rękojmnią większego pokoju? Tu oczywiście stanęła przeciwko temu twierdzeniu zasada chrześcijańska, która otwiera każdemu zarówno przez Chrystusa odkupionemu i oświeconemu udział we wpływie i korzyściach życia, byle siły odpowiednie służyły.

Tak przechodziliśmy różne ówczesne polityczne pytania to w kraju, to w Europie. Kończył rozprawy nieraz szanowny pułkownik Sowiński, przypominając godzinę ósmą. Wspinała była to postać: wysoki o jednej nodze, piękna twarz rumiana, otoczona włosem gęstym, siwym; nie wiedzieliśmy wówczas, że w sześć lat zaledwo, ten sam człowiek bohaterską śmiercią opromieni męstwo żołnierza polskiego pod Warszawą.

W r. 1826, skończywszy wydział prawny na uniwersytecie, wyjechałem do Paryża, Rzewuski, który wyjątkowo dwa lata tylko przebył w szkole aplikacyjnej, w r. 1827 został oficerem artyleryi i z baterją swoją przebywał w Grójeu. Obszerne jego z ludźmi najwybitniejszymi w kraju stosunki, obok wyższości, wielka polubowność i prostota w obejściu, robiła go bardzo popularnym w armii. Sąsiedztwo Grójca z Małą wsią, zbliżyło go do domu pani Walickiej, której córka zajęła go mocno, a w r. 1828 poślubił niepospolitą tę osobę, która rzadkiem szczęściem była żoną kolejno dwóch ludzi niepospoliczych, Stanisława Rzewuskiego i Zdzisława Zamoyskiego. Przydzielony do służby przy arsenale w Warszawie w r. 1829 tam zamieszkał i koło znajomych rozszerzył, bo każdy miał sobie za zaszczyt mieć z nim stosunki. Świetne to były czasy dla Warszawy, a szczęśliwe dla Królestwa, po sądzie sejmowym nastąpiła koronacya, a kraj się

gotował do pierwszego sejmu za Mikołaja. Wielki książę się ułagodził, Nowosilcowa wpływ zmałał, bo go przerósł wpływ Lubeckiego i u cesarza i u jego brata. Towarzystwo Kredytowe było zorganizowane, Bank powstał i dawał popęd przemysłowi fabrycznemu. Górnictwo krajowe pod genialnym kierunkiem Piotra Michałowskiego wspaniale przynosiło owoce, drogi bito, młyn parowy zakładano, słowem kraj cały podnosił się materialnie i umysłowo. Właśnie w tym czasie powróciłem z Paryża, a jakkolwiek młodzież zdolniejsza wstępowała wówczas do służby przy ministerstwie skarbu, gdzie było pole i do karyery, i minister, który umiał zdolności ocenić; ja wstąpiłem do ministryum oświecenia, w przekonaniu, że kraj, który ma się odrodzić do życia, powinien wprzód odrodzić się moralnie. Wspomnę kilku z ówczesnych wybitniejszych ludzi: Ludwik Jelski, Andrzej Zamoyski, Tis, Aleksander Wielopolski, Gustaw Małachowski, Świdziński, Bagniewski, Wołowski, że wielu pomnę, byli to ludzie pierwszej klasy, którzy w każdym kraju i w każdym rządzie byłiby pierwszorzędnymi zajmowali stanowiska; młodzi, eżyni, bo od każdego młodego człowieka żądano wówczas, aby był zatrudniony. Rzewuski ze wszystkimi był w stosunkach, wszyscy go szukali, a kiedy sejm nadszedł, a Cesarz przybywszy, oprócz sprawozdań urzędowych, od osób prywatnych i zaufanych zażądał jak zwykle gruntownych spostrzeżeń o stanie kraju, nie obeszła się ta praca bez udziału Rzewuskiego.

O tym sejmie, o głównym jego zajęciu prawem o małżeństwie, mówiłem już obszernie¹⁾. Cesarz odjechał niezadowolony, że prawo to, do którego miał dobre chęci, nie przeszło. Wszakże nie było żadnego zdrażnienia pomiędzy Mikołajem a narodem. Dopiero wieść o dniach lipcowych w Paryżu, które jak grzmot złowrogi przeraziły Warszawę, zmienił usposobienie.

W Paryżu przebywało zawsze to kilku, to kilkunastu Polaków prześladowanych albo spiskujących. Kierował nimi

¹⁾ O historii powstania Barzykowskiego.

Maliszewski, stary, z pierwszej rewolucyi francuskiej wyrobiony spiskowiec. Za jego pośrednictwem utrzymywała ta nieliczna emigracya, albo i podróżująca Polska stosunki z Lafayette'm, z Lafitte'm, również Benjaminem Constant i t. d. Przewrotu lipcowego i Ludwika Filipa nie był uznał Mikołaj; niebawem z jego zarządzeń można było oczekiwać czynnej przeciwko Francyi akcji. Ks. Lubeckiemu nakazano mieć 30 milionów w pogotowiu.

Francya potrzebowała zneutralizować zamiary Mikołaja. Tajne stosunki pomiędzy rewolucyjną Francją, a niechętnie znoszącą panowanie rosyjskie Polską, nie ustały nigdy; a że i w Warszawie było ognisko odpowiednie, wiadomo i ze spisku Łukasińskiego i ze stosunków z Dekabrystami, niemniej jak ze spisków w czasie koronacyi i ze stosunków, jakie Lelwel utrzymywał ze szkołami wojskowemi. Usposobienie kraju, nie powiem, żeby się zmieniło, ale było pełne niespokojnego oczekiwania. Urzędowa i poważna część kraju była przeciwną powstaniu, i nawet nie wierzyła w jego możność. Ale jak zwykle w takich razach, kiedy społeczeństwo nie ma przewodnich ludzi, na których zdanie rachować może, uczucie górowało nad rozsądkiem, zwłaszcza kiedy kilku ludzi poważniejszych nie tyle rozumem ile stanowiskiem, zaczęło się z młodzieżą znosić.

Od samego powrotu mego do Warszawy, kilku młodych ludzi, mających ten sam duchowy kierunek, schodziło się razem, aby pytanie bieżące rozbierać w poufnej dyskusyi. Władysław i Zdzisław Zamoyscy, Tytus Potocki, uczony niemiecki Goldmann, autor później tak sławnej broszury. (*Die europäische Pentarchie*), Stanisław Rzewuski i ja, widywało się co poniedziałek u Rzewuskiego, u Zamoyskiego albo u mnie. Im bardziej zbliżało się ku jesieni, tem bardziej wrzało w młodzieży wojskowej i uniwersyteckiej, a rosła trwoga na prowincyi. Rzewuski był na głowę ruchowi przeciwny, a choć się z tem wcale nie tał, takiego używał wpływu i zaufania, że jeżeli nie sami spiskowcy, to najbliżsi z nimi w stosunkach robili mu zwierzenia, a żądali rady. W początku października,

zasmucony powiada do mnie: „mimo wszelkich usiłowań wybuch nastąpi. Mogę powiedzieć, że ruch na ten miesiąc oznaczony, stanowczo wstrzymałem“. Kto znał jego stosunki, uszanowanie, jakie mieli dla niego oficerowie największego wpływu jak Nieszokoć i tym podobni, a jeszcze kto, jak ja, znał jego prawdomówność i prostotę, wątpić o prawdziwości tych słów nie może. Odtąd ciągle mnie utrzymywał w wiadomości co się dzieje z wojskiem; z rozpaczą patrzałem na zabiegi jednych, a brak oddziaływania u drugich; i 29-go właśnie w poniedziałek, w którym się mieli u mnie zebrać, padły pierwsze strzały, których całą zrozumiiałem grozę.

Przebieg dni rewolucyjnych wiadomy, wiadomo też, z jaką znajomością rzeczy zorganizowany został przez Lelewela i jego narzędzia klub patryotyczny, i jak potężnie cisnął na opinię. Tu dopiero poznałem nową potężnego umysłu Rzewuskiego stronę. Maurycy Mochnacki wymową stał się panem klubu: znane jego wystąpienie do dyktatora i tegoż odpowiedź. Rzewuski puszcza wiadomość, że Chłopicki, ubóstwiany wówczas przez lud i wojsko, wskutek irytacji wywołanej przez Mochnackiego tknięty został apopleksją. Mochnacki nie mógł przez parę dni na ulicy się pokazać, a tymczasem klub patryotyczny zamknięty. Kiedy pośród wahań Chłopickiego pozostawała potrzeba myślenia o wyborze naczelnego wodza, całe młodsze grono oficerów pragnęło Rzewuskiego. Wybór ten nie stanął nigdy na porządku dziennym, ale sama myśl tak ogólnie rozsiana dowodzi jego wpływu i moralnego znaczenia. To też, kiedy przysło wojsku i wodzowi naczelnemu opuścić Warszawę, a należało zapewnić zarząd stolicy, polecono Rzewuskiemu wygotować instrukcję odpowiednią; znakomita ta praca 24-letniego oficera zachowała się w dziele Barzykowskiego i świadczy, czego się Ojczyzna mogła po nim spodziewać. Klicki, podówczas komendant Warszawy, a po Chłopickim najzdolniejszy z naszych wojskowych, nieograniczone pokładał w nim zaufanie. Ale było już zapóźno, choroba nurtowała tę potężną organizację, a potęgowały ją wrażenia chwili. Zaraz po bitwie pod Dębem musiał opuścić

Warszawę i skończył życie w Krakowie przed ostatnią katastrofą. Można o nim z Cyceronem powiedzieć: *Fortunatus illius exitus, qui ea non vidit quum venerint, quae praevidit futura.*

Oto wyjątki z wspomnianego dziennika Stanisława Rzewuskiego ¹⁾. W przejeździe przez Metz, uderzony starą gotycką katedrą, pisze: „Jaka jest różnica, pod względem sztuk pięknych, cywilizacji greckiej a średniowiecznej? Oto kilka wskazówek w tym przedmiocie. W architekturze, zasada u Greków jest prostsza, na pierwszy rzut oka, niż u chrześcian w średnich wiekach. U Greków linia horyzontalna przeważa, w średnich wiekach — pionowa. Każda z nich zlewa się w harmonii z warunkami kraju, w którym kwitnie. Jednak z punktu widzenia materialnego, architektura grecka nie nadaje się do krajów północnych, gotycka zaś wszędzie równie piękna.

„W malarstwie, więcej jest prawdy w średnich wiekach, więcej życia aniżeli w wielu terazniejszych szkołach. Często w starych obrazach, świadectwie pobożności naszych ojców, jakiś symbol mało na pozór znaczący, obudza w nas tysiące myśli i uczuć. I tak bywa, na tronie Bogarodzicy malarz przedstawia grzech pierwszych rodziców; albo w cieniach zakrywających tło obrazu, krzyż błyszczy. Te znaki odnoszące się do początku i rozegrania największego dramatu, na jaki ludzkość patrzała, tworzą związek prawdziwie epieczny z grupą przedstawiającą Matkę i Dzieciątko. Symbole te, mało zrozumiane przez zimnych badaczy piękna, często krytykowane, podziwiane są przez tych, którzy wnikają w ich ducha. Ten allegoryzm, który zabarwia całe wieki średnie, ma źródło w chrystyanizmie. Jakżeż różni się on od grubej symboliki egipskiej i niesmacznych allegoryj, które wprowa-

¹⁾ Czytając ten dziennik, trzeba mieć przed oczyma, że pisany był w r. 1824 — i przez 18-letniego młodzieńca. (P. R.)

działa sztuka dwóch ostatnich wieków. Szczerokość starych obrazów silnie do mnie przemawia; zwrot do tej prostoty czuć się daje w nowym pokoleniu artystów ¹⁾. Dawid wydaje mi się znakomitym rysownikiem, szkoła jego bardzo poprawna, ale prawie wszystkie postacie są raczej dekoracyjne jak żywotne, celuje w szczegółach, a chybia w całości. Ktoś słusznie uważał, że Rubens, kiedy malował, śpiewał na płótnie swoje pomysły; dzisiejsi składają je z trudem. Szkoła obecna we Francyi otrzyma nazwę anatomicznej i błyszczącego pokostu.

„U starożytnych jest coś skończonego w wyrazie osób wchodzących do obrazu. Posągi ich, będące wzorem smaku i stylu, wyrażają różne namiętności i stosunki życia; ale jest w nich coś ograniczonego. Apollo Belwederski jestto wspaniała młodzieniec, Wenus Medycejska precudna dziewczyna, ale nie w nich nadziemskiego nie widzę; nie ma tego co Niemcy nazywają: *Sehnsucht*, *Liebe*... Ten wyraz moralny przebijają jednak w niektórych; w geniuszu spożywającym widzę smutek, nie widzę nadziei!... Smutek tej postaci jest w związku z wzmiankami o śmierci, któremi Horacy i Anakreont przeplatają swe pieśni. Nie widzi ona nie poza grobem i uosabia nicość. Tak to brak prawdy duchowej odbija się nawet w sztuce.

„W wiekach średnich zaś widzę wykonanie zapewne mniej doskonałe, kształty mniej piękne, ale za to więcej wyrazu; w obrazach i rzeźbach przeznaczonych dla kultu więcej myśli, prawdy, uczucia; przemawia z nich to nadzieja, to poddanie się, rzadko spostrzeżesz tę piękność milczącą, ponad którą starożytni wznieść się nie śmieli. Poezya, filozofia, sztuki mają u Greków jak i w wiekach średnich jednostajny charakter, każda z nich odbija cywilizacyę swojej epoki, bo wszystko przemawia jednym językiem, gdyż pochodzi z je-

¹⁾ W tym właśnie czasie (około r. 1824) powstawała nowa szkoła malarska.

dnego źródła natchnienia. Popęd ku niebu jest więc cechą sztuki średniowiecznej, *der Übergang zum höheren Leben*.

„Szkola włoska, mianowicie Rafael oblekł formy starożytności w średniowieczne natchnienia; obrazy jego są doskonałe, bo panuje w nich harmonia, i każdy znawca uniesiony zgodą pomiędzy starożytnością a chrześcijaństwem. Powierzchni znawcy sądzą, że Rafael zawdzięcza swe powodzenie naśladowaniu starożytnych; ale czyż jest co wspólnego pomiędzy geniuszem a kopistą? Rafael urodził się wielkim malarzem, studjum starożytności nie stworzyło jego geniuszu, ale nadało mu cechę doskonałości“...

Przejechawszy przez Saarbrücken, Mogunę, Wiesbaden, Rzewuski pisze: „Każde niemieckie jak i włoskie miasto posiada coś znakomitego. W krajach podzielonych na drobne państwa, z których każde ma swoją stolicę, środki działalności są pomnożone, a tem samem i liczba rzeczy eiekawych. Każdy panujący, każde miasto chce zabłysnąć. We Francyi, skutkiem centralizacyi jest Paryż i nie więcej. Przekładam pierwszy z tych dwóch ustrojów, byle władza centralna utrzymywała w zależności mniejsze polityczne ciała“...

W Worms, wielka liczba historycznych pamiątek nasuwa mu następujące uwagi: „Im więcej postępuje się w nauce historyi, tem bardziej dochodzi się do przekonania, że ludzie najmniej wpływają na bieg wypadków; nie bardziej nie przemawia za wiarą w istnienie Opatrzności, jak niemądre postępowanie tych, którzy rzekomo kierują losami świata; gdyby przez chwilę tylko ludzkość od ich pomysłów zależała, musiałaby popaść w bezden cierpienia,

„ . . . Umysł przejęty wielkiem przeznaczeniem człowieka, rodziny, społeczeństwa, potrzebę i prawdę wiary, a mający cokolwiek logiki, łatwo zrozumie historyę. Dla człowieka bez wiary doświadczenie milezy, gdyż uderzają go tylko przyezyny zewnętrzne i podrzędne. Takim był Montesquieu; świadczy o tem większa część jego dzieł, mianowicie; *Esprit des lois*, i *Grandeur et décadence des Romains*. Bossuet niewątpliwie najlepiej zrozumiał historyę.

„Müller w wspaniałych swoich „Dziejach powszechnych“ poprzestał przeważnie na przyczynach podrzędnych; zdaje mi się, że Montesquieu miał wielki wpływ na niego. Wielu historyków zamiast pisać historię, bawią się w dysertacje filozoficzne; chcą dowieść tej lub owej tezy, i pierwszorządne wypadki w ich oczach zamieniają się na podrzędne; to samo dowodzi, że nie wiedzą czem jest historia. Historia podobnie jak poezya, zdobywa sama sobie byt samoistny. Trzeba pisać historię z miłości dla niej samej, dla prawdy“.

Przejeżdżając przez Heidelberg zastanawia się Rzewuski nad stosunkiem uniwersytetów różnych krajów i wpływem ich na społeczeństwo: „W Anglii głównie uniwersytety przyczyniają się do stłumienia katolicyzmu. Trzeba zauważyć, że leży w interesie tych ludzi, którzy żyją z funduszków niegdyś klasztornych, aby katolików nie dopuszczać do intratnych posiad. To też dzieła ich przepelnione są w ogóle płytkimi przeciw katolicyzmowi oszczerstwami. A ponieważ istnieje w Anglii przesąd, iż cokolwiek wyjdzie z Oxford albo Cambridge jest wyrocznią, dlatego fałszywe pojęcia o katolicyzmie są tak popularne.

„W ostatnich czasach uniwersytet podawał do parlamentu petycję, przeciwko emancypacji katolików; na tymże samym uniwersytecie mianują dotąd profesorów do katedry fundowanej przez Wollastona, której programem jest dowodzić, że papież jest antychrystem. I to się dzieje w XIX wieku! W uniwersytetach angielskich panuje wszechwładnie nienawiść do katolicyzmu; to uczucie zastąpiło miłość do własnej religii, jeśli kiedykolwiek istniała!

„Anglicy najmniej rozumieją naukę prawa, i nie w tem dziwnego! Nauka ta, najpiękniejsza ze wszystkich, ściśle łączy się z religią, i na niej się buduje, a gdy fundament zburzony, na czemże gmach stawiać? Nie ma też kraju, gdzieby prawo było równie w upadku jak w Anglii; najlepszym tego dowodem polityka angielska i moralne stanowisko wielkiej Brytanii. Uczciwi ludzie, uderzeni zewnętrzną stroną angielskiego dobrobytu i ładu, wierzą w jej zdrowie moralne

i dzieci swoje na naukę prawa tam posyłają, gdy tymczasem strona prawna w Anglii temu tylko korzyść przynosi, kto ma już o prawie zasady pewne i chrześcijańskie... Anglia upadnie i wtenczas pokaże się odwrotna strona medalu.

„Gdyby Niemcy były katolickie, byłyby pierwszym krajem w świecie. Umysły Niemców oświeconych, są katolickimi przez pociąg do jedności i przez miłość prawdy. Jeszcze jeden krok naprzód, a zobaczą gdzie zajdą.

„Niemiec czuje głębiej, patrzy wyżej, szuka ideału, ztąd niebezpieczeństwo przesadnego mistycyzmu i fałszywego idealizmu. Zdolen odczuć piękności natury, łatwo popadnie w ekliwosć. Skłonny do zamknięcia się w sobie, zbyt ucieka od czynu, i grozi mu apatya we wszystkim, co się tyczy życia praktycznego. Dążność do połączenia wszystkiego prowadzi często Niemca do układania nowych systemów; tej dążności przypisują pewną myśli nieokreślność, jaką np. miał i Spinoza. Jest zamilowanie spokoju fizycznego, a ruchliwość wyobraźni. Nadto, Niemiec ma serce szczerze, umysł krytyczny, w walce nie ustąpi, ale i naprzód z zapalem nie pójdzie... Ze wszystkich krajów europejskich może najwięcej prawdziwej wiedzy jest w Niemczech; ale ta nauka mniej powszechna niż we Francyi naprzykład. Tam uczoney mniej umie, często powierzchownie tylko; a nieuczony więcej jak w Niemczech. Niemiec często nie odróżnia formy od treści, a że dla niego treść główną gra rolę, więc podług niej sądzi; przeciwnie Francuz. Pisząc książkę o poezyi, Niemiec rozróżniłby poezyę świata wewnętrznego od zewnętrznego, Francuz poezyę rymowaną i nierymowaną, Anglik użyteczną i nieużyteczną.

„Francuza jakiś prąd unosi na zewnątrz, do czynu, Niemca inaczej. Ale cóżby się stało, gdyby kaźden z nich chciał swe teorye w czyn wprowadzić? Francus często sądzi bez względu na akta procesu, Niemiec waha się przed wydaniem wyroku z obawy, że mu brak dowodów. Kto wie jednak, czy u Francuzów nie ma więcej zdrowego rozsądku niż w kaźdym innym narodzie? Wadą Francuzów jest oschłość serca, ztąd ich lekkość. W Niemczech często geniusz zabity

przez naukę, we Francyi cierpi nad ich brakiem. Gdybyż to można złąć w jedno charakter francuski i niemiecki!... Na uniwersytetach niemieckich więcej się pracuje niż gdziekolwiek indziej. Zbytek, jaki panuje w Anglii, tu nie istnieje, natomiast grasują tajne stowarzyszenia. Na każdym niemieckim uniwersytecie jest przynajmniej jeden profesor odznaczający się w pewnym kierunku, i to ułatwia uczniom wybór miejsca i fachu. Żaden uniwersytet nie może iść w zawody z paryskim pod względem doboru profesorów; jednak mniej na nim pracują niż w Niemczech. Paryski profesor zupełnie nie dba o ucznia, nikt nie jest zniewolony do pracy, bo uniwersytet nie ma żadnej kontroli nad młodzieżą. Przy egzaminach nadto panuje wielka pobłażliwość. Profesorowie wykładają po kilka przedmiotów, co szkodzi wydoskonaleniu każdego poszczególnie. Korzyść z kursów na fakultecie paryskim żadna, jeśli się samemu nie pracuje.

„Najlepsi profesorowie w Heidelbergu są: Thibaut — prawa, Kreuzer — starożytności, a Fiedeman — nauk lekarskich. Mene, profesor dziejów wieków średnich, prowadzący dalej dzieło Kreuzera, wydaje mi się uczniem systemu Schlegla. Gdy się patrzy na uczonego tej miary co Kreuzer, zatopionego jeszcze w twardej naukowej pracy, można się nauczyć pokory. Jakżeż jego wiedza jest bogata i urozmaicona, jak oświecona mądrą krytyką. Francuzcy uczeni zdają się być karłami wobec takich ludzi. A moje miejsce gdzie? o tysiąc stóp pod francuskimi uczonymi; mam jednak nadzieję, że sumienność i cierpliwość niemieckich badaczy będą mi gwiazdą przewodnią w życiu. Im więcej widzę ludzi, tem rozleglejszy a nieznany jeszcze horyzont roztacza się przed memi oczyma. Odważnie naprzód! z tem przeświadczeniem, że nigdy się nie zrobiło dosyć, aby się godziło wypocząć.

W dalszej drodze przez Niemcy pisze Rzewuski: „Wszędzie tu skasowano klasztory; jakim prawem? prawem moneńskiego, oto jedynie teraz uznane. Pozazdroszczono bogactw klasztorom i przywłaszczono je sobie. Poczciwi filozofowie deklamują przeciwko ignoracyi mnichów, nadużyciom klaszto-

rów i szkodom, jakie zład ludność ponosi, i uważają zniszczenie klasztoru jako krok uczyniony naprzód dla dobrobytu kraju. Bezrozumni, zmateryalizowani ekonomiści! Gdyby sły- szeli skargi dawnych sąsiadów klasztornych i ich podwładnych, wstydziliby się swej bezczelności. Gdyby znali użyteczność moralnej i materialnej działalności klasztorów, gdyby choć trochę znali historię, wstydziliby się swej ignorancyi. W istocie zarzuty ich uderzają wprost na katolicyzm“...

„W rozprawie mojej o filozoficznej szkole Jońskiej. znajduję zdanie, które ma głębsze znaczenie niż mi się wówczas zdawało. Powiedziałem tam, że teoria Heraklita najbardziej jest zbliżona do wschodnich systematów emanacyi. Ideę tę mógł zrodzić kult ognia, ale obecnie nasuwają mi się uwagi, które prawdę jej uwydatnią. Widzę największą analogię pomiędzy systemem Heraklita a jedną z panteistycznych indyjskich teoryj. Wedle Heraklita ogień przedwieczny wy- łąnia sam z siebie świat widzialny, wszelako ten świat, będąc *ein Abfall von der Gottheit*, jest w przeciwieństwie z istotą ognia pierwotnego. Tak samo rzecz się ma w teorii indyjskiej. W obu systemach dualizm jest tylko pozorny, a ponad nim panuje prawo harmonii; jest tu niemal teoria Organizmu powszechnego. Heraklit nazywa świat: igrzyskiem Zeusa; to samo wyrażenie spotykam u Schlegla: (*Sprache und Weisheit der Indier*). Ideę, że świat widzialny jest ułudą, rozwija *Maya* indyjska.

„Dziwną analogię w wyrażeniach i myślach znajduję pomiędzy prawami *Menu*, a pozostałymi urywkami Heraklita. Panteizm, jak go uprawia szkoła Schellinga, nader jest zbli- żony do nauki Heraklita i panteizmu indyjskiego. Wpływ filozofii indyjskiej i kabalistycznej widoczny jest u Wagnera. Dlatego sądzę, że jesteśmy w chwili najkorzystniejszej do studyowania systematów filozoficznych Wschodu. Od czasu Herdera, rozumiemy lepiej starożytność i stosunek Wschodu do Zachodu.

„Byłbym ciekaw poznać teorię liczb King'a, i poró- wnać z nią naukę Lao-tsen i Pytagoresa. Teorie te tak nain-

są obecne, że osądzić je bez głębszych studyów niepodobna, a potępić nie znając, byłoby nierozumnie. Teorya liczb była zawsze uprawnioną na Wschodzie i w starożytności. Wszystkie księgi mistyczne zajmują się liczbami, musi więc być coś w tem prawdy. Prawdopodobnie ludzie pierwotni mieli głębsze niż my w tym względzie znajomości“.

Przejeżdżając przez Czechy, zatrzymuje się nasz podróżnik w Maria Culm. Tu spisuje podniosłe swe uwagi o pielgrzymkach:

„Podług mego mniemania, pielgrzymki do miejsc uświęconych pobożnym wspomnieniem, są pięknym i pożytecznym zwyczajem. Wszakżeż zewsząd zbiegają się, aby zwiedzić miejsce, któremu zbrodnia jaka lub świętny czyn nadały sławę, a miałożby się zaniedbywać miejsca, gdzie łaska Boża w szczególny sposób się objawiła? Umysł często zapala się świętym ogniem na grobach ziemskich wielkości, a serce miałożby zostać zimne wobec cudów łaski niebieskiej? Już sama podróż pielgrzyma zbawiennie może na duszę jego oddziaływać; pokuta i modlitwa czas zapelniają, a niejeden, któren nie miałby czasu na duchowe rekolekcyje, chętnie bierze do ręki kostur pielgrzyma. W różnych miejscach świętych narody spotykają się pod jednym sztandarem: wiary; nie w świętych zebraniach, nie wśród szeregów broni, ale w jednym duchu, w jednym celu — pokuty. Tak Kościół, czuwający zawsze nad dobrem społeczeństwa i jednością swych dzieci, przygotowuje narodom miejsca spotkania.

„Pochód różnych społeczeństw nazwanych narodami, nie jest niczem innym, jak pielgrzymką ku lepszej przyszłości; lepszej o tyle, że wszystkie ludy w niej się zjednoczą, i będzie jedna rodzina na podstawie jednej wiary. Ztąd, można uważać pielgrzymki do miejsc cudami uświęconych, jako symbol tej jedności ludów. Rzym był przedewszystkiem miejscem, gdzie w ten sposób rozwiązywały się zadania narodów;

tu one zewsząd się zbiegały; tu stół bratniej gościnności na nich czekał, tu ludzie witali się braćmi.

„Ze słodkiem wzruszeniem będę zawsze wspominał pielgrzymkę do Maria Culm. Miejsce to bardzo uczęszczane, położone jest w pośród kraju górzystego i lesistego; i tu więc natura jest w harmonii z uczuciami pielgrzymia. Daleko jeszcze byłem od świątyni, a już proste, rzewne śpiewy słyszeć się dawały. Jest w naturze śpiewu, i w ogóle muzyki, że wszystko do jednego tonu dostraja; trudno oprzeć się potędze muzyki, zwłaszcza kiedy dusza nie jest owdładniętą jedną dominującą ideą.

„Tak więc melodya pieśni śpiewanych przez pielgrzymów dostraja duszę moją do uczuć pobożnych i przygotowuje ją do odebrania takichże wrażeń. Wkrótce ujrzałem zbliżający się orszak; krzyż otwierał pochód, dalej chorągwie, dalej kapłani i obraz Bogarodzicy niesiony przez cztery panienki w bieli, a za nimi długi szereg dziewięć, idących parami i śpiewających chwałę Maryi; liczny tłum pielgrzymów zamykał orszak. Prostota tej uroczystości, pobożność i wiara wyryta na wszystkich obliczach, majestat pieśni kościelnych napępiał mą duszę poszanowaniem i świętym zapalem.

„W tym pochodzie widziałem obraz życia w wyższym jego znaczeniu. Kościół, do którego szli pielgrzymi, wydawał mi się Niebem, do którego tylko po stromej górze życia ziemskiego dostać się można. Krzyż tam prowadzi, ale idziesz pod osobliwą opiekę N. Panny, to jest czystości, gdyż, jak mówi autor Naśladowania: Dwa są skrzydła, któremi człowiek wzbija się ku Niebu: prostota i czystość. Samże ład i niewzruszony porządek pochodu był mi obrazem społeczeństwa duchownego, w którym każdy członek ma swe właściwe miejsce; w nim działa bez wdania się ziemskiej władzy.

„Wszedłem za procesją do kościoła; tu wobec cudownego obrazu przesunęły mi się przed oczyma duszy wielkość dobroci i miłosierdzia Bożego, zasługi N. Panny i może skutki jej przyczyny u Boga. Plany na przyszłość i postanowie-

nia tłumnie cisnęły mi się do głowy; wyobraźnia podniesiona, serce przejęte... ze łzami w oczach wyszedłem z kościoła“.

Praga 18 go sierpnia. „Duch powierzchowności filozofii XVIII wieku pozostawił niejeden ślad w Pradze. Kiedy w Paryżu widzisz kościół lub pamiątkę zniszczoną, i pytasz się, czyje to dzieło, odpowiedzą ci: to lud; tu na to samo pytanie usłyszysz: to Józef II. Monarcha ten przez całe życie był w błąd wprowadzony przez swe doktryny filozoficzne, całe życie działał mimowolnie przeciwko swej władzy i przeciw religii. W Czechach także usiłował zniszczyć język i pamiątki narodowe, więc był niesprawiedliwym; chciał bądź co bądź swą wolę przeprowadzić — więc był tyranem. Serce miał szlachetne, ale głowę słabą. Ulepszenie bytu włościan w różnych częściach państwa, rozpowszechnienie i ułatwienie nauki, są niewątpliwie jego zasługą, ale ileż zbroceń zaćmiewa tę chwilę! Ile politycznych a ile religijnych błędów! Nienawiść ku wszystkiemu co dawne, walka z duchowieństwem, opieka dana zasadom wrzekomo filantropijnym, wreszcie rozbiór Polski, oto co mu potomność nigdy nie wybaczy.

„W Pradze widziałem skutki jego fałszywych pojęć: w mieście tem było mnóstwo starych pamiątek, legendy utrwalone dłutem lub pędzlem, którym wspomnienia historyczne a zarazem cel moralny nadawały podwójną wartość. I tak, na Hradeczynie pokazywano otwór, gdzie podobno królowa Drahomira zapadła się w ziemię, w chwili gdy przeklinała swego stangreta, któren klękał podczas podniesienia; ztąd nauka, by zachować uszanowanie przed N. Sakramentem. W innym miejscu pokazywano posąg trzymający kamień w rękę: to człowiek skannieniały w chwili, gdy chciał kamieniem rzucić na N. Sakrament. I tak mnóstwo kapliczek, kolumn, posągów, miało swoje legendy i moralne znaczenia. W ten sposób człowiek prosty znajduje pod ręką zbawienne przestrogi i zmysły jego potwierdzają dogmata nauczone w katechizmie. Zniszczyć te ślady głębokiej wiary dla niszczenia w ogóle pamiątek, było przeciwne zdrowemu rozsądkowi; ale Józef II posłyszał, że trzeba wykorzeniać przesady,

i bez żadnego rozróżnienia niszczył, co mu się przesądnem być zdawało. A nadto, jeśli jest wandalizmem niszczyć stare pamiątki, to czynić to z pogardą religii, która je natelnęła, największą jest winą, jaką rząd może popełnić. Belgowie z bronią w ręku odparli innowacye Józefa II; ta odwaga wzbudza we mnie poszanowanie, a dziwię się i gorszą, że książę de Ligne mógł ten czyn w śmieszność obrócić“.

. . . „Młodzież w naszym stuleciu prędko się starzeje, przechodzi niemal od razu z dzieciństwa do dojrzałego wieku. Epoka, w której się człowiek sereem rządzi, trwa tylko chwilę, rozsądek zbyt wczesnie chce zapanować, i nie ma już poezyi w latach młodzieńczych! Za wezas znany rzeczywistość: *Das Leben nach dem Gemülte erschwindet schnell, und man lebt nach Begriffen*. Dawniej młody człowiek nie wiedział o złem, i z ufnością stawał u wrót życia; dziś ledwie się z pieluch wyswobodzimy, już nam złe odkrywają; ojciec widzi się zmuszonym odsłonić wobec syna szpetne zbrodni oblicze, i w kwiatkach, które jego niewinne serce przyciągają, pokazuje okrutnego węża. . .

. . . „Podzielone na dwa obozy społeczeństwo rozdiera się własnymi rękoma. Jedni wależą za powagę wiary, drudzy się przeciwko niej buntują. W zaciętej walce wiek sędziwy zapomina o godności, jaką mieć powinien, a młodzież, której pochlebiamy ei, co ją pod swoim sztandarem mieć pragną, zapomina co się od niej należy starszym i uważa się na równi z nimi. W naszych czasach już nie przemawiają do serca młodego człowieka, lecz jedynie do jego rozumu; rozum wyłącznie uważają za wpływowy czynnik w jego działaniu. I tak, pokolenie nasze wychowało dzieci przejrzałe, które z uśmiechem politowania patrzą na swych kierowników. W ogólnym zepsuciu są jednak wyjątki; są młodszy ludzie, którzy głosu wołającego: idź tylko za rozumem, nie usłuchali, przeniesli uległość nad bunt, miłość nad wyrachowanie; taką jest młodzież chrześcijańska“.

Przejechawszy Cieszyn, Białą, Kęty, stanął Rzewuski u wrót starego Krakowa. Tu bolesny okrzyk wyrывa mu

się z piersi: „Polsko! pomniku niesprawiedliwości przeszłego wieku, witam Cię znowu! Nieszczęśliwa Ojczyzno, stałaś się ofiarą zasad rozkładowych społeczeństwa. Wszelkie poczucie sprawiedliwości zatarte było w Europie, a panujący zamiast ugruntować swą władzę na zasadach odwiecznych sprawiedliwości, szukali jej jedynie w sile materyalnej. Targnęli się na naród będący w ucisku; sądzili, że nie naruszyli równowagi europejskiej, gdyż każdy zagrabił część niemal równą, a nie zrozumieli, że prawa narodów zostały zgwałcone, że ludy utraciły wiarę w sprawiedliwość rządzących, i że wyrachowanie czysto materyalne zakryło przed ich oczyma interes wyższej wiary. Toć był godny owoc wieku Encyklopedystów, godny tryumf zasad filantropistów. Bezrozumni! głosili prawa człowieka!

„Ale jakież powody zgotowały upadek Polski! Gdyby zarodek śmierci nie był nurtował wewnątrz kraju, nigdyby nie został podbitym. Powiedzą mi, że zepsucie, przekupstwo obywateli, błędy polityczne lub przegrane bitwy zgubiły go. Ale są to wszystko przyczyny podrzędne. Ręka Boża zaciężyła nad moją nieszczęśliwą Ojczyzną; jęczy pod ciężarem drugiego grzechu pierwotnego, jej właściwego. Grzech ten jest źródłem naszych cierpień przeszłych i obecnych. I któż tego nie widzi? rodzinne węzły są zerwane; nie ma jednej rodziny, gdzieby spokój panował; wszędzie niezgoda, węzły małżeńskie nie znaczą. A jeśli rodzina sama siebie rozdziera i podkopuje, jakoż się ostoi społeczeństwo, które jest zbiorem rodzin?

„Cóż więc za klątwa ciąży nad nami? Niezgoda dzieci jest karą rodziców, winy rodziców spadają na dzieci, i tak kara i wina ciągną się jak łańcuch złowrogi... Cóż to za zbrodnia ściągnęła gniew Boży? Kiedyż ją odpokutujemy? — Oby nam niebo przebaczyć raczyło“!

Miarę tego potężnego młodego umysłu dają przytoczone wyjątki z jego dziennika. Stanowisko zaś, jakie dwudziesto-

cztero letni człowiek zajął w kraju i wojsku, daje miarę jego charakteru, którego wpływowi nie się oprzeć nie mogło. Kazał się pochować na górze św. Bronisławy. Skoro ta za-jętą została na fortyfikacye, zwłoki przeniesiono do kościoła Kapucynów. Miał dwóch braci: Leona, który tyle się odzna-czył w wojnie 1830 r., a dobrze przed kilkunastu laty był znany w Krakowie, i Witolda, który w rozpaczliwym uspo-sobieniu duszy wszedł do wojska rosyjskiego na Kaukazie; podziwiano jego odwagę, bo w każdym spotkaniu z góralami szedł na przodzie, zawsze w czerwonej krakowskiej czapce na głowie. Zginął, zdaje mi się, w r. 1834. Gdzie i w jakiej chwili, nie wiadomo, jak nikt nie wie od kogo i kiedy zginął ojciec jego Wacław Rzewuski. Ostatniego widziano jeszcze pod Daszowem; później gadka tylko między kozakami krą-żyła, że pan ze Sawrania powrócił do Arabii. Siostra tych trzech braci, Kaliksta, której rozum oryginalny zadziwiał a odbił się w powieści: *Laska i przeznaczenie*, poszła za Caetani'ego, księcia Sermonetti; po niej jednej zostało potom-stwo, dzisiejszy ks. Sermonetti, i hrabina Lovatelli, babee i matce dorównywująca rozumem, a przewyższająca obiedwie nauką.

Tak po tej linii Rzewuskich rozum i majątek przeszły spadkowo na Włochów. Dziwne tej rodziny losy! Księżna Aleksandrowa Lubomirska, pierwsza piękność nie Polski tylko, ale Europy, ginie pod gilotytną w Paryżu; córka jej Ro-zalia długo chowana u klucznika więzienia *Conciergerie*, wy-dobyta z tej kaźni daje rękę Rzewuskiemu, znanemu pod nazwiskiem Emira, który ginie pod Daszowem, nie wiadomo od swoich czy od obcych; Stanisław młodo umiera, Witold ginie, Leon jeden z najpiękniejszych, najodważniejszych, i najrozumniejszych ludzi swego czasu, biorąc udział duchowy i czynny we wszystkich sprawach Ojczyzny i Kościoła, umiera w r. 1870 ostatni z linii hetmańskiej.

LEON BOCHENEK¹⁾.

† 29-go lipca 1890 r.

Żałuję bardzo, że zapóźno dowiedziałem się o śmierci i obchodzie żałobnym Leona Bochenka. Nie mogłem oddać mu ostatniej posługi, ale czuję konieczną potrzebę oddać jego pamięci cześć, na jaką zasługuje; a na to wystarcza po prostu opowiedzieć, czem był i co robił.

Ojca jego znałem bardzo dobrze i pamiętam w sklepie na ulicy Grodzkiej, w którym podówczas monopolizował w Krakowie handel włóczek, jedwabiu i koralu, łącząc z tem, jako już znaczny kapitalista, czynności bankowe. Do tych czynności bankowych należało podówczas wypożyczanie na procent. Znany był Jan Bochenek, iż kontentował się niższym, jak ówczesny handlowy, procentem; a z doświadczenia bardzo bliskich mnie, mogę poświadczyć, że podczas wojny 1830 r. od rodziców, mających synów w wojsku narodowem, nie chciał przyjmować więcej, jak 5 od sta procentu.

Zostawił trzech synów. Leon objął handel i interesa bankowe: pierwszy zwinął, sferę działania bankowego rozszerzył i bodaj czy nie był to najpierwszy, w każdym razie najruchliwszy dom w Krakowie. Wełna, zboże, korale, interesa wekslowe, fabryka świec, wszystko wchodziło w zakres jego czynności, które rozszerzały się wskutek wielkiej zaerności naczelnika, szerokich jego poglądów i szlachetnego postępowania. Miałem wiele z Bochenkami stosunków; nigdy, nie powiem zatargu, nigdy kwestyi. Co świetny stan interesów pochyliło, nie wiem, może zbyt śmiała inicjatywa brata młod-

¹⁾ Drukowane w „Czasie” 1890 r.

szego, Jana. Może interesa handlowe wymagają wyłącznej uwagi i poświęcenia, a Leon Bochenek był jeszcze lepszym obywatelem, niż kupcem. Pamiętam go w pierwszej młodości z całym ruchem zdrowego umysłu i czystego serca, oddanym sprawie krajowej na wewnątrz i na zewnątrz. Żyło poczucie narodowe głównie natchnieniami wieszczów. Wówczas to tom czwarty „Dziadów“, „Pieśni Janusza“, „Pan Tadeusz“ otrętwiały pogromem zaczęły budzić serca.

Bochenek sprowadzał wszystko, głównym był ajentem emigracyjnych wydawnictw, płacił z góry, rozsprzedawał, póki policya trzech dworów nie zwietrzyła działania. Kraków, kilkakrotnie nawiedzany garnizonami, musiał wydać emigracyę, a przyjąć organizacyę policyjną, obcą, surową. Handel książkami nietylko przestał być jawnym, ale ostrożnie ukrywać się musiał. Miała być zarządzona rewizya: potrzeba ukryć. Wówczas nie pamiętam, jaką już ilość tomów wyniosłem; pamiętam tylko, że odchorowałem zmęczenie osobistego w nocy pakowania i przewożenia do Ruszczy, gdzie u gospodarza Sendora (wówczas można było zupełnie na życzliwość chłoparachować) w stodole przechowane. Opinie polityczne Leona Bochenka łączyły go ze Zygmuntem Helclem, Męciszewskim, Rześnińskim. Odtrącał burdę r. 1846, a kiedy nadszedł 1848 r., z całą stanowczością charakteru, a gorliwością obywatela, łącznie z przyjaciółmi stawał przeciwko prądom, które podówczas reprezentował tak zwany Komitet, natelniony przez Towarzystwo demokratyczne we Francyi i reprezentowany w Krakowie przez Krzyżanowskiego, Darowskiego i innych.

Kiedy Dembiński zwołał zebranie do Wrocławia, odebrał wspólnie ze mną wezwanie, aby na naradę zjechać. Nie puszczonego nas na granicy. Posłaliśmy memoriał, który Dembiński na zgromadzeniu odczytał. Opinia brukowa krakowska coraz bardziej zaczęła na Bochenka powstawać, tem gorliwiej, że właśnie i interesa jego pochyliły się. Zapomniano usług oddanych, ducha prawdziwie polskiego i obywatelskiego, a znęcano się nad przeciwnikiem politycznym, bo w każdym czasie znajdują się ludzie podli, którzy sami nie

nie robiąc, krytyką zjadliwą i oszczerezą dorabiają się patryotyzmu, a jeszcze podlejsi tacy, którzy ich z uciechą czytają.

Leon Bochenek w pełni sił, a godzien najwyższego szacunku, zszedł z widowni publicznej, ze spokojem i godnością, jaką daje sumienie, ale może i z uczuciem goręczy wobec niewdzięcznego pokolenia.

Nie pomnę, który z greckich filozofów powiada, że ten człowiek może nazwać się szczęśliwym, który książkę napisał, dom wybudował i syna wychował. Leon Bochenek książki nie napisał, domu nie postawił, ale zostawił nam dwóch synów, którzy zacną tę rodzinę pięknie reprezentują w Krakowie, a podnoszą cześć dla pamięci ojca.

HENRYK WIELOWIEJSKI¹⁾.

† 27-go kwietnia 1890 r.

Twarde to było pokolenie, które odważyło się w roku 1830 wziąć na siebie odpowiedzialność krwawej rozprawy o niepodległość Ojczyzny. Najlepszy tego dowód znaczna z tego czasu ilość weteranów; to w jednej, to w drugiej stronie kraju, z tej lub z tamtej strony Wisły albo Niemna dochodzi wiadomość o śmierci żołnierza z r. 1830. Tak dnia 27-go kwietnia b. r. zakończył życie w dziedzielnym majątku Lubezy, Henryk Wielowiejski, licząc lat 84.

Temu lat sześćdziesiąt, syn zanego i bardzo poważanego domu należał do kwiatu ówczesnej młodzieży, w tej krakowskiej ziemi, w której tak licznie wówczas gnieździło się obywatelstwo, w starym zamku w Sancygnowie, wyrosła panna taka, jaką tylko spotykało się w starych wiejskich szlacheckich domach. Ewa Dembowska urokiem swoim czarowała całą ówczesną młodzież tą prostotą, tym wdziękiem, który nie wyłącza oglądy, ale pielęgnuje się tylko w polskim wiejskim życiu. Była to okolica zaludniona przez ludzi, co albo odbywali kampanie napoleońskie, albo oczekiwali tylko nowej bohaterskiej rozprawy: Henryk i Ludwik Dembińscy, Michał Walewski, Józef Mieroszewski zostawili po sobie tradycję to literacką, to wojskową, to obywatelską; o młodszych nie wspominam, ale pomiędzy nimi nie było może bardziej cenionego, jak Henryk Wielowiejski. Nie dziw, że otrzymał słowo Ewy Dembowskiej w samą chwilę wybuchu powstania; ale wówczas nie było wyboru, i każdy

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1890 r.

należał najprzód do Ojczyzny. Otrzymawszy przyrzeczenie, wdział białą sukmanę, wziął ślub i siadł na konia. Nienaprawdę zapewne na tym koniu siedział, kiedy otrzymał złoty krzyż *Virtuti militari* pomiędzy kolegami, jak Bystrzanowski, Łubiński, Różycki, Wacław Popiel i t. d.

Po skończonej wojnie osiadł on z młodą żoną w Lubczy, wychował dzieci wzorowo, majątek utrzymał, ustawnie wysługiwał się krajowi, czy w Towarzystwie Kredytowym, czy w każdym innym dostępnym podówczas zawodzie.

Wiadomo, że jedna gałąź Wielowiejskich od wieku XVI trwała uporeczywie w kalwińskich błędach; ś. p. Henryk bez nieczyjej namowy, przekonaniem umysłu wyższego wiedziony, powrócił na łono Kościoła katolickiego. Dał mu Bóg lata długie; nie doczekał wprawdzie spełnienia obywatelskich swoich nadziei, ale doczekał pociechy, że synowie jego utrzymają tradycję rodu i zasłużą na ten sam szacunek i miłość, których on w takim stopniu używał.

X. BISKUP ADAM KRASIŃSKI ¹⁾.

† 3-go maja 1891 r.

Patrząc na srogie prześladowania Kościoła katolickiego pod rosyjskim zaborem, pyta człowiek, czy to próba, czy to kara, czy wiara ma utwierdzać i zagrzewać chłodnych, czy ustawać w obojętnych. Próbowano używać jej jako środka, śpiewano, stawiano nawet krzyż na okaz, *mentita est iniquitas sibi*; cnota naszego ludu i ztąd wyprowadziła korzyść. Duch modlitwy spotęgował się na ciężkie obecne czasy. Ale jeżeli dla interesu, nieraz dla kawałka chleba, nieliczni odstępcy klas wykształconych przeniewierzyli się sumieniu, to duchowieństwo i lud prosty świetny liczą zastęp wyznawców i męczenników, — tak Feliński, Rzewuski, dziesiątki lat przebyli na wygnaniu, Łubieński i Kaliński zakończyli życie w warunkach zagadkowych; ostatnim z tych wyznawców cieszył się i chlubił Kraków, i dni temu kilkanaście ze czcią go pochował.

Biskup wileński Adam Stanisław Krasiński, osobne zajął stanowisko. Czy dla tradycyi, czy szczęśliwym wypadkiem, odebrał na chrzcie imię wielkiego krewnego, kamienieckiego biskupa. Ktokolwiek poznał i ukochał czasy przedrozbiorowe nie potrafi się oprzeć urokowi tej niepospolitej, a do końca życia wiernej swemu zadaniu osobistości. Przypuścić nie można, aby w polskim domu taka tradycya nie działała na umysł i serce. Obrął może młody Krasiński stan duchowny, bo wiedział, że w tem położeniu, w jakim była Ojczyzna, najwięcej i najpewniej da się dla niej zrobić na polu ko-

¹⁾ Drukowane w „Przeglądzie Polskim“ 1891 r.

ścielnem i duchowem. Nie on jeden był zapewne tego przekonania, ale on zaczął je przeprowadzać w szkole, wprzód, nim zasługa otworzyła mu pole inne. I w rzeczy samej, w narodzie podbitym i rozbitym, który nie ma warunków wykształcenia w warunkach normalnych, którego kierunek ma być nąginany wedle interesu różnych rządów, tylko jednolitość kierunku dogmatycznego, potrafi utrzymać go w skupieniu, tylko duchowe zasady podniosą go do cnoty poświęcenia, wstrzeźliwości i odwagi. Mamy to przekonanie, że gdyby naród nasz wciągnął w siebie błędy tak zwanej cywilizacji, straciłby swą indywidualność, siłę odporną, która stawia ksiąząt Kościoła w ustawnym pogotowiu wobec prześladowania, a ratuje i pociesza chłopą podlaskiego w orenburskich stepach.

X. biskup Krasieński, urodzony w r. 1810, wczas poczuł powołanie do duchownego i nauczycielskiego stanu; kapłan w zgromadzeniu Pijarów, kanonik w r. 1853, następnie profesor w seminarjum petersburskiem. Wydał krótkie, ale jedyne i znakomite w języku polskim prawo kanoniczne, co do treści dogmatyczne, co w kompendyach prawa kanonicznego nie zawsze się zdarza, co do formy, napisane niezwykle pięknym stylem i językiem. Powołany na biskupa wileńskiego w najcięższych czasach, w zarządzie diecezją okazał się, co było nader potrzebne, stanowczym, niemal surowym. Ten uczony, ten literat umiał być pasterzem, ale też musiał bronić swej trzody przed zwierzem drapieżnem. W takich chwilach, w takich czasach, jedna tylko dla biskupa droga: swoje zrobić, powiedzieć *non possumus* i przyjąć, co Bóg dopuści. Biskup Krasieński, niedogodny był ówczesnemu wszechwładnemu a straszmem wielkorządcy. Prosty, jak gołąb, a od węża roztropniejszy, nie dał się pochwyć na żadnej ważnej sprawie. Ktoby uwierzył, że zaprowadzenie stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo stało się rzekomą przyczyną deportacji biskupa. Wyjechał spokojny do wód, z których już nie powrócił. Prosto z Druzgienik wywieziony do Wiatki. Przebył tam, jak inni biskupi w innych miejscowościach,

lat 20; ale tylko człowiek z takim charakterem i tak przygotowany, mógł je przebyć w tak użyteczny sposób. Że wypełnienie obowiązku, że łaska Pana Boga dają rezygnacyę, nawet swobodę ducha, to wiemy; ale niewątpliwie do zachowania pogody umysłu, nawet wesołości, dopomaga miłość nauk; zapas myśli i lotność uczucia, o których już mówi Rzymianin: *delectant domi peregrinantem, rusticantem*, wędrowały z nim aż do Wiatki. Obszernie mówić o olbrzymiej pracy „Słownika Synonimów“ niema potrzeby; mówiono o niej dosyć, zwłaszcza, kiedy ją nagrodziła Akademia powołaniem autora do krzesła.

W braku dostatecznych źródeł, posługiwał się wyjątkową pamięcią i zapasem zbieranych wiadomości. Jak poetycznie powiedziano na jego pogrzebie, odwiedzał go tam ptak rodowy polski i szeptał do ucha starca słowa, które go odmładzały, a odmładzały do tyła, że kiedy przybył pomiędzy nas, i z młodszem rozumiał się pokoleniem, i jak przez całe życie uczył przykładem i rozkazem, tak podnosił serca i wskazywał drogi życia wierszem, który może nie dość oceniony za jego życia, zostanie jak zdrowe ziarno praktycznej mądrości na przyszłość.

Nie chcąc powtarzać słów podnoszących jego zasługi, kończę, jak zacząłem. Przykłady ludzi, jak Feliński, Rzewuski, Krasieński, Hryniewiecki, niechaj nauczą, na jakiej drodze, jakimi środkami służyć Kościołowi i Ojczyźnie. Pełnili sumiennie obowiązek; jak przyszło wybierać, wybrali prześladowanie, bez słów wielu, bez demonstracyi, z obawą o wiernych, ale bez osobistej goryczy. Takich przykładów szukać tylko w katolickim Kościele, a może i w polskim charakterze.

KSIĄŻĘ KONSTANTY CZARTORYSKI ¹⁾.

† 5-go listopada 1891 r.

Dom ks. Czartoryskich, tak ciężko w ostatnich dotknięty czasach, poniósł wielką dziś stratę w osobie najstarszego z dzisiejszego pokolenia, ale nie on tem tylko ją poniósł, dzieli ją i kraj cały i Izba panów, w której zmarły tak pięknie Polskę przedstawiał.

Wielki ten dom zapełniał, można powiedzieć, politykę Polski przez wiek XVIII i połowę obecnego. Wielcy pradziadowie zmarłego, mężowie stanu na takie rozmiary, jakich może Ojczyzna nigdy nie miała, szeroko założyli fundament swojego rodu. Nie tu miejsce, ani chwila rozbierać i sądzić ich politykę; to pewne, że wszystko, czego chcieli, wszystko co chwilowo wprowadzić potrafili, było w najwyższym stopniu pożyteczne i polityczne. Ludzie, przedewszystkiem praktyczni, wyprzedzili teorie, które w końcu wieku zapanowały. Znając uprzedzenie swego narodu, nie rozpoczęli wprost walki z jego przesądami, ale pod pozorem reform administracyjnych, chcieli z gruntu zmienić naturę rządu. Kiedy to się nie dało wobec niezmiernej przewagi sąsiednich dworów przeprowadzić samodzielnie, użyli pomocy rosyjskiego wojska, ani w interesie osobistym, ani dla korzyści własnej, ani w myśli forytowania na tron ks. Adama, bo to się później pokazało, ale dlatego, że z uprzedzoną masą szlachecką nie widzieli innego sposobu.

Zawsze ten straszny dylemat: albo dać runąć podkopanemu gmachowi własnym ciężarem, albo użyć sąsiedniej pomocy.

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1891 r.

Że rząd rosyjski po zmianie panującego w Petersburgu zrozumiał wnet, o co idzie. najlepszy dowód, że wystąpił przeciwko zaprowadzonym przez Czartoryskich rządowym zmianom i odpowiedział na nie gwarancją. Narody w takim stanie jak Polska, jako karę długoletniego nierządu, pyszalsstwa gminu, albo możnowładców, przychodzą do takiego stanu, że dla ludzi sumiennych i kochających Ojczyznę, drogi stają się ciemne. Mokronowski był pewnie wielkim patriotą, on jednak na Sejmie grodzieńskim pierwotnie zniszczył dojrzewające dzieło Czartoryskich. Kto kochał bardziej Ojczyznę: Mokronowski czy Czartoryscy? To fakt, że z upadkiem ich dzieła, nastały Repninowskie czasy.

Czartoryscy z wielką godnością znieśli swój upadek, a umierając, przekazują losy domu i Polski ks. Adamowi, późniejszemu Jenerałowi ziem Podolskich. Nie człowiek stanu, ale miłośnik Ojczyzny, a oddał jej wielkie usługi zorganizowaniem korpusu kadetów, pracami około edukacji i literatury krajowej; w pracach publicznych i przed i podczas Sejmu wielkiego szedł zawsze dobrą i zdrową drogą. Ustawa 3-go maja upada, rozbiory następują, synowie jego Adam i Konstanty walczą w szeregach narodowych, ale po krótkim oporze kraj zalany przez wojska rosyjskie, dobra wszystkie skonfiskowane, ks. Jenerał przebywa w Wiedniu, Adam i Konstanty, dwaj jego synowie, jadą do Petersburga ratować fortunę, z której taktycznie więcej kraj, niż oni korzystali. — Dziwne, niezrozumiałe dziś losy: ten ogołocony z majątku ks. Adam staje się przyjacielem monarchy, jego sługą, jego ministrem. Nie tu miejsce przechodzić znane zkądinąd psychologiczne cierpienia i przejścia tego serca, przeznaczonego na najsroźsze walki, a wychodzącego z nich zwycięsko i cnotliwie. Służba trzymała go to w Petersburgu, to w Wilnie; brat jego Konstanty, ojciec właśnie zmarłego, powraca do kraju.

Krótko była trwała przyjaźń dwóch cesarzy, zbiera się burza i chwila, która ma rozstrzygnąć o losach świata. Następuje jedno z najtragiczniejszych położań. Jeden brat służy cesarzowi rosyjskiemu, Konstanty sztytuje pułk i mężnie

na jego potyka się czele. Ci dwaj bracia, kochający się serdecznie, kochający jeszcze bardziej Ojczyznę, stoją w obcych obozach!

Dalsze dzieje ks. Adama dobrze znane; czy przez wszystkich cenione w ich pełni, nie wiem, ale to wiem, że w historii całej, o ile ją znam, szukam podobnego patrioty z zupełnem wyrzeczeniem siebie, co do stanowiska, majątku, nie ma i imienia. Niechże ten kraj pamięta, co on mu poświęcił i jak mu poświęcił, co na wygnaniu usiłował, jakie poczucie przekazał synowi.

Ks. Konstanty, którego urodzenie opiewali ówcześni poeci w oдах i dytyrambach, po skończonej kampanii osiadł w swoich dobrach, następnie bawił jakiś czas w Paryżu, i tam właśnie w Passy, urodził się syn jego ks. Konstanty, którego tak szczerze żałujemy.

Po zmianie stosunków ks. Adama do cesarza Aleksandra, karyera polityczna była dla Czartoryskich zamknięta. Ks. Adam przybył do Warszawy dopiero podczas sejmowego sądu, a ks. Konstanty osiadł w Wiedniu. Było to *otium cum dignitate*, a do niego także można było zastosować przysłowie: z Czartoryskim żyć.

Kiedy rewolucya wybuchła 29-go listopada, a ks. Adam został prezesem rządu narodowego, wysyłano różnych agentów, którzy do wszechwładnego podówczas ministra dotrzeć nie mogli. Nie powiodła się misya Jelskiego i Bojanowicza, ani Ludwika Morstina. Sprawy krajowe traktował ks. Konstanty, znosił się z bratem i do tego doprowadził, że przyjęto Andrzeja Zamoyskiego, odwołano dla narady z obozu rosyjskiego zacnego i zdolnego *attaché*, wówczas pułkownika Cabogę i w ostatniej chwili postano go wspólnie z Zamoyskim do marszałka Paszkiewicza. Przybyli jednak do Warszawy dopiero 8-go września rano. Jakie były polecenia pojednawcze, dane wówczas pułkownikowi Caboga, niewiadomo; wartoby je dziś jeszcze w archiwum w Wiedniu odszukać. Kilkakrotnie słyszałem od Andrzeja Zamoyskiego, że były bardzo ważne.

Dał mu Pan Bóg kilkoro dzieci, które chował zdolny wychowawiec Krzemienieckiego gimnazjum Strzelecki. Podówczas w życiu wiedeńskiem umysły ożywione zajmowała sztuka, literatura, nauka. Przez długie lata ludzie młodzi musieli poprzestawać na tym szlachetnym, ale niedostatecznym dla nich pokarmie. Przyszły wielkie polityczno-dziejowe wypadki, zarzwała w nich polityczna krew Czartoryskich i nadspodziewanie dwaj bracia Konstanty i Jerzy wystąpili to w Izbie panów, to w Izbie poselskiej, to w Sejmie. Ks. Konstanty objawił odrazu znakomity talent mowcy i człowieka politycznego. Wybierany też był ustawnie do delegacyj, kilkakrotnie im przewodniczył, a wola Najj. Pana, zwykle tak trafna w wyborach, powołała go na wiceprezesa Izby panów. Świeża jest pamięć jego działania, rozwodzić się nad nią nie potrzeba, ale warto wspomnieć, co już należy do prywatnego życia, że w chwili wielkich finansowych ruchów umiał poświęcić wielki majątek, aby słowa dotrzymać.

Niepodobna odżałować, że śmierć przerwała zawód tak zdolnego, tak szanowanego przez Monarchę i Izbę rodaka. Dodajmy, że zawsze był wierny zasadom, które jego przodkowie wyznawali.

FÉLICITÉ ROBERT de LAMENNAIS¹⁾.

† 1854-go roku.

Nawykliśmy lekceważyć wiek, w którym żyjemy; każde pokolenie ludzkości cierpi, bo takie jest przeznaczenie człowieka na ziemi, każde ludzi się, iż dawniej bywało lepiej, a że każde powtarza też same narzekania, sprawiedliwy wniosek, iż nigdy nie było dobrze, choć przeczyć nie można, iż epoki krytyczne są zwykle boleśniejsze. Mało wieków w historii, któreby wywołały tyle narzekania jak wiek dziewiętnasty, spokojnie jednak i z dobrą zapatrując się na czas obecny wiarą, trudno nie przyznać, iż ma w sobie wiele dobrego, w każdym razie wiele lepszego jak przeszły. Pokolenie obecne jest świadkiem przekształcenia moralnego, zaprawdę mogącego się nazwać cudownem — można powiedzieć z wieszczem francuskim: „*auras-tu donc toujours des yeux pour ne point voir, peuple ingrat*“. Materyalizm 18-go wieku francuski i błąd spirytualizmu niemieckiego zapadają coraz głębiej, wiara, a co większa wiara z zastosowaniem praktycznem do życia społecznego, rośnie, świeccy w nauce, poezyi i sztuce, radzi czy nieradzi odwołują się od niej, a nadzieja jednych, równie jak obłuda drugich oddaje potędze jej świadectwo. — Że temu lat 40 tak nie było, to pamiętamy wszyscy. Nauka, poezya, sztuka, wyparły się jej natchnienią; polityka ciążyła

¹⁾ Wspomnienia pośmiertne o Lamennais' em, Montalembecie, Veuillecie, którzy tak wybitne miejsce zajęli w dziejach Kościoła we Francyi w naszym wieku, podajemy razem, bo choć długie lata przedzielały ich pisanie, tworzą pewną całość, a okazują jak poglądy autora na zasadnicze kwestye nie ulegały zmianie. Łączył z nimi Pawła Popiela węzeł przyjaźni, którą umiał obejmować nawet tych, którzy między sobą dzielili się w poszczególnych zapatrywaniach. — Drukowane w „Czasie“ 1854 r.

na niej berłem żelaznem, za ledwo czasem jako narzędzia wiary używając, głowa Kościoła więziona tak, że obietnice Zbawiciela były podane w wątpliwość, bo bramy piekieł tryumf swój obchodziły, świat słuchał trąby wojennej, która wrzała, niebaczny na sprawy moralne. W pośród zgłętku tych wojen, huku dział i odgłosu trąb, kilku ludzi z położenia mało znaczących, jeden nad Nową¹⁾, drugi na poddaszu ciemnej ulicy paryskiej²⁾, trzeci nad brzegami Oceanu³⁾, podnoszą głos bez porozumienia, a prawie jednocześnie i jednobrzmiąco, i wbrew prądu umysłów w filozofii, w polityce, głoszą prawdy wprawdzie jak świat stare, ale obecnie zapomniane. Ani łamiące się lody Ładogi, ani gwar paryskiego pospólstwa, ani huk wałów Oceanu, roztrzęanych o strome starej Armoryki skały, nie przeraziły takim zdziwieniem, jak głosy tych ludzi: nadstawiano pilnie ucha, jedni się śmiali, drudzy pienili od złości, w innych znowu wstąpiła otucha ujrawszy geniusz w służbie prawdy: rozpoczęła się walka, a kiedy jest walka pomiędzy prawdą i fałszem, to wiemy naprzód, po której stronie będzie zwycięstwo; bo tylko cisza obojętności jest straszną, walka i prześladowanie zastraszyć nie potrafią.

Najmłodszy z tych trzech ludzi wiedział o tem dobrze, miał pióro Orygenesu a czoło Tertuliana, wiedział kędy wymierzyć i jak grot ognisty wypuścić księgę *O Obojętności* pod względem Religii — ktokolwiek zapamięta rok 1820 a nie był obcym najważniejszym sprawom moralnym, pamiętać będzie wrażenie, jakie zrobiła. Rozstrzelone uczucia i nadzieje zaczęły się skupiać do jednego ogniska, odwaga rodzi odwagę: półgębkiem wyznawający prawdę zaczęli je głośno bronić, wierni przestali uważać się za helotów bez prawa, powstało co nazywano wówczas stronnictwo katolickie. Siedział na stolicy Piotrowej człek niepospolity, Leon XII, i ruchowi temu dodawał otuchy

Dwa błędy miały wówczas społecznością — moralny, który w rozumie człowieka szukał podstawy dla prawdy, i koniecznie odpowiedni mu polityczny, który zapoznając

1) Józef de Maistre 2) Bonald 3) Lamennais.

prawo Boskie organiczne społeczności, szukał dowolnie sztucznych sposobów urzędzenia stosunków politycznych; ztąd dzikie wyobrażenia o początku władzy, wolności, równości itd. Nie wystarczyło przeto zaprowadzić porządek w jednej sferze, ale należało jeszcze wyjaśnić drugą. Już de Maistre w krótkim ale nieśmiertelnem swoim piśmie, *du Principe Générateur des Constitutions politiques*, dla każdego, kto miał oczy i głowę wykazał, iż władza nie powstaje dowolnie, ani wypływa od ludzi, ale wykształca się sama własną potęgą wedle praw Boskich, albo naturalnych, eo na jedno wychodzi: (to jest wedle praw, jakie naturze ludzkiej dała Opatrzność), iż konstytucye państw nie dadzą się nigdy pisać ani układać a priori, ale wyrabiają się same w ezasie wedle żywiołów składowych każdej społeczności — ale de Maistre aforystyczny w zdaniach, absolutny w pojęciach, potęgował ze swego stanowiska tak wysoko prawdę, iż ją robił wątpliwą — Bonald w systemacie swej trójcy (*Législation primitive*) tak zawiązał ludzkość, iż prawdziwej swej polityce dał pozór utopii. Haller jak anatom doskonały rozeźlonkował społeczność, doszedł ruchu i najtajniejszych jej organów, ale utopił prawdę w ogromnem, nie każdej cierpliwości dostępnem dziele i nie wyprowadził syntezy, która dla pojęcia przez ogół jest koniecznie potrzebną — Lamennais praktycznym swoim umysłem dostrzegł, czego potrzeba, i w piśmie krótkim, wywołanem przez ówczesne okoliczności polityczno-religijne, *de la Religion considéré dans ses rapports avec l'ordre Politique et civil*, pochwycił jądro pytania i z właściwym sobie ogniem, urokiem stylu i praktyczno-jasnym poglądem, oznaczył wyraźnie tak początek, jako i właściwą sferę władzy, obowiązki i stanowisko rządzonych, a widząc dokładnie, iż demokracja okryta płaszczem królewskim konstytucyi oktrojowanej w roku 1815 musi doprowadzić do demokracji zupełnej, republikańskiej, proroczym głosem przepowiedział następności, które się też w lat 20 we wszystkich szczegółach sprawdziły. Był to szczyt jego chwały. Prześladowany przez władzę, ukarany przez trybunały, doszedł największej potęgi, nie w stronni-

ctwie rewolucyjnym, którego był na głowę przeciwnikiem, i którego przewrotności i nędzy nikt lepiej od niego nie znał tak co do wartości zasad jako i osób. ale w stronnictwie katolickiem, które z przywróceniem pokoju w Europie, nie pragnęło wcale pochłonięcia wszelkich praw, przywilejów, i potęg społecznych przez władzę. Rojaliści ówczesni, dlatego iż rewolucya wypędzając dobrego króla, wycięła księży i obdarła szlachtę, rozumieli, iż aby ją zwalczyć i przywrócić wiarę, należało także przywrócić władzę monarchy, jak ją wykształcił Rieheliu a pojmował Ludwik XIV, owi wielcy niwellatorowie siedmнадцastego wieku. Lamennais był poświęcił swoją młodość usłudze Burbonów, widział jaką drogą szli i prowadzili Francję do przepaści, — ognisty charakter poczuł gwałtownie i błędy i niesprawiedliwość, zdrażniony walką o swoją filozoficzną zasadę co do dochodzenia prawdy (*principe de la Certitude*) zachorował gwałtownie bez nadziei życia — tysiące modliły się za jego zdrowie. O czemuż nas Bóg wysłuchał! Działo się to w r. 1827.

Gdy w r. 1828 ministryum Martignac zamknęło bezprawnie małe seminarya, Lamennais puścił na świat broszurę: *Des Progrès de la Révolution et de la guerre contre l'Eglise* — wulkanicznego ognia, pełna porywającej wymowy, w której widać już wątpienie, aby Burbonowie mogli się utrzymać na tronie francuskim, kiedy rewolucya zgwałciła ich wolę o tyle, iż przez wzgląd dla tego stronnictwa targnęli się na wolność sumienia i kościoła. Tu znowu widząc jak nurty demokratycznego prądu, podmywają ciągle posady nietylko władzy królewskiej, ale i społeczeństwa, wskazuje na bliską walkę i proroczym przyszłość przepowiada głosem; przyszłość, która się też w latach 1830 i 1848 spełniła. Ależ na lat 20 nietylko przewidział walkę, przewidział jeszcze jej skutek; to jest, że w końcu, szalone te zapasy, w których ludzkość, uganiając się za marą, nie nie pochwyci, obróca się na korzyść wiary i kościoła, który dopiero odbuduje społeczeństwo według normalnych zasad, odpowiednich naturze ludzkiej, a zatem prawdziwie naturalnych — nie zaś sztucznych, jaki filozofia prawa (owa główna propagatorka

rewolucyi) biorąc człowieka abstrakcyjnego, nie zaś tego, który jest z ciałem, krwią i duszą, wymarzyła. *Qui potest capere capiat*, kto ma oczy niech widzi, ażali aż do szczegółów nie przepowiedział tego, co się obecnie dzieje.

Otaczało w ten czas filozofa, teologa i publicystę grono kapłanów i młodych ludzi znakomitych zdolności i wyniosłego serca; nieoszacowany z nauki i świętobliwości dzisiejszy biskup w Anniers Salinis, historyk Rohrbacher, słodki w pojęciu jak głęboki w pojęciach Gerbet ¹⁾, Eugene Boré ²⁾ dziś naczelnik szkół Franków w Syryi, Carnet, Lacordaire, Montalembert itd. — I my mieliśmy szczęście należeć do tego grona: jedliśmy czas długi gościnny chleb jego i pili jego wino. Wspomnienia chwil przepędzonych w *La Chenaie* ³⁾, dwadzieścia pięć lat życia (*magnum humani aevi spatium*) osłabić nie zdołało. Proszę sobie wystawić kilkunastu ludzi po większej części młodych, pełnych zapału do prawdy, pracy, a nawet poświęcenia, zgromadzonych około człowieka genialnego, ubóstwianego od wszystkich, kochających się nawzajem; śniadanie i wieczerza gromadziły pospołu, praca ułatwiona wyborową a liczną biblioteką rozdziela przez dzień: przechadzka albo ogień komina wieczór gromadził na nowo — o! ktoby mi oddał te chwile: kiedy np. siedząc rozrzucony na łonach opuszczonego zamku *Coëtquin* rodzimym Duguesclina, tłumaczył naturę feudalizmu: to znowu kiedy odebrawszy list od ministra Labourdonnais po objęciu steru przez Polignaca, którym pytał Lamennais'go o radę, rzekł do nas: „to ludzie szaleni; należało w chwili objęcia władzy zwinąć gwardyę narodową, ogłosić nedorzeczną kartę za niebyłą, zamknąć dobrze znanych spiskowych; możeby się udało, następnie wspólnie z żywiołami organicznymi jakie są w kraju, ustalić porządek — oni to zrobią za 6 miesięcy, ale tego samego dnia Burbonów wypędzą“, co się też do joty spełniło. —

¹⁾ Później biskup w Perpignan.

²⁾ Następnie Jenerał Missyonarzy; wszysey wieley przyjaciele Polaków.

³⁾ Zameczek Lamennais'go w Bretanii.

Takie były rozmowy w La Chenaie, przytem Lamennais jak wszyscy ludzie wyżsi, w obcowaniu jak dzieci proste i łatwy, wesoły kiedy nie cierpiący, skakał z nami przez płoty i rowy a skakał doskonale, śmiał się z pełnego gardła kiedy mylił się grając z nim w *tric-trac*¹⁾, dowcipem nieprzebranym zaprawiał rozmowę, która albo toczyła się w sferze literatury i polityki, albo podnosiła do ostatnich wyżyn życia moralnego. Nie spotkałem w nikim podobnego uroku w obcowaniu, więcej znajomości serca ludzkiego i duchowości chrześcijańskiej: raziła jedynie żółć nieubłagana, ironii pełna, dla przeciwników czy w politycznym czy w filozoficznym stanowisku, którą wprawdzie tłumaczyły skryte, ale ciągle, zręcznie wymierzone, pędzące go ku przesadzie działania.

Przewidując pewny upadek Burbonów i chcąc wyratować z powodzi, która nastąpić miała, najdroższe dobra ludzkości, odłączał się coraz bardziej od stronnictwa rojalistów, oddzielał sprawę Kościoła od sprawy rodziny, uorganizował i rozgałęził po całej Francji tak zwaną: *Association pour la défense des interets Catholiques*. Że przewidział dobrze, wypadki dowiodły: uwolniwszy Kościół od solidarności z rodziną panującą, dał mu ruch wolny, od polityki oddzielny, właśnie taki, jakiego potrzebuje zawsze, a głównie w chwilach politycznych przekształceń. I zaprawdę, co ma Kościół wspólnego czy z formą rządu, czy z namiętnościami ludzkiemi, które wależą o czezy blichtr albo o materyalną korzyść; on ma ważniejsze dla człowieka, do innego, bo duchowego odnoszące się porządku cele, które w pośród każdej okoliczności są równie drogie i konieczne: pośrednio wpłynie on zapewne w miarę uspokojenia umysłów i okiełzania namiętności na prędsze lub późniejsze ukołysanie bałwanów, ale zawsze działając tylko w swojej sferze i właściwemi mu środkami²⁾. —

¹⁾ Gra używana dawniej we Francji.

²⁾ Słowa te dziwnie uderzają, gdy się wspomni, że były pisane prawie 40 lat przed encykliką Leona XIII, zalecającą episkopatowi francuskiemu pogodzenie się z republikańską formą rządu obecną, byle szanowała prawa Kościoła. (P. W).

Gdyby na tej drodze był jedynie Lamennais pozostał, działanie jego byłoby równie korzystne dla ogółu, jak bezpieczne dla niego — ale poszedł dalej. — Wychodził z tej zasady, że ponieważ społeczność szalała za wolnością, Kościół w tym kierunku winien był iść naprzód, torować strumieniowi koryto, a tak nie dać mu popaść w otchłań przepaści. — Rzecz dziwna, rzecz straszna, jak najdzielniejsze umysły w chwilach wzburzenia błądzą, skoro ich pokora nie uspakaja. — Dziennik *Avenir* wziął za godło ogólnik wolności, dowodził, że ludzkość ma do niej prawo i że Kościół zawsze ją ludom zapewniał. — Tak przeto główny prąd opinii kierując do Kościoła, mniemał, iż po tej drodze sprowadzi ludzkość do tej ogólnej owczarni: ztąd nietylko insurekcyom, ale i rewolucyom wtórował.

Wrażenie było wielkie, dla niektórych straszne. Wzruszona w posadach politycznych Europa, zaczęła się chwiać w moralnych; wówczas ci nawet co najeęściej przeczą władzy głowy Kościoła, co upatrują wszędzie ultramontanizm, udali się jednak do papieża. Stolica Apostolska zrobiła to co zwykle czyni w takich razach: ogłosiła naukę Kościoła, hamowała namiętną popędliwość, dostrzegła kędy był błąd ukryty i wytknęła go; w dobrej wierze zadaleko posuniętą gorliwość pochwaliła, grożąc jednak dość cierpko człowiekowi, który dotąd w jej tylko imieniu i interesie przemawiał. Lamennais ubodnięty do żywego poddał się wrzekomo, ale czując jakim wpływom taki obrót swej sprawy zawdzięcza, nie mógł, zdaje się ludzkiego przezwyciężyć uczucia, a płacząc się już sam w zasadach, które postawił, upatrując fałszywą onych zgodę z zasadami Ewangelii, napisał pismo ulotne: *Paroles d'un croyant*, w którym talent ogromny, dantowska poezya, o lepszą z przewrotnością walczy. Już ciemności ogarnęły ten wzrok pewny i przenikliwy, zaprzecza temu, co stokroć powiedział, wszędzie negacya, kwas, czasem wściekłość, słowem nie chrześcijańskiego. Nowa burza; jedzie do Rzymu. Ale tam nie znalazł dawnych stosunków, wskutek własnej winy, ale i wskutek

także ciągłego działania swych nieprzyjaciół, znalazł zbyt zimne, może nawet nie dość litościwe przyjęcie. Może przyjęta z miłością, wyrozumieniem, gwałtowna i wyniosła jego dusza, byłaby się dała ukolysać i powróciła na łono matki którą był tyle kochał. Bądź co bądź przyrzekł posłuszeństwo Ojcu świętemu: ale zaledwie Rzym opuścił, zagrały namiętności i wydał: *les Affaires de Rome*. Nigdy pióro ludzkie ani pędzel malarza nie oddały tak wrażenia piękności kampanii rzymskiej jak pierwsze karty tej książki; reszta jej jest jakby ironia obietnic, jakie złożył. Kościół dopełnił swej powinności używając strasznych cenzur swoich, bo w Kościele niema zasługi, niema świętości, niema nauki, gdzie niema posłuszeństwa. Lamennais odpowiedział wyrzeczeniem się stanu duchownego i związku z Kościołem: reszta wiadoma.

Nie nam kamieniem rzucać; ale nam zwrócić uwagę na to dziwne zjawisko, że od tej chwili jakby piorunem rażony stracił urok talentu, moc geniuszu, wpływ na umysły i stał opustoszony jak ta świątynia:

„Gdzie bóstwo mieszkać nie chce, a ludzie nie śmieją“.

Wszyscy jego uczniowie, przyjaciele, towarzysze tyłu prac i wspólnych usiłowań odstąpili go; a byli to przyjaciele gotowi życie poświęcić za niego. Oto cud potęgi prawdy i Kościoła, oto rękojmia jego niewzruszoności. Odstępujący jego nauki, gardzący jego karnością, zostaje sami, *Vae soli*. Ani związki krwi, ani wdzięczności, ani urok geniuszu i pozór gorliwości, nie potrafiły usidlić wiernych synów Kościoła; karmił się starzec nieszczęśliwy śmieciami popularności rewolucyjnej, dla której miał nieograniczoną wzdargę.

„Pan gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu aniołów sług
[swych zobaczył,
„Duchom wieczystym, aniołom czystym, Pan nie przebaczył,
„Runęły z niebios jak deszcz gwiazdzisty aniołów tłumy,
„I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozumy“.

Czy wiesz, kiedy składał te cudowne, jakby z chórów archanielskich podsluchane wiersze, myślał o Lamennaim nie wiem, ale to wiem, że do nikogo tak zastosować się nie dadzą.

Był wzrostu małego, budowy nader szczupłej, wysokiego czoła, rysów wyrazistych, oczów ciemnych gorejących ogniem i życiem.

KAROL hr. MONTALEMBERT¹⁾.

† 13-go marca 1870 r.

Lat temu dziewięć, pięknym porankiem dnia czerwowego, przybyła do miasta naszego rodzina francuska, złożona z ojca, żony i dziwnego uroku córki. Był to dzień świąteczny, a przybyli zdaje się nawykli byli chować dzień Pański, bo prosto z dworca jechali do kościoła. Kraków poważnej barwy, na tle oświeconem jaskrawem słońcem, z rynkiem napełnionym ludem w oryginalnym, malowniczym stroju, nawet ze swem opuszczeniem, robi silne wrażenie na każdej prawdziwie artystycznej naturze. Przybyli, weszli do kościoła Panny Maryi, zajęli miejsce w ławach radzieckich, z kądem pogład na cały kościół; organ uderzył, lud się pochylił, cudzoziemiec się rozplakał. Cudzoziemiec ten był to Karol hrabia Montalembert, niegdyś par Francyi, później członek ciała prawodawczego, jeden z czterdziestu akademii francuskiej, obecnie przez cesarskie rządy skazany na spoczynek.

Co go tu sprowadziło? Chciał poznać tę ziemię, którą od lat młodych ukochał, której cierpienia dzielił, której praw bronił, której bohaterstwo podziwiał, której nawet błędy karcił. Dziwne, prawie jedyne zespolenie serca ze sprawą obcą. Ale bo to serce pełne miłości Boga, Kościoła i wiary, musiało tem samem kochać sprawiedliwość, bronić wolności i prawa, cierpieć z uciśnionym, stać obok słabszego, nieopuszczać nigdy nieszczęśliwego. Wnuk, jak lubił mawiać, a jak mu to wymawiano, krzyżowców, byłby w jedenastym wieku jechał z kopią w toku na jerozolimską wyprawę; w dziewiętnastym

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1870 r.

inną bronią, na innem polu walczył niemniej rycersko za tę samą sprawę.

Ale aby to życie, które zgasło 13-go marca 1870 r., ocenić jak należy, trzeba cofnąć się o pół niemal wieku, co może dla obecnego pokolenia mniej powabne, lecz dla zrozumienia tej postaci konieczne.

Od rozpadnięcia państwa rzymskiego i zarodu nowych chrześcijańskich społeczności, historia nie zna podobnego przełomu jak rewolucya francuska, albo raczej powiedzmy, europejska z końca przeszłego wieku. Czy to był młot co miał skruszyć formy spruchniałe, czy też gwałtowny poród nowej idei co miała zawładnąć ludzkością, rozbierać tu nie myślę, nie bardzo zresztą daleka, chociaż nie dla mnie, okaże to przyszłość. Bądź co bądź, rewolucya ta, jako cechę główną, miała zaprzeczenie wiary przez Kościół katolicki głoszonej, jako cel zniesienie jego hierarchii; a chociaż usiłowany powrót do jakiegoś spirytualnego pogaństwa nie udał się, pozostały w masach jeżeli nie wstręt, to obojętność, w nauce negacya rozmaita, a w tem jedynie zgodna, że zaprzeczała objawienia głoszonego powagą Kościoła. I rozumiano, że to już koniec; a tymczasem równocześnie Kościół utwierdził swoją potęgę, walcząc jak równy z równym w rokowaniach konkordatowych z najpotężniejszym jedynowładcą nowych czasów; a na polu literatury, Chateaubriand przypominał, że najwyższego natchnienia szukać trzeba zawsze w chrześcijaństwie; Bonald filozofii spirytualnej, prawa windykował, okazując zgodność jej z teologią; w polityce zaś Józef de Maistre stawiał aforyzmy, które mimo przesady właściwej charakterowi człowieka, pozostaną wielkimi prawidłami społeczności, do których, jak to uważałem, w epokach krytycznych odwołują się zawsze najprzeciwniejsi mu na pozór publicyści. Tak było w r. 1830, tak Girardin w 1840, tak dzisiaj Renan. Co urok świątobliwości Piusa VII i geniusz Conzalviego zrobiły urzędowo, to polemicznie w umysłach zdziałali wymiuczeni uczeni, do których przybywał nowy szermierz Félix de Lamennais i nowy wieszcz Alphonse de Lamartine. Re-

stauracya panowała już we Francyi, ale panowała na gruncie podkopanym przez republikańskie i bonapartystowskie spiski. Jakie popełniła błędy, czy wskutek tych błędów upadła, tutaj rozbieierać nie potrzebuję, ale potrzebuję przedstawić stan umysłów i sił będących w grze, której wypadek stanowił o przyszłości świata.

Czy Burboni, jak mówiono, nauczyli się wiele na wygnaniu, nie wiem, że nie zapomnieli, to pewna.

W czasie Restauracyi objawiła się dawna gallikańska teoria nie tylko protegowania, ale i owładnięcia kościoła; dwóch też wywołała przeciwników: liberalno-rewolucyjne stronnictwo, podchwytujące i wyzyskujące każdy przychylny objaw władzy dla Kościoła, i katolickie, jak nazywaliśmy wówczas ultramontańskie, które widząc, jak ostatecznie monarchizm stawał się liberalno-despotycznego stronnictwa narzędziem, pragnęło wolności Kościoła i rozdziału od państwa. Tego stronnictwa naczelnikiem był Lamennais. Kto wypowie urok, jaki wywierał na ówczesną społeczność? Każda broszura jego, każdy artykuł powtarzany we francuskim i innych językach, wstrząsał duchowieństwem i wiernymi całego katolickiego, a już dosyć ożywionego, świata. Otoczony w zamku swoim La Chenaie młodzieżą najzdolniejszą swego czasu: był tam Lacordaire, byli sławni biskupi Gerbet i Salinis, wielki misyonarz a Polaków w Azji osobliwy dobrodziej Boré, Robertson, Digby, Kamiński, później, bo w końcu 1830 r. przybył do tego grona młody, zaledwo lat 18 mający Karol Montalembert.

Co przewidywał i przepowiadał Lamennais, ziściło się. Wulkan rewolucyjny buchnął płomieniem i zmiotł nie tylko dynastję ale cały ustrój konstytucyjny, który rok 1815 przyniósł; popiół przysypał obudzony ruch katolickiego świata, tak iż rozumiano, że to był cios śmiertelny; ale to było krótko-trwałe złudzenie; katolicy otrzęśli wnet z siebie tę kurzawę, a śmieiej niż kiedykolwiek wystąpili do boju w imię wiary i wolności. Lamennais pierwszy podniósł chorągiew, a na niej

było napisane „przyszłość“ (*l'Avenir*). Głównymi oprócz innych współpracownikami byli Lacordaire i Montalembert.

Dziennik ten z niesłychanym redagowanym talentem, ale ze zbyteczną także zaciętością, wychodził wobec społeczności i rządu, które zdawały się chrześcijaństwa wyrzekać z tej zasady, że w obecnej chwili należało zrzekając się stanowiska religii panującej, oddzielić zupełnie Kościół katolicki od państwa, a więc odrzucić dotację duchowieństwa i po prostu istnieć jako sekta, albo jak Kościół początkowy w katakumbach.

Więzy, które rząd w moc konkordatu narzucał, przykład Anglii i Ameryki zdawały się usprawiedliwiać ten pogląd, a Lamennais takie miał zaufanie w potęgę wolności i prawdy, że w dobrej rozumiał wierze, iż na tej drodze odzyska dla religii uznanie i panowanie. Jako ultramontanin był spokojny o Rzym, ale zapomniał, że Leon XII już nie siedział na Watykanie, i że filozoficzną teorią swoją obudzał podejrzliwość jednych, a bezwzględnością drażnił drugich. Zapomniał zaś głównie, że jak nie można oddzielić w człowieku ciała od duszy, tak nie podobna oddzielić porządku doczesnego politycznego od duchownego, że jest pomiędzy nimi konieczna łączność i hierarchiczny porządek. Społeczeństwo i Kościół muszą być w związku, skoro społeczeństwo jest chrześcijańskie. Lamennais party niemiłosiernie przez przeciwników, zgodnie ze swym charakterem stanął namiętnie i bezwzględnie; powołany do Rzymu, jedzie rozumiejąc, że wprost u Ojca Świętego sprawę załatwi. Ale nie były to już czasy Leona XII, sprawa poszła do kongregacyj, on sam obiecawszy poddanie, powrócił do Francji, gdzie nowe spotkały go zarzuty, na które nowemi odpowiada argumentami, aż wezwany do Rzymu, jedzie z Montalembertem i Lacordairem. Rzym ostatecznie orzeka; Lamennais, któremu już émiło się w oczach, niejasno mówi, ani odwołuje, ani się poddaje — staje nad przepaścią, chwieje się i wpada...

Straszną odszczepieńców kolejają, jak gałąź sucha od Kościoła odpadł, i więcej o nim nie było mowy; ale Monta-

lombert przywiązany do mistrza z tym zapalem, który ogarniał każdego, co do niego się zbliżył, jakąż musiał stoczyć walkę, aby z nim zerwać na zawsze. Nie było podstępu, nie było pochlebstwa, którego mąż genialny nie użył, aby go zatrzymać. Na próżno; łaska zwyciężyła w tem młodem i pięknem sereu. Ale rozdarcie było straszne; zajrzałem w rozpaczliwą podówczas korespondencję pomiędzy nim a Lacordairem, sam naówczas zboleły, rozumiem ich uczucia.

Montalembert pojechał do Monachium, gdzie Görres, Baader, Möller i młody wówczas Döllinger utrzymywali naukę, talentem i gorliwością święty ogień wiary nieskażonej. Zwiedził Pragę i zaprzyjaźnił się z rodziną generała Skrzyneckiego, zwiedził Marburg, a ztąd powstała wonna, jak kwiat wiosenny, książka o Śtej Elżbiecie.

Uspokojony, wykształcony, wraca po Paryża i zajmuje stanowisko urzędowe na krześle Izby parów. Wówczas faktyczne zaprowadzenie szkoły bez upoważnienia rządu, przyprowadza go znowu o rozprawę ze sądami. Przegrywa, ale sprawa wygrała w opinii i znowu o jeden stopień zbliżyła się do zwycięstwa.

Życie człowieka, który rozwija się w harmonii bez nadzwyczajnych katastrof, a nie na polskiej urodził się ziemi, nie z samych walk, cierpień i poświęceń składa się; są w niem i spokojniejsze, są i wonne chwile, na które składa się miłość, rodzina, przyjaźń, sztuka, podróże, pożycie z duszami wybranemi, które jakby przez tajemne powinowactwo w jeden spletają się wieniec. Czy naszemu pokoleniu powiedzieć, jakie to były stosunki Montalemberta z rodziną la Féronnais opisane w listach przez panią Craven? jakie z Lacordairem? z naszym wieszczem? a złączył go też szczególny węzeł przyjaźni z redakiem, którego stratę rok zaledwie temu, oplakaliśmy...

Rzecz dziwna, uważałem, że przywiązanie do sprawy polskiej da się u eudzoziemców mierzyć przywiązaniem do Kościoła i do katolickiej wiary. Im ostatnie gorętsze i czystsze, tem więcej miłości dla sprawiedliwości, udziału dla cierpienia,

a zatem gorliwości dla ofiar gwałtu i dumy. Ztąd katolickie dziennikarstwo zawsze dotrzymało nam wiary. *Avenir*, którego właśnie przebiegałem karty, w zapale o sprawę naszą dorównywał dziennikarstwu krajowemu. Montalembert ukochał tę sprawę całym ogniem swej duszy, i jak zobaczymy, został jej wiernym *usque ad finem*. Już *Avenir* wychodzić przestał. stosunki z Lamennaim nie były jeszcze zerwane, kiedy Montalembert u niego spotkał Polaka swego wieku, o jasnych włosach a siwem litewskim oku, i w rozmowie poznał brata po wierze i miłości. Był to Cezary Plater, którego poświęcenia, szczeroty, czynności i odwagi, gdzie szło o dobrą sprawę, schodzące pokolenie nie zapomniało, a słuszna przypomnieć je obecnemu. Od tej chwili przyjaźń dożgonna ich połączyła, lat 8 czy 9 mieszkali razem i podróżowali. Ale podróż, życie dla przyjaźni i świata, nie przeszkadzają kształceniu się ludzi wyższych. Przybywało wiadomości archeologicznych, historycznych, a pogląd polityczny na stosunki Francyi i społeczeństwa dojrzewał. Powaga młodego mowcy rosła w Izbie parów, gdzie równie wolny od burbońskich wspomnień, jak orleańskich sympatyj, rzecz rzadka, Francuz bezstronny, walczył tylko o honor Francyi, wiarę i wolność.

Mimowolnie muszę robić ustępy polityczno historyczne, aby być zrozumiałym i dać zrozumieć człowieka.

Rządy Ludwika Filipa w intencji jego łagodne i sprawiedliwe, nie spoczywały na żadnej zasadzie, ale na zręcznem równoważeniu, raczej wzajemnem neutralizowaniu stronnictw, które nurtowały Francję. Takie rządy, nie mające podstawy pewnej, są słabe, możebneby były we Francyi pod warunkiem przewagi i sławy na zewnątrz. A to właśnie rządów orleańskich było najslabszą stroną. Począwszy od stosunku do sprawy polskiej, Francya ustawnie ulegała presyi mocarstw od 1815 r. sprzymierzonych, a wkupywała się niejako w tak zwany koncert państw europejskich. Tak było w r. 1831 po wzięciu Warszawy, tak w r. 1840 w czasie poczwórnego przymierza, tak wobec Sonderbundu, tak w kwestyi indemnizacyj angielskich 1847 r. Grunt podkopany przez stronnictwa,

zachwiany na zewnątrz, nie był politycznie silną podstawą. Parlamentaryzm angielski, przeszczepiony na łód stały, nie przyjął się prawie nigdzie, najmniej we Francyi, gdzie właśnie społeczność zatomizowana we młynie rewolucyjnym i pod młotem cesarstwa, nie miała doń koniecznych warunków. Systemat konstytucyjny angielski spoczywa na istotnej równowadze żywotnych sił społecznych, dlatego zapewnił wolność i zapewni ją dopóty, dopóki ta równowaga istnieć będzie. We Francyi usiłowano zastąpić fikcyą sformułowaną na papierze to, co w Anglii jest rzeczywiste. żyje i waży rzeczywistość, zaponinając że konstytucye opisują stosunki istniejące, ale ich nie tworzą. Na nie przeto się nie zdało, że karta r. 1815 zrównoważyła pozornie bardzo mądrze władzę wykonawczą, prawodawczą i sądowną, kiedy brakowało temu życia i siły. Np. Izba parów zaimprovizowana, czy mogła być potęgą, jak angielska z siedmią wiekami istnienia, ogromnemi majątkami i dziedzicznym na opinii i miłości kraju opartym wpływem. A co większa, obok politycznej swobody, despotyzm administracyjny taki, jaki przekazała rzeczpospolita i cesarstwo. Szalona centralizacya, budziła ciągły antagonizm, pomiędzy politycznym a administracyjnym organizmem społeczeństwa, antagonizm, który gwałtowne, kończące się rewolucyami, w machinie tej wywoływał wstrząśnienia, a które tłómaczą, czemu od lat 60 żadna forma rządu we Francyi utrwalić się nie mogła. Ideolog jak Thomas Payne, mógł przed 90 laty twierdzić, że ten obywatel wolnym jedynie nazwać się może, który konstytucyę państwa nosi w swej kieszeni; ale w połowie XIX wieku illuzyi tej mieć nie wolno, i niepomątu dziwi mię, kiedy czytając pamiętniki Guizota, spostrzegam, jak genialny ten umysł przypisuje upadek Orleanów błędom ludzi, a nie postrzega błędów instytucyi. Że ludzie doskonali i wobec złych albo konwencyonalnych instytucyj potrafiliby pokierować publiczne sprawy, to pewna: ale nie na to jest się człowiekiem stanu, aby nie wiedzieć, że właśnie instytucye są dla ludzi zwyczajnych, miernych, namiętnych, że przeto powinny spoczywać na prawdziwej,

silnej i praktycznej podstawie. Że parlamentaryzm z pozorami wolności, a wielką dla talentu i wymowy sferą ukochał młody Montalembert, dziwić się nie można, a zużytkował go, walcząc za pierwszą ze swobód, swobodą nauczania, i wówczas to r. 1845 powiedział sławne trzy mowy, które powagą jego polityczną ustaliły, a były zarazem dowodem, jak pogład jego nabywał obszaru i przenikliwości. Już widać przeczuć potęg rewolucyjnych, które zwolna organizowane miały wkrótce wystąpić. a wystąpiły na gruncie polskim.

Ktokolwiek uważał pilnie postępowanie stronnictwa rewolucyjnego, ten wie bardzo dobrze, że zwykle obiera do swoich usiłowań, które nigdy nie ustają, grunt najsporniejszy; dlatego wybuchy następują to w Hiszpanii, to we Włoszech, wedle chorobliwego usposobienia, a przyjaznych okoliczności. W Polsce grunt zawsze gotowy, bo poczucie bezprawia i upokorzenie trzyma umysły i serca w ustawnym zdrażnieniu, charakter narodowy pełen fantazyi i śmiałości o niczem nie wątpi, kombinacya zaś uczucia czystego partyotycznego, z dążnością rewolucyjną dwoi każdego działania siłę. Ludziom, którzy podówczas wzięli odpowiedzialność działania, dam pokój, rozprawił się z nimi Trentowski w „Ojczyźnieku“. Mała pociecha napiętnować lekkomyślną dumę jednych, a wyzyskiwanie najszczytniejszych uczuć przez drugich, ale zdać sprawę z ówczesnego położenia kraju winienem.

Przywrócenie niepodległości narodowej przez powstanie ludowe, ulubioną było (może jest) myślą stronnictwa, które wówczas zwało się demokratycznym. W tym celu rozszerzano konsekwentnie pomiędzy ludem komunistyczne zasady, drażniono uczucia klasy poddanej, a pańszczyznę coraz trudniej znoszące. Komunizm nie przyjmuje się u naszego ludu, ale zdrażnienie doszło do wysokiego stopnia, głównie wskutek potwornego a dla ludu niezrozumiałego stosunku, gdzie panowie mieli lud prowadzić do własności, do wolności. Ostrzegali wieszcz Psalmów Przyszłości, ale śmiano się ze szlachcica w upojeniu szału i trwogi. Tymczasem obok tego upojenia zachował zupełną trzeźwość żywioł, o którym jakby

zapomniano: Biurokracya. Biurokracya, która zarówno z demokracją nienawidziła szlachtę, a do panowania w równości dążyła, postanowiła wyzyskać na swoją i państwa korzyść przygotowane powstanie — i tak się stało. Zwolna w milczeniu przygotowała sprężyny, narzędzia, plan postępowania. Żadna w historii zbrodnie nie da się porównać z rzezią 1846 r. Noc Św. Bartłomieja przeciwstawiła dwa przekonania; rzeź humańską natehniono w kraju na pół dzikim, do krwawych odwetów nawykłym. W Galicyi rząd wykształcony, chrześcijański, tradycyjny, powołał lud szanujący władzę monarchiczną do uderzenia na tych, których nazywał i którzy byli panami, ojcami, braćmi. Nie wchodząc jak wysoko odpowiedzialność sięga, wiadomo dobrze, że bohater domu Rakuskiego umierając w dni kilkanaście potem, powtarzał: „sprawiedliwość dla Galicyi, sprawiedliwość dla Galicyi! w tej krwi ród nasz utonie“. Sprawiedliwość wymierzona nie została, a państwo austriackie po ćwierci wieku równowagi odzyskać nie może.

Wówczas powstał krzyk straszny, jak niegdyś w Rama, a zgroza całej Europy, całej ludzkości znalazła wyraz w duszy Montalemberta. Wstąpił na mównicę Francyi i z tej wyżyny osądził rząd, osądził ministra, osądził ludzi. W duszy chrześcijańskiej i rycerskiej odbiły się wszystkie cierpienia narodu; wylczył wszystkie jego krzywdy, przed oczami mojej wieszczki stanęła przeszłość i przyszłość, a zboleli, złamani poculiśmy pociechę współczucia dla siebie, kaźni dla zbrodni. Kto wówczas nie żył i nie cierpiał, zrozumieć nie potrafi, jaką dla opuszonych, zatrwożonych było ochłodą usłyszeć głos sprawiedliwości, przyjaźni i miłości. Czytano mowy te ukradkiem, z uniesieniem; było ich cztery, bo Montalembert nie po to mówił tylko, aby ulżyć swemu sumieniu: *dixi, salvavi animam meam*, mówił, aby wykazać skutki, mówił bo kochał, jak nigdy cudzoziemiec obcej sprawy ukochać nie potrafił. Niechajże dziś odpowiedzą mu obywatele tej ziemi równą żalobą, bo już podobny głos nigdy się nie podniesie.

Kiedy tak Montalembert bronił nie polskiej krwi tylko,

ale społecznego ładu cywilizacji, człowieczeństwa, ryknął lew na puszczy¹⁾, ale głosem rozpaczy i zemsty, ognistym napiętnował żelazem znakomitego męża stanu, którego noga na starość we krwi się pośliznęła, a jak, co mało komu wiadomo, i o czym za wezas dziś mówić, ze wściekłą odwagą chciał rzucić się na oślep w niebezpieczeństwo, a kiedy spostrzegł, że za późno, stanął i zrobił krok wtył — krok, który na dalsze losy jego i kraju miał mieć wpływ stanowczy. Zbliżenie w jednej chwili i sprawie dwóch głosów, dwóch indywidualności, tyle różnych w charakterach jak w czynie nastąpiło przypadkiem, tak pod piórem samo się nasunęło.

Od tej głównie chwili, hr. Montalembert był jakby Polski urzędowym rzecznikiem. Na pozór nie było żadnego związku pomiędzy 1847 r. w Polsce a Sonderbundem w Szwajcaryi, w istocie zaś tajemne łączyły je prądy, i dlatego ten sam człowiek, który upominał się o sprawiedliwość dla Polski, musiał upominać się także o wolność dla uciśnionych kantonów. Nie zrozumiał tego rząd orleański, ale rok nie upłynął a uczuł. Mógłbym pominąć nużące może czytelnika szczegóły, ale wskazują one na ciąg nieprzerwany jednej akcji, przedstawionej przez różne postacie.

Upadł w lutym 1848 tron Ludwika Filipa we Francyi, upadł sromotnie, nie tylko dla monarchy ale i dla Francyi, co nie umiała bronić króla swego wyboru, przed garstką wicherzycieli. Hr. Montalembert czuł głęboko uporzenie, a czuł także żal, bo rząd parlamentarny odpowiadał jego przekonaniu i zdolnościom. Pamiętam, jak mawiał podówczas: „Francya złamała sobie krzyże“. Złamała ale nie upadła. Narodowi temu daje Opatrzność w każdym czasie ludzi odpowiednich, i albo znani już w nowej fazie biorą się do rzeczy, albo indywidualności nieznane występują. Nie zależał tu nikt pola, wszystkich znakomitych ludzi spotykamy na wyłomie. Montalembert chociaż zdrażniony wiedział dobrze, iż prawemu obywatelowi nie przystoi w chwilach niebezpiecznych dąsać się

¹⁾ Wielopolski.

i w jałowej krytyce stać na uboczu, ale że winien działać, walczyć w obronie sprawy porządku i potęgi kraju. Spotykamy go niebawem w konstytuancie a następnie w Izbie prawodawczej, zawsze śmiały, wymowny zawsze obrońca wolności i godności Francji.

Nadeszła chwila rewolucyi w Rzymie: Rossi zamordowany zbójceko, Papież w Gaecie, Rzeczpospolita ogłoszona z Kapitolu. Co na to republikańska Francya z liberalistą Cavaignakiem na czele? Nie przywodzi tam Burbon, ani jaki Polignac, ale przywodzi instynkt narodowy francuski i polityczna tradycya wielkiego narodu; dodaje popędu gorąca wiara katolików francuskich. Jako ich wyraz stawia Montalembert, i żąda wyprawy na Rzym, celem przywrócenia na tron Papieża. W olbrzymiej kilkodniowej parlamentarnej walce zwycięża, orły francuskie płyną po Śródziemnem morzu, już osiadają na starych murach Rzymu, nowa przewraca się karta starej księgi, którą zaczął Grzegorz Turoneński, *gesta Dei per Francos*. Kartę tę przewrócił Montalembert.

Wolny od trudów, ale też i od zaszczytów publicznego życia, śledziłem pilnem okiem postęp ludzi publicznych jego czasu, śledziłem i Montalemberta. W tej epoce jego zawodu przed samym 2-gim grudnia w jego mowach i całym politycznym kierunku spostrzega się wielką wytrawność; czy słusznie albo niesłusznie rozumiał, że Rzeczpospolita ustalić się potrafi, nie wehodzię, ale w każdym razie zrozumiał warunki konieczne dalszego jej bytu, i szukał jakie resztki dawnego organizmu ostały się we Francji, około których skryształowaćby się mogły te potęgi społeczne, których brak uniemożliwił powodzenie parlamentaryzmu. Jako takie organiczne żywioły można było uważać we Francji: Kościół, sądownictwo z tradycyjną hierarchią, korporacye handlowe, a miały się obudzić nowe przez decentralizacyę, organizacyę gmin i obudzenie dawnego prowincjonalnego życia. Trąbka 2-go grudnia przerwała te roboty, albo raczej zamiary, w których brali udział młody jeszcze Tocqueville i Odilon Barrot. I tu jeszcze duch obywatelski, Montalemberta nie opuścił. Rozu-

miał chwilę, że Cesarstwo da się pokierować; ale Cesarz potrzebował sług nie towarzyszy, zρέcznie zużytkowawszy w pierwszych chwilach popularność i dobrą wiarę jego, nie tylko zerwał z nim ostatecznie, ale czując, że takiego człowieka, niczem pozyskać nie potrafi, postanowił go zupełnie od życia publicznego oddalić. — W pierwszych latach Cesarstwa nie było to dla Napoleona trudne. Od r. 1856 Montalembert tanał nie w opozycyi, ale zewnątrz publicznego, politycznego życia.

Tutaj zaczyna się trzecia niejako życia Montalemberta epoka, najmniej dramatyczna, ale najtrudniejsza do pochwycenia, najdrażliwsza do przedstawienia.

Wobec żywiołów, które objawiły się w dniach ezerwcowych, a grały choć krwawo przytłumione we Francyi, imperializm przedstawiał się ówczesnej społeczności jako konieczność, dlatego gwałt 2-go grudnia przyjęła spokojnie i zatwierdziła go siedmiu milionami głosów.

Rewolucye społeczne mają tę straszną następność, że demoralizują ludzkość, odejmując wiarę w cnotę i wolność, kończą się też zwykle przewagą siły. Na tem uczuciu trwogi oparł się Napoleon, ale nie na tem tylko. Bystry ten człowiek spostrzegł dokładnie, jak przeważny wpływ wywierała wiara i Kościół, zwłaszcza na te społeczne warstwy, które powszechne głosowanie powołało do udziału władzy. Czy w dobrej, czy w złej wierze, nie wchodzi, ale dał duchowieństwu i katolickiemu stronnictwu obietnice swobody i rękojmę bezpieczeństwa.

Wówczas to jednolita dotąd katolicka partya, rozdzieliła się na dwa obozy. Jeden przyjmując rękojmie rządowe co do wolności sumienia, zapewniał pomoc moralną cesarstwu, uznawał je jako narzędzie organiczne społeczności, nie wchodząc, jakimi w polityce posługiwało się środkami; drugi, nie rozdzielał wolności od wiary, za żadną cenę nie chciał swobód konstytucyjnych odstąpić, wyłącznego stanowiska dla Kościoła nie żądał, dowolność cezaryzmu potępiał. Do tego drugiego obozu należał Montalembert i odstrychnął się z całą

bezwzględnością swego charakteru od ludzi kompromisu, reprezentowanych przez dziennik *Univers* i sławnego jego redaktora Venillota. Kto miał słuszność? ze stanowiska moralności tycznej, niewątpliwie Montalembert. Ale czy kraj do tyła polizatomizowany, z namiętnością równości, nurtowany przez tajne związki, a jawne najfałszywsze nauki, mógł być rządzonej inaczej jak despotycznie, czy owa konwencyonalna wolność, o której mówiono, mogła utrzymać równowagę pomiędzy stronnictwami zapalczywemi na wzajemną zgubę? Odpowiedź na to pytanie zostawiam wypadkom, robiąc uwagę, że każda społeczność ma rząd, na jaki zasługuje. Francya zarobiła na żelazne cesaryzmu berło, musiała przejść przez tę szkołę; ale jak każda szkoła kończyć się winna, tak i dla Francyi czas jej miał przechodzić. Montalembert niecierpliwy, a do tego skazany na bezczynność i od wszelkiego politycznego oddalony wpływu, zawziął się na cesarstwo i jego popleczników z zapalem przekonania, ale i namiętnością obrażonej miłości własnej. Montalembert był człowiekiem, ztąd trudno mu robić zarzutu, ale zajęte w ten sposób przez niego stanowisko spowodowało rozdwojenie w stronnictwie katolickim, zwiększone przez drażliwy i zapamiętały charakter obydwóch naczelników. Skutki tego rozdziału zobaczymy niżej, tutaj należało mi tylko nakreślić dokładnie grunt, na którym miało się rozwijać dalsze Montalemberta działanie.

Przeszedł do opozycyi. W rządzie konstytucyjnym opozycya jest bardzo ważnym i koniecznym czynnikiem życia publicznego. Wobec jednoladztwa, opozycya jest prostą negacją: i zaprawdę, kiedy potrzeba łączyć się we wspólnej walce i niechęci z różnorodnemi żywiołami, trzeba bardzo podniosłego serca i silnego charakteru, aby się nie zwiechnąć, nie zmaleć. Dom Montalemberta stał się środkiem i niejako gruntem neutralnym, na którym spotykali się wszysej przeciwnicy cesarstwa. We środy co rano, można było spotkać w jego pokoju wszystkie znakomitości naukowe Francyi, wieczorem w jego salonie polityczne, choć z natury ani polubowny ani wyrozumiały, przyjmował uprzejmie każdego,

mającego rzetelną wartość moralną. Inne dni tygodnia, samotnej i twardej były poświęcone pracy. Rozpoczął teraz wielkie swoje „O Mniechach Zachodnich“ dzieło, które wymagało sumiennych i głębokich poszukiwań. Uważał je za obowiązek i powołanie życia; chciał przedstawić i przedstawił, jako duch Kościoła katolickiego, sam jeden mógł natchnąć i wytworzyć tak potężny organizm, potrzebny do owdładnienia i do przerobienia dzikiej a w sile tylko zaufanej społeczności. Najlepszym obrazem, czem podówczas byli ludzie i ich namiętności, jest pieśń „O Niebelungach“. Aby takich ludzi pokonać, przekształcić, uduchowić, trzeba było ludzi jak Śty Columba, jak mnisi z Lérins, jak Śty Gall, jak później Piotr Kluniacki i Śty Bernard. Zapaliły te postacie gorącą z natury jego duszę, tak, że aż nadto może rozmiłowałwszy się w szczegółach, zbyt obszerną dał ramę swojemu dziełu, niemniej dlatego przedmowy pod względem poglądu i stylu, zestawienie faktów pod względem krytyki i nauki dały temu dziełu wartość klasyczną, a samo byłoby usprawiedliwiło powołanie go dawniej na krzesło akademii francuskiej.

Mimo tej olbrzymiej pracy, żaden fakt ważny w polityce Francji albo Europy, nie uszedł uwagi Montalemberta. Wojna włoska, a następnie sprawa o doczesne panowanie papieżstwa, wywołały ulotne pisma, w których spotykamy to samo, co zawsze przywiązanie do Kościoła, ten sam zapal i tę samą potęgę słowa. „Pius IX i lord Palmerston“, jestto najpotężniejsza filipika naszych czasów. Montalembert urodzony z matki angielskiej, złączony krwią i uczuciem ze znakomitymi ludźmi tego znakomitego kraju, odbył podróż do Anglii, której owocem broszura użyteczna dla każdego publicysty, *Affaires des Indes*. Zestawił tam w przeciwieństwie rodzimą konstytucję angielską z instytucjami, jakie panowały w Francji i z obecnym cesarstwem.

Zestawienie to, wywołało jako następstwo pociągnięcie pierwszego mowcy i publicysty Francji do odpowiedzialności sądowej. Sąd skazał pisarza, Cesarz zniósł wyrok, Montalembert nie przyjął ulaskawienia, wyrok wykonany nie został.

Takto w anormalnem położeniu społeczeństwa, anormalnie powstają objawy.

W dziesięciu ledwo latach, któreśmy dotknęli, nastąpiły po sobie: wojna krymska, traktat paryski, wojna włoska, napad zdradziecki na państwo rzymskie, oblężenie Ankony, bitwa pod Castelfidardo, która nieznaczna co do liczby i przewagi, miała niesłychaną moralną wartość, bo sumienie wiernej młodzieży dało krew w zastaw za swoje przekonanie. Kiedy to się dzieje w Europie zachodniej, na przestrzeni pomiędzy Dnieprem, Dźwiną i Odrą, gdzie panowanie Aleksandra II-go nżyło grobowego kamienia, którym był przycisnął życie Mikołaj, powstał ruch nader rozmaitemi poruszony sprężynami. Uczucie narodowe przytłumione, nigdzie nie zamarło, organizm, dawny społeczny nie był zdruzgotany, resztki dawnych instytucyj, choć czasem w innych formach, istniały. Były to albo szlacheckie zebrania z marszałkami, albo stowarzyszenia finansowe, przemysłowe lub gospodarskie. Wszędzie kielkowało życie polskie; obok tego, albo raczej pod tem, nurtowały najrozmaitsze prądy i dziś jeszcze nie łatwe do określenia. Ponad Dnieprem, jakieś rusko-socjalistyczne roboty, które przesyłały swoje odnogi i odpyły aż ku Warszawie, a miały stosunki z Petersburgiem i Wilnem. Nad Wisłą nieustający spisek, będący w związku z Francją. Jak każdy spisek, różnorodnym ulegał wpływom, to ogólnorewolucyjno-europejskim, to poszczególnie krzewionym przez partję Mierosławskiego. To jest właśnie najniebezpieczniejsze we wszelkich podziemnych robotach, że dopatrzeć się nie można sprężyny, która istotnie działa, to też tłómaczy, czemu, kiedy się rzecz nie powiodła, nikt do początkowania przyznać się nie chce.

Czytając niektóre nowe o tych czasach dzieła, zdawałoby się mogło, że nie było winnego. Bo któż chciał powstania? nikt go zapewne nie chciał. Prowadziły się w Paryżu niebezpieczne roboty, dowodem sprawa w 1860 r. Ćwierciakiewicza. Sprawa ta podobno tak dalece była rozgałęzioną i tak wysoko sięgała, że wskutek wyższych rozkazów przytłumioną

i dochodzoną nie była. Tak się kombinowały razem w kraju nadzieje i pragnienia, obudzone w sercach ludzi myślących, przez wolniejsze oddychanie w domu, a podniesiony za granicą przez Napoleona sztandar i teorię narodowości. Kombinowały się, mówię, ze spiskiem rewolucyjnym nad Wisłą, a rusko-socyalistycznym nad Dnieprem. Spisek w Warszawie, gdzie duch rewolucyjny potęgowany był duchem patryotycznym, szalone przybrał rozmiary, a zapuścił korzenie głównie w średnie społeczeństwa warstwy. Frasowano się daleko mniej o udział wyższych. w przekonaniu, a jak się pokazało, trafnem, że zkańkolwiek wyjdzie hasło, pójdą zawsze za sztandarem narodowym. Naczelnicy spisku roku ówczesnego nie byli to ludzie pospolici. Moralnie nigdy ich dosyć potępić nie można, ale zdolności ich ocenić należy. Zrozumieli, że chcąc posługiwać się opinią całego kraju, należało wpoić w nią posłuch. zrobić giętką na każde skinienie; do tego posłużyła żałoba i różne podówczas nakazywane ćwiczenia. Śmierć poległych kilku ofiar w dniu 25-tym lutego była powodem do manifestacyj narodowych, które miały spowodzić straszną katastrofę: były one oceniane co do wartości i skutków przez zdrową część narodu, ale w tej części nie było już dość siły, aby je powstrzymać.

Żałoba kraju całego widziana zdala, robiła wielkie wrażenie, bo zaprawdę, trudno pomyśleć coś poważniejszego jak naród, któryby w poczuciu własnej godności przybrał dobrowolnie żałobę. Montalembert zawsze Polską zajęty, chciał ją w tej uroczystej chwili zobaczyć z bliska, i to spowodowało przyjazd do Krakowa, od którego zacząłem to opowiadanie. Zaboru rosyjskiego widzieć nie mógł, ale poznał całą Polskę, jak mówi pan Wincenty „od Beskidów do Pomorza“. Tu zajęło go wszystko: lud, architektura, muzyka, sztuka, a głównie stan polityczny kraju. Taka jest zawsze solidarność u nas, i słusznie, co do krajowej sprawy, że starano się, aby słabych stron nie dopatrzeć. Skutkiem tej podróży była książka: *Une nation en deuil*, która w całej rozszerzana Eu-

ropie, bardziej jak cokolwiek obudziła interes do Polskiej sprawy.

Niedługo potem wybuchły wypadki roku 1863. Anioł śmierci, którego upatrzył w Białowiejskiej puszczy Grottger, przechadzał się groźny po jarach Podola, równinach Wołynia, lasach Królestwa i Litwy. Nikomu nie dał się i wówczas wyprzedzić Montalembert. Wprzód, niż słabe noty dyplomatyczne w kwietniu sprawę tę postawiły jako europejską, z zapalem młodości swojej wystąpił po raz ostatni w obronie praw Polski, wskazując zarazem, że na tej drodze jedynie polityka cesarska we Francyi może się podnieść, uszlachetnić, ustalić, zapuścić korzenie. Mówił wtenczas Montalembert do przyjaciela¹⁾, patrząc na Cesarza w łoży opery włoskiej: „Dziś ten człowiek wszystko może, Oh! gdyby go natchnął duch własnej konserwacyi. Obierając sprawę Polski jako punkt Archimedes, światby poruszył“. Ze tego Cesarz nie zrobił, wiadomo, widoczne też i skutki. Jakiegokolwiek o stosowności albo niestosowności powstania mógł kto mieć wyobrażenie, to pewna, że na początku wiosny, czynne wdanie się państw zachodnich zmieniło postać rzeczy.

Przeboleł wspólnie z nami Montalembert i pogrom sprawy polskiej i następstwa, której najdziksza wyobraźnia przewidzieć nie mogła. Równocześnie, córka ulubiona obrała żywot zakonny; gwałtowne wzruszenia oddziały na silny organizm, popadł w ciężką niemoc, która na lat kilka przykuła go do łóżka. Na tem łożu boleści nie opuściła dzielnego chrześcijanina rezygnacya, odwaga i praca. Dyktował i czytał więcej niż kiedykolwiek, w tym pokoju, w którym nagromadzone były i szyby, i drogie malowidła, i cenne marmury, otoczony książkami, na prawo, na lewo, na półkach, na stole; czytał wszystko co tylko wyszło, wiedział wszystko co się działo i dziwił czasem cudzoziemców drobiazgową znajomością stosunków ich krajowych. Jeżeli przekształcenie konstytucyi francuskiej, które na drodze ewolucyjnej a nie rewolucyjnej

1) W marcu 1863 roku.

w naszych odbywa się oczach, ma wyjść na dobro temu narodowi, czego spodziewać się należy, to przed śmiercią miał Montalembert pociechę, że widział wschodzący posiew ziarna, które posiał. Ministeryum Olivier jest spadkobiercą działania Montalemberta, pp. Falloux, Kellera i t. d.

Napomknąłem wyżej, jaki powstał był rozdział w katolickiem stronnictwie we Francyi. Rozdział ten na pozór hałaśliwy, w istocie o żadną ważną nie zaczepia zasadę.

Od 19-stu wieków są w Kościele prawdy uznane jako absolutne, dogmatyczne, i dowolne opinie. Ztąd powiedziano: *in necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas*. Na nieszczęście tej ostatniej brakło; ztąd walka niełatwa do zrozumienia u nas, dlatego szczegóły jej pomijam. Walka ta w miarę zbliżającego się Soboru, przybierała coraz jaskrawsze barwy, z wielką ale przedwczesną uciechą nieprzyjaciół Kościoła. Rozpraw naszych domowych nie rozumieją, i nie wiedzą, że tak się zawsze wyrabiały, przygotowywały orzeczenia uroczyste.

Jestto niepożyta i własnością wyłączną Kościoła katolickiego, że walka i rozbrat trwają tylko dopóty, dopóki ostateczne orzeczenie z natchnienia Ducha Śgo nie nastąpi; wówczas każdy wierny swojego pojedynczego odstępkuje przekonania, a z wiarą, miłością i spokojem poddaje się ogólnemu. Da Bóg, tak będzie i dzisiaj ¹⁾, a zdziwi się świat zgodzie, jaka nastąpi: *Justitia et pax osculatae sunt*. Zwolennicy nieomylności dogmatycznej Papieża, równie chętnie jak przeciwnicy, z zapalem przyjmą dekret, natychmiast po dogmatycznym orzeczeniu. Póki ono nie nastąpiło, wolno co do tego mieć osobiste przekonanie. Montalembert od najmłodszych lat ultramontanin podług ówczesnych wyobrażeń, wielki miłośnik wolności, nie potrafił się zgodzić, jak to uważałem wyżej, z tymi, co pojmując tylko Kościół w połączeniu z państwem, ani obecnego ustroju społeczeństwa, ani początkowania władzy uznać

¹⁾ Te słowa pisane były podczas Soboru Watykańskiego i dyskusyi o nieomylności Papieża.

nie chcą. Nieporozumienie spoczywa tutaj na błędnych pojęciach o wolności i liberalizmie. Rozwikłać tych pojęć tutaj nie myślę, mówiąc o człowieku, a nie badając zasad; dosyć, że ta walka prowadzona z namiętnością, a nie zawsze szlachetną bronią, zatrzała, można powiedzieć, ostatnie chwile najwaleczniejszego z obrońców Kościoła, wielkiego mowcy, patrioty, miłośnika prawdy i sprawiedliwości. W ostatniemi piśmnie, które przed śmiercią z łoża boleści puścił na świat, wymknęło się jedno słowo, do którego Montalembert zdrowy i w pełni swych władz pewnoby się nie przyznał. Czy słowo miałoby co ważyć obok wyznania i zasług życia całego? He-tmanie i wodzu tego zastępu, który we Francyi wywalczył wolność nauczania, który bronił wolności Kościoła w Szwecyi i Szwajcaryi, który popchnął legiony francuskie w obronie Ojca Śgo, kto Cię zastąpi?...

Kiedy może dzień po dzień, lat temu trzy, w tym samym pokoju, o którym mówiłem, siedząc na łóżku chorego po raz ostatni podałem rękę Władysławowi Zamoyskiemu, nie wiedziałem, że obudwóch więcej nie zobaczę. Piękne to były dwie dusze; jak zaś Montalembert rozumiał p. Władysława, dowodem żywot, który napisał. Wkrótce potem wszystkie swoje zbiory rysunków, sztychów itd., a było ich wiele i pięknych, darował Bibliotece Polskiej.

Tak ze sprawą naszą połączył początek i koniec zawodu swojego.

LUDWIK VEUILLOT¹⁾.

† 7-go lutego 1883 r.

Mając mówić o świeżo zmarłym Ludwiku Veillot, muszę wziąć rzecz trochę zdala. Czy to będzie bardzo zajmujące, a nawet zupełnie zrozumiałe dla obecnego pokolenia — nie wiem, ale człowieka można tylko ocenić w sferze, która go otaczała, a w związku z ludźmi, którzy go poprzedzili.

Po rewolucyi francuskiej i wielkich Napoleońskich wojnach nastął czas pokoju na zewnątrz, a wewnątrz, politycznej i duchowej walki. Rewolucya, pobita na zewnątrz, żyła w nauce, w opinii i w spisku, żyła zaś tem mocniej, że jeżeli była z gruntu fałszywa co do zasad, usprawiedliwiała ją nadużycia przeszłych rządów i konieczny a słuszny postęp w ustroju społeczeństwa.

Do tej walki stanął Kościół, który reprezentuje zarazem hierarchię i ciągłe przekształcanie się i doskonalenie stosunków ludzkości. Stanęli także ludzie genialni, którzy rozumiejąc dobrze, jaka przepaść dzieli rewolucyjny atomizm i chrześcijański organizm, zaatakowali rewolucyę w zarodzie, a w miejsce sztucznego ustroju, wymarzonego *a priori*, wskazali naturalne, bo zgodne z naturą człowieka podstawy społeczeństwa, warunki jego organizacyi i rozwoju, tak jak się objawił w historii, i jak się wykształcał pod wpływem chrześcijańskiej nauki. Burke a nawet Fergusson w Anglii, Donoso Cortes w Hiszpanii, Haller, F. Schlegel, Genz, Görres w Niemczech, De Maistre, Bonald, Lamennais we Francyi, nie przestając, zwłaszcza trzej ostatni, na potępieniu błędów,

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1883 r.

wskazywali warunki stanu politycznego, który poręcza dwa największe dla ludzkości skarby: wolność i porządek; i gdyby prawda, głoszona z największym talentem, zapalem i poświęceniem, mogła zwyciężyć namiętności ślepe, pod kierunkiem umiętnętego spisku, to zamiast posuwać się bezwiednie ku nieznaney a trwożącej przyszłości, Europa obok rozkwitu przemysłu, bogactwa i nauk przyrodzonych, cieszyłaby się moralnym spokojem w równowadze sił społecznych.

Już temu dobrze pół wieku z górą, a serce bije gwałtownie na wspomnienie tych walk, a czasem tryumfów, na wspomnienie tych późnych, jesiennych wieczorów¹⁾, kiedy w gronie równocząjących a najzdolniejszych ludzi, siedząc w około wielkiego komina, prowadziliśmy rozmowę podniosłą, jak Danta poezya; dochodził czasem huk fali, roztrącającej się o starej Armoryki skały, mniej jednak poważnej, niż głos mistrza, który choć z największą prostotą, nawet wesołością przemawiał, magnetycznie działał na słuchaczy, albo uczniów.

Właśnie powracałem z Anglii, gdzie gościnnie przyjmowany w domu posła francuskiego ks. Juliusza Polignac, uważałem był ciekawe wypytywania o usposobienie młodzieży we Francyi.

Niebawem przyszła wiadomość o zmianie ministeryum, a niemal równocześnie list od najzdolniejszego z powołanych hr. Labourdomais z prośbą, aby X. Lamennais nowy rząd popierał. Na to odezwał się do nas: „Powołano człowieka uczciwego bez zdolności i znajomości kraju. Jeżeli podkopaną monarchię można jeszcze ratować, to należało natychmiast zawiesić konstytucyę, uwięzić naczelników spisku, i rządzić jakiś czas samowładnie. Oni to zrobią za parę miesięcy, ale będzie zapóźno.

Wiadomo z historyi, jak trafne było przewidzenie genialnego pisarza; wiadomo także, jakie zajął stanowisko w publicystyce po rewolucyi lipcowej wraz z Lacordaire'm

¹⁾ W La Chennaie, u ks. Lamennais'go.

i Montalemberte'm. Nie należy tutaj do rzeczy, choć dla wielu byłoby ciekawem, badać, czy opinie wówczas popierane przez Lamennais'go, były tak niebezpieczne, że wymagały potępienia, czy też były przedwczesne — dość, że uwiedziony pychą, nie tylko poddać się nie chciał, ale zaprzeczając całej swej przeszłości, wydał wojnę Kościołowi.

Kiedy w ekonomii świata niebieskiego gwiazda ginie, choćby naświetniejsza, zgoła to porządku nie zmienia. Tak w Kościele. Upada Tertulian, upada Orygenes, upada Lamennais — Kościół płacze, ale idzie dalej. Niepoprawny w błędzie, opuszczony przez najserdeczniejszych zostaje sam: *Vae soli!*

Tak się stało; znakomici uczniowie Lamennais'go co ucierpieli. Bogu tylko wiadomo: ani jeden przy nim nie został, ale to co było potężnego w jego natchnieniu, a prawdziwego w jego kierunku, pochwycili — i dalej naprzód.

Rewolucya lipcowa, jak każda kierowana przez spisek, była Kościołowi katolickiemu przeciwna; wszakże ludność nie była do tyła pogańsko przygotowaną, aby mu wprost zaprzeczać uprawnienia i chociaż religia katolicka przestała być religią państwową, została urzędownie religią większej części Francuzów. Obok podejrzliwości, jaka dziś panuje względem władzy, mniemanie, że rząd opiekuje się Kościołem odejmuje mu wiele uroku.

Restauracya związana całą przeszłością z Kościołem, mało jednak udzielała mu protekcyi, czego dowodem sławne dekreta październikowe, które zachwiały Jezuickie kolegia. Tak było; ale cóż ztąd, kiedy drażniono opinię widmem nietolerancyi, faworów dla Kościoła i t. p.

Rządu Ludwika Filipa nikt o klerykalizm nie podejrzewał. Przewrót ogłuszył trochę duchowieństwo a zwłaszcza starszych jego członków, którzy w utartej frazeologii pojmovali tylko łącznie *et le trone et l'autel*; ale konstytucya obejmowała kilka zasad, które należycie wyzyskane, mogły Kościołowi zapewnić działanie tem skuteczniejsze, że z aureolą prześladowania. Kościół nie potrzebuje protekcyi rządu, bo

to tylko szkodzi czysto moralnemu jego wpływowi, potrzebuje wolności i ma do niej prawo, a jednak jego nieprzyjaciel, spisek anti-kościelny, który przez lata głosił tolerancję dla Kościoła katolickiego, ani tolerancji, ani wolności nie dopuszcza i wymyślił sobie dogodną teorię państwową, opartą na najwyższem niby kryterjum, wszechwładztwie ludu, aby siłą materyalnego przymusu zgniebić prawdę duchowną, której na drodze polemiki zwyciężyć nie potrafił.

To jest początek różnych praw wyjątkowych, których ostatnim wyrazem jest Kulturkampf pruski. Po roku 1830, zwłaszcza po śmierci Kazimierza Perier, dwa prądy równoważyły się aż do lutowego powstania: Thiers'a, którego wielki zmysł polityczny modyfikował rewolucyjne przekonania, i Guizot'a, który, chociaż protestant, na dogmatycznej stojąc podstawie, silną miarkował ręką zapędy przewrotu, a przez nominacje znakomitych biskupów, Kościołowi oddał usługi. Katolicy liczni, zdolni, jednozgodni, mimo litery konstytucji pozbawieni swobód, wnet rozpoczęli walkę.

Dziennik *Avenir*, założony przez X. Lamennais'go i jego natchniony duchem, gwałtownie i wymownie stając na gruncie bezwzględnej wolności, z ludowych niby praw wysnutej, rozpoczął walkę, zrzekając się wszelkiego stosunku Kościoła z państwem. Kiedy wraz z swym założycielem popadł w błąd, jak popadnie każdy, kto nawet w sprawie najlepszej osobę swoją i namiętność stawia ponad powagę prawdy, — kiedy ten człowiek odpadł od Kościoła, zapal w jego obronie nie ostygął. Gałęz jedna, choć najrodniejsza, uschła, — ale inne, młodsze, puściły zaraz kwiaty i owoce.

Arcybiskup Quelen powrócił nie już do swego zburzonego przez pospólstwo pałacu, ale na swoją stolicę; Lacordaire zaczął uczyć i kazać; Montalembert zbyt młody, aby jako par mógł w Izbie wyższej zasiadać, stanął jednak przed jej trybunałem pod zarzutem założenia wolnej, nieprawej szkoły. Sławna, w dwudziestym trzecim roku życia powiedzianą mową rozpoczął ten zawód mowcy, który do najwyższego doszedł zenitu w sprawie rzezi galicyjskiej. Tak walka

między Kościołem a państwem rozpoczęła się na polu wolności, i jak wiadomo, nie ustała, aż póki swoboda nauczania konstytucyjnie zapewniona nie została. Nie w prawno-politycznych rozprawach tylko, ale na polu filozofii, literatury, publicystyki, główne odgrywali rolę Lacordaire, Montalembert, Ozaman, Casalés, Carnet, Falloux. Odżyło tygodniowe pismo *Correspondant* a Emmanuel Bailly, jeden z tych ludzi, którzy ukrywając się w cieniu, umieją kierować stronnictwami, założył dziennik *Univers*.

O Ludwiku Veillot nie było słyhać; młodszy od wymienionych, błąkał się po bezdrożach powieściowej literatury, na której sił swych próbował. Znałem go dobrze, a nie przyszło mi nigdy spytać się, co spowodowało zwrot jego do prawdy i Kościoła? Zwrot nastąpił z całym popędem miłości, a gwałtownością jego charakteru. Syn, zdaje mi się, młynarza wiejskiego, a jak lubił powtarzać, pochodząc z rodu Gallów, których krew na wsiach się przechowała, obok wykwintnego poloru z czasem nabytego, zachował twardość, nieugiętość i szorstkość ludową. Taki charakter, z poczuciem takiej wewnętrznej siły, nie mógł, raz uznawszy i ukochawszy prawdę, zostać bezczynnym. Wszedł do dziennika *Univers*. Ale ludzie tego usposobienia nie mogą zostać drudorzędnymi; muszą panować, gdzie staną; wkrótce też wskutek kombinacji z Emanuelem Bailly, został głównym redaktorem, nawet właścicielem dziennika. Został tu znakomitego teologa Melchiora du Lac, ekonomistę Coquille, a przeważał wpływ Montalemberta.

Veillot jednych, jako bezwzględnie sobie oddanych, zatrzymał; innych, szanując wpływ, ograniczał coraz bardziej, z osobistą występował teorią. Veillot nie przechodził szkoły Lamennais'go, jak jego koledzy. Niemal genialnym poglądem odgadywał prawdy, ale nie odbył nigdy głębokich, historycznych i filozoficznych studyów. Uznawszy, że wszystko spoczywa w Kościele i społeczeństwie na powadze władzy i jedności, nie przypuszczając, aby wolno było katolikowi bratać się z jakimkolwiek bądź pierwiastkiem lub instytucją, które

choćby chronologicznie tylko odnosiły się do naszego wieku albo błędnej jego politycznej teorii, potępiał tych szermierzy Kościoła, którzy nie tylko bronili go na podstawie praw konstytucyjnych, ale uznawali, że niektóre z tych praw, choć stosowane od daty wielkiej rewolucyi, były wypływem rozwijającego się i wnikającego w stosunki społeczne chrześcijaństwa. Ponieważ ludzie ci wiele o wolności mówili i bronili jej na każdym polu, nazywał ich katolikami liberalnymi, jakby w przeciwieństwie do prawowiernych. Niestychany talent, którym rozporządzał, siła niezwykła pracy, zapał zbyt może osobisty, ale płynący z najszczerzego przekonania, dały mu odrazu stanowisko wybitne, a jak zwykle bywa z ludźmi, którzy do ostateczności konsekwencye i zasady posuwają, pomiędzy gorliwymi katolikami, wpływowy. Spotkał się tutaj z dawniejszymi na tem polu, jak: Lacordaire, Montalembert, Dupanloup i t. d., którzy, jeżeli nie kompromis ze szkołą konstytucyjną, to jej język przyjęli, a od lat kilkunastu sztandar Kościoła nieśli. Charaktery, jak zwykle wielką odegrały tu rolę; Veillot nie znosił ani kompromisów, ani przeciwieństwa; Montalembert co do formy łagodniejszy, również absolutny. Rozpocząć się musiała bratobójcza walka.

Starsi i na tym gruncie dawniejsi przychodzili z zasługą dokonanych czynów; Lacordaire sławnymi konferencyami sprowadził na grunt Kościoła młodzież, uczonych, prawników; Montalembert, Falloux, Dupanloup nie tylko na każdym kroku bronili swobód Kościoła, popularyzowali wiarę w politycznych kołach, ale odzyskali prawnie wolność nauczania. Biskupi, świątobliwością i nauką znakomici, to w pismach, to w listach pasterskich budzili gorliwość wiernych, i kiedy przyszedł rok 1848, a z nim też Rzeczpospolita, takie było usposobienie umysłów, że rząd republikański musiał pójść na odsiecz Ojcu św., schronionemu do Gaety. Istotnie było coś opatrzonego w tym pochodzie polityki i ludności, która za ledwie ociekła ze krwi na barykadach wylanej; wysyłała dzieci swoje, aby przywrócić władzę papieżką, ową zaworę chrześcijańskiego świata. Ludzie, którzy doprowadzili społeczeństwo

do tego stanu, którzy na drodze parlamentarnych swobód doszli do tych rezultatów, mogli mieć nieco ufności w siebie. Waleząc przez lat ośmnaście, walezyli i mogli tylko walezyć w imię wolności. Wyraz ten nieokreślony był na wszystkich ustach, pod jego jedynie hasłem, które na instytucjach było wypisane, można było otrzymać to, co otrzymano. Cóż więc dziwnego, że formy parlamentarne, tak ponętne dla talentu, były inn drogic, i że rozumieli, iż wystarczą, aby reszty praw się dobić. Zbłądzili, że do Rzeczypospolitej szczerem nie przystąpili sercem.

W długim piśmie przedstawiałem wtedy moim przyjaciółom, jak należało w dobrej wierze przyjąć tę formę rządu, posługując się żywiołami organicznymi, które posiadała Francya w ustroju Kościoła, sądownictwa, Radach departamentowych, t. z. *conseils de prud'hommes*, i karnej armii. Zanim uprzedzenia ostygnąć mogły, człowiek, który nie chciał czekać, przyszedł do władzy i pogodził wnet zwaśnionych, to więzieniem, to grozą. Tutaj i Veillot i Montalembert, chociaż już w poczuciu niewątpliwego antagonizmu, złamani przez tyle zawodów, jeden i tenże sam błąd popełnili: rozumieli, że regiment imperyalizmu sam jeden powstrzyma rozłukane fale, a jak za Napoleona I. wprowadzi duchowy, choćby tylko zewnętrzny porządek. Montalembert zmiarkował się prędzej, stanął do rządu szorcem, na proces się wystawił; Napoleonowi III. wydał wojnę. Veillot, którego absolutna konsekwencya, parlamentaryzm francuski na teoryi wszechwładztwa ludowego oparty, potępiała, który nie wychował się w pośród okrzyków, że na drodze wolności wszystkich praw dobić się można, popierał dłużej cesarstwo w nadziei, że obok wewnętrznego spokoju, da Kościołowi stanowisko, jakie mu należy, a głosił w gruncie prawdziwą, ale dla opinii ówczesnej niezrozumiałą teoryę: że nie forma rządu zapewnia swobodę, ale uszanowanie prawa Boskiego, tak, jak je Kościół objawia i stosuje.

Z tego to sprzecznego zapatrywania wypłynął rozdział, pomiędzy tak zwanymi ultramontanami i katolikami, jak ich

przewano, liberalnymi, piętnując ostatniem mianem tych, którzy, choć nie twierdzili, aby zasady 1789 r. były prawdziwe, sądzili, że niektóre zmiany wprowadzone w ustrój społeczny i prawo polityczne, były wnikaniem wolnem chrześcijaństwa w stosunki społeczne. — Kiedy Veillot popierał, choć z zastrzeżeniami, cesarstwo, Montalembert zarzucał mu serwilizm i zaparcie przeszłości. Veillot serwilistą nie był, jak się to wnet pokazało: był to charakter czysty, podniosły, pełen entuzjazmu, ale złał przekonania tak ściśle ze swoją osobą, że bronił ich z całą bezwzględnością egoizmu. Jako Polak, zawdzięczał mu 40letnią dla naszej sprawy wierność i gorącą miłość. I on i dziennik jego, w każdej sprawie obchodzącej Polskę, zabierał głos gorliwie, jak żaden drugi we Francyi: sądził i radził, kiedy była potrzeba, a w nieszczęściu potęgował przywiązanie aż do braterskiej wspólności. Mimo to najpoważniejszy dziennik Galicyi umiał tyle tylko o nim powiedzieć, że był klerykałem.

Już był wyłącznym właścicielem dziennika *Univers*, który właśnie dla swej skrajności zdobywał luźne stronnictwa. Niepomny wielkich słów: *in necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas*, wydał wojnę metylko nieprzyjaciółom Kościoła, ale i jego obrońcom, a dawnym przyjacielom. Podziwienia jest godna, szalona tego człowieka praca, gotowość do zaczepki i obrony. Kiedy srogo chłostał swoich, żadnego błędu, żadnej zaczepki rewolucyi nie zostawił bez odpowiedzi. Sławnego redaktora *Revue des deux mondes* Buloz'a zmusił do odwrotu, a kogo dosięgnął potężnym obuchem, ten długo siniec nosił. Kiedy się przebiega te setki artykułów, często codziennych, zawsze ożywionych, czasem grubym dowcipem, ale pełnym werwy i tego francuskiego stylu, którego tradycya z nim zaginęła, to pojąć trudno, jak siły i nerwy tego człowieka na to starczyły. Budowa krępa, głowa na krótkim karku, duża, cera śniada, twarz pospolita, ale kiedy dwoje oczów jak węgiel się rozżarzyło, natchnienie wyższe zabłyśło, cały wyraz zeszlachetnionej postaci piękniał, a nawet dziwny wywierał urok.

Nie umiałem nigdy zaślepić się dla przyjaciół; pokazałem a pokażę dalej, że trzeźwo na Venillota patrzę, ale musiałbym być człowiekiem bez przekonań, bez tej wiary silnej w prawdę objawioną, która całe utrzymywała mnie życie, aby nie mówić z wdzięcznością i podziwem o szermierzu, który choćby zasłużył na naganę, to nie znał trwogi, stał zaś zawsze na wyłomie, sam jeden odpierał cisnące się nawały; a kiedy przyszło mu w chwili stanowej stawić rządowi cesarskiemu czoło, poświęcił materialne korzyści, dał sobie zamknąć dziennik, ale nie dał się zmusić do zamilczenia prawdy.

Wiadomo było, że los dziennika, a zatem los licznej niezamożnego człowieka rodziny, zależał od sądu, który w artykule wstępnym, już nie pamiętam którego dnia, miał być wydany, o polityce cesarza we Włoszech; groźba urzędowo była zapowiedziana. Artykuł wyszedł: — tego dnia *Univers* zawieszono. Tak odpowiedział na zarzuty serwilizmu. Niezawisły od władzy, nie był wolnym od własnych, choć najszlachetniejszych namiętności.

Mimo ścisłego dogmatyzmu katolickiego, Kościół zostawia wielką swobodę w politycznej i filozoficznej sferze, bo tylko *in necessariis unitas*. Wiadomo też, jak zacięte w wiekach średnich bywały walki pomiędzy szkołami a klasztorami. Antagonizm, który za Restauracyi panował pomiędzy Ultramontanami a Gallikanami, uciekł za rządów Ludwika Filipa. Katolicy w jednym obozie łącznymi siłami, oparciu na konstytucyjnych swobodach, wywalczyli sobie stanowisko w prawie publicznem i w opinii. Jest to właściwością umysłu ludzkiego, że to, co było środkiem, z czasem staje się celem. Ustawne odwoływanie się do wolności, do konstytucyi, do zasad r. 1789, doprowadziło publicystów katolickich do umiławania wolności (choć nie dawali jej definicyi), do obrony form parlamentarnych, do uznania, że i w zasadach 1789 r., obok głównego fałszu, było w części zastosowanie nauki chrześcijańskiej do stosunków ludzkich. Nie tu miejsce,

aby rozbierać, o ile mieli słuszność, to pewna, że nie było tutaj dogmatycznego błędu, a była taktyczna zręczność.

Veuillot niepomny, że stronnictwa przygarniać, ale nie dzielić i izolować powinny, że na gruncie katolickim stoi, ktokolwiek wierzy w Boga w Trójcy św. jedyne i uznaje władzę Kościoła, chociażby był republikaninem, albo zaciekleym parlamentarystą, — z zapałem nowonawróconego z wyłączością swego unyślu, a gwałtownością charakteru wystąpił przeciwko kilkunastoletnim szermierzom, a niedawnym przyjaciom. I rozpoczęła się nierozumna i bratobójcza walka, która wpłynęła więcej aniżeli rozumieją na przyszłe losy Francji. Katolicyzm jest tylko jeden, piętnowanie się nawzajem, to jako liberalni, to jako służebni, osłabiało stronnictwo a podawało w wątpliwość prawdę zasad. Opinia, jak zwykle w ludzkości, najbardziej skrajna, miała najwięcej zwolenników, zwłaszcza, że dogadzała polityce legitymistów; zyskał Veuillot abonentów wielką liczbę, a uwiedziony powodzeniem, może nawet potęgą własnego talentu, gromił nie tylko już świeckich, ale i duchownych nawet pasterzy! Spotkał się z władzą biskupiej kaźnią. Wpływ Stolicy Apostolskiej załagał nieraz sprawę, ale kwas zostawał, rozdwojenie rosło a więc osłabienie wznagało się, a tymczasem duch niewiary pod dobrobytu materialnego wpływem potężniał, objawiając się na zewnątrz opuszczeniem Papiestwa, wewnątrz, obniżeniem poziomu moralnego warstw kierujących.

Jest to jedna z najwyższych prawd politycznych choć dziś zupełnie zapoznana, że żaden rząd nie może robić wszystkiego i że w społeczeństwie dobrze urządzonym muszą być pośrednie ogniwa i koła, które odpowiedzialność rozkładają, a równoważą siłę, i to jest wolności warunkiem i rękojmią. Ile razy i gdziekolwiek streszcza się władza bezpośrednio w jednym ręku, następuje despotyzm, a po nim zepsucie. Tak było pod rzymskim, a *mutatis mutandis* nie inaczej pod francuskim imperyalizmem, który równie fałszywy, bo spoczywający na wszechwładztwie ludu, stłumił żywioły, które parlamentaryzm opromieniał. Znam ja dokładnie par-

lamentaryzmu kontynentalnego słabą stroną, ale w epokach przekształceń pozbywać go się nie należy i nie przystało potępiać, a w każdym razie tych, którzy go tak świetnie użyli.

Długo rozwodzę się w tej sprawie, bo podobne błędy powtarzać się mogą. Wszak i nas dzielono na ultramontanów i liberałów, jakby ultramontanizm miał znaczenie, gdzie nie było Gallikanów. Liberalizm tak jak pojmowany i praktykowany w parlamencie niemieckim, albo przez wiedeńską lewicę, dziś odsonił, czem jest: pogwałceniem wolności sumienia, wolności obrządku, wolności Kościoła w usługach wolno-mularstwa.

Już lat temu przeszło dwadzieścia, kiedy jeszcze brzmiały toleranckie teorie, szerszy Edgard Quinet mówił z powodu wydania dzieł Marnixa de St. Aldegonde, „że zamiast walczyć z Kościołem, należało przedewszystkiem zrobić wykonanie tego zabobonu materialnie i absolutnie niemożliwym“ (*ipsissima verba*). Wiedzieli to dobrze zapewne i Montalembert i Falloux i biskup orleański, ale polityką ich było przypuszczać dobrą liberalizmu wiarę, i za pośrednictwem instytucyj zdobywać co się da, wierząc w grę skuteczną wymowy, opartej na publicznem prawie.

Wykazywać choćby trafnie niekonsekwencyę, do tego wątpliwą, przyjaciół, pędzić ich albo gwałtem zaliczać do obcego obozu, może tylko zaślepienie pychy albo osobista niechęć.

Veuillot wyższym był nad ostatnią, ale wyrządził Kościołowi we Francyi szkodę wielką. Siły zużytkowały się nie z przeciwnikiem, który ręce zacierał, ale ze swoimi; a gdyby czynność umysłowa jednych i drugich była się zwróciła przeciw trzeciemu, z pewnością stanowisko katolików innem byłoby we Francyi.

Przygotowania i zebranie soboru Watykańskiego spór zaogniły, kiedy wyprzedzając orzeczenie, Veuillot potępiał zdania, podnoszone to przeciw treści, to przeciw oportuni-zmowi wyroku, a zdania były wyrzeczone przez ludzi, jak: Dupanloup, Kettler i t. p. Nie mało ludzi padło ofiarą tego

sporu; nie przeżył go Montalembert, o mało przeżył Gratry, a Veillot w zapale swoim przepomniał, że właśnie opozycya była zasługą, bo utwierdzała swobodę obrad, która najwyższą dała dekretowi sankeyę.

Równocześnie prawie zamykały się bramy Watykanu, kiedy zabrzmiały pod Paryżem i Rzymem działa. Co się musiało dzieć w duszy człowieka, który kochał nadewszystko Kościół i Francję! Co się działo, wiemy; bo zarówno nam droga wolność Głowy Kościoła, a choć obcy, cierpimy nad upadkiem Francyi, o której pięknie już na łożu boleści mówił Adam Potocki: „Zimno na świecie bez Francyi“.

Katolicy francusey, jak dawniej żuawi papieżey, ludzie pierwszych rodzin i majątków, bronili i krwią zbroczyli ojczystą ziemię. Veillot, dochodzący lat sześćdziesięciu, wziął karabin i na fortach Paryża zatwierdził prawdę: że kto najbardziej kocha Pana Boga, ten najlepiej umie kochać Ojczyznę. Już to był koniec jego żywota, bo życie to czyn, a zwolna słabły nerwy, których w walce nadużywał. Nadużywał, prawda; stronnym dla niego nie byłem, bo dla nikogo być nie umiem; ale ktokolwiek choćby przerzucił tylko ogrom różnorodnych artykułów, pism polemicznych, broszur w najrozmaitszych przedmiotach, a zawsze w jednym celu; kto przeczyta najgłówniejsze dzieło: „Życie Jezusa Chrystusa“, kto oceni bezinteresowność i odwagę — ten przyzna, że w naszych czasach Kościół nie miał dzielniejszego szermierza, a ludzkość wzmożlejszego przykładu.

Kiedy lat temu dwadzieścia, pięknym majowym wieczorem, zwolna ciągnęły nas dwa rzymskie kare konie pod Monte Mario, do tej perły Rafaelowskiej architektury, którą zwano Villa Madama, a rozmowa, natehniona miejscem i nastrojem, płynęła z urokiem, który tak pięknie wspomina w przedmowie do książki *Parfums de Rome*, nie myślałem, aby mnie dużo starszemu przyszło pisać po jego śmierci. Nieraz wiodłem z nim zacięte spory; dziś, Bogu dziękuję, że zaczął tę dłoń ścisnąć po przyjacielsku mogłem.

LUDWIKA OSSOLIŃSKA¹⁾.

† 11-go lutego 1851 r.

Na dniu 11-go b. m. umarła w mieście naszym Ludwika hrabianka Ossolińska. Zdziwi może niejednego czytelnika, iż o osobie zgoła mu za życia nieznaney, wspominamy po jej zejściu, bo zacna ta, wierna powołaniu kobiety pani, póki żyła, w utajeniu, chowała jak osobę swoją, tak i niepospolite zdolności i wykształcenie, wonią cnót jedynie, powabem pożycia jak kwiat skromny, zdradzała się poniekąd w bliższych krewnych i przyjaciół kole.

Znakomite rodziny są własnością narodu; czem byłby naród bez wielkich ludzi? rodziny przechowują ich pamięć a często i cnoty. Tak było w zacnym Toporeczyków domu, i kiedy przed 5-ciu wiekami siadało ich 77 na koń w potrzebie kraju, Maksymilian Ossoliński, nad grobem Ojczyzny, z nieporównaną onej miłością pisał drżącą ręką nieśmiertelne

¹⁾ Hrabianka Ludwika Ossolińska, córka Jana, a bliska krewna założyciela biblioteki Ossolińskich, spędziła znaczną część życia w Krakowie, a należała do tego grona niewiast rozumnych i zacnych, od których poczęło się, w wyższych przynajmniej sferach, chrześcijańskie odrodzenie naszego społeczeństwa, że tu zacytujemy Julię z O'Donnellów Wąsowiczową, Gabryelę Tarnowską, Cecylię Ożarowską, Maryę Stadnicką, Zofię Popielową. Drobną, ułomną i słabowitą, Ludwika Ossolińska, cnotą, dowcipem i wykształceniem, jednała sobie przyjaciół, a piórem zapełniała wolne od cierpienia chwile: gdy przyjaciółka jej P. Jaraczewska, pierwsza na tory naturalniejsze wprowadziła powieść obyczajową, ona w skromniejszym zakresie, pisywała powiastki dla dzieci i próbowała sił w literaturze ludowej, której to próbom talentu odmówić nie można.

swe dzieło i najświetniejszy pomnik dla jej przyszłości wystawił.

Synowica Maksymiliana Ossolińskiego nie odziedziczyła po nim majątku, kraj go odziedziczył, ale wzięła w spuściźnie niezmierną miłość swej Ojczyzny, głęboką znajomość i literatury i języka polskiego, którym mówiła i pisała z dziwnym urokiem i poprawnością.

Komóż nieznanie znakomite p. Jaraczewskiej pisma? Rzadka przyjaźń i wspólne pożycie wiązało te dwie znakomite istoty; połączone krwią, złane sercem, złąły też i pracę swą pospołu, ani wiedzieć kędy czyje natchnienie, która ręka prowadziła pióro; ale skromność dziewicy kryła udział w pracy, a kazała unikać poklasku: wiedzieli tylko ci, co ją bliżej znali, jak była nieporównanie dobrą ta osoba, której dowcip powiedzielibyśmy, iż był prawdziwie attycką zaprawiony solą, gdyby jej rozum nie był tak z gruntu oryginalnie polskim, iż zaprawdę podobnego nie spotkaliśmy. Bogu i dobrem oddana uczynkom, bolesną chorobę z dziwną, nawet słodką i wesołą znośła rezygnacją, przytomnie i spokojnie śmierci czekając. W jednej tylko chwili, na dobę przed skonem, kiedy młodą swą zdała przybyłą ujrzała przyjaciółkę, córkę serca i ducha swego, rzekła do lekarza: „W tej chwili radabym, abys bicie pulsu mógł nieco przedłużyć. — Próżne życzenie. Bóg ją już do siebie wołał.

ZOFIA ARTUROWA POTOCKA 1).

† 6-go stycznia 1879 r.

Pogrzeb pani Arturowej Potockiej odbył się w Krzeszowicach bez wystawy, a był jednym z najwspanialszych, jakie widziałem; rodzina nie zrobiła nic dla próżności; przyjaciele, obowiązani, ludność miasta i okolicy, podnieśli obrzęd do uroczystości publicznej. Nie była też to pani, coby należała tylko do rodziny, ale należała do naszego miasta, nawet do kraju. I niewiasty czasem zajmują stanowisko wyłączone. Dlatego słusznie żałować można, że w poczuciu chrześcijańskiej pokory, rodzina nie dozwoliła, aby kto wypowiedział to, co czuły serca tysięcy, udzielił głosu wezbranyemu uczuciom. Zaczynając opowiedział cnoty zmarłej, a co tylko jemu przystawało, podniósł szczegółowo ostatnie jej chwile i onych znaczenie.

Ale jak zasługa prawdziwa tak i pamięć o niej nie są rzeczą chwili; dlatego przesyłam kilka słów wielkiego żalu i wielkiej wdzięczności. Tak jest wdzięczności! Bo jeżeli niezmierna liczba tych, co doświadczyli jej dobrodziejstw i hojności jej ręki, to wszyscy wdzięczność winniśmy jej za ten spokój, który nas ogarniał, wiedząc, że każda potrzeba znajdzie w niej pomoc, za ten cudowny przykład bogatego a tak czynnego, który spełniał prawdziwą Opatrzności ekonomię, dającą wiele jednym, aby mieli szafarstwo dla wielu. Wszystkie dzieła boskie są wielkie, ale największem stworzenie serca, które spełnia widoki Jego miłosierdzia na ziemi.

Zofia z Branickich Potocka, dla nas będzie zawsze pani

1) Drukowane w „Przeglądzie Lwowskim“ 1879 r.

Arturowa, przybyła do naszego miasta lat temu 56. Trzy pokolenia patrzyły na tę panią, której lata równie jak seree, rozumiano, że granic nie mają, trzy pokolenia patrzyły na tę postać ujmującą dobrocią, nieprzebranej uprzejmości obok wielkiej powagi; z trzema pokoleniami dzieliła bóle, radości, nadzieje; przez trzy pokolenia w każdym wypadku, w każdym nieszczęściu, w każdym cierpieniu i potrzebie pierwsza była myśl udać się do pani Arturowej, i ta myśl nie zawiodła nigdy nikogo, chyba niegodnego. Ci zaś, co nie potrzebowali materyjalnej pomocy, ale którzy zawsze potrzebują współzucia i miłości, znajdowali w jej duszy ten — nie wiem, jak powiedzieć — cudowny balsam, który ból uśmierza, zranione serca goi, a pociechę nawet w zbyt ciężkich chwilach wlewa. To był główny i wyłączny tej kobiety przymiot: zaspokojona na zewnątrz we wszystkich swych potrzebach, zawsze z drugimi czuła, cierpiała i kochała.

Z życia niewiasty nie wiele można, a nawet nie wiele należy wywodzić na widok, choćby najwspanialszych objawów. Wiele też dzieł tej pani Bóg nagrodzi, ludzie wiedzieć o nich nie będą; ale są takie, których pominąć nie można. Pół wieku bez przerwy żyła z nami i dla nas, a bodaj czy nie tu najwyższa jej zasługa i czy nie tu źródło tych uczynków podniosłych, co jak strumień popłynęły dla miasta i okolicy. Przykład dla możnych, że tylko na miejscu, wśród swoich, z czasem, można zapuścić korzenie, rozrósć się na wielkie cieniodajne drzewo i wspaniałe przynieść owoce. Nie trwałego, nie potężnego nie da się zrobić dorywczo, pomiędzy jedną a drugą podróżą. Kto chce zbawiennie działać, musi poświęcić zachcenia, na które pozwala dostatek: a pilnie — co nie tak łatwo — uprawiać choćby nieurodzajną na pozór rolę. Wówczas powstaną kościoły, szpitale, szkoły, zakłady, a co ważniejsza — powstanie szanowne życie rodzinne, patronat pośród sług i ludu, mający zastąpić dawne patryarchalne stosunki. Dla tych, którzy to rozumieją, zmiana stosunków społecznych nie zaprowadziła zmiany ani w obowiązkach, ani nawet w stanowisku. Jeżeli ustał przywilej,

to została miłość i opieka, a w nagrodzie powaga i uszanowanie. Pani Arturowa nie tylko została panią w Krzeszowicach, ale panowała i w naszym mieście; bo panować zawsze będzie ten, co surowością enoty wraża uszanowanie, ten, którego postępowanie kontrolą przyzwoitości, ten, kto poświęceniem nicustannem stał się sługą słabych, pociechą potrzebnych, co płakał z cierpiącym, a radował się szczęściem drugiego.

Taką była w każdej porze życia, w każdej dnia godzinie; a jeżeli w dalsze szczegóły nie wchodzę, to dlatego, że tak mi wstrętna każda w pochwale przesada z jednej strony, a z drugiej tak gorące łzy płyną z wielu oczu, kiedy oziębla ta ręka, co je ocierała, że nie chcę zwykłych używać orzeczeń, dla ocenienia duszy tak niezwykłych rozmiarów. Ale największą zasługą kobiety jest wychowanie dzieci: a jeżeli Pismo robi matkę odpowiedzialną za niedołężność syna, toć jej jest zasługą, kiedy dzielny, zaeny a użyteczny.

Wychowała nam Adama Potockiego. Adam Potocki umarł, ale nie sprawdziło się na nim zdanie: że nikt na tym świecie potrzebnym nie jest. Świat, co prawda, idzie, ale Adam Potocki zostawił po sobie próżnię, której dotąd nikt nie zapełnił; tak potężną sercem, umysłem i działalnością ogarnął był sferę, że szeregi ścisnąć się dotąd nie mogły i szukamy w każdej ważnej chwili przewodnika i hetmana, o którym byłoby wiadomem, że tylko miłość dobra powszechnego jest mu pobudką i celem. Takiego to syna wychowała ta matka, a jeżeli żal po tych dwóch stratach zarazem ciśnie bólem duszę naszą, to przytem jednak budzi szlachetne poczucie, że na tej ziemi, wśród takich wspomnień, takich trudów i walk, na które składa się krew, co w żyłach płynie, przeszłość z jej błędami i zasługami, powstają tak wspaniałe postacie jak Adam i Zofia Potocey.

W życiu każdego prawego Polaka i w życiu matki Polki, są zawsze straszne chwile. Przyszły i na nią. Z niedawnej przeszłości wiadomo, jakie w kwietniu 1848 r. nastąpiły dla miasta naszego czasy. Jak na jego ulicach stały się dwa wrogie prądy, i że to starcie zagroziło mu katastrofą.

Podówczas to Adam Potocki, nie mając lat 30, naczelnik gwardyi narodowej, wystawiając swoją osobę, ratował miasto i współobywateli. Wówczas to widzieliśmy matkę dbałą nie o bezpieczeństwo, ale o honor jedynaka, spokojną i pełniącą swój obowiązek. Krew lała się na ulicach a pokoje pałacu pod Baranami były zasłane rannymi, umierającymi, pomiędzy którymi dwie kobiety roznosiły ratunek, pociechę, moralną pomoc; w tych uczynkach, nie we łzach szukając pociechy dla siebie, a opieki dla syna i męża. Nie tu był koniec, niebezpieczeństw i bólu; powtarzały się one na ulicach to Paryża, to Wiednia, gdzie rycerski charakter Adama, jeżeli wystawił serce matki na trwożę, to jej też przynosił najwyższą radość czci i bohaterstwa syna.

Zawierucha 1848 r. wywołała stronną reakcyę. Pierwszą niemal jej ofiarą padł Adam Potocki; pierwszy konserwatysta uwięziony bez winy, bez oskarżenia, bez sądu. Równocześnie młody monarcha zjeżdża do naszej stolicy: samotny więzień na Wawelu słyszy dzwony, zwiastujące pochód cesarski. Matka żąda posłuchania, ale nie potrafiła prosić o co innego jak o sprawiedliwość. Pamiętam te chwile, towarzysząc jej aż do przestąpienia progu komnaty. I dziś jeszcze czuję tętno krwi wzburzonej w żyłach, wskutek strasznej między poczuciem godności a miłością walki. Sprawiedliwość nie przyszła, zastąpiła ją łaska; ale w życiu narodów pojedyncze niesprawiedliwości — nawet większe — polityka zacierą — przepaści zapelnia; tak się stało i tak się stać powinno. A jeżeli dziś dotykam tych spraw, to dlatego, że trudno odłączyć od nich czy rody, czy osoby wysokiego położenia. Już wówczas miasto nasze tak było połączone z życiem domu pod Baranami, że Kraków, Galicya, Polska cała, poczuła obrazę wyrządzoną jej w osobie Adama Potockiego. Należała też wdzięczność tej Pani.

Kraków dotknięty strasznym pożarem. Zwątpienie ogarnęło niemal mieszkańców. Nie zważyła p. Arturowa; stanęła na czele komitetu i wówczas, obok znanego miłosierdzia, wystąpiła bliskim znana tylko energia i duch organiczny. Ofiar

jej osobistych i majątkowych nikt tu nie doliczy; była też jej właściwością — może wadą — zbytnia w dobrem tajemnica. Starsi pamiętają to działanie i jego skutki. Miasto chciało pamiątkowym medalem uczcić tę, którą matką nazywało, powstały trudności; ale trwalej jak na miedzi wyryła się pamięć jej zasług na sercach mieszkańców Krakowa, i póki zapamiętają straszny roku 1850 pożar, póty nie zapomną tej, która czynem, zachętą, odwagą, podniosła nasze serca do szlachetnych usiłowań, tak, że chociaż miasto poniosło straty, które niezem powetować się nie mogą, to jednak powstało z gruzów i dzisiejsze pokolenie śladu upadku nie widzi.

Każdy z nas czuje, że stracił matkę, każdy czuje się uboższymi, każdy wie, że gdyby nieszczęście dotknęło, nie uda się do tej Pani, u której spotykał uśmiech na ustach i rękę zawsze otwartą. Ci, którzy stoją o polor towarzyskiego życia, a ma on swoją wartość i urok, stracili wzór prawdziwej, niezrównanej, niezmordowanej gościnności; rodzina głowę swoje; nędza, przystań, do której bezpiecznie się schroniła. Nędza ta wyprosiła jej ostatnią, szczęśliwą godzinę. — Na pociechę dla swoich — na przykład i uspokojenie dla wszystkich.

RÓŻA z hr. Łubieńskich SOBANSKA ¹⁾.

† 1879 roku.

Umarła wczoraj w Warszawie Róża z Łubieńskich Sobañska. Będą tam o niej dużo mówić i pisać; ale pani ta nie należała tylko do Warszawy, gdzie się rodziła i chowała, ani do Podola, gdzie znaczną część przepędziła życia. Pani Róża należała do całej Polski, jak kochała i ratowała każdego od Odry do Dźwiny, tak od Odry do Dźwiny za nią łzy popłyną: u jednych żalu, u drugich wdzięczności; wszystkich dusze do głębi poruszy ta strata. O niej to prawdziwie, rzetelnie mógłby wieszcz powiedzieć: „Kochała i cierpiała za tysiące“, a jeżeli obecne pokolenie mniej o tem pamiętać może, to warto mieć rylce stalowy, aby na płytach ołowiu wypisać, co jej zawdzięczało przeszłe.

Feliks Łubieński, poseł na Sejm czteroletni, minister sprawiedliwości, który kodeks Napoleona wprowadził za księstwa Warszawskiego, miał sześciu synów i trzy córki. Trzech synów walczyło w szeregach, wyjątkową odznaczając się odwagą, jeden z nich przez Napoleona uznanym i wyszczególnionym talentem, trzech pracowało z rzadką choć nie zawsze szczęśliwą energią na polu przemysłu i niewątpliwie ruch fabryczny, rolniczy i finansowy w Królestwie Polskiem wiele, jeżeli nie wszystko, im zawdzięcza. Starych herbarzy pisarze kiedy o rodzinach mówią, to podnoszą często cechy, które odznaczają to mężczyzn, to kobiety. Gdyby Paprocki dziś pisał, toby powiedział, że kobiety z domu Łubieńskie, są niemal ideałem żony, domowe, ciche, rodzinne cnoty dziwnie

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1879 r.

przechowują. Trzy córki ministra żyły długo, a zawsze dla drugich. Skarzyńska nie odstępując zgrzybiałego ojca; Morawska licząc lat 93, nie zadziwia tylko, ale ożywia urokiem rozumu, gorącością serca, które zestarzeć się nie może: rozkwita w liczne pokolenie, które dziedziczy i łączy zalety dwóch tak bogato uposażonych rodzin. Róża poszła za męża późno. W człowieku, który nie posiadał zewnętrznego uroku, odgadła piękną, do najwyższego poświęcenia zdolną, duszę. Poświęciła się dla jego szczęścia, a Ludwik Sobański był godzien takiego poświęcenia. — Na Podolu żyło podówczas wielu zacnych polskiego i rycerskiego ducha obywateli: Moszyński, Marein Tarnowski, Jełowiccy, Sobańscy, Podhorsey, Lipkowscy, Szczeniowscy, że innych pomnę. Ludwik Sobański może największego używał wzięcia. Do historii należy, czemu jedni poginęli, drudzy poszli w tułaczkę, inni dostali się na zesłanie. Sobański wywieziony na Syberyę. Żona poszła za nim, to rzecz prosta, nie ona jedna to zrobiła; ale tutaj dopiero pani tej, już znanej z praktyki życia, zaczyna się nowe zupełne zadanie.

Umiała ona kochać ojca, męża i dzieci, ale nie było jej na tem zadość, wbrew twierdzeniu, że miłość skoncentrowana na małej liczbie osób jest gorętsza. To fałsz wymyślony przez egoizm. Serce człowieka, które ma nieskończonego Boga osiąść, nieograniczone w miłości. Im więcej kocha i świadczy, tem więcej kochać może. — Obok jej męża, obok jej krewnych w cierpieniu, tysiące, i to nie hiperbola, tułało się po Syberyi zesłańców, a większa część nie miała ani środków, ani rodziny, ani sposobu komunikacji ze swymi, ani tego ukojenia, które w nieszczęściu daje miłująca dusza. Tutaj zaczęło się dla Róży Sobańskiej nowe życie. Choć wygnana, miała męża, miała majątek, miała przyjaciół. Widziała takich, co byli sami sierotami, opuszczeni, rozpaczy bliscy. Stała się jednym matką, drugim siostrą, wszystkim opatrnością, a zawiązała stosunki takie, że objęły nietylko sąsiednie swego pobytu powiaty, ale całą Syberyę, gdzie tylko język polski dał się słyszeć, a łza polska płynęła.

Nawiązała ze wszystkimi stosunki nie doraźne, chwilowe, zaspakajające potrzebę i uczucie chwili, ale ciągłe, odpowiednie potrzebom, ułatwiające zniesienie z rodziną i krajem. Stosunki te nie zostały przerwane za jej powrotem do domu; przeciwnie wtedy dopiero ujęte w systematyczny porządek, działały skutecznie. Była to korespondencya jak kupieckiego kantoru: regularne wiadomości, przesyłki. Rzecz prosta, takie działanie ująć nie mogło baczności rządu — ale było ono tak wzniósłe, roztropne, prawie imponujące, że Cesarz Mikołaj okrył je swoim przyzwoleniem, i że trwało przez lat 20, aż do chwili niemal, kiedy skończyła istnienie jedna zesańców warstwa, a napłynęła druga. Bodaj pamięć tego nie zaginęła, bodaj kiedy wydano dokumenta tego bolesnego w historii naszej ustępu, a tak wystąpiła w całej świetności ta wspańska postać kobiety, która siłą woli i miłości z największą prostotą, bez aparatu czułości, była jak rosa niebieska ochłodą dla tysięcy. Nie powiedziałem zatem za wiele, że od Odry do Dźwiny płakać ją będą tysiące, tak jak ona za nie cierpiała. Kobieta słaba, a nie się bez niej nie obeszło. Czy kiedy szukano zaginionych X. Logi i Ignacego Mielżyńskiego, czy kiedy szło o wyśledzenie biednego sybiraka, czy o skojarzenie stadła na wygnaniu, rękę wszędzie przyłożyła. Jak na to wystarczyć czasem i pieniędzmi? Zdadzą sobie z tego sprawę tylko świadomi, co może miłość chrześcijańska w sercu kobiety, która wierna swojemu powołaniu być umie. Umysły popolite szukając dziś dla kobiety stanowiska i większej działania sfery, obniżają nieskończenie jej godność. Kobieta ma niezrównaną wielkość, bo na jej to łonie chowa się człowiek, mąż, rycerz; ona, jeżeli tem umie być, do czego Bóg ją stworzył, daje kierunek ludzkości; matrony zacne chowają zacnych synów a mędrzec Pański robi odpowiedzialnymi za rozum synów, nie ojców ale matki. Żadna chwała autorska, doktorska, prawnicza, nie dorówna tej, którą odda jej mąż, albo syn własny.

Tyle należy wiedzieć o tej pani szerszej publiczności, nie należą do niej cnoty domowe, rodzinne i towa-

rzyskie. Ktoby z bliskich opisał to życie w szczegółach, po prostu, a o pani Róży tylko prosto mówić wolno, toby zostawił obraz bardzo ciekawy społecznych wypadków, w które była wpleciona, i obyczajów zacnych tego czasu rodzin. Opowiedziałby, jeżeli to podobna, to zajęcie każdej chwili drugimi w małych i dużych sprawach, i tę niezmierną powagę, majestat niemal, który jej dawało zwycięstwo nad sobą dla spełnienia obowiązków. Bo niech nikt nie rozumie, że na to wystarczy jakaś wrodzona dobroć bez zasad. Wrodzona dobroć kończy się fantazją, tylko miłość bliźniego, z miłości Boga płynąca, na dogmacie i praktyce codziennej oparta, takich cudów zdolna. Opłakać tej straty niepodobna, zostanie na długo próżnia, bo to nie częste takie zjawisko. Nagrodę tu na ziemi dał jej Bóg w miłości ludzkiej; po łasce boskiej nie wiemy nic lepszego, a jednak dla matki jest jeszcze jedna nagroda, patrzyła na cnoty córek, a mogła z podniosłym uczuciem macierzyńskiego serca patrzeć na syna.

WALERYA BADENIOWA ¹⁾.

† 25-go lutego 1882 r.

OdproWadziłem dziś do grobu, Panią, którą temu lat 52 proWadziłem do ołtarza, w najświetniejszym a kończącym się czasie Królestwa Kongresowego. — Oddawała rękę Walerya Lempicka, Michałowi Badeniemu, który odbywszy świetnie kampanię Saską i Francuską, w owej sławnej baterii, sztyftowanej przez Włodzimierza Potockiego, a uświetnionej przez żołnierzy jak Władysław Ostrowski, Roman Sołtyk, Sołtan i inni, zdobywszy krzyż oficerski *Virtuti militari*, już był rozpoczął zawód obywatelski, który tak zacnie miał wypełnić. Piękny otaczał wieniec młodą parę: Konstancya z Sołtyków Lempicka, co urok rozumu i cnoty tak pięknie przekazała następnemu pokoleniu, Anna ks. Czartoryska, w pełnym piękności rozkwicie Teresa Jabłonowska, Tomasz Lubieński, jenerał, i z pod Samosiery niegdyś sierżant jego szwadronu, a dziś pułkownik gwardyi strzelców konnych Zielonka. Przed innemi błogosławił parze ex-podstoli Sołtyk, wiekiem i niedawno odcierpianem więzieniem złamany. Powstanie wybuchło, i pierwsza dla serca kobiecego próba. Nietylko nie była przeszkodą ale pobudką, że mąż wszedł natychmiast w szeregi tworzącego się wojska; a komenderując dywizyonem krakusów, w sławnej pod Zamościem szarży, która uratowała korpus Chrzanowskiego, powrócił ze stopniem podpułkownika i krzyżem komandorskim. Życie rozpoczęło się na nowo, jak to bywa, trudami i cierpieniem. Piękna bardzo twarz młodej kobiety, zmienia się ciężką i długą chorobą, i w tej chwili

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ 1882 r.

występuje charakter giętki, choć twardy jak z najczystszej stali, który na chwilę nie słabnie ani się rozrzewnia, ale bez słów, znosi i wypełnia wszystkie matki i żony obowiązki. Przeszło to długie życie pomiędzy ogniskiem domowym w Branicach a naszym miastem, cicho, bez pochwał, bez połysku i świetności dowcipu. Nie byłoby co o tem mówić, bo wiele kobiet podobnie na pozór przeszło przez życie, gdyby ono nie było ożywione osobnem zupełnie, podniosłem pojęciem obowiązku, które ostatecznie stanowi o wartości moralnej, jedynej zaprawdę wielkości na świecie.

Ludzie sprawiedliwsi, jak mówią, oceniając to serce, co umiało obdzielać szczęściem wszystko co je otaczało, poddać się mężowi z zaufaniem, ukochać dzieci gorąco, a z macierzyńską powagą, nie zawieść żadnego stosunku przyjaźni; otoczyli matronę nie zwykłym uszanowaniem. A kiedy przycisniętą wiekiem Bóg dotknął utratą syna, który był nadzieją kraju a chlubą rodziny i przedziwnej enoty córki, zamiast zagłębić się w osobistym żalu, dawała naukę nietylko poddania, ale swobody i wdzięku w żałobie, które z ciężkiego jej wyrastały smutku. Jak całe życie była poddana Bogu, tak gdy nadchodziła ostatnia godzina, z zupełną świadomością, spokojem niemal wesołym, przygotowana do ciężkiej przeprawy, pociechami, które Kościół daje, błogosławiąc rodzinie, nie umarła, zstąpiła do grobu, po ciężkiej pracy, da Bóg, na spokój wieczny. Jakiej doświadczyła opieki w ostatnich latach, pomijam, bo są enoty, których woń milezieniem uszanować należy.

HELENA z Wężyków MORAWSKA ¹⁾.

† 11-go lutego 1884 r.

W ciągu długiego życia, przyszło mi patrzeć na śmierć, albo żegnać słowy, wielu znakomych, zasłużonych i kochanych, miłych Bogu i ludziom, rzadko z takim rozdarcie, jak patrząc na śmierć świeżo grzebanej na wieczny spoczynek Heleny Morawskiej.

Było zapewne coś osobnego w tem krótkim, cichem, niewieściem życiu, a tragicznego w końcu, kiedy nietylko zgon ten krewnych, przyjaciół, znajomych, ale niemal co tylko czuło w naszym mieście, tak mocno poruszył. Są dusze, które nieświadomo, nie wiedzieć, jakimi drogami z ukrycia na zewnątrz promieniają i działają, wiążą gwałtownem uczuciem bliższych, a kiedy niezbadane wyroki Boskie przecinają onych wątek, dalsi nawet czują co stracili, a dla bliższych jest to zniszczenie pociech, prawdziwego szczęścia albo ideałów życia, bo takie dusze umieją wypełnić każdy obowiązek, nie zawiodą żadnej nadziei, osłodzą, rozjaśnią, ułatwią każde powołanie.

Ojca, który poetyczne życie, heroiczną zakończył śmiercią, nie zaznała, jak jej matka swych rodziców, a jak dziecko jej nie zazna bicia macierzyńskiego serca. Chowała się dziwnie w ukryciu, ale szczególne zdolności wybornem wychowaniem rozwijały, tak uderzały w siedmnastoletniej, że czło-

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ w 1884 r.

wiek wyższy, Józef Badeni, odgadnął pod powłoką wielkiej prostoty i wesołości, silny umysł i głębokie serce. Nie omylił się, i w pracowitem życiu była mu odrazu nietylko urokiem, ale podporą, a kiedy śmierć rozdzieliła małżeństwo, stała się dla matki męża podporą lat, pociechą po zmarłym, okiem ociemniałej, a bardziej daleko jeszcze rozkoszą życia. Później kobiet obecnego pokolenia o wiele niższy od tych, które zaznał początek naszego wieku; czy to dobrze albo źle, czy tego przyczyną dziś zbytnia nauka, tłumiąca samodzielność, czy panie, które starsi znaliśmy, są możebne albo potrzebne w dzisiejszym społeczeństwie ustroju, nie wchodzi. Helena Morawska właśnie miała kulturę i zrozumienie swego czasu.

Byłoby ciekawe psychologiczne studyum, aby zbadać, jak ten umysł poważnem czytaniem i obcowaniem wzmożony nie stracił ani kobiecości, ani tego żywego dowcipu, który nie osłabiał trafnego i głębokiego sądu; a jeszcze ciekawszem, jak ta organizacya głowy, wystawiona na wszystkie pokusy, ani na chwilę nie zachwiała się w zasadach prawdy i praktykach żywota.

Kto bliżej tej Pani nie stał, komu nie ufała zupełnie, ten nie pojmie, jak łącząc siłę woli z potęgą umysłową ponad kobiece rozmiary, i roztropność z fantazyą, bezwiednie sypała jej wyobrażenia iskry dowcipu, które jakby perły i drogie kamienie układały się w jej mowie w najoryginalniejsze barwy. Tej rozkoszy już nikt nie zażyje, jak niełatwo będzie z kim naradzić się w sprawach zdrowego sądu i smaku.

Z takim usposobieniem weszła w drugi związek: nadmiar życia, żywotność tego serca potrzebowała ustalenia, oddała je człowiekowi, co je zrozumieć był godzien, a który sam zarazem, jak zwykle w dobranem stadle, dojrzewał pod wpływem ciepła jej serca. Bóg zaszczycił ją macierzyństwem, długie oczekiwanie i tęsknota spełniona, szczęście zupełne. Prawda, ale na ziemi, a więc zmiecione. Nieprzygotowanej

śmierć nie zastała. Z odwagą i decyzją, która niemal trwoży, układa przyszłość rodziny i majątku, daje rady mężowi, i z tą samą odwagą pełną swobody i nadziei oczekuje stanowczej chwili.

Przyszła bolesna i niebezpieczna. Przeżyła: już nie nadzieja tylko, ale życie otwiera się pomiędzy mężem i synem. Ciężar spadł nam z serca, a mówili, że kto był taką córką, synową i żoną, potrafi być i matką. Opatrzność inaczej zrzędziła i rozpoczęła się straszna przez dni 15 pomiędzy życiem i śmiercią walka. Śmierć zwyciężyła ciało, ale nie duszę. Ś. p. Helena żyć pragnęła. Ta pełnia animuszu, który w każdym objawiał się czynnie, a taką sprężystość dawał władzom ciała i duszy, nie mogła zrazu zrozumieć obowiązku poddania się woli: nie zmogło jej też ani cierpienie, ani bunt przeciw Opatrzności, zmogła ją wiara i łaska.

Gotować się zdala na śmierć a przyjąć ją zbliżając, to co innego: miała i chęci i nadzieję życia a tego życia pragnęła z gorącą modlitwą matka, dla której była wszystkim, mąż rozżalony, poświęceni lekarze i wszyscy, począwszy od sług pocziwych, skończywszy na przyjaciółach. W dzień przed śmiercią, wierząc w ratunek, zapytała lekarza ciała i duszy. — Odpowiedź rozumiała. Kto powie, co zaszło między Bogiem a tą duszą? Wolę, nadzieję, szczęście, nie tylko już swoje, poddała wszystko wyrokowi niezbadanego miłosierdzia i nastąpiła chwila, której żaden nie zapomni.

Z najzupełniejszą przytomnością, zwoławszy matkę, męża, krewnych i niektórych przyjaciół, pobłogosławiwszy syna, żegnała każdego z tą wyrazistością słów i myśli, które ją odznaczały, dziękowała, prosiła, upominała, z oczów, które zachowały reszty ognia, z wysokiego wspaniałego czoła bił jakiś majestat śmierci, który każde słowo rył jak na miedzi.

Jestto jedynym i wyłącznym chrześcijaństwa przywilejem, że w każdej potrzebie daje naukę i wyjście, w każdym

bólu ułagodzenie, i że chrześciance nie cierpią, jak ci, co nie mają nadziei.

Ci, którzy otaczali do końca łoże konającej, tego byli przekonania, a utwierdzał ich kapłan niezrównanej miłości. Pocięty po takich stratach nie ma, jest poddanie — ale co zostaje przyjacielom? — Pamięć, iż spotkali w życiu takie zjawisko, a w śmierci taki przykład.

Kraków, 13-go lutego 1884.





LAURA z Potockich hr. TARNOWSKA ¹⁾.

† 1868 roku.

W miejscu, na którym z daru Gabryjeli Zabiellowej stoi dzisiaj kościół Wszystkich Świętych w Warszawie, stał przed laty 50 w ogrodzie, obszerny dom piętrowy z wysoką francuską mansardą, znany w całej Warszawie pod nazwiskiem Grzybów. Zajmowała go z liczną rodziną wojewodzina Gutakowska, z pierwszych ślubów Zabiellowa, wdowa po zasłużonym Gutakowskim; liczenie spokrewniona, gromadziła około siebie kilka pokoleń. Spotykałeś tam Walentową Sobolewską, Grabowską z domu, która i rodzajem rozumu i charakterem i postawą przypominała wielkie panie z końca XVIII wieku. Spotkałeś pannę Teresę Kicką, ciotkę uroczych panien Biszping i brata jej Ludwika, który bohaterską śmiercią zginął pod Ostrołęką. Poważniejsi cieszyli się społeczeństwem Henryka Zabielly, najstarszego syna pani domu, w którego rycerskim i chrześcijańskim charakterze odbijały się enoty starszych pokoleń i urok ludzi Ks. Warszawskiego. Drugi syn pani Gutakowskiej, Wacław, ożenił się z panią Grudzińską, siostrą księżnej Łowickiej, której druga siostra była za generałem Chłapowskim i bywając w Warszawie, zawsze na Grzybowie gościła. Edward Raczyński, przyjaciel pana Henryka i generała Chłapowskiego, ożywił lotnością umysłu a oryginalnością charakteru to grono, które, jak widać z ni-

¹⁾ X. Bartkiewicz, pisząc w „Przeglądzie Powszechnym“ o błogosławionym Hofbauerze i sprawie wydalenia Redemptorystów z Warszawy, wzbudził osobiste wspomnienia o owych czasach i ludziach, które może nie będą bez zajęcia dla dzisiejszej generacji.

Drukowane w „Czasie“ 1888 r.

niejszego zestawienia, miało osobny typ i charakter, a przez chrześcijańskie zasady przyciągało żywioty, wprawdzie jeszcze nieliczne, ale bardzo gorliwe, budzącej się wiary. Rzecz prosta, że z całą tą rodziną, niemal pokoleniem, księżna Łowicka miała serdeczne, choć przez jej stanowisko nie bardzo jawne stosunki.

Z Grzybowem, bo tak będą nazywał to społeczeństwo, choć nie należąca pokrewieństwem, ściśle była połączona sercowo, choć nieskończenie wyższa umysłowo, Laura Potocka, córka Jana Potockiego. Osierocona przez matkę, chowała się w domu pana Marszałka, a po jego śmierci przebywała w domu Stanisława Potockiego. Często bardzo odwiedzała Puławy, Kurów, Celejów, a chowała przyjaźń z czterema córkami Seweryna Potockiego, z których każda, choć w innym rodzaju, była kobietą albo niepospolitą, albo przynajmniej ciekawego charakteru. Umysł panny Laury był wyjątkowy. Sieroctwo, niemal podwójne, bo pan marszałek był dla niej przybrany ojcem, odosobniło jej serce, nie oziębiając go zgola. Na umysł ten i charakter nie zewnątrz nie wpływało; sam się rozwijał wewnętrzną siłą i potęgą i to dało jej zbytnie w sobie zaufanie, ale dało także dar zniewalania drugih do swojego kierunku.

Zdawało się, że Edward Raczyński o jej oświadczy się rękę, a nie trudno było sercu gorącemu a osamotnionemu przywiązać się do człowieka tej miary; ale uczucia są zmienne, Raczyński inaczej rozporządził i sercem i osobą; panna Laura nie mówiąc, w sobie żał, jaki mieć mogła, zamknęła, a spotkawszy w Warszawie bardzo już letniego podówczas Stanisława hr. Tarnowskiego, oddała mu rękę swoją i osiadła na wyniosłej, samotnej i na wszystkie wichry wystawionej Tarnoskale. Stanisław Tarnowski był to typ, bodaj czy nie ostatni, pana polskiego, zwichniętego wyobrażeniami dworu Ludwika XV. Zuchwały, nie bardzo dostępny dla okolicznej szlachty, oddał się gospodarstwu, które, choć ze zbytnim kosztem, do nieznaney podówczas doprowadził doskonałości. Pani Laura znała bardzo dobrze wszystkie panie Grudzińskie;

najbliżej zaufaniem była połączona z ks. Łowicką. Z Potockich Tarnowska, a do tego imponująca i rozumem i podstawą, znalazła wstęp do w. księcia, tak dalece, że za każdą bytnością w Warszawie częstym i upragnionym w Belwederze bywała gościem. Bawiła dłużej w r. 1824, i wtenczas to spotkała O. Jana Podgórskiego ze zgromadzenia Redemptorystów, który w r. 1808, wywieziony od św. Benona, znowu do Warszawy przybył. Podgórski był człowiek prosty, ale wielkiej pobożności; znać było na nim szkołę Hofbauera¹⁾ i ówczesnego przełożonego w Wiedniu O. Passerata.

Około r. 1823 zaczynało budzić się życie religijne w Polsce i w Warszawie. Czasy świetnych wojen francuskich, panowanie wszechwładzy masonii, kierunek dawany podówczas wychowaniu publicznemu, osłabiły wiarę. Ale zaczęła się budzić, a naprzód po rodzinach. Fatalny zwyczaj mówienia po francusku, który podówczas jeszcze panował, miał jedną dobrą stronę. Społeczeństwo obznajmiało się z wielkimi polemistami francuskimi, którzy zwiastowali odrodzenie wiary. Czytano wiele de Maistr'a, Bonald'a, Lamennais'go i w różnych stronach kraju powstawały ogniska, z których światło i ciepło promieniło na okolicę. Gorliwi mężczyźni a jeszcze gorliwsze kobiety, przemyśliwali, jakby światło prawdy katolickiej rozszerzać, a było to potrzebne do wzmocnienia moralnej, narodowej wartości, a ułatwione, bo kierunek naukowy kraj miał w swoim ręku. Skarszewski, arcybiskup, był bardzo gorliwy o powagę Kościoła, Woroniec dodawał mu uroku, jako wieszcz i miłośnik Ojczyzny.

W silnej głowie pani Laury a gorącym jej sercu wrzała bardziej, niż w jakimkolwiek innym, chęć i potrzeba czynu. W tej fazie jej życia, a niestety były i inne, był to umysł praktyczny. Wskutek porozumienia z O. Podgórskim postanowiła wygnanych przed 16 laty z Warszawy Redemptory-

¹⁾ O. Hofbauer, tak zwany apostoł Warszawy, wywieziony z tamtąd za Ks. Warszawskiego a przez Leona XIII-go w poczet błogosławionych policzony.

stów w dobrach swoich Piotrkowice przywrócić, założyć tam szkołę wydziałową i oddać im jej kierunek. Trzeba na to było zwalczyć wiele trudności. Arcybiskup i biskup zgodzili się na usunięcie upadłych Bernardynów z Piotrkowic. Klasztor i kościół odrestaurowano i zdaje mi się w r. 1825 umieszczono w nim OO. Redemptorystów. Materyalna część zadania przy hojności hr. St. Tarnowskiego nie była trudną, ale trzeba było całej zręczności, całego uroku, całej wytrwałości pani Laury, aby to wykonać mimo wrogich wpływów, które podstępnie działały na w. księcia. Przypuszczano, że to ukryci Jezuici, a choć loże masonskie były zamknięte, duch i wpływ masonii nie był umarł, a zobaczymy wkrótce, jak się ocknął. Tymczasem dobra wola w. księcia, pomoc Arcybiskupa, przyjaźń, jaka panią Laurę łączyła z ministrem Grabowskim, tak dzielnie posłużyły, że szkoła założoną została, a czterdziestu kilku uczniów to płatnie, to bezpłatnie do niej uczęszczało; młodzież podług normalistów szkolnych, ale po chrześcijańsku była uczoną, a OO. Redemptoryści obok służby i pomocy duchownej we własnym domu, liczne na okolicy odbywali misye. Skutki tej pracy były nader zbawienne; w szkole z prostotą kształciło się wiele młodzieży, która potem to w gospodarskim, to w urzędowym zawodzie robiła zaszczyt swym mistrzom, a że uczucia narodowe nie były tam mniej żywe, dowodem, że w r. 1830 wielu wstąpiło w szranki wojskowe, a znam takich, co do dziś dnia chowają wdzięcznie pamięć swych mistrzów. Zapewne kto lepiej opowie duchowne zasługi i cnoty X. Podgórskiego, może zostały tego ślady w jego pismach albo krótkotrwałej historii tego domu, ja tylko to mogę powiedzieć, że to była dusza zatopiona w życiu duchowem na wzór wielkich przewodników życia chrześcijańskiego. Pani Laura z pociechą największą mogła patrzeć ze swojej tarnoskalskiej góry na zakład, który się rozwijał u jej stóp na pożytek Kościoła i Ojczyzny, a dla których nie szczędziła pracy, kosztów, zabiegów.

Wszystko też było dobrze, dopóki zostawała na miejscu; w r. 1827 choroba męża powołała ją na długi pobyt do

Wiednia. Nie mogła już osłaniać zakładu, który stworzyła, a który, w miarę właśnie jak rósł i rozwijał się, raził niechętnych. — Rozkwit choć tak małego chrześcijańskiego zakładu, raził urzędowe i sekiarskie sfery, a pani Laury wpływ, prawdziwie zadziwiający w kobiecie, sięgał bardzo daleko, i skoro tylko wpływ ten przez oddalenie ustał, zle żywioły budzić się zaczęły. Zakonnicy modlili się, uczyli, pracowali, mogli być tylko znani okolicy przez swoje dobrodziejstwa, a jednak denuncyacye do w. księcia poczęły się mnożyć: jakoby byli Redemptoryści ukrytymi Jezuitami; jakoby pani Laura, fanatyzując młodzież i męską i żeńską, gotowała niebezpieczeństwo sentymentalizmu i obskurantyzmu. Denuncyacye te mnożyły się z każdym rokiem, a w roku 1829 i 1830 — mamy na to akta autentyczne — z urzędu szpiegowano zakład, aby go móżdż przed w. księciem oczernić. I skutek tego działania byłby nastąpił zaraz, gdyby nie wypadki roku 1830. Przez dwa blisko lata nie miano czasu trudnić się Redemptorystami. Niebytność państwa, a wkrótce i śmierć hr. Stanisława dawały się uczuć materyalnie zakładowi piotrkowskiemu. Żył jednak i byłby żył, jak wszystkie miłosierdzia chrześcijańskiego zakłady, gdyby nie rządowa kasata. Księżnej Łowickiej już nie było, ażeby bronić dzieła najlep-szej swojej przyjaciółki.

Pani Laura była w Wiedniu, gdzie na nieszczęście zamotała się w dworskie i stronnicze zachody. Dopóki ten umysł tak jasny, dopóki to serec tak podniosłe miało przed sobą praktyczny zawód, starczyło mu, a bogactwem swoim zasilalo jeszcze inne sfery; w Wiedniu, po śmierci swojego męża, nie rachując się ze stanem majątku, który pozornie wyglądał świetnie, a był obciążony, imaginaeya, nie śmiem powiedzieć, ale może trochę próżności, wciągnęły ją w zamiary szlachetne, ale poniekąd fikcyjne. Na ówczesnym dworze wielki wywierała wpływ księżna Lukki, siostra cesarzowej Ferdynandowej. O przyjaźń tej księżnej walczyły: pani Laura i znana bardzo w owym czasie ks. Anhalt Cötting. Wśród tych zachodów, które nie przeszkadzały jej weale utrzymy-

wać korespondencyj ciągłych i ciekawych z nieznanym jej X. La Mennais i z dobrym przyjacielem, późniejszym kardynałem Diepenbrok, słabł zdrowy rozsądek, zaniedbywała interesa i nie mogła już przynieść pomocy nieoszacowanym Ojcom w Piotrkowicach. Weześniej zamknęto szkołę, w r. 1834 z niezmierną szkodą i żalem okolicy, musiał O. Podgórski wraz z towarzyszami opuścić Piotrkowice. Tak zakończyła się powtórna działalność OO. Redemptorystów w Polsce; tak się skończyły kobiety genialnej i poświęconej zachody dla dobra Kościoła i Ojczyzny.

Mógłbym i powinienym tu skończyć. Wiem dobrze, że pani Laura, zmuszona przez interesa powrócić do kraju, już nie rozumnego nie zrobiła, że później ten umysł, nietylko duchem prawdy natchniony, ale tę prawdę przelewający w drugich, osłabł, zwichnął się, a nie przerzucając się nigdy na drogę błędu, ulegał otoczeniu, które dawniej było mu zupełnie obce; ale mimo to wiem dobrze, że w pierwszym okresie swojego życia natchnęła tyle poświęcenia, tyle usiłowań, podnosiła tak wysoko serca i umysły, że należy o niej więcej powiedzieć, jak że była sławna ze swego rozumu i niedorzeczności. — Prawda, dzieci jak nigdy nie miała tak ich chować nie umiała; prawda, zmarnowała majątek, który powinna była oddać rodzinie; prawda, miała stosunki w Warszawie w sferze, dla której nie była stworzona ani rodem, ani umysłem. ani sercem — ale w chwili śmierci, na którą patrzałem, odżyło wspomnienie i uczucie wszystkich wielkich myśli i zamiarów, które zajmowały tę najsilniejszą kobietą głowę z pomiędzy tych, które w długim znałem życiu, a które zaprawdę należały do najpierwszych swego czasu.

To dowodzi, że głowa kobieca, choćby najsilniejsza, że serce jej choćby najczystsze, jak skoro zaufają samym sobie, nie ochronią się od ciężkiego błędu i zmarnują najpiękniejsze Opatrzności dary.

SPIS RZECZY

w tomie drugim zawartych.

III.

Rozbiory ksiązek.

	str.
Uwagi o Sejmie Czteroletnim Ks. W. Kalinki, I.	3
„ „ „ „ „ „ II.	20
O pamiętnikach księcia Adama Czartoryskiego	47
O powstaniu r. 1830 z powodu dzieła Barzykowskiego	77
Zygmunt Antoni Helcel	161
Między Rosyą a Niemcami	189
O znaczeniu większej własności	201
Anglia z r. 1831 w listach lorda Grey i księżnej Lieven	215

IV.

Wspomnienia pośmiertne.

Jenerał Kazimierz Tański	241
Piotr Steinkeller	244
Piotr Michałowski	247
Jenerał Jan Skrzynecki	252
Jenerał Franciszek Morawski	256
Józef Gołuchowski	260
Andrzej hr. Zamoyski	282
Maurycy Mann	298
Aleksander Wielopolski	324
Jenerał Chłapowski	330

II

	str.
Pogrzeb w Krasieczynie	344
Józef Badeni	353
Józef Szujski	357
August hr. Zamoyski	379
Stanisław Rzewuski na podstawie jego zapisków i własnych wspomnień	381
Leon Bochenek	402
Henryk Wielowiejski	405
X. Biskup Adam Krasieński	407
Książę Konstanty Czartoryski	410
Félicité Robert de Lamennais	414
Karol hr. Montalembert	423
Ludwik Veuilllot	442
Ludwika Ossolińska	454
Zofia Arturowa Potocka	456
Róża z hr. Łubińskich Sobańska	459
Walerya Badeniowa	463
Helena z Weżyków Morawska	465
Laura z Potockich hr. Tarnowska	469

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

DK Popiel, Pawel
436 Pisma
 .5
P6A2
1893
t.2

UTL AT DOWNSVIEW



D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 13 11 13 016 5